

**Chelsea Quinn Yarbro**

# **Hotel Transylvania**

**Przek³ad: Rados³aw Kot**

## **Czêœæ pierwsza - Hrabia de Saint-Germain**

Wyjłtek z listu kontessy d'Argenlac do jej bratanicy, Mme Madelaine de Montalia; datowane 13 września 1743:

(...) Z rozrywek na t  noc przewidziane by o muzykowanie, a madame diuszessa zebra a w swoim salonie naprawd  wspania y zesp . Nawet Rameau, chocia  zaawansowany wiekiem, do czy  do nas, sam jednak nie wyst powa . Mile la Trevallon  piewa a w skie ballady, a Prywatni Muzycy Kr la wykonali kilka utwor w na smyczki.

By  tam i Saint-Germain - nie hrabia Louis, lecz inny, bardzo tajemniczy d entelmen, przyby y do Pary a dopiero w maju - kt ry zagra  kilka w asnych kompozycji na skrzypce i klawikord. Rameau pogratulowa  mu tych dzie  i doda ,  e spotka  ju  kiedy  pewnego muzycznego m czyzn  do z udzenia przypominajłcego Saint-Germaina, lecz by o to dawno temu, w 1701 lub 1702 roku, i w wczas m czyzna ten mia  oko o pi dziesiłtki, podczas gdy jego rozm wca nie mo e mie  wi cej ni  czterdzieci pi  lat. Saint-Germain przył  padłe z ust wielkiego muzyka pochwa y z niek amanł wdzi cznoacił. Powiedzia ,  e skoro pami tany przez Rameau m czyzna zostawi  po sobie wra enie tak silne, to on, Saint-Germain, m głby tylko  czy  sobie,  eby to w aenie jego Rameau wspomina , jako  e obraz  adnego zwykłego człowieka nie m głby przetrwa  tak długo w pami ci Rameau. Rameau nadmieni ,  e imi  m czyzny, kt rego niegdy  pozna , brzmia o il conte Balletti i  e podobnie jak Saint-Germain by  on d entelmenem  wiatowym i nieprzeci tnym...

Mieli my nadzieje ujrze  Mme Cressie, lecz diuszessa powiedzia a nam,  e jest ona chora i nie mogł a przyby , tak wi c nie mieli my mo liwoaci wysłuchania jej gry na violi d'amore. Wszystkich nas zasmuci a wie e o jej niedyspozycji, a Saint-Germain by  na tyle uprzejmy by, wyrazi  pragnienie, aby komplementy, kt rymi zosta  obdarzony mogłby przypa e la Cressie. Oznajmi ,  e trzy przedstawione melodie skomponowa  w aenie na jej instrument i bardzo pragnł usłysze  ich brzmienie w jej wspanialej interpretacji.

By  te  i Beauvrai, kt ry zauwa y ,  e wszystkie damy zafascynowane sł Saint-Germainem. Zawyrokowa ,  e doznamy rozczarowania, gdy Saint-Germain zdemaskowany zostanie jako oszust. Biedny Beauvrai, ze swymi z ymi przeczuciami, perfumami i krzywymi nogami, jak on mo e by  zazdrosny o tak eleganckiego m czyzn , jakim jest Saint-Germain. Beauvrai przyby  z kompanił Saint Sebastiena, kt ra to znajomo e nie jest zwiłzkiem godnym chwalenia si  nim.

Tylko dobre imi  jego  ony i bon ton umo liwiły mu wej cie do najlepszego towarzystwa, kt re doprowadza Beauvrai do takiej w ciek oci...

Tw j wuj i ja z radoacił oczekujemy twojej wizyty, droga bratanico. Cieszymy si ,  e rodzice zdecydowali wysł e ci  do nas, jako  e w kwestii c rek trzeba by  realistł. Kobiecie

*twojej urody i młodości nie wolno pozwalać rozkwitać niezauważenie w Prowansji. Zapewnij swych rodziców, że zagwarantujemy ci opiekę dam, które najlepiej wiedzą, jak powinna być kobieta twego pochodzenia i o takiej jak twoja delikatności uczuć. Ufam, że nie urazi cię moja bezpośredniość... Przekonana jestem, że najlepiej, gdy dziewczęta wczesnie zdobywają zrozumienie dla praktycznych wymogów życia.*

*Zanim jeszcze będę mogła ucałować twoje policzki, polecam cię i twoim szanownym rodzicom, w szczególności cię memu bratu, markizowi, i nalegam, by wysłali cię do mnie przed końcem września. Żegnaj, z radością, że nie jest wstyd,*

**Twoja kochająca ciotka Claudia de Montalia Kontessa d'Argentan**

Znany by<sup>3</sup> jako hrabia de Saint-Germain i chociaż u<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup> też innych imion, niewielu w Pary<sup>3</sup>u potrafi<sup>3</sup>oby przypomnieæ sobie naj<sup>3</sup>awniejsze nawet z nich, jako <sup>3</sup>e szacowny dwór Ludwika XV ma<sup>3</sup>o interesowa<sup>3</sup> siê tym, co dzia<sup>3</sup>o siê poza granicami Francji czy też przed wst<sup>1</sup>pieniem na tron Króla S<sup>3</sup>oñce.

Istnia<sup>3</sup>y zatem i takie zak<sup>1</sup>tki Francji, których nie zna<sup>3</sup> b<sup>3</sup>yszcz<sup>1</sup>cy dwór, jak chociażby ta nêdzna uliczka, któr<sup>1</sup> skierowa<sup>3</sup> w<sup>3</sup>acenie swe kroki. Jego intensywnie ciemne oczy wypatrywa<sup>3</sup>y teraz stert nieczystooci, wype<sup>3</sup>nij<sup>1</sup>cych noc prawie namacalnym zapachem, które trzeba by<sup>3</sup>o omijaæ. Dzielnice nêdzy w nocnej porze, jak daleko Saint-Germain siêga<sup>3</sup> pamiêci<sup>1</sup>, by<sup>3</sup>y takie same na ca<sup>3</sup>ym oewiecie.

Cichy, dokuczliwy odg<sup>3</sup>os p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>cej wody szumia<sup>3</sup> mu w uszach. By<sup>3</sup> jak nieustanne brzêczenie owada i przypomina<sup>3</sup> o bliskooci Sekwany.

Z cieni patrzy<sup>3</sup>y na niego jarz<sup>1</sup>ce siê czerwono oczy szczurów, a spowodowane jego przejoeciem szwargotanie gryzoni sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup>o Saint-Germaina do obna<sup>3</sup>enia zêbów w niepokoj<sup>1</sup>czym grymasie. Nigdy nie nauczy<sup>3</sup> siê ich lubiaæ, chociaż czêsto zdarza<sup>3</sup>o siê, <sup>3</sup>e musia<sup>3</sup> znosiæ ich towarzystwo.

Na nastêpnym skrzy<sup>3</sup>owaniu zatrzyma<sup>3</sup> siê, niepewny, któr<sup>1</sup> obraæ drogê. Nic nie oznacza<sup>3</sup>o maj<sup>1</sup>cej bieç kreto ku rzece alei. Wbi<sup>3</sup> wzrok w ciemnoœæ i ruszy<sup>3</sup> w<sup>1</sup>sk<sup>1</sup> uliczki. Ponad nim chyli<sup>3</sup>y siê ku sobie, niemal styka<sup>3</sup>y, stare, ciê<sup>3</sup>kie brzemieniem wieków domy. St<sup>1</sup>paj<sup>1</sup>c jeszcze ostro<sup>3</sup>niej, natrafi<sup>3</sup> na nieociosane kamienie, które s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>y<sup>3</sup>y tutaj za chodnik.

Przed sob<sup>1</sup> dojrza<sup>3</sup> blask latarni i cofn<sup>13</sup> siê do wykusza bramy, by poczekaæ, a<sup>3</sup> przejdzie stra<sup>3</sup>nik. Zagryz<sup>3</sup> niecierpliwie wargi. By<sup>3</sup>y inne drogi, którymi móg<sup>3</sup>by przejoæ niezauwa<sup>3</sup>ony przez stra<sup>3</sup>e, lecz korzystanie z nich by<sup>3</sup>o doœæ niedogodne i prowadzi<sup>3</sup>o czasem do odkryæ szczególnego rodzaju. Dwukrotnie ju<sup>3</sup> przynajmniej w swojej karierze narazi<sup>3</sup> siê impulsywnym postêpkem na niepotrzebny rozg<sup>3</sup>os. Zatem czeka<sup>3</sup>.

Gdy stra<sup>3</sup>nik przeszed<sup>3</sup>, ruszy<sup>3</sup> dalej. Na nogach mia<sup>3</sup> czarne buty na wysokim obcasie, lecz szed<sup>3</sup> cicho, a jego mocno zbudowane cia<sup>3</sup>o porusza<sup>3</sup>o siê z gracj<sup>1</sup> rzadk<sup>1</sup> u ludzi w tym wieku.

W koñcu dotar<sup>3</sup> do miejsca, o którym mu mówiono - Zajazdu Pod Czerwonym Wilkiem. Szczelniej os<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> swój ozdobny strój d<sup>3</sup>ugim p<sup>3</sup>aszczem z czarnego aksamitu. By<sup>3</sup> na tyle ostro<sup>3</sup>ny, by zostawiaæ w domu co cenniejsze przedmioty, z wyj<sup>1</sup>tkiem wpiêtego w koronkê na szyi nieskazitelnego rubinu. Wiedzia<sup>3</sup>, <sup>3</sup>e tak owiniêty p<sup>3</sup>aszczem i z nie upudrowanymi w<sup>3</sup>osami bezpiecznie mo<sup>3</sup>e iœæ miêdzy tych, którzy czekali nañ w mroczonej tawernie. Niewielk<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> o smuk<sup>3</sup>ych palcach odsun<sup>13</sup> rygle i wszed<sup>3</sup> do wnêtrza.

Dziewiêciu zebranych w brudnym szynku mê<sup>3</sup>czyzn podnios<sup>3</sup>o g<sup>3</sup>owy, gdy drzwi siê otwar<sup>3</sup>y. Paru z nich cofnê<sup>3</sup>o siê z lêkiem, jakby ich sumienia nie by<sup>3</sup>y zbyt czyste.

Saint-Germain pozdrowi<sup>3</sup> ich, zamykaj<sup>1</sup>c drzwi.

- Dobry wieczór, Bracia - powiedzia<sup>3</sup>, k<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup>c siê z lekka.

- Pan jest księciem Rakoczym z Transylwanii? - spyta<sup>3</sup> po chwili jeden z nich, omielszy widaa od pozosta<sup>3</sup>ych. Saint-Germain sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê ponownie.

- Mam ten zaszczyt.

Pomyœla<sup>3</sup>, ¿e imiê to nie by<sup>3</sup>o jego w<sup>3</sup>asnym bardziej ni¿ Saint-Germain czy Balletti. Miana Rakoczego u¿ywa<sup>3</sup> przez wiele lat w Italii, na Wêgrzech, w Rumunii, Austrii i saskim mieœcie DreŸnie. - Przypuszczam, ¿e jesteœcie Gildi<sup>1</sup>? - spyta<sup>3</sup>, nieco zniechêcony. Czarownicy byli zwykle niepewnym elementem i ci tutaj nie stanowili wyj<sup>1</sup>tku. Paru mia<sup>3</sup>o twarze inteligentne, z oczami têskn<sup>1</sup>ymi za wiedz<sup>1</sup>, która dla nich sta<sup>3</sup>a siê bóstwem. Lecz pozostali... Saint-Germain westchn<sup>13</sup>. Pozostali byli tacy, jak tego oczekiwa<sup>3</sup>. Przebiegli ludzie dzia<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>cy bez ogl<sup>1</sup>dania siê na literê prawa, rozdaj<sup>1</sup>cy trucizny i przeprowadzaj<sup>1</sup>cy aborty na rzecz tych, którzy godzili siê z szanta¿em i p<sup>3</sup>acili. Ludzie, którym spryt zastêpowa<sup>3</sup> umiejêtnoœci, a chciwoœæ by<sup>3</sup>a ich pasj<sup>1</sup>.

- Nie bylicemy pewni, czy zechcesz przyjoœæ, panie - powiedzia<sup>3</sup> jeden z czarowników. - Robi siê póŸno. Saint-Germain wszed<sup>3</sup> dalej do pokoju.

- Przyby<sup>3</sup>em o umówionym czasie. Zegary nie wybi<sup>3</sup>y jeszcze pó<sup>3</sup>nocy. Z pobliskiego koc<sup>3</sup>io<sup>3</sup>a wybrzmia<sup>3</sup>o w<sup>3</sup>acenie szeœæ uderzeñ zwiastuj<sup>1</sup>cych œrodek nocy, uroczyœcie ostrzegaj<sup>1</sup>c, ¿e nadesz<sup>3</sup>a godzina duchów.

- Tak naprawdê - powiedzia<sup>3</sup> Saint-Germain sucho - to jestem wczecniej.

- Najg<sup>3</sup>êbsza noc - mrukn<sup>13</sup> jeden, nieomal siê ¿egnaj<sup>1</sup>c, po czym zwróci<sup>3</sup> siê do Saint-Germaina, wykrzywiaj<sup>1</sup>c twarz w parodii dobrej woli.

- Poinformowano nas, ¿e mo¿esz nam pomóc, panie, w sprawie klejnotów. Saint-Germain westchn<sup>13</sup>.

- Wy, Francuzi, tak bezpoœrednio objawiacie sw<sup>1</sup> zach<sup>3</sup>annoœæ.

Dwoch z mê¿czyzn zeszywnia<sup>3</sup>o, a paru innych ucemiechnê<sup>3</sup>o siê przymilnie. Ten, który spyta<sup>3</sup> o klejnoty, wzruszy<sup>3</sup> ramionami i czeka<sup>3</sup> na odpowiedŸ.

- Niech bêdzie - Saint-Germain przeszed<sup>3</sup> na œrodek pokoju i zaj<sup>13</sup> miejsce u szczytu ubogo zastawionego sto<sup>3</sup>u. - Przekazê wam sekret klejnotów, lecz pod pewnymi warunkami.

- Jakimi warunkami? - spyta<sup>3</sup> czarownik, widaa najbardziej zainteresowany kamieniami.

- Wyœwiadczenia mi pewnych przys<sup>3</sup>ug. Zrobicie to, i to tak szybko, jak to mo¿liwe. Gdy zadania te zostan<sup>1</sup> wykonane, wówczas wyjawiê przed wami sekret klejnotów.

- A gdy przys<sup>3</sup>uga zostanie wyœwiadczona - zaszydzi<sup>3</sup> ten sam - to pojawi<sup>1</sup> siê kolejne warunki, i jeszcze nastêpne, i koniec koñców pan zniknie, a nam zostanie tylko p<sup>3</sup>ótno w kieszeni na op<sup>3</sup>acenie naszych prac. - Odwróci<sup>3</sup> siê.

- Powiedzia<sup>3</sup>em wam: jesteœcie chciwi - przypomni<sup>3</sup> Saint-Germain. Do rozmowy w<sup>3</sup>czy<sup>3</sup> siê jeden z grona tych, których hrabia oceni<sup>3</sup> jako spragnionych wiedzy.

- Ja przyjmê pañskie warunki - powiedzia<sup>3</sup>. - To prawda, ¿e mo¿e nas pan oszukaæ, lecz

sk³onny jestem wykorzystaæ szansê. Saint-Germain zmierzy³ go spokojnie wzrokiem.

- Jak masz na imiê? - zapyta³, a jego piêknie nakrecone brwi lekko siê unios³y.

- Jestem Beverly Sattin - powiedzia³ po chwili trochê niespokojnie, jako ¿e czarownicy nie podawali zwykle swoich prawdziwych imion.

- Anglik? - spyta³ Saint-Germain w tym¿e jêzyku.

- Tak. Od wielu lat mieszkam we Francji. Jeœli wolno mi powiedziaæ, to czeka³em na tak¹ okazjê od dawna. Wasza Wysokoœæ? - skin¹³ g³ow¹ w sposób œwiadcz¹cy o znajomoœci wytwornych manier.

- Gdzie siê ksztaci³eœ, Sattin?

- Magdalene College, Oxford - powiedzia³. - Zosta³em wydany w dwudziestym dziewi¹tym za praktyki niezgodne z religi¹. By³em wtedy na drugim roku.

Pozostali czarownicy o¿ywili siê, a ten spoœród nich najbardziej zainteresowany klejnotami wszed³ im w s³owo.

- Nie rozumiem tego, o czym mówicie - poskar¿y³ siê i nakaza³ ober¿yœcie, by na nowo nape³ni³ kielich winem.

- By³o z mojej strony nieuprzejmym wykluczaæ ciê z rozmowy, d¿entelmenie - powiedzia³ Saint-Germain z powag¹, lekko z cudzoziemsk¹ akcentowan¹ francusk¹.

Szynkarz kr¹¿y³ tymczasem wok³o sto³u: jego okr¹g³a twarz loeni³a od potu, widaæ by³o zdenerwowanie. Spojrza³ ukradkiem na Saint-Germaina, podnosi³ kolejny kielich i nape³niaj¹c go.

Hrabia uniós³ drobn¹, wytworn¹ d³oñ.

- Nie pijê wina - powiedzia³, odprawiaj¹c ober¿ystê. Ten sk³oni³ siê tak g³êboko, jak tylko pozwala³a mu na to masa cielska i oddali³ siê poœpiesznie, zadowolony, ¿e uwolni³ siê od towarzystwa tych z³owró¿nie wygl¹daj¹cych mê¿czyzn.

Gdy gospodarz odszed³, Saint-Germain siêgn¹³ do jednej z wielu kieszeni swego czarnego p³aszcza i pod czujnym spojrzeniem czarowników wyci¹gn¹³ zeñ skórzany woreczek z wyt³oczonymi symbolami. Widz¹c, ¿e przyku³ bez reszty ich uwagê, powiedzia³:

- Domagacie siê ode mnie œwiadectwa prawdy. W³acenie je wam przedstawiam.

Otworzy³ sakiewkê i wyrzuci³ na stó³ tuzin wielkich diamentów. Jeden z czarowników nie pozosta³ nieczu³y na widok wspania³ych klejnotów. Ten, który po¿¹da³ ich najbardziej, wyci¹gn¹³ rêkê, lecz zaraz cofn¹³ j¹ z lêkiem.

- Proszê - przyzwoli³ Saint-Germain. - WeŹcie je. SprawdŹcie. Upewnijcie siê, ¿e s¹ prawdziwe. Potem wys³uchajcie mnie.

Rozpar³ siê na topornie ciosanym krzeœle i zapatrzy³ w kominek. Dziewiêciu mê¿czyzn wziê³o tymczasem diamenty w swoje rêce i zag³êbi³o siê w rozmowie prowadzonej przyciszonymi g³osami. Gdy czarownicy umilkli, hrabia przemówi³.

- S'dzisz zapewne, Le Grace, że sprytnie dokona³e podmiiany - powiedzia³, nie spoj¹daj¹c w jego stronê.

Czarownik, który tak kocha³ klejnoty, podskoczy³ zauważalnie. Wymamrota³, że ksi¹¿ê siê myli i wskaza³ na angielskiego czarownika.

- To chyba on. To nie ja.

Saint-Germain odwróci³ siê, skupiaj¹c na Le Grace spojrzenie swych ciemnych oczu.

- Postaraj siê mnie zrozumieæ, Le Grace - powiedzia³ ³agodnie. - Nie bêdê tolerowa³ ok³amywania czy oszukiwania mnie. Nie jestem g³upcem. Sattin nie wzi¹³ diamentu; ty to zrobi³e. Jest w wewnêtrznej kieszeni twojej kamizelki. Jest tam te¿ szeæ oszukañczych kawa³ków szk³a. Mój diament jest siódmy. Zanim policzê do dziesiêciu masz po³o¿yæ go na stole. Raz...

Le Grace nie móg³ znieææ spojrzenia œwidruj¹cych, czarnych oczu Saint-Germaina.

- Ksi¹¿ê Rakoczy... - zacz¹³, rzucaj¹c spojrzenia kompanom.

- Dwa.

- Wasza Wysokoææ, proszê raz jeszcze siê zastanowiæ, Le Grace nie jest... - próbowa³ ratowaæ sytuacjê jeden z czarowników.

- Trzy.

Szczur przemkn¹³ obok paleniska, popiskuj¹c wœciekle. Dwóch mê¿czyzn podnios³o siê i odwróci³o plecami do Le Grace, jeden z nich powiedzia³ przy tym do towarzysza:

- Le Grace wcale siê nie przedstawia³. Ksi¹¿ê po prostu go zna³.

- Cztery - stanowczo kontynuowa³ Saint-Germain. Mimowolnie rêka Le Grace zag³êbi³a siê w kieszeni kamizelki. Jego twarz stê¿a³a ze strachu.

- Możemy to przedyskutowaæ, ksi¹¿ê.

- Piêæ.

Sattin odsun¹³ siê nieco od Le Grace i zwróci³ po angielsku do Saint-Germaina.

- To prawda, że jest ³ajdakiem, Wasza Wysokoææ, lecz bywa u¿yteczny.

- Nie dla mnie. Szeæ.

- Lecz to bez sensu - zaprotestowa³ Sattin. - Jeœli zna pan sekret klejnotów, to ten jeden z pewnoœci¹ nie mo¿e wiele dla pana znaczyæ.

- Siedem. Nie lubiê byæ okradanym - powiedzia³. - Nie lubiê byæ ok³amywanym. Cz³owiek, który oszuka mnie na jeden klejnot, oszuka mnie na wiele. Osiem.

Ciê¿kie krople potu wyst¹pi³y na twarz Le Grace, przesun¹³ po niej rêkawem. Poprawi³ siê niespokojnie na krzesele. W ustach nagle mu zasch³o i siêgn¹³ po wino, pij¹c ha³aeliwie.

- Dziewiêæ - chocia¿ g³os jego nie brzmia³ g³oceniej, s³owo to zabrzmia³o w obskurnej gospodzie niczym wystrza³.

- W porz¹dku - przyzna³ siê Le Grace i siêgn¹³ do kieszeni kamizelki. - W porz¹dku! -



pogardliwie cisn<sup>13</sup> woreczek na stó<sup>3</sup>. - Sprawdy<sup>3</sup> je.

Westchnienie ulgi przesz<sup>3</sup>o po sali, napięcie ust<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>o. Dwóch stoj<sup>1</sup>cych przy ogniu czarowników wróci<sup>3</sup>o do sto<sup>3</sup>u. Saint-Germain otworzy<sup>3</sup> mieszek. Opisane wczesniej siedem kamieni upad<sup>3</sup>o na stó<sup>3</sup> obok klejnotów rozsypanych tam wczesniej.

- Który zatem jest w<sup>3</sup>aciewy - spyta<sup>3</sup> sarkastycznie Le Grace.

Saint-Germain sięgn<sup>13</sup> bez s<sup>3</sup>owa i zebra<sup>3</sup> szeceæ kamieni w stos. Potem, zawin<sup>1</sup>wszy wokó<sup>3</sup> rêki kawa<sup>3</sup>ek serwety ze sto<sup>3</sup>u, uderzy<sup>3</sup> w kamienie piêceci<sup>1</sup>. Gdy uniós<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oñ, na stole pozosta<sup>3</sup> szklany proszek. Spojrza<sup>3</sup> pytaj<sup>1</sup>co na pozosta<sup>3</sup>ych.

- Ksi<sup>1</sup>ê Rakoczy... - powiedzia<sup>3</sup> powoli Sattin. - W imieniu naszego Bractwa i naszej Gildii przepraszam ciê i proszê o wybaczenie. Saint-Germain przytakn<sup>13</sup>.

- Zgoda. Zamknijcie tylko dobrze tego cz<sup>3</sup>owieka i przypilnujcie, by nie mia<sup>3</sup> ju<sup>3</sup> wiêcej dostêpu do Gildii.

Sattin skin<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> i zwróci<sup>3</sup> siê do pozosta<sup>3</sup>ych.

- S<sup>3</sup>yszeliœcie, czego ê<sup>1</sup>da ksi<sup>1</sup>ê - wskaza<sup>3</sup> dwóch, którzy uznawali jego prawo do rozkazywania. - Pesche i ty, Oulen, we<sup>3</sup>cie Le Grace na górê. Do pokoju na strychu.

- Chod<sup>3</sup> - powiedzieli zbli<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>c siê do niego. Byli przygotowani, by zabraæ go si<sup>31</sup> gdyby stawi<sup>3</sup> opór. Le Grace popatrzy<sup>3</sup> na nich.

- On jest zwyk<sup>3</sup>ym oszustem. Ąaden z tych diamentów nie jest prawdziwy. - Popatrzy<sup>3</sup> z rozpacz<sup>1</sup> na swych braci z Gildii. - One nie mog<sup>1</sup> byæ prawdziwe. To tylko szk<sup>3</sup>o.

Saint-Germain rzuci<sup>3</sup> mu zimne, znudzone spojrzenie.

- To, êe jesteœe szarlatanem, to nie powód jeszcze, by wszystkich innych uwa<sup>3</sup>æ za pozbawionych honoru.

Uj<sup>13</sup> najwiêkszy diament i po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> go na sproszkowanym szkle. Zawin<sup>1</sup>za<sup>3</sup> serwetê wokó<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oni i z ca<sup>31</sup> si<sup>31</sup> opuœci<sup>3</sup> rêkê na kamieñ. Stó<sup>3</sup> zadr<sup>3</sup>a<sup>3</sup>. Gdy podniós<sup>3</sup> rêkê, klejnot wbity by<sup>3</sup> w stó<sup>3</sup> do po<sup>3</sup>owy obwodu, lecz pozosta<sup>3</sup> nienaruszony. Saint-Germain rozwar<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oñ i odrzuci<sup>3</sup> serwetê.

- Pañska rêka... - zaczai Sattin.

Saint-Germain po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oñ na stole, obracaj<sup>1</sup>c j<sup>1</sup> wñêtrzem do góry.

- Jak widzisz.

Le Grace ju<sup>3</sup> nie odwa<sup>3</sup>y<sup>3</sup> siê nazwaæ tego oszustwem. Opuœci<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owê i pozwoli<sup>3</sup>, by bracia z Gildii go odprowadzili.

- Da<sup>3</sup> mu pan odprawê - powiedzia<sup>3</sup> Sattin z niejaki<sup>1</sup> satysfakcj<sup>1</sup> w g<sup>3</sup>osie, wiedz<sup>1</sup>c, êe i jemu udzielono odpowiedzi.

- Na krótki czas jedynie - rzek<sup>3</sup> hrabia, potrz<sup>1</sup>saj<sup>1</sup>c z niechêci<sup>1</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

- Nim minie parê godzin dojdzie do wniosku, êe by<sup>3</sup>a to iluzja i zapragnie mnie skompromitowaæ. - Dotkn<sup>13</sup> swych ciemnych w<sup>3</sup>osów. - Mniejsza z tym, Angliku. Wiêcej mam

pilniejszych spraw, niżli rozgoryczony fałszywy czarownik.

- Powiedział pan, że potrzebuje naszej przysługi. - Sattin przechylił się do przodu, a sześciu męczczyzn słucho go teraz w napięciu.

- W zamian za sekret klejnotów, tak - Saint-Germain popatrzył na nich.

- Który z was jest Francuzem?

Czterech przyznało się do francuskiego pochodzenia.

- A reszta? - spytał Saint-Germain, odhaczając gestem Anglika Sattina.

- Ja jestem Hiszpanem. Nazywam się Ambrosias Maria Domingo y Roxas. Jestem z Burgos. - Skłonił się osobliwie, dodając: - Zostałem ekskomunikowany za herezję, uciekłem jedynie dzięki temu, że eskorta, która miała dostarczyć mnie do Madrytu, nie była zbyt uważna. Twierdził teraz, że uciekłem za pomoc czarów, lecz tylko przytomność umysłu mnie uratowała.

Saint-Germain przyjrzał się małemu Hiszpanowi.

- Mogę w przyszłości mieć dla ciebie zadanie - powiedział po hiszpańsku. - Póki co, gratuluję ucieczki. Jesteś jednym z niewielu - skierował teraz uwagę na Francuzów.

- Czy któryś z was miał kiedyś do czynienia z arystokracją? Czarownicy wymienili spojrzenia, a jeden z nich, nieco starszy od pozostałych, powiedział:

- Ja byłem majordomusem w majątku Savigny. Było to ponad dwanaście lat temu.

Saint-Germain uniósł brwi.

- Na ile potrafisz naśladować ich maniery? Och, nie tych naprawdę wysokiego urodzenia, lecz bogatych burżujów? Były majordomus wzruszył ramionami.

- Nigdy tego nie próbowałem, księżę, lecz jestem pewien, że wiem, o co chodzi. Dość dobrze potrafię małpować.

- A zatem będziesz tym, który dokona dla mnie transakcji - ujrzał wyraz lęku na twarzy męczczyzny. - W le Fauborough - hrabia uemiechnął się do siebie - przy Quai Malaquais numer dziewięć, znajduje się dom gry. Wybudowany został za czasów Ludwika XIII. Różne były jego losy. Znany jest jako Hotel Transylwania.

- Nazwany tak został od innego Rakoczego, czy nie tak było, panie? - zaryzykował Sattin, gdy cisza przeciwników była zbyt dźwięczna.

- Słuchaj, że te nazwy nosi już wcześniej - powiedział Saint-Germain, jakby mała go ta sprawa obchodziła. - Lecz trzydzieści lat temu pewien Rakoczy mieszkał w tej rezydencji.

- Pański ojciec? - pytanie Sattina wyrażało ciekawość ich wszystkich, co widział było po twarzach.

- Jeżeli chcecie tak to widzieć.

Czarownicy spojrzeli po sobie, po oczianach, po łonim ogniem kominka. Patrzyli gdziekolwiek, tylko nie na postać w ciemnym ubraniu, która siedziała, czekając cierpliwie, aż zwróci

sw<sup>1</sup> uwagê z powrotem na ni<sup>1</sup>.

- Cóż takiego mamy zrobić z Hotelem Transylwania? - spyta<sup>3</sup> za wszystkich Domingo y Roxas.

- Pragnê, abyście go dla mnie nabyli. Możecie sobie powiedzieć, że jestem sentymentalnie przywi<sup>1</sup>zany do nazwy czy do budynku, jeżeli potrzebujecie dla tego jakiegoś wyjaśnienia - powiedzia<sup>3</sup>, uprzedzaj<sup>1</sup>c ich pytania. - Dostarczê wam funduszy wystarczaj<sup>1</sup>cych po dziesięciokro<sup>3</sup> na to, aby go kupić. Mam nadzieję, że nie wydadacie aż tyle, lecz ile by kosztowa<sup>3</sup>, nabêdziecie dla mnie Hotel Transylwania. Czy to rozumia<sup>3</sup>e?

- Tak jest, Ksi<sup>1</sup>żê Rakoczy.

Pesche i Oulen, czarownicy, którzy zabrali z pomieszczenia Le Grace, wrócili i z przesadn<sup>1</sup> skromnośc<sup>1</sup> usiedli przy końcu sto<sup>3</sup>u.

- Ta ma<sup>3</sup>a ksi<sup>1</sup>żeczka l'Abbe Prevosta uczyni<sup>3</sup>a nazwê Hotelu Transylwania niemi<sup>3</sup> dla ucha - mrukn<sup>13</sup> Saint-Germain. - Nie mia<sup>3</sup> takiej reputacji, gdy... mój ojciec... w nim mieszka<sup>3</sup>. Zatem - powiedzia<sup>3</sup> energicznie, spogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c na ogień - kupisz Hotel Transylwania, nie wymieniaj<sup>1</sup>c przy tym mego imienia. Możesz powiedzieć, że jesteś czymś agentem lub że kupujesz go dla siebie. Lecz w żadnym wypadku nie wolno ci powo<sup>3</sup>ywać się na mnie. Gdybym godzi<sup>3</sup> się z tym, policja wiedzia<sup>3</sup>aby o transakcji w ci<sup>1</sup>gu godziny. Twoja dyskrecja jest, ufam, ca<sup>3</sup>kowita?

- Tak jest, panie.

- Dobrze. - Zwróci<sup>3</sup> się do czarownika, który nigdy<sup>3</sup> by<sup>3</sup> majordomusem. - Jak się nazywałeś?

- Cielblue - odpowiedzia<sup>3</sup> niezw<sup>3</sup>ocznie. - Henri-Louis Cielblue.

- Czaruj<sup>1</sup>co. Imiê budz<sup>1</sup>ce zaufanie. Możesz używać swego lub jakiegokolwiek innego imienia, gdy bêdziesz prowadzi<sup>3</sup> negocjacje z obecnymi w<sup>3</sup>ościcielami rezydencji.

- A co zrobisz z ni<sup>1</sup>, panie, gdy bêdziesz już jej w<sup>3</sup>ościcielem? - spyta<sup>3</sup> Pesche z szacunkiem, lecz z ciekawośc<sup>1</sup> i sk<sup>1</sup>pstwem w oczach zarazem.

- Otworê go na œwiat, rzecz jasna. Zbyt d<sup>3</sup>ugo by<sup>3</sup> ubogim krewnym rezydencji de Yille. To siê zmieni.

- Panie... - zacz<sup>13</sup> Domingo y Roxas. - Dlaczego pragniesz go posiadaê? Czy dlatego, że sam pochodzisz z Transylwanii?

Wymuszaj<sup>1</sup>ce zwykle szacunek spojrzenie Saint-Germaina sta<sup>3</sup>o siê nieco b<sup>3</sup>êdne.

- Przypuszczam, że to dlatego, iż Transylwania jest moj<sup>1</sup> ojczyzn<sup>1</sup> i by<sup>3</sup>em tam ksiêciem krwi - jego twarz rozjaśni<sup>3</sup>a siê. - To prawda, panowie, że ziemia ojczysta przyci<sup>1</sup>ga, niezależnie od tego jak daleko od niej i jak d<sup>3</sup>ugo bez niej siê żyje. Powiedzmy sobie zatem, że jest to moja zachcianka, któr<sup>1</sup> wy potraktujecie z pob<sup>3</sup>ażaniem. W zamian poznacie sekret klejnotów. To nie jest z<sup>3</sup>a transakcja.

Beverly Sattin przyjrza<sup>3</sup> mu siê ze spokojem.

- Do kiedy trzeba to zrobić?

- Jak najszybciej, mój drogi Sattin. Chcê, by Hotel Transylwania by<sup>3</sup> mój, nim minie pa<sup>3</sup>dzielnik.

- Zebra<sup>3</sup> diamenty w stos. - Tym zap<sup>3</sup>aciecie za rezydencjê. Przypuszczam, że wartoœæ ich okaże siê doœæ duŸa, by sprostae kaŸdej cenie, jak<sup>1</sup> podaæ moŸe w<sup>3</sup>aœciciel. A gdyby policja dowiedzia<sup>3</sup>a siê o moim nabytku, wówczas uznam was za wrogów i potraktujê stosownie do tego - tr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> diament, który wbi<sup>3</sup> uprzednio w stó<sup>3</sup>. - Tego tu bêdziecie musieli wyd<sup>3</sup>ubaa. Niech gospodarz da wam nóg - wsta<sup>3</sup> i zebra<sup>3</sup> p<sup>3</sup>aszcz wokó<sup>3</sup> siebie, przygotowuj<sup>1</sup>c siê do odejœcia. - Bêdê tu o tej porze za dziesiê dni. Powiecie mi, jakie poczyniliœcie postêpy.

- Ksi<sup>1</sup>ê Rakoczy - powiedzia<sup>3</sup> Sattin. - Co z Le Grace? Saint-Germain œci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> wypielêgnowane brwi.

- To pewien k<sup>3</sup>opot - pog<sup>3</sup>adzi<sup>3</sup> palcami rubin na szyi. - Póki co, przytrzymajcie go tutaj. MoŸecie zmieniaæ siê na straży. I pamiêtajcie, by by<sup>3</sup>a to straż z krwi i koœci, uzbrojona w ciê<sup>1</sup>k<sup>1</sup> pa<sup>3</sup>kê. By<sup>3</sup>oby nad wyraz k<sup>3</sup>opotliwe, gdyby uciek<sup>3</sup>.

Przyjrza<sup>3</sup> im siê raz jeszcze, stwierdzaj<sup>1</sup>c, że chociaŸ byli raczej kiepscy, to widzia<sup>3</sup> juŸ gorszych.

- Za dziesiê dni, panie - powiedzia<sup>3</sup> Sattin, k<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup>c siê nisko.

Saint-Germain odpowiedzia<sup>3</sup> lekkim uk<sup>3</sup>onem, a potem wymkn<sup>13</sup> siê z Zajazdu Pod Czerwonym Wilkiem w wilgotn<sup>1</sup> i zimm<sup>1</sup> ciemnoœæ paryskiej nocy.

Wyj<sup>1</sup>tek z listu markiza de Montalia do l'Abbe Ponteneuf a datowane 21 wrze<sup>3</sup>nia 1743:

(...) Tak zatem, mój drogi kuzynie, zrozumiesz troskê, jak<sup>1</sup> otaczam moj<sup>1</sup> córkê, Madelaine. Argumenty mojej żony przekona<sup>3</sup>y mnie, lecz nie mogê pozby<sup>æ</sup> siê g<sup>3</sup>êboko tkwi<sup>1</sup>cej we mnie obawy, że moja córka mo<sup>3</sup>e wpa<sup>æ</sup>æ w rêce pewnej osoby. Madelaine przybêdzie do Pary<sup>3</sup>a czwartego lub pi<sup>1</sup>tego dnia pa<sup>3</sup>Ździernika w towarzystwie swej damy, Cassandre Leuf, która znajduje siê na s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>bie w naszej rodzinie od ponad dwudziestu lat, Nie lêkam siê o moj<sup>1</sup> córkê, gdy strze<sup>3</sup>e jej Cassandre. Lecz to nie wystarczy. Moim pragnieniem jest, by<sup>æ</sup> nie traci<sup>3</sup> jej z oczu i dawa<sup>3</sup> jej przystêp do korzy<sup>3</sup>æci p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>cych z twoich rad, jako że obaj wiemy, jakie to pokusy dostêpne s<sup>1</sup> na dworze naszego ukochanego monarchy.

Pewien jestem, że polubisz Madelaine. Jest ona dziewczyn<sup>1</sup> wra<sup>3</sup>liw<sup>1</sup> i o nieprzeciêtnym intelekcie. Urszulanki, które j<sup>1</sup> kształ<sup>3</sup>ci<sup>3</sup>y, chwali<sup>3</sup>y jej erudycjê i by<sup>3</sup>y zasmucone, i<sup>3</sup> nie czuje ona powo<sup>3</sup>ania do po<sup>æ</sup>wie<sup>3</sup>enia siê religii. W rzeczy samej, jedynym, na co narzeka<sup>3</sup>y, by<sup>3</sup> brak cierpliwo<sup>3</sup>æci do osób mniej od niej samej inteligentnych oraz pe<sup>3</sup>ne niepokoju zami<sup>3</sup>owanie do mi<sup>3</sup>o<sup>3</sup>æci dziwacznej i fantastycznej. Moja żona dowodzi niemniej, że ma<sup>3</sup>ż<sup>3</sup>eństwo i dzieci usun<sup>1</sup> te kaprysy natury, sk<sup>1</sup>din<sup>1</sup>d s<sup>3</sup>odkiej i odpowiedzialnej (...).

S<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em od mojej siostry, kontessy d'Argenlac, u której Madelaine siê zatrzyma, że Beauvrai znów obraca siê w dobrych krêgach, zawdziêczaj<sup>1</sup>c to wysokiemu urodzeniu swojej żony. Muszê z naciskiem zaznaczy<sup>æ</sup>, że żadne zwi<sup>1</sup>zki z Beauvrai nie mog<sup>1</sup> by<sup>æ</sup> tolerowane. Nie mo<sup>3</sup>na pozwoli<sup>æ</sup>, by ktokolwiek z kompanii skupionej niegdy<sup>æ</sup> wokó<sup>3</sup> Saint Sebastiena splugawi<sup>3</sup> moj<sup>1</sup> córkê. Pozwól, bym wezwa<sup>3</sup> ciê do bycia rygorystycznym w strze<sup>3</sup>eniu mego dziecka przed takimi, jak oni.

(...) B<sup>3</sup>agam ciê, by<sup>æ</sup> uzyska<sup>3</sup> pewno<sup>3</sup>ææ, gdyby Madelaine zapragnê<sup>3</sup>a ma<sup>3</sup>ż<sup>3</sup>eństwa, czy kierowa<sup>æ</sup> bêdzie ni<sup>1</sup> g<sup>3</sup>os serca, a nie d<sup>1</sup>żenie do podwy<sup>3</sup>żenia swej pozycji. Zbyt czêsto bowiem ma<sup>3</sup>ż<sup>3</sup>eństwo rodzi siê z oczekiwa<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> żywionych przez innych, a nie z mocnych wiêzów serc. Moja żona obarczy<sup>3</sup>a siostrê moj<sup>1</sup> zadaniem znalezienia dla Madelaine odpowiedniego mê<sup>3</sup>a i zapewnia ciê mogê, że uszczêliwi<sup>3</sup>by mnie widok jej pomy<sup>æ</sup>lnie wydanej. Lecz nie móg<sup>3</sup>bym znie<sup>æ</sup>æ widoku życia jej zniweczonego, jak tylu innym ju<sup>3</sup> to siê zdarzy<sup>3</sup>o, Polegam na tobie, że dojrzysz prawdziw<sup>1</sup> jej naturê. (...)

Na imiê Boga, którego obaj szanujemy i czcimy, a który wyprowadzi<sup>3</sup> ciê na wiod<sup>1</sup>c<sup>1</sup> ku zbawieniu drogê z piekielnych ogni, polecam siê tobie i b<sup>3</sup>agam, by<sup>æ</sup> pamiêta<sup>3</sup> w swych modlitwach, o moich grzechach. Na tym æwiecie mam honor by<sup>æ</sup> Twoim najbardziej uni<sup>3</sup>żonym i szanuj<sup>1</sup>cym ciê kuzynem

**Robert Marcel Yves Etienne Pascal Markiz de Montalia**

- Stwierdziæ muszê, hrabio - powiedzia³a Mme Cressie, k³ad¹c jedn¹ d³oñ na swej piêknej, bia³ej szyi - ¿e zjawiasz siê nie wiadomo sk¹d. Saint-Germain sk³oni³ siê nisko ponad wyci¹gniê¹t¹ ku niemu drug¹ jej d³oni¹, niemal dotykaj¹c wargami mocnych, smuk³ych palców.

- Tylko wtedy zdarza, siê, ¿e wszystkie inne musz¹ zbledn¹æ w swej urodzie, gdy jest z nami La Cressie. Gdybym wy³oni³ siê obok ciebie spod ziemi, policzyæ móg³bym siê miêdzy szczêeliwymi, gdy¿ jak inaczej mo¿na znaleŹæ sobie drogê miêdzy wszystkimi twoimi adoratorami?

La Cressie zacemia³a siê niepewnie.

- Bardzo szarmancko, sir. Lecz, jak widzisz, jesteœ tu przy mnie sam.

- Tym wiêksze jest zatem moje szczêœcie - Saint-Germain rozejrza³ siê po zat³oczonej sali i skin¹³ rêk¹ ku alkwie.

- Bardzo pragn¹³em spotkaæ siê z tob¹, pani, lecz stwierdziæ muszê, ¿e to pomieszczenie jest trochê zbyt pe³ne zgie³ku. Mo¿e gdybyœmy wyszli...

Zgodzi³a siê i skierowali siê do alkowy. Jej szerokie jedwabne suknie szeleœci³y przy ka¿dym ruchu niczym liœcie. Ubrana by³a w morskie zielenie ze sztywn¹ halk¹ z kremowych koronek, ods³oniê¹t¹ tam, gdzie spódnica upiêta by³a w niewielkiej tiurniurze. W³osy by³y zaczesane prosto, w stylu znanym jako turkawka, a pokrywaj¹cy je puder rozsiewa³ zapach bzu.

Id¹cy obok Saint-Germain mocno siê od niej odró¿nia³: nosi³ krótkie spodnie i surdut z szerokimi po³ami; wszystko to z czarnego jedwabiu. Zawiniête mankiety surduta ujawnia³y czarny brokat. Do kompletu dobra³ takiego¿ koloru poñczochy i buty, wobec czego tylko wyszywana kamizelka i nieskazatelnie bia³a koronka wokó³ szyi i nadgarstków koi³a surowoœæ jego stroju. Na zapinkach iskrzy³y siê diamenty, a rubin lœni³ w koronce na szyi.

Gdy podprowadzi³ j¹ do niskich krzese³ w alkwie, rzucaj¹c wzmiankê o tak silnie kontrastuj¹cych ich strojach, La Cressie westchnê³a:

- Uprzejmy jesteœ, Saint-Germain, lecz przegl¹dam siê czasem w lustrze. Nawet mój m¹¿ zdoby³ siê ostatnio na parê uwag dotycz¹cych mego wygl¹du. Obawiam siê, ¿e przebyta choroba zostawi³a na mnie œlady. Widzê to w zwierciadle - znów przy³o¿y³a rêkê do szyi, mimowolnie dotykaj¹c kszta³tej naszywki w kszta³cie violi d'amore.

- Prawd¹ jest, ¿e ci¹gle jesteœ trochê blada - zauwa¿y³, wytr¹saj¹c na zewn¹trz koronkowe mankiety. - Lecz do twarzy ci z tym. Z jasnymi w³osami i takimi¿ oczami, bardziej jesteœ eteryczna, ni¿ kiedykolwiek. Widzia³em, jakim wzrokiem patrzy³a na ciebie ciemnooka markiza de la Sacre Sassean. - Przyjrza³ siê naszywce na jej szyi. - Œwietny pomys³. S¹dzê, ¿e zapocz¹tkujesz tym modê.

- Dziêkujê, hrabio - powiedzia³a, niepewnie próbuj¹c zadaæ k³am ch³odowi, który zawiera³ siê w jej g³osie. - Chcia³abym zapocz¹tkowaæ modê. - Urwa³a nagle.

- Co siê dzieje, pani? - spyta³ ³agodnie, gdy cisza zbyt d³ugo wisia³a miêdzy nimi.

Mme Cressie podniosła nagle przestraszony wzrok.

- To nic, hrabio, nic - jej omech był wymuszony. - Miaam ostatnio trochę męczących snów.

- To nie jest zwyczajne, gdy wychodzi się z choroby. Czy pozwolisz, bym dał ci napój, który ułatwi sen?

- Ty? - powiedziała szybko, zmieszana. - Nie, nie, nie o tym myślaam. Przyszło mi do głowy jedynie, że może powinniśmy pospieszyć na kolację. Słyszaam, jak lokaj zapowiada już jakieś czas temu, a teraz wydaje mi się, że jestem głodna.

Saint-Germain uśmiechnął się dwornie. Wiedzia, że tak naprawdę to nie była zainteresowana kolacją, gdyż apetyt jej cięgle przyjemniała sabaocę, lecz zaoferował jej ramię, na którym położyła dłoń.

Hotel de Ville przeżywał wrazenie jedyną ze swych najlepszych nocy. W głównej sali balowej dwudziestu muzyków grało dla rzeszy tańczących, poruszających się po inkrustowanej podłodze niczym morze kwiatów: tak liczne i rozmaite były kolory jedwabów, brokatów, aksamitów i koronek, które tam noszono. W hotelu znajdowały się pokoje gier karcianych, gdzie trafiać można było nawet na zakazaną jokę, a robry dotyczyły zaiste zawrotnych sum. Miałoby tutaj gdzieś, a wyraz arystokratycznych twarzy skierowania się ku ponurości. Inne gry hazardowe panowały w oddzielnych pokojach, w których rozbrzmiewały dialogi tak samo niemal blyskotliwe, jak łeniące złote ludwiki, piętrowe się na stołach przed eleganckimi graczami.

W sali, w której podawano kolację, Saint-Germain powitał dystygowanymi skinieniami głowy liczne grono swoich znajomych, niektórym posyłając okolicznościowy gest dłoni. Poprowadził Mme Cressie do jednego z wielu zacisznych stolików i, usiadłszy, zapytał:

- Co mogę mieć przyjemności przynieść ci, pani?

- Cokolwiek, co sam weźmiesz - odpowiedziała nieprzytomnie.

- Nie jestem akurat głodny - rzekł, myślic, że nie jest to całkiem prawdziwe stwierdzenie. - Widzę, że mają tu szynkę i kurczaki, i że dzisiejszego wieczoru daje się dostrzec też coś, co wygląda na talerz z przysmakami homarami. - Uśmiechnął się do niej całą mocą swych ciemnych, fascynujących oczu. - Podejrzewam, że będziesz pani tak uprzejma i zechcesz pozwolić mi, bym wybrał za siebie?

Mme Cressie zatraciła się w głębi jego oczu, zapatrzyła na jarzącą się w nich obietnicę.

- Tak - mruknęła. - Cokolwiek wybierzesz... - Między jej brwiami pojawiła się drobna zmarszczka, a ręka znów ukradkiem sięgnęła szyi.

Saint-Germain tymczasem zaczął torować sobie drogę przez tłum wygłodzonych ku długiemu bufetowi zastawionemu na północny posiłek. Gdy napełnił talerz dla La Cressie, przerwał mu ową czynność diuk Vandonne, doceł młody mężczyzna z dziwnymi, przebiegłymi oczami, będący zakał rodziny i hańbą dla samego siebie.

- Nienawidzę tych uroczyścioci - powiedziała młodzienc przez ocicenięte zęby, rozluźniając

koronki wokó³ szyi. - Lêkam siê ich i nienawidzê.

- To dlaczego pan przyszed³? - spyta³ Saint-Germain, odwracaj¹c uwagê od pasztetu z w¹tróbek dziczyzny z owocami ja³owca, który to nak³ada³ hojnie na talerz La Cressie.

- Bo gdybym nie przyszed³, zosta³bym niechybnie skarcony przez matkê i jej dwie siostry - mówi³ silnie wzburzonym g³osem Vandonne. - Nie jestem w stanie im umkn¹æ: mieszkaj¹ ze mn¹. Otó¿ i jestem. Oczekuj¹, ¿e znajdê ¿onê; ¿e zwabiê na swój tytu³ i do mego ³ó¿ka jak¹œ mo¿liw¹ do przyjêcia dziewicê - zaszydzi³. - Znam lepsze sposoby wykorzystywania dziewic.

- Tak? - Saint-Germain zwróci³ siê ponownie ku bufetowi. Wiedzia³, ¿e diuk uprawia³ jedne z najmniej akceptowanych perwersji, lecz mimo to pad³a z jego ust uwaga wprawi³a go w lekkie zak³opotanie. Vandonne zachichota³. DŸwiêk ten zmrozi³ hrabiego.

- Beauvrai powiada, ¿e do tego potrzeba dziewicy. Chcia³bym, ¿eby uda³o nam siê znaleŸæ jak¹œ. Myœlê oczywicie o prawdziwej dziewicy. Takiej, która nadawa³aby siê do u¿ytku.

- Do czego niby? - Saint-Germain uniós³ brwi. Jego twarz przybra³a wyraz uprzejmego, lecz s³abego zainteresowania, ukrywaj¹c wyp³ywaj¹cy z pewnoœci, ¿e dobrze zrozumia³ te s³owa, zimny lêk.

- Och, do tego i owego - powiedzia³ wymijaj¹co Vandonne. - To nie jest miejsce, by o tym rozmawiaæ. - Twarz diuka spowa¿nia³a. - Tak czy tak, nie jest pan jednym z nas. Chocia¿... s³ysza³em, ¿e jest pan cudzoziemcem, a cudzoziemcy czasem zajmuj¹ siê takimi rzeczami - siêgn¹³ po nastêpny kielich wina, gdy¿ w³acenie kelner przenosi³ obok zastawion¹ szk³em tacê. Vandonne zakl¹³, gdy przez w³asn¹ niezrêcznoœæ rozla³ wino na kaskadê sp³ywaj¹cych mu po piersi koronek. Wychyli³ po³owê pozosta³ej w kielichu zawartoœci, nim znów zwróci³ siê do Saint-Germaina.

- Czy lubi pan dziewice?

- Obawiam siê, ¿e nie jestem kompetentny w tej dziedzinie - powiedzia³ hrabia, k³aniaj¹c siê dla zachowania formy i wracaj¹c niezw³ocznie przez gêsty ju¿ t³um do Mme Cressie.

- Wielkie nieba! Nie dam rady zjeœæ tyle, hrabio - powiedzia³a zmieszana, gdy ustawi³ przed ni¹ pe³ny talerz. Saint-Germain ucemiechn¹³ siê.

- Có¿, pani, sama chyba to rozumiesz, ¿e skoro brak mi by³o pewnoœci, co w³aceciwiê lubisz, to zdecydowa³em siê uznaæ, ¿e mo¿e wiêksza ró¿norodnoœæ ciê zadowoli. A jeœli jest tu wiêcej ni¿ pragniesz, mo¿e wiêc samo jedzenie uczyni ciê g³odn¹ i wzmocni apetyt. Nic na to nie poradzê, lecz s¹dzê, ¿e bladoœæ, na któr¹ siê uskar¿asz, wynika po czêœci z rzadkich posi³ków.

Usiad³ naprzeciwko niej.

- Lecz ty nic nie jesz, Saint-Germain - zauwa¿y³a. Zby³ to machniêciem rêki.

- Przyj¹³em zaproszenie na póŸniejszy przyjêcie. Proszê zatem. Pasztet. A potem trochê tego wspania³ego auszpiku lub mo¿e jajka a la Florentine.

Mme Cressie by³a rozdarta. Przebywanie w towarzystwie tak znanego i tajemniczego hrabiego by³o oczywicie czynnem, co znacznie podnosi³o jej pozycjê towarzysk¹, jak i przyjemn¹ odmian¹ od



obojętności męca. Przy bliższym jednak poznaniu okazywało się, że Saint-Germain jest kimś mogącym naruszyć jej spokój. Jego badawcze oczy, co odkryła, były zbyt bystre, zbyt przenikliwe, że zbyt duży atwości zdolne dojrzały jej prawdziwe myśli, a niepokojące szczere zainteresowanie, które jej okazał, groziło zniszczeniem wszystkich zapór ochronnych, które wznosiła wokół siebie. Skubnie pasztet, rozważając swe kłopotliwe położenie.

- Jeżeli masz kłopoty, pani, możesz mi się z nich zwierzyć - powiedziała do niej cicho. - Daję słowo, że cię nie zdradzę. Znowu zawahała się, uderzona jego zaskakująco przenikliwością.

- Nie jestem pewna, czy dobrze pana rozumiem, hrabio. Saint-Germain pochylił się ku niej i przemówiłagodnie:

- Bezsownie można powiedzieć, że nie jesteście jeszcze w pełni sobą, moja droga. I jeszcze wyraźniej widać, że masz poważne kłopoty. Gdybyście zechciała mi opowiedzieć, co cię gnębi, mogę bym zasugerować ci coś, co byłoby dla ciebie pomocne. Słyszałem - tonem głosu wyrażając jeszcze więcej sympatii - że twój mąż rzadko bywa w domu. A skoro nie jestem w stanie wzbudzić wygasłego uczucia, nie stworzyć go tam, gdzie go nie ma, może uda mi się znaleźć przynajmniej jakiegoś remedium na twój żal. Wyprostowała się, z twarzą w szkaradzie, sypiąc ten afront.

- Sir!

Natychmiast spostrzegł swój błąd.

- Nie, nie madame. Złe mnie pani rozumiała - rzucił jej wymuszony ucieszony, by rozproszyć wstydliwość. - Aczkolwiek, jeżeli tego wścawie być zapragnęła, niewstydliwie nie byłoby dla ciebie problemem znalezienie kogoś, kto zechciałby ci dotrzymywać towarzystwa. Lecz rozważ moje słowo. Nie chciałbym cię nie podziwiać: uważam cię za zachwycającą kobietę. Lecz musisz zrozumieć, że takie sprawy nie interesują mnie już od dawna.

La Cressie czuła, jak rumieniec spełza powoli z jej twarzy, i wykorzystała swój chwilowy przewagę, by przyjrzała się temu dziwnemu mężczyźnie. Nie miała spojrzenia celibanta, lecz kiedyś już zauważyła brak plotek wiążących go tak z kobietami, jak i mężczyznami. I to nie dlatego, by nikt nie miał doń przystępu. Przypomniała sobie nagle - myślała przyniosła na jej wargi cień ucieszony - że było parę kobiet, które ze zdecydowaniem oblegały Saint-Germain przez kilka miesięcy, lecz nic z tego nie wynikało.

- Wygląda na to, że oboje niezauważnie się rozumiemy - podjęła. Saint-Germain rozłożył ręce.

- Jeżeli ty mnie źle rozumiałaś, pani, to czym innym może to być dla mnie, jak nie pochlebstwem? - spojrzał na jej talerz. - Lecz ty nie jesz, madame. Czyby ten wikt cię nie satysfakcjonował?

Z przymusem ujęła cięki, zdobiony spiralą widelec.

- Nie chciałam cię urazić, hrabio - powiedziała, zabierając się za następny kawałek pasztetu.

- To byłoby niemożliwe, madame. - Ta machinalnie uprzejma odpowiedź była osłoną dla

zal<sup>1</sup>ków znużenia. Poprawi<sup>3</sup> ulotny ob<sup>3</sup>ok bia<sup>3</sup>ej koronki, która rozlewa<sup>3</sup>a się na jego czarno-srebrnej kamizelce, tak że diamenty przypięte do mankietów zaleni<sup>3</sup>y jak krople wody, a wielki rubin rozb<sup>3</sup>ysn<sup>13</sup> niczym serce poety.

La Cressie ucemiechn<sup>3</sup>a się zazdrośnie do klejnotów, myel<sup>1</sup>c, że nie jest w porz<sup>1</sup>dku, ię Saint-Germain może mieć tyle wspania<sup>3</sup>ych diamentów i ów wielki rubin. Potem porzuci<sup>3</sup>a te myeli i skupi<sup>3</sup>a uwagę na jajkach a la Florentine.

Saint-Germain obserwowa<sup>3</sup> j<sup>1</sup> tymczasem, a w jego ciemnych oczach czai<sup>3</sup>o się lekkie rozbawienie. Dobrze, że by<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>odna, nawet, jeżeli tylko po to, by go zadowolila. Dotkn<sup>13</sup> swych w<sup>3</sup>osów, by upewnić się, że pokrywaj<sup>1</sup>cy je bia<sup>3</sup>y puder wci<sup>1</sup>ę się ich trzyma<sup>3</sup>. Pewien by<sup>3</sup>, że jego s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cy, Roger, wykona<sup>3</sup> pracę ze zwyk<sup>31</sup> staranności<sup>1</sup>. Z zadowoleniem stwierdzi<sup>3</sup> bowiem, że palce wróci<sup>3</sup>y z lekkim tylko celadem pudru. Przytackn<sup>13</sup> sobie w duchu, myel<sup>1</sup>c, że każda epoka mia<sup>3</sup>a w<sup>3</sup>asne kaprysy mody, i że popularne we Francji pudrowanie w<sup>3</sup>osów w niczym nie ustępuje uk<sup>3</sup>adaniu ich w perfumowane sto<sup>1</sup>ki t<sup>3</sup>uszczu, jak czyniono to dawno temu w Tebach. Uciszy<sup>3</sup> tę myel i spyta<sup>3</sup> La Cressie:

- Czy auszpik ci smakuje, madame? Spojrza<sup>3</sup>a na niego przez swe gęste, jasne rzęsy.

- Wspania<sup>3</sup>y, tak jak mo<sup>1</sup>na się tego by<sup>3</sup>o spodziewaa. Mia<sup>3</sup>eć rację, co do rosn<sup>1</sup>cego w miarę jedzenia apetytu. - W oczywisty sposób musia<sup>3</sup>a odczuwać oniecmienienie, gdy<sup>1</sup> doda<sup>3</sup>a cicho: - Obawiam się, że kiepskie ze mnie towarzystwo, hrabio.

- Nie, madame, zapewniam cię. To radość dla mnie widzieć cię przy stole - by<sup>3</sup>o to w ca<sup>3</sup>ości prawdziwe stwierdzenie. - To przywraca kolor twym policzkom.

- To raczej wino, które wypija<sup>3</sup>m - powiedzia<sup>3</sup>a przekornie.

- Wracasz do siebie - podniós<sup>3</sup> się, k<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup>c przechodz<sup>1</sup>cemu obok ich stolika towarzystwu.

Parę osób z tej grupy odpowiedzia<sup>3</sup>o na jego pozdrowienie, po czym wyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> z niej niski mę<sup>1</sup>czyzna na krzywych nogach i o wygl<sup>1</sup>dzie dandysa. Nosi<sup>3</sup> osobliw<sup>1</sup> perukę z trzema go<sup>3</sup>ębimi piórami za każdym uchem. Jego surdut by<sup>3</sup> z brzoskwiniowego at<sup>3</sup>asu ze z<sup>3</sup>otymi obrębieniami, koszulę zao<sup>3</sup> usztywnia<sup>3</sup>y fiszbiny. Kamizelka z ciemnobr<sup>1</sup>zowego jedwabiu wyszywana by<sup>3</sup>a w motyle, uszyte z tego samego, co surdut brzoskwiniowego at<sup>3</sup>asu krótkie spodnie, zwraca<sup>3</sup>y przesadn<sup>1</sup> uwagę na jego wrzecionowate nogi, którego to efektu nie os<sup>3</sup>abia<sup>3</sup>y fio<sup>3</sup>koworó<sup>1</sup>owe pończochy ozdobione z boków bordowymi szlaczkami. Jego niemodne buty mia<sup>3</sup>y wysokie, czerwone obcasy, tak że drobi<sup>3</sup> w nich, id<sup>1</sup>c, jak kobieta. Trzy rzędy koronek na piersi unios<sup>3</sup>y się z oburzeniem, a w topazach odbi<sup>3</sup>o się cewiat<sup>3</sup>o.

- Przekleństwo! - rzuci<sup>3</sup> g<sup>3</sup>osem zbyt donośnym i chropawym od nadu<sup>1</sup>ywania tabaki. Saint-Germain spojrze<sup>3</sup> na owego mę<sup>1</sup>czyznę.

- Sir?

- Jesteś pan szarlatanem - krzykn<sup>13</sup> tamten, ci<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>c za ramię jednego ze swych towarzyszy. -

Nie widzia³em nigdy takiej bezczelnoœci. On tutaj! Nastêpne co ci powie, to ¿e jest w³aœcicielem tego przybytku!

Lekki uœmiech rozci¹gn¹³ wargi Saint-Germaina.

- Przykro mi, proszê pana, lecz z ca³¹ pewnoœci¹ nie posiadam tej rezydencji na w³asnoœæ.

- Chcesz byæ wobec mnie sarkastyczny, co? - mê¿czyzna post¹pi³ naprzód, a po³y jego surduta zafalowa³y. - Mówiê ci to w twarz, ty ³ajdaku: jesteœe oszustem i k³amc¹!

Mme Cressie z ha³asem upuœci³a widelec, wbijaj¹c przera¿one spojrzenie w Saint-Germaina. Hrabia nie uœmiecha³ siê. Jego ciemne, tajemnicze oczy wpatrywa³y siê w umalowan¹, brzydk¹ twarz impertynenta.

- Baronie Beauvrai - powiedzia³ uprzejmie - zdecydowany jesteœe doprowadziæ do k³ótni bez ¿adnego powodu. Nie zrobi³em niczego, by ciê obraziæ. Postanowi³eœe wybraæ mnie w³aœnie, by mieæ na kogo rzucaæ swe bezpodstawne insynuacje - przerwa³, by sprawdziæ, na ile wzbudzili uwagê ludzi woko³o. Z zak³opotaniem stwierdzi³, ¿e nie tylko ci, którzy przyszli na kolacjê przestali jeœæ i patrzyli na nici, lecz i kilku eleganckich d¿entelmenów przystanê³o przed drzwiami pokoju karcianego. Na ich twarzach malowa³a siê barbarzyñska zawziêtoœæ.

- Jeœeli godzisz siê z tymi zarzutami, jesteœe tak fa³szywcem, jak i tchórzem!

- Beauvrai odst¹pi³ z zadowolon¹ min¹ do ty³u i czeka³.

Przez chwilê Saint-Germain opanowywa³ gwa³towne pragnienie, by schwyciæ i zadusiæ starego rozpustnika. Podnosi¹c swój wspania³y g³os tak, by s³yszalny by³ we wszystkich zak¹tkach sali, powiedzia³:

- Uczono mnie zawsze, ¿e znajduj¹c siê w obcym kraju nale¿y przestrzegaæ zwyczajów gospodarzy i pamiêtaæ o tym, ¿e jest siê goœciem. By³oby z pewnoœci¹ nieuprzejmoœci¹ i niewdziêcznoœci¹ wszczynaæ tu burdê, baronie Beauvrai. S¹dzi³em, ¿e cz³owiek o pañskiej pozycji i tyloma skandalami na sumieniu, nie bêdzie chcia³ wzbudzaæ nowych niezdrowych sensacji. Z drugiej jednak strony, nie jestem Francuzem, jak uprzejmy by³eœe zaznaczaæ

- wyczuj³ wrog¹ reakcjê na te s³owa i szybko z tego skorzysta³. - Przyby³em tu, gdy¿ s³ysza³em wiele dobrego o francuskim smaku, kulturze i nauce, które wychwalane s¹ na ca³ym œwiecie. Szkod¹ by³oby, gdyby ktoœ taki, jak pan, przyæmi³ tê wspania³¹ reputacjê.

- C-C - powiedzia³ jeden z mê¿czyzn przy drzwiach, naceladuj¹c gestem pozdrowienie szpadzisty.

- Nie chcê, by mnie zbywano! - nalega³ baron, tym razem jednak z mniejszym impetem. Jeden z jego towarzyszy wzi¹³ go pod ramiê, chc¹c wyprowadziæ, lecz ten stawi³ opór. - Gdybyœ by³ mê¿czyzn¹, za¹da³byœe satysfakcji.

- Nie jest moim zwyczajem potykaæ siê z mê¿czyznami, którzy w oczywisty sposób dawno ju¿ stali siê niezdolni do walki. By³oby to z mojej strony karygodnym postêpkim, gdybym ciê zabi³. A

uwierz mi, baronie, nie chcê tego - zniży³ wprowadzie g³os, lecz jego s³owa by³y i tak s³yszalne w ca³ej jadalni.

Beauvrai rzuci³ mu ostre spojrzenie.

- Po¿a³ujesz tego - powiedzia³ lodowato. Odwróci³ siê do swej kompanii. - Straci³em apetyt. Ten pokój cuchnie pospólstwem. - Obróci³ siê na wysokim obcasie i wyszed³ godnie z pomieszczenia.

Do Saint-Germaina przyst¹pi³ m³ody mê¿czyzna w ró¿nych jedwabiach. I- Muszê przeprosiæ za mojego wuja - powiedzia³, k³aniaj¹c siê niepewnie. - Zdarzaj¹ mu siê chwile, gdy nie jest w pe³ni sob¹.

Saint-Germain pomyœla³ w duchu, ¿e w ci¹gu ostatnich paru minut widzia³ . prawdziwej natury Beauvrai, ni¿ normalnie mo¿na by³o dostrzec pod warstewk¹ og³ady.

- Nie jest ju¿ tak m³ody; to nie to, co kiedyœ - powiedzia³ do m³odego mê¿czyzny. - Zapewne jest pan w stanie zadbaæ o to, by nie zasiedzia³ siê tutaj zbyt d³ugo.

M³odzieniec przytakn¹³.

- To straszne. Popo³udnie spêdzi³ z Saint Sebastienem - nasta³a chwila pe³nej zak³opotania ciszy, gdy¿ wielu jedz¹cych podnios³o g³owy nas³uchuj¹c - Saint Sebastien powróci³, niestety, do Pary¿a, tak jak siê obawia³em. - Uczyni³ nerwowy, zrezygnowany gest. - Prosi³em mego wuja, by nie szed³, lecz on...

- Dostrzegam k³opotliwoœæ pañskiego po³o¿enia - hrabia stara³ siê ratowaæ sytuacjê. - Trudno jest bratankowi powœci¹gn¹æ wuja, prawda?

- Tak - m³ody cz³owiek rzuci³ mu wdziêczny uœmiech. - Zdaje pan sobie z tego sprawê, prawda? Wci¹¿ uwa¿any jest przecie¿ za g³owê rodziny, chocia¿ maj¹tek ju¿ od d³u¿szego czasu nie znajduje siê w jego rêkach...

- g³os znów mu siê za³ama³. Mówi³ chaotycznie. Saint-Germain przyzna³ racjê m³odemu baronowi.

- Takie kwestie zawsze s¹ skomplikowane - mrukn¹³. - Pañska kompania na pana czeka - doda³ z lekkim uk³onem, daj¹c tym do zrozumienia, ¿e jest usatysfakcjonowany i ¿e uwa¿a sprawê za zamkniêt¹.

M³ody cz³owiek sk³oni³ siê.

- Wdziêczny jestem za wybaczenie. Zrobiê, co tylko bêdê móg³, aby mia³ pan pewnoœæ, ¿e nie bêdzie z nim wiêcej k³opotów.

- Naprawdê? - powiedzia³ Saint-Germain, gdy m³ody cz³owiek wraca³ ju¿ do swego towarzystwa. Im by³ go bli¿ej, tym œmielszy stawa³ siê jego krok. Saint-Germain nie spotka³ nigdy przedtem barona de Radeux, lecz s³ysza³ o nim, ¿e ma o wiele lepsze maniery ni¿ pomyœelunek. Zdecydowany by³ teraz przychyliæ siê do tej opinii.

- Hrabio? - odezwa³a siê do niego Mme Cressie, gdy minê³o ju¿ skrêpowanie. - Czy zechcesz

mi nadal towarzyszyæ?

Saint-Germain spojrz³ na ni¹. Jego ciemne oczy by³y niepokoj¹co o¿ywione.

- Wybacz mi, proszê, na moment - powiedzia³ z zamyleniem. - Zapewniam ciê, ¿e nied³ugo ujrzysz mnie znowu. Nie bêdziesz zapewne ura¿ona, gdy przyprowadzê do twego stolika kontessê d'Argenlac?

Twarz La Cressie rozjaœni³a siê.

- Claudia? Ona jest tutaj?

- Widzia³em j¹ nieca³¹ godzinê temu. O ile siê orientujê, ma ona pod swym skrzyd³em jak¹œ krewn¹ z prowincji, lecz pewna byæ mo¿esz, ¿e kontessa nie pozwoli swej wiejskiej krewniaczce, by ciê zanudzi³a.

- Och, hrabio, nigdy nie mo¿na odgadn¹æ, kiedy mówisz powa¿nie, a kiedy ¿artujesz. PrzyprowadŸ natychmiast kontessê, a pewna jestem, ¿e przez wzgl¹d na ni¹ oczarowana bêdê jej krewn¹.

Saint-Germain sk³oni³ siê i wyruszy³ na poszukiwanie Claudii, kontessy d'Argenlac.

Znalaz³ j¹ w sali balowej, czekaj¹c¹, a¿ jej bratanica skoñczy taniec, jak wyjaceni³a hrabiemu, gdy przyszed³ i poprosi³ uprzejmie, by zechcia³a przyj¹æ zaproszenie na kolacjê.

- Myœla³am, ¿e to dziecko umrze ze strachu, gdy tu przyby³oemy. Dzieciê wieczorem jest tak t³oczno, a ona po raz pierwszy w Pary¿u. Stwierdzi³a, ¿e nikt jej nie zauwa¿y w tak wielkim zgromadzeniu. - Zaczem³a siê perliœcie, by podkreœliæ, jak osobliw¹ by³a ta myœel.

- Skoro tañczy, to nie mo¿e byæ przypadek. Ktoœ j¹ najwyraŸniej zauwa¿y³ - ucemiechn¹³ siê mi³e Saint-Germain. Lubi³ kontessê i wiedzia³, ¿e pod t¹ frywoln¹ fasad¹ kry³ siê inteligentny, bystry umys³. - Kim jest ta biedna dziewczyna?

- Nie biedna, hrabio. Jest jedynym dzieckiem mego starszego brata, Roberta. Opuœci³ on parê³adnych lat temu towarzystwo. Nie spotkasz go zatem. To markiz de Montalia.

Saint-Germain pochyli³ g³owê i chocia¿ nie by³ wysokim mê¿czyzn¹, ten wdziêczny gest doda³ mu wzrostu.

- Gdzie jest ta twoja bratanica bez skazy?

- Mój Bo¿e, chcia³abym ci j¹ wskazaæ.

- Opisz mi j¹. Zobaczê, czy uda mi siê j¹ odnaleŸæ.

Kontessa unios³a siê na palce i spojrz³a na nieustannie pl¹saj¹cy t³um.

- Jest w lawendowej sukni z weneckiego jedwabiu na w³osk¹ halkê w kwiaty. Jej spódnica podwi¹zana jest srebrnymi wst¹¿kami, ma na sobie naszyjnik z granatów i diamentów. W uszach ma diamentowe kolczyki. Gdzie ta dziewczyna? - kontessa z³o¿y³a wachlarz strapionym gestem. Próbowa³a wskazaæ bratanicê, lecz by³o to jak próba odró¿nienia postaci na obracaj¹cej siê szybko karuzeli.

- Tam! - powiedzia³a w koñcu. - Pod trzecim kandelabrem od drzwi, z wicehrabi¹ de Bellefort.

- Tym w b<sup>3</sup>ekitnych at<sup>3</sup>asach? - upewni<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e Saint-Germain.

- Tak - kontessa pozwoli<sup>3</sup>a sobie na ucemiech. Saint-Germainowi zdawa<sup>3</sup>o si<sup>3</sup>e, gdy to mówi<sup>3</sup>a, że jej g<sup>3</sup>os dobiega z daleka. - Jej imi<sup>3</sup>e to Madelaine Roxanne Bertrande de Montalia. I wprawdzie jako ciotka mog<sup>3</sup>e by<sup>3</sup>æ stronnicza, niemniej s<sup>1</sup>dz<sup>3</sup>e, że jest pi<sup>3</sup>ekna.

Pod trzecim kandelabrem od drzwi bratanica kontessy d'Argenlac obróci<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e w<sup>3</sup>acenie w ta<sup>3</sup>ncu. Jej upudrowane w<sup>3</sup>osy by<sup>3</sup>y prosto uczesane, w sposób odpowiedni dla m<sup>3</sup>odej kobiety, która wkracza dopiero do socjety. Jej pi<sup>3</sup>ekne brwi by<sup>3</sup>y w ciemnym odcieniu kawy, podkreœlaj<sup>1</sup>c tym œmiej<sup>1</sup>ce si<sup>3</sup>e fio<sup>3</sup>kowe oczy. By<sup>3</sup>a wprawdzie troch<sup>3</sup>e zbyt wiotka, lecz jej sposób poruszania si<sup>3</sup>e pe<sup>3</sup>en by<sup>3</sup> wdzieku, a gdy w odpowiedzi na jakieœ komentarz de Belleforta unios<sup>3</sup>a brwi, to by<sup>3</sup> to widok zaiste królewski.

Saint-Germain powoli wypuœci<sup>3</sup> powietrze.

- Jest najpi<sup>3</sup>ekniejsz<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup>, jak<sup>1</sup> widz<sup>3</sup>e od wielu lat. - Patrzy<sup>3</sup>, jak schyla si<sup>3</sup>e w dygu ko<sup>3</sup>ncz<sup>1</sup>c taniec. - Przewiduj<sup>3</sup>e, że odniesie spory sukces,

Claudio. Kontessa sprzeciwi<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e kurtuazyjnie i z ucemiechem w oczach.

- Chod<sup>3</sup>Y. Pozwól mi j<sup>1</sup> sobie przedstawi<sup>æ</sup>. A potem b<sup>3</sup>dziesz móg<sup>3</sup> zabra<sup>æ</sup> nas na kolacj<sup>3</sup>e. Pewna jestem, że Madelaine jest g<sup>3</sup>odna, gdyż mi<sup>3</sup>e wyg<sup>3</sup>odzi<sup>3</sup>o samo przygl<sup>1</sup>danie si<sup>3</sup>e ta<sup>3</sup>ncom - mówi<sup>1</sup>c to, torowa<sup>3</sup>a sobie drog<sup>3</sup>e w<sup>3</sup>eród schodz<sup>1</sup>cych z parkietu. Saint-Germain pod<sup>1</sup>z<sup>3</sup>y<sup>3</sup> za ni<sup>1</sup>, wymieniaj<sup>1</sup>c po drodze powitalne skinienia g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

- Ach, Madelaine - powiedzia<sup>3</sup>a energicznie kontessa, gdy podesz<sup>3</sup>a do bratanicy. Z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>z<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a de Bellefortowi uprzejmy uk<sup>3</sup>on i przenios<sup>3</sup>a uwag<sup>3</sup>e na Madelaine.

- Jest ktoœ, kto pragnie ci<sup>3</sup>e pozna<sup>æ</sup>. Wspomina<sup>3</sup>am ci ju<sup>3</sup> o nim w moich listach. M<sup>3</sup>e<sup>1</sup>czyzna, który jest zagadk<sup>1</sup> dla nas wszystkich. Saint-Germain, pozwól, że przedstawi<sup>3</sup>e ci moj<sup>1</sup> bratanic<sup>3</sup>e Madelaine de Montalia.

Hrabia sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e nad wyci<sup>1</sup>gni<sup>3</sup>e<sup>1</sup>t<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup>, muskaj<sup>1</sup>c j<sup>1</sup> jedynie wargami.

- Oczarowany - powiedzia<sup>3</sup> cicho i ucemiechn<sup>13</sup> si<sup>3</sup>e na widok rumie<sup>3</sup>ca, który zala<sup>3</sup> twarz dziewczyny.

Wyj<sup>l</sup>tek z listu Mme Lucienne Cressie do jej siostry, l'Abbesse Dominique de la Tristesse de les Agnes; datowane 6 paŹdziernika 1743:

(...) Sny, o których ci wspomina<sup>3</sup>am, nie ustaj<sup>l</sup> i nie mogê siê ich pozbyæ. Czasem obawiam siê nawet, że tak naprawdę to wcale nie chcê ich odegnaæ. Modli<sup>3</sup>am siê, lecz na próżno. Powiedzia<sup>3</sup>am nawet o tym mojemu mêt<sup>3</sup>owi, lecz on, oczywiæcie, potraktowa<sup>3</sup> to jako dobry çart i poradzi<sup>3</sup> mi, bym wziê<sup>3</sup>a sobie kochanka, a to odpêdzi ode mnie myæli o æmierci. Lecz to nie æmieræ mnie nawiedza, moja ukochana Dominique. Nie wiem, co to jest, lecz nie jest to æmieræ.

Posz<sup>3</sup>am, za twoj<sup>l</sup> rad<sup>l</sup>, do mego spowiednika, a on powiedzia<sup>3</sup>, że by<sup>3</sup>am blisko grzechu i winnam b<sup>3</sup>agaæ Boga o wskazówkê. Obieca<sup>3</sup>, że bêdzie modliæ siê za mnie. Wypomnia<sup>3</sup> równieç, że gdybym mia<sup>3</sup>a dzieci, nie zawraca<sup>3</sup>abym sobie g<sup>3</sup>owy takimi problemami. Wstydz<sup>3</sup>am siê powiedzieæ, jak to jest z moim mêt<sup>3</sup>em i ze mn<sup>l</sup>. Achille utrzymuje, że jego gusty s<sup>l</sup> greckie, tak jak i jego imiê, i że w Atenach te grzechy by<sup>3</sup>y cnotami. Jestem juç jednak pewna, że gdybym mia<sup>3</sup>a dziecko z innym mêt<sup>3</sup>czyzn<sup>l</sup>, zadenuncjowa<sup>3</sup>by mnie jako cudzo<sup>3</sup>oçnicê. Tak zatem nie dane mi juç, jak siê wydaje, mieæ dzieci i biedny ojczulek doradza na próżno.

Saint-Germain, o którym pisa<sup>3</sup>am wczæniej, przys<sup>3</sup>a<sup>3</sup> mi trzy nowe ronda. Moja viola d'amore jest mi jedyn<sup>l</sup> pociech<sup>l</sup>. Spróbujê zapewne skomponowaæ kilka w<sup>3</sup>asnych melodii, skoro skazana jestem na tak wiele pustych godzin.

Zamówi<sup>3</sup>am u Mattei wiolonczelê. To sugestia Saint-Germaina. Spróbowa<sup>3</sup>am na jednej swej rêki i by<sup>3</sup>am zdziwiona tym instrumentem. Ukszta<sup>3</sup>towany jest tak jak skrzypce, wiesz, i trzyma siê go miêdzy nogami, jak violê d'amore czy da gamba. Nie ma strun basowych, jak viola d'amore, co z pocz<sup>l</sup>tku mnie rozprasza<sup>3</sup>o. Lecz ton jej by<sup>3</sup> tak s<sup>3</sup>odki, a brzmienie tak wspaniale æpiewne, że nie mog<sup>3</sup>am siê oprzeæ. Zapewne któregoe dnia, gdy odwiedzê twoje zgromadzenie, zabiorê instrument ze sob<sup>l</sup> i zagram dla was (...)

(...) Wierzê boskiemu mi<sup>3</sup>osierdziu i ufam, że wszystko z tob<sup>l</sup> jest w porz<sup>l</sup>dku. Pozwól, że poproszê ciê o modlitwy za mój sen, a nie bêdê budzi<sup>3</sup>a siê ze strachem o m<sup>l</sup> duszê. Ani teç ze wspomnieniem nieæwiêtej zupe<sup>3</sup>nie rozkoszy. Zawstydz<sup>3</sup>am mnie pisanie o tym, lecz taka jest prawda. Mia<sup>3</sup>am te sny tylko trzy razy, a gdy siê budzi<sup>3</sup>am, wype<sup>3</sup>niona by<sup>3</sup>am lêtkiem przed sam<sup>l</sup> sob<sup>l</sup>. Lecz sama w nocy, gdy Achille jest z tymi mêt<sup>3</sup>czyznami, którzy s<sup>l</sup> jemu podobni, wówczas chcê æniaæ znowu i czujê, że cia<sup>3</sup>o moje p<sup>3</sup>onie rozkosz<sup>l</sup>. Kimçe jestem, że moje cia<sup>3</sup>o tak mnie zdradza?

Piêæ lat temu uwaç<sup>3</sup>am naszego ojca za despotê, jako że wys<sup>3</sup>a<sup>3</sup> ciê do zgromadzenia, a nie na poszukiwanie mêt<sup>3</sup>a. Lecz dzisiaj s<sup>l</sup>dzê, że b<sup>3</sup>aga<sup>3</sup>abym go, by pozwoli<sup>3</sup> nam zamieniaæ siê miejscami. Zaarançowa<sup>3</sup> maççeñstwo dla mnie, nie dla ciebie, gdyç pewien by<sup>3</sup>, że çadna dziewczyna ze znieksztac<sup>3</sup>on<sup>l</sup> stop<sup>l</sup> - tak jakby mia<sup>3</sup> widzieæ stopê kobiety ktokolwiek oprócz jej

mê;a - nie mo;e poælubiaæ nikogo, jak tylko Koæció³. Wybacz mi to, co mówiê, lecz taka jest prawda.

Mówi³aa, ;e twoje powo³anie jest prawdziwe, lecz gdy wspomnê, jak ³ka³yæmy razem, nape³nione niepokojem... A nasz ojciec, gdy umiera³, wyzna³, ;e nie by³o mu lekko na duszy, gdy myæla³ o tobie. Och, powiedz mi, ;e jesteæ szczêæliwa, moja najdro;sza siostra. Pozwól mi uwierzyæ, ;e chocia; jedna z nas jest szczêæliwa.

B¹dŸ wobec mnie cierpliwa, moja Dominique. B¹dŸ pob³a;liwa. Jestem dzisiejszego wieczoru rozstargniona. Gdybyæ mog³a zobaczyæ Achilla z Beauvrai i tymi trzema m³odymi mê;czyznami, czu³abyæ siê podobnie jak ja. Lecz có; z tego, niczego teraz nie mogê zrobiaæ. Tak zatem czekaæ bêdê na moj¹ wiolonczelê i utwory, które obieca³ skomponowaæ dla mnie hrabia de Saint-Germain. Zapewne to póŸna godzina tak mnie rozstroi³a, jak i widok Achilla tego wieczoru tak wzburzy³ mój umys³. Nasza matka mówi³a mi, ;e zawsze gryz³am siê rzeczami, których nie mog³am zmieniaæ, i ;e by³o to g³upie marnowanie czasu. A Achille z pewnoæci¹ nie nadaje siê do zmiany. Mam w koñcu moj¹ muzykê, co jest sytuacj¹ szczêæliwsz¹ ni; po³o;enie Claudii d'Argenlac, która nie ma dzieci, a której m¹; jest hazardzist¹. Przynajmniej maj¹tek Achille jest nietkniêty, a on nie dba zupe³nie o to, co ja z nim zrobiê, przynajmniej tak d³ugo, jak d³ugo nie dotyczy to w ;aden sposób jego osobiaæcie.

Bêdê siê z tob¹ ;egnaæ, moja droga siostra, mówi¹c ci dobranoc. Mo;e ty zazna³aa spokoju, który nie z tego jest æwiata, i mo;e twoja dusza zaznaje odpoczynku nie niepokojona po nocy. Z siostrzanymi afektami i mi³oæci¹ pokutnicy,

pozostajê najbardziej oddana ci

**Lucienne Cressie**



Gdy Madelaine wesz³a do pokoju, kontessa d'Argenlac unios³a g³owê znad œniadania.

- Ach, dzieñ dobry, moja droga. Mam nadziejê, ¿e dobrze spa³ae? Madelaine mia³a wci¿ ucemiech na twarzy.

- Tak, ciociu. Mia³am przepiêkne sny.

- Bior¹c pod uwagê, jaki triumf odnios³ae ostatniego wieczoru, to nie powinnam siê dziwiæ - zacemia³a siê lekko kontessa zapraszaj¹c Madelaine gestem, by usiad³a. - Na co masz ochotê, moja droga? Jest pasztecik, s¹ owoce. Gdybyœ chcia³a, to mój kucharz mo¿e przygotowaæ omlet. Musisz byæ g³odna.

- Tak samo os¹dzi³ mnie wieczorem Saint-Germain. Da³ mi dwie dok³adki pasztetu - usiad³a wprost w strumieniu œwiat³a padaj¹cego z szerokich okien i rysuj¹cego wzory na jej szlafrocuku w b³êkitne i bia³e pasy. Jej w³osy, wolne od pudru, lœni³y z³otymi b³yskami.

- Gdyby nie sprawi³o to zbyt wiele k³opotu, to chcia³abym dostaæ tej chiñskiej herbaty, któr¹ ojciec przys³a³ - wziê³a ze stoj¹cej poœrodku sto³u porcelanowej patery jab³ko i zaczê³a obieraæ je ma³ym, ostrym no¿em.

- Oczywiście - kontessa nie odwracaj¹c siê wyda³a stoj¹cemu w drzwiach lokajowi polecenie.

- WeŹ sobie kilka - powiedzia³a do Madelaine, przysuwaj¹c jej talerz z pasztecikami. - Krem cytrynowy w nadzieniu pochodzi z cieplarni mego mê¿a. Powiedzia³ kiedyœ, ¿e postanowi³ jeœæ brzoskwiniê jak rok d³ugi.

- Gdzie jest hrabia? Nie widzia³am go od wczoraj, chocia¿ obiecywa³, ¿e do nas do³czy. Twarz kontessy zachmurzy³a siê na chwilê.

- By³ z przyjaci³mi. On lubi hazard, moja droga. W rzeczy samej, s¹ chwile, gdy naprawdê siê o niego obawiam. Czasem wrêcz umieram z niepokoju - wziê³a do rêki serwetkê. - Zreszt¹, to nic. Mam przecie¿ mój posag i moje dzie³awy, których on tkn¹æ nie mo¿e. Jeœli popadnie w ruinê, eh, bien, przypuszczam, ¿e i tak go wesprê... - westchnê³a i upi³a sk¹py ³yk gor¹cej czekolady.

- A zatem nie jesteœ szczêœliwa, ciociu - Madelaine wygl¹da³a na naprawdê poruszon¹.

- Jestem szczêœliwa na ile mogê byæ tak¹, moja droga. ¹adna kobieta nie mo¿e wiele oczekiwaæ od tego œwiata. Nie trzeba daleko siêgaæ, by tego dowieœæ. Pamiêtasz tê kobietê, z któr¹ jad³yœmy przy jednym stole?

- Madame Cressie? - Madelaine uspokaja³a siê z wolna. - Wygl¹da³a na wymizerowan¹ i smutn¹.

- Przesz³a niedawno chorobê - rzek³a kontessa, jak gdyby by³o to bez znaczenia. - Któregoe dnia bêdziesz mia³a nieprzyjemnoœæ poznaæ jej mê¿a. Jest jednym z tych mê¿czyzn... Nie chcia³abym ciê szokowaæ, lecz jest coœ, przed czym powinnaœ zostaæ ostrze¿ona. S¹ na tym œwiecie mê¿czyŹni, którzy czuj¹ antypatiê do kobiet...

Madelaine przytaknęła skwapliwie.

- Siostrzyczki mówiły mi, że zdarzało się tak często ze oświątami i że ci, których powołanie było szczere, sami uciekali i odcinali się od oświata, by nie musieć znosić ognia trawiącego ich ciało...

Ciotka przerwała jej ostro.

- Nie mówię o księżach, chociaż sędze, że i wśród nich są tacy, którzy, gdyby mieli tylko sposobność, byłoby jak Achille Cressie. To mężczyźni rozpaleni zmysłami. Oni wykorzystują się nawzajem, jak kobiety, tak więc nie odczuwają potrzeby, by sprzymierzać się z naszą partią. Usłyszysz o nich niejedno. Bardzo często są przystojni, otoczeni powszechnym poważaniem, piastują wysokie stanowiska. Diuk de la Mer-Herbeux jest jednym z nich i pewna jestem, że nie ma do czynienia z kobietami więcej, niż Achille Cressie. Lecz oczywiście - zacięła się nieoczekiwanie i okryła lekkim rumieńcem

- jest miły i bardzo uprzejmy. Nie znam nikogo, komu bardziej skłonna byłaby być zaufała. I jest bardzo niestosownym oskarżeniem to, co mówi o nim, że opowiada się za pokojem z Anglią tylko z powodu owego angielskiego lorda

- potrzebniejsza gościnia. - Spotkasz go wkrótce. Poza podobnymi gustami skłania go jednak z Achille tyle, co mnie z jakiegoś strasznego hiszpańskiego baronessa z szesnastoma pieskami salonowymi i całą oświatą księży - znowu przerwała na chwilę. - Tak naprawdę, to nieważne, co mówi. Sędze, że w istocie diuk de la Mer-Herbeux i Achille Cressie różnią się bardzo nawet, gdy chodzi o ich prywatne gusta.

Madelaine zapatrzyła się w okno.

- Często zastanawiam się, ciociu - rzuciła w zamyśleniu - jak to jest, że nawet między bardzo dobranymi partnerami może istnieć tyle różnic. Kontessa przytaknęła stanowczo.

- Cóż, małżeństwo jest czymś naprawdę szczególnym, nie sędzisz? Wiem, że gdyby Mer-Herbeux szukał żony i ja byłabym wolna, nie wahałabym się.

- Zauważysz rozszerzone zdziwieniem oczy bratanicy, lecz nie zamilkła.

- Zapewniam cię, że byłaby wspaniałym mężczyzną. Jest dobrym przyjacielem, nader czarującym i szczerym w uczuciach. O ile mężczyznach można to powiedzieć? A jeżeli w pewnym sensie nie lubi kobiet, cóż, jest wielu takich mężczyzn, którzy nie dotrzymują towarzystwa swoim żonom.

- Lecz po co w ogóle się żenić? Skoro Achille Cressie nie pragnie swej żony, to po co?... - Madelaine wzięła pasztecik, lecz po chwili odłożyła go na bok.

- Wszystkie musimy wyjść za mąż, moja droga. W przeciwnym razie spotykamy się z powszechnym potępieniem, a zresztą, bywa nawet... Tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze i stan, małżeństwo jest po prostu kontraktem. W takich okolicznościach uczucia mają niewiele do rzeczy - w jej głosie pojawiła się cierpkość, a wyraz oczu zaczynał w Madelaine budzić lęk. - Małżeństwo jest uświęconym obyczajem, moja droga. Mężczyźni, jeżeli są młodszy synami, mogą go uniknąć, lecz kobiety zostają albo żonami, albo zakonnkami, albo kurtyzanami. W przeciwnym razie stają się

niepojętym cięgiem. Ewentualnie - dodała z lekkim ucieszeniem - czasem zostają ciotkami.

Madelaine wpatrywała się w obrane jabłko leżące na jej talerzu.

- To ponure perspektywy, ciociu.

- Wielkie nieba! - rzuciła kontessa ironicznie. - Teraz będziesz uważała mnie za męczenniczkę, a ja nie jestem kimś takim. Spójrz, Madelaine. Życie to coś więcej niż jakieś tam młodość. I by dopowiedzieć rzecz do końca, to bywa nawet czasem męczące, mieć ich ciągle wokoło siebie, starających się o nasze łaski, łaszczących się - skinięta na sęk o dolewkę czekolady. Madelaine zrozumiała, że temat został już zamknięty, ale jej ciekawość nie minęła.

- Ciociu, dlaczego opowiadasz mi o tych męczycznach? Kontessa uniosła brwi.

- Sporo czasu spędziłaś wczoraj z Bellefortem, a ja nie chcę, żebyś zbyt mocno brała sobie do serca jego awanse.

- Czy on też... - spytała niedowierzająco. Jej mały nóż stuknął o porcelanę.

- Król plotki. A towarzystwo, w którym się obraca nie jest z tych najlepszych - kontessa dopiła resztę czekolady i sięgnęła po pomarańczę.

- Ponadto, gdyby naprawdę zaczęła starać się o twój rękę, może nie zostałby zaakceptowany przez twego ojca. Jest zbyt blisko z Beauvrai i jego kompani.

- Beauvrai? - Madelaine odcięła kawałek jabłka i pogryzała go w zamyśleniu. - Czy to ten osobliwy starzec w okropnej peruce? Ten z baronem de les Radeux?

- Spotkałaś już de les Radeux? - spytała szybko ciotka.

- Tak, gdy byłaś w sali karcianej. De Bellefort przedstawił nas sobie i nawet tańczył z nim. Tańczy bardzo dobrze.

- Spotkałaś też Beauvrai? - kontessa ucieszyła się, że to nie powinno się nigdy zdarzyć. Dała swemu bratu słowo, że nie pozwoli Madelaine związać się z kimkolwiek z otoczenia Beauvrai. Teraz odkryła, że nie minie jeszcze tydzień, a jej bratanica tańczyła już z bratankiem Beauvrai.

Madelaine zauważyła niezadowolone ciotki.

- De les Radeux wskazał mi go jako swego wuja. Powiedziała, że przez ostatnich kilkanaście lat nie zjawia się w salonach, co wyjaśniało jego dziwny wygląd.

Kontessa za tupała niecierpliwie.

- Paulin - zwróciła się do lokaja. - Chcę, żebyś sprawdził, czy gotowa jest już herbata dla mojej bratanicy, a jeżeli tak, to chcę, żebyś przyniósł

- popatrz za lokajem opuszczającym pokój. - Nie chcę mówić o tym przy sędziach. Nie wolno ci, moja droga, mieć nic wspólnego z Beauvrai. Nic! To przysięgły wróg twego ojca. Wygląda może na grupca, ale jest bliskim przyjacielem Saint Sebastiena, a to najgorsze towarzystwo. Madelaine otworzyła szeroko oczy.

- Ja nie miałam zamiaru...

- Kilkanacie lat temu - przerwa³a jej ciotka- zanim siê urodzi³a, mia³ tu miejsce okropny skandal. Zosta³ szybko wyciszony; gdy, siêga³ do bardzo wysokich krêgów, lecz wszyscy byliemy wówczas przera¿eni. To by³ jeden z powodów, dla których twój ojciec opuści³ dwór i Pary¿.

- O tym wiedzia³am - Madelaine pochyli³a siê nad sto³em; koronkowa chustka na jej piersi falowa³a w rytm przyspieszonego oddechu, kryza na szyi zaczę³a uwieraæ. - Wiedzia³am, ¿e by³ jakiego powód tego wszystkiego. Ojciec zawsze mówi³ mi, ¿e poczu³ siê zmęczony korupcj¹ panuj¹c¹ na dworze, ale ja wiedzia³am, ¿e musia³o byæ coœ wiêcej.

- S³ysza³a³e o dawnej kochance króla, Montespan? - kontessa z trudnoœci¹ mówi³a dalej. - I o oskar¿eniach dotycz¹cych jej zwi¹zków z czarownikami i trucicielami? By³o nawet parêna³acie egzekucji... Mówiono wówczas powszechnie o Czarnych Mszach, niech nas Bóg ma w swej opiece - prze¿egna³a siê pospiesznie. - I w koñcu wypad³a z ³ask, a z czasem sta³a siê, jak to mówi¹, bardzo religijna. Lecz gadano te¿, ¿e religijnoœæ jej trwa³a do czasu i wci¹¿ podobno istnieli na dworze tacy, którzy czcili szatana. Dwadzieœcia lat temu wysuniêto pewne oskar¿enia tak¿e przeciwko Beauvrai i Saint Sebastienowi. Twój ojciec wraz z oko³o tuzinem m³odych mê¿czyzn by³ równie¿ w to zamieszany, lecz opuści³ dwór i nie wszczynano ju¿ w tej sprawie dalszych kroków... - przerwa³a, podnosz¹c g³owê na wchodz¹cego lokaja.

- Herbata, madame - Paulin postawi³ na stole czajnik z angielskiej porcelany. - Czy mademoiselle bêdzie chcia³a mleka do herbaty, jak pijaj¹ j¹ Anglicy? - spyta³ tonem sugeruj¹cym, i¿ wed³ug niego dolewanie mleka do herbaty jest jedn¹ z najbardziej ohydnych perwersji.

- Chiñska herbata jest najlepsza bez ¿adnych dodatków - powiedzia³a Madelaine wytwornie. - Lecz dziêkujê ci.

Paulin sk³oni³ siê i wróci³ na swoje miejsce przy drzwiach.

Madelaine wróci³a tymczasem do równowagi, t³umi¹c resztê niepokoju. Jej g³os by³ ju¿ spokojny.

- Plotki zawsze mijaj¹ siê z prawd¹, ciociu. Ale rozumiem, dlaczego chcesz, bym zachowywa³a siê tak, aby ¿adna plotka na temat mej osoby nie zaczę³a kr¹¿yæ w towarzystwie.

- Dobra z ciebie dziewczyna - stwierdzi³a kontessa. Jej uznanie dla bystroœci Madelaine by³o szczere. Mimo m³odego wieku dziewczyna nie by³a ani g³upia, ani naiwna. - Wiem, ¿e potrafisz to zrozumieæ.

Madelaine skoñczy³a pasztecik i spojrza³a na ciotkê.

- Opowiedz mi o Saint-Germainie - poprosi³a. Kontessa zacemia³a siê, zadowolona, ¿e znajduje siê znów na pewnym gruncie rozmowy.

- Czy i na tobie zrobi³ wra¿enie? Ostrzegam ciê, ¿e wiele innych kobiet spotka³a ju¿ pora¿ka.

- S³ysza³am, ¿e nie ma kochanki - powiedzia³a Madelaine miêdzy jednym a drugim ³ykiem herbaty. - Czy jest taki, jak ci mê¿czyŹni, przed którymi mnie ostrzega³a³e?

- Nic mi o tym nie wiadomo. Nie, w tym przypadku to nie o to chodzi

- ugryz³a nastêpny kawa³ek pomarañczy. - Wszystkie jesteœmy oczywiœcie nim zachwycone. Jego obejœcie i inteligencja... Musia³œe s³yszeæ te czaruj¹ce historie które opowiada³ przy kolacji. I te oczy... Wiêkszoœæ z nas sprzeda³aby dusze za nie.

- Wczoraj wieczorem nie jad³ razem z nami - zauwa¿y³a Madelaine dolewaj¹c sobie herbaty.

-Och, jeceli o to chodzi, to on nigdy nie je z innymi. Kilka razy widzia³am go na przyjêciach ale nigdy dot¹d nie zauwa¿y³am by tkn¹³ cos zjedzenia lub napoju. Pewna jestem, ¿e to czêœæ aury tajemniczoœci, która go otacza. Zapewnia³ mnie ¿e jada w odosobnieniu - zacemia³a siê niespodziewanie, a by³ to œmiech ciep³y i szczêceliwy. - Jest zabawny, gdy zaleca siê do którejœ z nas, lecz b³êdem by³oby s¹dziaæ, ¿e robi to powa¿nie. Staraj siê nie zwracaæ za bardzo uwagi na jego komplementy.

- Nie powinnam zatem wierzyæ w komplementy, które mi mówi?

- Madelaine nie umia³a ukryæ zawodu. S³owa, które s³ysza³a od Saint-Germaina by³y tymi, które chcia³a us³yszeæ.

- No nie - stwierdzi³a uprzejmie kontessa. - Jego komplementy s¹ prawdziwe Lecz nie by³oby rozs¹dnie s³yszeæ w nich cokolwiek wiêcej poza samymi pochwa³ami. Koniec koñców, nikt nie wie na pewno, kim on jest. A chocia¿ jest to przypuszczenie uw³aczaj¹ce wprost hrabiemu, to mo¿e siê przecie¿ okazaæ, ¿e jest on, jak g³osi Beaiwrai, zwyk³ym oszustem.

Madelaine wpatrzy³a siê w dal.

- Lecz jest hrabi¹. Przynajmniej wszyscy tak twierdz¹.

- Ach - kontessa kiwnê³a g³ow¹. - To dlatego, ¿e sam tak mówi; ma klejnoty i maniery, które zdaj¹ siê to potwierdzaæ. musisz zobaczyæ jego powóz - szczyt doskona³oœci! I jego czterech lokajów nosz¹cych tabaczkowe stroje ze z³otymi galonami. Nigdy nie widnia³am Saint-Germaina dwa razy w tej samej kamizelce, a wiêkszoœæ z nich by³a wyszywana jedwabiem. Kimkolwiek jest, musi byæ bajecznie bogaty. Gdy ujrza³am go po raz pierwszy, diamentowe klamry przy jego butach po prostu mnie oœlepi³y. Ciesz siê zatem jego komplementami - stwierdzi³a, koñcz¹c pomarañczê.

- Wiele mo¿esz zyskaæ pokazuj¹c siê w jego towarzystwie, gdy¿ cieszy siê on wysok¹ pozycj¹. Lecz nie przywi¹zuj wiêkszej wagi do jego zalotów.

- Niech tak bêdzie. Lecz to wstyd twierdziaæ, by tak wspania³y mêtczyzna mia³ byæ oszustem.

....

- Nie powiedzia³am wcale, ¿e jest, a tylko, ¿e mo¿e siê mm okazaæ. Zauwa¿ - kontessa zawaha³a siê na moment - on twierdzi, ¿e me ma krewnych, co jest dziwne. Ka¿dy przecie¿ ma krewnych.

- Nikogo nie ma? - spyta³a Madelaine marszcz¹c brwi.

- Nikogo. A jest bardzo bogatym cz³owiekiem, moja droga. Bogaci ludzie zawsze maj¹

krewnych. Nie jest, oczywiście, Francuzem, lecz można przypuszczać, że ktoś powinien gdzieś spotkać kogoś z jego rodziny, a to się, o ile wiem, nigdy nie zdarzyło.

- A skąd pochodzi? - Madelaine nalała sobie jeszcze herbaty, proponując to samo ciotce.

- Nie, dziękuję, moja droga. Nie znoś herbaty - wróciła myślowo do tematu rozmowy. - Jest coś jeszcze, czego nikt, zdaje się, nie wie. On był wszędzie... To pewne. Jego znajomością języków zaskoczy wszystkich - mówi po rosyjsku, po arabsku, wszystkimi językami europejskimi. Niektórzy twierdzą, że jest kapitanem lub kupcem - znów zamilkła w zamyśleniu. - Może rzeczywiście jest kimś takim, ale gdzieś bym sobie uciła, że nie nabył swych umiejętności na pokładzie statku.

- Słyszałam, jak La Noisse mówiła, że dała mu swe diamenty, a on je powiększył - Madelaine wyrysowywała palcem na obrusie skomplikowany wzór.

- Też o tym słyszałam. I widziałam te diamenty, które z całą pewnością stały się większe. Mógł wprawdzie podmienić kamienie, ale nie rozumiem, czemu miałby to robić. Co by na tym zyskał? - potrzebna była zadowolona takimi problemami. Wstała od stołu, dodała jeszcze: - Zamierzam wyjechać po południu. Gdybyś miała ochotę mi towarzyszyć, to proszę bardzo. A wieczorem jest przyjęcie u diuszessy de Lyon.

Madelaine spojrzała w okno ukazujące ciepły i słoneczny dzień.

- Dobrze, jeżeli chcesz mojego towarzystwa. Szkoda, że nie zabiorę ze sobą mojej kłaczki. Obawiam się, że będzie mi tego brakowało - smutek na jej twarzy zdawał się wynikać z myśli o nieobecności wierzchowca.

- Można wynająć konia, jeżeli chcesz - Claudia d'Argenlac nie lubiła jeździectwa i była zaskoczona, że jej bratanica o tym wspomniała. - Mam wrażenie, że wychowywanie na wsi...

- Jeździłam wszędzie, ciociu. Czuję się tak swobodna, gdy Chanee łeciga się z wiatrem, a ja musiałam trzymać się jej ze wszystkich sił... - twarz Madelaine rozjaśniła się nieco na to wspomnienie.

- Mam niecierpliwość nadzieję, że nie zamierzasz jeździć w ten sposób po ulicach Paryża! - w pierwszej chwili kontessa była przerażona, potem jednak rozważyła sprawę. - Każę, by stajenny rozpyła o jakiegoś walecznego konia dla ciebie, a jeżeli stwierdzi, że jesteś wystarczająco biegłym jeźdźcem, to wtedy zobaczymy.

Madelaine ucieszyła się do niej ciepło.

- Och, dziękuję, ciociu. Jestem pewna, że będę czuła się mniej... obco w Paryżu, jeżeli będę mogła jeździć.

- To zatem mamy już ustalone - kontessa była wyraźnie uradowana widokiem ożywienia, które pojawiło się na twarzy bratanicy. Czując, że Madelaine została już z grubsza zaakceptowana w oświatku paryskiej socjety. Wykorzystała ten entuzjazm:

- Co wolisz zrobić na siebie? Madelaine wzruszyła ramionami.

- Nie myślałam o tym.

- A zatem poradzê ci, byœ wziê³a tê toaletê z at³asu w wiceniowe paski. Bêdzie ca³kiem na miejscu. Jeszcze jej nie nosi³aœ. A¿ ¿al pudrowaa w³osy do takiej sukni, ale na to nie ma rady.

- A jakie klejnoty do tego, ciociu?

- Twoje granaty wystarcz¹.

- Och, dzie rano Cassandre stwierdzi³a, ¿e ³añcuszek jest uszkodzony. Jedno z ogniw jest prawie pêkniête. Zadrapa³o mi szyjê - dotknê³a karku w miejscu, gdzie koñczy³a siê kryza. - Poprosi³am j¹, by zadba³a o zreperowanie.

- Szkoda - kontessa potrz¹snê³a g³ow¹. - A zatem niech bêd¹ diamenty. Masz przecie¿ tê koliê z wielk¹ per³¹. To powinno pasowaæ do okazji.

- Dobrze - Madelaine wsta³a i podesz³a z ciotk¹ do drzwi jadalni. Nagle obróci³a siê i objê³a kontessê w impulsywnym porywie.

- Nie obchodzi mnie, czy mój ojciec uwa¿a za niebezpieczne dla mnie przebywanie w Pary¿u, czy nie. Cieszê siê, ¿e tu jestem, ciociu. I kocham ciê za troskê, jak¹ mi okazujesz. Jednocześnie zadowolona i zak³opotana kontessa uwolni³a siê z ramion bratanicy.

- Cóż - przyzna³a - nie jest trudno byæ mi³ym dla tak pogodnej i kochanej dziewczyny, jak ty. A teraz pozwól mi odejœæ, moja droga. Muszê siê przebraæ, jeżeli mam siê pokazaæ na zewn¹trz.

Madelaine odst¹pi³a daj¹c przejœæ ciotce, potem pod¹y³a za ni¹ do obszernej sieni przylegaj¹cej do frontonu domu. W jej oczach czai³a siê zaduma, a z ust nie pad³o ani s³owo.

*Tekst listu od Beverly Sattina do Księcia Rakoczego; napisane po angielsku, datowane 8 października 1743:*

*Do Jego Wysokości, Franza Josefa Rakoczego, Księcia Transylwanii:*

*B. Sattin przesyła wyrazy uniżonego szacunku.*

*W sprawie, o której rozmawialiśmy kilka dni temu, mam przyjemność powiadomić Pana, że działania Błogosławnego Nieba posuwają się naprzód i że upragnione rozwiązanie jest bliskie.*

*Upraszam Waszą Wysokość o spotkanie się z nami w umówionym miejscu w noc dzisiejszego, kiedy to dostępne będą przekazane przez Waszą Wysokość dokumenty.*

*Po sfinalizowaniu transakcji ja i moi współtowarzysze będziemy niewysławienie wdzięczni za obiecaną nam materiały.*

*Z nadzieją, że sprawy Waszej Wysokości powiodą się w pełni, mam zaszczyt pozostać,*

*Pańskim najbardziej uniżonym sługą*

**B. Sattin**



Clotaire de Saint Sebastien opar<sup>3</sup> siê na pufach swej miejskiej karocy westchn<sup>13</sup>. Rozmowa z de les Radeux nie sprawi<sup>3</sup>a mu satysfakcji. Ch<sup>3</sup>opak nie zamierza<sup>3</sup> otwieraæ przed wujem rodzinnej szkatu<sup>3</sup>y niezale¿nie od tego, jakich ten u¿ywa<sup>3</sup> argumentów.

Karoca podskoczy<sup>3</sup>a na wybojach. Saint Sebastien zakl<sup>13</sup>. Nie doœæ, ¿e móg<sup>3</sup> zostaæ pozbawiony dostêpu do fortuny Beauvrai, to jeszcze nie by<sup>3</sup> pewien, czy otrzyma ofiarê, na któr<sup>1</sup> tak przecie¿ liczy<sup>3</sup>. Achille Cressie zarêczy<sup>3</sup> za swoj<sup>1</sup> ¿onê, lecz by<sup>3</sup> na tyle g<sup>3</sup>upi, by uraziæ jej uczucia. Trudno powiedziaæ, czy zechce ona i teraz dobrowolnie wzi<sup>1</sup>æ udzia<sup>3</sup> w Mszy, nie mówi<sup>1</sup>c ju¿ o po<sup>3</sup>o¿eniu siê na o<sup>3</sup>tarzu i dope<sup>3</sup>nieniu ofiary.

Postuka<sup>3</sup> niecierpliwie palcami o ga<sup>3</sup>kê laski. Musi mieæ tê kobietê. Nie ugnie siê przed trudnoœciami, gdy jest ju¿ tak blisko celu.

Przez chwilê myœli jego kr<sup>1</sup>¿y<sup>3</sup>y wokó<sup>3</sup> Sabatu. Od prawie szeœciu lat nie uczestniczy<sup>3</sup> w ¿adnym i czu<sup>3</sup>, jak maleje jego moc, jak opuszczaj<sup>1</sup> go si<sup>3</sup>y. Potrzebowa<sup>3</sup> tej mocy zrodzonej z przelanej krwi i ze strachu ofiary. Przypomnia<sup>3</sup> sobie m<sup>3</sup>ode, gibkie cia<sup>3</sup>o Lucienne Cressie. Le¿a<sup>3</sup>a pod nim naga, rozci<sup>1</sup>gniêta, a towarzystwo posiada<sup>3</sup>o j<sup>1</sup> jeden po drugim, a¿ w koñcu i on j<sup>1</sup> posiad<sup>3</sup>, pij<sup>1</sup>c z niej m<sup>3</sup>odoœæ niczym pszczo<sup>3</sup>a nektar. PóŹniej, gdy nadszed<sup>3</sup> Dzieñ Zaduszny, posiad<sup>3</sup> j<sup>1</sup> znowu... Tym razem wbi<sup>3</sup> w jej szyjê sztylet i <sup>3</sup>apa<sup>3</sup> œciekaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> krew w kielich, a¿ do chwili najwy¿szej ekstazy...

Nagle karetka zako<sup>3</sup>ysa<sup>3</sup>a siê i ostro zahamowa<sup>3</sup>a. Rozz<sup>3</sup>oszczony przerwaniem toku myœli, Saint Sebastien wysun<sup>13</sup> g<sup>3</sup>owê przez okno i spojrz<sup>3</sup> w górê, gdzie na koŹle siedzia<sup>3</sup> woŹnica.

- No, co? - spyta<sup>3</sup>.

- Przepraszam, panie - mrukn<sup>13</sup>, przeczuwaj<sup>1</sup>c, co zaraz nast<sup>1</sup>pi. Saint Sebastien wpatrywa<sup>3</sup> siê w niego z coraz bardziej z<sup>3</sup>owró¿bnym wyrazem twarzy.

- To za ma<sup>3</sup>o, ch<sup>3</sup>opcze. To wszystko za ma<sup>3</sup>o. Oddaj lejce stajennemu. Natychmiast - wysiad<sup>3</sup>, niecierpliwie stukaj<sup>1</sup>c d<sup>3</sup>ug<sup>1</sup> lask<sup>1</sup>. - Nie zamierzam tego powtarzaæ.

Wolno, bardzo wolno stangret zszed<sup>3</sup> z koz<sup>3</sup>a i jeszcze wolniej sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê przed Saint Sebastienem.

- Trzech ¿ebraków wysz<sup>3</sup>o prosto pod konie - powiedzia<sup>3</sup>, nie tyle po to, by przeb<sup>3</sup>agaæ swego pana, lecz by odsun<sup>1</sup>æ karê.

- Powinieneœ ich przejechaæ - uniós<sup>3</sup> wysoko laskê, d<sup>3</sup>oñ piecici<sup>3</sup>a kulê z polerowanego kamienia, osadzon<sup>1</sup> na doci<sup>1</sup>¿onym o<sup>3</sup>owie srebrze.

- Konie, panie. Nie chcia<sup>3</sup>em naraziæ na szwank twych koni.

- To k<sup>3</sup>amstwo - Saint Sebastien opuœci<sup>3</sup> laskê na ramiê woŹnicy i z lekkim ucemiechem ws<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup> siê w jego krzyk bólu. - Oprzyj rêce na drodze - polec<sup>3</sup> bez cienia litoeeci w g<sup>3</sup>osie.

- Nie! Nie! - woŹnica zacz<sup>13</sup> siê cofaæ trzê<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>; z<sup>3</sup>oœæ walczy<sup>3</sup>a w nim o lepsze ze strachem.

Tym razem kamienna kula laski uderzy<sup>3</sup>a go w kolano. Wo<sup>3</sup>Ńnica pad<sup>3</sup> obok karety krzycz<sup>1</sup>c wysokim, cienkim g<sup>3</sup>osem. Krzykn<sup>13</sup> raz jeszcze, gdy Saint Sebastien, wycelowawszy dok<sup>3</sup>adnie, zmi<sup>1</sup>ędy<sup>3</sup> mu jednym ciosem drugie kolano. Krew rozlewa<sup>3</sup>a si<sup>1</sup>e coraz szerzej, przesi<sup>1</sup>kaj<sup>1</sup>c przez grube bryczesy.

Saint Sebastien obliza<sup>3</sup> usta przygl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c si<sup>1</sup>e przez chwil<sup>1</sup>e rannemu wo<sup>3</sup>Ńnicy. Oczy przymgli<sup>3</sup>a mu somnambuliczna rozkosz. Potem, w pe<sup>3</sup>ni usatysfakcjonowany, obróci<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e ku siedz<sup>1</sup>cemu na ko<sup>3</sup>Ńle przera<sup>1</sup>onemu stajennemu. - Mo<sup>1</sup>esz jecha<sup>1</sup>e dalej - powiedzia<sup>3</sup> wsiadaj<sup>1</sup>c z powrotem do karety.

- Ale pa<sup>3</sup>Ński wo<sup>3</sup>Ńnica... - zacz<sup>13</sup> stajenny.

- A jaki mog<sup>1</sup>e mie<sup>1</sup>e w gospodarstwie po<sup>1</sup>zytek z kaleki? - spyta<sup>3</sup> Saint Sebastien g<sup>3</sup>osem niezaprzeczalnie s<sup>3</sup>odkim. Wyrza<sup>3</sup> przez okno na paru ludzi, którzy zdumieni przystan<sup>1</sup>eli na ulicy. Niby nie widz<sup>1</sup>c ich, rzuci<sup>3</sup>:

- Niekt<sup>1</sup>rzy dobrze zrobi<sup>1</sup> oclepn<sup>1</sup>c na t<sup>1</sup>e chwil<sup>1</sup>e. Ulica szybko si<sup>1</sup>e opró<sup>1</sup>ni<sup>3</sup>a.

- Nie lubi<sup>1</sup>e powtarza<sup>1</sup>e moich polece<sup>3</sup>Ń - powiedzia<sup>3</sup> do stajennego.

- Ruszaj.

Stajenny zebra<sup>3</sup> lejce i pop<sup>1</sup>ędzi<sup>3</sup> konie. Z ulg<sup>1</sup> powita<sup>3</sup> napi<sup>1</sup>ecie si<sup>1</sup>e lejców, gdy<sup>1</sup> to uspokaja<sup>3</sup>o jego roztr<sup>1</sup>ęsione r<sup>1</sup>ęce. Skupi<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e na powo<sup>1</sup>zeniu.

Wo<sup>3</sup>Ńnica tymczasem obserwowa<sup>3</sup> oddalaj<sup>1</sup>c si<sup>1</sup>e karet<sup>1</sup>e, chocia<sup>1</sup> ból przy<sup>1</sup>emiewa<sup>3</sup> mu spojrzenie. Przeklina<sup>3</sup> tego wyperfumowanego, z<sup>3</sup>ego cz<sup>3</sup>owieka, który w niej odje<sup>1</sup>d<sup>1</sup>a<sup>3</sup>. Nienawidzi<sup>3</sup> Saint Sebastiena, lecz w tej chwili zgodzi<sup>3</sup>by si<sup>1</sup>e nawet s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>ya<sup>1</sup> mu do o<sup>1</sup>mierci, byle tylko mie<sup>1</sup>e znów ca<sup>3</sup>e nogi. Ból by<sup>3</sup> intensywny i przyprawia<sup>3</sup> go o md<sup>3</sup>ooci. Gdy próbowa<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e poruszy<sup>1</sup>e, zap<sup>3</sup>on<sup>13</sup> z now<sup>1</sup> si<sup>3</sup>! Zda<sup>3</sup> sobie spraw<sup>1</sup>e, <sup>1</sup>e w ka<sup>1</sup>dej chwili mo<sup>1</sup>e zosta<sup>1</sup>e przejechany przez nast<sup>1</sup>ępny powóz i zapragn<sup>13</sup>, by w<sup>3</sup>acenie tak si<sup>1</sup>e sta<sup>3</sup>o. Zosta<sup>3</sup> haniebnie okaleczony, zosta<sup>3</sup> upodlony.

Nagle pad<sup>3</sup> na niego czyj<sup>1</sup>e cie<sup>3</sup>Ń.

- Wo<sup>3</sup>Ńnico? - powiedzia<sup>3</sup> kto<sup>1</sup>e pos<sup>3</sup>uguj<sup>1</sup>cy si<sup>1</sup>e dziwnie akcentowanym francuskim.

Wo<sup>3</sup>Ńnica spojrze<sup>3</sup> w gó<sup>1</sup>r<sup>1</sup>e i ujrza<sup>3</sup> nieco kanciastego, starszego m<sup>1</sup>ęczyzn<sup>1</sup>e w tabaczkowej liberii wskazuj<sup>1</sup>cej, i<sup>1</sup> musi on by<sup>1</sup>e s<sup>3</sup>ug<sup>1</sup> kogo<sup>1</sup>e naprawd<sup>1</sup>e bogatego. Wo<sup>3</sup>Ńnica j<sup>1</sup>ękn<sup>13</sup>. Doce<sup>1</sup>a mia<sup>3</sup> bogatych gospodarzy.

- Widzia<sup>3</sup>em, co si<sup>1</sup>e sta<sup>3</sup>o - m<sup>1</sup>ęczyzna ukl<sup>1</sup>k<sup>3</sup> obok rannego, nie bacz<sup>1</sup>c na brud ulicy. -Jeeli pozwolisz, to chcia<sup>3</sup>bym ci pomóc.

- Zostaw mnie.

- Jeeli to zrobi<sup>1</sup>e - odpar<sup>3</sup> tamten z wyra<sup>3</sup>Ńn<sup>1</sup> trosk<sup>1</sup> w g<sup>3</sup>osie - to przed up<sup>3</sup>ywem godziny b<sup>1</sup>ędziesz martwy. Powóz ci<sup>1</sup>e przejedzie lub jakie<sup>1</sup>e <sup>3</sup>otry, które tylko wypatruj<sup>1</sup> pechowych przechodniów, ukamieniuuj<sup>1</sup> ci<sup>1</sup>e chocia<sup>1</sup>by dla twej odzie<sup>1</sup>zy - zamilk<sup>3</sup> i dotkn<sup>13</sup> ramienia wo<sup>3</sup>Ńnicy. - Jak masz na imi<sup>1</sup>e?

Ja jestem Roger. Wo<sup>3</sup>Ńnica nie chcia<sup>3</sup> odpowiedzie<sup>1</sup>a, lecz mimo to przybysz nie odchodzi<sup>3</sup>.

- Hercule.

- Bardzo dobrze, Hercule - stwierdził Roger. - Idę teraz poszukać z gospodarstwa mego pana. Zaniesiemy cię do niego, a on z pewnością zrobi dla ciebie wszystko, co tylko możliwe. Nie masz się czego bać. Mój pan jest biegły w sztuce leczenia.

- Czemu niby twój pan miałby mi pomagać? - zadrwił mimo bólu Hercule. - Jestem woźnicą bez nóg. W oczach Rogera pojawił się uśmiech zrozumienia.

- I mnie mój pan często zadziwia. Raz udzielił schronienia zbiegłemu niewolnikowi, wiele przy tym ryzykując. A potem jeszcze zapewnił owemu niewolnikowi możliwość dokonania zemsty, której ten bardzo pragnął.

- Kłamstwa - miał wypowiedzieć to, Hercule niemal krzyknął. - Ach, nie. To ja byłbym tym niewolnikiem - powiedział Roger. - Odejdę teraz na chwilę, Hercule. Nie trać nadziei.

Hercule miał wścieknie powiedzieć Rogerowi prosto w twarz co służyło tej propozycji, lecz stary szukał już oddalił się. Hercule z miejsca poczuł się osamotniony. Łatwo było odmawiać staremu i jego panu, gdy lokaj klęczał tuż przy nim, lecz teraz, leżąc na drodze bez pewności, czy nie nadjedzie zaraz następny pojazd i nasłuchując kroków zdołaj, Hercule zaczął się bać. Leżał w miejscu, z którego widać już było zwartą zabudowę miasta, ale bramy Paryża oddalone były i tak jeszcze o milę. Podróżni, którzy przystanęli na chwilę w trakcie jego scysji z Saint Sebastienem i widzieli jego okaleczenie, odeszli. Nie było nikogo, kto mógłby mu teraz pomóc, gdy Roger odjechał mając dwukołową.

Jego strach narastał na równi z coraz silniejszą nienawiścią do Saint Sebastiena. Czuł, jak ogarnia jego myśli i czerpał z niej satysfakcję. Nienawidził była mocniejsza i bardziej uporczywa. Więcej jej było niż odwagi i to dało mu dość siły, by mimo cierpienia odprężyć się na skraj drogi.

Popołudniowe słońce przypiekało, lecz chłodny jesienny wiatr przynosił wytchnienie. Czuł, jak krew wypływa z niego i myślał wciąż o tej chwili, gdy czerwone plamy zaczęły pojawiać się na jego bryczesach witane uśmiechem Saint Sebastiena.

Gdy w pewien czas później leżał już półprzytomny, drogą nadjechał jeden z najwspanialszych powozów, jakie widział kiedykolwiek. Ciągłony był przez czwórkę dobranych siwków i mimo cierpienia Hercule zauważył, iż były to naprawdę piękne zwierzęta. Nie posiadał się ze zdziwienia, gdy powóz, podtoczywszy się do niego, stanął, a schodki zostały opuszczone. Pierwszy wysiadł Roger i skierował się prosto do Hercule.

- Nie ucierpię bardziej? - spytał, przystając przy woźnicy.

- Nie - odpowiedział Hercule, z trudem znajdując słowa. - Odczuję się.

- Odczuję się? - powiedział mężczyzna, który wścieknie wysiadł z powozu i stanął za Rogerem. Był średniego wzrostu, budowy krępej, lecz proporcjonalnej. Miał na sobie czarne, eleganckie i modne ubranie, na tle którego odbijała się jedynie biel koronek wokół szyi i na

nadgarstkach. Drobne stopy obute były w czarne trzewiki z zapinkami zdobionymi klejnotami. Czarne włosy obowiązywały bez pudru, na wysokość karku widać było równie czarna, gustowna kokarda. Na atrakcyjnej ogólnie twarzy malowała się inteligencja i wrażenia tego nie psuła nawet mocny, lekko krzywy nos. Obcy przykleknął obok rannego woźnicy, nie zważając na brud mogący zniszczyć jego ubranie

- Kto ci to zrobił, dobry człowieku?

- Saint Sebastian - wyszeptał Hercule porażony nagle się wyrazu ciemnych oczu dżentelmena.

- Saint Sebastien - powtórzył nieznajomy. - Saint Sebastien - potem odwrócił się do swego sługi. - Dobrze zrobiłeś, Rogerze. Zanieście tego człowieka do mojej rezydencji. Pewien jestem, że znajdziemy dla niego jakieś zajęcie. Zajmę się tym później. Dopatrz, by umyło jego rany, lecz niech nie zakładają mu bandażu. W ranach mogą być odpryski krwi, które muszą zostać bezwzględnie wycięte.

- Kto to jest - spytał Hercule Rogera, gdy wnoszono go ostrożnie do powozu.

Pan Rogera, który usłyszał pytanie, odpowiedział za swego sługę. - W tym stuleciu najczęściej jestem nazywany hrabią de Saint-Germaine.

Wyj<sup>1</sup>tek z listu kontessy d'Argenlac do jej brata, markiza de Montalia; datowane  
11 paŹdziernika 1743:

(...) Ostatni wieczór spêdziliemy w salonie, by Madelaine odpoczê<sup>3</sup>a po przyjêciu u diuszessy de Lyon, na którym by<sup>3</sup>yemy poprzedniego wieczoru. Madelaine odnios<sup>3</sup>a wielki sukces. Saint-Germain napisa<sup>3</sup> kilka nowych pieœni na wiolonczelê. Mme Cressie otrzyma<sup>3</sup>a w<sup>3</sup>aœnie swój nowy instrument, a kompozytor sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> Madelaine, by zgodzi<sup>3</sup>a siê wyst<sup>1</sup>piæ jako wokalistka. Utwory, mój mi<sup>3</sup>y bracie, byty czaruj<sup>1</sup>ce. Nie by<sup>3</sup>o przy tym w nich nic, do czego nawet tak zatwardzia<sup>3</sup>y moralista jak ty, móg<sup>3</sup>by mieæ obiekcje. Madelaine æpiewa<sup>3</sup>a wspaniale, a Mme Cressie stwierdzi<sup>3</sup>a potem, i<sup>¿</sup> wystêp w takim duecie sprawi<sup>3</sup> jej wiel<sup>1</sup> przyjemnoœæ i poprosi<sup>3</sup>a Madelaine, by ta zechcia<sup>3</sup>a æpiewaæ z ni<sup>1</sup> czêæciej. Wierze, ¿e obie sk<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> Saint-Germaina do napisania nowych utworów. Saint-Germain powiedzia<sup>3</sup>, i<sup>¿</sup> hañb<sup>1</sup> by<sup>3</sup>oby pozbawiaæ œwiat muzyki w ich wykonaniu. Przypuszcza zatem, i<sup>¿</sup> nie bêdzie mia<sup>3</sup> innego wyjæcia, jak skomponowaæ owe pieœni.

Mo¿esz sobie wyobraziæ, jakim szokiem by<sup>3</sup>a dla nas po tak mi<sup>3</sup>ym wieczorze wiadomoœæ, i<sup>¿</sup> Lucienne Cressie zapad<sup>3</sup>a na powa¿n<sup>1</sup> chorobê. Oto do czego w koñcu doprowadzi<sup>3</sup> j<sup>1</sup> Achille. Muszê ci wyznaæ, ¿e mam co do niego pewne podejrzenia. Coraz wiêcej czasu spêdza w towarzystwie Saint Sebastiena i Beauvrai. PóŹn<sup>1</sup> por<sup>1</sup>, dziewi<sup>1</sup>tego, by<sup>3</sup>o u Cressich jakieœ zgromadzenie. Niektórzy mówi<sup>1</sup>, ¿e by<sup>3</sup>y to zwyk<sup>3</sup>e rozpustne praktyki Achille'a, lecz nie jestem tego taka pewna, szczególnie, i<sup>¿</sup> od tego w<sup>3</sup>aœnie wieczoru nikt nie widzia<sup>3</sup> Lucienne. Mo¿esz nazwaæ mnie nierozs<sup>1</sup>dn<sup>1</sup>, mi<sup>3</sup>y bracie, ale wiesz, jakim to potworem jest Saint Sebastien i prêdzej ni¿ w cokolwiek uwierzê raczej, ¿e raz jeszcze usi<sup>3</sup>uje zebraæ wokó<sup>3</sup> siebie czcicieli szatana. B<sup>1</sup>dŹ pewien, ¿e zrobiê wszystko, co w mojej mocy, aby ¿aden z tych mê¿czyzn nie zamieni<sup>3</sup> nawet s<sup>3</sup>owa z Madelaine.

Jutro odwiedzimy Hotel Transylwania. Nie musisz siê niepokoiaæ, nie pozwolê Madelaine graæ. Ma odbyæ siê tam przyjêcie wraz z przedstawieniem operowo-baletowym we w<sup>3</sup>oskim stylu. Pojawi<sup>3</sup>y siê pog<sup>3</sup>oski, ¿e rezydencja ta ma zamiar rywalizowaæ z Hotelem de Yille. Nie wiem, czy bêdzie to mo¿liwe, lecz z pewnoœci<sup>1</sup> dostarczy to nam wspania<sup>3</sup>ej rozrywki. Wszyscy siê tam wybieraj<sup>1</sup>.

Muszê pogratulowaæ ci córki. Jest rozkoszna. Jej maniery s<sup>1</sup> nienaganne, umys<sup>3</sup> bystry, jest rozmowna i ma dobrze pouk<sup>3</sup>adane w g<sup>3</sup>owie. Czasem zadziwia mnie swoj<sup>1</sup> erudycj<sup>1</sup>. Gdy ostatnio Saint-Germain raczy<sup>3</sup> nas przy kolacji swymi opowiastkami, ona zakpi<sup>3</sup>a sobie z niego! Zacz<sup>13</sup> w<sup>3</sup>aœnie historiê o wampirach, a ona stwierdzi<sup>3</sup>a, i<sup>¿</sup> jest nonsensem baæ siê wampirów! skoro ka¿da krew mo¿e zaspokoiaæ ich pragnienie. Jedyne, co wed<sup>3</sup>ug Madelaine nale¿y zrobiæ to zaoferowaæ im jagniê lub konia, by za<sup>3</sup>atwiaæ sprawê. Powinieneæ zobaczyæ zaskoczenie, które

odmalowa³o siê na twarzy Saint-Germaina. Uca³owa³ jej d³oñ mówi¹c, i¿ ustêpuje jej pola. PóŹniej popijaliemy jeszcze wino z baronem i baronow¹ de Haute-Misou. Baron opowiedzia³ nam wiele o florenetyñskim rzeŹbiarzu imieniem Michelangelo i o jego pracach. Sam czyta³ o tym niedawno, a Madelaine natychmiast zidentyfikowa³a i autora, i jego najsz³ynniejszy malunek - siostry, które j¹ uczy³y bêd¹ zapewne uradowane, gdy us³ysz¹, ¿e chodzi³o o freski w Kaplicy Sykstyñskiej i ¿e Madelaine zaraz opowiedzia³a nam historiê tego miejsca. Baron by³ oczarowany. Stwierdzi³, i¿ rzadko udaje siê spotkaæ m³od¹ kobietê odznaczaj¹c¹ siê tak¹ erudycj¹, która przy tym równa jest jej urodzie. Madelaine powiedzia³a na to - i nie nale¿y jej za to ganiaæ, mój drogi bracie, jako ¿e jedynie ¿artowa³a - i¿ gdyby wszystkie kobiety by³y tak kształcone, jak ona, to baron musia³by prze¿ywaæ podobne oczarowania w ka¿dej godzinie swego ¿ycia.

Tysi¹ckrotnie dziêkujê ci za przys³anie mi mojej bratanicy. Ufam, ¿e bêdziesz usatysfakcjonowany wynikami starañ, jakie wobec niej poczyni³am w Pary¿u. Pozdrów ode mnie markizê i zapewnij j¹, i¿ córka jej ma siê dobrze i czêsto chodzi na msze. Nie s¹dŹcie, ¿e pozwalam Madelaine zaniedbywaæ obowi¹zki religijne - nie ma to nic wspólnego z sukcesami towarzyskimi. Jest pos³uszna i szczerza, a jej spowiednik powiedzia³ mi, ¿e dusza jej jest czysta. Dobry ten cz³owiek, nasz kuzyn, znany jest ze swej pobo¿noœci i ma, jak rozumiem, twe b³ogos³awieñstwo, by dbaæ nad potrzebami duchowymi mej bratanicy.

Po¿egnam ciê teraz, mój drogi bracie. W ci¹gu niewielu dni dostaniesz niew¹tpliwie nastêpny mój list. Niech Bóg czuwa nad tob¹ i nad markiz¹ i zeæle wam spokojne myœli. Pozdrawiam ciê z ca³ym nale¿nym szacunkiem i g³êbokim uczuciem.

Twoja siostra Claudia de M on talia Kontessa d'Argenlac

P. S. Pozwoli³am sobie nabyæ dla Madelaine piêkn¹ hiszpañsk¹ klacz dojazdy wierzchem. To wspaniale zwierzê. Madelaine zaæ jest œwietn¹ amazonk¹. Teraz, gdy to piszê, jest w³acenie na przeja¿d¿ce w okolicy Bois-Vert, gdzie razem z reszt¹ towarzystwa spêdza popo³udnie.

Donatien de la Sept-Nuit przytrzymał szarmancko strzemię, asystując Madelaine dosiadającej swej hiszpańskiej klaczy. Wokół nich inni wspinali się na siodła, sposobić się do drogi powrotnej do Paryża.

Madelaine umieściła się na grzbiecie wierzchowca, poprawiając suknię koloru butelkowego szkła tak, by wdzięcznie spływała po boku klaczy.

- Dziękuję - powiedziała po chwili do kawalera, a w jej oczach pojawił się błysk niezadowolenia.

De la Sept-Nuit skłonił się głęboko.

- To dla mnie przyjemność. Jeżeli tak drobna przysługa zasługuje według ciebie na podziękowanie, to z chęcią podejmę się większych czynów oczekując wspólnie do zasług większej nagrody.

Madelaine nie odpowiedziała od razu zajęta uspokajaniem klaczy, która po zbyt mocnym ocienieniu cugli zaczęła nerwowo tańczyć pod nią.

- Proszę, kawalerze, żadnych więcej osobliwych komplementów. Zaczynam czuć się nieswojo.

De la Sept-Nuit skłonił się raz jeszcze i oddalił do swojego gniadego wałacha. W jednej chwili wskoczył na siodło i podjechał do grupki przyjaciół. Gdy tylko się zbliżył, Chateauroux zawołał do niego:

- I jak idzie z La Montalia?

- Więcej ciemi, niż róż - rzucił kawaler, poganiając gniadosza do galopu.

- Sam myślenie spróbować - powiedziała Chateauroux przyglądając się Madelaine doprowadzającej klacz do cieniegnobiaszej andaluzyjki, dosiadanej przez baronów de Haute-Misou.

- Strata czasu. Tym razem Saint Sebastien jest w bledzie - de la Sept-Nuit zniżył przy tym głos i porozumiewawczo uniósł brwi.

Wokół nich lasy skrzyły się złotem i rudociem jesieni. Liście szybowały w powietrzu i szeleściły na drodze, migając jak motyle przy każdym powiewie wiatru. Był piękny, pogodny dzień; słońce cętkowało im twarze topazowym blaskiem, gdy jechali pod drzewami.

- To była przykra sprawa - mówiła baronowa do Madelaine, która słuchała z udaną uwagą. - Suknia była oczywiście do niczego i pozostało mi tylko oddać ją służącej.

- Zaiste, niemiła historia - Madelaine przybrała na twarzy wyraz powagi i skłoniła klacz do miarowego kłusu.

- Lecz co na to poradzić? Jeżeli kucharze muszą dodawać tyle wina do sosów, to nie mamy innego wyjścia, jak pogodzić się z plamami. Przyznać trzeba, że sosy decydują o posiłku, lecz to skandal, by dla dobrej oprawy wołowyń trzeba było niszczyć piękny stół.

- Może by tak zakładać do obiadu specjalną suknię... - zasugerowała Madelaine zanim

zastanowiła się nad tym, co mówi.

- Specjalna suknia do jedzenia? Do jedzenia? - baronowa niemal zapiszczała.

- Czemu nie? - powiedziała niewinnie Madelaine rozwijając temat.

- Można mieć specjalną suknię na okazję posiłków. Można wydać rzymskie przyjęcie, na które wszyscy przysliby ubrani w togi i spoczęli na leżankach. Tak w końcu, jak pamiętam, robili Rzymianie - powiedziała, marszcząc trochę czoło, a potem pomachała do znajomej postaci. - Saint-Germain! Czy Rzymianie biesiadowali na leżankach?

- O co chodzi? - zawołała Saint-Germain. - Co z Rzymianami?

- Przycwaczała na swym podpalanym ogierze, a gdy zrównała się z nimi, skłoniła się lekko i raz jeszcze spytała: - O co chodzi z Rzymianami?

- Och, sugerowałam w końcu baronowej, że mogłaby wydać przyjęcie w rzymskim stylu, na którym goście byłiby w togach i spoczywali na leżankach. Lecz nie mogłam sobie przypomnieć na pewno, czy to Grecy czy Rzymianie tak czynili.

- W każdym razie byli to cudzoziemcy - powiedziała baronowa z potępieniem w głosie.

- Nie powiedziałabym - zaprotestowała Saint-Germain. - Wielki pradziad obecnego króla w ten sposób próbował przywrócić Francji chwałę wielkiego Rzymu.

- Ludwik XIV był monarchą przynoszącym chwałę Francji - oznajmiła baronowa, patrząc podejrzliwie na Saint-Germaina.

- Bez wątplenia - zgodził się ten uprzejmie. Rzucił przy tym rozbawione spojrzenie Madelaine. - Czy pani również podziwiała dawnego króla? Lecz to baronowa odpowiedziała na pytanie.

- Się z pewnością w życiu tego człowieka i takie chwile, nad którymi musimy wyrazić ubolewanie, lecz przede wszystkim jest pamiętać, iż jego drugie, małe, przywróciło dworowi światłość.

- A występki i diabolizm, którymi tak pani pogardzasz, zniknęły całkowicie za rządów króla? - spytała spokojnie i uprzejmie Saint-Germain.

- Jakże szczerze dla Francji.

Baronowa nie odpowiedziała. Nie było to przypadek, że została z tyłu, za nimi. Przez chwilę Madelaine i Saint-Germain jechali w ciszy. W okolicy młodzi ludzie ujeżdżali konie w zaimprovizowanym wyścigu, starsi podłżali za nimi na stateczniejszych zwierzętach. Długie snopy promieni słonecznych przebijały się przez korony drzew, znacząc drogę smugami światła i cienia.

- Podoba mi się twój koń - powiedziała po chwili Madelaine. - Nie s'dzę, bym widziała kiedykolwiek podobnego. Saint-Germain poklepał kark wierzchowca.

- Dostałem go w Persji. Niewiele takich widuje się w Europie. Niektórzy, o ile wiem, nazywają je końmi berberyjskimi - raz jeszcze poklepał szeroki kark zwierzęcia.

Madelaine przytaknęła.

- Chyba po raz pierwszy zdarza mi się widzieć cię ubranego inaczej, niż na czarno,



Saint-Germain. Co to za skóry nosisz?

- Z 3ososia. T3oczenia przedstawiaj1 opowieœæ o œwiêtym Hubercie i jeleniu - przesun13 palcami po ciemno-bordowej skórze, na któr1 sp3ywa3 muœlinowy szalik. - Trochê to staromodne, mankiety s1 zbyt w1skie jak na dzisiejsze gusta, lecz zrobione to zosta3o specjalnie dla mnie ju¿ doœæ dawno Na Wêgrzech. Nie jestem sk3onny rozstaæ siê z tym - uniós3 lekko brwi. -Co ciê martwi, moja droga? Nie wezwa3aç mnie chyba do swego boku, by dyskutowaæ o Rzymianach czy o koniach? Czy baronowa zanudzi3a

C1?- Qcn nje - powiedzia3a pogodnie Madelaine.

- Zatem mo¿e nie jesteœ zadowolona z awansów de la Sept-Nuit? - Dowiedziawszy to ujrza3, jak drgnê3a i wiedzia3 ju¿, ¿e trafi3 w sedno.

- Moja ciotka powtarza mi, ¿e nie mogê oczekiwaæ wiele po ma3¿eñstwie i ¿e m1drzej bêdzie podejœæ do tego praktycznie. Rozumiem, ¿e de la Sept-Nuit jest bogaty i rozgl1da siê za ¿on1. Jego matka da3a na dodatek mojej ciotce do zrozumienia, ¿e jej syn liczy, i¿ dopuszczê go do 3ask.

- Och, nie - zacemia3 siê Saint-Germain. - A ty nie chcesz staæ siê dla niego Ÿród3em 3ask?

- Mo¿e dla ciebie, hrabio, jest to œmieszne, lecz dla mnie to wszystko jest po prostu poni¿aj1ce - potrzeb1snê3a pogardliwie g3ow1 i odwróci3a j1, by nie zobaczy3 3ez, które nagle pojawi3y siê w jej oczach. - Czujê siê jak niewolnica, któr1 nale¿y zlicytowaæ za jak najwy¿sz1 stawkê.

- Madelaine - powiedzia3 cicho hrabia, gdy dziewczyna znów na niego spojrze3a, sk3aniaj1c klacz z powrotem do wolniejszego k3usa. - Twoja ciotka chce dobrze dla ciebie. To wszystko, co potrafi dla ciebie zrobiæ.

Madelaine zgodzi3a siê.

- Wyjaceni3a mi ju¿, czego powinna oczekiwaæ od œwiata kobieta. Lecz,

Saint-Germain, ja chcê wiêcej!

- Wiem - uœmiechn13 siê smutno na ten wybuch. Spojrze3a na niego wyzywaj1co.

- S3ysza3am, ¿e by3eœ w wielu miejscach, ¿e niejedno widzia3eœ i robi3eœ... Te¿ chcia3abym odwiedziaæ wiele miejsc i robiæ w ¿yciu coœ wiêcej... - w jej oczach pojawi3o siê dziwne œwiat3o.

- Takie ¿ycie jest bardzo samotne, Madelaine. Jej twarz okry3a siê rumieñcem.

- Czy s1dzisz, ¿e o¿eniona z de la Sept-Nuit nie by3abym samotna? Myœlisz, ¿e gdybym wysz3a za któregokolwiek z nich - wyci1gnê3a rêkê ku zgie3kliwej grupce m3odych mê¿czyzn, galopuj1cych opodal - moje ¿ycie by3oby czymœ innym, ni¿ osamotnieniem? W twoim ¿yciu jest przynajmniej miejsce na ciekawoœæ...

- Tak - przytackn13 Saint-Germain. - Przypuszczam, ¿e moje ¿ycie jest w pewien sposób interesuj1ce.

- W3acenie - powiedzia3a zmieniaj1c temat na spokojniejszy. - Ostatniej nocy opowiada3eœ o u¿ywaniu pary do napêdu statków. Lecz nie by3eœ przy tym taki, jak Beauvrai, który pragnie

wszystkiego, co może skupiać na nim uwagę towarzystwa, chociaż nie ma zielonego pojęcia o maszynach. Mogę powiedzieć, że gdy opisywałeś te maszyny, to myślałeś o nich. Mówiłam, że skoro woda porusza koło młynskie, to można zrobić i tak, by ono poruszało wodę, jeżeli Źródło mocy umieszczone będzie we młynie; czynisz to obrazowo. I pomyśl użycia wody, by krężyła w tych rurach... Wszyscy wkoło mówili, że to niemożliwe, a ja wyobraziłam sobie wszystko z łatwością.

Saint-Germain ucemiechniła się, ukazując kształtne, białe zęby.

- To dlatego, że nie spędziłam większości życia na dowiadrywaniu się, ile to rzeczy jest niemożliwych.

- Wzrośnie, hrabio - ucemiech opuściła jej twarz. - A ja uczyłam się szybko.

- Spokojnie, spokojnie, Madelaine - podjechała trochę bliżej, tak że strzemiona ich koni niemal się stykały. - Aż tak jesteś nieszczeniwa, moja droga?

- Tak... nie... nie wiem - nie spojrzała na niego, bojąc się, że znajdzie w jego oczach zbyt wiele litości, a wtedy może się przed nim zdradzić. - Wiem, że oczekuje się po mnie małżeństwa. Z czasem ugnę się przed tym ładaniem, znudzona, i sama zechce to zrobić - spojrzała przez ramię na grupę starszych jeźdźców. - Widzisz, hrabio, te kobiety? Nawet te młode. Wszystkie one są już stare - gwałtownie odwróciła spojrzenie. - Z czasem będę taka, jak one i nawet o tobie będę myśleć z cynicznym rozbawieniem.

- Madelaine.

- Nie mów do mnie tak uprzejmie. Nie mogę tego znieść. Dajesz mi nadzieję, a tu nie ma nadziei - spięła klacz ostrogami i zakosowała się na jej grzbiecie, gdy wierzchowiec skoczył naprzód.

Saint-Germain pojechała za nią, dociera blisko, by udzielić pomocy, gdyby klacz poniosła, lecz na tyle daleko, by nie narzucać jej swego towarzystwa.

Wyj<sup>1</sup>tek z listu lekarza Andre Schoenbruna do hrabiego de Saint-Germaina; datowane 12 paŹdziernika 1743:

(...) Lekarz pragnie zawiadomiæ hrabiego, iŹ ca<sup>3</sup>a zdolnoœæ ruchu, jaka zosta<sup>3</sup>a zachowana w kolanach, wynika z szybkiej i fachowej opieki udzielonej s<sup>3</sup>uŹ<sup>1</sup>cemu imieniem Hercule. Kolana zostan<sup>1</sup> uleczone, lecz zapewne nie bêdzie on juŹ móg<sup>3</sup> chodziæ. Lekarz jest zadowolony, Źe hrabia nie kaza<sup>3</sup> bandaŹowaæ kolan, gdyŹ to w<sup>3</sup>aænie uratowa<sup>3</sup>o ich zdolnoœæ ruchu. S<sup>3</sup>uŹ<sup>1</sup>cy, który towarzyszy<sup>3</sup> pacjentowi, poinformowa<sup>3</sup> lekarza, iŹ polecenie nie bandaŹowania kolan pochodzi<sup>3</sup>o od hrabiego i lekarz to pochwala.

Co do pytania hrabiego o rodzaj pracy, to o ile nie bêdzie obci<sup>1</sup>Źa<sup>3</sup> zbyt swoich nóg, nie ma przeszkód, by opuæci<sup>3</sup> s<sup>3</sup>óŹko, gdy tylko poczuje siê doææ silny. Gor<sup>1</sup>czka spada, a zatem juŹ nied<sup>3</sup>ugo s<sup>3</sup>uŹ<sup>1</sup>cy Hercule powinien móc wykonywaæ lekkie æwiczenia r<sup>1</sup>k i d<sup>3</sup>oni. Lekarz przyjmuje do wiadomoœci, iŹ hrabia jest w posiadaniu syropu z maku i zaleca stosowanie tego ærodka wobec pacjenta, gdyby ból by<sup>3</sup> zbyt dokuczliwy. Lecz lekarz ostrzega hrabiego, by nie podawa<sup>3</sup> ærodka zbyt czêsto, i prosi go, by pamiêta<sup>3</sup> o wynikach obserwacji, które lekarz przeprowadzi<sup>3</sup>, a z których wynika, iŹ zbyt d<sup>3</sup>ugie uŹywanie owego lekarstwa moŹe spowodowaæ uzaleŹnienie od niego, co nie jest poŹ<sup>1</sup>dane.

Lekarz pozwoli sobie skontaktowaæ siê z hrabi<sup>1</sup> za dziesiêæ dni, by zbadaæ s<sup>3</sup>uŹ<sup>1</sup>cego Hercule i sprawdziæ, czy nie rozwinê<sup>3</sup>a siê infekcja, i by upewniæ siê, czy powrót do zdrowia postêpuje normalnie. Jeæli lekarz stwierdzi, Źe moŹe przynieææ to poŹytek, upuæci wówczas krwi s<sup>3</sup>uŹ<sup>1</sup>cemu Hercule.

Gdyby mia<sup>3</sup> byæ znowu pomocny hrabiemu, lekarz zapewnia, Źe bêdzie zaszczycony móc s<sup>3</sup>uŹyæ jego gospodarstwu o kaŹdej porze.

Pozostajê do pañskiej dyspozycji,

**Andre Schoenbrun, lekarz, Le Rue de Ecoule-Romain**

Lucienne Cressie ogarnęła zmęczonymi, szklistymi oczami swój przyciemniony pokój. Wyglądała obco, a przecię, spędzała w nim każdą noc od czasu zawarcia małżeństwa z Achillem. Od ciężkich draperii wokół żłoka, po wysokie, pozłacane kufry pod przeciwległą ścianą, wszystko wydawało się jej równie nieznanne, jak egzotyczne apartamenty jakiegocześnie chińskiego imperatora. Jeszcze niedawno miała tu razem z nim. Nie pamiętała, ile czasu upłynęło od jego wyjęcia, gdyż wino, które jej dał, musiało być zaprawione narkotykiem. Poruszała się z trudnością, zbierała jej się na wymioty.

Jak tonący szuka rękami oparcia, tak ona zacisnęła kurczowo dłoń na prześcieradłach. Zastanawiała się, co też mogło się z nim stać. Każdego dnia mówiła sobie, że jest w stanie w dalszym ciągu odgrywać parodię małżeństwa, lecz w nocy, gdy zostawała sama na sam ze snami, które pochłaniały ją całkowicie, czuła, jak kruszeje jej wytrzymałość. W takich chwilach nawet modlitwa nie pomagała i to wcale, bardziej niż cokolwiek, napawała ją leką.

Jej oczy wpełniały się łzami, gdy pomyślała o tych nielicznych chwilach, które poświęcała jej Achille, o jego pogardzie dla cierpienia, obojętności na wszelkie błagania. Prosiła go tej nocy, by pozwolił jej wstąpić do klasztoru. Gotowa była nawet wynieść się do Nowego Świata, by nigdy już go nie niepokoiła. Rozczemiała się, mówiąc, że gdyby chciała poświęcić się religii, to on jest w stanie zadbać, by nadarzyła się do tego sposobność. Zamknęła już drzwi w pokoju, tak jak poprzedniego dnia.

Przez jakiś czas grała na nowej wiolonczeli, lecz niewielką znajdowała pociechę w muzyce, a myśli rozpraszają się w miarę, jak narkotyk opanowywał umysł.

Leżała na żłoku i czuła, że topnieje w niej wola buntu. Achille planował coś na ten wieczór, tego była pewna. Zeszłego wieczoru słyszała, jak on i jego przyjaciele rozmawiali w bibliotece na dole. Potem rozległy się odgłosy jakby kłótni, a następnie dochodziła już zaczęły krzyki i różne uwagi, z których wywnioskowała, że mężczyźni oddawali się temu, co Achille nazywał obrzydliwymi atakami ateistycznymi. Trwało to niemal do rana. Zamknęła oczy i spróbowała zebrać myśli do modlitwy.

Poczuła nadchodzący zawrót głowy. Otworzyła oczy w próżnej nadziei, że majaki znikną. Głowa bolała już coraz bardziej, w uszach dzwoniło.

Pokój wydawał się być jeszcze mroczniejszy. Pomyślała, że może zasnąć lub nie przebudzi się już więcej. Nie mogła skupić spojrzenia na frędzlach baldachimu w nogach żłoka, odwróciła twarz ku ścianie. Miała wrażenie, że grube fałdy kotar poruszają się. Chciała uciec, lecz odkryła, że nie może. Oczy miała rozpalone, rozjarzone i głodne.

To znów był sen i tym razem też czuła, że wstępuje weń z niegodnym radością w sercu. Wspomniała winę namiętności, lecz poddała się jej, poddała się jego ciepłym, nachalnym ustom zbliżającym się do jej warg, szyi. Czyje ręce pieściły ją mucięciami tak lekkimi, jak dotyk babiego lata, pełnymi przy tym ognia. Czuła jego ciężar obok siebie i przyjął go, tłumacząc śkanie i przyciągając ku sobie.

W jakimœ odleg³ym zak¹tku umys³u ko³ata³o siê pytanie, czy to Achille i przys³a³ go do niej, czy by³ to jego okrutny ¿art? Nie potrafi³a sobie wyobraziæ, jak pozbawiony wyobraŹni Achille móg³by zes³aa taki sen. Czu³a, ¿e jest jej gor¹co i zimno jednocześnie, spróbowaa przytulæ go f bli¿ej do siebie. Jego dotyk by³ delikatny, wprawny, wyzwała³ w niej wiêcej, ni¿ s¹dzi³a.

Przez jeden krótki moment czu³a ból, lecz zaraz po nim nadesz³o ekstatyczne omdlenie - p³ynê³a niematerialna niczym muzyka, gor¹ce dr¿enia wiolonczi miêdzy jej nogami nie dawa³y siê porównaa do tego s³odkiego, rozmigotanego snu, który rozpala³ rozkosz¹ jej wêtrznoci. Sen unosi³ j¹ jak wiatr, jak ptak na swoich skrzyd³ach. Poczua, ¿e jej serce otwiera siê, niby kwiat rozkwita, a ona sama pogr¹¿a w g³êboki, spokojny sen. Nie wyczuwa³a ju¿ przy sobie ciê¿aru, a ³omot jej serca cich³ z wolna wraz z oddechem coraz g³êbszym i spokojniejszym. W pokoju by³o zimno. Obudzi³a siê zziêbniêta, naga obok skot³owanej poœcieli. Efekt dzia³ania narkotyku min¹³. Czu³a siê odrêtwia³a i wyczerpana. Nêka³o j¹ równie¿ poczucie winy. Wiedzia³a, ¿e takie sny s¹ grzechem równie wielkim, jak podobne postêpowanie. Cudzo³óstwo, które pope³ni³a jedynie w swoim œnie, w oczach koœcio³a czyni³o j¹ niewiern¹ ¿on¹. Jej spowiednik powiedzia³, ¿e nie ma wyj¹tków, bowiem cudzo³óstwo to po¿¹danie, a po¿¹danie to jeden z siedmiu grzechów œmiertelnych. Prze¿egna³a siê, czuj¹c hipokryzjê tego osobliwego postêpowania, i naci¹gnê³a na siebie nakrycie zas³aniaj¹c równie¿ twarz, któr¹ okry³ rumieniec wstydu.

Modlitwa jej nie wychodzi³a. Na pró¿no usi³owa³a skupiaæ myœli na rzeczach niebiañskich. Za ka¿dym razem wraca³y one do b³ogoci snu i czystej zmys³owoci, któr¹ przyniós³, zmys³owoci, której nie potrafi³y rozpêdziaæ ni przyæmiaæ surowe przyk³ady z ¿ycia œwiêtych i mêczenników. Wci¹¿ doznawa³a tego osobliwego rozdwojenia, gdy drzwi nagle otwar³y siê i, ku jej zdumieniu, wszed³ jej m¹¿.

- Dzieñ dobry, madame. Ufam, ¿e ci nie przeszkadzam? - jego rozbiegane oczy dojrza³y jej oszo³omienie, lecz Achille uzna³ to za skutek dzia³ania narkotyku.

- Achille? - spyta³a, czuj¹c, jak narasta w niej ch³ód zupe³nie innego rodzaju. Zebra³a wokó³ siebie poœciel. Wiedzia³a, ¿e jej widok budzi w nim wstrêt.

- ChodŹ, madame - podszed³ do ³ó¿ka. - Mamy goœci na dole. By³oby z twej strony zaniedbaniem obowi¹zków gospodyni, gdybyœ nie pokaza³a siê, by ich powitaæ - wyci¹gn¹³ do niej rêkê. By³a w tym geœcie nieugiêtoœæ. Rozumia³a, ¿e to jeszcze jeden z jego okrutnych ¿artów, ¿e naprawdê chodzi³o mu o coœ zupe³nie innego. - No chodŹ, madame - powtórzy³.

Spojrza³a na niego z dezaprobat¹.

- Nie jestem ubrana, Achille. Czy szukasz sposobnoci, by zadrwiaæ ze swej ¿ony? - mia³a ¿arliw¹ nadziejê, ¿e tyle tylko planowa³. - Czy nie mo¿esz zostawiaæ mnie w spokoju?

- To s¹ twoi goœcie, madame. S¹ w twoim domu. By³oby nieuprzejmoci¹ do³czyæ do nich, skoro natarczywie dopytuj¹ siê o ciebie - siêgn¹³ po szlafrok i rzuci³ jej. - Tyle wystarczy, ¿ono. Za³ó¿ to

i chodŸ ze mn<sup>1</sup>.

Nawet gdy zaczê<sup>3</sup>a wype<sup>3</sup>niaæ jego polecenie, jakiego zmys<sup>3</sup> kaza<sup>3</sup> jej byæ ostroŸn<sup>1</sup>. Wiedzia<sup>3</sup>a, Ÿe coœ by<sup>3</sup>o tu straszliwie wrêcz nie w porz<sup>1</sup>dku i Ÿe Achille wcale nie by<sup>3</sup> sk<sup>3</sup>onny chroniaæ jej przed zagroŸeniem. Oczekiwa<sup>3</sup>o j<sup>1</sup> przynajmniej poniŸenie i nie œmia<sup>3</sup>a nawet zgadywaæ, co jeszcze.

- Nie zwlekaj - rozkaza<sup>3</sup> z twarz<sup>1</sup>, na ktêrej malowa<sup>3</sup>a siê brzydota jego duszy. - W<sup>3</sup>œciwa godzina juŸ prawie minê<sup>3</sup>a.

- Nie - powiedzia<sup>3</sup>a, cofaj<sup>1</sup>c siê przed nim. Nie wiedzia<sup>3</sup>a o jak<sup>1</sup> godzinê mu chodzi, lecz rozumia<sup>3</sup>a, Ÿe czai siê w tym niebezpiecze<sup>3</sup>stwo. - IdŸ st<sup>1</sup>d, Achille. Nie czujê siê dobrze. Przeproœ, proszê ciê, swoich goœci w moim imieniu.

- To s<sup>1</sup> nasi goœcie - powiedzia<sup>3</sup> z ledwo skrywan<sup>1</sup> irytacj<sup>1</sup>. - Musisz zejœæ. Szczególnie, Ÿe Saint Sebastien bardzo chce ciê poznaæ - wskaza<sup>3</sup> na szlafrok. - Za<sup>3</sup>óŸ to, madame. Nie bêdê juŸ d<sup>3</sup>uŸej na ciebie czeka<sup>3</sup>.

- Nie! - potrz<sup>1</sup>snê<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

Achille zacisn<sup>13</sup> piêœci i ruszy<sup>3</sup> ku niej z wysi<sup>3</sup>kiem.

- Jesteœe moj<sup>1</sup> Ÿon<sup>1</sup>! Zrobisz jak kaŸê!

Lucienne Cressie pozna<sup>3</sup>a juŸ strach, lecz takie przeraŸenie, jakie ogarnê<sup>3</sup>o j<sup>1</sup> teraz, zaw<sup>3</sup>adnê<sup>3</sup>o ni<sup>1</sup> po raz pierwszy. Zaczê<sup>3</sup>a rzucaæ poduszkami, lecz on podchodzi<sup>3</sup> coraz bliŸej, nic sobie nie robi<sup>1</sup>c z tego protestu. Zdesperowana chwyci<sup>3</sup>a flakon perfum stoj<sup>1</sup>cy na stoliku obok <sup>3</sup>óŸka i cisnê<sup>3</sup>a nim w jego stronê. Trafiony w g<sup>3</sup>owê Achille zachwia<sup>3</sup> siê, przeklinaj<sup>1</sup>c bezg<sup>3</sup>ocenie.

Oszo<sup>3</sup>omiony rzuci<sup>3</sup> siê na Ÿonê.

La Cressie bez zastanowienia odwróci<sup>3</sup>a siê i b<sup>3</sup>yskawicznie otworzy<sup>3</sup>a okno, ktêre mia<sup>3</sup>a za plecami. By<sup>3</sup>a na pierwszym piêtrze, w dole zaœe rozpocœciera<sup>3</sup> siê ogród. Zanim Achille zd<sup>1</sup>Ÿy<sup>3</sup> j<sup>1</sup> z<sup>3</sup>apaæ, skoczy<sup>3</sup>a, wystawiaj<sup>1</sup>c nagie cia<sup>3</sup>o na ch<sup>3</sup>ód nocy.

Upad<sup>3</sup>a na zroszon<sup>1</sup> trawê. Jej umys<sup>3</sup> rozjaœni<sup>3</sup> siê: zrozumia<sup>3</sup>a, Ÿe przedtem nie w pe<sup>3</sup>ni kontrolowa<sup>3</sup>a swe poczynania. Z budynku tymczasem dochodzi<sup>3</sup>y j<sup>1</sup> liczne, podniesione g<sup>3</sup>osy. Poza wywichniêciem barku nie odnios<sup>3</sup>a wiêkszych obraŸe<sup>3</sup>. Gdy próbowa<sup>3</sup>a siê poruszyæ, jej cia<sup>3</sup>o przeszy<sup>3</sup> przenikliwy ból. W tej samej chwili pojawi<sup>3</sup>a siê zupe<sup>3</sup>nie oderwana myœl, Ÿe z takim ramieniem nie bêdzie mog<sup>3</sup>a graæ na wiolonczeli. Powinna poszukaæ pomocy i opieki.

Tymczasem g<sup>3</sup>osy zbliŸa<sup>3</sup>y siê, w mroku zamigota<sup>3</sup>a latarnia. La Cressie przeklina<sup>3</sup>a niepowodzenie - swoje nieudane spotkanie ze œmierci<sup>1</sup>. Wiedzia<sup>3</sup>a, Ÿe to nie przystoi, Ÿe powinna dziêkowaæ Bogu za szczêœliwy upadek, gdyŸ oszczêdzi<sup>3</sup> j<sup>1</sup>, by mog<sup>3</sup>a czyniaæ pokutê za grzechy, zarówno za Ÿ<sup>1</sup>dze cielesne, jak i próbê samobójstwa. Ca<sup>3</sup>ym sercem pragnê<sup>3</sup>a jednak umrzeæ teraz, gdy odg<sup>3</sup>osy kroków stawa<sup>3</sup>y siê coraz g<sup>3</sup>ocenniejsze.

- Mamy j<sup>1</sup> - powiedzia<sup>3</sup> ktoœ, kogo nie zna<sup>3</sup>a. Spojrza<sup>3</sup>a w górê. Nad ni<sup>1</sup> sta<sup>3</sup> wysoki, szczup<sup>3</sup>y mêŸczyzna, oko<sup>3</sup>o szeœædziesi<sup>1</sup>tki, ubrany zgodnie z ostatni<sup>1</sup> mod<sup>1</sup>. Powieki ciêŸko opada<sup>3</sup>y mu na

oczy, co nadawało jego twarzy gładki wygląd, a uśmiech, który trwa na ustach, bardziej przyprawiając lęk, niżli jego gniew.

Za nim nadszedł następny starszy mężczyzna. Po ubraniu poznał barona Beauvrai.

- Cholera, ty to masz szczęście, Clotaire - powiedziała nowo przybyła.

- Ofiara jest zatem twoja.

Clotaire de Saint Sebastien zachichota krótko. Lucienne zeszywniała z przerażenia.

- Słuchaj, nie się nada. Musimy jednak mieć pewność, że wciąż jest dziewicą. Niech Achille i jego przyjaciel zanieśli ją za chwilę do biblioteki

- uklęk przy Lucienne i mimo jej protestów wepchnij rękę między jej nogi.

- Nie, nie, nie... - szeptała, zaciskając uda.

- Madame... - powiedziała zimno Saint Sebastien. - Nie próbuj utrudniać. Ostrzegam cię po raz pierwszy i ostatni, iż nie będę tego tolerować.

Lucienne usiłowała jeszcze argumentować i szamotać się, ale baron tylko westchnął i silnie pchnął rękę, dotykając jej boleśnie w najczulszym miejscu. Poczuli zawrót głowy, ościskali znów, tym razem mimowolnie, nogi. Przyjemnie rwano barku ołóżko wraz z nowym ogniskiem cierpienia.

Saint Sebastien wstał.

- W porządku, jest nietknięta. Ilu z Kręgu ją weźmie? - nawet, jeżeli widział miejsce się w oczach Lucienne Cressie przerażenie, to nie zwrócił na nie uwagi.

- Miły kawałek ciała - Beauvrai spojrzał spokojnie na leżącą. - To wstyd, by marnować się dla kogoś takiego, jak Achille, powinniśmy się cieszyć, że on woli mężczyzn.

- Nie! Nie! Nie! - krzyczała Lucienne, rzucając się.

Teraz przychylił się do nich następni, a wśród nich Achille Cressie. Lucienne dojrzała czerwony pręgę, która wykwitowała na jego czole i pomyślała z niejaką satysfakcją, iż ciężki flakon perfum jednak go zranił.

- Do biblioteki! Natychmiast! Mamy mniej niż godzinę na dokończenie ceremonii. Następna okazja nadarzy się dopiero za trzy miesiące, gdy zbierze się w nas doświadczenie Mocy na Msze Miłosnej - rzekł Saint Sebastien, po czym dużymi krokami ruszył ku przeszklonym drzwiom prowadzącym do wnętrza domu.

Achille, wspólnie z kompanami, z radością wykonał polecenie. Schwycił Lucienne za nogi, podczas gdy Vandonne ujął ofiarę za ramiona, ignorując jęk wywołany powtórny urażeniem barku. Gdy ją podnieśli, zemknęła ponownie.

Odknęła się, leżąc na stole. Powoli uniosła ciężkie powieki. Nad jej głową zawieszony był krzyż. Przez chwilę pomyślała, że cały lęk spowodowany był gorączką i oto wreszcie przywieziono ją do lekarza. Wokół niej stały zakapturzone postacie. Już miała otworzyć usta, by podziękować tym miłosiernym braciom za ratunek, gdy spostrzegła, iż nadal jest naga. Jej wzrok ponownie spoczął na

krzyku... Uwazniej przyjrza³a siê wizerunkowi Chrystusa...

To bluŹnierstwo! Ze zgroz¹ odwróci³a g³owê, wiedz¹c ju¿, ¿e wszystko dzieje siê naprawdê.

- Wspaniale, wspaniale - rzuci³ Saint Sebastien, przysuwaj¹c siê do niej.

- Jest przytomna. To lepiej, to cudownie - zwróci³ siê do otaczaj¹cych go mê¿czyzn. - Mo¿ecie jej u¿ywaæ do woli, lecz pamiêtajcie: dziewictwo nale¿y do mnie.

- Czy bêdzie nam uleg³a? - spyta³ Vandonne g³osem dr¿¹cym z podniecenia. - Bêdzie... - zapewni³ Saint Sebastien. Lucienne zupe³nie straci³a nadziejê. - Jeœli by³oby inaczej, powiadomcie mnie. Potrafiê temu zaradziæ - Skin¹³ na zakapturzone postaci. - Lepiej j¹ zwi¹¿cie. Sznury s¹ na o³tarzu. I po³ó¿cie gdzieœ pod rêk¹ piekielny cz³onek. Bêdzie mi potrzebny o trzeciej... Upewnijcie siê, czy jest wystarczaj¹co gor¹cy.

- Gdy ty zrobisz swoje, to kto posmakuje jej nastêpny? - spyta³ jeden z mê¿czyzn, g³osem chropawym i zdradzaj¹cym niezbyt wyszukane maniery.

Lucienne nie zna³a go.

- O to musisz spytaæ naszego gospodarza. Jest jej mê¿em i ma prawo ni¹ dysponowaæ. Jeœli on nie zechce jej dla siebie... - to ostatnie zosta³o wypowiedziane z niemi³ym ucemiechem na twarzy.

Achille w odpowiedzi wyszczerzy³ zêby. Gdy odezwa³ siê, w jego g³osie brzmia³o autentyczne rozbawienie:

- Le Grace jest tak niecierpliwy, a my, wywodz¹cy siê z arystokracji rzadko mamy sposobnoœæ robiæ coœ dla co pospolitszych obywateli.

- Achille! - krzyknê³a Lucienne staraj¹c siê w tym okrzyku wyraziæ wszystko, co kiedyœ czu³a do mê¿a.

- Ucisz j¹, Le Grace - nakaza³ Achille.

Poczu³a, jak grubo ciosana d³oñ zamyka siê na jej ustach. Z nieopisanym przera¿eniem patrzy³a, jak wi¹¿¹ jej nogi i rêce. Tu¿ nad sob¹ us³ysza³a znów znenawidzony g³os Saint Sebastiena:

- W³adco Ciemnoœci, dla ciebie to, Mroczny Panie... Z pierwszym dotkniêciem jego narzucaj¹cego siê cia³a krzyknê³a i szarpnê³a w wiêzach. Gdzie podzia³ siê ten sen o delikatnych d³oniach, rozkosznych poca³unkach niczym tchnienie ¿ycia? Zawziête oczy wpatrywa³y siê prosto w jej twarz w trakcie gwa³tu. Zacisnê³a wargi chc¹c odebraæ katom chocia¿ tê satysfakcjê i zd³awiaæ krzyk w gardle.

Jednak wydarli z niej wszelkie odg³osy, u¿ywaj¹c jej na rozmaite sposoby. W chwili, gdy Saint Sebastien u¿y³ na niej diabelskiego cz³onka, by³a ju¿ tylko na wpó³ przytomna, tak ¿e potworne to wtargniêcie rozgrzanego ¿elaza wydoby³o z niej jedynie ciche westchnienie. Zapada³a w niecewiadomoœæ. Niektórzy z Krêgu przygl¹dali siê temu z wypiekami na twarzach, Achille Cressie nie by³o miêdzy nimi. Nie interesowa³o go ani trochê, co siê dzieje z jego ¿on¹.

Tekst sporz¹dzonego po ³acinie listu s³u¿¹cego Rogera do jego pana, hrabiego Saint-Germaina;



niedatowane: Do mego pana:

Jak pan mi to przykaza<sup>3</sup>, kontynuowa<sup>3</sup>em obserwacjê Saint Sebastiena. Zgodnie z Pana oczekiwaniami rzeczywiêcie zbiera wko<sup>3</sup>o siebie nowy Kr<sup>1</sup>g. Spotkali siê ju¿ w domu Achille'a Cressie, który odda<sup>3</sup> im swoj<sup>1</sup> ðonê. W<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a, gdy odchodzi<sup>3</sup>em stamt<sup>1</sup>d o œwiecie, lecz obawiam siê i¿ mog<sup>3</sup>a postradaæ zmys<sup>3</sup>y po tym, jak j<sup>1</sup> potraktowali. Saint Sebastien zdeflorowa<sup>3</sup> j<sup>1</sup>, a t<sup>1</sup> u¿yli jej inni, gwa<sup>3</sup>c<sup>1</sup>c w diabelski sposób. Pragn<sup>13</sup> pan wiedzieæ, kogo, spoœród osób twórc<sup>1</sup> Kr<sup>1</sup>g, rozpozna<sup>3</sup>em. Oto oni: de Vandonne, Chateaurouse, Jueneport, de la Sept-Nuit, Le GJB Jeœli pragnie pan tego, bêdê nadal œledzi<sup>3</sup> Saint Sebastiena. On jest pod<sup>3</sup>a kreatur<sup>1</sup>, mój panie. B<sup>3</sup>agam ciê, byœ go zg<sup>3</sup>adzi<sup>3</sup>.

Pozwoli<sup>3</sup>em sobie wezwaaæ ksiêdza do La Cressie, lecz s<sup>3</sup>u¿ba odmówi<sup>3</sup>a mu wejœcia. Zapeu panu uda siê tam, gdzie mnie spotka<sup>3</sup>a pora¿ka. Przez specjalnego pos<sup>3</sup>añca.

W<sup>3</sup>asnorêcznie,

Roger

7

Hotel Transylwania lœni<sup>3</sup> z daleka niczym ustawione bosk<sup>1</sup> rêk<sup>1</sup> pud<sup>3</sup>o z klejnotami. Wszystkie przejoœcia rozjaœnione by<sup>3</sup>y piêknymi œwiecami, a ka¿dy kandelabr p<sup>3</sup>on<sup>13</sup> tak jasno, ¿e zdawa<sup>3</sup> siê byæ ¿yw<sup>1</sup> istot<sup>1</sup>. Wielka Sala zosta<sup>3</sup>a przebudowana zgodnie z panuj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> mod<sup>1</sup>, a dla tych, którzy l bili przechadzaæ siê, dodano galeriê. Jednego tylko brakowa<sup>3</sup>o, by sukces rezydencji by<sup>3</sup> pe<sup>3</sup>en - luster. Odk<sup>1</sup>d wybudowano Wersal, przyjê<sup>3</sup>o siê, by w ka¿dym znamienitszym budynku œciany by<sup>3</sup>y zawieszone lustrami. Tymczasem w Hotelu Transylwania zast<sup>1</sup>pione zosta<sup>3</sup>y gigantycznymi malowid<sup>3</sup>ami zajmuj<sup>1</sup>cymi ca<sup>3</sup>e œciany. Dwa z nich by<sup>3</sup>y alegoriami przedstawiaj<sup>1</sup>cymi bohaterskie czyny Zeusa, inne - posêpny obraz œmierci Sokratesa - to autentyczny Velazquez. Ca<sup>3</sup>oœæ wywo<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup>a zachwyty i podziw œwietnej publicznoœci.

W p<sup>3</sup>nocnym skrzydle gigantycznego, dwupiêtrowego budynku umieszczono salony gry. By<sup>3</sup>y bogato urz<sup>1</sup>dzone, lecz bogactwo by<sup>3</sup>o niczym wobec fortun, które pod kryszta<sup>3</sup>owymi œwiecznikami zmienia<sup>3</sup>y w<sup>3</sup>accicieli.

Wreszcie nadszed<sup>3</sup> czas œwiêta dla Hotelu Transylwania. Po jednej stronie wielkiej sali balowej ustawiono kilkanaœcie kadzi z wyroœniêtymi drzewami pomarañcowymi. Wnêkê dla muzyków wype<sup>3</sup>niono kwiatami. Wszyscy komentowali tê ekstrawagancjê i po cichu zazdroœcili bogactwa, które symbolizowa<sup>3</sup>y te tak <sup>3</sup>atwo wiêdn<sup>1</sup>ce kwiaty, osi<sup>1</sup>gaj<sup>1</sup>ce o tej porze roku zawrotne ceny.

Pomiêdzy t<sup>3</sup>ocz<sup>1</sup>cymi siê goœciami przemykali lokaje i kelnerzy w <sup>3</sup>ososiowych liberiach, us<sup>3</sup>uguj<sup>1</sup>c szybko i dyskretnie. Ka¿dy spoœród zatrudnionych w rezydencji wykazaæ móg<sup>3</sup> siê jak najbardziej nienagannymi manierami i mówi<sup>3</sup> wykwinnym francuskim. Wszyscy stali goœcie traktowani byli z najwiêkszym szacunkiem. Wino podawano w najlepszych kryszta<sup>3</sup>ach, koniaki by<sup>3</sup>y najprzedniejsze. Ustawiona w trzech zbyt<sup>3</sup>ownych bufetach porcelana oraz srebrny serwis s<sup>3</sup>u¿yæ mog<sup>3</sup>y za wzór

kunstownej sztuki w³oskiego rzemios³a. Wyrafinowane jedzenie nap³ywa³o nieustannie z przepastnej kuchni na ty³ach rezydencji, gdzie krz¹ta³a siê ca³a armia mistrzów kucharskich i podkuchennych. Kontessa d'Argenlac odwróci³a siê z ucemiechem do swego towarzysza.

- Ach, markizie, jeżeli poceród ca³ego tego splendoru zauwa¿y³eœ w³acenie mojl bratanicê, to musi byæ ona z tego w najwiêkszym stopniu szczêeliwa. Zapewniani ciê uroczyœcie, ¿e nigdy dot¹d nie widzia³am niczego, co z tym mo¿na by porównaæ. Wszystko jest tu w najlepszym gatunku, urz¹dzone ze smakiem i bez szczêdzenia grosza.

Markiz Chateaurouse sk³oni³ siê lekko.

- Lecz jest to zwyk³y przepych, krzykliwa elegancja. Jak mam skupiaæ uwagê na czymœ takim, gdy obok mnie jest ¿ywa kobieta tak piêkna, jak mademoiselle de Montalia, która nieodparcie przyci¹ga moje spojrzenie? Przy niej wszystko inne musi zbledn¹æ.

- Oczywiście - powiedzia³a ciotka Madelaine, przymykaj¹c lekko oczy.

Uwa¿a³a tego m³odego szlachcica za dobr¹ partiê dla Madelaine, lecz wypowiada³ siê on trochê zbyt wylewnie. Wydawa³o siê jej, ¿e wiêcej w tym mistrzowskiej gry, ni¿ impulsów serca. Wiedzia³a, i¿ czêsto mêtczyŹni o wysokiej pozycji szukaj¹ ¿on, które by³yby dobrymi gospodyniami, z których dumni by byæ mogli jako z ozdób ich szlachectwa. Tak przecie¿ by³o z ni¹ i z jej mêtciem. Wiedzia³a, jak puste s¹ takie zwi¹zki.

- Dumna bêtê, mog¹c ci j¹ przedstawiæ, markizie - powiedzia³a machinalnie, przeciskaj¹c siê przez ci¿bê ku bufetowi, gdzie jej bratanica sta³a przy wazie z ponczem i rozmawia³a ¿ywo z hrabi¹ de Saint-Germainem.

- Moja droga - zwróci³a siê Claudia do bratanicy. - Oto markiz Chateaurouse, który przyszed³ tu specjalnie po to, by ciê poznaæ. Podziwia³ ciê dot¹d z daleka, ale teraz pragn¹³by poznaæ ciê bli¿ej.

Markiz sk³oni³ siê g³êboko, wykonuj¹c stosowny gest d³oni¹, ukazuj¹c przy okazji wystawny strój i zgrabn¹ sylwetkê. Rzuci³ Saint-Germainowi mi¹¿d¿¹ce spojrzenie i zwróci³ siê do Madelaine, ca³uj¹c podan¹ mu d³oñ.

- Têskni³em za t¹ chwil¹, odk¹d po raz pierwszy ujrza³em pani¹ na przeja¿d¿ce do Bois-Vert. Kilkanocce dni zabra³o mi zbieranie siê na odwagê, by zbli¿yæ siê do ciebie, pani.

Zazwyczaj tekst ten wywo³ywa³ rumieniec na twarzach dziewczyn, które poznawa³, Madelaine jednak powiedzia³a tylko:

- Jeżeli potrzebujesz panie odwagi, by zwróciæ siê do mnie, to niech niebiosy maj¹ w opiece Francjê, gdyby trzeba by³o stan¹æ do walki w jej obronie.

Chateaurouse zapomnia³ jêzyka w gêbie. Kontessa poczu³a siê zmieszana, tak manierami markiza, jak i nieuprzejmoœci¹ Madelaine. K³opotliw¹ ciszê przerwa³ dopiero Saint-Germain.

- Obawiam siê, ¿e nie doceni³ pan tych fortyfikacji, markizie - powiedzia³ z ucemiechem.

Lecz markiz Chateaurouse odzyska³ ju¿ kontenans.

- Nie ma pani pojęcia - rzekł do Madelaine, ignorując uwagę Saint-

- Germaina - jak osobliwym jest znaleźć dziewczynę, która mówi, co myśli. Proszę, nie powstrzymuj swego języka z litości nade mną. Taka naturalna rozmowa to coś naprawdę czarującego. Saint-Germain odstąpił i dyskretnie skinął w kierunku kontessy.

- Dlaczego go przedstawił? - spytał półgłosem, gdy stanął obok niego.

- Prosił mnie o to - odpowiedział równie cicho. - Pochodzi ze świetnej rodziny i nie słyszałem niczego, co by go dyskredytowało.

- Lecz teraz słyszał już, jak się wypowiada, zatem można powiedzieć, że sam się kompromituje. Chyba nie oczekuje, że Madelaine uwierzy w te bzdury, które on jej plecie?

Kontessa potrząsnęła głową.

- Czy jest coś, co powinnam wiedzieć? Wydajesz się być zaniepokojony, Saint-Germain. Czy wiesz cokolwiek, co świadczyłoby przeciwko niemu? - Była wyraźnie zaniepokojona, gdy już dawno zorientował się, jak dobrze poinformowany jest Saint-Germain o wszystkim, co dzieje się w Paryżu. Hrabia nie odpowiedział wprost, lecz stał, wpatrując się w przeciwną stronę z lekkim jakby roztargnieniem.

- Rozumiem, że pragniesz, by omijał Krąg Beauvrai - powiedział w końcu.

- Za wszelką cenę.

Saint-Germain przytaknął.

- Dobrze zatem. Powiem ci tyle, że Chateauroux był widziany z Saint Sebastienem. Nie wiem na pewno, czy jest trwale związany z tym towarzystwem, lecz pewnym jest, że nie czyni żadnych wysiłków, by go unikać. Może chciałabyś, bym powiedział coś o tym także i Madelaine? To czarująca dziewczyna i szkoda by było, gdyby nadużyto jej zaufania.

Kontessa rozejrzała się po zatoczonym salonie i teraz dopiero zauważyła obecność de les Radeux i Beauvrai.

- Proszę cię, hrabio, ostrzeż j! Lęki mego brata mogły być bezpodstawne, lecz przyznaję, że Saint Sebastien napełnia i mnie niepokojem. Nie mogę zapomnieć o tym, że od czterech dni nie dopuszcza się do Lucienne żadnych gości, i że Achille spędza sporo czasu z Saint Sebastienem.

- Biedna Claudia - mruknął Saint-Germain, całując współczująco dłoń kontessy. Odwrócił się, by napełnić jej pucharek ponczem. Wziął czarkę i upił ją małym łykiem. Potem zapytał z zakłopotaniem:

- Nie wiem, jak ty to zaplanujesz, lecz byłabym wdzięczna, gdybyś porozmawiał z Madelaine na osobności. Może mieć pytania, na które tutaj nie dałoby się odpowiedzieć - wskazała na rozświetlony salon. - Lecz na osobności...

W odległym kącie sali zespół muzykantów zakończył wyciszenie koncertu i szmer oklasków przeszedł po tłumie. Muzycy wstali, skłonili się i zaczęli przygotowywać się do kolejnego utworu.

- Oczywiście. Znajdę tutaj jakiegoś małego pokój. Czy życzy sobie nam towarzyszyć? - spojrzał

na ni<sup>1</sup> swoimi zniewalaj<sup>1</sup>cymi oczami. Pocz<sup>3</sup>a,  $\zeta$ e dociera tym spojrzeniem do dna jej duszy.

Kontessa znalaz<sup>3</sup>a si<sup>e</sup> w rozterce. Wiedzia<sup>3</sup>a,  $\zeta$ e jako opiekunka bratanicy powinna towarzyszy<sup>æ</sup> jej wsz<sup>e</sup>dzie, lecz cz<sup>3</sup>a równie $\zeta$ ,  $\zeta$ e Saint-Germain jest m<sup>e</sup> $\zeta$ czyn<sup>1</sup> honorowym, którego szalony wiek min<sup>13</sup> ju $\zeta$  dawno, oraz dyskretnym. Nie wi<sup>1</sup>za<sup>3</sup> si<sup>e</sup> z jego osob<sup>1</sup>  $\zeta$ aden skandal. Spojrza<sup>3</sup>a na niego raz jeszcze i podj<sup>æ</sup>a decyzj<sup>e</sup>: o wiele mniej uwagi wzbudzi znikni<sup>e</sup>cie samej Madelaine.

- To m<sup>1</sup>drze z twojej strony - powiedzia<sup>3</sup> Saint-Germain. Kontessa zdziwi<sup>3</sup>a si<sup>e</sup>, nie pami<sup>e</sup>ta<sup>3</sup>a bowiem, by cokolwiek ze swych myce<sup>1</sup> wypowiedzia<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>oceno. - Za chwil<sup>e</sup> wyjd<sup>e</sup> z Madelaine. Gdyby<sup>e</sup> teraz przesz<sup>3</sup>a do jadalni, to jej odej<sup>e</sup>cie st<sup>1</sup>d nie zwr<sup>o</sup>ci uwagi, a gdyby nawet, to pomyce<sup>1</sup>,  $\zeta$ e zabieram j<sup>1</sup> do ciebie.

Przytakn<sup>e</sup>3a, zbita nieco z tropu i zdeorientowana. Spojrza<sup>3</sup>a niespokojnie w kierunku Madelaine, kt<sup>o</sup>ra wci<sup>1</sup> $\zeta$  jeszcze rozmawia<sup>3</sup>a z Chateauosem.

- M<sup>o</sup>j Bo $\zeta$ e - powiedzia<sup>3</sup>a, patrz<sup>1</sup>c na sw<sup>1</sup> bratanic<sup>e</sup> i pi<sup>e</sup>knego markiza.

- Nie martw si<sup>e</sup> - pocieszy<sup>3</sup> j<sup>1</sup> Saint-Germain. - Jeste<sup>e</sup> dla niej jak matka i nie ma nic dziwnego w twoim niepokoju. Obiecuj<sup>e</sup> ci,  $\zeta$ e Saint Sebastien jej nie zagra $\zeta$ a i zrobi<sup>e</sup> co tylko w mojej mocy, by by<sup>3</sup>o tak zawsze.

Kontessa odwr<sup>o</sup>ci<sup>3</sup>a si<sup>e</sup> do niego gwa<sup>3</sup>townie.

- Jeste<sup>e</sup> dla nas tak mi<sup>3</sup>y, hrabio. Wiem,  $\zeta$ e to zabrzmi nieuprzejmie, ale czasem sama si<sup>e</sup> dziwi<sup>e</sup>, czemu to wszystko robisz.

- Nie obawiaj si<sup>e</sup>, nie chodzi mi o to, by samemu zdoby<sup>æ</sup> cze<sup>e</sup>æ Madelaine

- roze<sup>e</sup>mia<sup>3</sup> si<sup>e</sup> Saint-Germain. - Powiedzmy,  $\zeta$ e Saint Sebastien i jego kompania s<sup>1</sup> mi tak samo potrzebni do  $\zeta$ ycia, jak i tobie.

Kontessa wiedzia<sup>3</sup>a,  $\zeta$ e winna zadowol<sup>ia</sup> si<sup>e</sup> t<sup>1</sup> odpowiedzi<sup>1</sup>, chocia $\zeta$  wcale nie by<sup>3</sup>a ona satysfakcjonuj<sup>1</sup>ca. Po cichu ucieszy<sup>3</sup>a si<sup>e</sup>, i $\zeta$  Saint-Germain te $\zeta$  nie lubi Saint Sebastiena. Cie<sup>n</sup> niepewno<sup>e</sup>ci, kt<sup>o</sup>ry przemkn<sup>13</sup> przez jej myce<sup>1</sup>, rozproszy<sup>3</sup> si<sup>e</sup>. O wiele ju $\zeta$  spokojniejsza, zgodnie ze zwyczajem, przeprosi<sup>3</sup>a hrabiego i skierowa<sup>3</sup>a si<sup>e</sup> do jadalni.

W chwil<sup>e</sup> p<sup>o</sup>Źniej Saint-Germain zaoferowa<sup>3</sup> swe rami<sup>e</sup> Madelaine.

- Tysi<sup>1</sup>ckrotne przeprosiny, Chateauose, lecz kontessa z<sup>3</sup>o $\zeta$ y<sup>3</sup>a na me barki s<sup>3</sup>odki obowi<sup>1</sup>zek odprowadzenia bratanicy do jadalni, by towarzyszy<sup>3</sup>a jej w kolacji.

- Jece<sup>1</sup>li zechce pan uczyni<sup>æ</sup> mnie swym zast<sup>e</sup>pc<sup>1</sup>, Saint-Germain, w<sup>o</sup>wczas nie b<sup>e</sup>dzie pan musia<sup>3</sup> k<sup>3</sup>opotae si<sup>e</sup> takimi obowi<sup>1</sup>zkami, a ja zaznam przyjemno<sup>e</sup>ci przebywania w promiennym towarzystwie mademoiselle jeszcze przynajmniej przez par<sup>e</sup> chwil. - Chateauose nie by<sup>3</sup> bynajmniej zmieszany.

- Nie b<sup>e</sup>dzie to wcale bardziej k<sup>3</sup>opotliwe dla mnie, ni $\zeta$  by<sup>3</sup>oby dla ciebie

- stwierdzi<sup>3</sup> Saint-Germain, nadstawiaj<sup>1</sup>c Madelaine zgi<sup>e</sup>te rami<sup>e</sup>. - Ta<sup>n</sup>czy<sup>3</sup>ee z ni<sup>1</sup> i by<sup>3</sup>ee przy jej boku przez p<sup>o</sup>3 godziny, Chateauose. Masz przy tym nade mn<sup>1</sup> t<sup>e</sup> przewag<sup>e</sup>,  $\zeta$ e ja nie ta<sup>n</sup>cz<sup>e</sup>. Nie b<sup>1</sup>d<sup>Ź</sup> zatem zazdrosny o te kilka minut, kt<sup>o</sup>re zajmie przeprowadzenie tej oto damy st<sup>1</sup>d, do jadalni.

- Toż to cała noc upłynie, nim ona wróci - powiedziało srogo markiz, jakby oskarżając Saint-Germaina o jakiegoś perfidne zamiary. Hrabia nie zwrócił na to uwagi.

- Chodź, dziecko. Twoja ciotka czeka - uciechnę się z oceliwe do Chateauroux.

- Będzie pan musiał znaleźć sobie jakiegoś inne zajęcie pod moją nieobecność. Ta batalia skończyła się zwyciężnym niepowodzeniem - dodała Madelaine.

Orkiestra przechodziła w mocnym akordem do skądanki wariacji na temat popularnych arii Haendla, toteż Saint-Germain nie usłyszał ostatniej uwagi. Cisza tylko mocniej jej rękę, by milczała, nim nie wyjdzie z salonu.

Gdy przeszli przez podwójne drzwi prowadzące na korytarz, Madelaine zdobyła się na komentarz:

- Wdzięczna jestem za ratunek, który przyszedł w stosownej chwili. Saint-Germain spojrzawszy zdziwiony.

- Nudzi cię? - zapytał.

- Gorzej - powiedziała, nie protestując i nie pytając, dokąd waciecie Saint-Germain ją prowadzi. - To bardzo miło słyszeć, że jest ci atrakcyjny, lecz ja wiem, że nie jestem najpiękniejszą kobietą tego wieczoru. Madame de Chardonnay i diuszessa Quainord są o wiele bardziej urodziwe ode mnie. - cięgnęła, zapalając się do rozmowy - nie ciesz się, gdy ktoś przemawia do mnie w sposób, jakbym dopiero co opuściła mury szkoły...

- Bo i opuściłaś je całkiem niedawno - wtrącił z pewnym rozbawieniem Saint-Germain, otwierając drzwi do małego, nie dla wszystkich dostępnego pokoju. Madelaine uśmiechnęła się, że nie słyszy.

- ...i rozumiała tylko jedno słowo na piśmie - nagle zdała sobie sprawę, że to nie jadalnia i rozejrzała się zdumiona.

Pokój nie był duży, lecz umeblowano go niezwykle gustownie. Po bokach kominka stały dwie sofy, a pod rzeźbionym obramowaniem z marmuru tlił się ogień. Tuż nad stołem wisiała na łańcuchach jeszcze jeden Velazquez w pozłacanej ramie, na blacie zaś leżało kilka oprawnych w marokini księgi, teleskop i astrolabium. Naprzeciw kominka piękna draperia z chińskiego brokatu zasłaniała wejście do alkowy z włoskim, klasztornym twardym drewnem, które nie miało w sobie nic z bogactwa i przepychu.

Saint-Germain podprowadził Madelaine do bliższej z dwóch sof, a sam przeszedł przez pokój do stołu.

- Usiedź, proszę - powiedziało pogodnie, wskazując na obity perskim adamaszkiem mebel. - Chciałbym z tobą o czymś porozmawiać.

Madelaine omiotła pomieszczenie spojrzeniem. Mimo wszystko długo wpajane jej uprzedzenie do mężczyzny wzięło górę nad zaufaniem, które wobec niego żywiła.

- Gdzie jesteśmy? - spytała, próbując nie okazać po sobie niepokoju.

- W jednym z prywatnych pokoi - Saint-Germain bawił się teleskopem, nie patrząc na nią.

- A moja ciocia...?

- ...jest na kolacji, jak ci mówi³em. Do³czy my do niej nieco póŹniej. Jej g³os by³ stanowczy, gdy sprawdzaj¹c go, powiedzia³a:

- A gdybym chcia³a przy³czyæ siê do niej teraz?

- Wtedy, oczywiêcie, natychmiast bym ciê odprowadzi³ - hrabia podniós³ teleskop i przesun¹³ palcami po piêknej tubie z br¹zu. - Wspania³y instrument. A jednak Galileusz zosta³ zmuszony do odwo³ania swych œwiadczeñ. Szkoda.

Madelaine rzuci³a okiem na drzwi i ujrza³a, Ÿe nie s¹ zamkniête. W zamku tkwi³ klucz, a jedna z klamek skierowana by³a w dół. Jej ciekawoœæ zosta³a rozbudzona, a poczucie bezpieczeñstwa zaspokojone. Rozsiad³a siê zatem wygodniej. Wiedzia³a, Ÿe gdyby znaleziono ich razem, by³aby to dla niej straszliwa kompromitacja, lecz coœ mówi³o jej, Ÿe do niczego takiego nie dojdzie.

- Mê¿czyzna opowiadaj¹cy o Galileuszu nie wydaje siê mieæ wiele wspólnego z adoratorem.

- Nie - Saint-Germain odstawi³ teleskop. - To, co mam ci do powiedzenia, nie ma nic wspólnego z uwielbieniem kogokolwiek. W twoim interesie le¿y wys³uchanie mnie.

Madelaine z wpraw¹ u³o¿y³a woko³o swe suknie z tafty.

- Dobrze, hrabio. Wys³ucham - uœmiechnê³a siê mimowolnie, widzi¹c b³ysk aprobaty w jego oczach.

Na chwilê zapad³a cisza. Saint-Germain tymczasem opar³ siê o stół i wcisn¹³ d³onie g³êboko w kieszenie surduta o szerokich po³ach.

- Co wiesz o Szatanie? - spyta³ j¹ rzeczowo.

- Szatan jest wrogiem Boga i cz³owieka, upad³ym anio³em, który d¹¿y boskoœci równiej Stwórcy... - zawaha³a siê. - Zosta³ ustanowiony na Ziemi, aby drêczyæ nas pokusami i podstêpami.

Saint-Germain ze zniechêceniem pokrêci³ g³ow¹.

- Nie chodzi mi o wyuczone odpowiedzi, które wpoi³y w ciebie siostrzyczki. Proszê. Co wiesz o potêdze zwanej Szatanem?

- Ju¿ powiedzia³am - patrzy³a na niego zmieszana.

- A zatem musimy zacz¹æ od pocz¹tku - powiedzia³ z westchnieniem. Podniós³ g³owê, potem znów j¹ opuœci³, nie wiedzi¹c, jak rozpocz¹æ wyk³ad.

- Istnieje jedynie Moc. To ona przep³ywa przez nas jak rzeka, daj¹c nam Ÿycie, lecz mog¹c nas te¿ zg³adziæ. Czy powodzi nam siê wspaniale, czy tonimy poœród powodzi, to jest zawsze ta sama rzeka. Tak jest w³acenie z Moc¹. Gdy wynosi nas ku dobroci i szlachetnoœci, sk³ania nas do Ÿyczliwoœci i siêgania po wy¿sze cele, wówczas nazywamy j¹ Bogiem. Lecz gdy wykorzystywana jest dla sprawiania bólu, cierpienia i poni¿ania innych, wówczas nosi miano Szatana. Moc jest obojgiem. Naszym jest wybór miêdzy jednym a drugim.

- To herezja... - zaczê³a bez przekonania.

- Nie. To prawda - Saint-Germain przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> widz<sup>1</sup>c, jak wpojone przez siostry nawyki mycelenia zmagaj<sup>1</sup> si<sup>ê</sup> z jej zdrowym rozs<sup>1</sup>dkiem. W ko<sup>1</sup>ncu nabra<sup>3</sup> pewno<sup>1</sup>œci,  $\zeta$ e oszcz<sup>ê</sup>dzone mu b<sup>ê</sup>d<sup>1</sup> pospieszne os<sup>1</sup>dy.

- Uwierz mi zatem, przynajmniej dla dobra rozmowy. S<sup>1</sup> bowiem tacy, którzy wzywaj<sup>1</sup> Moc pod postaci<sup>1</sup> Szatana i wykorzystuj<sup>1</sup> j<sup>1</sup> dla pomna<sup>1</sup>zania smutku tego œwiata.

- I sp<sup>ê</sup>d<sup>1</sup> wieczno<sup>1</sup>œæ cierpi<sup>1</sup>c w piekle - powiedzia<sup>3</sup>a natychmiast Madelaine z niejaki<sup>1</sup> satysfakcj<sup>1</sup>.

- Nic nie wiesz o wieczno<sup>1</sup>œci - powiedzia<sup>3</sup> ostro, lecz <sup>3</sup>agodny wyraz jego oczu uj<sup>1</sup>³ uszczypliwo<sup>1</sup>œci s<sup>3</sup>owom. - S<sup>1</sup> tacy w Pary<sup>1</sup>u - zmieni<sup>3</sup> ton

- którzy zbieraj<sup>1</sup> si<sup>ê</sup>, by przyzywa<sup>æ</sup> Moc pod postaci<sup>1</sup> Szatana. Obchodz<sup>1</sup> zwykle dwa œwi<sup>ê</sup>ta w roku - jedno w wigili<sup>ê</sup> Wszystkich Œwi<sup>ê</sup>tych, drugie w zimowe przesilenie. Pierwsze, to proste z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>enie ofiary, a t<sup>ê</sup> ju<sup>1</sup> sobie wybrali. Lecz na to drugie ich Regu<sup>3</sup>a po<sup>1</sup>da ofiarowania dziewicy, i to zar<sup>1</sup>ówno cia<sup>3</sup>em, jak i krwi<sup>1</sup>.

Madelaine wiele by da<sup>3</sup>a, by znale<sup>1</sup>æ jakieœ  $\zeta$ artobliwe s<sup>3</sup>owo mog<sup>1</sup>ce rozproszy<sup>æ</sup> mroczn<sup>1</sup> atmosfer<sup>ê</sup> ostrze<sup>1</sup>œ<sup>1</sup>, lecz jedyne, co by<sup>3</sup>a w stanie zrobi<sup>æ</sup>, to patrze<sup>æ</sup> na niego rozszerzonymi oczami, z sercem pe<sup>3</sup>nym niepokoj<sup>1</sup>.

- Twoja ciotka powiedzia<sup>3</sup>a mi,  $\zeta$ e twój ojciec by<sup>3</sup> kiedyœ zwi<sup>1</sup>zany z kr<sup>ê</sup>giem Saint Sebastiena. To w<sup>3</sup>acenie Saint Sebastien pragnie z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>cy<sup>æ</sup> ofiar<sup>ê</sup>, a pomagaj<sup>1</sup> mu w tym Beauvrai i inni. Mia<sup>3</sup>a miejsce ju<sup>1</sup> jedna pomniejsza ceremonia - przynajmniej oni odebrali j<sup>1</sup> jako pomniejsz<sup>1</sup> - a on ur<sup>1</sup>³ przez to w si<sup>3</sup>ê. Nie chc<sup>ê</sup> ci<sup>ê</sup> straszy<sup>æ</sup>, Madelaine, lecz nie wolno ci mie<sup>æ</sup> nic wsp<sup>1</sup>ólnego z kimkolwiek z Kr<sup>ê</sup>gu Saint Sebastiena. A to obejmuje i m<sup>3</sup>odego Chateaur<sup>1</sup>ose.

- Chateaur<sup>1</sup>ose? To tylko g<sup>3</sup>upi dandys - powiedzia<sup>3</sup>a z naciskiem. - Tak tylko ci si<sup>ê</sup> zdaje, moja droga. Ale twoja dusza zawsze podpowie ci co innego.

Wpatrywa<sup>3</sup>a si<sup>ê</sup> w niego mc me rozumiej<sup>1</sup>c.

- Twoja dusza jest jak jasny i l<sup>1</sup>eni<sup>1</sup>cy miecz, który zawsze przedrze si<sup>ê</sup> przez k<sup>3</sup>amstwo i si<sup>ê</sup>gnie prawdy. Nie poddawaj tego w w<sup>1</sup>tpliwo<sup>1</sup>œæ, Madelaine.

- Wiem, co moja dusza podpowiada mi teraz - wyszepta<sup>3</sup>a, lecz Saint-Germain zda<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> tego nie s<sup>3</sup>ysze<sup>æ</sup>.

- Powiedz mi - bezwiednie wpatrywa<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> w p<sup>3</sup>omienie - co czujesz, gdy rozmawiasz z Chateaur<sup>1</sup>osem, gdy on do ciebie przemawia?

Wzdrygn<sup>ê</sup>a si<sup>ê</sup>.

- To, co czuje zapewne kwiat, gdy pe<sup>3</sup>za po nim wielki robak.

- W<sup>3</sup>acenie - westchn<sup>1</sup>³.

- Lecz - zaprotestowa<sup>3</sup>a, wstrz<sup>1</sup>œni<sup>ê</sup>ta w<sup>3</sup>asnymi s<sup>3</sup>owami. - On jest niczym. Niczego nie zrobi<sup>3</sup>...

- Nie lekcewa<sup>1</sup>  $\zeta$ adnego z nich, dziecko. Bo inaczej to mo<sup>1</sup>ze doprowadzi<sup>æ</sup> ci<sup>ê</sup> do upadku.

Madelaine przygląda się uważnie swoim d³oniom.

- A ty? Czemu mia³byœ troszczyæ siê o to, co stanie siê ze mn¹? Dlaczego mnie ostrzegasz? Odwróci³ siê do niej, nie odwa¿aj¹c siê jednak spojrzeæ w jej piêkn¹ twarz i oczy, w których pojawi³o siê zrozumienie.

- To niewa¿ne.

- Jeœli mi nie powiesz, dojdê do wniosku, ¿e chodzi tu o mnie sam¹. Nagle jego oczy, teraz pe³ne uczucia, napotka³y jej spojrzenie. Post¹pi³ o krok.

- Twoje ¿ycie jest takie pogodne i tak przera¿aj¹co krótkie, ¿e nie s¹dzê, bym móg³ znieœæ skrócenie go o choæby jedn¹ godzinê... Wsta³a, jej policzki okry³y siê bladoœci¹.

- Saint-Germain!

Zacemia³ siê cicho i opar³ z powrotem o stó³, krzywi¹c usta w autoironicznym uœmiechu.

- Nie, nie musisz siê mnie baæ. Nie znajdujê radoœci we wzbudzaniu lêku groŹb¹ napœeci. Od ponad piêciuset lat nie narzuci³em siê kobiecie, a i wtedy mia³o to miejsce w innym sensie, ni¿ myœlisz.

W pokoju zapad³a martwa cisza. Trójramiennie œwieczniki migota³y, zalewaj¹c pomieszczenie bursztynowym blaskiem dwudziestu jeden œwiec.

- Piêæset lat? - Madelaine próbowa³a wypowiedzieæ to kpi¹cym tonem, lecz drwina uwiêz³a jej w gardle. - To ile masz lat?...

- Nie pamie³tam - powiedzia³, ponownie siê od niej odwracaj¹c.

- By³em ju¿ stary, gdy Cezar zasiada³ w Rzymie, s³ucha³em nauk Arystotelesa, a Akhenaten s³awi³ podobieñstwo pos¹gu, który zamówi³em w Amarna, dla jego ukochanej Nefretiti. Nikt nie znalaz³ jeszcze ruin tego miasta, lecz ja chodzi³em jego ulicami, gdy by³o jeszcze m³ode.

- I nigdy nie umar³eœ? - czu³a, jak rêce grabiej¹ jej, gdy wypowiada³a te s³owa.

- Kiedyœ zapewne mi siê to zdarzy³o. Dawno temu. Nie pamie³ta Z pewnoœci¹ widzia³em jednak doœæ œmierci, by wiedzieæ, jak kruche i cen jest ¿ycie.

Madelaine poczu³a, jak ¿y nap³ywaj¹ jej do oczu. W jego s³owach by³o ty³ samotnoœci i bólu. Serce œcisnê³o siê jej z ¿alu nad tym niesamowitym mê¿czyzn¹.

- Och, nie lituj siê nade mn¹! Zazna³em nie tylko bliskoœci œmierci Zdarza³o siê zapewne i tak, ¿e popada³em w szaleñstwo, a wówczas k¹pa³em siê we krwi. By³ czas, ¿e potrzebowa³em okrucieñstw wojny. Pamie³tam rzymski cyrk i wstrz¹sa mn¹ na te wspomnienia. Ca³kiem niedawno, gdy wróci³em na jakieœ czas do ojczyzny, upaja³em siê odbieraniem ¿ycia innym ukrywaj¹c siê pod mask¹ patrioty - znów na ni¹ spojrz³. - Widzisz wiêc ¿e szacunek, który ¿ywiê dla ciebie i twego krótkiego ¿ycia, zosta³ drogo okupiony.

- Czy a¿ tak jesteœ nieszcze³eliwy, Saint-Germain? - wyszepta³a, lecz on ci¹gn¹³ dalej.

- Pijê eliksir ¿ycia i dziêki temu nie umieram. Nie mogê umrzeæ - dotkn¹³ d³oni¹ koronkowej kryzy wokó³ szyi i przesun¹³ palcami po tkwi¹cym tam rubinie.



- I przeżywszy tyle stuleci wciąż jeszcze znajdujesz dla mnie choć cień zainteresowania? - w jej głosie brzmiało szczere zdziwienie. Czuję bowiem, iż lek zniknął bez śladu.

- Oczywiście - szeptane to pogodnie wypowiedziane stwierdzenie, spojrzawszy na niego, dostrzegając w pięknej twarzy hrabiego coś, co czasem dawało się zauważać w markowej porcelanie czy delikatnym papierze - rodzaj półprzezroczystości, która mówiła więcej o jego wieku, niż mogłyby powiedzieć zmarszczki. - Gdy byłem młody - rzekł - uważano mnie za wysokiego. Teraz mój wzrost jest mniej niż przeciętny. Za czterysta czy pięćset lat będę po prostu karłem.

Podszedł do niej, a gdy dzieliła ich tylko długi wyprostowany ramienia, sięgnął i dotknął dłońmi jej twarzy.

- Saint-Germain - wyszeptała i uniosła rękę, by objąć jego dłoń.

- Nie kucnij mnie, Madelaine. Nie wiesz, czego pragnę... - odstąpił od niej opanowany. - Chodź, zaprowadzę cię do ciotki. - Jego maniery były znowu nienagane, pilnował dystansu między nimi. - Pamiętaj, co powiedziałem ci o Saint Sebastienie. Bądź ostrożna. Będę cię strzegł, lecz twój własny rozdział będzie dla ciebie najlepszą ochroną. I nie bądź zbyt dumna, by poprosić o pomoc.

Znów ujął jego dłoń.

- Ten eliksir życia - powiedziała, wpatrując się w jego oczy. - Jak go zdobywasz?

Pozostał na dystans, lecz podziwiał jej odwagę. Tak niewiele by trzeba, gdyby chciał ją teraz zdobyć... Pomyślał jednak o ewentualnych konsekwencjach i postarał się stłumić tę tęsknotę.

- Spijam go - powiedziała szorstko. - Spytaj Lucienne Cressie.

- Tak myślałam - przytaknęła. - Czy to ty jesteś sprawcą jej choroby?

- Nie - jego głos był stłumiony, lecz pełen uczucia. Uwolnił swój dłoń. - Wezwaj mnie, nie mając nikogo innego. Gdyby ten ktoś był, nawet bym się do niej nie zbliżył.

- Czy ona wie, że ty ty?

- On miewa sny, moja droga - zaczęła się Saint-Germain. - Piękne, słodkie sny, w których rozkwita na chwilę. Potem przychodzi rano i wszystko znów wraca do normy.

Siostry mówiły mi o nocnych zmorach, o diabelskich stworach, które pozbawione są życia, lecz nie są też martwe, a które piją krew chrześcijan, unosząc w swych nieczystych objęciach ich dusze. Lecz ty mówisz, że La Cressie jest wtedy szczęśliwa?

Przeklinała siebie za czułość, jak okazała Madelaine.

- Pozornie - powiedziała sucho. Wstydlawy, nieco chytry ucieszek przebiegł po jego twarzy.

- Saint-Germain, jedno z ogniw mego łańcuszka jest pęknięte - powiedziała, dotykając naszyjnika. - Mam rankę na szyi. Krwawi.

Jego oczy mimowolnie powędrowały ku jej szyi. Dostrzegł małą plamkę krwi.

- Nie proponujesz mi owcy czy konia? - chciał, by te słowa zabrzmiały nonszalancko, lecz bardziej przypominały wymówkę.

- Dopiero, gdybyœ chcia³ wiêcej, ni¿ sama posiadam. Raz jeszcze siê rozcemia³, lecz tym razem radoœnie.

- Nie potrzeba mi wiêcej, ni¿ mieœci siê w kieliszku do wina - przerwa³, patrz¹c jej w twarz. - Lecz niesie to ze sob¹ pewne ryzyko - doda³ szybko.

- Jakie? - ucemiœni³a siê; radosne iskierki jarzy³y siê w jej fio³kowych oczach.

- Jeœli wypijê zbyt du¿o... - podszed³ do niej i dotkn¹³ jej ramion. Jego g³os by³ bardzo cichy. - Jeœli wpijê siê zbyt g³êboko lub bêdê robi³ to zbyt czêsto, staniesz siê taka jak ja. Po swej œmierci, naturalnie. Bêdziesz uwzgl¹dana za istotê nieczyst¹ i bezbo¿n¹, bêdziesz zwierzyn¹ tropion¹ przez ró¿nych szaleñców i ca³y œwiat bêdzie tob¹ gardziæ.

- Tob¹ nikt nie pogardza - zauwa¿y³a.

- Bo nauczy³em siê ¿yæ.

- Lecz raz z pewnoœci¹ mo¿esz upiæ bez szkody - nalega³a. Jej twarz rozjaœniona by³a radosnym pragnieniem. - Saint-Germain, proszê...

- Wci¹¿ jeszcze mogê ciê odprowadziæ do ciotki.

- Nie, hrabio - podesz³a do drzwi i zagrodzi³a drogê. - Nie rozumiem, jak kobieta mo¿e ceniæ honor wy¿ej ni¿ mi³oœæ, trzymaj¹c siê na dodatek tego honoru w sposób zupe³nie pozbawiony konsekwencji. Wiem ju¿ coœ o tym. Skoro muszê ¿yæ jak ciotka, to niech poznam - przynajmniej teraz - co znaczy, byæ kochan¹.

Tym razem ucemiœch, który rozjaœni³ jego twarz by³ zupe³nie inny. Madelaine czu³a jak serce bi³o jej coraz mocniej, gdy podchodzi³ do niej. Wprawne rêce rozpiê³y zamek jej naszyjnika, pozwoli³ mu upaœæ na pod³ogê.

- Có¿, zdecydowa³aœ siê?

D³onie Saint-Germaina ogrzewa³y j¹ teraz prostymi, rozkosznymi pieszczotami. Pewnie i œagodnie odszuka³y s³odki ciê¿ar jej piersi, unosz¹c je i zmagaj¹c siê z gorsetem. Saint-Germain czu³, jak wzbieraj¹ w jego d³oniach Wzi¹³ j¹ w objêcia, ca³uj¹c powieki, usta, a potem, z przyprawiaj¹c¹ niemal³ zawrót g³owy rozkosz¹, przyssa³ siê do jej szyi.

Madelaine wyda³a przyciszony okrzyk triumfu i mocniej objê³a go ramionami, poddaj¹c siê bez reszty jego poca³unkom.

Wyjtek z listu kontessy d'Argenlac do jej męza, hrabiego d'Argenlac; datowane 14 października 1743:

(...) I tak więc, mój drogi męzu, ufam, że będziesz towarzyszy mi w tych przygotowaniach, o których wspomniałam. Listopad będzie ponury i wszyscy z radością powitają pomysły przyjęcia, które planuję.

Zdaję sobie sprawę z tego, jak drogie są ci twoje cieplarnie, lecz liczę bardzo na dowód twego dla mnie uczucia, którym byłyby owoce dla gości. Szczególnie twoje morele są zazwyczaj bardzo chwalone i podziwiane.

Wynajęłam królewski zespół tancerek, a Saint-Germain obiecał skomponować nowe utwory wokalne dla Madelaine. Powiedziała, że skoro La Cressie ci jeszcze przebywa w soku, to rozważy możliwość osobistego akompaniowania Madelaine na fortepianie lub gitarze. Madelaine jest oczywiście zachwycona, a ja wiem, że będzie to występ, który wzbudzi duże zainteresowanie.

Twój nagły wyjazd bardzo mnie zdziwił, a jego powody zasmuciły mnie. To przykre, że popadłem w takie kłopoty finansowe. Gdybyś powiedziała mi o tym wcześniej, wówczas mogłabym coś zaradzić. Zagwarantowałam ci osobiście spłatę twego długu wobec Jueneporta, co trochę ułatwi ci rozwiązanie tego problemu, przynajmniej w tej chwili. Pozwól, że raz jeszcze wezwę cię do porzucenia hazardu, który tak fatalnie odbija się na twoim dobrym imieniu i interesach. Twój zarządca powiedział mi, iż skończyła się już możliwość obciążenia hipotecznego twoich dóbr. Do czasu naszej wczorajszej rozmowy nie znam stanu twojej hipoteki. Proszę, ujawnij przede mną wszystkie twoje długi, a ja naradzę się z moim bratem i moim zarządcą, jak zapłacić ich spłatę lub odroczenie. W każdym innym przypadku będę pełna obaw, iż może zagrozić ci proces sądowy i znaczny wyrok.

Wypatruję twego powrotu, drogi męzu, i czekam, kiedy znów będę miała okazję ujrzeć cię. Pozostaję tymczasem twoją posłuszną i kochającą cię żoną

**Claudia de Montalia Kontessa d'Argenlac**

- Ty przeklęty idioto - powiedzia<sup>3</sup> cicho Saint Sebastien przydaj<sup>1c</sup> się pogardliwie Jacquesowi Eugene Chateaurouse. - Wiedzia<sup>3</sup>ęce, że ona nie lubi pustych komplementów i s<sup>3</sup>odkich s<sup>3</sup>ówek.

- Jak mia<sup>3</sup>em to zgadn<sup>1æ</sup>? Nie ma jeszcze dwudziestu lat; wyros<sup>3a</sup> na wsi, naucza<sup>3y</sup> j<sup>1</sup> siostry zakonne. Moje maniery powinny j<sup>1</sup> olęnia<sup>æ</sup>. Wiesz, że dot<sup>1d</sup> to skutkowa<sup>3o</sup> - Chateaurouse podniós<sup>3</sup> jedn<sup>1</sup> z leż<sup>1</sup>cych na biurku ksi<sup>1</sup>żek i zacz<sup>13</sup> j<sup>1</sup> niezgrabnie wertowa<sup>æ</sup>. - Od<sup>3ó</sup>ż to - rozkaza<sup>3</sup> Saint Sebastien i poczeka<sup>3</sup>, aż Chateaurouse wykona polecenie. - Nie chc<sup>ê</sup> s<sup>3</sup>ysze<sup>æ</sup> żadnych usprawiedliwień. Nie jestem przygotowany na myś<sup>1</sup> o poraż<sup>1ce</sup>, szczególnie w tym przypadku. Czy rozumiesz, że musimy mieć t<sup>ê</sup> dziewczyn<sup>ê</sup> do czasu zimowego przesilenia? Chateaurouse by<sup>3</sup> coraz bledszy.

- Mówi<sup>3</sup>ęce mi, i wier<sup>ê</sup> ci, lecz to by<sup>3o</sup> o wiele trudniejsze, niż s<sup>1d</sup>zi<sup>3</sup>em.

Nie jest taka, jak oczekiwa<sup>3</sup>em.

- Prosi<sup>3</sup>em cię, by<sup>ce</sup> się nie usprawiedliwia<sup>3</sup>. Jeżeli b<sup>ê</sup>diesz dalej tak post<sup>ê</sup>powa<sup>3</sup>, to mnie zirytujesz.

Saint Sebastien wsta<sup>3</sup> i ruszy<sup>3</sup> przez bibliotek<sup>ê</sup>, zamiataj<sup>1c</sup> pod<sup>3</sup>og<sup>ê</sup> szlafrokiem ze szkar<sup>3</sup>atnej tkaniny. Stan<sup>13</sup> na chwil<sup>ê</sup>, kontempluj<sup>1c</sup> p<sup>ó</sup>sk<sup>ê</sup> z pracami greckich filozofów i rzymskich poetów.

- Spróbuj<sup>ê</sup> raz jeszcze, jeżeli sobie ż<sup>1</sup>yczysz. Podejd<sup>ê</sup> do niej inaczej - powiedzia<sup>3</sup> żywo Chateaurouse, zbliż<sup>1c</sup> się do Saint Sebastiena.

- Nie kaza<sup>3</sup>em ci podchodzi<sup>æ</sup> do mnie - przypomni<sup>3</sup> mu uprzejmie Saint Sebastien. - Musisz nauczy<sup>æ</sup> się, że jedn<sup>1</sup> z regu<sup>3</sup>, które obowi<sup>1</sup>zuj<sup>1</sup> w Kr<sup>ê</sup>gu, jest Regu<sup>3a</sup> Pos<sup>3</sup>uszeństwa. Jeżeli nie umiesz tego poj<sup>1æ</sup>, to zostaniesz wykluczony w sposób opisany w kontrakcie, który podpisywa<sup>3</sup>ęce przy<sup>31</sup>czaj<sup>1c</sup> się do nas.

Chateaurouse obla<sup>3</sup> się szkar<sup>3</sup>atem.

- Ja... nie wiem... co chcesz przez to powiedzie<sup>æ</sup> - wyj<sup>1ka</sup><sup>3</sup>.

- Co za nieudolne k<sup>3</sup>amstwo, panie Jacques Eugene - stwierdzi<sup>3</sup> Saint Sebastien. - Niemniej, przypomn<sup>ê</sup> ci. Jeżeli z<sup>3</sup>amiesz Regu<sup>3ê</sup> Pos<sup>3</sup>uszeństwa, zostaniesz przeklęty przez Kr<sup>1g</sup> i wygnany z naszych szeregów. Aby<sup>ce</sup> nie móg<sup>3</sup> nam szkodzi<sup>æ</sup> s<sup>3</sup>owem, zostanie ci uci<sup>ê</sup>ty j<sup>ê</sup>zyk. Aby<sup>ce</sup> nie móg<sup>3</sup> wystawia<sup>æ</sup> przeciw nam oświadczenia, zostan<sup>1</sup> ci odr<sup>1</sup>bane r<sup>ê</sup>ce. Aby<sup>ce</sup> nie móg<sup>3</sup> nas rozpozna<sup>æ</sup>, zostan<sup>1</sup> ci wy<sup>3</sup>upione oczy, potem przez jedn<sup>1</sup> noc pozostaniesz jeszcze na <sup>3</sup>asce mi<sup>3</sup>osierdzia Kr<sup>ê</sup>gu, po czym pozostaniesz nagi na drodze za miastem, gdzie umrzesz lub ży<sup>æ</sup> b<sup>ê</sup>diesz dalej, jak los da - podczas tej recytacji Saint Sebastien sta<sup>3</sup> spokojnie z d<sup>3</sup>oñmi z<sup>3o</sup>żonymi pod brod<sup>1</sup> zup<sup>ê</sup>nie jak do modlitwy. - Ufam, że przypomnisz sobie teraz, na czym polegaj<sup>1</sup> twe zobowi<sup>1</sup>zania?

Chateaurouse spróbowa<sup>3</sup> przywo<sup>3aæ</sup> na twarz przymilny uśmiech. - Nie mówi<sup>3</sup>em tego poważy<sup>1</sup>. Jestem tylko sfrustrowany. Nie chcia<sup>3</sup>em zawie<sup>æ</sup> z t<sup>1</sup> dziewczyn<sup>1</sup>. - Nagle przyszed<sup>3</sup> mu do g<sup>3</sup>owy jeszcze jeden pomys<sup>3</sup> i dorzuci<sup>3</sup> w natchnieniu: - By<sup>3</sup>em skr<sup>ê</sup>powany, gdyż by<sup>3</sup> tam też Saint-Germain.

- Ten pozer! - warkn<sup>13</sup> Saint Sebastien, odwracaj<sup>1</sup>c się nagle. - Ot czaj<sup>1</sup>cy się atmosfer<sup>1</sup> tajemnicy, roszcz<sup>1</sup>cy sobie prawo do nieśmiertelności - zapatrz<sup>3</sup> się w ogień, który p<sup>3</sup>on<sup>13</sup> w palenisku i wype<sup>3</sup>nia<sup>3</sup> biblioteki czerw<sup>1</sup>on<sup>1</sup> powiat<sup>1</sup>. - Przeszkadza mi. Przeszkadza mi na swój<sup>1</sup> zgbê!

Chateaurouse przestraszy<sup>3</sup> się nagle tego chudego, z<sup>3</sup>ego cz<sup>3</sup>owieka, który wpatrywa<sup>3</sup> się w niego zinnymi, pe<sup>3</sup>nymi potêpienia oczami.

- Co z nim zrobimy? Czy chcesz, bym uwolni<sup>3</sup> ciê od niego?

W oczach Saint Sebastiena pojawi<sup>3</sup> się b<sup>3</sup>ysk czegoś, co zawiera<sup>3</sup>o przeogromny <sup>3</sup>adunek nienawieści, lecz b<sup>3</sup>ysk ten znikn<sup>13</sup>, zanim Chateaurouse nabra<sup>3</sup> pewności, że w ogóle go spostrzeg<sup>3</sup>.

- Tak - powiedzia<sup>3</sup> Saint Sebastien, cedz<sup>1</sup>c ka<sup>3</sup>de s<sup>3</sup>owo. - Tak, wolno ci uwolnić mnie od niego. Chcê, by znikn<sup>13</sup>. Lecz nie chcê, by Kr<sup>1</sup>g zosta<sup>3</sup> w to w jakikolwiek sposób zamieszany. Rozumiesz? Mo<sup>3</sup>esz wymyślić jakieś pretekst, by go wyzwąć, mo<sup>3</sup>esz też wynaj<sup>1</sup>æ zbirów, by go zamordowali, mo<sup>3</sup>esz go skompromitować, lecz w <sup>1</sup>adnym przypadku nie mo<sup>3</sup>e pojawiać się najlichsza nawet plotka, że ktokolwiek z Krêgu czy sam Kr<sup>1</sup>g ma z tym c<sup>3</sup>e wspólne.

- Dobrze - Chateaurouse prze<sup>3</sup>kn<sup>13</sup> nerwowo olinê.

Saint Sebastien obszed<sup>3</sup> pokój dooko<sup>3</sup>a. Zag<sup>3</sup>ębi<sup>3</sup> się w myślach, rêce z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> z ty<sup>3</sup>u. Zatrzyma<sup>3</sup> się przy wysokim oknie, które wychodzi<sup>3</sup>o na bujnie rozrośnięty ogród. Ten zwykle poruszaj<sup>1</sup>cy widok by<sup>3</sup> dzisiaj zeszecony przez pierwszy październikowy deszcz; posępne, nisko zwieszaj<sup>1</sup>ce się chmury okry<sup>3</sup>y swym o<sup>3</sup>owianym ca<sup>3</sup>unem ca<sup>3</sup>y Pary<sup>3</sup>.

Mimo panuj<sup>1</sup>cej na zewn<sup>1</sup>trz szarugi, Saint Sebastien ucemiechn<sup>13</sup> się lekko. Odwróci<sup>3</sup> się i stan<sup>13</sup> twarz<sup>1</sup> w twarz z Chateaurouse.

- Hrabia d'Argenlac uwielbia hazard, jak wiem?

- Tak - odpowiedzia<sup>3</sup> zaintrygowany Chateaurouse.

- I siedzi po uszy w d<sup>3</sup>ugach, tak?

- Istotnie. A jego posiad<sup>3</sup>ości obci<sup>1</sup>one s<sup>1</sup> hipotek<sup>1</sup>. Nie przyznaje się do tego, lecz jest ca<sup>3</sup>kowicie zale<sup>1</sup>ny finansowo od swojej <sup>1</sup>ony. Saint Sebastien odetchn<sup>13</sup> z zadowoleniem.

- Dobrze. Wspaniale. Komu winien jest pieni<sup>1</sup>dze?

- Wszystkim - powiedzia<sup>3</sup> Chateaurouse z pogard<sup>1</sup>. - Gdy chodzi o karty czy ruletkê, to gorszy jest niż pijak. Sam widzia<sup>3</sup>em jak w godzinê potrafi<sup>3</sup> przegrać dwadzieścia tysięcy ludwików.

- Znacz<sup>1</sup>ca suma. Nic dziwnego, że znalaz<sup>3</sup> się w takich k<sup>3</sup>opotach. Czy nie wiesz, jak on odbiera to wszystko? Jaki jest jego stosunek do zale<sup>1</sup>ności od <sup>1</sup>ony?

- Mierzi go ten zwi<sup>1</sup>zek. Czasem wydaje mi się - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> Chateaurouse w przyp<sup>3</sup>ywie natchnienia - że doprowadza się do ruiny tylko po to, by i j<sup>1</sup> przywieść do nêdzy.

- A zatem mo<sup>3</sup>e chcia<sup>3</sup>by pozbyć się c<sup>3</sup>oeci k<sup>3</sup>opotów w zamian za szansê dokonania zemsty na ma<sup>3</sup>o<sup>3</sup>nce poprzez jej protegowan<sup>1</sup> - zastanowi<sup>3</sup> się Saint Sebastien, a jego ucemiech by<sup>3</sup> coraz bardziej z<sup>3</sup>owieszczy.

- Czy pragniesz, by La Montalia znalazła się wśród nas na zóce jego ione? - w pierwszej chwili Chateaurouse nie dowierza, lecz gdy mówi te słowa ujrza misterność całego planu. Przynajmniej.  
- Słódzê, e moe nam pomóc, jeeli podejoe do niego waciwie.

Saint Sebastien opad na niski, turecki taboret.

- Komu winien jest najwiêcej?

Chateaurouse te, by chêtnie usiad, lecz nie oemia. Zadowolony siê wsparciem rêki na obramowaniu kominka i skrzyowaniem nóg. Ubrany by jak do konnej jazdy, po jego d³ugiego surduta, tak z przodu, jak i z tyu, odwiniête by i przymocowane na wysokooci bioder, co nie tylko uatwia sam jazdê, lecz odsania podszewkê ze zótego i czarnego samodzia i gustowne, jeYdzieckie bryczesy. Mucelinowy szalik zakończony by belgijskimi koronkami i prócz zdenerwowanego wyrazu twarzy, wszystko co nosi, godne byo arystokraty najwyzej klasy.

Palce Saint Sebastiena stukały zówieszczo po porêczy sto³ka.

- Wiesz, czy bêdziesz musia siê dowiedzie? Jeeli to drugie, to przed zmierzchem masz dostarczæ mi pe³n listê.

- Nie, nie, to nie tak - powiedzia pospiesznie Chateaurouse. - Zaskoczye mnie po prostu. Słódzê, e najwiêcej d'Argenlac winien jest Jueneportowi. Jego ona uregulowa dzie kilka d³ugów, nie słódzê, by wszystkie. Ta suma musi byæ wiêksza, ni przyznaje siê do tego d'Argenlac. - Zastanowi siê przez chwilê. - Przypuszczam, e chodzi o posiadoe w Anjou. Nie jestem pewien, lecz chyba Jueneport ma jakieæ weksel wacenie na ten majtek i jak na razie nic nie owiadczy o tym, by d'Argenlac by w stanie go wykupia.

- A chocia? - Saint Sebastien zaoy³ nogê na nogê, wyraz zadowolenia powróci na dobre na jego oblicze.

- Och tak, jestem tego pewien - Chateaurouse omin³ spojrzeniem zimne i okrutne oczy Saint Sebastiena. - To wacenie w tym majtku ma swoje cieplarnie. Słódzê, e gdyby musia je odda, chybaby go to zabió.

- Dobrze - powiedzia Saint Sebastien z rozmarzeniem w gosie.

- Jest jeszcze jedno. Drobiazg wobec sprawy Jueneporta, lecz te, ma swój wagê. De Vandonne posiada weksel na klejnoty. Nie wiem, jak wygl¹da to dok³adnie, moe zreszt de Vandonne tylko siê przechwala i nie powiedzia mi caej prawdy, ale... Saint Sebastien wzruszy³ ramionami.

- To nie ma znaczenia. Najpierw zadziaamy przez Jueneporta, a gdyby to nie da³o rezultatu, dopiero wtedy porozmawiamy z de Vandonne.

Rozleg³o siê stukanie do drzwi. Saint Sebastien kaza wejoe. W uchylonych drzwiach pojawi³ siê Tite, s³u¹cy Saint Sebastiena.

- O co chodzi, Tite?

- Przyszed La Grace, mon baron. Pragnie z panem rozmawiaæ. Mówi, e to pilne. Saint

Sebastien spojrz<sup>3</sup> na s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cego, jakby go ocenia<sup>3</sup>.

- Nie przywyk<sup>3</sup>em, by ktoc<sup>e</sup> taki, jak La Grace stawia<sup>3</sup> mi jakiegokolwiek <sup>1</sup>dania. Ufam, <sup>1</sup>e powiedzia<sup>3</sup>ee, i<sup>1</sup> go nie przyjm<sup>1</sup>e?

- Nie, nie zrobi<sup>3</sup>em tego. By<sup>3</sup>em pewien, <sup>1</sup>e zechce pan z nim rozmawia<sup>1</sup>e. - Tite wszed<sup>3</sup> do pokoju i czeka<sup>3</sup>.

- A to niby czemu? - spyta<sup>3</sup> Saint Sebastien odsuwaj<sup>1</sup>c gestem Chateaur<sup>3</sup>e'a na bok.

Tite podszed<sup>3</sup> godnie do Saint Sebastiena i wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> r<sup>1</sup>k<sup>1</sup>e. Gdy rozwar<sup>3</sup> pi<sup>1</sup>ce<sup>1</sup>e, oczom Saint Sebastiena ukaza<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e nie szlifowany, b<sup>3</sup>kitny diament o rozmiarach kurzego jaja.

Baron wyprostowa<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e nagle, a Chateaur<sup>3</sup>e zakl<sup>13</sup>.

- M<sup>1</sup>wi, <sup>1</sup>e gildia czarownik<sup>1</sup>ów uzyska<sup>3</sup>a sekret produkcji diament<sup>1</sup>ów. Darowa<sup>3</sup> im to ktoc<sup>e</sup>, kto podaje si<sup>1</sup>e za ksi<sup>1</sup>cia Rakoczego z Transylwanii.

- To jest prawdziwe? - spyta<sup>3</sup> Chateaur<sup>3</sup>e patrz<sup>1</sup>c z przestrac<sup>1</sup>em na wielki kamie<sup>1</sup>ñ.

- La Grace twierdzi, <sup>1</sup>e te kamienie wytwarza si<sup>1</sup>e w piecu alchemicznym, athanorze. Niemniej, jak wida<sup>1</sup>e, nawet jeceli ten kamie<sup>1</sup>ñ nie jest prawdziwy, cz<sup>3</sup>owiek <sup>1</sup>ów dysponuje pot<sup>1</sup>e<sup>1</sup>nym sekretem - Tite spojrz<sup>3</sup> na swego pana, lecz ten wpatrywa<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e w<sup>3</sup>acenie w ogie<sup>1</sup>ñ i milcza<sup>3</sup>. W ko<sup>1</sup>ncu si<sup>1</sup>e odezwa<sup>3</sup>:

- Wprowad<sup>1</sup> go do b<sup>3</sup>kitnego salonu, Tite, i powiedz, <sup>1</sup>e zaraz do niego przyjd<sup>1</sup>e. Chc<sup>1</sup>e wiedzia<sup>1</sup>e jak najwi<sup>1</sup>cej o tych kamieniach.

Tite sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e i wyszed<sup>3</sup>, a zanim zamkn<sup>13</sup> drzwi, na jego twarzy pojawi<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e cyniczny grymas.

- No i...? - zapyta<sup>3</sup> impulsywnie Chateaur<sup>3</sup>e, gdy zostali sami.

- Ksi<sup>1</sup>ci<sup>1</sup>e Rakoczy. Ksi<sup>1</sup>ci<sup>1</sup>e Rakoczy. Gdzie ja s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em to nazwisko?

- Saint Sebastien spojrz<sup>3</sup> na zasnut<sup>1</sup>e deszczem okno. - Chyba znam to nazwisko...

- Co z klejnotami? - przerwa<sup>3</sup> mu Chateaur<sup>3</sup>e. - Czy La Grace zdradzi nam sekret?

- Z pewno<sup>1</sup>ci<sup>1</sup> - g<sup>3</sup>os Saint Sebastiena brzmi<sup>3</sup> pewnie. - Tak czy inaczej, poznamy ten sekret. -

Uni<sup>1</sup>si<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e z taboretu i podszed<sup>3</sup> do rega<sup>3</sup>ów.

- Chc<sup>1</sup>e, by<sup>1</sup>e poprowadzi<sup>3</sup> spraw<sup>1</sup>e z Jueneportem i d'Argenlac. Ta dziewczyna jest moja. Zosta<sup>3</sup>a mi obiecana zanim jeszcze si<sup>1</sup>e narodzi<sup>3</sup>a i nie wypuszcz<sup>1</sup>e jej z r<sup>1</sup>k. Powierzam ci t<sup>1</sup>e spraw<sup>1</sup>e i przypominam, <sup>1</sup>e nie zaakceptuj<sup>1</sup>e pora<sup>1</sup>ki. Usu<sup>1</sup>ñ Saint-Germaina z naszej drogi i rozprosz obawy ciotki. Wtedy dziewczyna zostanie nam podana jak na tacy.

Chateaur<sup>3</sup>e sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e g<sup>3</sup>eboko. Saint Sebastien by<sup>3</sup> ju<sup>1</sup>z prawie przy drzwiach, gdy odwr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> si<sup>1</sup>e jeszcze i powiedzia<sup>3</sup> cicho:

- Jeceli coc<sup>e</sup> ci si<sup>1</sup>e nie uda, po<sup>1</sup>za<sup>3</sup>ujesz tego bardziej, ni<sup>1</sup>z jeste<sup>1</sup>e w stanie sobie to wyobrazia<sup>1</sup>e, - po czym wyszed<sup>3</sup>, zostawiaj<sup>1</sup>c Chateaur<sup>3</sup>e'a samego i zzi<sup>1</sup>ebni<sup>1</sup>tego, mimo, i<sup>1</sup> sta<sup>3</sup> tu<sup>1</sup> przed kominkiem.

*Tekst dokumentu napisanego po 3acinie na arkuszu pergaminu, zamkniętego w szkatu3ce w bibliotece Saint Sebastiena; datowane 19 sierpnia 1722:*

*W imiê Asmodeusza, Beliala i Asztoretha, na Œlubowanie Krêgu i Przysiêgê Krwi, na Regu3ê i na Znak.*

*Ja, Robert Marcel Yves Etienne Pascal, markiz de Montalia, obiecujê Krêgowi i jego przywódcy, baronowi Clotaire de Saint Sebastien, 3e przy narodzinach mego pierwszego dziecka naznaczê to dziecko do s3u3by Krêgowi w sposób, jaki sobie tylko Kr1g za3yczy.*

*Przyznajê, 3e obecnie jestem kawalerem, zarêczonym z Margaret Denize Angeli1ue Ragnac i zaœwiadczam, 3e ka3de dziecko zrodzone z tego zwi1zku zostanie przeze mnie uznane za moje i zostanie moim spadkobierc1, jeœli oka3e siê byæ p3ci mêskiej*

*Gdybym z3ama3 ten kontrakt w jakikolwiek sposób, niech to co zyska3em, zostanie przeze mnie utracone, a wiem, i3 ani morze, ani 1d, ani niebiosa nie bêd1 dla mnie wystarczaj1cym schronieniem przed gniewem i zemst1 Krêgu i Potêgi Szatana, który panowaæ bêdzie po wsze czasy. Podpisujê to œwiadomie i czyniê wa3nym od dnia dzisiejszego po kres mego 3ycia i poza ów kres, lub do czasu, gdy moje pierworodne dziecko ukoñczy wiek lat dwudziestu jeden, bez oddania siê na s3u3bê Krêgu. Przysiêgam to na umartwianie cia3a i Ryty Krwi.*

**Robert Marcel Yves Etienne Pascal Markiz de Montalia**



## **Czêœæ druga - Madelaine Roxanne Bertrande de Montalia**

Wyjtek z listu Ojczulka Ponteneufa do jego kuzyna, markiza de Montalia; datowane 16 października 1743:

(...) Mia<sup>3</sup>em to szczęście us<sup>3</sup>yszeæ tw<sup>1</sup> córkê, gdy æpiewa<sup>3</sup>a kilka utworów z gitarowym akompaniamentem Saint-Germaina. Æwiczyl<sup>1</sup> w<sup>3</sup>acenie przed przyjêciem u twojej siostry, a Madelaine by<sup>3</sup>a tak mi<sup>3</sup>a, æe zaprosi<sup>3</sup>a mnie, bym pos<sup>3</sup>ucha<sup>3</sup>. Wyznajê, i<sup>2</sup> nie jestem specjalnym mi<sup>3</sup>oænikiem gitary - brakuje jej subtelnych tonów lutni i nie ma niebiañskiego brzmienia harfy. Przyznaje jednak, æe Saint-Germain gra<sup>3</sup> piêknie, a muzyka, któr<sup>1</sup> skomponowa<sup>3</sup>, w pe<sup>3</sup>ni ukazuje mo<sup>2</sup>liwoæci g<sup>3</sup>osu Madelaine. Zapozna<sup>3</sup>em siê z tekstami tych utworów i mogê przyznaæ, æe zawarte w nich uczucia s<sup>1</sup> w pe<sup>3</sup>ni do zaakceptowania tak dla mnie, jak i, przypuszczam, dla ciebie. Jest spor<sup>1</sup> zas<sup>3</sup>ug<sup>1</sup> Saint-Germaina, i<sup>2</sup> nie gustuje on w modnych obecnie dysonansach i ogólnej zgrzytliwoæci melodii. Wrêcz przeciwnie, czêsto wraca do starych wzorów, nawet do wespółbrzmieñ modalnych sprzed kilku stuleci.

Zdarza siê od czasu do czasu, przez przypadek, æe Madelaine styka siê gdzieæ z Beauvrai czy Saint Sebastienem, zawsze jednak na gruncie towarzyskim, i chocia<sup>2</sup> godne to jest po<sup>2</sup>a<sup>3</sup>owania, unikn<sup>1</sup>æ siê tego, bez skandalu, niestety, nie da. Mog<sup>3</sup>oby nawet zaszkodziæ, powstawaæ zaczę<sup>3</sup>yby bowiem plotki, które nie pozosta<sup>3</sup>yby bez szkody dla szans Madelaine na korzystny zwi<sup>1</sup>zek. Pozwoli<sup>3</sup>em sobie ostrzec j<sup>1</sup> oglêdnie przed Saint Sebastienem i Beauvrai, sugeruj<sup>1</sup>c, i<sup>2</sup> ich pozycja spo<sup>3</sup>eczna doprowadzi<sup>3</sup>aby do okrycia hañb<sup>1</sup> jej imienia, gdyby j<sup>1</sup> z nimi ujrzano. Nie s<sup>1</sup>dzê, by m<sup>1</sup>drym by<sup>3</sup>o ods<sup>3</sup>aniaæ ca<sup>3</sup>1 prawdê o sprawie - taka wiedza mog<sup>3</sup>aby <sup>3</sup>atwo uczyniæ skazê na jej niewinnoæci, która to niewinnoææ czyni j<sup>1</sup> tak szczerze podziwian<sup>1</sup>.

Twoje zapytania w liæcie z ósmego, a dotycz<sup>1</sup>ce religijnych praktyk Madelaine s<sup>1</sup> naturalne. Mam zaszczyt zawiadomiæ ciê, i<sup>2</sup> nie ma æadnych powodów do obaw o jej duszê. Jest dobra, czysta i mi<sup>3</sup>a. W niedziele i pi<sup>1</sup>tki bierze udzia<sup>3</sup> we mszy, co wtorek i sobotê przystêpuj<sup>1</sup>c do spowiedzi. Jej pobo<sup>2</sup>noææ jest szczerza, a wiara prawdziwa, tak jak ty mnie o tym zapewnia<sup>3</sup>ææ.

Twoje zaniepokojenie postaci<sup>1</sup> Saint-Germaina równie<sup>2</sup> okaza<sup>3</sup>o siê byæ bezpodstawne. Zapytana o niego, Madelaine odpowiedzia<sup>3</sup>a, i<sup>2</sup> znajduje jego zainteresowanie pochlebiaj<sup>1</sup>cym oraz æe dodaje jej to splendoru towarzyskiego, lecz zwi<sup>1</sup>zek z mê<sup>2</sup>czyzn<sup>1</sup> w jego wieku nie wchodzi w grê. By byæ dwakroæ pewnym, rozmawia<sup>3</sup>em tak<sup>2</sup>e z Saint-Germainem. By<sup>3</sup> szczodry w obsypywaniu Madelaine pochwa<sup>3</sup>ami, zachwala<sup>3</sup> jej g<sup>3</sup>os i b<sup>3</sup>yskotliwy umys<sup>3</sup>, lecz nie znalaz<sup>3</sup>em w tym nic z typowej dla kochanka afektacji. W rzeczy samej, nie widzia<sup>3</sup>em, by okazywa<sup>3</sup> jej uwagê wiêksz<sup>1</sup>, ni<sup>2</sup> innym damom, mo<sup>2</sup>e oprócz kwestii muzykowania, co <sup>3</sup>atwo zrozumieæ. Równie ugrzeczni<sup>3</sup>ony by<sup>3</sup> dla Mme Cressie, zanim nie zapad<sup>3</sup>a ona nie tak dawno na jak<sup>1</sup>æ ciê<sup>2</sup>k<sup>1</sup> chorobê. Pewien b<sup>1</sup>d<sup>1</sup>Y, mój drogi kuzynie, æe twoja córka nie straci<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>owy d<sup>1</sup>a Saint-Germaina i wcale jej to nie grozi, podobnie jak nie grozi to jemu wobec Madelaine. Twoja córka obdarzona

jest nieprzeciwnie lotnym umysłem i nie musisz obawiać się, iż zechce ofiarować swe serce niezgodnie z wolą rodziny. Gdy w naszych rozmowach starałem się wyłożyć jej na czym polegają ogólnie przyjęte zwyczaje, dała mi jasno do zrozumienia, iż świadoma jest swoich obowiązków i nie ma zamiaru się przed nimi uchylać. Jest rzeczą oczywistą, iż chciałaby, by szanowała mężczyznę, który będzie jej mężem i by darzyła go uczuciem. Madelaine zapewniła mnie, że zdaje sobie z tego wszystkiego sprawę i na pewno odda swą rękę rozważnie i roztropnie.

Pozwól mi, mon cher Robert, raz jeszcze błagać cię być pojednanym z Bogiem i Kościołem, albowiem dni ludzkie są policzone, a twoje życie pełne jest, jak dotąd, żalu. Będę twym już przesiadkiem, a twoja skrucha szczerą i gruntowną. Nie traci wiary w nieskończone miłosierdzie boskie i święte imię Matki Kościoła, miłszy jest bowiem Bogu ten, który zgrzeszy i czuje skruchę, kto zgubi swą drogę i wróci na nią z powrotem z sercem pełnym nadziei, niżli ten, który bez żadnego błędu przepędza całe życie. Przystąp do spowiedzi, mój drogi kuzynie, i uczyni akt skruchy, tak, abyś znowu mógł przyjąć Komunię i znaleźć się między tymi, którzy smakowali Ciała i Krwi Chrystusa. Módl się do Dziewicy o wstawiennictwo. Powiedziała kiedyś, że twój grzech jest wielki, gdyż wyparłeś się Pana. Lecz Piotr zrobił to samo, a znalazł chwałę w niebie. Co Bóg przebaczy Piotrowi, to wybaczy i tobie. Daj mi swą obietnicę, że uczynisz to w końcu i przystąpisz do spowiedzi...

Możesz być pewien, że nieustannie strzegę twej córki i że bez wahania ukarzę ją, gdyby popełniła błąd lub gdyby poddała się pokusom. Zawsze ma moje egzorty, by ją prowadziły i żywość świętych i męczenników, by dostarczały jej wzorów.

W imię Pana, którego wszyscy jesteśmy dziećmi i w oczach którego pozostajemy wszyscy braćmi, przesyłam ci moje błogosławieństwo i zapewnienie, iż zawsze wspominam o tobie w moich modlitwach. Zbawiciel bowiem, mon cousin, przychodzi do wszystkich. Pozostaję Twoim oddanym kuzynem.

**L'Abbe Alfonse Reynard Ponteneuf Zakon Jezuitów**

Gdy pióro zalało po raz trzeci, Madelaine odrzuciła je z obrzydzeniem.

- Co się stało, moja droga - spytała ją ciotka ze swego miejsca przy oknie. Były w największym z pokoi mieszkalnych, sporym salonie urządzonym nieco staromodnie, za to z sześcioma wielkimi oknami wychodzącymi na północ i na zachód. Zwykle czyniły one pokój jasnym i miłym, dzieć jednak wlewała się przez nie melancholia rzadkiego i upartego jesiennego deszczu, któremu brakowało dostojności wielkiej ulewy.

Kontessa przesunęła bliżej okien swą ramę do haftu, tak by móc skorzystać w całości z mizernego światła pochmurnego dnia. Podniosła głowę, odruchowo pociągając włosy.

- W czym kłopot, moja droga?

- To pióro! - Madelaine potrząsnęła gwałtownie głową. - Nigdy nie wypiszę tych wszystkich zaproszeń - popatrzyła na plik zapieczetowanych listów sporządzonych na pięknym, czerpanym papierze. - To dopiero pięćdziesiąte siódme, a razem jest ich ponad trzysta.

- Cóż - powiedziała kontessa kończąc ociąg - możesz wezwać Milana i przekazać mu to zadanie. To ty sama - zauważ - zaoferować mi swą pomoc w przygotowaniach do przyjęcia.

- Musiałam być chyba szalona - odsunęła się od stolika, przy którym pracowała. - Ach, ciociu, mniejsza z tym. Boli mnie głowa. To wizyta u generała wprowiła mnie od rana w zły nastrój. Tak, jakby ktokolwiek dbał o austriacką sukcesję. Jakże to ma znaczenie, czy to Elektor Bawarii czy Fryderyk zasiada na tronie?

- Cóż - zaczęła jej wyjaśniać ciotka, nie przerywając sobie pracy nad gobelinem. - Widzisz, Madelaine, dopóki żył Fleury, mieliśmy wiele lat spokoju, czego generał nie cierpił - przez chwilę zajęła się uważniej przędzłą, po czym mówiła dalej. - Teraz Fleury nie żyje, a kochanka króla lubuje się w wojnie - co jest z jej strony postępowaniem bardzo głupim, jak się zdaje. Któregoś dnia będzie ją to kosztowało uczucie Jego Wysokości, wspomnisz moje słowa. Nauczyliśmy się wszyscy pogardzać Marią Teresą z Austrii, a teraz, gdy Anglicy ją popierają, oczywistym jest, że będzie musiała dojechać do wojny.

- To głupie. Głupie, bez sensu i rozrzutne! - Madelaine podeszła do okna i wyjrzała na zewnątrz. W nikłym świetle wyglądała pięknie: ciemne włosy podkreślały biel i gładkość jej skóry. Ubrana była prosto, w malowaną taftę, okrywającą prostą spódnicę z dziurkowanego płótna; tiuniura była bardzo skromna, nawet jak na domowy, ranny strój. Jej cienki kibel otaczała szeroka szarfa z różanego atłasu, zacięta ramiona okrywała frędzlasty hiszpański szal, mający chronić od panującego w rezydencji chłodu. Szal zwieszany był poniżej piersi. We włosy wpleciona była wstążka tego samego co szarfa koloru, która utrzymywała je w prostej, naturalnej fryzurze, przez co swobodne sploty spływały kaskadą na ramiona.

- Król pragnie, by świat wiedział, iż jest on królem samodzielnie sprawującym władzę, tak jak

jego wielki dziad. To rzeczywiście g³upie, w jego otoczeniu s¹ naprawdê zdolni ludzie, którzy lubuj¹ siê w rz¹dzeniu i znaj¹ siê na tym. On tymczasem nie znajduje ¿adnego upodobania w sztuce w³adzy. Bo¿e mój - doda³a, przerywaj¹c w¹tek - nie chcia³am, by zabrzmia³o to w sposób pozbawiony szacunku dla Jego Majestatu; jest on naturalnie œwietnym monarch¹. - Przez kilka minut, w ciszy, skupi³a siê na robótce. Potem zupełnie innym g³osem powiedzia³a: - Nie martw siê Madelaine. To przyjêcie bêdzie naszym sukcesem. Oszo³omi¹ ciê komplementami i zainteresowaniem, jakie ci oka¿¹. Bardzo mo¿liwe, ¿e ca³y nastêpny dzieñ bêdziesz dochodziæ do siebie i nie wyjdiesz nawet z poœcieli.

- Och, ciociu, nie do tego zmierzam. Nie jestem w humorze. To ta pogoda. Obiecano porann¹ przeja¿dkê, a tu ten deszcz... - odwróci³a siê nagle od okna i podesz³a z powrotem do sto³u.

- Ciê¿ko jest siedzieæ w domu, gdy chcia³oby siê pobyæ na dworze- przyzna³a Claudia, oddzielaj¹c ostro¿nie nastêpne pasmo przêdzy i przyk³adaj¹c je do p³ótka. - Jak irytuj¹ce - stwierdzi³a, zmieniaj¹c temat.

- Mog¹ sobie mówiæ, co chc¹, lecz te motki pochodz¹ z dwóch ró¿nych farbowañ. Có¿, podejrzewam, ¿e bêdê musia³a siê tym zadowoliæ, pracuj¹c wy³ecznie nad t³em do czasu, a¿ bêdê mia³a okazje porozmawiaæ z w³ascicielem farbiarni - westchnê³a i wyci¹gnê³a z koszyka d³ugi zwitek jasnob³êkitnej przêdzy.

Madelaine, która poch³oniêta by³a pracowitym przycinaniem nowego pióra, s³ysza³a tylko po³owê z tego wszystkiego. Spojrza³a krytycznie na ka³amarz z atramentem i dola³a do niego trochê wody.

- To mog³o byæ to - powiedzia³a w pró¿niê. - Atrament zrobi³ siê strasznie gesty.

Sterna zaadresowanych zaproszeñ uros³a jeszcze o kilka pakietów, gdy drzwi otworzy³y siê i do salonu wkroczy³ niespiesznie hrabia d'Argenlac. Jego elegancki strój zdradza³, i¿ musia³ przybyæ niedawno i dopiero co zdj¹³ p³aszczyznê. By³ mê¿czyzn¹ postawnym jak na swoje trzydzieœci dziewiêæ lat, lecz w towarzystwie swej ¿ony zachowywa³ siê jak nad³any ch³opiec.

- Gervaise - powiedzia³a kontessa wstaj¹c na powitanie. Uca³owa³ jej d³oñ bardziej dla zachowania formy, ni¿ z uczuciem.

- Dzieñ dobry, Claudio. Jak widzê, masz siê dobrze - odwróci³ siê do Madelaine. - Proszê, obie macie zajêcie. Mam nadziejê, ¿e cieszysz siê Pary¿em, mademoiselle - jego ton zdradza³, i¿ niczego bardziej nie pragnie, jak tego, by Madelaine wysz³a.

- Pary¿ znajdujê rozkosznym, lecz ten deszcz mnie nie cieszy - z³o¿y³a. mu uk³on, jak wymaga³y tego dobre maniere, i poczu³a siê lekko ura¿ona, gdy odpowiedzia³ jej ledwie skinieniem g³owy.

- Gervaise, drogi mê¿u, nie wolno ci zachowywaæ siê w ten sposób. To jest moja bratanica, która bardzo ciê powa¿a, a ty traktujesz j¹, jak powietrze

- mówi¹c to uciechnê³a siê, a Madelaine zauwa¿y³a, jak hrabia zacisn¹³ usta.

.. proszê wybaczyæ mi moje godne ubolewania zachowanie - powiedzia³ uk³onem, który

odpowiedniejszy by<sup>3</sup>by dla diuszessy.

- Hrabio - kontessa zdoby<sup>3</sup>a siê na zgubn<sup>1</sup> szczeroœæ - to nie Madelaine ciê irytuje, ale ja. Wola<sup>3</sup>abym, ¿ebyœmy porozmawiali na osobnoœci. Jeœli chcesz wy<sup>3</sup>adowaa sw<sup>1</sup> z<sup>3</sup>oœæ, to zrób to na mnie, gdy bêdziemy sami, mój drogi. Mieszanie mojej bratanicy do naszych ¿a<sup>3</sup>osnych k<sup>3</sup>ótni mo¿e tylko pogorszya sprawê. Madelaine by<sup>3</sup>a ju¿ przy drzwiach.

- Wybacz mi, ciociu. Widzê, ¿e ty i twój m<sup>1</sup>¿ macie wiele do omówienia, zostawiê was zatem samych. Gdy bêdziesz mnie potrzebowa<sup>3</sup>a, wystarczy wys<sup>3</sup>aa do biblioteki. Kontessa uœmiechnê<sup>3</sup>a siê do niej z widocznym zaniepokojeniem.

- Dobrze. Niestety, ale masz racjê, moja droga. Muszê przez chwilê porozmawiaa z mê¿em. Wiem, ¿e lubisz czytaa. Nie bêdê zatem przeproszaa ciê za ten rodzaj odosobnienia.

Gdy tylko suknia Madelaine zaszelececi<sup>3</sup>a po drugiej stronie drzwi, kontessa zamknê<sup>3</sup>a je dok<sup>3</sup>adnie i z zamieraj<sup>1</sup>cym sercem odwróci<sup>3</sup>a siê, by stan<sup>1</sup>a twarz<sup>1</sup> w twarz z mê¿em.

- Moje gratulacje, madame - powiedzia<sup>3</sup> hrabia z twarz<sup>1</sup> oblan<sup>1</sup> rumieñcem. - Nawet powitaa mnie nie mo¿esz bez okrywania mnie hañb<sup>1</sup>. Claudia niechêtnie podesz<sup>3</sup>a ku niemu.

- To nie ja zniewa¿y<sup>3</sup>am Madelaine. Lecz mniejsza z tym. To nie o ni<sup>1</sup> ci chodzi. - Mimo wszystko wyci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a do niego rêce. - Ach, Gervaise, dlaczego mi nie wierzysz? Dlaczego ju¿ dawno nie powiedzia<sup>3</sup>œe mi, co siê z tob<sup>1</sup> dzieje?

- ¿ebyœ mog<sup>3</sup>a ¿a<sup>3</sup>owaa mnie g<sup>3</sup>oœno? Nie, dziêkujê, Claudio. Wiêcej jest we mnie dumy, ni¿ s<sup>1</sup>dzisz - wybra<sup>3</sup> sobie jedno ze starych krzese<sup>3</sup> stoj<sup>1</sup>cych przy kominku i opad<sup>3</sup> na nie ciê¿ko.

- Jasne, ¿e masz sw<sup>1</sup> dumê - kontessa by<sup>3</sup>a lekko wyprowadzona z równowagi. - I zaiste, musi bya przykrym dla ciebie, który nigdy nie studiowa<sup>3</sup> ekonomii, robia to teraz pod przymusem. Lecz musisz w koñcu zrozumiaa, ¿e jesteœ w bardzo powa¿nych k<sup>3</sup>opotach.

- Ju¿ nie - uniós<sup>3</sup> rêkê. - To, jak zarz<sup>1</sup>dzam moimi sprawami, nie ma nic wspólnego z twoimi. Zbli¿y<sup>3</sup>a siê do niego znowu i opad<sup>3</sup>a przy nim na kolana, spogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c w górê zasmuconymi oczami.

- Lecz niepokojê siê, Gervaise. Jeœli nie zdo<sup>3</sup>asz sp<sup>3</sup>aciaa swoich d<sup>3</sup>ugów, co mo¿e siê zdarzya skoro twoja fortuna jest wyczerpana, król zarz<sup>1</sup>dzi, by na ten cel przekazany zosta<sup>3</sup> mój maj<sup>1</sup>tek.

Hrabia przytakn<sup>13</sup> gwa<sup>3</sup>townie.

- Teraz ju¿ wiemy. Teraz wiemy. Twój cenny maj<sup>1</sup>tek przepadnie. Nie znaczy<sup>3</sup>o to wszystko nic dla ciebie, jak d<sup>3</sup>ugo twoja fortuna by<sup>3</sup>a niezagro¿ona - odepchn<sup>13</sup> jej rêce.

- To nie tak - powiedzia<sup>3</sup>a cicho, czuj<sup>1</sup>c bliskoœæ œez. - Gervaise, proszê. Nie mo¿esz nas zrujnowaa. Pomyœl tylko, co to oznacza. To nie tylko twoje dobra i ten dom mo¿emy straciaa...

- Podoba<sup>3</sup>oby ci siê, gdybyœmy stracili dobra, co? Zawsze chcia<sup>3</sup>œe, bym popad<sup>3</sup> w ruinê. W ten sposób zatrzymasz mnie w domu na ka¿de twoje skiniêcie, do us<sup>3</sup>ug na ka¿de zawo<sup>3</sup>anie; nêdzny wypierdek salonowy. ¿adnych œez, madame, jeœli mo¿na prosiã.

- Dobrze - powiedzia<sup>3</sup>a Claudia podnosz<sup>1</sup>c siê. - Oto jesteœ w domu od mniej ni¿ godziny - bo

nie up³ynê³a jeszcze godzina, prawda? - i ju¿ siê k³ócimy, i to o tak bezsensowne sprawy - œcisnê³a d³onie, by opanowaæ ich dr¿enie. - Czy wiesz, co to znaczy, byæ biednym, Gervaise? - doda³a po chwili. - Czy mo¿esz mi powiedzieæ, jak bêdziemy wtedy ¿yli? Co siê z nami stanie? Nie?

- Robisz siê melodramatyczna, Claudio - warkn¹³, lecz bez przekonania.

- Wiosn¹ widzia³am Lorraine Bressin - powiedzia³a pozornie bez zwi¹zku. - Obejrza³am jej mieszkanie. Nie doœæ by³o z³ego, ¿e Bressin doprowadzi³ ich do bankructwa. Nim siê zabi³, upewni³ siê jeszcze, ¿e jego rodzina w ¿aden sposób nie pomo¿e Lorraine. Obie jesteœmy w tym samym wieku, a ona wygl¹da teraz na piêædziesi¹tkê. Jej w³osy s¹ siwe, nosi gorsze suknie ni¿ moje pokojowe. Jej dwie córki - pamiêtasz je? Nie maj¹ wychowania ani wykszta³cenia, nie maj¹ niczego, prócz urody i wygadania, zosta³y zabrane przez sutenerów. Córki wicehrabiego de Bressin s¹ zwyk³ymi kurwami, Gervaise - dokoñczy³a ze s³umionym œkaniem.

- Cóż, o to martwiaæ siê nie musisz, madame. Nie mamy córek, ani synów, jeœli ju¿ o to chodzi, by mog³y zostaæ sprzedane do burdelu. Tak wiêc, jeœli przepuœcimy nasze fortuny, nie skrzywdzimy tym nikogo, prócz siebie samych - ruszy³ do drzwi. - Powstrzymaj swe œzy, to ponad moje si³y Claudio. Ju¿ doœæ Ýle siê sta³o, ¿e usi³owa³aœ mnie ratowaæ. Mieæ ciê œkaj¹c¹, to wiêcej, ni¿ mogê znieœæ - otworzy³ drzwi i sta³ przez chwilê w progu, obserwuj¹c kontessê. - Przypuszczam, ¿e powinienem ci podziêkowaæ za sp³acenie moich d³ugów. Lecz jeszcze bardziej bêdê wdziêczny, jeœli w przysz³oœci pozwolisz, bym sam zajmowa³ siê moimi sprawami.

- Jak sobie ¿yczysz, Gervaise - powiedzia³a napiêtym g³osem. Sta³a wyprostowana i odwzajemnia³a mu spojrzenie.

- Wychodzê. Nie spodziewaj siê, ¿e zasi¹dê dzioœ z tob¹ do obiadu - jej widok dostarcza³ mu satysfakcji. Claudia zakry³a twarz d³oñmi i zap³aka³a. - Mi³ego dnia, madame.

Zaraz po zamkniêciu drzwi, Gervaise ruszy³ przez sieñ ku pomieszczeniom przy stajni. Rozmowa z ¿on¹ dostarczy³a mu sporo satysfakcji, mia³ jednak pewne w¹tpliwoœci. W rzeczy samej, nie wiedzia³, jak ma ratowaæ ¿aosne resztki swego maj¹tku. Otrzyma³ ostatnio kilka nad wyraz niepokoj¹cych listów od swego zarz¹dcy, lecz nie odwa¿y³ siê przyznaæ do tego. Nie odwa¿y³ siê te¿ przyznaæ ¿onie racji, i¿ s³usznie post¹pi³a sp³acaj¹c z jego d³ugów tyle, ile by³a w stanie. Zakl¹³ i zatrzyma³ siê, gdy lokaj zawo³a³ za nim.

- Co jest, Scirrano? - rzuci³ niecierpliwie, gdy lokaj siê zbli¿y³. Scirrano sk³oni³ siê i powiedzia³:

- Jest osoba, która pragnie siê z panem zobaczyæ, panie. Gervaise pomyœla³ przez chwilê ze strachem, ¿e mo¿e to mieæ zwi¹zek z d³ugami. Zarz¹dca przestrzega³ go o takiej mo¿liwoœci.

- Jak ma na imiê? - powiedzia³ to g³ocniej ni¿ zamierza³, ujawniaj¹c zdenerwowanie. Popatrzy³ nad ramieniem Scirrano. - Gdzie on jest? - znów s³owa by³y za g³ocne. Wykrzywi³ twarz patr¹c ku drzwiom biblioteki, które, jak nagle zda³ sobie z tego sprawê, by³y uchylone. Otworzy³ je i wszed³ cicho do cerodka.

Madelaine siedzia³a przy biurku opodal kominka, œwiecznik stoj¹cy tu¿ obok rzuca³ migotliwy blask na trzyman¹ przez ni¹ star¹, w skóré oprawn¹ ksi¹¿kê. Wspar³a siê na ³okciu, z d³oni¹ przyciœniêt¹ do szyi i pociera³a odruchowo skóré. W jej fio³kowych oczach b³dzi³ tajemniczy ucœmiech.

- Mademoiselle - powiedzia³ ostro Gervaise.

Madelaine poderwa³a raptownie g³owê i nieco zmieszana unios³a siê, by z³o¿yæ uk³on swemu gospodarzowi.

- O co chodzi, sir? - spyta³a, widz¹c b³ysk desperacji w jego oczach.

- Nic, nic - rozejrza³ siê po bibliotece, jakby nigdy przedtem jej nie widzia³. Potem spojrze³ na Madelaine. - Co czytasz? Madelaine podnios³a ksi¹¿kê wy¿ej.

- Poezje ³aciñskie. Proszê, pozwól, ¿e ci przeczytam - przekrêci³a ksi¹¿kê tak, by jej w³asny cieñ nie pada³ na kartkê.

Di magnifacite ut vere promittere possit

Atque id sincere dicta et ex animo

Ut liceat nobis tota perducere vita

Aeternum hoc santus foedus amicitiae.

- Czy to nie piêkne? Obiecywaæ mi³oœæ i przyjaŹñ na wiecznoœæ?

Gervaise nie by³ zupe³nie przygotowany na taki obrót wypadków i nie wiedzia³, jak wybrn¹æ. Jego wykszta³cenie by³o doœæ powierzchowne i jakkolwiek ³aciñski tekst wzbudza³ w nim panikê. Teraz zaœ szczególnie - widok bratanicy ¿ony, stoj¹cej w jego bibliotece i cytuj¹cej mu coœ po ³acinie by³ powy¿ej jego mo¿liwoœci.

- Bardzo piêkne - powiedzia³, odwracaj¹c siê do drzwi, gotów do natychmiastowego przeproszenia Madelaine i do uciezki.

Lecz w³acenie pojawi³ siê Scirrano prowadz¹cy innego lokaja odzianego w ciemnoniebiesk¹ liberiê z czerwonymi koronkami.

- Mam dla pana wiadomoœæ, sir. Przeznaczon¹ wy³cznie dla pana.

- Tak, tak, oczywiœcie - Gervaise zgodzi³ siê skwapliwie zadowolony, ¿e mo¿e uciec od Madelaine. - Nie bêdê przeszkadza³ ci w lekturze, mademoiselle. Jak d³ugo tu jesteœ, biblioteka jest twoja, jeœli tego pragniesz. - Gdy znalaz³ siê w drzwiach przyjrza³ siê obcemu lokajowi.

- Mój pan przesy³a panu pozdrowienia - powiedzia³ lokaj, a Madelaine, która s³ucha³a jednym uchem, mia³a wrêczenie, ¿e w dalszej czêœci rozmowy pad³o imiê Jueneporta, lecz pewna nie by³a, wróci³a zatem spokojnie do Catallusa, myœl¹c, i¿ Urszulanki, które j¹ wychowa³y, by³yby wstrz¹ceniête, gdyby wiedzia³y, do jak doczesnych celów u¿ywa siê ³aciny. Powoli czyta³a:

- Da mi basia mille, deinde centum, dein mille altara, dein secunda centum, deinde us¹ue altera



mile, deinde centum... - Ca³owaæ tysi¹c razy i sto, a¼ poca³unki stan¹ siê niepoliczalne... - Zamknê³a oczy, przypominaj¹c sobie dotkniêcie ust Saint-Germaina i jego poca³unki.

Kilka minut póŹniej wytr¹ci³ j¹ z zadumy odg³os dzwonka, którym Gervaise d'Argenlac dawa³ znaæ s³u¼bie, i¼ oczekuje na powóz. Stwierdzi³a ¼e biblioteka jestdoæ zimna i poczu³a siê winna opuszczenia ciotki na d³u¼ej' ni¼ zamierza³a.

Z westchnieniem zamknê³a tom Catallusa i opuœci³a pokój.

*Tekst napisanego po angielsku listu alchemika Beverly Sattina do księcia Rakoczego; datowane 17 października 1743:*

*Do jego Wysokości, Franza Josefa Rakoczego, Księcia Transylwanii.*

*B. Sattin przesyła sincere pozdrowienia.*

*Jajo i Gniazdo Czarnego Feniksa zaginęły. Błękitne Niebo zostało pobite i bliski jest śmierci. Oulen zniknęła z wiadomym skarbem. Szukaliśmy, lecz nie ma po nim ani śladu.*

*Proszę Wasz Wysokość, by użyła swej pomocy i zechciała asystować Gildii w tej niedoli. O ile to możliwe, przyjdź panie do nas tam, gdzie przedtem się spotkaliśmy, w porze, która będzie dla pana dogodna.*

*Pański, etc., w pośpiechu,*

**B. Sattin**

No? - spyta<sup>3</sup> bezceremonialnie Saint-Germain wchodz<sup>1</sup>c do Zajazdu pod Czerwonym Wilkiem. S<sup>3</sup>abe promienie zachodz<sup>1</sup>cego s<sup>3</sup>ońca Oœwieca<sup>3</sup>y szkar<sup>3</sup>atem przez wieloletni brud zalepiaj<sup>1</sup>cy okna, co czyni<sup>3</sup>o j<sup>1</sup> jeszcze mroczniejs<sup>1</sup> i bardziej ponur<sup>1</sup>, ni<sup>2</sup> ostatnio. Pod<sup>3</sup>oga zarzucona by<sup>3</sup>a resztkami Jedzenia i pokryta plamami po kwaœno œmierdz<sup>1</sup>cym

Beverly Sattin by<sup>3</sup> jedyn<sup>1</sup> osob<sup>1</sup> oczekuj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> w szynku. Uniós<sup>3</sup> siê natychmiast na widok Saint-Germaina.

- Wasza Wysokoœæ - sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê g<sup>3</sup>êboko - musi mi wybaczyæ tak niestosowne wezwanie... - zacz<sup>13</sup> po angielsku. Saint-Germain odpowiedzia<sup>3</sup> mu w tym samym jêzyku.

- Mniejsza o drobiazgi - œci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> czarny p<sup>3</sup>aszcz ods<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup>c swój zwyk<sup>3</sup>y jedwabny czarny strój  
- Nie mam czasu, a chcê ci zadaæ kilka istotnych pytañ. Przyszed<sup>3</sup>em jak tylko dosta<sup>3</sup>em tw<sup>1</sup> wiadomoœæ, Sattin.

Uczynisz mi uprzejmoœæ bêd<sup>1</sup>c mo<sup>2</sup>liwie treœciwym i skrupulatnym w wypowiedziach.

Sattin odczu<sup>3</sup> chwilowy przyp<sup>3</sup>yw niepokoju. Patrzy<sup>3</sup> na hrabiego jak student poproszony o wyrecytowanie nieznanego mu utworu.

- Le Grace uciek<sup>3</sup> - powiedzia<sup>3</sup> w koñcu.

- Wiem. Kaza<sup>3</sup>em wam trzymaæ go pod stra<sup>2</sup>ã<sup>1</sup> - w g<sup>3</sup>osie Saint-Germaina pojawi<sup>3</sup>a siê szorstkoœæ. - Dlaczego ten rozkaz me zosta<sup>3</sup> wype<sup>3</sup>niony? - Przez <sup>3</sup>at<sup>1</sup> pozna<sup>3</sup>, ile mo<sup>2</sup>e dzia<sup>3</sup>aae stanowczoœæ tam, gdzie zawodz<sup>1</sup> logiczne argumenty. Wyczuwa<sup>3</sup> roztr<sup>3</sup>êsienie Sattina, uderzy<sup>3</sup> zatem dosadniej w samo sedno;

- Nie nale<sup>2</sup>ê do ludzi cierpliwych.

Sattin by<sup>3</sup> ju<sup>2</sup> wyra<sup>2</sup>Ÿcie przestraszony, oprzytomnia<sup>3</sup> jednak doœæ, aby zebraæ siê w sobie i powiedzieæ:

- On by<sup>3</sup> pod stra<sup>2</sup>ã<sup>1</sup>, w pokoju na poddaszu, na drugim piêtrze, me zabezpieczyliœmy okna. Wydawa<sup>3</sup>o nam siê, <sup>2</sup>e jest zbyt wysoko, jak na bezpieczny skok. Nie s<sup>1</sup>dziliœmy, <sup>2</sup>e bêdzie próbowa<sup>3</sup> tamtêdy uciekaæ.

- I wygl<sup>1</sup>da na to, <sup>2</sup>e siê myliliœcie.

Sattin bezradnie roz<sup>3</sup>o<sup>2</sup>y<sup>3</sup> rêce.

- Myliliœmy siê. Wiem, <sup>2</sup>e to <sup>2</sup>adne usprawiedliwienie, panie, lecz byliœmy pewni, <sup>2</sup>e jest dobrze strze<sup>2</sup>ony Przez pierwsz<sup>1</sup> noc pilnowa<sup>3</sup> go Domingo y Roxas, nastêpnego dnia obowi<sup>1</sup>zek ten przypad<sup>3</sup> Cielblue. Po równo zmienialiœmy siê na warcie, sprawdzaj<sup>1</sup>c, czy Le Grace ma co jeœæ i zapewnij<sup>1</sup>c mu nieco ruchu. pokój by<sup>3</sup> bardzo ma<sup>3</sup>y, Wasza Wysokoœæ. A kiedy poprosi<sup>3</sup> o wiêcej koców, dosta<sup>3</sup> je. W tym pokoju zawsze jest zimno a pogoda siê zmienia<sup>3</sup>a. Podar<sup>3</sup> te koce, zrobi<sup>3</sup> z nich linê i spuœci<sup>3</sup> siê po niej przez okno na ulice. Nie wiedzieliœmy, <sup>2</sup>e Le Grace uciek<sup>3</sup>, dopóki Oulen nie przyniós<sup>3</sup> rano dla niego œniadania...

- I nie uznaliście za stosowne mnie zawiadomić -Saint-Germain zastuka<sup>3</sup> palcami w oparcie jednego z topornych krzeseł<sup>3</sup>.

- Słdzi<sup>3</sup>em, że tak będzie lepiej. Musia<sup>3</sup> opuścić Paryż. Nie byłoby sensu go szukać. W tej chwili może być nawet w drodze do Ameryki...

- Nie opuści<sup>3</sup> Paryża. Mów dalej - wwierca<sup>3</sup> się oczami w twarz Sattina. Czarownik wystraszy<sup>3</sup> się nie na żarty.

- My... zawiadomiliśmy parę innych osób w mieście, że Le Grace uciek<sup>3</sup> i nie jest mile widziany, i że poszukiwany jest przez stróżów porządku. Wystarczy powiedzieć, że zżama<sup>3</sup> nasz<sup>1</sup> regu<sup>3</sup>ę, a wszyscy będą go omijać jak jadowit<sup>1</sup> żmiję.

Saint-Germain skin<sup>13</sup> głow<sup>1</sup>.

- A po tym, gdy ostrzeżecie innych czarowników, to co się sta<sup>3</sup>o?

- Nic. O ile wiem, Le Grace znikn<sup>13</sup>-zaj<sup>1</sup>kn<sup>13</sup> się. - Lecz mówi pan, że nie opuści<sup>3</sup> Paryża?

- Tak, wciąż tu jest. Jeden z moich służ<sup>1</sup>ących go widzia<sup>3</sup>-rozejrza<sup>3</sup> się po szynku. - Czy to tutaj studiujecie alchemię?

- Nie - Sattin szybko potrzeb<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> głow<sup>1</sup>. - Mamy laboratorium w jednym z przyległych budynków. Właśnie teraz są tam Domingo y Roxas i jego pomocnica. Pracuj<sup>1</sup> nad Zielonym Lwem.

A zatem są to alchemicy współczesnej szkoły, pomysła<sup>3</sup> Saint-Germain, skoro są wśród nich kobiety przeprowadzające te procedury, które uważa się za żeńskie. Mężczyźni pracuj<sup>1</sup> nad resztą, a przy procesach hermafrodytycznych wskazana jest współpraca.

- Kiedy będziemy mogli im przeszkodzić? - spyta<sup>3</sup> hrabia, ucemiechaj<sup>1</sup>c się kwaśno.

- Po zachodzie słońca. Wtedy dalsza praca straci sens - powiedzia<sup>3</sup> odruchowo Sattin, chociaż po chwili wyda<sup>3</sup>o mu się dziwne, że tak znakomity człowiek, jak książe Rakoczy tego nie wie.

- Widzisz - powiedzia<sup>3</sup> Saint-Germain widząc konsternację czarownika. - Moje studia odby<sup>3</sup>em według innych szkół. W perskiej, mahometańskiej kobiety nie są dopuszczane. W Chinach niektóre prace wolno przeprowadzać tylko kastratom. Nie powinieneś dziwić się mojemu pytaniu.

Wyraz twarzy Sattina przypomina<sup>3</sup> oblicze dominikanina, który właśnie spotka<sup>3</sup> się z herezją<sup>1</sup>.

- Nie jest możliwym czynić Wielkie Dzieło w jakikolwiek inny sposób.

- Oczywiście - zgodzi<sup>3</sup> się Saint-Germain znudzony tą kwestią. - Powiedz mi, jak dosz<sup>3</sup>o do utraty athanora i tygla?

- Nie wiem - Sattin odwróci<sup>3</sup> się i zapatrzy<sup>3</sup> w czarną czeluść paleniska. - Cielbicie majaczy<sup>3</sup> tylko i niczego nam nie powiedzia<sup>3</sup>. Oulen jakby się w powietrzu rozpłyn<sup>13</sup>. Nikt go nie widzia<sup>3</sup>. Nikt - odwróci<sup>3</sup> się gwałtownie do Saint-Germaina. - Musisz mi uwierzyć, Wasza Wysokość. Nie słdziliśmy, że to się może zdarzyć. Athanor był rozgrzany, trwa<sup>3</sup> w nim proces.

- Niezły wyczyn - hrabia rozważa<sup>3</sup> przez chwilę możliwości. - Cóż, Sattin, albo jeden z braci twojej Gildii współpracuje ze zbrodziejami, albo ktoś pozna<sup>3</sup> wasz sekret. Tak czy inaczej, Gildia jest w

poważnym niebezpieczeństwie. Może zostać zdemaskowana. Gdybym był tobą, nie pozostawiłbym dłużej w tej okolicy. Jeżeli nie dosięgnie was ręka prawa, zrobi to ten, który zabiera athena - spojrzaj w okno, które było już zupełnie ciemne. Oberża pogryzła była w półmroku rozpraszającym jedynie przez dwa wiatry pomyki wojowych wieców. - Chodźmy do laboratorium. Jest już dość ciemno, by Domingo y Roxas nie polował gdzie więcej na Zielonego Lwa. Sattin wstał niechętnie.

- Proszę za mną - powiedział, czując zmęczenie spowodowane osłabieniem w nim ducha.

Saint-Germain naciągnął paszczę i, zapinając go, musnął palcami przypięty na szyi klejnot.

- Zastanawiam się - powiedział do Sattina - czy Le Grace ma coś wspólnego z tą kradzieżą.

- To niemożliwe.

- Niemożliwe? - Saint-Germain uniósł brwi. - Nie mów niemożliwe, Sattin. To prowadzi do cełoty. - Stał w drzwiach czekając na Sattina, w którego oczach pojawił się dziwny wyraz. - O co chodzi?

Sattin zawahał się, potem zaryzykował.

- Czytałem kiedyś o pewnym człowieku, który prawie sto lat temu odwiedził Helvecjusza...

- Tak? - Saint-Germain był jakby rozbawiony.

- ...dał mu kawałek kamienia filozoficznego.

- Jakie to szczęście dla Helvecjusza. To wielkie...

- W swej książce Helvecjusz opisuje tego mężczyznę. Był średniego wzrostu, z ciemnymi oczami i takimi włosami, o drobnych rękach i stopach. Obcy ten mówił nienagannym duńskim, z tym, że miał lekki akcent, możliwe, iż północny. Rzadko podnosi głos, miał wspaniałą prezencję i otaczała go dziwna aura.

Saint-Germain spytał enigmatycznie.

- Dlaczego mi to mówisz, Sattin?

- Nie zdawałem sobie do tej chwili sprawy - powiedział Sattin niemal z rozmarzeniem w głosie - jak wielkie jest podobieństwo między tym mężczyzną a panem, hrabio.

- Ile lat mógł mieć gość Helvecjusza? Czy ten wspaniały człowiek zadał sobie trud, by o tym wspomnieć?

- Mógł mieć około czterdziestu dwu lat - Sattin był zaskoczony.

- A na ile byś mnie ocenił?

- Nie więcej niż czterdzieści pięć.

Saint-Germain otworzył szerokim, nagłym gestem drzwi.

- Oto odpowiedź, Sattin. Nie mamy więcej czasu.

Lecz czarownik nadal patrzył na hrabiego z ledwo skrywanym zaniepokojeniem, gdy prowadził go ciemną uliczką do domu obok Zajazdu pod Czerwonym Wilkiem. Wokół nich noc pełna była odgłosów typowych dla kończącego się dnia. Tu i ówdzie zza zamkniętych drzwi dobiegały fragmenty

rozmów, czasem g³ocnych, czasem z³owrogich. Ponad ogólnym fetorem tej dzielnicy niós³ siê odór taniej strawy przyrz¹dzanej na t³uszczu. W cieniach przemyka³y koty starannie omijaj¹ce obu przechodniów.

- Tutaj, panie - wskaza³ z szacunkiem Sattin, pchniêciem otwieraj¹c skrzyd³o drzwi do domu, który by³ z pewnoœci¹ najbardziej zaniedbanym na tej i przyleg³ych ulicach. - Nie mamy tu wiele, lecz wype³niamy nasz¹ powinnoœæ najlepiej, jak potrafimy.

Saint-Germain widzia³ laboratoria alchemików w Khem, który da³ nazwê tej nauce, a teraz znany by³ jako Egipt; widzia³ laboratoria w wielu krajach, towarzyszy³ rozwojowi alchemii na przestrzeni stuleci. Wiedzia³, ¿e wñêtrze bêdzie gor¹ce i pe³ne zapachów. Nie zawiód³ siê.

- Ksi¹¿ê Rakoczy - powiedzia³ Domingo y Roxas spogl¹daj¹c w otwarte drzwi. - Straci³em ju¿ niemal nadzieję, ¿e zechce pan przyjeœæ. Le Grace okry³ nas hañb¹.

- To nie ma znaczenia. Wiem, gdzie jest Le Grace i zrobiê co tylko w mojej skromnej mocy, by dowiedzieæ siê czegoe o losach i miejscu ukrycia athanora - zwróci³ siê ku starszej kobiecie o srogich, pe³nych poœwiêcenia rysach i sk³oni³ siê jej z szacunkiem. - Madame? - zaryzykowa³.

Odpowiedzia³a na gest hrabiego, potwierdzaj¹c w ten sposób jego domys³y, i wytar³a d³onie w poplamiony fartuch, który okrywa³ prost¹, we³nian¹ sukniê.

- Dobry wieczór Wasza Wysokoœæ - powiedzia³a wspania³ym, niskim g³osem. Domingo y Roxas pos³a³ jej szybkie spojrzenie, k³aniaj¹c siê równie¿.

- Madame Iphigenie Ancelot Lairrez - przedstawi³. - Jest moj¹ pomocnic¹- Posiada rozleg³¹ wiedzê i spore doœwiadczenie. Przyby³a do nas z Gildii w Marsylii.

- Jestem oczarowany - powiedzia³ Saint-Germain czuj¹c sympatiê do przenikliwych oczu kobiety i jej nienachalnej pewnoœci siebie. Z bólem stwierdzi³, i¿ przypomina mu Oliviê, która zmar³a prawdziw¹ cemierci¹ ponad sto lat temu. - Pani i Domingo y Roxas tropiliœcie dzie Zielonego Lwa. Z jakim skutkiem?

- Doszliśmy go, lecz nie zniós³ on S³oñca - powiedzia³ Domingo, ¿a³uj¹c zwierza ka¿dym s³owem.

- Moje gratulacje - Saint-Germain wszed³ dalej do pokoju i rozejrza³ siê po retortach, miskach, buteleczkach, s³ojach, dmuchawach miechów, tyglach i wszystkim tym, co by³o niezbêdne do uprawiania sztuki alchemicznej. W koñcu pomieszczenia sta³a ceglana konstrukcja przypominaj¹ca ul. - Widzê, ¿e macie jeszcze jednego athanora.

- Ten jest stary - wyjaceni³ pospiesznie Sattin. - Tamten musieliœmy przebudowaæ, by pasowa³y do niego platynowe narzêdzia, które nam poleci³eœ, panie.

- Oczywiście.

Przygl¹da³ siê ma³emu piecowi. Mog³o byæ gorzej. Model by³ przestarza³y tylko o jakieœ sto lat. Wiedzia³ ju¿ starsze, nadal bêd¹ce w u¿yciu.

- Ten, kto wzię³ athanora wiedzia³, który piec powinien zabraæ i gdzie go mo¿na znaleŹæ.

- Masz racjê, ksi¹¿ê - przyzna³ Sattin i doda³ szybko. - To jednak nie móg³ byæ Le Grace. On nie wiedzia³ o wszystkim.

- Jesteœ pewien? - Saint-Germain spojrze³ na milcz¹c¹ trójkê alchemików. - Zak³adam, ¿e od was niczego siê nie dowiedzia³, ale czy mo¿emy to samo powiedzieæ o pozosta³ych z Gildii? - zawiesi³ g³os ksi¹¿ê.

- Gdzie jest Oulen? Mówi³eœ, Sattin, ¿e Cielblue nie by³ w stanie wam niczego przekazaæ, nie pamiêta³ nawet kto go pobi³. Co mo¿e siê staæ, jeœli to ktoœ z Braterstwa? Domingo y Roxas spojrze³ ostro na Saint-Germaina.

- Wasza Wysokoœæ, pan jasno sugeruje, ¿e zostaliœmy zdradzeni. Wzrok Saint-Germaina spocz¹³ przez chwilê na ma³ym Hiszpanie.

- Uciek³eœ Inkwizycji, Ambrosias. Wiesz zatem, ile znaczy zaufanie.

- Doprawdy, trudno siê z tym pogodziæ - szepnê³a Mme Lairrez, zdejmuj¹c fartuch. - Bêdziemy musieli wynieœæ siê st¹d - doda³a.

- To jedyne wyjœcie, madame - zgodzi³ siê Saint-Germain.

- Nie mamy dok¹d pójœæ - wtr¹ci³ po angielsku Beverly Sattin.

- Znikniêcie Le Grace wystawia nas na ciosy nie tylko policji... Domingo y Roxas nie rozumia³ s³ów Sattina, lecz myœla³ podobnie.

- Nie mamy siê do kogo zwróciæ, ksi¹¿ê. Jesteœmy na³asce w³adz, przynajmniej dopóki nie znajdziemy bezpiecznego lokum.

- Musimy zatem opuœciæ Pary¿, i to jak najszybciej - powiedzia³a ze zdecydowaniem w g³osie Mme Lairrez.

Szacunek jaki ¿ywi³ wobec niej Saint-Germain w tej chwili sta³ siê jeszcze wiêkszy. Bezdyskusyjnie by³a najbardziej praktycznie nastawionym do ¿ycia cz³onkiem Gildii. Posiada³a przenikliwy umys³, który, w godny ubolewania sposób, nie by³ mocn¹ stron¹ czarowników. Spojrze³a na ksiêcia zmêczonymi oczami i ze szczerym przera¿eniem powiedzia³a:

- Nie mamy przyjació³, do których moglibyœmy siê zwróciæ, panie...

- Jeœli Le Grace jest nadal w Pary¿u... jak pan mówi... - Sattin zaj¹kn¹³ siê, przygryzaj¹c doln¹ wargê. Ca³a trójka spojrze³a z nadziej¹ na ksiêcia.

- Jest pewne bezpieczne miejsce, dok¹d moglibyœcie siê udaæ - rzek³ po chwili Saint Germain.

Nie cierpia³ demaskowaæ siê w ten sposób. Zdawa³ sobie jednak sprawê, ¿e rozbicie Gildii mo¿e doprowadziæ przedstawicieli prawa do jego osoby. Co gorsza, o wiele szybciej móg³by to uczyniæ Saint Sebastien. Kr¹g potrafi³ bowiem dzia³aæ szybciej od policji.

- Co masz na myœli, ksi¹¿ê? - spyta³ Sattin, zaniepokojony przed³u¿aj¹c¹ siê cisz¹. Uwagi nie przygl¹da³ siê twarzy Saint-Germaina.

- Udacie się do piwnic Hotelu Transylwania.



*Tekst listu Mile Madelaine de Montalia do jej ojca, markiza de Montalia; datowane 19 października 1743:*

*Do mego nad wyraz szlachetnego i kochanego ojca, markiza de Montalia: Trudno mi uwierzyć, że już tak d³ugo jestem poza domem, a jednak, mój umi³owany ojciec, zawsze pojawia się w moich myślach i modlitwach. Nie ma niczego w Paryżu, co można by porównać z pięknem naszych stron rodzinnych. Często budzę się o świcie stéskniona widoku naszego parku... Nawet w Bois-Vert nie ma niczego, co by się z nim równa³o. Ci¹gle zdaję sobie sprawę, béd¹c tam, że wielkie miasto jest nie dalej, niż o godzinę drogi.*

*Jak moja ciocia z pewnośc¹ cię poinformowa³a, trzeciego listopada wydajemy przyjęcie, przygotowaniami do którego jesteśmy mocno zaprz¹tnięci. Nic nie by³oby w stanie przewyższyć uprzejmości i troski, któr¹ okazuje mi Twoja siostra. Jej gor¹ce serce i szczere zainteresowanie sprawiaj¹, iż kocham j¹ za to równie mocno, jak dzięki więzom krwi. Nie jestem przy tym jedyn¹ osob¹, która j¹ tak ocenia. Każdego dnia widzę potwierdzenie jej wartości we względach, którymi jest przez wszystkich darzona. Powiedzia³e mi, że istnia³y w tobie obiekcje wstrzymuj¹ce cię przed wys³aniem mnie do niej, lecz powody te mog³y przeważyć. Prawd¹ jest, że żyje wielkim światem i że obraca się w rozleg³ym towarzystwie, lecz nie ujê³o jej to cnót ani nie os³abi³o harmonii umys³u. Jest wspania³¹ kobiet¹ i winiene być jej wdzięczny za pragnienie towarzyszenia mi tutaj, gdyż widzia³am wielu ludzi, którzy bezwstydnie nadużywali podobnego zaufania.*

*L'Abbe Ponteneuf uczyni³ mi ten zaszczyt, iż odwiedzi³ nas w czasie prób, które w zesz³ym tygodniu przeprowadzaliemy z Saint-Germainem. To zacny cz³owiek, pe³en dobrych rad i w pe³ni świadom pu³apek tego świata. Jest prawd¹, że od czasu do czasu nadmiernie pragnie chronić mnie przed niebezpieczeństwami życia towarzyskiego, a ja, chociaż próbuję jak mogę, nie jestem w stanie go przekonać, by ilekroć co go niepokoi, powiedzia³ mi to wprost, bym mog³a bardziej mieć się na baczności przed tymi niebezpieczeństwami.*

*Niewiele ostatnio, poza prób¹, widzia³am Saint-Germaina. Da³ mi kilka ksi¹żek - paru rzymskich filozofów, których lektura z pewnośc¹ wzbogaci umys³, jak i żywoty świętych, mog¹cych dostarczać wzorów postaw wymaganych od nas w życiu. Jego wiedza jest rozleg³a i g³ęboka. Pewna jestem, że znalaz³by się jego towarzystwo odawie¿aj¹cym wobec ponurej paplaniny, która tak często ma miejsce w dobrym towarzystwie.*

*Jutro wieczorem udajemy się do Hotelu Transylvania na koncert i zimn¹ kolację. Béd¹ też gry (hazard, rzecz jasna, odbywa się w oddzielnej części rezydencji i ³atwo można go zignorować).*

*Myślę często, kochany ojciec, o krytyce, której nie szczędzi³e, mówi¹c o fa³szywości*

dworskiego życia, a mój pobyt tutaj tylko dostarcza mi dowodów świadczących o s³usznosci Twoich s³ów. Wiêkszoœæ tych ludzi to umys³y p³ytkie, powierzchowne, nie zauwa¿aj¹ce œwiata poza sob¹, nie pragn¹ce wybieæ siê ponad otoczenie, nie d¹¹ce, by wyrosn¹æ i ujrzeæ rozmaitoœæ ludzi, którzy ich otaczaj¹. De la Sept-Nuit na przyk³ad, który, jak mówi ciocia, móg³by siê o mnie œwiadczyæ, nie jest, jak s¹dzê, z³ym cz³owiekiem, lecz jest bezmyœlny i konsekwentnie okrutny. Nie zwraca uwagi na nikogo poza sob¹ samym, gdy¿ nigdy nie zosta³ nauczony dostrzegaæ cudze uczucia. Wygl¹da na to, ¿e jego pobyt w Pary¿u tylko pogarsza sprawê. Ma fortunê, jakieœ tam wykszta³cenie, mi³¹ twarz i nienaganny styl, lecz móg³by min¹æ g³oduj¹ce dziecko nie zauwa¿aj¹c nawet jego ¿a³osnego p³aczu i wycieñczenia. Nic dziwnego, ¿e odsun¹³eæ siê od tych ludzi.

Lecz zastanów siê i nad tym: a skoro ukry³eæ siê w Prowansji, to co oni mog¹ wiedzieæ o Tobie prócz tego, ¿e jesteœ samotnikiem z g³ow¹ w chmurach?

Przesy³am Ci zaproszenie na nasze listopadowe przyjêcie i b³agam ciê, byœ przyjecha³. By³abym zachwycona mog¹c mieæ Ciê przy boku, tak, byœ sam móg³ ujrzeæ, jak mi siê wiedzie w rozleg³ym oceanie tutejszego towarzystwa.

Przez ca³y czas, gdy tu jestem, widzia³am ró¿ne rzeczy, o istnieniu których nie mia³am przedtem pojmêcia. Rozmyœlania nad naukami sióstr doprowadzi³y mnie do nowego pojmêcia wiary które przedtem by³o przede mn¹ ukryte. Nie ¿yjemy tylko wêród ¿ycia i œmierci, ojczu. Jest jeszcze wspó³czucie, które trwalsze jest ni¿ przemijaj¹ca chwila ¿ycia, i ono w³aœnie czyni nasz¹ œmiertelnoœæ znoœn¹.

Jeœli moja matka wróci³a ju¿ z dóbr jej brata, to mam nadziejê, ¿e z³o¿ysz jej ode mnie wyrazy szacunku i pozdrowienia. Dla ciebie mam szacunek, oddanie i pe³ne dobrej woli pos³uszeñstwo wobec poleceñ twoich, jak i uczucie mi³oœci. Z tym to pozostaje, zapewniam ciê i¿ jestem

Tw¹ oddan¹ ci córk¹

**Madelaine Roxanne Bertrande de Montalia**

Lokaj ubrany w ciemnoniebieski<sup>1</sup>, czerwieni<sup>1</sup> wykańczan<sup>1</sup> liberiê sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê i otworzy<sup>3</sup> drzwi do salonu.

- Hrabia d'Argenlac, baron Saint Sebastien - zapowiedzia<sup>3</sup>. Saint Sebastien spojrze<sup>3</sup> znad lektury i skin<sup>13</sup> kurtuazyjnie g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> witaj<sup>1</sup>c Gervaise d'Argenlac, który niepewnie wszed<sup>3</sup> do pokoju.

- Baron Saint Sebastien? - upewni<sup>3</sup> siê. - Chcia<sup>3</sup> siê pan ze mn<sup>1</sup> widzieæ?

- Tak, d'Argenlac, chcia<sup>3</sup>em - podniós<sup>3</sup> siê z fotela i zmierzy<sup>3</sup> goœcia wzrokiem spod ciê<sup>1</sup>kich powiek. - Jestem, jak pan zapewne wie, goœciem Jueneporta.

Na wzmiankê o Jueneportcie Gervaise niemal skuli<sup>3</sup> siê ze strachu, a Saint Sebastien poczu<sup>3</sup> zimny przyp<sup>3</sup>yw wewnêtrznej satysfakcji. NajwyraŹniej spotkanie sprzed dwóch dni mocno przestraszy<sup>3</sup>o d'Argenlaca.

- Nie musi siê pan niepokoiæ, hrabio - powiedzia<sup>3</sup> agodnie Saint Sebastien, odk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c ksi<sup>1</sup>ê na stolik z palisandru. W salonie by<sup>3</sup>y trzy takie stoliki, a jego wysoki sufit ozdobiony by<sup>3</sup> freskami przedstawiaj<sup>1</sup>cymi z niepokoj<sup>1</sup>cym realizmem scenê porwania Sabineek. W przeciwnym koñcu p<sup>3</sup>on<sup>13</sup> ogieñ w kominku, bo chociaŹ deszcz juŹ usta<sup>3</sup>, w powietrzu unosi<sup>3</sup>a siê zapowiedŹ pierwszego jesiennego przymrozka, który odbiera<sup>3</sup> ciep<sup>3</sup>o s<sup>1</sup>cz<sup>1</sup>cym siê przez wysokie okna promieniom s<sup>3</sup>oñca.

- Nie niepokojê siê, baronie - sk<sup>3</sup>ama<sup>3</sup> Gervaise. Wci<sup>1</sup>ê jeszcze œciska<sup>3</sup> w rêku swój trójganiasty kapelusz i trzcinkê: niezbyt wiedzia<sup>3</sup>, co ma z nimi zrobiaæ. - Wyznajê - powiedzia<sup>3</sup> odwracaj<sup>1</sup>c siê od pogardliwego spojrzenia Saint Sebastiena - ¿e nie potrafiê zgadn<sup>1</sup>æ, dlaczego chcia<sup>3</sup> siê pan ze mn<sup>1</sup> zobaczyæ.

- MoŹe to pan nazwaæ kaprysem, hrabio. Zapewne chcia<sup>3</sup>by pan usi<sup>1</sup>œæ - wskaza<sup>3</sup> na krzes<sup>3</sup>o i poczeka<sup>3</sup>, aŹ Gervaise spocznie, kapelusz k<sup>3</sup>ad<sup>1</sup>c na kolanach.

Saint Sebastien przespacerowa<sup>3</sup> siê do okna pozwalaj<sup>1</sup>c goœciowi czekaæ.

- Wydaje mi siê... wydaje mi siê to dziwne, baronie - powiedzia<sup>3</sup> w koñcu Gervaise, nienaturalnie wysokim g<sup>3</sup>osem. - Jeden z twoich lokai, baronie, przynosi mi wiadomoœæ, która ma dotyczyæ Jueneporta.

- Naprawdê? - odwróci<sup>3</sup> siê i z radoœci<sup>1</sup> ujrza<sup>3</sup>, iŹ Gervaise trzêsie siê jak uczeniak przy tablicy. - Chcia<sup>3</sup>em, ¿eby siê pan zdziwi<sup>3</sup>.

- A to czemu? Jak<sup>1</sup> pan moŹe mieæ do mnie sprawê? - po<sup>1</sup>owa<sup>3</sup>, ¿e nie by<sup>3</sup> zapobiegliwy i nie zabra<sup>3</sup> swego wizytowego surduta ze szkar<sup>3</sup>atnego at<sup>3</sup>asu obszytego ró<sup>1</sup>em i z<sup>3</sup>otem. Mia<sup>3</sup> na sobie zwyk<sup>3</sup>e, b<sup>3</sup>êkitne ubranie podró<sup>1</sup>ne z dobrej angielskiej we<sup>3</sup>ny. Czu<sup>3</sup> siê jak wieceniak, szczególnie wobec zbytowej szaty, któr<sup>1</sup> nosi<sup>3</sup> w domu Saint Sebastien. Ró<sup>1</sup>ne nieprzyjemne myœli przebiega<sup>3</sup>y mu przez g<sup>3</sup>owê. - Nie jestem chyba panu winien pieniêdzy, baronie?

Gospodarz wypuœci<sup>3</sup> oddech w d<sup>3</sup>ugim westchnieniu zadowolenia.

- Jeżeli o to chodzi, to faktem jest, że nie przegrał pan do mnie pieniędzy, d'Argenlac. Może jednak pana zdziwi wiadomość, iż w rzeczy samej, jest mi pan winien pieniądze. Vandonne odczuwa potrzebę znalezienia pilnie gotówki i zechciał sprzedać mi kilka pańskich odręcznych weksli - podszedł do jednego ze stolików, otworzył szufladę i wyjął z niej plik papierów. Przejrzył je ostentacyjnie. - Mój drogi hrabio, czy zawsze zakłada pan tak wysokie sumy? Słodziłbym, że pańska pozycja nie upoważnia pana do takiej rozrzutności. Gervaise poczuł, jak rumieniec wstępuje mu na twarz.

- Myli się pan, baronie. Ja nie gram by przegrać.

- Naprawdę? - głos Saint Sebastiena rozbrzmiewał uprzejmym niedowierzaniem. - Tego bym nie powiedział - odłożył papiery.

- Zatem? - spytał Gervaise po chwili ciszy.

- Och, zastanawiam się tylko, czy będzie pan w stanie podać mi termin, kiedy je pan ode mnie wykupi.

Milczenie wydługało się, a gdy wreszcie Gervaise odezwał się, słowa przychodziły mu z wyraźną trudnością.

- Ja nie mam... tak wielkiej sumy... przy sobie... chwilowo niezbyt... - ocisnął w palcach swój szalik. - Mój zarządcą... będzie musiał z nim o tym porozmawiać... on się zajmuje takimi sprawami. To może zajmie kilka dni.

- Nie słodź, by kiedykolwiek mógł pan to spłacić - powiedział Saint Sebastien z sympatią w głosie. - Mam niejakie wrażenie, że wszystkie pana majątki są ciężko obciążone hipotekami. Może się mylić, lecz tak przynajmniej twierdzi Jueneport - mówił, bawiąc się misterną tabakierką, nie otwierając jej, nie oferując poczęstunku swemu przygnębionemu gościowi.

- Hipoteki są - przyznał w końcu Gervaise. - Słodził jednak, że zdąży zebrać wystarczające fundusze, by wykupić te weksle - wskazał papiery leżące na stole.

- To znaczy, chce pan powiedzieć, że może zmusić pan swą żonę, by wyłożyła pieniądze - rzekł Saint Sebastien z wyraźnym niesmakiem.

Wyraz smutku i odrazy, który odmalował się na twarzy Gervaise'a, powiedział Saint Sebastienowi więcej, niż domyślał się dotąd.

- Tak, to chciałem powiedzieć. To ona je spłaca. Nie ma powodu do obrazy.

Saint Sebastien bez pośpiechu obszedł pokój wokół siebie. Z nieodgadniętą twarzą spojrzył na Gervaise'a.

- Widzę, że nie lubi pan używać pieniędzy żony - powiedział, zatrzymawszy się przy palenisku. Gervaise wzruszył ramionami.

- Gdyby to było możliwe - cięgnął Saint Sebastien, patrząc w ogień - gdyby istniał jakiś sposób spłacenia pańskich zobowiązań, bez uciekania się do pomocy pańskiej żony, to czy byłby pan skłonny z niego skorzystać?

- Nie ma takiego sposobu - smutek tych s<sup>3</sup>ów przywo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> u<sup>3</sup>emiech na twarz Saint Sebastiena, lecz Gervaise tego nie zauwa<sup>3</sup>y<sup>3</sup>.

- Niech mi pan powie. Bratanica pañskiej  $\zeta$ ony, dziewczyna b $\hat{e}$ d<sup>1</sup>ca c $\acute{o}$ r<sup>1</sup>k<sup>1</sup> markiza de Montalia...

- To dziecko o impertynenckim charakterze - powiedzia<sup>3</sup> oschle Gervaise.

- To ca<sup>3</sup>kiem mo $\zeta$ liwe. R $\acute{o}$ d de Montalia znany by<sup>3</sup> zawsze z impertynencji lecz, jak wiem, pañska  $\zeta$ ona wydaje przyj $\acute{e}$ cie na jej cze $\acute{o}$ e $\acute{a}$ ?

- Tak. Trzeciego listopada - Gervaise by<sup>3</sup> nieco zdziwiony. - Czy mia<sup>3</sup>by pan ochot $\hat{e}$  przyj $\acute{o}$ e $\acute{a}$ ?

- Ja? Sk<sup>1</sup>d $\zeta$ e? - wpatrzy<sup>3</sup> si $\acute{e}$  w niego oczami niemal pozbawionymi wyrazu. - Rozmy $\acute{o}$ la<sup>3</sup>em tylko, czy m $\acute{o}$ g<sup>3</sup>by mi pan uczyni $\acute{a}$  drobn<sup>1</sup> przys<sup>3</sup>ug $\hat{e}$  zwi<sup>1</sup>zan<sup>1</sup> z t<sup>1</sup> dziewczyn<sup>1</sup>...

- Madelaine - podpowiedzia<sup>3</sup> Gervaise, mocno zdumiony.

- Tak, Madelaine. Pierwsze i jedyne dziecko Roberta.

- Czego pan chce od niej? - trwoga zakie<sup>3</sup>kowa<sup>3</sup>a w duszy Gervaise'a, lecz jego  $\acute{o}$ wiadowo $\acute{o}$ e $\acute{a}$  j<sup>1</sup> zignorowa<sup>3</sup>a. Nie czu<sup>3</sup> szczeg $\acute{o}$ lnej s<sup>3</sup>abo $\acute{o}$ eci do Madelaine. Tak naprawd $\hat{e}$  to uwa $\zeta$ a<sup>3</sup> j<sup>1</sup> za zbyt bystr<sup>1</sup> i opanowan<sup>1</sup>, by mog<sup>3</sup>y z tego p<sup>3</sup>yn<sup>1</sup>ae jakie $\acute{o}$  po $\zeta$ ytki.

- Chc $\acute{e}$  tylko, by jej ojciec wywi<sup>1</sup>za<sup>3</sup> si $\acute{e}$  ze zobowi<sup>1</sup>zania, kt $\acute{o}$ re dotyczy jego c $\acute{o}$ rki.

Gervaise'emu nie podoba<sup>3</sup>o si $\acute{e}$  to wszystko, a najbardziej twarz Saint Sebastiena, jego gadzi spos $\acute{o}$ b patrzenia na ludzi i nieustanna nuta szyderstwa w g<sup>3</sup>osie. Pochyli<sup>3</sup> si $\acute{e}$  m $\acute{o}$ wi<sup>1</sup>c:

- Markiz de Montalia zosta<sup>3</sup> r $\acute{o$ wnie $\zeta$  zaproszony na przyj $\acute{e}$ cie. Mo $\zeta$ e pan wyegzekwowa $\acute{e}$  swoje pretensje bezpo $\acute{o}$ rednio do niego.

- Naprawd $\hat{e}$ ? - Saint Sebastien cmokn<sup>13</sup>, nie przerywaj<sup>1</sup>c podziwiania widoku za oknem. - Robert przyje $\zeta$ d $\zeta$ a do Pary $\zeta$ a. Kto by pomy $\acute{o}$ la<sup>3</sup>. Po tylu latach.

- Nie rozumiem pana.

- To pana nie dotyczy - Saint Sebastien wr $\acute{o}$ ci<sup>3</sup> do kominka. - To bardzo stara sprawa, hrabio, i osobista - postuka<sup>3</sup> r $\acute{e}$ k<sup>1</sup> w obudow $\hat{e}$  kominka. - Jest zatem o wiele mniej czasu, ni $\zeta$  s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em. Musimy za<sup>3</sup>atwia $\acute{e}$  to inaczej - odwr $\acute{o}$ ci<sup>3</sup> si $\acute{e}$  do Gervaise'a. - Czy chce si $\acute{e}$  pan wywi<sup>1</sup>za $\acute{e}$  ze swoich d<sup>3</sup>ug $\acute{o}$ w?

- To niemo $\zeta$ liwe, baronie - Gervaise roz<sup>3</sup>o $\zeta$ y<sup>3</sup> bezradnie r $\acute{e}$ ce. - Nie ma po temu  $\zeta$ adnych  $\acute{o}$ rodk $\acute{o}$ w.

- Przypu $\acute{o}$ e $\acute{a}$ my,  $\zeta$ e b $\hat{e}$ dzie to mo $\zeta$ liwe - szybko skorzysta<sup>3</sup> z okazji Saint Sebastien. - A je $\acute{o}$ eli ja panu to umo $\zeta$ liwi $\acute{e}$ ? Czy spe<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>by pan w zamian jedn<sup>1</sup> drobn<sup>1</sup> pro $\acute{o}$ b $\hat{e}$ ?

Gervaise poczu<sup>3</sup> nagle, jak ogarnia go uczucie trwogi; r $\acute{e}$ ce mia<sup>3</sup> wilgotne i lodowato zimne. Stwierdzi<sup>3</sup>, i $\zeta$  nie jest w stanie spoj<sup>1</sup>da $\acute{e}$  Saint Sebastienowi w oczy.

- Jak<sup>1</sup> pro $\acute{o}$ b $\hat{e}$ ?

- Pomniejsz<sup>1</sup>, hrabio. Ca<sup>3</sup>kiem drobn<sup>1</sup> - uspokoi<sup>3</sup> go. - Ma pan ma<sup>3</sup>y maj<sup>1</sup>tek niedaleko od Pary $\zeta$ a. Nazywa si $\acute{e}$  to Sans Desespoir, prawda? Je $\acute{o}$ eli zechce pan wy $\acute{o}$ wiadczy $\acute{a}$  mi t $\acute{e}$  przys<sup>3</sup>ug $\hat{e}$ , pañska rozpacz nie potrwa d<sup>3</sup>ugo, o ile zacznie si $\acute{e}$  pan rozs<sup>1</sup>dnie odnosi $\acute{a}$  do gier hazardowych, rzecz

jasna - popatrzy<sup>3</sup> na d'Argenlaca cynicznie.

- Co mam zrobić? Co mi pan proponuje? - Zapragn<sup>13</sup>, by potrzeba, w której się znalaz<sup>3</sup>, by<sup>3</sup>a mniej pal<sup>1</sup>ca. Czu<sup>3</sup>, że gdyby mia<sup>3</sup> więcej czasu i swobody dział<sup>3</sup>ania, wówczas wytargowa<sup>3</sup>by od Saint Sebastiena niejedno.

- Sans Desespoir otoczone jest wielkim parkiem, a tereny <sup>3</sup>owieckie dzieli jak wiem, z dwoma s<sup>1</sup>siednimi majątkami? - zapyta<sup>3</sup> w odpowiedzi

Saint Sebastien.

- Tak. Na północy jest majątek diuka de Ruisseau-Royal, a na wschodzie barona du Chaisseurdor. Nasze rodziny poluj<sup>1</sup> razem od sześciuset lat - wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> przed siebie ręce i z przerażeniem ujrza<sup>3</sup>, jak się trzęs<sup>1</sup>. Wcisn<sup>13</sup> je do kieszeni. - Ja sam nie poluj<sup>1</sup>. Nie gustuj<sup>1</sup> w tym sporcie.

- Lecz la Montalia tak. S<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em, że jest zapalon<sup>1</sup> amazonk<sup>1</sup> przepadaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> za długimi galopadami, których tutaj jej brakuje. Z przyjemnośc<sup>1</sup> spędzi<sup>3</sup>aby, jak s<sup>1</sup>dz<sup>1</sup>, kilka dni na wsi. Zorganizuje pan kompanię, hrabio. Bardzo o<sup>3</sup>cis<sup>31</sup> i jak najatrakcyjniejsz<sup>1</sup>. Może pan pozwoli<sup>1</sup>, by kontessa sama u<sup>3</sup>o<sup>1</sup>czy<sup>3</sup>a listę gości, o ile znajdzie się na niej Sept-Nuit. Wyrazi<sup>3</sup> ostatnio wielki zachwyt dla tej dziewczyny i chc<sup>1</sup>e da<sup>1</sup> mu szansę lepszego jej poznania.

- Rozumiem - powiedzia<sup>3</sup> żywo Gervaise, zastanawiaj<sup>1</sup>c się z rozpacz<sup>1</sup>, czy nie b<sup>1</sup>dzie tu trzeba zrobić czegoś, co znów mog<sup>3</sup>oby go wpędzić w k<sup>3</sup>opoty.

- Oczywiście, b<sup>1</sup>dzie i polowanie. Bez pogoni, gdyż nie chcemy przecie<sup>1</sup>, by dziewczyna by<sup>3</sup>a zbyt wymęczona przed jej triumfem. Troch<sup>1</sup>e biegów po południu, mi<sup>3</sup>y wieczór daleki od pretensjonalności, a wszystko w scenarii tak różnej od miejskiego gwaru. Czyli to, w czym znajduje największ<sup>1</sup> przyjemność. A i twoja żona się zgodzi. B<sup>1</sup>d<sup>1</sup> tego pewien.

Gervaise pomyśla<sup>3</sup>, że to już koniec ż<sup>1</sup>dań. Stwierdzi<sup>3</sup>, iż pomys<sup>3</sup> faktycznie powinien spodobać się Claudii. Mimo tego dręcz<sup>1</sup>ce w<sup>1</sup>tpliwośc<sup>1</sup> nie chcia<sup>3</sup>y go opuścić.

- A co pan b<sup>1</sup>dzie z tego mia<sup>3</sup>, baronie? Dlaczego mia<sup>3</sup>by pan p<sup>3</sup>aci<sup>1</sup> mi za m<sup>1</sup> gościnnosc<sup>1</sup> wobec tej m<sup>3</sup>odej damy?

- Ach, to już moja sprawa. Niech pan tylko baczy, by Sept-Nuit rzeczywiście tam by<sup>3</sup> i aby razem wyprawili się na polowanie. To całkiem mnie usatysfakcjonuje.

Gervaise'emu przysza<sup>3</sup> do g<sup>3</sup>owy jeszcze jedna nieprzyjemna myśl.

- Nie chc<sup>1</sup>, by dziewczyna zosta<sup>3</sup>a skompromitowana pod moim dachem. Jeżeli de la Sept-Nuit chce j<sup>1</sup> uwieść, to lepiej niech spróbuje tego w Paryżu. Saint Sebastien zdoby<sup>3</sup> się na przebieg<sup>3</sup>y ucemich.

- Nie, to nie tego chce od niej de la Sept-Nuit. Mog<sup>1</sup> panu obiecać, że jej nie uwiedzie - w ucemichu, który rzuci<sup>3</sup> Gervaise'emu nie by<sup>3</sup>o nic, co by rozwiewa<sup>3</sup>o w<sup>1</sup>tpliwośc<sup>1</sup>. - Niech pan tylko pozwoli polować im razem, hrabio, a zostanie pan hojnie wynagrodzony.

- Co siê za tym kryje, baronie? - Wiedzia<sup>3</sup>, że musi zadaæ to pytanie i podniós<sup>3</sup> siê, gdy je tylko wypowiedzia<sup>3</sup>.

- Wyjaci<sup>3</sup>em już. De la Sept-Nuit pragnie poznaæ j<sup>1</sup> lepiej, a ja obieca<sup>3</sup>em mu, że pomogê doprowadziæ do ma<sup>3</sup>żeni<sup>3</sup>stwa - Saint Sebastien poszpera<sup>3</sup> w kieszeni. - Proszê hrabio, oto dowód mojej dobrej woli.

- Co to jest - Gervaise cofn<sup>13</sup> siê spogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c podejrzliwie na zamkniet<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ Saint Sebastiena.

- Czêœciowa zap<sup>3</sup>ata. Proszê, niech pan to weŹmie. S<sup>1</sup>dzê, że bêdzie to dla pana u<sup>1</sup>yteczne.

Gervaise post<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> niepewnie kilka kroków i wyci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> d<sup>3</sup>oñ, oczekuj<sup>1</sup>c, że zaraz spadnie na ni<sup>1</sup> coœ obrzydliwego.

- Proszê. Przekona siê pan, że Guillem z Holandii piêknie to oszlifuje - rzuci<sup>3</sup> surowy diament prosto na d<sup>3</sup>oñ Gervaise'a i ucemiechn<sup>13</sup> siê lekko widz<sup>1</sup>c zadowolenie na jego twarzy. - Jest prawdziwy, hrabio. S<sup>1</sup>dzê, że przyniesie panu spor<sup>1</sup> sumê.

Rêka Gervaise'a zamknê<sup>3</sup>a siê kurczowo wokó<sup>3</sup> kamienia.

- Nie rozumiem - wymamrota<sup>3</sup>.

- Bêd<sup>1</sup> jeszcze cztery takie, przynajmniej takie, po wyprawie do Sans Desespoir. Wówczas te¿ oddam panu weksle. - Saint Sebastien przeszed<sup>3</sup> powoli do drzwi i zadzwoni<sup>3</sup> po lokaja. - Źyczê panu przyjemnego pobytu na wsi, hrabio. I szczêœliwej realizacji naszej umowy.

- Naturalnie, niezawodnie - mrukn<sup>13</sup> Gervaise bliski gadania od rzeczy. Schwyci<sup>3</sup> p<sup>3</sup>aszcz, trzinkê i kapelusz. Ulga przyprawi<sup>3</sup>a go o nag<sup>3</sup>e roztargnienie. Skin<sup>13</sup> lokajowi i k<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup>c siê jeszcze kilkakrotnie baronowi, skierowa<sup>3</sup> siê do wyjœcia.

Gdy znikn<sup>13</sup>, Saint Sebastien zadzwoni<sup>3</sup> po Le Grace.

Minê<sup>3</sup>o trochê czasu, nim czarownik przyby<sup>3</sup>. Wchodz<sup>1</sup>c do salonu przeprosi<sup>3</sup> za poplamiony fartuch.

- Mniejsza o to - mrukn<sup>13</sup> Saint Sebastien. - Powiedz mi, ile takich kamieni jesteœ w stanie zrobiæ w ci<sup>1</sup>gu najbli¿szych dziesiêciu dni? Le Grace potar<sup>3</sup> podbródek.

- Nie wiem. Obecnie otrzymujê jeden do dwóch dziennie. Dopóki wêgiel utrzymywany jest w stanie p<sup>3</sup>ynnym, a narzêdzia zachowuj<sup>1</sup> odpornoœæ na opary azotu, to powinno siê to udawaæ jeszcze przez parê tygodni. Potem - nie mogê rêczyæ. Musimy odszukaæ Rakoczego. On jeden zna dok<sup>3</sup>adnie ten sekret.

- Rakoczy! Zawsze ten Rakoczy! - Saint Sebastien przemierzy<sup>3</sup> pokój du¿ymi krokami. Domowa szata z pikowanego jedwabiu rozpociera<sup>3</sup>a siê za nim jak kilwater. - Muszê znaleŹæ tego Rakoczego. Jeœli zna sekret diamentów, to mo¿e znaæ i inne. Pragnê tej wiedzy, Le Grace. Chcê, żebyœ znalaz<sup>3</sup> dla mnie tego cz<sup>3</sup>owieka.

Le Grace zblad<sup>3</sup>.

- Nie mogê, baronie. Zosta<sup>3</sup>em wyrzucony z Gildii i ryzykowa<sup>3</sup>bym Źyciem, gdybym...

- Zaryzykujesz życiem, jeżeli winien będziesz mojemu niezadowoleniu, Le Grace. Pamiętaj o tym. Pamiętaj też, że mogę wynagrodzić cię hojniej, niż ktokolwiek z Gildii - spojrzaj na czarownika. - Jesteś dla mnie użyteczny tak długo, jak długo produkujeś diamenty. Potem... o ile nie będziesz miał czegoś nowego, by mi zaproponować... - wzruszył ramionami i podszedł do kominka.

- Nie ośmielił się pokazać w mieście - argumentował Le Grace.

- Nie ośmielisz się mi przeciwstawić - poprawił go Saint Sebastien. Ujawnił zdobiony pogrzebacz, który stał obok kominka i rozgarnął drwa. Iskry sypnęły na wypolerowaną na gład podłogę. Uśmiechnął się. - Pamiętajś la Cressie, Le Grace? Ty miałeś ją pierwszy, zaraz po mnie. Pamiętajś, jak wyglądała. Pamiętajś, jak skrzyła się z bólu? A to był tylko gwałt, Le Grace.

Nie było tortur, nie było Mszy Krwi. Pomyśl o tym, gdy będziesz chciał mi się przeciwstawić.

Le Grace poczuł, jak zasycha mu w gardle. Ledwo zdążył wydobyć głos.

- Spróbuj, baronie.

Saint Sebastien nie obejrzał się na niego.

- Dobrze.

- Wyruszę tej nocy.

Le Grace był już prawie za drzwiami, gdy dobiegł go jeszcze głos Saint Sebastiena:

- Nie myśl przypadkiem o ucieczce, Le Grace. Jeżeli spróbujesz zbiec, znajdę cię i sprowadzę. I nie będę miał wtedy dla ciebie litości.

- Nie przyszło mi to nawet do głowy, baronie - czarownik skłonił się, lecz baron na ukłon nie odpowiedział.

- Nie okłamuj mnie też, Le Grace. Odszukaj dla mnie tego Rakoczego, a zostaniesz wynagrodzony. Oszukaj mnie, a będziesz ukarany - rozgrzebywał ze złości drwa.

Le Grace otworzył usta, lecz nic nie powiedział. Chciał mu się krzychać. Wiele by dał, by znaleźć się z powrotem w pokoju na stryszku w Zajeździe pod Czerwonym Wilkiem, razem z Oulenem, żywym, pod drzwiami. Zrozumiał, że nie powinien był go zabijać. Niedobrze również, że pobił Cielblue, co tylko pogorszyło sprawę. Opanował się dość, by powiedzieć:

- Znajdę Rakoczego.

Zaraz potem wyszedł z salonu.

Saint Sebastien zachichotał, usłyszawszy jak drzwi zamykają się za uciekającym przez sień przerażonym Le Grace. Stał oparty o obramowanie kominka i uśmiechał się do kształtów i postaci, które ukazywały się w ogniu.



Wyj<sup>l</sup>tek z listu markiza de Montalia do jego siostry, Claudii, kontessy d'Argenlac; datowane 24 pa<sup>Y</sup>dziernika 1743:

(...) Zdumiony by<sup>3</sup>em szybko<sup>æci</sup><sup>l</sup>, z jak<sup>l</sup> poczta przynios<sup>3</sup>a mi list Madelaine. Tylko piêæ dni, moja kochana siostró. Mów co chcesz o fatalnej polityce zagranicznej Ludwika, lecz jego polityka wewnêtrzna jest rozs<sup>l</sup>dna. By<sup>3</sup>em uradowany, maj<sup>l</sup>c wiadomo<sup>ææ</sup> od mojej córki tak szybko i z tak gor<sup>l</sup>cymi pozdrowieniami. Moje serce pe<sup>3</sup>ne jest wdziêczno<sup>æci</sup> do ciebie i jej spowiednika, opata Ponteneufa, który równie<sup>z</sup> niedawno do mnie napisa<sup>3</sup>. Twierdzi<sup>3</sup>, i<sup>z</sup> córka moja wy<sup>z</sup>ej ceni warto<sup>æci</sup> cnót trwa<sup>3</sup>ych, ni<sup>z</sup> przyjemno<sup>æci</sup> chwili, co nape<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>o mnie now<sup>l</sup> si<sup>3l</sup>, zupe<sup>3</sup>nie jakby niezno<sup>æny</sup> ciê<sup>z</sup>ar zdjêty zosta<sup>3</sup> z moich barków. Zawsze wiedzia<sup>3</sup>em, i<sup>z</sup> jest ona prawym dzieckiem, a jej ostatni list to potwierdza.

Pisa<sup>3</sup>a by spyta<sup>æ</sup>, czy przybêdê na jej przyjêcie, dodaj<sup>l</sup>c przy tym usilne b<sup>3</sup>agania od ciebie. Je<sup>æli</sup> obie najukocha<sup>nsze</sup> kobiety mego <sup>z</sup>ycia staj<sup>l</sup> tak twardo przeciwko mnie, to jak mogê siê nie zgodziæ? Mówicie, <sup>z</sup>e widok Pary<sup>z</sup>a zrobi mi dobrze, <sup>z</sup>e bêdê móg<sup>3</sup> odnowiæ przyja<sup>Y</sup>nie z lat mej m<sup>3</sup>odo<sup>æci</sup>. Niektóre z nich, moja droga, najlepiej jest oczywiêcie zapomnieæ, lecz pozosta<sup>3</sup>e, przyznajê, poci<sup>l</sup>gaj<sup>l</sup> moje serce i sk<sup>3</sup>aniaj<sup>l</sup> do obecno<sup>æci</sup>. Chocia<sup>z</sup> to niem<sup>l</sup>dre - nie mogê odmówiæ p<sup>3</sup>yn<sup>l</sup>cej z serca pobudce. Wyjadê pojutrze i przybêdê do Pary<sup>z</sup>a pierwszego lub drugiego listopada.

Ufam, <sup>z</sup>e mogê liczyæ na kilkudniow<sup>l</sup> go<sup>æcinê</sup> u ciebie i hrabiego. Piszê równie<sup>z</sup> do opata Ponteneufa, by mieæ pewno<sup>ææ</sup>, i<sup>z</sup> uda nam siê spêdziæ razem kilka godzin, gdy<sup>z</sup> têsknîê za po<sup>z</sup>ytkami p<sup>3</sup>yn<sup>l</sup>cymi z jego nauk i szczerzej <sup>z</sup>arliwo<sup>æci</sup>. Prawie przekona<sup>3</sup> mnie, i<sup>z</sup> jest nadzieja jeszcze na spokój dla mnie; spokój, który tak dawno temu zosta<sup>3</sup> mi odebrany w tym mie<sup>æci</sup>. Moja <sup>z</sup>ona pozostaje wci<sup>l</sup>z w dobrach swego brata i nie przy<sup>3</sup>lczy siê do mnie. Otrzyma<sup>3</sup>em rano wiadomo<sup>ææ</sup> od niej i wys<sup>3</sup>a<sup>3</sup>em jednego z parobków z notatk<sup>l</sup> przedstawiaj<sup>l</sup>c ogólnie moje zamiary i informuj<sup>l</sup>c, gdzie bêdzie mog<sup>3</sup>a mnie znale<sup>Y</sup>æ ona lub jej list. Jej brat, jak mo<sup>z</sup>e s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>æ, o<sup>z</sup>eni<sup>3</sup> siê powtórnie. Jego <sup>z</sup>ona jest w trakcie pierwszego po<sup>3</sup>ogu. Margaret, która jest mu bardzo oddana, pospieszy<sup>3</sup>a by zaopiekowa<sup>æ</sup> siê jego dzie<sup>æmi</sup> z pierwszego ma<sup>3</sup>z<sup>z</sup>e<sup>ñstwa</sup>. Bratankowie i bratanice kochaj<sup>l</sup> j<sup>l</sup> tak bardzo, i<sup>z</sup> nie mam serca odci<sup>l</sup>gaæ jej od tego mi<sup>3</sup>ego obowi<sup>l</sup>zku przyjêcia nastêpnego Ragnaca na <sup>æ</sup>wiat. Ona i ja, jak wiesz, <sup>z</sup>yjemy ka<sup>z</sup>de swoim <sup>z</sup>yciem, i nie widzê powodu, który by mnie uprawnia<sup>3</sup> do rozkazywania jej. Bêd<sup>l</sup>c mê<sup>z</sup>em mam wprawdzie ten przywilej, lecz bior<sup>l</sup>c pod uwagê jej oddanie bratu, to by<sup>3</sup>oby wtr<sup>l</sup>canie siê w zwil<sup>z</sup>ek, z którego nie powinna zrezygnowa<sup>æ</sup>; gdyby mi siê co<sup>æ</sup> sta<sup>3</sup>o to u niego znalaz<sup>3</sup>aby najw<sup>3</sup>æciwsz<sup>l</sup> opiekê i schronienie.

Twój niepokój o Lucienne Cressie naprawdê mnie zatrwo<sup>z</sup>y<sup>3</sup>. Z pewno<sup>æci</sup><sup>l</sup> jej m<sup>l</sup>z nie mo<sup>z</sup>e byæ winien tak, jak to sugerujesz. Zdajê sobie sprawê, i<sup>z</sup> je<sup>æli</sup> w rzeczy samej uleg<sup>3</sup>

cielesnej rozpućcie, któr<sup>1</sup> opisujesz, to by<sup>3</sup>oby dla niej bardzo trudnym podporz<sup>1</sup>dkować się jego życzeniom. Lecz ani jej, ani tobie, moja droga siostró, nie jest pisane i<sup>1</sup>dać naruszenia praw m<sup>ê</sup>ca do kształtowania charakteru i<sup>1</sup>ony. To prawda, i<sup>1</sup>e może jej być ci<sup>ê</sup>ko. Lecz jest jej, jako i<sup>1</sup>ony, przywilejem i obowiz<sup>1</sup>kiem dbać o potrzeby wi<sup>ê</sup>zi ma<sup>3</sup>i<sup>1</sup>skiej. Ko<sup>æ</sup>ció<sup>3</sup> i prawo popieraj<sup>1</sup> ten punkt widzenia i wsz<sup>ê</sup>dzie woko<sup>3</sup>o widzimy tego przyk<sup>3</sup>ady. Wzory <sup>æ</sup>wi<sup>ê</sup>tych ucz<sup>1</sup> nas cnoty pos<sup>3</sup>usze<sup>3</sup>stwa w b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awionym ma<sup>3</sup>i<sup>1</sup>stwie i ka<sup>3</sup>da kobieta winna dzi<sup>ê</sup>kować, i<sup>1</sup> pewne rz<sup>1</sup>dy jej ma<sup>3</sup>i<sup>1</sup>ka chroni<sup>1</sup> j<sup>1</sup> przed pró<sup>3</sup>no<sup>æ</sup>ci<sup>1</sup> i za<sup>3</sup>amaniami. Je<sup>æ</sup>li Lucienne Cressie pozbawiona jest owoców zwi<sup>1</sup>zku i rado<sup>æ</sup>ci macierzy<sup>3</sup>stwa, to z pewno<sup>æ</sup>ci<sup>1</sup> jest na lepszej drodze do dost<sup>1</sup>pienia <sup>3</sup>aski, gdy<sup>1</sup> wolna jest od splugawienia cia<sup>3</sup>a. Nie pozwól, by twój niepokój i niezadowolenie doprowadzi<sup>3</sup>y ci<sup>ê</sup> do wtr<sup>1</sup>cenia się w jej i<sup>1</sup>ycie. Zamiast tego porad<sup>3</sup> jej by przyj<sup>ê</sup>ła rol<sup>ê</sup>, któr<sup>1</sup> wyznaczy<sup>3</sup>y jej Niebiosa i uleg<sup>3</sup>a dla przyjemno<sup>æ</sup>ci m<sup>ê</sup>ca. Jej powolno<sup>æ</sup> i przyk<sup>3</sup>ad mog<sup>1</sup> z powodzeniem odwie<sup>æ</sup> hrabiego od wyst<sup>ê</sup>tku i skierować go z powrotem na drog<sup>ê</sup> cnoty, prowadz<sup>1</sup>c<sup>1</sup> do zachowa<sup>3</sup> przystojnych m<sup>ê</sup>ci<sup>1</sup>.

(...) Przysz<sup>3</sup>o mi na my<sup>æ</sup>l, i<sup>1</sup>e strój modny w salonach musia<sup>3</sup> zmieniać się bardzo od czasu, gdy by<sup>3</sup>em w stolicy. Mam nadziej<sup>ê</sup>, i<sup>1</sup>e hrabia, lub kto<sup>æ</sup> inny, powie mi, co mam robić i jak się ubrać, by nie urazić mojej córki ani ciebie. W<sup>1</sup>tpi<sup>ê</sup>, by by<sup>3</sup>o do<sup>æ</sup> czasu, aby zamówić wszystko, co trzeba, lecz przesy<sup>3</sup>am wraz z tym listem kartk<sup>ê</sup>, na której wypisa<sup>3</sup>em moje wymiary, zdj<sup>ê</sup>te ze mnie latem przez krawca, co powinno wystarczyć do uszycia przynajmniej spodenek i surduta dla mnie. Prosz<sup>ê</sup> ci<sup>ê</sup>, moja kochana siostró, być niezale<sup>3</sup>nie od obecnej mody na kolorowe ubrania, nie ulega<sup>3</sup>a temu moim kosztem. Jestem skromnym cz<sup>3</sup>owiekiem i surdut z brunatnego jedwabiu oraz br<sup>1</sup>zowe aksamitne mankiety zupe<sup>3</sup>nie mi wystarcz<sup>1</sup>. <sup>1</sup>adnych liliowych czy brzoskwiniowych tkanin - prosz<sup>ê</sup>, to by<sup>3</sup>oby wbrew mojej naturze. Je<sup>æ</sup>li brunatny jedwab nie jest akurat dost<sup>ê</sup>pny, wówczas zdaj<sup>ê</sup> się na ciebie. B<sup>3</sup>agam ci<sup>ê</sup> jednak, zachowaj umiar. S<sup>1</sup>dz<sup>ê</sup>, i<sup>1</sup>e posiadam odpowiednie koszule z kremowego jedwabiu i pasuj<sup>1</sup>ce do nich koronki. Dzi<sup>ê</sup>kuj<sup>ê</sup> ci z gó<sup>1</sup>ry za t<sup>ê</sup> pomoc. My<sup>æ</sup>l o przyj<sup>ê</sup>ciu wype<sup>3</sup>nia zapewne w ca<sup>3</sup>o<sup>æ</sup>ci wasz czas, lecz ufam, i<sup>1</sup> ty lub hrabia zanieście moje wymiary krawcowi i z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>ycie zamówienie.

Dzi<sup>ê</sup>kuj<sup>ê</sup> t<sup>1</sup> drog<sup>1</sup> raz jeszcze, z ca<sup>3</sup>ego serca, za wasz<sup>1</sup> go<sup>æ</sup>cinno<sup>æ</sup> wobec mojej córki i zainteresowanie, jakie jej okazujesz, jak równie<sup>3</sup>, twoje uczucie, którego wynikiem jest owo zaproszenie. Czeka<sup>3</sup> niecierpliwie, by ujrz<sup>æ</sup> was obie i naciesz<sup>3</sup>yc się blaskiem Pary<sup>3</sup>a. Z honorem pozostaj<sup>ê</sup>,

Twoim oddanym ci bratem

**Robert Marcel Yves Etienne Pascal, Markiz de Montalia**

Niezgrabnie wsparty na kulach Hercule dok<sup>3</sup>ada<sup>3</sup> starań, by wy-szczotkowaæ nogi najstarszego konia zaprzêgowego ze stajni Saint-Germaina. Kl<sup>13</sup> pod nosem, lecz nie przerywa<sup>3</sup> pracy. Nie chcia<sup>3</sup> wy<sup>3</sup>adowywaæ swego gniewu na zwierzęciu.

- On i tak wie - powiedzia<sup>3</sup> nagle niski, dobrze modulowany g<sup>3</sup>os kogoœ, kto sta<sup>3</sup> schowany w cieniu.

Hercule podniós<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owê tak szybko, że straci<sup>3</sup> równowagê, i upad<sup>3</sup>by, gdyby nie rêce Saint-Germaina, który podpar<sup>3</sup> go z boku.

- Niech ciê diabli wezm<sup>1</sup>!

- Jeżeli koniecznie chcesz - powiedzia<sup>3</sup> Saint-Germain nie chowaj<sup>1</sup>c urazy. Odsun<sup>13</sup> siê i czeka<sup>3</sup>.

- Ja... ja przepraszam. Nie powinienem odzywaæ siê do pana w ten sposób - powiedzia<sup>3</sup> Hercule, nie œmiaæ spojrzeæ w ciemne oczy swego mocodawcy.

- Lecz rany sprawiaj<sup>1</sup> ci ból - dokończ<sup>3</sup> za niego Saint-Germain, okazuj<sup>1</sup>c zrozumienie. - Nie musisz przepraszaæ.

- To pan jest tu w<sup>3</sup>adc<sup>1</sup> - mówi<sup>1</sup>c to, Hercule przypomni<sup>3</sup> sobie arogancki ucemiech na twarzy Saint Sebastiena, gdy ten ok<sup>3</sup>ada<sup>3</sup> go lask<sup>1</sup>. Samo wspomnienie wystarczy<sup>3</sup>o, by ponownie odczuaæ ból.

- Boisz siê? Mnie? - to ostatnie pytanie by<sup>3</sup>o tak ciche, że Hercule nie by<sup>3</sup> nawet pewien, czy je s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>.

- Nie s<sup>1</sup>dzê - odpowiedzia<sup>3</sup>, marszcz<sup>1</sup>c brwi. Z trudem wyszed<sup>3</sup> z boks.

- On bêdzie potrzebowa<sup>3</sup> opieki weterynarza.

- Zadbam o to - Saint-Germain spojrze<sup>3</sup> na kozio<sup>3</sup>. - Brakuje ci tego?

- Powożenia? - spyta<sup>3</sup> Hercule z żalem. - Tak. Brakuje mi tego, jak brakowa<sup>3</sup>oby mi w<sup>3</sup>asných zębów.

- Coœ zapewne da siê zrobiaæ - zaryzykowa<sup>3</sup> Saint-Germain g<sup>3</sup>osem naturalnym, prawie beznamiêtym.

- Nic nie da siê zrobiaæ - uniós<sup>3</sup> siê Hercule. - Okaleczy<sup>3</sup> mnie. Równie dobrze mógł<sup>3</sup>by przejechaæ po mnie karet<sup>1</sup>. Lecz to - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> nieprzejednany - by<sup>3</sup>oby zbyt <sup>3</sup>atwe. To by za szybko zakończy<sup>3</sup>o sprawê i baron Clotaire de Saint Sebastien nie by<sup>3</sup>by zadowolony. On i jego stary Vidame. Dobry jest, gdy trzeba czegoœ od Koœcio<sup>3</sup>a.

- Hercule... - wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup> Saint-Germain, lecz stangret nie da<sup>3</sup> siê udobruchaæ.

- To potwór! Czego siê dotknie, zaraz to nikczemnieje, wype<sup>3</sup>nia siê cierpieniem, a jego siêgn<sup>1</sup>æ nikt nie mo<sup>3</sup>je. Saint-Germain po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oñ na ramieniu Hercule.

- Przypuœamy, przyjacielu, przypuœamy, że by<sup>3</sup>by sposób. Za<sup>3</sup>ó<sup>3</sup>my, że oddam ci we w<sup>3</sup>adanie œerodki wystarczaj<sup>1</sup>ce, by popsuaæ szyki Saint Sebastiena. Czy zrobi<sup>3</sup>byœ to?

- Stan<sup>1</sup>æ mu na drodze? - spyta<sup>3</sup> Hercule trac<sup>1</sup>c oddech. - Jak? Saint-Germain nie odpowiedzia<sup>3</sup>

wprost.

- Gdybyœ mia<sup>3</sup> asystê, czy móg<sup>3</sup>byœ powoziæ karet<sup>1</sup>?

- Nawet bez asysty, bylebym ty<sup>3</sup>ka wspi<sup>13</sup> siê na kozio<sup>3</sup>. Panie, nie potrzebujê nóg do powożenia, potrzebujê tylko r<sup>1</sup>k i ramion, a te mam zdrowe. Jestem jednak jak ten robak - nie mogê wspia<sup>1</sup>æ siê na górê. - Jego bezużyteczne nogi podrygiwa<sup>3</sup>y w takt gestykulacji, potwierdzaj<sup>1</sup>c ciêżkie po<sup>3</sup>ożenie. - Próbowa<sup>3</sup>em wielokrotnie, lecz za<sup>3</sup>amuj<sup>1</sup> siê i... jaki z nich pożytek?

- Bêdziesz mia<sup>3</sup> pomoc - powiedzia<sup>3</sup> spokojnie Saint-Germain. - Bêdziesz mia<sup>3</sup> konie, by nimi powoziæ, a gdy to siê stanie, nie wolno ci bêdzie zawieœæ. Jeœli to zrobisz, nic nie stanie miêdzy tob<sup>1</sup>, a ca<sup>31</sup> rozjuszona<sup>1</sup> sfor<sup>1</sup>, która pod<sup>1</sup>ija za Saint Sebastienem.

- Co pan powiada? - spyta<sup>3</sup> Hercule. Przeszy<sup>3</sup> go zimny dreszcz strachu wywo<sup>3</sup>anego tymi s<sup>3</sup>owami.

- Jest ktoœ, kogo Saint Sebastien przeœladuje. Myœli, że ma juŹ tê kobietê w swej mocy, poniewaŹ jej m<sup>1</sup>ê jest jedn<sup>1</sup> z kreatur pos<sup>3</sup>usznych jego woli. Myli siê... - to ostatnie s<sup>3</sup>owo wypowiedziane by<sup>3</sup>o cicho, lecz nieustêpliwie. Hercule uwierzy<sup>3</sup> niemal, iŹ Saint-Germain naprawdê dysponuje œrodkami wystarczaj<sup>1</sup>cymi, by przeciwstawiæ siê baronowi.

- Cóg<sup>1</sup> zatem? - spróbowa<sup>3</sup> iœæ, lecz kule pozwoli<sup>3</sup>y mu na zrobienie tylko kilku chwiejnych kroków.

- Chcê, byœ obserwowa<sup>3</sup> dla mnie parê osób - powiedzia<sup>3</sup> Saint-Germain, tym razem nie oferuj<sup>1</sup>c stangretowi asysty. - Obmyœli<sup>3</sup>em to tak, by nie naraŹæ ciê. Bêdziesz widziany, na to nie ma rady, lecz ciê nie rozpoznaj<sup>1</sup>.

- Z moimi nogami... - zacz<sup>13</sup> Hercule.

- Twoje nogi zostan<sup>1</sup> zas<sup>3</sup>oniête. Dajê ci s<sup>3</sup>owo, że nikt ich nie zauwaŹy - jego oczy lœni<sup>3</sup>y w zaciemnionej stajni niczym wêgle. Hercule wspar<sup>3</sup> siê na przegrodach boksów.

- Jestem stangretem. Nic wiêcej nie potrafiê - ostrzeg<sup>3</sup>.

- Ale udawaæ w przebraniu kogoœ innego chyba potrafisz? - Saint-Germain przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> siê uwag<sup>1</sup>nie kalece czekaj<sup>1</sup>c, aŹ ten wyjawi co go gnêbi.

- A jeœli zostanê zdemaskowany? - Gardzi<sup>3</sup> strachem, który us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> we w<sup>3</sup>asnym g<sup>3</sup>osie. Saint-Germain pokrêci<sup>3</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

- Tak siê nie stanie. Gdybyœ nawet zosta<sup>3</sup> rozpoznany, to nic z tego nie wyniknie.

- Hrabio... - zacz<sup>13</sup> Hercule, lecz umilk<sup>3</sup>.

- O co chodzi? Powiedz mi to teraz, Hercule. Chcê byœ mia<sup>3</sup> jasnoœæ.

- Hrabio... - strach zdusi<sup>3</sup> s<sup>3</sup>owa w gardle. - A co bêdzie, jeœli on bêdzie sobie roœci<sup>3</sup> do mnie prawo? Jeœli bêdzie siê domaga<sup>3</sup> mego... mego powrotu. By<sup>3</sup>em jego stangretem...

Saint-Germain ucemiechn<sup>13</sup> siê ch<sup>3</sup>odno.

- Niech spróbuje. Niczego nie osi<sup>1</sup>gnie. Spytaj Rogera, jeœli mi nie wierzysz.

- Twój s³uga powie, co ty każesz panie - stwierdzi³ Hercule, niezdolny do ukrycia narastaj¹cego przerażenia.

- Jeeli tak s¹dzisz, to nie znasz Rogera. Powie ci prawdê - Saint-Germain podszed³ bliżej do Hercule. - Pragniesz zemsty za to, co zrobi³ ci Saint Sebastien? D³onie Hercule zacisnê³y siê na drzewcach ku³.

- Jak mi Bóg mi³y.

- Ale siê wahasz - spyta³ ³agodnie hrabia. - Dlaczego?

- Ja... - Hercule nie mó³g³ znieœæ badawczego spojrzenia Saint-Germaina. - Bojê siê. Jeeli zawiodê... bojê siê tego, co Saint Sebastien mo¼e zrobiæ i mnie, i panu.

- ³adnemu z nas niczego nie robi - powiedzia³ Saint-Germain z niewzruszon¹ pewnoœci¹. - Mo¼e próbowaæ, lecz nie bêdzie w stanie skrzywdziæ ani ciebie, ani mnie.

- Mówi pan to tak pewnie - stwierdzi³ Hercule z pow¹tpiewaniem.

- Jestem przekonany - powiedzia³ hrabia maj¹c nadzieję, i¼ tak jest w istocie. Wskaza³ na czerwony blask zachodz¹cego s³oñca przes¹czaj¹cy siê przez brudne szyby. - ChodŸ. Kolacja ju¼ czeka.

Chocia¼ ³odny, Hercule oci¹ga³ siê. .

- Co pan chce, bym zrobi³?

- Masz zjeœæ kolacjê - powiedzia³ hrabia z cieniem uœmiechu.

- Mam na myœli Saint Sebastiena. - Hercule doszed³ ju¼ w pe³ni do siebie i by³ w stanie odwzajemniæ spojrzenie Saint-Germaina.

Ten skin¹³ g³ow¹: st³umione œwiat³o b³ysnê³o na rubinie przypietym do koronek na szyi.

- Bêdziesz potrzebny, by wywieŸæ kogoœ poza Pary¼, w nocy. Szybko i sprawnie. Tyle jest ju¼ pewne. Mog¹ te¼ byæ i inne zadania.

- I to obróci siê przeciwko Saint Sebastienowi? - spyta³ Hercule, czuj¹c, że wraca mu stanowczoœæ.

- Tak.

- Zrobiê to - zgodzi³ siê pośpiesznie.

- I zgodzisz siê œledziæ dla mnie?

- Tak, równie¼! - Hercule kucetyka³ ku hrabiemu, ko³ysz¹c zwieszaj¹cym siê miêdzy kulami cia³em. - Jak d³ugo mam jeszcze si³ê w ramionach, tak d³ugo bêdê panu s³u¼y³.

- Do obserwacji bêdziesz potrzebowa³ tylko oczu - przypomni³ mu Saint-Germain. - I rozumu. Hercule wyprzedzi³ hrabiego i zatrzyma³ siê przed nim.

- A co z reszt¹? Czego jeszcze pan oczekuje?

- O tym póŸniej - Saint-Germain potrz¹sn¹³ g³ow¹ i spojrze³ na Hercule'a, po czym przeniós³ wzrok za okno. - Mo¼e nadejœæ czas, że bêdê potrzebowa³ twego wsparcia przeciwko Saint

Sebastienowi i jego diabelskim zwolennikom - przerwa<sup>3</sup>, widz<sup>1</sup>c trwog<sup>ê</sup> maluj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> si<sup>ê</sup> znów na twarzy Hercule'a. - Bo oni s<sup>1</sup> diabelscy.

- Tak... - wykrztusi<sup>3</sup> stangret.

- Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - rzek<sup>3</sup> Saint-Germain.

- Niemniej, przygotuj si<sup>ê</sup> na najgorsze. Żadne k<sup>3</sup>opoty nie mog<sup>1</sup> nam przeszkodzi<sup>æ</sup>.

- Bêd<sup>ê</sup> musia<sup>3</sup> sprawdza<sup>æ</sup> pańskie powozy - powiedzia<sup>3</sup> Hercule, przechodz<sup>1</sup>c obok hrabiego i kieruj<sup>1</sup>c si<sup>ê</sup> ku drzwiom do kuchni. Jego kule g<sup>3</sup>ucho stuka<sup>3</sup>y na kamiennej posadzce w miejscach, gdzie nie okrywa<sup>3</sup>a jej s<sup>3</sup>oma.

- Wystarczy, że poprosisz o pomoc - hrabia obserwowa<sup>3</sup> stangreta, uważaj<sup>1</sup>c, by znów nie urazi<sup>æ</sup> jego dumy. - Porozmawiaj z Rogerem.

- Najpierw dogl<sup>1</sup>dn<sup>ê</sup> koni i powozów - Hercule mia<sup>3</sup> już zamkn<sup>1</sup>æ drzwi, gdy odwróci<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> jeszcze i spojrze<sup>3</sup> na Saint-Germaina. - Niech mi pan pozwoli uderzy<sup>æ</sup> Saint Sebastiena. Raz. Tylko raz, a b<sup>ê</sup>d<sup>ê</sup> pańskim na zawsze, hrabio. - Potem odwróci<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> i odszed<sup>3</sup> w<sup>1</sup>skim przeje<sup>1</sup>ciem, zostawiaj<sup>1</sup>c Saint-Germaina samego w mrocznej stajni.

*Treæ notatki, któr<sup>1</sup> Lucienne Cressie poda<sup>3</sup>a przez s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>c<sup>1</sup>, przechwyconej przez jej m<sup>ê</sup>;<sup>a</sup>, Achille'a Cressie:*

*Moja droga Claudio!*

*Proponowa<sup>3</sup>æ mi kiedyæ goæcinê w swym domu, bym skorzysta<sup>3</sup>a z niej, jeæli kiedyæ b<sup>ê</sup>dê czu<sup>3</sup>a, æe muszê opuæciaæ to miejsce. By<sup>3</sup>am niewdziêczna odmawiaj<sup>1</sup>c. Dlatego najuni<sup>1</sup>eniej proszê ciê o wybaczenie i b<sup>3</sup>agam, byæ nie pozosta<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ucha na moje usilne proæby. Jeæli mo<sup>1</sup>esz znaleŹæ dla mnie w swym sercu wybaczenie dla mego prostactwa, to przyælij mi dyskretnie s<sup>3</sup>owo przez moj<sup>1</sup> s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>c<sup>1</sup>. Mój m<sup>1</sup>æ odmawia mi przyjmowania kogokolwiek, jak równie<sup>1</sup> prowadzenia korespondencji.*

*Jestem przera<sup>1</sup>ona, Claudio. Widzia<sup>3</sup>am takie rzeczy, i<sup>1</sup> wiêcej dowiedzia<sup>3</sup>am siê o cierpieniu i rozpaczy, ni<sup>1</sup>æ potrafiê to wyraziæ. Nie jestem w stanie opisaæ ran, które pozostawi<sup>3</sup>o to na mej duszy.*

*Proszê, nie odmawiaj mi. Moje æycie i zbawienie s<sup>1</sup> w twoich rêkach. Na mi<sup>3</sup>oææ Boga i naszego Zbawiciela, pomó<sup>1</sup> mi*

**Lucienne**

- Saint-Germain, pan nie uważa - powiedzia<sup>3</sup> Jueneport podnosz<sup>1</sup>c na chwilê oczy znad swoich kart. - Czy zak<sup>3</sup>ada siê pan o tego robra?

- Co? - spyta<sup>3</sup> Saint-Germain nieco roztargnionym g<sup>3</sup>osem. - Ach, gra Nie, s<sup>1</sup>dzê, ¿e tego u<sup>3</sup>o¿enia nie bêdê gra<sup>3</sup> - rzuci<sup>3</sup> karty na stó<sup>3</sup> walorami do góry, pokazuj<sup>1</sup>c, i¿ mia<sup>3</sup> coœ, co z pewnoœci<sup>1</sup> by<sup>3</sup>o wygrywaj<sup>1</sup>cym zestawem.

Pozosta<sup>3</sup>ych piêciu mê¿czyzn popatrzy<sup>3</sup>o na niego ze zdziwieniem, a Jueneport zauwa¿y<sup>3</sup>:

- Pañskie myœli musz<sup>1</sup> wêdrowaæ doœæ daleko, skoro opuszcza pan grê z kartami takimi, jak te i piêcioma tysi<sup>1</sup>cami ludwików na stole. Saint-Germain uœmiechn<sup>13</sup> siê s<sup>3</sup>odko i nieszczerze.

- W<sup>3</sup>aczenie dlatego odchodzê. Gdzie miejsce na ryzyko, skoro trzymam takie karty? - odsun<sup>13</sup> siê od sto<sup>3</sup>u i wyprostowa<sup>3</sup> z wolna. - Bawcie siê dalej, panowie. Idê znaleŹæ pociechê w sali, gdzie daj<sup>1</sup> kolacjê.

- Lecz pan nigdy nie je - zakpi<sup>3</sup> Jueneport i spojrze<sup>3</sup> po innych, szukaj potwierdzenia. Rozleg<sup>3</sup>o siê kilka ironiczn<sup>1</sup>ch, porozumiewawczych parszniêæ.

- To œwiêta prawda, Jueneport, ale dotyczy tylko jedzenia wraz z innymi, publicznie. Mo¿na tam jednak trochê porozmawiaæ i spotkaæ dowcipnych ludzi. A nu¿ spotkam parê dobrze wychowanych osób z towarzystwa, które nie s<sup>1</sup> zniewolone ani piciem, ani hazardem - powiedzia<sup>3</sup> z nonszalancjo wywo<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c nowy wybuch œmiechu. Nikt nie zauwa¿y<sup>3</sup> œmiertelnego zmêczenia, które osiad<sup>3</sup>o na dnie jego oczu. Sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê, wykona<sup>3</sup> odpowiedni gest, wypachnion<sup>1</sup> chusteczk<sup>1</sup>, przypomni<sup>3</sup> Jueneportowi, ¿e jego passa ju¿ siê skoñczy<sup>3</sup>a i z ostatnim ciêtym dowcipem oddali<sup>3</sup> siê spacerkiem ku Wielkiej Sali Hotelu Transylwania.

- Dobry wieczór, Hercule - powiedzia<sup>3</sup> do majordomusa, gdy znalaz<sup>3</sup> siê w drzwiach pó<sup>3</sup>nocnego skrzyd<sup>3</sup>a.

- Dobry wieczór, hrabio - twarz Hercule nie zmieni<sup>3</sup>a wyrazu ni o jotê.

- Kto ju¿ jest, Hercule? - zatrzyma<sup>3</sup> siê; wcielenie elegancji w nieskazitelnie czarnych at<sup>3</sup>asach. Srebrne obszycia brokatowych mankietów i kamizelki. wspaniale wspó<sup>3</sup>gra<sup>3</sup>y z koronkami, rzucaj<sup>1</sup>c ciep<sup>3</sup>y blask, który za spraw rubinu na szyi przypomina<sup>3</sup> blask podœwietlonego kielicha ze starym winem.

- Wszyscy, hrabio. - Uwa¿a<sup>3</sup>, by nawet drgnieniem miêcienia twarzy nie zdradziæ swego mocodawcy. - Kontessê d'Argenlac znajdzie pan na sali balowej. O ile, oczywiœcie, nie posz<sup>3</sup>a na kolacjê.

- Rozumiem - wzrok Saint-Germaina przemkn<sup>13</sup> po œcianach i spoczê<sup>3</sup>a, na wspania<sup>3</sup>ym Velazquezie, który wisia<sup>3</sup> akurat na wprost niego. - Czy s<sup>1</sup>dzisz, ¿e w<sup>3</sup>acieciciel rezydencji by<sup>3</sup>by sk<sup>3</sup>onny rozstaæ siê z tym obrazem?

- W<sup>1</sup>tpiê, hrabio - odpowiedzia<sup>3</sup> Hercule z wystudiowan<sup>1</sup> uprzejmoœci<sup>1</sup>.



- Dobrze bym zap³aci³ - ci¹gn¹³ Saint-Germain, pamiêtaj¹c swoj¹ roi

- C³o¿, proszê ciê byæ przekaza³ swemu panu, ktokolwiek nim jest, ¿e darzê Velazqueza szczególnymi wzglêdami.

De la Sept-Nuit, który przechodzi³ akurat mimo, wyszczerzy³ zêby w uœmiechu.

- Znowu propozycja kupna malowid³a, hrabio? Saint-Germain uniós³ oczy udaj¹c zdumienie.

- Och, nie zauwa¿y³em ciê, Donatien. Tak, próbujê raz jeszcze, i znowu daremnie.

- Jeœli twoje zainteresowanie nie wygacenie, postawimy wszyscy na ciebie - odwróci³ siê ku swojemu towarzyszowi szukaj¹c potwierdzenia, lecz baron Beauvrai nie zaszczyci³ tej rozmowy uwag¹.

Beauvrai by³ zdumiewaj¹co wystrojony tego wieczora; przyæmiewa³ nawet w³asne uprzednie dokonania. Nosi³ wyszukan¹ perukê posypan¹ delikatnym, b³êkitnym pudrem. Z ty³u g³owy zabezpiecza³a j¹ wielka at³asowa kokarda spiêta z³otymi gwiazdami. Jego surdut i spodnie uszyte by³y z jedwabiu w rozwodnionym, bladoci³otym kolorze, zaœ ufarbowane na bordowo szerokie wy³ogi i mankiety z pewnoœci¹ nie zosta³y ubarwione z po¿ytkiem dla stroju. S³omianego koloru kamizelka w odcieniu peau de soie, wyszywana by³a turkusowym opl¹tem, co bez w¹tpienia mia³o harmonizowaæ z turkusowymi jedwabnymi poñczochami i z³otymi butami. Zestaw uzupe³nia³a bladob³êkitna koronka na szyi i nadgarstkach oraz zapach fio³kowych perfum, którymi obla³ siê od stóp do g³ów.

Saint-Germain kontemlowa³ Beauvrai w ciszy, w koñcu da³ krótkim westchnieniem wyraz swemu wzruszeniu.

- Jak zwykle Beauvrai, odbiera mi pan zdolnoœæ mowy. Beauvrai rzuci³ mu krótkie, pogardliwe spojrzenie.

- Wolê wygl¹daæ jak mêtczyzna, a nie jak ksi¹dz - powiedzia³ tonem, który w zamiarze mia³ zmiãd¿yæ Saint-Germaina. - Z tego, co s³ysza³em, to nie masz pan wiêcej pretensji do mêskoœci, ni¿ do swych tytu³ów.

Saint-Germain sk³oni³ lekko g³owê i uœmiechn¹³ siê rozbrajaj¹co.

- Jeœli byæ mêtczyzn¹, to znaczy gorliwie naœladowaæ ciebie, mon baron, to nie podejmê siê rywalizacji z twoj¹ osob¹ - zawsze bowiem by³bym mniej efektowny od ciebie. - Mia³ siê ju¿ odwróciæ i odejœæ od kipi¹cego gniewem Beauvrai, gdy jego uwagê przyku³a przypadkowa uwaga rzucona przez de la Sept-Nuit. Zatrzyma³ siê.

- Gdy bêdziesz u Chaisseurora, to czy znajdziesz wolny wieczór, by przy³czyæ siê do nas w Sans Desespoir? - de la Sept-Nuit próbowa³ odci¹gn¹æ uwagê wuja od osoby Saint-Germaina.

- Co? Chaisseuror? Och, tak, tak. S¹dzê, ¿e bêdê móg³. Spêdzê tam ca³y tydzieñ, a Chaisseurorowi nie powinno robiæ to ró¿nicy, gdy opuœzczê go na jedn¹ noc - Beauvrai ostentacyjnie zignorowa³ Saint-Germaina.

- WeŹ go ze sob¹ - zasugerowa³ de la Sept-Nuit, gotów odprowadziæ wuja do salonów gry.

- Rzecz w tym, że on nie lubi d'Argenlaca. Pokóćili się dziesięć lat temu o rezerwy 3owieckie i dotąd sprawa nie została zaagadzona. Przekłóci gópcy. Nie martw się, Donatien, znajdę czas, by zobaczyć wizytę w Sans Desespoir. Chcę zobaczyć, jak będziesz sobie radzić z la Montali.

- Nie martw się, sprawię się dobrze - poklepa wuja po ramieniu, wymieniając z nim jednocześnie porozumiewawcze mrugnięcia, po czym odeszli w kierunku póćnocnego skrzydła.

Saint-Germain stał nieruchomo w Wielkiej Sali przez całą dwie minuty. Wzrok miał nieobecny, jakby jedna myśl goniła drugą. Ruszył ku Velazquezowi, przystając co chwilę, by powitać spóćnionych. Patrzył w górę, na wspaniałe oblicza starożytnych, Saint-Germain poczuł ukóćucie samotności. Pamiętał, jak wpatrywał się w to dzieło, gdy farby były jeszcze wilgotne i lśniły tósto. Artysta spytał go wówczas, czy jego zdaniem postać Sokratesa zawiera w sobie wystarczająco mroku przeznaczenia i zagady. Tak jak i wtedy, Saint-Germain pomyślał, iż obdarty, szczery i mający zamiówanie do dysput Sokrates nigdy nie rozpoznałby siebie w tej srogiej postaci, zrodzonej z wyobraźni Velazqueza. Przypomniał sobie, jak powstrzymał się kiedyś od powiedzenia tego wielkiemu malarzowi.

Wolnym krokiem przemierzył jadalnię. Zaniepokojenie wywołane ówami, które Beauvrai wypowiedział do de la Sept-Nuit nie zmalało, gdy rozważył ich znaczenie ponownie. Wspomniał zaproszenie, które kontessa d'Argenlac wystosowała wobec niego, a które dotyczyło wóacenie Sans Desespoir. Odrzucił je, nie chcąc wystawiać się na pokusę bliskości Madelaine.

Wyobraźnia ponownie nasunęła mu jej postać. Saint-Germain usilnie próbował myśleć o czymś innym. Nie mógł pozwolić sobie na póćldanie tej dziewczyny, na troskę o nią, szybko bowiem doprowadziłoby to do zdemaskowania obojga. Przez jedną szaloną chwilę wyobraził sobie, jak ostry drewniany kóćek wbijany jest w ciało Madelaine.

- Hrabio - usłyszał nagle za plecami. Odwrócił się, wracając do rzeczywistości. Ujrzał Claudię d'Argenlac w asyócie diuka de la Mer-Herbeux. Wyglądała cudownie, ubrana we wspaniałą toaletę w odcieniu zielonego atóasu, wyszywanego w powoje, i halkę z austriackiego jedwabiu z harmonizującymi belgijskimi koronkami w formie kokard, w gustownym kolorze angielskich róć.

Saint-Germain skóñił się góćboko.

- Zachwycony jestem widzieć pani - powiedział. - Nie będę pytał o samopoczucie, gdy pećen blasku majestat pani, mówi sam za siebie.

Kontessa rozcemiała się, a oczy rozjarzyły się jej prawie tak samo jasno, jak lśnił jej szmaragdowy naszyjnik.

- Dziękuję, mój drogi hrabio. Młż zorganizować nam na jutro wyjazd na wiec. Posiedzimy tam kilka dni, a tutaj przygotuj przyjęcie za nas. Gdybyś widywał nas czóócej w ciógu ostatnich dni, wiedziałbyś o tym.

- Otrzymałem twoje zaproszenie - przypomniał jej i zwrócił się do diuka: - Mió mi widzieć

pana znów w Paryżu, sir. Ufam, iż przedsięwzięcie, które ryzykowa³ pan w Londynie zakończy³o siê sukcesem?

- Po czêœci, hrabio - przyzna³ de la Mer-Herbeux. - Anglicy szczyt¹ siê swoim rozs¹dkiem, ale w kwestii Austrii zdaj¹ siê postêpowaae osobliwie irracjonalnie.

- Musi im pan wybaczyæ, de la Mer-Herbeux - ucemiechn¹³ siê Saint-Germain - ¿e czasem ich pragnienia sprzeczne s¹ z interesami Francji. Kontessa unios³a rêce.

- Panowie, proszê, nie rozmawiajcie o polityce. O niczym innym nie s³ysza³am przez ostatni¹ godzinê i nie zniosê ani chwili d³u¿ej - ucemiechnê³a siê do Saint-Germaina. - Hrabio, wiem, ¿e zechce mnie pan poprzeæ Czy zaprowadzi mnie pan na kolacjê i opowie o czymœ, co nie ma ¿adnego zwi¹zku z polityk¹?

Saint-Germain uniós³ pytaj¹co brwi i spojrza³ na diuka.

- Czy wolno mi przyj¹æ ten zaszczyt? De la Mer-Herbeux uwolni³ rêkê kontessy.

- Proszê bardzo, Saint-Germain. Jeœli nie wolno mi mówiæ o polityce to obawiam siê, ¿e me bêdê w stanie zabawiæ kontessy - sk³oni³ siê hrabiemu uca³owa³ d³oñ kontessy i odszed³ niespiesznie na poszukiwanie towarzystwa bardziej ¿yczliwego jego zainteresowaniom.

- Ju¿ myœla³am, ¿e spêdzê ca³y wieczór s³uchaj¹c go - wyszepta³a kontessa z widoczn¹ ulg¹. - Wiem, ¿e wyœwiadczy³ Francji wielk¹ przys³ugê wizyt¹ w Anglii i ze kroi jest obecnie pod wr¹¿eniem jego dyplomatycznych talentów. Ponadto jest wysoko cenionym mê¿em stanu, ale przysiêgam, umiera³am z nudów.

- Uczyniê co tylko w mojej mocy, by temu zaradziæ - powiedzia³ Saint-Germain i poprowadzi³ j¹ w kierunku jadalni.

- Hrabio - kontessa odzyska³a ju¿ humor. - Chcia³am przekazaæ ci nowiny kilku ostatnich dni, lecz nie mo¿na ciê by³o nigdzie znaleŹæ

- By³em w godny ubolewania sposób zajêty, moja droga - Saint-Germain zachowa³ pozorn¹ obojêtnoœæ. - To nie tak, bym chcia³ pozostaæ z dala od was.

Kontessa znów siê ucemiechnê³a.

- Madelaine powiedzia³a, ¿e pewnie zmêczy³eœ siê nami i ¿e na dobre porzuci³eœ nasze towarzystwo, lecz ja sk³onna by³am s¹dziæ, ¿e jesteœ w³acenie zajêty.

Saint-Germain poczu³ przyp³yw sympatii do Madelaine, tak bezbronnej wobec mego, i zapagn¹³ przez chwilê, by by³a nieco mniej wart¹ mi³owania

- Jeœli na twoim przyjêciu ma byæ muzyka, jak kiedyœ mówi³aœ, Claudio to muszê mieæ trochê czasu na jej napisanie - powiedzia³ swobodnie - Gdy tylko wszystkie utwory zostan¹ zakoñczone, mo¿esz byæ pewna, ¿e ujrzysz mnie i bêdziesz czu³a tego widoku przesyt.

- To nigdy mi nie grozi, hrabio - odwróci³a siê ku niemu, gdy wprowadza³ j¹ do jadalni. - Tak

naprawdê to sama by<sup>3</sup>am niepokieszona, ¿e me bêdziesz móg<sup>3</sup> przy<sup>31</sup>czyæ siê do nas w Sans Desespoir.

- C¿¿, nie ma na to rady - prowadzi<sup>3</sup> j<sup>1</sup> miêdzy ciasno ustawionymi stolikami, prosto ku jednemu z nich, bardziej oddalonemu od innych Przytrzyma<sup>3</sup> jej krzes<sup>3</sup>o, gdy sprawnymi ruchami uk<sup>3</sup>ada<sup>3</sup>a na nim swa szerok<sup>1</sup> tiurniurê. - Powiedz mi, czym mogê ci s<sup>3</sup>u¿yæ. A gdy wrócê bêdê chcia<sup>3</sup> wys<sup>3</sup>uchaæ twoich dobrych wieœci.

- Wybierz, co chcesz, mój drogi. Byle nie by<sup>3</sup> to ry¿ a l'Espagne Dwukrotnie jad<sup>3</sup>am go ju¿ w tym tygodniu na przyjêciach. Madelaine stwierdzi<sup>3</sup>a, ¿e jeceli podadz<sup>1</sup> go gdzieœ po raz trzeci, to zacnie graæ na kastanietach.

- Dobrze zatem, ¿adnego ry¿u a l'Espagne - skierowa<sup>3</sup> siê do bufetu, lecz zatrzyma<sup>3</sup> siê jeszcze, nie mog<sup>1</sup>c powstrzymaæ od zadania pytania: - Czy Madelaine przy<sup>31</sup>czy siê do nas? Jeceli tak, to muszê znaleŸæ jeszcze jakieœ krzes<sup>3</sup>o.

- Mo¿e zjawia siê póŸniej. Gdy ostatnio j<sup>1</sup> widzia<sup>3</sup>am, tañczy<sup>3</sup>a z markizem La Colonne-Pur. Z pewnoœci<sup>1</sup> jest ni<sup>1</sup> oczarowany.

- Nie dziwiê siê - mrukn<sup>13</sup> Saint-Germain i ruszy<sup>3</sup> wreszcie.

Spêdzi<sup>3</sup> przy bufecie wiêcej czasu ni¿ zwykle, zbieraj<sup>1</sup>c myœli, co w zgie<sup>3</sup>ku nie by<sup>3</sup>o <sup>3</sup>atwe. Nie uda<sup>3</sup>o mu siê ich ukryæ przed niebezpiecznie przenikliwym umys<sup>3</sup>em Claudii. Gdy wróci<sup>3</sup> w koñcu do stolika, przyniós<sup>3</sup> jej pieczon<sup>1</sup> kacz<sup>1</sup>kê w sosie pomarañczowym, sa<sup>3</sup>atkê ze szpinaku i pokrojonej w kawa<sup>3</sup>ki w<sup>3</sup>oskiej dyni, nieco krewetek przyrz<sup>1</sup>dzonych na ostro z curry i kielich <sup>3</sup>agodnie s<sup>3</sup>odkiego bia<sup>3</sup>ego wina. Postawi<sup>3</sup> to wszystko przed ni<sup>1</sup> i usadowi<sup>3</sup> siê na krzesle naprzeciwko.

- Teraz - powiedzia<sup>3</sup>, opêdzaj<sup>1</sup>c siê gestami od podziêkowañ kontessy - powiedz c¿¿ to s<sup>1</sup> za wiadomoœci, które tak pilnie chcia<sup>3</sup>æ mi przekazaæ? Jesteœ wyraŸnie rozpromieniona, twoje szczêœcie lœni niczym œwiecznik w ciemnym pokoju. Jesteœ niemal inn<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup>, moja droga - za¿artowa<sup>3</sup>.

Kontessa d'Argenlac upi<sup>3</sup>a trochê wina, posy<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>c Saint-Germainowi szeroki uœmiech.

- Ucieszysz siê hrabio. - Odstawi<sup>3</sup>a kielich i przez kilka chwil wpatrywa<sup>3</sup>a siê w talerz, a¿ w koñcu powiedzia<sup>3</sup>a: - Jak zapewne siê domyœla<sup>3</sup>œe, stosunki miêdzy moim mê¿em a mn<sup>1</sup> by<sup>3</sup>y ostatnio napiête...

- Tak, zdawa<sup>3</sup>em sobie z tego sprawê - powiedzia<sup>3</sup> spokojnie. Westchnê<sup>3</sup>a i potrz<sup>1</sup>snê<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>.

- Ba<sup>3</sup>am siê bardzo, ¿e doprowadzi nas do ruiny. Prawie mu siê to uda<sup>3</sup>o. Jego zarz<sup>1</sup>dca by<sup>3</sup> ostatnio bardzo zaniepokojony, zaleca<sup>3</sup> nawet ró¿ne drastyczne i nieprzyjemne kroki. Ja... by<sup>3</sup>am zmuszona... mia<sup>3</sup>am sposobnoœæ uregulowaæ najpilniejsze zobowi<sup>1</sup>zania Gervaise'a, co powinno ul¿yæ naszej doli na jakieœ czas...

Saint-Germain milcza<sup>3</sup>, zastanawiaj<sup>1</sup>c siê, jak znaczna czêœæ jej maj<sup>1</sup>tku zosta<sup>3</sup>a spieniê¿ona, by ratowaæ z k<sup>3</sup>opotów tego g<sup>3</sup>upca.

- Gdy ju¿ pewna by<sup>3</sup>am, ¿e znajdziemy siê i tak w beznadziejnej sytuacji, Gervaise mnie zdumia<sup>3</sup>.

Okazało się, iż istniał pewien sekretny zapis, o którym nie było żadnej wzmianki w zasadniczym testamencie jego ojca.

- Sekretny spadek? - niedowierzanie przebijało w głosie Saint-Germaina. - Powiedz, co jest tym sekretnym spadkiem? Kontessa podniosła głowę i spojrzała na hrabiego.

- Naprawdę, jest to odpowiedź na moje modlitwy. Jego ojciec, jak się zdaje, wszedł niegdyś w posiadanie wielkiego, nieoszlifowanego diamentu, który Gervaise dał obrobić i teraz kamień został oceniony, jak mówi, na więcej niż sześćdziesiąt tysięcy ludwików - spłótła dłonie i raz jeszcze radośnie zjawiła się w jej oczach.

- Nieoszlifowany diament?... - powiedziała wolno Saint-Germain.

- Tak. Przyniósł go parę dni temu. To zaskakujące, jak zwyczajnie wyglądamy te kamienie przed oszlifowaniem, prawda? - skupiła uwagę na kolacji, zaczynając od sałatki.

- Jego ojciec zostawił mu nieoszlifowany diament, który Gervaise zdecydowała się wreszcie sprzedać? - Nie oczekiwała odpowiedzi. Jego oczy zwrócone były w stronę okna, a jedna dłoń bawiła się rubinem na koronkach okalających szyję.

Claudia również spojrzała w okno i nagle wstrzymała oddech.

- Jakże to dziwne. Stąd, gdzie siedzisz, nie widzisz twój odbicie, a powinnam.

Saint-Germain błyskawicznie odwrócił wzrok i raz jeszcze spojrzał w ciemne od nocy okna, w których odbijały się kolorowe wyobrażenia gołoci. Uświadomił sobie swój lekkomyślny wynik z troski o Madelaine, która dokładnie zaprzętnęła jego myśli. Przesunął nieco krzesło.

- Kwestia kłota odbicia. Gdybyś siedziała tu, gdzie ja, też byłabyś znikła, moja droga - usiłowała ratować sytuację.

- Naprawdę? Przestraszyłeś mnie - przyznała, lecz jej ciche brzmienie sztucznie.

Saint-Germain wstał, podszedł do okna i odwił ozdobny sznur, który przytrzymywał atłasowe zasłony. Ciężki materiał spłynął w dół, odgradzając ich od nocy i postaci na szkle.

- Nie musimy rozpraszać swej uwagi cieniem odbicia - ponownie usiadł. - Musisz powiedzieć mi więcej o tym szczęściu, które tak nagle spadło na twój mój. Wnioskuje, że nikt o tym dotąd nie wiedział?

- W żadnym calu. Oto dlaczego czuję aż tak ulgę.

- No proszę, co za przypadek - zamycił się Saint-Germain. - Bardzo się cieszę, to dla was zbawienne.

- Tak. Teraz mogłabyś być spokojna. Czuję, jakby jakiegoś ciężar został zdjęty z moich ramion. I znów dobrze układa się między mną a moim mój, zupełnie znośnie...

- To oczywiście, Claudio. Przyjmij moje gratulacje - w jego głosie nie pojawiła się nuta radości. Kontessa zdawała się tego nie zauważać.

- Dziękuję ci, Saint-Germain. Miło z twojej strony, że mnie wysłuchałeś, pocieszając i słuchając

m<sup>1</sup>droęci<sup>1</sup>. Muszê wyznaæ - szepnê<sup>3</sup>a - ¿e gdy po raz pierwszy m<sup>1</sup>¿ zaproponowa<sup>3</sup> mi ten pobyt na wsi, by<sup>3</sup>am przera¿ona, ¿e to ju¿ koniec i Gervaise ucieka przed wierzycielami. Wprawdzie - ci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a - nie jestem zadowolona, ¿e de la Sept-Nuit te¿ ma w tym uczestniczyæ, lecz przez ca<sup>3</sup>y czas bêd<sup>1</sup> z innymi, a zatem nie powinien stanowiaæ niebezpieczeństwa. Cóż, nie odpowiada mi to, lecz nie chcê przeciwstawiaæ siê ¿yczeniom mego mê¿a, szczególnie teraz, gdy coœ nowego rodzi siê miêdzy nami.

Saint-Germain przytakn<sup>13</sup>, zauwa¿aj<sup>1</sup>c ciê niepewnoęci, który pojawi<sup>3</sup> siê przez u<sup>3</sup>amek chwili na jej twarzy.

- Claudio, jeżeli coœ jeszcze ciê gnêbi i nie daje ci do koñca spokoju, to mo¿esz policzyæ mnie miêdzy twych przyjació<sup>3</sup> i zaufaæ mej dyskrecji? Szybko zwróci<sup>3</sup>a ku niemu g<sup>3</sup>owê.

- Och - nagle zda<sup>3</sup>a sobie sprawê, i¿ zauwa¿y<sup>3</sup> jej zaniepokojenie. - To nic, hrabio. Naprawdê nic. Jesteœ tak wielkoduszny. Zawsze wiedzia<sup>3</sup>am, ¿e jesteœ szczodrobliwy, nawet wtedy, gdy dopiero co przyjecha<sup>3</sup>e do Pary¿a i wielu by<sup>3</sup>o wobec ciebie nastawionych podejrzliwie...-unios<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>oñ do ust.  
- Mój Bo¿e, me chcia<sup>3</sup>am, ¿eby to tak zabrzmia<sup>3</sup>o...

- Wiem, co o mnie mówiono, Claudio. Dobrze wiem - ucemiechn<sup>13</sup> siê ze szczerym rozbawieniem. - Wszyscy zastanawiaj<sup>1</sup> siê, kim mogê byæ, czy te¿ kim nie jestem. Ja znam odpowiedŸ i sprawia mi spor<sup>1</sup> przyjemnoœæ obserwowanie was, którzy zgadujecie - uniós<sup>3</sup> jej d<sup>3</sup>oñ i przysun<sup>13</sup> do swoich warg. - Mniejsza z tym, Claudio - powiedzia<sup>3</sup>, widz<sup>1</sup>c zapowiedŸ <sup>3</sup>ez w jej oczach i pojmu<sup>1</sup>c, i¿ Claudia jest o wiele bli¿ej hysterii, ni¿ s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup> na pocz<sup>1</sup>tku.

- To tylko... - przerwa<sup>3</sup>a na chwilê próbuj<sup>1</sup>c siê uspokoiæ. - To straszne tak mówiaæ, hrabio, lecz od pocz<sup>1</sup>tku obawia<sup>3</sup>am siê, ¿e jestem ok<sup>3</sup>amywana, i ¿e tak naprawdê ca<sup>3</sup>a historia wygl<sup>1</sup>da inaczej. Dopóki nie pokaza<sup>3</sup> mi kamienia, nie wierzy<sup>3</sup>am mu - by<sup>3</sup>a speszona tym wyznaniem.

- To zrozumia<sup>3</sup>e - zaznaczy<sup>3</sup> sucho, lecz ona nie przerwa<sup>3</sup>a.

- ...i to nawet teraz. Nic na to nie poradzê. Bojê siê, z to tylko sen i ¿e obudzê siê, by znaleŸæ przed drzwiami przedstawicieli w<sup>3</sup>adzy królewskiej. Przys<sup>3</sup>oni<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> oczy - I Jak mnie teraz oceniasz?

- Nie zasz<sup>3</sup>o nic, co by ciê dyskredytowa<sup>3</sup>o, madame -jego wymuszaj<sup>1</sup>ce szacunek ciemne oczy wpatrywa<sup>3</sup>y siê w ni<sup>1</sup>. Gdy by<sup>3</sup>a ju¿ w pe<sup>3</sup>ni œwiadoma tego badawczego spojrzenia, powiedzia<sup>3</sup>: - Nie ma siê czego baæ, moja droga. Przesz<sup>3</sup>ae ciê¿kie chwile, lecz niebawem wrócisz do siebie. Jeżeli pojawi siê inne niebezpieczeństwo, z powodzeniem stawisz mu czo<sup>3</sup>a, gdy¿ jesteœ bardzo dzielna. Pamiętaj o tym.

Jej oczy zwilgotnia<sup>3</sup>y.

- Ja... nie wiem... co powiedzieæ... Jestem przemêczona. Ka¿dy drobiazg wytr<sup>1</sup>ca mnie z równowagi - popatrzy<sup>3</sup>a na talerz. - Muszê skoñczyæ kolacjê.

Saint-Germain zmarszczy<sup>3</sup> brwi, zdaj<sup>1</sup>c sobie sprawê, ¿e bezpieczeństwo Madelaine zawis<sup>3</sup>o na cienkiej nitce i zale¿y od wytrzyma<sup>3</sup>oęci nerwów jej ciotki.

Claudia wziê<sup>3</sup>a energicznie widelec, szczebiocz<sup>1</sup>c coœ o jedzeniu, mówi<sup>1</sup>c, ¿e kaczka jest

wyborna, i że nie jadła jeszcze tak wspaniałego sosu pomarańczowego. Pomiędzy kęsami chwaliła aż do przesady wspaniałe jedzenie, które serwowano w Hotelu Transylwania. Nie potrafiła wrócić do tego, co napełniało ją niepokojem.

Saint-Germain położył temu kres następnym pytaniem:

- Słyszałem, że wysłałaś służącą do rezydencji Cressie, by dowiedzieć się o madame. Co o niej wiesz?

Beztronski potok słów Claudii urwał się nagle. Odłożyła widelec.

- Biedaczka. Nie udało mi się z nią zobaczyć. Achille zabronił jej przyjmować kogokolwiek.

- O tym wiem - powiedziała hrabia z pewną szorstkością. - Sam tam posyłałem, i to parę razy, lecz nie zostałem dopuszczony - pomyślał o dwóch nieudanych próbach przytoczenia do niej podczas snu. Zawsze jednak była z nią służąca i Lucienne Cressie nie miała szansy, by spać sama.

- Obawiam się o nią. Napisałam do brata, pytając go o radę. Wiem, że w zasadzie nie należy mieszać się w sprawy rodzinne i wchodzić między matkę a córkę, lecz w tym przypadku nie mogłem pozostać spokojny - na jej policzkach znowu pojawił się rumieniec, powrócił duch pejsnej temperamenti kobiety.

- Gdyby dało się udowodnić, że znęcano się nad nią, wówczas można by wystąpić z wnioskiem o przeprowadzenie separacji - Saint-Germain wypowiedział głośno myśli kontessy.

- Nie wiem - powiedziała powoli. - Jej rodzice nie żyją, a jedyna siostra jest w zakonie. Ma trzy ciotki, lecz nie jestem pewna, czy ich matki chcieliby się angażować w sprawę... - spojrzała na Saint-Germaina z maską bólu na pięknej twarzy. - Och, mój drogi, czuję się taka bezradna - trzy spłynęły jej po policzkach.

- Spokojnie, kochana - Saint-Germain położył jej uspokajające rękę na ramieniu.

- Nie zwracaj uwagi - uniosła nagle rękę, jakby chciała osłonić się przed ciosem. Potem, nagle, jej twarz rozjaśniła się, a obronny w zamycie gest zmienił się w gest powitalny.

- Madelaine! - zawołała, kiwając na brataniaczkę, która dała się zauważyć u wejścia do jadalni, wsparta na ramieniu barona de la Toubedigue.

Madelaine rozejrzała się po sali słysząc swe imię i powiedziała coś do swego towarzysza.

Elegancki mężczyzna w fiołkowych atłasach uległ jej życzeniom i poprowadził ją między stolikami z miną kogoś, kto toruje drogę dla jednego ze sławniejszych rzymskich imperatorów.

- Ciociu - odezwała się Madelaine, gdy była już do niej blisko, by w ogólnym gwarze została usłyszaną. - Miałam nadzieję, że cię tu znajdę. Te wszystkie tańce mocno mnie wygodziły, a baron de la Toubedigue zdecydowany jest jeszcze do tego wszystkiego zdjąć mi buty ze stóp.

Saint-Germain uniósł się na powitanie.

- Dobry wieczór, mademoiselle - powiedziała, nie pozwalając swoim oczom zbyt długo spoczywać na jej twarzy.

- Dobry wieczór, hrabio - uciechnęła się blade. - Powinam zapewne podziękować ci za krzesło. Tak rzadko ostatnio cię widuję, więc będzie chyba musiały przejechać z tobą na stosunki oficjalne.

Saint-Germain puścił to mimo uszu.

- Czy pozwoli pani, mademoiselle, więc przyniosę jej coś do zjedzenia? Niewłaściwie pragnie pani porozmawiać z ciotką...

Tutaj wtrącił się de la Toubedigue, wciąż bardzo chętny do usług:

- Nie, proszę wybaczyć, hrabio, lecz dla mnie będzie zaszczytem służyć mademoiselle. Pan miał przyjemność obsługiwać już jej ciotkę, musi zatem odstąpić mi przywilej usługowania jej bratanicy - skłonił się i odszedł, zanim Saint-Germain zdążył się sprzeciwić.

- Co to za szczeniak? - spytał, gdy młodzieniec oddalił się od stolika.

- To mój admirator - stwierdziła oschle Madelaine.

- Ależ Madelaine - ciotka potrzebowała go.

- Nie, nie - Saint-Germain uciechnął się smutno. - Zastąpię sobie na taką surowość, mademoiselle. Przynajmniej, więc obawiam się kpin związanych i moim wiekiem, podczas, gdy połączona jesteś przez tylu młodszych i łatwiejszych do zaakceptowania gentelmanów - rzucił Madelaine wymowne spojrzenie i zauważył, jak w jej oczach zapalają się ognie odpowiedzi.

- Nie jesteś może tak młoda, jak zalotnicy Madelaine - zauważyła Claudia - lecz masz dwudziestokrotnie więcej objętości od nich.

- Przynajmniej tyle - zachichotał Saint-Germain. Raz jeszcze spojrzał na Madelaine. - Jestem zrozpaczony, lecz pewne nadzwyczaj pilne sprawy nie pozwalają mi przyjechać do was w wycieczkę do Sans Desespoir. Muszę wyjechać na kilka dni z Paryża - odstąpić od stołu i kłania się już obu kobietom na pożegnanie, gdy Madelaine go zatrzymała.

- Och, Saint-Germain. Miałam nadzieję, że jedziesz z nami. A co z naszymi muzycznymi popołudniami?

- Zapewniam cię, więc pracuję nad paroma utworami na wasze przyjęcie - rozejrzał się po sali. - Proszę, oto wraca twój wierny baron, mademoiselle. Muszę was opuścić, lecz on z pewnością was zabawi. Madelaine spojrzała na niego błagalnie.

- Miałam nadzieję zobaczyć się z tobą.

Zamiast odpowiedzi rzucił jej enigmatyczny uśmiech i dał się wreszcie wzruszyć. W końcu powiedział jednak cicho.

- Zapewne jeszcze mnie ujrzysz.



*Treæ dwóch identycznych listów hrabiego de Saint-Germain do jego s³u¿¹cego Rogera i jego majordomusa Hercule, zapieczêtowanych osobno, napisanych równoczenie jeden lew¹, drugi praw¹ rêk¹; datowane 25 paŸdziernika 1743:*

*Mój drogi Rogerze/Hercule:*

*Okaza³o siê, i¿ muszê wyjechaæ z Pary¿a na trzy, mo¿e cztery dni. Jest sprawa o sporym³adunku dyskrecji i muszê przez to zachowaæ jej istotê w najg³êbszej tajemnicy. W tym celu podró¿owaæ bêdê sam, konno i bez eskorty.*

*Gdyby moja nieobecnoææ wzbudzi³a komentarze, powiedz ¿e s¹ po temu, by zaistnia³a, powody, lecz nie wolno ci ich wyjawiaæ z obawy, i¿ mog³oby to wywo³aæ niepo¿¹dane reperkusje w najwy¿szych sferach.*

*Jeæli nie wrócê do Pary¿a w ci¹gu piêciu dni, a ty me dostaniesz wieæci ode mnie, lub te¿ wiadomoææ przyjdzie bez odcisku mego sygnetu, upowa¿niam ciê do wszczêcia poszukiwañ w sposób znany Rogerowi. Mo¿ecie wtedy wykorzystaa Sattina. Domingo y Roxas te¿ mo¿e pomóc, lecz w ¿adnym przypadku nie proæcie o wsparcie nikogo wiêcej. Policjê, jak i duchowieñstwo, nale¿y wykluczyæ.*

*Moja Ostatnia Wola i instrukcje na temat pogrzebu znajduj¹ siê na zwyk³ym miejscu. Mo¿ecie otworzya je, gdyby moja nieobecnoææ przeci¹gnê³a siê powy¿ej dwudziestu jeden dni.*

*Zobowi¹zujê was do wype³nienia moich poleceñ, jeæli spokój duszy wam mi³y -*

**Saint-Germain (jego pieczêæ: Eklipsa)**

Nawet wypełnione chmurami niebo nie było w stanie popsuć radości popołudniowego polowania. Park i otaczające Sans Desespoir rezerwy pełne były bogactw jesieni. Liście okrywały ziemię, szeleszcząc pod końskimi kopytami, gdy Gervaise prowadzi swoich gości w pogoni za jelonkiem- tak naprawdę, to mało komu zależało na doprowadzeniu pościgu do końca

Madelaine wysforowała się o trzy skoki przed resztą towarzystwa. Kostium do konnej jazdy opotał wokół niej burgundzkim aksamitem, a oczy lśniły radością. Dosiadała wielkiego, kościstego angielskiego rumaka przyuczonego specjalnie do polowań, który niezmordowanie pościgał przestrzeń wici z tą samą szybkością. Ustawiła go w drugim galopie na następnej przeszkodzie, czując lekkość w sercu. Uwolniła się od dokuczliwej samotności, którą czuła odkąd trzy dni temu opuściła Paryż. Wmawiała sobie, że to miasta jej brakuje, a nie Saint-Germaina.

Pozostali wzięli przeszkodę za nią, wszyscy, oprócz kuzyna Gervaise kawalera Sommenault, którego koń znarowił się i posadził jeźdźca ponad brem prosto w stos bukowych liści, gdzie kawaler wyłdował bez tchu, lecz cicho

- Oho! - krzyknął de la Sept-Nuit, gdy zrównał swego hanowerskiego gniadosza z wierzchowcem Madelaine. - Przyjemnie mi pani. Jaki styl! Jaka odwaga!

Jego dłoń pewnie chwyciła cugle.

- Bardzo proszę, kawalerze, nie zabieraj mi miejsca. Ciężka jest bardzo wieszka.

- Zajęłam ci drogę? To ja przyjąłem cię, pani, na tym przed chwilą - pokazał jej uśmiech na tyle wolny od złości, na ile pozwalały mu jego możliwości. - Jesteś pierwszorzędną amazonką, pani.

- Te komplementy powinien pan przekażać memu ojcu, to on mnie uczył - nie lubiła de la Sept-Nuit i z przykrością znosiła jego towarzystwo. Chciała się od niego uwolnić, lecz wiedziała, że o ile nie zleci on z konia przy którymś skoku, to nie da się od niego uciec.

De la Sept-Nuit uśmiechnął się szerzej.

- Nie trzeba być tak skromną, mademoiselle. Jest pani jak najbardziej godna pochwały. - Wstrzymał nieco konia, widząc, że drzewa rosną coraz gęściej i pozwolił jej wysforować się naprzód.

Madelaine zgrzytała zębami. Przez te trzy dni, gdy cierpieć musiała towarzystwo de la Sept-Nuit, doszła do wniosku, że nie chce mieć nic wspólnego z jego starannymi uprzejmościami i zachciankami. Sama myślała o schlebnej poniekąd ofercie małżeństwa, którą przekazał jej ciotce przygotowując ją o dreszcze.

Obok nich przegalopowała Gervaise; jego wielki kasztanowy ogier niemal otarł się o nich rzucając brem w reakcji na ryzykowne tempo, które narzucił mu jeździec. Hrabia d'Argenlac był dość lekkomyślny i tylko wielkie doświadczenie ratowało go przed zabicie się. Wrzeszczał cicho bez

związku do de la Sept-Nuit macha<sup>3</sup> energicznie rękami, w końcu znikn<sup>13</sup> gdzieś przed nimi.

Daleko, poza drzewami, jelonek przeskoczy<sup>3</sup> przez p<sup>3</sup>ot i sforsował strumień, ruszy<sup>3</sup> w dobra diuka de Ruisseau-Royal, mając szansę ujęć pogoni w rozciągającej się na północy gęstej puszczy.

- Da nam lekcję - rozecmią się de la Sept-Nuit, podnosząc głos. - Czy pani wierzchowiec da radę tej przeszkodzie? Niech pani uważa, bo inaczej Źle się to dla pani skończy.

- Mam nadzieję, że sobie poradzi - powiedziała Madelaine przez zacienione zęby. Była zadowolona, że nie upierała się przy swej hiszpańskiej klaczy, która po takim biegu byłaby już zbyt zmęczona, by brać kolejne przeszkody.

Byli już poza linią drzew i przez szeroką ścieżkę zmierzali w kierunku p<sup>3</sup>otu wyznaczającego granice dóbr Gervaise. Sam właściciel opuścił już swój majątek i wacenie ostrożnie przeprowadzał się przez strumień po drugiej stronie, kierując konia pewnie ku brzegowi.

Madelaine poczuła jak jej wierzchowiec nabiera szybkości i zacieniła uchwyt nogi na siodle damskiego siodła. Koń odbił się, a Madelaine oparła o kark zwierzęcia. W najwyższym punkcie lotu przegięła się do tyłu, muskając niemal g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> zad konia. Zaraz, gdy tylko wierzchowiec dotkn<sup>13</sup> kopytami gruntu, wyprostowała się, skróciła cugle i pogoniła ku strumieniowi.

Hanowerczyk de la Sept-Nuit był tuż za nią, a młodzieniec krzyczał coś do Madelaine, wyrażając zapewne swój entuzjazm. Jego koń w tej chwili niemal potkn<sup>13</sup> się i de la Sept-Nuit musiał ratować wierzchowca przed opadnięciem na kolana.

Gervaise znikn<sup>13</sup> już zupełnie z pola widzenia, przepadając gdzieś w lesie, a reszta polujących wraz z nim. Wiało rzeki wiatr, szeleszcząc liśćmi i przeganiając po niebie ciężkie chmury.

Madelaine rozejrzała się wokoło. Zakiełkowała w niej lęk, i może została ujrzana sam na sam z de la Sept-Nuit. Jej koń był już w strumieniu, a ona pewnie wyznaczała mu kurs do drugiego brzegu. Chciała pogonić wierzchowca w g<sup>3</sup>łąb puszczy, by zwiększyć odlegość między sobą a tym m<sup>3</sup>odym szlachcicem, który był wciąż o mniej niż dwie długości ramienia obok niej. Od ogrodzenia dobiegł już ciężki szum: jeszcze dwóch jeźdźców dołączyło do kompanii. Madelaine poczuła, jak strach ociska jej gardło.

Pokonawszy strumień skierowała się wreszcie ku puszczy, wiedząc, że Donatien de la Sept-Nuit bawi się teraz pociągami, igrając z nią. Przez chwilę rozważała, czy nie rzucić mu wyzwania i nie zał<sup>1</sup>dać, by otwarcie wyjawiał swoje zamiary, lecz porzuciła pomysł równie szybko, jak na niego wpadła. Nie pragnęła narażać się aż tak bardzo, gdyby byłoby rzecz<sup>1</sup> prost<sup>1</sup> dla de la Sept-Nuit skompromitować ją, a potem, nie miałaby już wyboru... Musiałaby wyjść za niego.

Drzewa były już całkiem blisko. Wraziła ostrogę w bok konia i z satysfakcją zauważyła, że oddala się od hanowerczyka. W lesie szansę wzrosła, pomyślała. Schyliła g<sup>3</sup>owę w przewidywaniu licznych wielkich konarów, które czyhają niemożliwie do dostrzeżenia w gasnym świetle dnia.

Pod drzewami było zimno. Musiała zwolnić do czasu, grunt był nierówny, a szybkie tempo zbyt ciężko wierzchowca. Zaciśnięta dłoń na cuglach.

Wiedziała, że Gervaise jest gdzieś przed nią i miała nadzieję, że może jej ciotki nie odmówi ewentualnej pomocy.

Pospieszne spojrzenie przez ramię upewniło ją, że wystarczająco wysforowała się przed de la Sept-Nuit. Słyszała ciężki tętent jego konia, lecz dość daleko, by zakiełkowała w niej nadzieja, i chociaż ciężka da jej szansę uniknięcia. Rozejrzała się wokół gotowa na każde niebezpieczeństwo, które mógł przedstawić sobie las.

Szlak zagłębiał się w gęstwinę, a ciężka coraz mniej wyraźnie odcinała się od poszycia. Wielkie sosny i stare dęby, które przeważały w polu widzenia, skrywały ziemię w półmroku. Ciężka wiła się pomiędzy nimi coraz ostrzejszymi zakolami.

Przed nią szlak się rozwidła. Jedna odnoga prowadziła w górę zbocza oddalając się od oznaczonej ciężki, która była trochę szersza, jasno oświetlona i wolna od kamieni. Łądy poruszanej ziemi świadczyły, iż zupełnie niedawno przejechało nią kilku jeźdźców.

Madelaine nie wahała się. Szarpnęła mocno cugłami i skierowała konia pod górę. Wielki angielski wierzchowca zachwiał się, a potem pognał przed siebie. Krople potu lepiły na jego karku, gdy przeskakiwał nad rozrzuconymi kamieniami.

Na szczycie wzniesienia, za zasłoną drzew oddzielając ją i wierzchowca od głównego szlaku, Madelaine ociężała cugle nakazując umęczonemu zwierzęciu stać nieruchomo. W ciszy słysząc jedynie ich ciężkimi oddechami nasłuchiwała odgłosów przejazdu de la Sept-Nuit. Gdy minął ich, była już niemal zdecydowana, by ruszyć za nim, lecz przypomniała sobie łądy podków na dolnej ciężce. Nie była pewna, ile ich było.

Zmęczona, pełna niepokoju, z dala od Sans Desespoir, Madelaine rozważała swoją sytuację. Wiedziała, że może wrócić na ciężką w dole i podłynie tam, gdzie powinni być Gervaise i de la Sept-Nuit, lecz co mówiło jej, że nie powinna tego robić. Po chwili zdecydowała się z siodła i przesuwała cugle nad główką konia poprowadziła go dalej ciężyn, zastanawiając się, dokąd ona wiedzie. Wiedziała, że nie będzie mogła tak szybko dosięgnąć wierzchowca, którego marmurkowa szara derka pociemniała od potu i który nadal oddychał z wysiłkiem.

Była to trudna wędrówka: długi tren jej kostiumu cięgle o coś zaczepiał, koń stał się narowisty. Zaczęła zastanawiać się, czy znajdzie drogę do jakiegoś miejsca, w którym bezpiecznie mogłaby spędzić noc. Wiatr wzmógł się i drzewa zawodziły pod jego uderzeniami, szeptał i choszczł się gąszciami, niczym biczownicy czyniły pokutę. Na niebie widoczne były groźne, coraz ciemniejsze chmury.

Usza z awierła mili, gdy usłyszała odgłos kopyt. Przystanęła i przyłożyła dłoń do nozdrzy konia, chcąc powstrzymać go od rżenia. Jeszcze przed chwilą wydałoby się to jej nadmiarem

ostrożności, lecz teraz dreszcz przebieg³ jej po plecach, a serce mocniej zabi³o.

Nas³uchuj¹c uważnie nabra³a pewnoœci, ¿e galopuje cztery lub piêæ koni. Razem z trzema ofiarami wypadków, tyle w³acenie jeŸdŸców wyruszy³o z ni¹ na polowanie. Nie mogli wiêc byæ to ci, którzy jechali za ni¹.

Powodowana impulsem œci¹gnê³a konia ze œcie¿ki, w g¹szcz, z dala od szlaku. Stanêli tam nieruchomo, w nik³ym œwietle. Œció³ka z opad³ych liœci sprawi³a, ¿e kopyta nie zostawi³y widocznych œladów, które mog³yby doprowadziæ przybyszów do jej kryjówki.

Odg³osy pogoni narasta³y. Po chwili w polu widzenia pojawi³o siê szeœciu jeŸdŸców na paruj¹cych koniach, ze spoconymi twarzami. Madelaine poczu³a, jak ogarnia j¹ zimno. JeŸdŸcem, który prowadzi³ ca³¹ grupê, by³ baron Clotaire de Saint Sebastien, zaœ tu¿ obok jecha³ Beauvrai.

Oczy Madelaine rozszerzy³y siê, twarz zblad³a. Przycisnê³a d³oñ do szyi, pragn¹c opanowaæ dygotanie cia³a, Saint Sebastien! Kolana ugiê³y siê pod ni¹, poczu³a, ¿e osuwa siê na bark konia. Wiedzia³a, ¿e musi wydostaæ siê st¹d. Nie mo¿e zostaæ pojmana przez tych zdecydowanych na wszystko mê¿czyzn.

Odjechali i tylko parskania niespokojnych koni przypomina³y o wielkim niebezpieczeñstwie, w którym siê znalaz³a. Zmusi³a siê do jasnego myœlenia, staraj¹c siê st³umiaæ strach, który obezw³adnia³ jej umys³. Odg³osy kopyt by³y coraz s³absze, a gdy wreszcie ucich³y, poczu³a jak wraca jej odwaga.

Zahaczy³a cugle o ga³¹¿, po czym unios³a aksamitn¹ sukniê i zaczê³a rozwi¹zywaæ cztery halki. Jedn¹ po drugiej œci¹gnê³a do kostek i wysz³a z nich. Le¿a³y na ziemi niczym stos pomiêtego p³ótna. Teraz by³o jej ch³odniej, lecz mia³a wiêksz¹ swobodê ruchów. Schyliwszy siê raz jeszcze, wyci¹gnê³a ma³y no¿yk tkwi¹cy dotychczas w pochewce na cholewie buta. Ojciec da³ go jej na wypadek, gdyby w nag³ej potrzebie, na przyk³ad przy upadku, musia³a odciaæ strzemiona. Teraz u¿y³a go do pociêcia halek na d³ugie pasy, które rozk³ada³a wokó³ siebie.

By³a to ciê¿ka praca i zmêczenie da³o znaæ o sobie zanim jeszcze zadanie zosta³o wykonane. W koñcu doœæ by³o p³óciennych ³achmanów, by owin¹æ ka¿de z kopyt konia niezdamnym ³apciem. Pewna by³a, ¿e Saint Sebastien nie ustanie tak ³atwo w poszukiwaniach. Nie chcia³a, by przypadkowy ha³as œci¹gn¹³ ich ponownie.

By³o ju¿ prawie ciemno, gdy skoñczy³a obwijanie i obwi¹zywanie kopyt. Czu³a wyraŸnie ch³ód nadci¹gaj¹cej nocy, przez któr¹ mia³a siê przedzieraæ. Ju¿ mia³a wskoczyæ na siod³o, gdy uprzytomni³a sobie, ¿e przecie¿ poszukuj¹cy jej mê¿czyŸni wypatruj¹ postaci jad¹cej konno w damskim siodle. Œci¹gnê³a je wiêc z grzbietu zwierêcia i wepchnê³a pod grube ga³êzie nisko rozrastaj¹cej siê sosny. Potem, z g³êbokim westchnieniem, rozciê³a aksamitn¹ spódnicê, z przodu i z ty³u, a luŸne brzegi obwi¹za³a wokó³ kostek, sporz¹dzaj¹c tym samym zadziwiaj¹co funkcjonalne bryczesy.

Gdy by³a gotowa, odwi¹za³a cugle i chwytaj¹c d³oni¹ grzywê, wskoczy³a niezgrabnie na grzbiet wierzchowca. Parê nastêpnych chwil zabra³o jej przystosowanie siê do jazdy na oklep i okrakiem.

Wreszcie usadowiła się wygodnie, gotowa by ruszyć.

Kilkanacie minut później ponownie usłyszała odgłosy pogoni. Powodziła konia i nasłuchiwała uważnie, starając się ustalić kierunek, z którego dochodził świszczący świs. Następny podmuch wiatru przyniósł to samo, lecz już wyraźniej. Stwierdziła, że myśliwi rozstawili się i tyralierą przeczesują las.

Wtuliła głowę w ramiona by stłumić śmiech. Poczucie jak rozpacz narasta w niej, niczym jakaś egzotyczna choroba. Ucieczka zdawała się być daremna, a wszystkie dotychczasowe wysiłki bezsensowne. Jednak wizja okrutnego ucemiechu Saint Sebastiena zmusza ją do działania. Ostrożnie pognęła wierzchowca.

Wkrótce zapadła głęboka noc, która jeszcze bardziej spowolniła tempo jej marszu. Gdy po raz kolejny niemal nie zsunęła się wraz z koniem ze zbocza, gotowa była pakać ze złości. Tylko nie milknący odgłos poszukiwań dodawał jej jeszcze siły. Na rękach i twarzy pojawiły się zadrapania, wosy miały rozwichrzone: zgubiła gdzieś kapelusz. W dodatku jedna z rękawic rozdarła się i Madelaine czuła, jak podmuchy wiatru mrozi jej dłoń. Nad głową korony drzew zmagają się z wichurą.

Nagle, z lewej strony szlaku, dostrzegła nieznaczne poruszenie. Koń parsknął, wyczuwając zagrożenie. Doszedł ją odgłos śmiechu konarów. Madelaine sięgnęła po nóż, gotowa bronić się...

Wytężyła wzrok, dostrzegła pomiędzy pniami drzew sylwetkę jakiegoś zwierzęcia, które powoli zbliżało się do niej. Z trudem opanowała wodze, odzyskując kontrolę nad koniem. Po chwili nie miała już wątpliwości - wilk. Odruchowo rozejrzała się wokół, spodziewając się znaleźć całe stado. Odetchnęła, nie dostrzegając złowrogich, czarnych postaci. Serce biło jej głośno, tłumiąc szum wiatru w uszach.

Tymczasem odgłosy galopady były coraz bliższe. Rozpoznała znajome głosy ludzi Saint Sebastiena, nawojujących się w ciemnościach. Ich niesione wiatrem słowa miały w sobie coś z szaleństwa i nienawici.

Wilk natomiast, skamlał, znikając co jakiś czas w ciemnościach, by za chwilę pojawiać się w nowym miejscu, zawsze jednak na tyle daleko, aby nie spłoszyć sparaliżowanego strachem konia.

Madelaine zastanowiła się nad dziwnym zachowaniem zwierzęcia. Nagle wstrząsnął ją dziwny dźwięk wydobywający się z gardła bestii, niepodobny jednak do znanego ujadania psów. Było to pełne osamotnienia wycie, w którym pobrzmiwało echo wiecznego opuszczenia, zrodzone w martwocie skalnych turni. Coś poruszyło jej serce, gdy słyszała tego dzikiego, pełnego bólu zewu. Przez krótki moment chwilę odczuła bliżej nieokreślone pokrewieństwo.

Powodziła konia coraz bliżej. Madelaine z trudem stłumiła narastającą panikę. Z niepokojem wypatrywała chwilę, gdy wilk będzie na tyle daleko, by mogła przeprowadzić konia. Z dwojga zdecydowana była stawiać czoła szarej bestii, godząc się z nagłą, czystą śmiercią.

Zwierzę tymczasem dreptało przed nią, zawodziło coraz głośniej, znikając w gęstwinie, jak się

wydawało, po to tylko, by pojawiać się ponownie w zasięgu wzroku Madelaine.

Nagle przypomniała sobie, co powiedziała jej Saint-Germain w ów pamiętny wieczór w Hotelu Transylwania. Słowa brzmiały w jej myślach tak wyraźnie, jakby szeptał jej w tej właśnie chwili: "Twoja dusza... zawsze, Madelaine".

Zerknęła przez ramię w stronę, skąd dochodziły gromkie nawoływania, po czym spięła konia, kierując go tam, dokąd prowadziła rozmyty mrokiem kształt wilka.

Wydawało jej się, że jechała blisko północy, cięgle przez gęsty las, gdy ujrzała przed sobą zarysy jakiejś budowli. Zwolniła i ostrożnie zbliżyła się do zabudowań, starając się nie czynić większego hałasu. Kilka kropel rosy, strzępiętych z drzew, rozprysło się na jej twarzy. Okrężyła budynek, stwierdzając, iż jest to stary, masywnej konstrukcji kościół.

Z ulgą zsunęła się z konia, rozprostowując obolałe ciało. Rozejrzawszy się wokoło, pchnęła masywne drzwi prowadzące do wnętrza. Schwyciła konia za uzdę i wprowadziła go do mrocznej krukty. Szczelki szmat wokół kopyt stłumiły nieco kroki zwierzęcia po kamiennej posadzce. Madelaine przywisała jeden z cugli do zatyczki drzwi i weszła do kościoła. W zatęchłym powietrzu unosił się zapach kadzidła, oświadczający o czyjeś obecności. Ruszyła nagle, klękając odruchowo przed krucyfiksem i odmawiając krótką, dziękczynną modlitwę.

Odwróciła się i zamarała w bezruchu.

- Madelaine - powiedziała niskim, ciepłym głosem i wyciągnęła ku niej rękę. Ubrany był w strój podobny do wojskowego munduru, z luźnymi nieco bryczesami i obszerną tuniką koloru czarnego z plamami ciemnej zieleni. Nosił wysokie, kawaleryjskie buty i futrzany czapek. Uśmiech jego czarnych oczu przepełnił jej serce radością.

- Saint-Germain! - zawołała, podbiegając doń, by pocałować mu w ramiona i przycisnąć twarz do szyi.

- Cicho, cicho - wyszeptała, przyciskając ją mocno. - Nie trzeba się bać, Madelaine, moja kochana. Tu jesteś bezpieczna. Saint Sebastien nie wejdzie na poświęconą ziemię.

Te słowa zaskoczyły ją.

- To nie może być poświęcona ziemia jeżeli ty tu jesteś - powiedziała gwałtownie. - Siostry mówią...

- Siostry nie wiedzą wszystkiego - ucieszył się do niej gorzko.

- Cały mój rodzaj może stać po poświęconej ziemi. Większość z nas została w niej pochowana - poczuł, jak dziewczyna sztywnieje w jego ramionach. - Proszę, powiedziałem to i już wpadasz w przerażenie

- uwolnił się z jej ramion i podszedł do ołtarza. - Nie byłoby bezpiecznym palić tu zbyt wiele świec, bo chociaż okna są małe, to ktoś mógłby nas odkryć - wyciągnęła z zanadru krzesiwo i stal. - Na chórze jest kilka lamp oliwnych - powiedziała dla wyjaśnienia, krzesząc iskry.

Po chwili nikły, słagodny blask zalał chór i Madelaine zobaczyła go wyraźniej. Wydawało jej się, że od czasu, gdy widziała go ostatnio zeszczupłała na twarzy. Porusza się jak ktoś, kto przebiegł długą drogę.

Za ołtarzem ukazało się teraz kilka fresków w antycznym stylu, ukazujących Chrystusa fraszobliwego, który - otoczony przez grono świętych i męczenników ubranych w dworskie stroje z jedenastego stulecia - rozkłada ręce, by ukazać ślady po gwoździach. Druga strona malowidła przedstawiała zapewne świętego Hieronima; ścisła on w jednej dłoni ostro zakończone pióro i oprawiał w skórę księgę w drugiej.

- Nie zauważam tego wcześniej - wyszeptała Madelaine zbliżając się do fresku. - Piękne, prawda?

- Bardzo - Saint-Germain wbił w nią swe spojrzenie. Odwrócił się do niego.

- Jak to się stało, że tu jesteś?

- Powiedziałem ci, że będę cię ochraniać - podszedł do niej i przesunął palcami po zadrapaniach na jej twarzy i ramionach. - Tak bardzo potrzebujesz ochrony...

Spomniała się.

- Dość dobrze radziłam sobie w lesie. Uciekam i przybyłam tutaj

- popatrz na niego badawczo. - Wilk? Pokiwała smutno głową.

- Nie mogłem zostawić cię dla Saint Sebastiena. Wiem, że jesteś dzielna, zaradna, lecz bałem się o ciebie.

Wzięła jego dłoń w swoje i mocno ścisnęła.

- Jestem ci wdzięczna, Saint-Germain. Nie chcę w ogóle myśleć, co by się stało, gdyby...

- I czujesz się bezpieczna ze mną teraz, gdy wiesz na pewno, kim jestem?

- spojrzaj na jej twarz i poczuć, jak słabnie stanowczość jego postanowienia. Odsunął się od niej gwałtownie.

- Saint-Germain! - krzyknęła cicho, lecz błagalnie. - Saint-Germain, nie rób tego! Nie. Nie. Słuchaj - brzmienie głosu sprawiło, że jego wzrok znów spoczął na jej twarzy. - Po co mnie ratowałeś, jeżeli teraz mnie opuszczasz?

- Wiesz, że to, czego pragnę dla ciebie nie będzie drogą do zbawienia

- powiedziała z lekką ironią.

Znów wyciągnęła ku niemu ramiona.

- To nie tak, Saint-Germain. Chodzisz po święconej ziemi. Nie jesteś zatem przeklęty.

- Z pewnością, przynajmniej na zwykły sposób - zgodził się spokojnie. Przyglądała się w młym świetle jego twarzy, dostrzegając cię cierpienia. Łagodnie przesunęła palcami po szczękach i zacienionych wargach.

- Komunia to dzielenie się chlebem i krwią Chrystusa, tak?



- To wiesz lepiej ode mnie - powiedzia<sup>3</sup>, próbuj<sup>1</sup>c odegna<sup>æ</sup> pokus<sup>ê</sup> jej gor<sup>1</sup>cego cia<sup>3</sup>a.
- Jeżeli krew jest sakramentem, zatem to, co zrobili<sup>o</sup>emy, jest nim równie<sup>¿</sup>
- by<sup>3</sup>a coraz bli<sup>¿</sup>ej, a jej oczy wyraż<sup>a</sup>3y jedno tylko pragnienie.
- O Bo<sup>¿</sup>e - powiedzia<sup>3</sup> cicho w g<sup>3</sup>ębokiej rozterce. - Pragniesz, lecz nie wiesz, co mo<sup>¿</sup>e ci<sup>ê</sup> czeka<sup>æ</sup>. Czy nie dostrzegasz, <sup>¿</sup>e w<sup>3</sup>acenie to pragnienie czyni ci<sup>ê</sup> dla mnie niebezpieczn<sup>1</sup>? - wzi<sup>13</sup> j<sup>1</sup> w ramiona i potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> 3agodnie.
- Madelaine, ja p<sup>3</sup>on<sup>ê</sup> dla ciebie, lecz nie mog<sup>ê</sup>, nie mog<sup>ê</sup>...
- Zimno tu, Saint-Germain. Jeżeli nie b<sup>ê</sup>dzie ci<sup>ê</sup> przy mnie, umr<sup>ê</sup>, i b<sup>ê</sup>dzie to oemier<sup>æ</sup> trwaj<sup>1</sup>ca a<sup>¿</sup> po tr<sup>1</sup>by S<sup>1</sup>du Ostatecznego. Nie chcesz przecie<sup>¿</sup>, by tak si<sup>ê</sup> sta<sup>3</sup>o.
- Nie - powiedzia<sup>3</sup>, obejmuj<sup>1</sup>c j<sup>1</sup>.
- Mo<sup>¿</sup>esz obejmowa<sup>æ</sup> mnie i nie pragniesz kocha<sup>æ</sup>?
- Umilk<sup>3</sup>. Szum padaj<sup>1</sup>cego na zewn<sup>1</sup>trz deszczu by<sup>3</sup> coraz g<sup>3</sup>oceniejszy.
- Zale<sup>¿</sup>y mi na tobie. S<sup>1</sup>dz<sup>ê</sup>, <sup>¿</sup>e od dawna za tob<sup>1</sup> t<sup>ê</sup>skni<sup>3</sup>em.
- A zatem nie odmawiaj mi - wyszepta<sup>3</sup>a z pragnieniem w g<sup>3</sup>osie. - Dotknij...
- Nie zwleka<sup>3</sup> ze spe<sup>3</sup>nieniem tego <sup>¿</sup>yczenia. Uniós<sup>3</sup> j<sup>1</sup> i u<sup>3</sup>o<sup>¿</sup>y<sup>3</sup> na starej stalli chóru.
- Œwi<sup>ê</sup>ci i m<sup>ê</sup>czennicy ze skupieniem przypatrywali si<sup>ê</sup>, jak wielbi<sup>3</sup> j<sup>1</sup> wargami i d<sup>3</sup>o<sup>ñ</sup>mi.

Wyjtek z listu opata Ponteneufa do Madelaine de Montalia w dobrach męza jej ciotki, Sans Desespoir; datowane 28 października 1743:

(...) Bardzo mi było miło dowiedzieć się o wizycie twego dostojnego ojca i oczekuję niecierpliwie na kilka szczęśliwych godzin jego towarzystwa. Pewien jestem, że ty z chęcią przyjmiesz jego troskliwe uwagi, gdyż młdra to córka, miśujca wiedzę i askawość, które cechować muszą każdego uczuciem darzącego potomstwo ojca.

Twój krótki pobyt na wsi jest z pewnością rozkosz dla ciebie. Bez wątpienia spędzasz wiele czasu na miśnych spacerach i przejażdżkach po okolicy. Chociaż sam nie znam Sans Desespoir, wiem, że krajobrazy są tam godne podziwu. Musisz z pewnością być wdzięczna markizowi d'Argenlac za tę sposobność odawienia się przed przyjściem. Nie każda młoda kobieta ma tyle szczęścia, by krewni chcieli troszczyć się o nią w taki sposób.

(...) Twój ojciec obarczy mnie szczęśliwym zadaniem wyjaśnienia ci obowiązków żony, odkąd jest nadzieja, że ta radosna zmiana stanu nie jest rzeczą odległą. Pozwól skłonić cię do refleksji nad słowami Pisma i cnotami wspaniałymi matce naszego Pana, Niepokalanej Dziewicy, która zawsze pragnie wesprzeć nas w dziele zbawienia, przez wzgląd na syna. Pomyśl o czystości Ćwiętej Matki, o jej oddaniu, o jej bezinteresowności, o jej pokorze, szczodrości, miśosierdziu i śagodnej uległości wobec woli Ćwiętego Ducha. Są to jakości, które muszą być celem każdej żony, chociaż żadna nie może liczyć na osiągnięcie doskonałości. Będzie zaszczytem dla ciebie służyć twemu męzowi we wszystkim, z radością przyjmując jego słowo jako twoje prawo, i ulegać jego daniom, dzięki którym możesz być owocna i błogosławiona dziećmi. Naucz się myśleć tylko o jego potrzebach i użytkach, a tym samym odnajdziesz prawdziwe szczęście.

Wiesz już dość o świecie, by zdawać sobie sprawę z tego, iż są żony ustawicznie sprzeciwiające się swym męzom, które ignorują wezwanie małżeństwa i tarzają się w zmysłowości i dżach ciał. Jaki straszny jest ich los! Stają się przedmiotem pogardy ze strony ich rodzin, szyderstw ze strony dzieci, a gdy w końcu umierają - same, bez przyjaciół, bez wspomagającej obecności dzieci - wtedy same widzą swoje grzechy i wiedzą, iż wspanienie zaczynają zaznawać gorzkiego losu dla nich zgotowanego.

Gdy twój ojciec będzie w Paryżu, mam nadzieję, że będziemy mogli porozmawiać o tym dżej, tak być w pełni świadoma radości kobiety w jej małżeńskich obowiązkach. Nie jest rzeczą wspaniałą, by męczyzna, a co dopiero duchowny, mówi więcej na ten temat, lecz twój ojciec, jak i twoja ciotka zechcą cię opisać ci powinnościami małżeńskiego życia jak i jego przywileje. Więcej nie jestem w stanie ci powiedzieć, oprócz zapewnienia, iż męczyzna, który znajdzie uznanie w oczach twojej rodziny, najlepszym będzie, by poinstruować cię w kwestiach dla niego samego najbardziej stosownych.

Wrócisz wkrótce, jak wiem, i zaczniesz ostatnie przygotowania do przyjścia. Mówi się, że

*będziesz śpiewać w operze skomponowanej na tę okazję przez hrabiego Saint-Germain. Wielki to zaszczyt dla ciebie, córko, jeden z tych, których, jak mniemam, jesteś w pełni świadoma. Jeśli mężczyzna tak świadomy znajduje przyjemność w robieniu ci takiego prezentu, nakłada to na ciebie spory dług wdzięczności. Podziękujesz mu za to, jak wiem, uniżoności i wdziękiem, które cię uszlachetniaj!*

*Zobowiązuje cię do pozdrowienia twej ciotki i jej męża, i zapewnienia ich, że zawsze się za nich modle, tak jak i za ciebie, moja droga córko.*

*Z miłości, którą Chrystus nakazał nam żywić do siebie nawzajem i z bogosławieństwami z mej ręki i ręki twego ojca, pozostaje,*

**Twoim pełnym uszanowania kuzynem l'Abbe A. R. Ponteneuf, Zakon Jezuitów**

Ambrosias Maria Domingo y Roxas trzyma<sup>3</sup> uprz<sup>1</sup>ę w górze, tak, by Hercule mó<sup>3</sup>g dobrze si<sup>ę</sup> jej przyjrze<sup>æ</sup> w w<sup>1</sup>t<sup>3</sup>ym œwietle wpadaj<sup>1</sup>cym do piwnicy.

- Prosz<sup>ê</sup>. To wed<sup>3</sup>ug specjalnego projektu ksi<sup>ê</sup>cia Rakoczego: róg i drewno, odrobina stali i kute<sup>3</sup>go br<sup>1</sup>zu na klamry. Pasy s<sup>1</sup> ze skóry i tak si<sup>ę</sup> zapinaj<sup>1</sup> - pokaza<sup>3</sup>, przymierzaj<sup>1</sup>c jedn<sup>1</sup> z szelek wzd<sup>3</sup>u<sup>1</sup> ramienia.

Cz<sup>ê</sup>œæ Hotelu Transylwania, w której czarownicy zainstalowali laboratorium alchemiczne, po<sup>3</sup>o<sup>1</sup>ona by<sup>3</sup>a w najni<sup>1</sup>szej kondygnacji piwnic, prawie dok<sup>3</sup>adnie pod pó<sup>3</sup>nocnym skrzyd<sup>3</sup>em, gdzie mieœci<sup>3</sup>y si<sup>ę</sup> salony gier. Spi<sup>1</sup>arnia powy<sup>1</sup>zej t<sup>3</sup>umi<sup>3</sup>a dok<sup>3</sup>adnie jakiegokolwiek ha<sup>3</sup>asy czy zapachy, nie pozwalaj<sup>1</sup>c, by dzia<sup>3</sup>alnoœæ Gildii przeszkadza<sup>3</sup>a eleganckim t<sup>3</sup>umom.

Hercule rozejrza<sup>3</sup> si<sup>ę</sup> niespokojnie woko<sup>3</sup>o. Nie lubi<sup>3</sup> tych dziwnych m<sup>ê</sup>czyzn i ponurej kobiety w œrednim wieku, która z nimi pracowa<sup>3</sup>a. A dziwny przyrz<sup>1</sup>d, który pokazywa<sup>3</sup> mu Domingo y Roxas przypomina<sup>3</sup> raczej narz<sup>ê</sup>dzie tortur.

- Co to jest?

- Szelki - odpowiedzia<sup>3</sup> Beverly Sattin ze swego miejsca przy athanorze.

- Dla twoich nóg - wskaza<sup>3</sup> na kule, na których wspiera<sup>3</sup> si<sup>ę</sup> stangret.

- Jego wysokoœæ da<sup>3</sup> nam projekt, poniewa<sup>1</sup> chce, byœ<sup>æ</sup> znów mó<sup>3</sup>g chodzic<sup>æ</sup>.

Hercule ruszy<sup>3</sup> niezgrabnie, przeklinaj<sup>1</sup>c swe kalectwo. Nagle stwierdzi<sup>3</sup>, Œe bliski jest p<sup>3</sup>aczu. Przy<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup> jedn<sup>1</sup> rêk<sup>ê</sup> do oczu i omal nie upad<sup>3</sup>, straciwszy równowag<sup>ê</sup>.

Szorstki wyraz twarzy kobiety nieco si<sup>ę</sup> rozlu<sup>1</sup>ni<sup>3</sup>.

- Nienawidzisz swego kalectwa, prawda? - spyta<sup>3</sup>a Iphigenia Lairrez niskim, melodyjnym g<sup>3</sup>osem.

Ogarn<sup>ê</sup>o go zgorzknienie. Nic nie odpowiedzia<sup>3</sup>. W ko<sup>3</sup>ncu zda<sup>3</sup> sobie spraw<sup>ê</sup> z wymowy wpatrzonych we<sup>1</sup> oczu czarowników i wymamrota<sup>3</sup>:

- Tak. W<sup>3</sup>acenie.

- Eh, bien. Dlaczego zatem nie przymierzysz tych szelek? Ksi<sup>1</sup>ę<sup>ê</sup> powiedzia<sup>3</sup>, Œe pragnieniem jego jest, byœ<sup>æ</sup> mó<sup>3</sup>g mie<sup>æ</sup> u<sup>1</sup>ytek ze swych nóg i zapewni<sup>3</sup> nas, Œe ten w<sup>3</sup>acenie sposó<sup>3</sup>b da najlepsze wyniki.

Hercule nic nie wiedzia<sup>3</sup> o ksi<sup>ê</sup>ciu, o którym to oni mówili z takim szacunkiem. Pami<sup>ê</sup>ta<sup>3</sup> jednak, Œe jego pan, hrabia Saint-Germain, mia<sup>3</sup> dobre mniemanie o owych dziwnych ludziach pracuj<sup>1</sup>cych w jego piwnicy. Zawaha<sup>3</sup> si<sup>ę</sup>.

- Ale ja nie mog<sup>ê</sup> chodzic<sup>æ</sup>. Wysy<sup>3</sup>ano ju<sup>1</sup> po chirurga. By<sup>3</sup> dwa razy. Powiedzia<sup>3</sup>, Œe to niemo<sup>1</sup>liwe. Rozumiecie? - stan<sup>13</sup> pewniej na kulach i zako<sup>3</sup>ysa<sup>3</sup> jedn<sup>1</sup> nog<sup>1</sup>. - Ugina si<sup>ę</sup>. Co znaczy tyle, Œe jeœli z<sup>3</sup>o<sup>1</sup>ê na niej swój ci<sup>ê</sup>gar, to upadn<sup>ê</sup> - Hercule odrzuci<sup>3</sup> nagle kul<sup>ê</sup>, wstrz<sup>1</sup>eni<sup>ê</sup>ty obrzydzeniem wobec samego siebie. Wspar<sup>3</sup> si<sup>ę</sup> ci<sup>ê</sup>ko na pobliskim d<sup>ê</sup>bowym stole. Czarownicy patrzyli na niego ze zdumieniem. Mme Lairrez po<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>onie na biodrach.

- To by<sup>3</sup>o g<sup>3</sup>upie. Jeżeli jeste<sup>3</sup> bezradny, to powinienes<sup>3</sup> mie<sup>3</sup> do<sup>3</sup>ce<sup>3</sup> rozumu, by zrobia<sup>3</sup> u<sup>3</sup>ytek z tego, co jest ci ofiarowywane. W tym równie<sup>3</sup> i z tych szelek

- schyli<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e, by podnie<sup>3</sup>ce<sup>3</sup> kul<sup>3</sup>e, ale mu jej nie odda<sup>3</sup>a. Sattin zaj<sup>13</sup> si<sup>3</sup>e piecem, mrucz<sup>1c</sup> co<sup>3</sup>e po angielsku.

- No dobrze - powiedzia<sup>3</sup> Hercule, patrz<sup>1c</sup> wyzywaj<sup>1co</sup>. Pomimo czterech o<sup>3</sup>wieczników, w pomieszczeniu panowa<sup>3</sup> deprymuj<sup>1cy</sup> mrok, a dziwny nastrój pot<sup>3</sup>ogowa<sup>3</sup> smród dochodz<sup>1cy</sup> z pieca.

Kobieta podesz<sup>3</sup>a bli<sup>3</sup>ej. Jej lito<sup>3</sup>eciwe oczy zadawa<sup>3y</sup> k<sup>3</sup>am surowo<sup>3</sup>eci twarzy.

- Mam twoj<sup>1</sup> kul<sup>3</sup>e, jeżeli to jej potrzebujesz. Jeżeli nie, pozwól mi pomóc ci za<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ly<sup>3</sup>e chociaż jedn<sup>1</sup> z tych szelek. Mamy wobec ksi<sup>3</sup>cia Rakoczego pewne zobowi<sup>1</sup>zania. Mo<sup>3</sup>esz pomóc nam je sp<sup>3</sup>acia<sup>3</sup>, przynajmniej w cz<sup>3</sup>o<sup>3</sup>eci. - Gdy to powiedzia<sup>3</sup>a, skin<sup>3</sup>e<sup>3</sup>a na Domingo y Roxasa. - Krzes<sup>3</sup>o, Ambrosias. Ten biedny cz<sup>3</sup>owiek zaraz upadnie.

Hercule nienawidzi<sup>3</sup> jej w tej chwili za przenikliwo<sup>3</sup>e. Spojrza<sup>3</sup> na wszystkich, sadowi<sup>1c</sup> si<sup>3</sup>e ostro<sup>3</sup>nie na starym krze<sup>3</sup>le bez oparcia. Gdy usiad<sup>3</sup> na tyle pewnie, na ile by<sup>3</sup>o to mo<sup>3</sup>liwe, Domingo y Roxas skin<sup>13</sup> przytakuj<sup>1co</sup>, wzi<sup>13</sup> jedn<sup>1</sup> z szelek i ukl<sup>1k3</sup> u jego st<sup>3</sup>op.

- Musz<sup>3</sup>e zdj<sup>1æ</sup> ci but, senor. Zrobi<sup>3</sup>e to ostro<sup>3</sup>nie, tak by ci<sup>3</sup>e nie urazi<sup>3</sup>e

- chwyci<sup>3</sup> obcas buta Hercule. - Zapewne b<sup>3</sup>dzie lepiej, gdy przytrzymasz si<sup>3</sup>e por<sup>3</sup>czy krzes<sup>3</sup>a. Nie wiem, czy uda mi si<sup>3</sup>e to tak dobrze, jak bym chcia<sup>3</sup>. Obszerny but stangreta zosta<sup>3</sup> zsuni<sup>3</sup>ty z jego stopy, a Hercule przyzna<sup>3</sup> w duchu, <sup>3</sup>e Hiszpan rzeczywi<sup>3</sup>o<sup>3</sup>cie ma delikatne r<sup>3</sup>ce.

- Teraz, jak si<sup>3</sup>e domyelasz - mówi<sup>3</sup> Domingo odk<sup>3</sup>adaj<sup>1c</sup> but - musz<sup>3</sup>e rozwi<sup>1</sup>za<sup>3</sup>e sznurówki twoich bryczesów. Tak, a teraz unios<sup>3</sup>e nieco twoj<sup>1</sup> stop<sup>3</sup>e. Teraz za<sup>3</sup>e widzisz, jak ta cz<sup>3</sup>o<sup>3</sup>ca przylega do podbicia. Podobne do podeszwy, prawda?

Hercule niech<sup>3</sup>tnie, ale przyzna<sup>3</sup>, <sup>3</sup>e kawa<sup>3</sup>ek uprz<sup>3</sup>y przycieni<sup>3</sup>ty w<sup>3</sup>o<sup>3</sup>enie do jego stopy, w rzeczy samej podobny by<sup>3</sup> do podeszwy.

- A to, widzisz? - ustawi<sup>3</sup> z obu stron dwa pr<sup>3</sup>ty wykonane z rogu i drewna. - To s<sup>1</sup> usztywnienia szelek. Jego Wysoko<sup>3</sup>e mówi, <sup>3</sup>e dzia<sup>3</sup>ae to b<sup>3</sup>dzie tak, jak kolano. Stal powy<sup>3</sup>ej, br<sup>1z</sup> u do<sup>3</sup>u. Widzisz tu i tu te j<sup>3</sup>zyki ze sprasowanych blaszek? - wskaza<sup>3</sup> na ma<sup>3</sup>e wybrzuszenia, które nasun<sup>13</sup> z przodu na kolano, spinaj<sup>1c</sup> szelki. - To powstrzyma ci<sup>3</sup>e przed zbytnim przegi<sup>3</sup>ciem stawu do ty<sup>3</sup>u. B<sup>3</sup>dzie si<sup>3</sup>e zgina<sup>3</sup>e tylko do przodu, jak przedtem.

Tytu<sup>3</sup>em próby Hercule pomaca<sup>3</sup> ochraniacze.

- Czy to jest do<sup>3</sup>ce<sup>3</sup> mocne?

- Sam mia<sup>3</sup>em t<sup>3</sup>e w<sup>1</sup>tpliwo<sup>3</sup>e - Domingo y Roxas zmarszczy<sup>3</sup> brwi - ale zobacz - podniós<sup>3</sup> drug<sup>1</sup> uprz<sup>1</sup>, wyprostowa<sup>3</sup> mechaniczny staw, a potem spróbowa<sup>3</sup> przegi<sup>1æ</sup> go w niew<sup>3</sup>o<sup>3</sup>eci w<sup>1</sup> stron<sup>3</sup>e. Gdy pu<sup>3</sup>eci<sup>3</sup>, by<sup>3</sup> zdyszany, a urz<sup>1</sup>dzenie pozosta<sup>3</sup>o nietkni<sup>3</sup>e. - Te<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e dziwi<sup>3</sup>e.

Hercule patrzy<sup>3</sup> na t<sup>3</sup>e demonstracj<sup>3</sup>e z rosn<sup>1</sup>cym zdumieniem. Próbowa<sup>3</sup> przekona<sup>3</sup>e sam siebie ju<sup>3</sup> parokrotnie, i<sup>3</sup> powinien pogodzi<sup>3</sup>e si<sup>3</sup>e z <sup>3</sup>yciem kaleki. Teraz wyczuwa<sup>3</sup> szans<sup>3</sup>e, obietnic<sup>3</sup>e, której nigdy

nie spodziewa<sup>3</sup> się otrzymaæ. Prze<sup>3</sup>kn<sup>13</sup> oelinê, która z trudem przesz<sup>3</sup>a przez oecieniête gard<sup>3</sup>o.

- Pasek przebiega tak - Domingo y Roxas przypasowa<sup>3</sup> rzemień do uda majordomusa i zaci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> sprz<sup>1</sup>czki. - Skóra jest spleciona, nie bêdzie się skracaæ w rytm kroków, no i o podwójnej gruboœci dla zwiêkszenia wytrzyma<sup>3</sup>oœci, na wszelki wypadek - wsta<sup>3</sup>. - Proszê, mo<sup>3</sup>esz to wypróbowaæ.

Hercule spojrze<sup>3</sup> na nich. Wpatrywali się w niego wyczekuj<sup>1</sup>co. Obliza<sup>3</sup> wargi.

- Nie wiem...

Mme Lairrez podesz<sup>3</sup>a bli<sup>3</sup>ej i poda<sup>3</sup>a mu rêkê.

- B<sup>1</sup>d<sup>1</sup>Ÿ powa<sup>3</sup>ny, dobry cz<sup>3</sup>owieku.

Hercule niechêtnie przyj<sup>13</sup> ofiarowywan<sup>1</sup> mu d<sup>3</sup>oñ.

- Dziêkujê, madame - powiedzia<sup>3</sup> stanowczo i wsta<sup>3</sup>, u<sup>3</sup>ywaj<sup>1</sup>c jednej kuli, by trzymaæ się prosto. T<sup>3</sup>ako<sup>3</sup>ysa<sup>3</sup> się, potem stan<sup>13</sup> pewniej, drug<sup>1</sup> d<sup>3</sup>oñ wspieraj<sup>1</sup>c na ramieniu Mme Lairrez.

- Dalej - powiedzia<sup>3</sup>a tyle<sup>3</sup> surowo, co zachêcaj<sup>1</sup>co.

Hercule zacz<sup>13</sup> przenosiæ swój ciê<sup>3</sup>ar na nogê, w ka<sup>3</sup>dej chwili oczekuj<sup>1</sup>c upadku na pod<sup>3</sup>ogê. Sta<sup>3</sup> niemal prosto, i chocia<sup>3</sup> jego noga trzê<sup>3</sup>a się, to nie wygina<sup>3</sup>a. Sekundy sta<sup>3</sup>y się minutami i powoli, bardzo powoli, Hercule wypuœci<sup>3</sup> powietrze.

- Bóg i Diabe<sup>3</sup>! - krzykn<sup>13</sup>.

Dla innych by<sup>3</sup>o to jak sygna<sup>3</sup>. Sattin wyda<sup>3</sup> cichy okrzyk radoœci i klasn<sup>13</sup> w rêce, Domingo y Roxas prze<sup>3</sup>egna<sup>3</sup> się, gdy <sup>3</sup>zy pop<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>y mu z oczu. Mme Lairrez usunê<sup>3</sup>a wsparcie i stanê<sup>3</sup>a trochê dalej, ucemiechaj<sup>1</sup>c się.

- Ksi<sup>1</sup>ê mia<sup>3</sup> racjê - powiedzia<sup>3</sup> Sattin sam do siebie.

- Musimy poznaæ tê tajemnicê - stwierdzi<sup>3</sup> cicho Domingo y Roxas.

- To wielki sekret.

- Czas dowiedzieæ się - Mme Lairrez by<sup>3</sup>a bardziej ostro<sup>3</sup>na - czy bêdzie móg<sup>3</sup> chodziæ. - Przyjrza<sup>3</sup>a się Hercule oceniaj<sup>1</sup>ce.

Twarz stangreta przybra<sup>3</sup>a wyraz, który by<sup>3</sup>by komiczny, gdyby nie cierpienie maluj<sup>1</sup>ce się w jego przejêtych oczach.

- Ju<sup>3</sup> stojê... - powiedzia<sup>3</sup>.

- To nie to samo - da<sup>3</sup>a mu drug<sup>1</sup> kulê. - Bêdziesz musia<sup>3</sup> spróbowaæ. Wype<sup>3</sup>ni<sup>3</sup>o go wzburzenie. Usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> odepchn<sup>1</sup>æ kulê.

- Nie b<sup>1</sup>d<sup>1</sup>Ÿ g<sup>3</sup>upi - ofuknê<sup>3</sup>a go. - Nie chodzi<sup>3</sup>oœ odk<sup>1</sup>d zosta<sup>3</sup>oœ poturbowany. Nawet jeeli szelki dzia<sup>3</sup>aj<sup>1</sup> i bêdziesz w stanie chodziæ, to nie u<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup>oœ nóg od wielu dni. Jesteœ s<sup>3</sup>aby. Nie jesteœ przyzwyczajony do uprzê<sup>3</sup>y. Upadek nie pomóg<sup>3</sup>by ci w niczym.

Tym razem, gdy poda<sup>3</sup>a mu kulê, przyj<sup>13</sup> j<sup>1</sup> i z rezygnacj<sup>1</sup> wsun<sup>13</sup> pod ramiê.

- A teraz - powiedzia<sup>3</sup>a Mme Lairrez - id<sup>1</sup>Ÿ ku mnie.

Hercule oecisn<sup>13</sup> kulê i uczyni<sup>3</sup> pierwszy, niepewny krok, pozwalaj<sup>1</sup>c uprzê<sup>3</sup>y przej<sup>1</sup>æ na siebie

cały ciężar zanim znów wsparł się na kuli. Następny krok był niezdecydowanym szumięciem nogi, które krępować go raczej, niż urazić. Spróbował raz jeszcze, z większym już zaufaniem. Uprząż trzymała.

Przystanę.

- Dajcie mi drugi komplet szelek - polecił.

- Oczywiście - odpowiedziała Mme Lairrez i raz jeszcze przysunęła krzesło.

Dopasowanie drugiej poszłaśtwo, a gdy Mme Lairrez regulowała uprząż, Sattin zwrócił się do Dominga:

- Może księżę Rakoczy zna remedium dla Cielblue. Domingo y Roxas pomyślał o ich bracie z Gildii, który leżał w pokoju na strychu.

- Nie - stwierdził ze smutkiem. - Róg, drewno, stal i brąz nie są w stanie odtworzyć umysłu, mój przyjacielu.

- Masz rację - przytaknął Sattin. - Ja też nie sądzę, by było to możliwe.

- Uniósł nieco głowę. - Majordomusie, jesteście gotów?

Hercule przyglądał się czynnościom przy dopasowywaniu uprzęży. Mme Lairrez robiła to z wielką troską.

- Zaraz.

Potem zrobił trzy niezgrabne kółka wokół piwnicy. Zaufanie do wynalazku miało coraz większe, przyzwyczajając się też do uprzęży. Nagle otwarły się drewniane drzwi.

Wszyscy zamarli w bezruchu, spoglądając z lękiem, kto wysoni się z wiązki światła padającej z góry, ze śpiżarni. Pojawiła się postać w długim paszczu podróżnym, opadającym grubymi aksamitnymi fałdami.

- Dobry wieczór - powiedziała Saint-Germain, zamykając drzwi.

- Wasza Wysokość, nie oczekiwaliśmy... - pierwszy odezwał się Sattin.

- Ani ja - uciął krótko Saint-Germain. Hercule już kierował się ku swemu panu.

- Hrabio - powiedziała z uśmiechem - księżę tych czarowników zrobił to dla mnie. - Zdawał sobie sprawę, iż było poważnym naruszeniem reguł zwracał się do swego pana w ten sposób i z góry zasmucił się, oczekując ostrej reprymendy. Nie usłyszał jej jednak.

- Miło jest mi widzieć cię, Hercule. Sądzę, że niedługo już zostaniesz moim stangretem - chociaż mówisz to szczerze, w jego uśmiechu dało się odczytać niejakią troskę.

- Zrobilibyśmy uprząż dokładnie według pańskich wskazówek - powiedziała Sattin po angielsku. - Róg i drewno związane w przeciwieństwie - zupełnie nowatorski pomysł. Saint-Germain wzruszył ramionami.

- Niezbyt nowatorski. Scytwowie używali zrobionych w ten sposób suków już tysiąc lat temu. Adaptowanie tej techniki do potrzeb Hercule było prostą sprawą. - Odłożył kapelusz do konnej jazdy i cęgnął z ramion paszcz, odsłaniając ubiór podróżny: surdut z ciemnobrązowej wełny, z węgierskim

futrem obramowuj<sup>1</sup>cym mankiety i ko<sup>3</sup>nierz, batystow<sup>1</sup> koszulê i nieskazitelnie bia<sup>3</sup>y krawat, wysokie buty z bia<sup>3</sup>ym, wywróconym tu<sup>2</sup> pod kolanem mankietem. Ciemne, nie upudrowane w<sup>3</sup>osy zwi<sup>1</sup>zane by<sup>3</sup>y na karku prost<sup>1</sup>, czarn<sup>1</sup> kokard<sup>1</sup>. Oprócz rubinowej szpilki do krawata, innych klejnotów nie mia<sup>3</sup>. C<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> z ma<sup>3</sup>ych d<sup>3</sup>oni czarne, florentyńskie rêkawice. Wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>o, że zupe<sup>3</sup>nie doszed<sup>3</sup> do siebie po podró<sup>2</sup>ży.

- Nie by<sup>3</sup>o mnie przez trzy dni, Sattin - powiedzia<sup>3</sup> po angielsku.

- Jestem mile zaskoczony tym, czego dokonaliœcie. To przynosi wam chlubê i mo<sup>2</sup>ecie byæ pewni, że wyrażê wam wdziêcznoœæ w jakœ konkretny sposób.

- Dziêkujê, panie - sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê Sattin. Po krótkim wahaniu doda<sup>3</sup>:

- Zastanawiam siê, panie, czy jeœli nie zdecydowa<sup>3</sup>eœ siê jeszcze jak wyrazisz swe uznanie, to mo<sup>2</sup>e móg<sup>3</sup>bym byæ tak œmia<sup>3</sup>y, by zasugerowaæ ci coœ.

- Mów zatem - Saint-Germain uniós<sup>3</sup> pytaj<sup>1</sup>co brwi.

- Athanor, panie. By robiæ klejnoty, musimy mieæ nowszy, bardziej wytrzyma<sup>3</sup>y i odporny na wy<sup>2</sup>sz<sup>1</sup> temperaturê. Wprawdzie - doda<sup>3</sup> szybko

- ten jest ca<sup>3</sup>kiem dobry, lecz nie jest optymalny do zadania.

- Wiem. Dobrze, Sattin. Wezmê to pod uwagê - odwróci<sup>3</sup> siê do szczup<sup>3</sup>ego Anglika i zwróci<sup>3</sup> siê po hiszpañsku do Dominga.

- To jest wspaniale wykonane i ukazuje precyzjê myœli. Ile z tego jest twoim dzie<sup>3</sup>em, przyjacielu?

- Ja... My... Moja pomocnica i ja... Wype<sup>3</sup>niloœmy twoje polecenie, panie -j<sup>1</sup>ka<sup>3</sup> siê zmieszany t<sup>1</sup> poufa<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup> Hiszpan. - Nie zaniedbaliœmy modlitw przy ka<sup>2</sup>dym etapie pracy, obliczyliœmy wp<sup>3</sup>ywy niebios, by dzie<sup>3</sup>o rozwija<sup>3</sup>o siê pomyœlnie.

- Wybornie - stwierdzi<sup>3</sup> Saint-Germain. - Ty i madame Lairrez, i Sattin. Kto jeszcze?

Domingo y Roxas sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê nisko.

- Jesteœmy wszyscy na twoje us<sup>3</sup>ugi, ksi<sup>1</sup>ê Rakoczy.

- Rozumiem. A Cielblue?

- Bez zmian. By<sup>3</sup> chirurg i powiedzia<sup>3</sup>, że nic nie mo<sup>2</sup>e robiæ - roz<sup>3</sup>o<sup>2</sup>y<sup>3</sup> rêce w geœcie frustracji i rozpaczy. - Co zreszt<sup>1</sup> mo<sup>2</sup>e wiedzieæ chirurg? Ma no<sup>2</sup>e, by ci<sup>1</sup>æ cia<sup>3</sup>o, a gdy pacjent umiera, wówczas przedstawia mnogoœæ dowodów, że to nie on przywiód<sup>3</sup> go do œmierci.

- Szkoda - powiedzia<sup>3</sup> Saint-Germain po francusku, z lekkim piemonckim akcentem. - Chcia<sup>3</sup>bym, żeby obejrzeni go jeszcze inni lekarze, jeœli takie jest wasze pragnienie. Lecz w<sup>1</sup>tpiê, by byli w stanie mu pomóc.

- I ja tak myœlê - przytaknê<sup>3</sup>a Mme Lairrez. - To nie cia<sup>3</sup>o dozna<sup>3</sup>o uszczerbku, lecz umys<sup>3</sup> - opuœci<sup>3</sup>a wzrok.

- Widzê, że rozumiemy siê doœæ dobrze, madame - w g<sup>3</sup>osie Saint-Germaina pojawi<sup>3</sup>o siê



ponure rozbawienie.

Hercule, który sta<sup>3</sup> z boku z coraz większym zdziwieniem maluj<sup>1</sup>cym siê na obliczu, przeszkodzi<sup>3</sup> im w koñcu.

- To pan jest ksiêciem Rakoczym, o którym oni nie przestaj<sup>1</sup> mówiaæ?! Saint-Germain nie wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> na poruszonego zdemaskowaniem.

- Tak, miêdzy innymi. Pochodzê z bardzo starej linii.

- Ja... ja nie chcia<sup>3</sup>em... - Hercule zaj<sup>1</sup>kn<sup>13</sup> siê, przerażony w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> oemia<sup>3</sup>oeci<sup>1</sup>.

- Nie używam tego tytu<sup>3</sup>u powszechnie - Saint-Germain by<sup>3</sup> uprzedzaj<sup>1</sup>co grzeczny - lecz w pewnych krêgach moja reputacja jest zwi<sup>1</sup>zana w<sup>3</sup>acenie z nim.

- O nic nie pytam, rzecz jasna - zbity z tropu Hercule odwróci<sup>3</sup> wzrok od czarnych oczu swego pana.

- Rzecz jasna, ¿e pytasz. I zas<sup>3</sup>ugujesz na odpowiedŹ. Jestem potomkiem pradawnej linii pewnego karpackiego domu. Przez lata moi przodkowie nosili wiele tytu<sup>3</sup>ów i w ci<sup>1</sup>gu wieków <sup>3</sup>czyli siê z ró¿nymi innymi rodami - ucemiechn<sup>13</sup> siê smutno do wspomnieñ. - S<sup>1</sup>dzê, ¿e jednym z nas by<sup>3</sup> pewien papie¿ wywodz<sup>1</sup>cy siê z Orsinich. By<sup>3</sup>o te¿ w moim rodzie kilku cesarzy. Ale to wszystko dzia<sup>3</sup>o siê dawno temu - przelotnie i z bólem wspomnia<sup>3</sup> Florencjê Medyceuszy.

Obydwaj czarownicy byli wyraŹnie pod wrażeniem s<sup>3</sup>ów Saint-Germaina, lecz Mme Lairrez nie podda<sup>3</sup>a siê nastrojowi.

- S<sup>3</sup>awna linia to coœ, z czego mo¿na byæ dumnym - przyzna<sup>3</sup>a niechêtnie. - Szacunek jednak nie przechodzi z ojca na syna.

- Szczera prawda - przyzna<sup>3</sup> hrabia. - Czy ma pani jakieœ uwagi do mnie?

Potrz<sup>1</sup>snê<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, ignoruj<sup>1</sup>c sykliwe napomnienia kompanów.

- Nie, panie, nie mam - odwróci<sup>3</sup>a siê gwa<sup>3</sup>townie od ciemnych, badawczych oczu.

Hrabia sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê usatysfakcjonowany.

- Dobrze zatem. Nie chcê, byœcie s<sup>1</sup>dzili, ¿e nie wytrzymam próby. ChodŹ ze mn<sup>1</sup> - skin<sup>13</sup> na Hercule. - Mam ci nieco do powiedzenia. A co do was

- zwróci<sup>3</sup> siê do czarowników. - Nowy athanor znajdzie siê w waszych rêkach przed koñcem tygodnia. Macie moje s<sup>3</sup>owo. Ufam, ¿e to wystarczaj<sup>1</sup>cy kwit zastawny, madame Lairrez? - sk<sup>3</sup>oniwszy siê z ironicznym ucemieszkiem skierowa<sup>3</sup> siê do wyjœcia. Hercule poci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> jego celadem. Czarownicy milczeli, a¿ do chwili, gdy zostali sami.

- A teraz, Hercule - powiedzia<sup>3</sup> Saint-Germain, gdy wspinali siê do spi¿arni. - Mam dla ciebie zadanie. Dopóki bêdziesz dochodzi<sup>3</sup> do wprawy w używaniu nóg, pozostaniesz moim majordomusem.

- Tak panie. Co mam robiæ? - spyta<sup>3</sup> lekko zdyszany Hercule.

- Chcê, byœ obserwowa<sup>3</sup> wszystkich, którzy tu przychodz<sup>1</sup>. Szczególnie tych z otoczenia Saint Sebastiena lub Beauvrai. Gdybyœ cokolwiek podejrzewa<sup>3</sup>, daj mi znaæ. Uważaj tylko, by ciê nie

sposprzeżono.

- Saint Sebastien? - wyszepta<sup>3</sup> Hercule, wstrzymuj<sup>c</sup> wspinaczkê i spogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c na stoj<sup>1</sup>cego dwa stopnie nad nim Saint-Germaina.

- Tak - hrabia dostrzeg<sup>3</sup> rumieńce na twarzy stangreta. - Bêdziesz udawa<sup>3</sup>, że go nie znasz, Hercule. Bêdziesz moim majordomusem, a co niby mój majordomus może mieć wspólnego z Saint Sebastienem?

- On mnie okaleczy<sup>3</sup>! - krzykn<sup>13</sup> Hercule.

- Z tymi szelkami nie bêdziesz wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> na kalekê, Hercule - powiedzia<sup>3</sup> agodnie. - Polegam na tobie. Zachowaj milczenie ze wszystkim, co wiesz na mój temat, a przez to jeszcze lepiej odp<sup>3</sup>acisz się Saint Sebastienowi

- doszed<sup>3</sup> do szczytu schodów i popatrzy<sup>3</sup> w dół.

- Dla zemsty na Saint Sebastienie wspar<sup>3</sup>bym samego diab<sup>3</sup>a.

- Naprawdê? - zaoemia<sup>3</sup> się Saint-Germain, potrz<sup>1</sup>saj<sup>1</sup>c g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>. Potem zupe<sup>3</sup>nie innym g<sup>3</sup>osem powiedzia<sup>3</sup>: - Powiedz Rogerowi, by przygotowa<sup>3</sup> mój powóz na têt noc. Bêdê potrzebowa<sup>3</sup> go o p<sup>3</sup>nocy. Powiedz mu też, że ma to zwi<sup>1</sup>zek z wiolonczelistk<sup>1</sup>, któr<sup>1</sup> znam, a która jest w wielkiej potrzebie. Obieca<sup>3</sup>em jej pomóc, gdyż groż<sup>1</sup>ce jej niebezpieczeństwo jest coraz wiêksze.

Hercule zrówna<sup>3</sup> się ze swoim panem.

- Zrobiê to.

Saint-Germain spojrze<sup>3</sup> na p<sup>3</sup>aszcz, który mia<sup>3</sup> przewieszony przez ramiê.

- Muszê przebraê się w coê bardziej stosownego. Powiedz Rogerowi, by szuka<sup>3</sup> mnie w moim pokoju. I jeszcze jedno, Hercule.

- Tak, panie.

- Jeceli cenisz swe życie i dbasz o swoj<sup>1</sup> duszê, to zachowaj milczenie. Hercule stan<sup>13</sup> zdeorientowany.

- Jeceli nie darzysz przesadnym szacunkiem wartoœci twej duszy - ucemiechn<sup>13</sup> się ch<sup>3</sup>odno Saint-Germain - to milcz ze wzglêdu na d<sup>3</sup>ug, jaki zaci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>ee wobec mnie, gdyż moje życie również jest tutaj stawk<sup>1</sup> - odwróci<sup>3</sup> się i miarowym krokiem ruszy<sup>3</sup> przez sieñ.

Tekst listu lekarza Andre Schoenbruna do hrabiego de Saint-Germaina; datowane 30 paŹdziernika 1743:

Andre Schoenbrun, lekarz z le Rue de Ecoule-Romain, przesy<sup>3</sup>a hrabiemu de Saint-Germain swe pozdrowienia i swój żal, iż mêtczyzna imieniem Cielblue nie przyszed<sup>3</sup> do zdrowia po pobiciu, którego dozna<sup>3</sup>. Zapytuje, czy hrabia zdaje sobie sprawê z tego, że to nie brak wprawy ze strony lekarza, lecz zbyt powaźne obrażenia nie pozwalaj<sup>1</sup> na powrót do zdrowia.

W drugiej sprawie, któr<sup>1</sup> hrabia by<sup>3</sup> uprzejmy poruszyæ ostatniej nocy: lekarz pragnie zapewniæ hrabiego, że bêdzie mu towarzyszy<sup>3</sup> w owej ryzykownej wyprawie, o której hrabia wspomnia<sup>3</sup>, i prosi o

przyjêcie do wiadomoœci, i¿ lekarz spotka siê z hrabi<sup>1</sup> o drugiej przy bramie rezydencji Cressie.

Zgodnie z umow<sup>1</sup>, lekarz Schoenbrun zgadza siê pojechaæ póŹniej dostarczonym przez hrabiego powozem i towarzyszyæ kobiecie, któr<sup>1</sup> hrabia przyprowadzi do zbadania, a¿ do Zgromadzenia Mi<sup>3</sup>osierdzia i Sprawiedliwoœci Zbawiciela w Bretanii, gdzie kobieta ta zostanie oddana pod opiekê jej siostry, Fabbesse Domini<sup>1</sup>ue de la Tristesse de les Agnes.

Hrabia da<sup>3</sup> lekarzowi do zrozumienia, ¿e z zadaniem tym wi<sup>1</sup>¿<sup>1</sup> siê pewne niebezpieczeñstwa i z tego powodu lekarz chêtnie akceptuje z<sup>3</sup>o¿on<sup>1</sup> mu przez hrabiego propozycjê dodania powozowi uzbrojonej eskorty. Zgodnie z instrukcjami hrabiego, lekarz nie bêdzie szuka<sup>3</sup> noclegu, lecz pojedzie przez ca<sup>31</sup> noc. Lekarz obiecuje równie¿, i¿ przedsiêweŹmie odpowiednie kroki i zaopatrzy siê w szpadê i pistolet, i wyra¿a uznanie hrabiemu za ostrze¿enie na czas.

Poniewa¿ hrabia sugerowa<sup>3</sup>, i¿ kobieta, która ma byæ konwojowana mo¿e byæ w pewnym stopniu ob<sup>31</sup>kana, lekarz zabierze ze sob<sup>1</sup> oerodki uspokajaj<sup>1</sup>ce, by u¿yæ ich w razie potrzeby, gdy¿ mo¿e to byæ, jak czuje, z po¿ytkiem dla kobiety.

Tak zatem, a¿ do spotkania o godzinie drugiej jutro, trzydziestego pierwszego paŹdziernika przy bramie rezydencji Cressie, mam zaszczyt pozostaæ

Pañskim na rozkazy, Andre Schoenbrun, lekarz

Zbli¿a<sup>3</sup> siê czwarta nad ranem, gdy hrabia Saint-Germain wszed<sup>3</sup> z wolna do ma<sup>3</sup>ego salonu gry w pó<sup>3</sup>nocnym skrzydle Hotelu Transylwania. Diuk de Valloncache podniós<sup>3</sup> zmêczone oczy znad robra pikiety, któr<sup>1</sup> rozgrywa<sup>3</sup> z baronem Beauvrai.

- Tak póŹno, hrabio? Straci<sup>3</sup>em ju¿ nadziejê, i¿ pana ujrê. Saint-Germain sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê z ucemiechem.

- Przykro mi, ale sprawa, któr<sup>1</sup> musia<sup>3</sup>em siê zaj<sup>1</sup>æ wczœniej, zatrzyma<sup>3</sup>a mnie trochê. Mam nadziejê, i¿ nie obrócicie tego przeciwko mnie. Teraz jestem ca<sup>3</sup>kowicie na us<sup>3</sup>ugi panów.

- Obawiam siê, ¿e bêdê zmuszony zaprotestowaæ przeciwko tak niefrasobliwemu potraktowaniu naszego spotkania. Nie mogê sobie pozwoliæ na to, by wszem i wobec by<sup>3</sup>o wiadome, i¿ jest ktoœ lepszy ode mnie w ruletce - zachichota<sup>3</sup> de Valloncache.

- Nawet jeœli tak - odezwa<sup>3</sup> siê Beauvrai - to nie by<sup>3</sup>by to ten szalbierz. Gra, de Valloncache - zamacha<sup>3</sup> kremowymi koronkami u mankietów i wyg<sup>3</sup>adzi<sup>3</sup> przód ciemnozielonego surduta, rozpinaj<sup>1</sup>c jeszcze dwa rubinowe guziki kryj<sup>1</sup>ce siê pod rdzaw<sup>1</sup> podszewk<sup>1</sup>. Do kompletu mia<sup>3</sup> tej nocy pantalon z ró¿anego jedwabiu i kamizelkê w cytrynowo-pomarañczowe pasy, <sup>3</sup>agodnie p<sup>3</sup>owe poñczochy i buty w kolorze tureckiego b<sup>3</sup>êkitu.

- Co robiaæ, hrabio? - de Valloncache wzruszy<sup>3</sup> ramionami. - Beauvrai jest honorowy i obawiam siê, ¿e nasza gra musi poczekaæ.

- Mo¿emy j<sup>1</sup> od<sup>3</sup>o¿yæ - ucemiechn<sup>13</sup> siê Saint-Germain. - Mogê te¿ zostaæ i us<sup>3</sup>u¿yæ panom póŹniej.

Markiz Chenu-Tourelle, który to s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>, zwróci<sup>3</sup> się do swego kompana, diuka de la Mer-Herbeux:

- Ciekawe co zatrzyma<sup>3</sup>o Saint-Germaina na tak d<sup>3</sup>ugo? - mrugn<sup>13</sup> porozumiewawczo.

Jeeli nawet Saint-Germain wyczu<sup>3</sup> tkwi<sup>1</sup>cy w tych s<sup>3</sup>owach podtekst, to nie da<sup>3</sup> tego po sobie poznaæ.

- Odwiedza<sup>3</sup>em muzyka, który wyjeźdźa wkrótce na d<sup>3</sup>ugo z Paryża. Chcia<sup>3</sup>em z<sup>3</sup>ołyæ wyrazy szacunku i jak to bywa, zabra<sup>3</sup>o mi to wiêcej czasu, niź s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em.

- Muzycy! - zaszydzi<sup>3</sup> Beauvrai. - Od kiedy to ludzie z naszej sfery odwiedzaj<sup>1</sup> szarpidrutów i brzdêkaczy?

- On jest kompozytorem, Beauvrai - zwróci<sup>3</sup> pojednawczo uwagê de Valloncache.

Beavrai nie da<sup>3</sup> się zbyæ.

- Szacunek muzykom! - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup>. - Mówiê wam, że ten cz<sup>3</sup>owiek jest szarlatanem. - Wskaza<sup>3</sup>, nie zaszczycaj<sup>1</sup>c Saint-Germaina spojrzeniem.

- Beauvrai jest dzisiaj w paskudnym nastroju - powiedzia<sup>3</sup> diuk tytu<sup>3</sup>em usprawiedliwienia. - Wygrywam, jak widzisz, hrabio. On nie moźe tego zniecaæ.

Nieczu<sup>3</sup>y na impertynencje ze strony Beauvrai, Saint-Germain sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> się lekko.

- Jeeli nie koliduje to z pañskimi planami, de Valloncache, bêdê gra<sup>3</sup> na razie w hokê, póki nie bêdzie pan gotów obróciæ swoich zdolnoœci przeciwko mnie - odwróci<sup>3</sup> się, przygotowany by odejcaæ ku przeciweg<sup>3</sup>emu naroźnikowi sali, gdzie grano w pospolit<sup>1</sup> hokê, lecz zatrzyma<sup>3</sup>y go s<sup>3</sup>owa markiza Chenu-Tourelle, które chociaź wypowiedziane cicho, dotar<sup>3</sup>y do wiêkszoœci obecnych.

- Wydaje mi się, że to diablo wygodne dla hrabiego, iź przyby<sup>3</sup> tak póŹno i nie musi ryzykowaæ wiêcej, niź warte s<sup>1</sup> diamenty na jego kamizelce. Diablo wygodnie.

Saint-Germain nie odwracaj<sup>1</sup>c się w kierunku szyderycy, powiedzia<sup>3</sup>:

- Jeeli s<sup>1</sup> tacy, którzy pragn<sup>1</sup> ze mn<sup>1</sup> zagraæ, to jestem do dyspozycji. W co gramy?

Markiz Chenu-Tourelle zawaha<sup>3</sup> się.

- Gramy w pikietê, po dziesiêæ ludwików za punkt.

- A czemu nie dwadzieœcia? To by się op<sup>3</sup>aci<sup>3</sup>o. - Saint-Germain porzuci<sup>3</sup> miejsce na œrodku sali i podszed<sup>3</sup> do stolika, przy którym Chenu-Tourelle siedzia<sup>3</sup> z przyjació<sup>3</sup>mi: diukiem de la Mer-Herbeux i Baltasardem Aubertem, diukiem d'Isleuroge. Przy s<sup>1</sup>siednim stoliku diuk Vandonne oderwa<sup>3</sup> się od kart, w które gra<sup>3</sup> z kawalerem de la Sept-Nuit.

- Który z panów? - spyta<sup>3</sup> Saint-Germain, gdy zaj<sup>13</sup> juź miejsce. - Kto dost<sup>1</sup>pi honoru obdarcia mnie ze skóry?

- Ja! - powiedzia<sup>3</sup> szybko Chenu-Tourelle, piorunuj<sup>1</sup>c Vandonne wzrokiem.

- Bêdê zachwycony - ucemiechn<sup>13</sup> się hrabia.

- Nie, Chenu-Tourelle - wypali<sup>3</sup> poniewczasie D'Isleuroge. - Zg<sup>3</sup>aszam pretensje do nastêpnej

gry. Proszê pozwoliæ rozegraæ mi tego robra.

- A zatem? - Saint-Germain uniós³ brwi. - Jaka decyzja?

Tslerouge zwróci³ wystraszone oczy na Chenu-Tourelle.

- Gra³ pan ca³y wieczór - przypomniam³ markizowi. - Ja nie mia³em okazji graæ wiele, nom du nom, lecz jestem znudzony. Niech mi pan pozwoli rozegraæ pierwszego robra. Jeœli przegram, to pan podejmie rêkawicê.

Chenu-Tourelle odsun³ siê. Przebieg³y ucieszek na rozpustnej twarzy kontrastowa³ ostro, wrêcz zastanawiaj¹ce, z jego dziewczêcym niemal strojem: bladob³êkitnym at³asowym surdudem, kamizelk¹ ze srebrnego brokatu, trykotowymi pantalonami i nieskazitelnie bia³ymi, lecz zwiêdniêtymi ju¿ nieco koronkami. Przesun³ po stole stos z³oty³ ludwików i skin³ na Vandonne.

- Proponujê postawiæ na d'Isleuroge, na jakich pan chce warunkach. Czy przyjmuje pan zak³ad?

W pokoju rozleg³ siê szmer poruszenia. Paru graczy skierowa³o siê ku ich stolikowi, a wœród nich pewien szczup³y i bojaŹliwy angielski earl, nieodparcie przypominaj¹cy któregoœ z swoich rasowych koni. Mo¿na powiedzieæ, ¿e podobieñstwo by³o wprost niepokoj¹ce. Wszyscy ci ludzie ¿¹dni byli ryzyka i nie odczuwali zwykle zaspokojenia, dopóki posiadali cokolwiek, co mogliby przegraæ.

D'Isleuroge rozda³ i zaj³ siê swoimi kartami, rozwa¿aj¹c zrzutki i maj¹c nadzieję zebraæ si³y, o ile w ogóle to siê uda, podobne tym, z jakimi Saint-Germain zasiada³ do gry.

W porównaniu ze swym przeciwnikiem Saint-Germain zaniedbywa³ grê. "Zrzuca³" ze spor¹ obojêtnoœci¹, a gdy d'Isleuroge zwleka³, wpatrzony w swoje karty, zacz¹³ siê nawet niecierpliwiæ.

- Co za kpina - powiedzia³ cicho Vandonne. - Popatrz na Saint-Germaina. Nie zwraca wcale uwagi. Dwieœcie ludwików, ¿e d'Isleuroge wygra tê partiê i robra.

- Stoi - powiedzia³ szybko de Valloncache, który przerwa³ w³asn¹ grê. Kolejnych trzech mêtczyzn podesz³o do sto³u, wyczuwaj¹c w tej partii pikiety rzadko spotykane emocje.

- Ja stawiam na Saint-Germaina - powiedzia³ nagle jakieœ g³os zza pleców zebranych.

Hrabia nie odwróci³ siê.

- IdŹ do domu, Gervaise. Kontessa ucieszy siê z twojego powrotu - rzuci³, nie odrywaj¹c wzroku od talii.

Oszo³omiony winem Gervaise, obla³ siê purpur¹.

- Chcê tylko udzieliæ ci wsparcia - powiedzia³ nad¹sanym g³osem.

- Naprawdê? - Saint-Germain wykona³ kolejn¹ zrzutkê i opar³ siê wygodnie. D'Isleuroge w skupieniu analizowa³ przebieg gry.

- Proszê, nie bêdziesz mia³ asa, jeœli wyrzuciœœe króla! - powiedzia³, z triumfem rzucaj¹c karty.

- Jest mi niezmiernie przykro, ale muszê pana rozczarowaæ - rzek³ Saint-Germain, ujawniaj¹c asa. Spojrza³ na mêtczyzn woko³o: wiedzia³, ¿e przyci¹gn¹ ich uwagê. - Mam nadzieję, ¿e ktoœ z

panów bédzie liczy<sup>3</sup>?

Emiech, który wywo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o to pytanie, nie by<sup>3</sup> mi<sup>3</sup>y dla d'Isleuroge. Wierci<sup>3</sup> siê niecierpliwie, podczas gdy Saint-Germain tasowa<sup>3</sup> karty.

Tym razem gra potoczy<sup>3</sup>a siê wolniej, chocia¿ Saint-Germain by<sup>3</sup> tak samo bezceremonialny. D'Islerouge wiedzia<sup>3</sup> ju¿, ¿e nie wygra <sup>3</sup>atwo, jak sugerowa<sup>3</sup> mu Vandonne. Ów starszy mêtczyzna w czerni nie wydawa<sup>3</sup> siê byæ zainteresowany gr<sup>1</sup>, lecz d'Isleuroge wiedzia<sup>3</sup>, ¿e to tylko maska.

- Stawiam tysi<sup>1</sup>c ludwików, ¿e Saint-Germain odniesie zwyciêstwo wiêcej, ni¿ stoma punktami - wykrzykn<sup>13</sup> Gervaise d'Argenlac. Brwi Saint-Germaina spotka<sup>3</sup>y siê nad nosem w wyrazie irytacji.

- Przebijam to, lecz jestem odmiennego zdania - powiedzia<sup>3</sup> od niechcenia siedz<sup>1</sup>cy przy d'Isleuroge Chenu-Tourelle. - I stawiam podwójnie, ¿e mój faworyt odniesie zwyciêstwo setk<sup>1</sup> punktów.

Angielski earl u<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup> tymczasem na stole stos gwinei.

- S<sup>1</sup>dzê, ¿e d'Islerouge przegra - powiedzia<sup>3</sup> strasz<sup>1</sup> francuszczyzn<sup>1</sup>.

- I stawiam to, na dowód.

- Moje trzy, hrabio - rzuci<sup>3</sup> d'Islerouge przez zaciœniête zêby.

- Lecz moja pikietta, baronie.

Wiêszoœæ œwiec zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a siê stopiaæ, nim skoñczy<sup>3</sup> siê trzeci rober. Saint-

Germain odsun<sup>13</sup> krzes<sup>3</sup>o, ogarniaj<sup>1</sup>c spojrzeniem pieni<sup>1</sup>dze i œwistki papieru piêtrz<sup>1</sup>ce siê na stole.

- Ju¿ prawie œwit, d'Isleuroge.

Blask znikn<sup>13</sup> ju¿ dawno z twarzy barona. By<sup>3</sup> teraz wymizerowany, swoim zachowaniem siê stara<sup>3</sup> siê ukryæ k<sup>3</sup>opoty, w jakich siê znalaz<sup>3</sup>.

- Nie zdawa<sup>3</sup>em sobie sprawy... Ile jestem panu winien, hrabio? - wyj<sup>1</sup>ka<sup>3</sup>.

Saint-Germain uniós<sup>3</sup> brwi i spojrze<sup>3</sup> sardonicznie na Gervaise'a.

- Jaka jest stawka? Wiesz na pewno. Powiedz, proszê, baronowi. Gervaise zwil¿y<sup>3</sup> wargi, a potem rozœemia<sup>3</sup> siê.

- Jest pan winien Saint-Germainowi dziewiêtnoœcie tysiêcy, dwieœcie czterdzieœci osiem ludwików.

D'Isleuroge zblad<sup>3</sup>, s<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>c tê liczbê.

- Ja... potrzebujê czasu, hrabio. Nie wiedzia<sup>3</sup>em... Saint-Germain zby<sup>3</sup> to gestem.

- Rozumiem, baronie. Ma pan tyle czasu, ile bédzie trzeba. Poczeka<sup>3</sup> - wsta<sup>3</sup>, nie zdradzaj<sup>1</sup>c oznak zmêczenia. - ChodŸ, de Valloncache, zechciej towarzyszyæ mi do twego powozu.

- Oczywiście - Vandonne odezwa<sup>3</sup> siê doœæ g<sup>3</sup>oœno, by przebiaæ siê przez gwar g<sup>3</sup>osów. - Rozumiemy, dlaczego Saint-Germain tak bardzo pragnie nas opuœciæ.

Rozleg<sup>3</sup>y siê szmery. Wielu przegra<sup>3</sup>o spore sumy w ci<sup>1</sup>gu minionych trzech godzin gry. De Valloncache, który liczy<sup>3</sup> swe wygrane z zak<sup>3</sup>adów, spojrze<sup>3</sup> przez stó<sup>3</sup>.

- Naucz się przegrywać, Vandonne. Zaraz będę do twojej dyspozycji, hrabio - zwróci się do Saint-Germaina. Pomnożył moje wygrane tej nocy. Chciałbym teraz uregulować rachunki z Chenu-Tournelle i Broadwaterem.

Angielski earl wręcza już de Valloncache dwa ruloniki gwiney.

- Cóż, moim było szczęście tej nocy, lecz byłem zbyt ostrożny. Miał pan rację, diuku, ryzykuję wszystko. To lekcja dla mnie.

- Dla mnie również - wymamrota ponuro D'Isleuroge i odwrócił się, by usłyszeć co Vandonne szepcze mu do ucha.

- Czterdzieści dwa tysiące ludwików! - krzyknął Gervaise, oszołomiony sukcesem, gdy tylko przecisnął się do Saint-Germaina. - Czterdzieści dwa tysiące ludwików! Teraz Claudia przekona się, że nie zawsze przegrywam!

Saint-Germain był niewzruszony.

- Nie, nie zawsze przegrywałeś - powiedziała cicho. - Ale nie postępuj grupio z wygraną, Gervaise.

Hrabia d'Argenlac zbył to ostrzeżenie machnięciem ręki.

- Wiem, że szczęście jest przy mnie, hrabio. Jeżeli idzie mi dobrze, to pomyśl o przyjęciu na Wszystkich Świętych w Maison Libellule. Co będzie wówczas? Gdy szczęście mnie nie opuści, będę milionerem - uśmiechnął się z rozmarzeniem.

Zaniepokojony Saint-Germain położył drobną dłoń na ramieniu Gervaise'a i popatrzył przenikliwie prosto w jego oczy.

- D'Argenlac - powiedziała głosem niskim i melodyjnym. - Nie graj. Nie sładź, że wygrasz w Maison Libellule. Nie poświęcaj tego, co zdobyłeś.

Gervaise rozcemniał się lekko.

- Och, wiem, że nie będzie cię na tym przyjęciu. Claudia powiedziała mi, że będziesz u nas na próbie opery. Lecz są jeszcze inne gry, hrabio. Nie musisz się mną martwić - odszedł powoli, bardziej pijany sukcesem niż winem.

Saint-Germain wciąż jeszcze spoglądał za nim, gdy usłyszał kolejną kwestię Vandonne.

- Widziałem, jak grał. Prawie nie patrzył w karty. A jednak wygrał.

- W jego głosie pojawiła się uszczypliwość.

- Przestań, Vandonne! D'Isleuroge przegrał w uczciwej grze. Koniec już.

- Uczciwej grze? - powtórzył D'Isleuroge, a na jego zapadnięte policzki wstąpił rumieniec.

Nagle w pokoju zapadła cisza. Oczy wszystkich zwróciły się na Saint-

-Germaina.

Przez kilka chwil hrabia stał niewzruszony. Potem powoli podszedł do D'Isleuroge.

- Proszę powiedzieć mi to wprost, baronie. Uważa pan, że pana oszukałem? - spytał

spokojnie. D'Isleuroge cięko prze<sup>3</sup>kn<sup>13</sup> œlinê.

- Tak.

- Rozumiem - Saint-Germain przymru<sup>3</sup>y<sup>3</sup> oczy.

- Nie b<sup>1</sup>d'Y g<sup>3</sup>upszy, ni<sup>3</sup> ciê Bóg stworzy<sup>3</sup>, Baltasard - rzuci<sup>3</sup> oschle de Valloncache.

Baron Beauvrai zaniós<sup>3</sup> siê szyderczym œmiechem.

- A to oszust i tchórz! Nie chcia<sup>3</sup> spotka<sup>æ</sup> siê ze mn<sup>1</sup>, gdy zarz<sup>1</sup>da<sup>3</sup>em satysfakcji - strzepn<sup>13</sup> koronkow<sup>1</sup> chusteczk<sup>1</sup> po brokacie surduta. - Prostack!

W umyœle d'Isleuroge zako<sup>3</sup>ata<sup>3</sup>a myœl, œe by<sup>æ</sup> mo<sup>3</sup>œe ten elegancki cudzoziemiec jest nie tylko œwietnym graczem, lecz i szermierzem.

- Cóż, hrabio - nadrabia<sup>3</sup> teraz zuchowatoœci<sup>1</sup>. - Czy przyjmuje pan moje wyzwanie?

Ciemne oczy nie ujawnia<sup>3</sup>y myœli ich w<sup>3</sup>œeciela. Saint-Germain lustrowa<sup>3</sup> uwa<sup>3</sup>nie barona.

- Nie jest moim zwyczajem przyjmowa<sup>æ</sup> wyzwanie od ludzi na tyle m<sup>3</sup>odych, by mogli by<sup>æ</sup> moimi synami - powiedzia<sup>3</sup> powoli.

- Podlec, tchórz! - wyœmiewa<sup>3</sup> siê Vandonne.

- To nie z panem mam siê bia<sup>æ</sup> - uci<sup>13</sup> Saint-Germain. - Baron d'Isleuroge naby<sup>3</sup> prawo, by mówia<sup>æ</sup> o mnie takie rzeczy, lecz nie pan, mon du<sup>æ</sup>. - Znów zwróci<sup>3</sup> siê do D'Isleuroge: - Dobrze, przyjmuj<sup>æ</sup> pañskie wyzwanie, baronie.

Baron sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê sztywno. Ch<sup>3</sup>ód ogarnia<sup>3</sup> go coraz szerzej.

- Prosz<sup>æ</sup> umówia<sup>æ</sup> sekundantów, by mogli spotka<sup>æ</sup> siê z moimi. Saint-Germain podniós<sup>3</sup> rêkê.

- Nie, nie, d'Isleuroge. To ja mam prawo wyboru czasu i miejsca. Wybieram ten pokój i t<sup>æ</sup> chwilê.

Cisza, jaka niedawno zawis<sup>3</sup>a w powietrzu, zg<sup>æ</sup>stnia<sup>3</sup>a, a Vandonne spojrz<sup>3</sup>a zdziwiony.

- Z pewnoœci<sup>1</sup>, ma pan tutaj przyjació<sup>3</sup>, którzy wyst<sup>1</sup>pi<sup>1</sup> jako sekundanci.

Ja za<sup>æ</sup> ufam, œe mog<sup>æ</sup> liczy<sup>æ</sup> na de Valloncache - us<sup>3</sup>yszawszy swe imiê diuk przytakn<sup>13</sup> - a jeceli nalegasz pan na zachowanie formy, to wierz<sup>æ</sup>, œe jeden z pozosta<sup>3</sup>ych d<sup>3</sup>entelmenów zechce towarzyszy<sup>æ</sup> baronowi.

- Jeden tak - powiedzia<sup>3</sup> drêtwo D'Isleuroge. Rozejrza<sup>3</sup> siê woko<sup>3</sup>o i omijaj<sup>1</sup>c spojrzeniem Vandonne, spyta<sup>3</sup>: - De la Sept-Nuit, czy bêdziesz moim sekundantem?

- Dobrze, Baltasardzie, przyjmuj<sup>æ</sup> ten zaszczyt - de la Sept-Nuit podniós<sup>3</sup> siê powoli, nie kryj<sup>1</sup>c swej pogardy dla barona.

D'Isleuroge, który ju<sup>3</sup> œa<sup>3</sup>owa<sup>3</sup> decyzji, cierpia<sup>3</sup> widz<sup>1</sup>c t<sup>æ</sup> pogardê, to potêpienie przebijaj<sup>1</sup>ce w ka<sup>3</sup>dym ruchu i ka<sup>3</sup>dym s<sup>3</sup>owie de la Sept-Nuit.

- Broń? - spyta<sup>3</sup> g<sup>3</sup>osem, którego sam nie poznawa<sup>3</sup>.

- Szpady - Saint-Germain œci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup> ju<sup>3</sup> swój czarny surdut i podwija<sup>3</sup> koronki koszuli. - Jeceli panowie poprosz<sup>1</sup> majordomusa, to pewien jestem, œe zaraz wyposa<sup>3</sup>y was we floretty odpowiednie do



pojedyneków. - Odpi<sup>13</sup> paradn<sup>1</sup> szpadê. - Jest bezużyteczna - od<sup>3</sup>o<sup>1</sup>y<sup>3</sup> j<sup>1</sup> na bok.

De la Sept-Nuit wyszed<sup>3</sup> szybko z pokoju, a w celad za nim ruszy<sup>3</sup> diuk de Valloncache.

D'Isleuroge dopiero teraz zdj<sup>13</sup> surdut i cęci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> piękny koronkowy ęabot, ciskaj<sup>1</sup>c go na bok. Jego oczy, ilekroæ spogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> na Vandonne, wype<sup>3</sup>nia<sup>3</sup>y siê mieszanin<sup>1</sup> gniewu i przerażenia.

- Panowie - powiedzia<sup>3</sup> z opanowaniem Saint-Germain. - Czy paru z was nie zechcia<sup>3</sup>oby odsun<sup>1</sup>æ na bok sto<sup>3</sup>ów. Potrzeba będzie trochê przestrzeni...

Nawet Beauvrai przy<sup>3</sup>czy<sup>3</sup> siê do tej pracy, popychaj<sup>1</sup>c pokryty materia<sup>3</sup>em stolik, przy którym siedzia<sup>3</sup>, aę pod sam<sup>1</sup> cęcianê. Szczęeliwy przeniós<sup>3</sup> równię krzes<sup>3</sup>o, siad<sup>3</sup> na nim i filisterska sytasfakcja zagoęci<sup>3</sup>a <sup>3</sup>akomie na jego twarzy.

Saint-Germain mia<sup>3</sup> juę zdj<sup>1</sup>æ buty, gdy zerkn<sup>13</sup> na æmi<sup>1</sup>cy na niebie za oknem srebrny poblask cewitu. Wstrzyma<sup>3</sup> siê, ponownie pochyli<sup>3</sup> i rozpi<sup>13</sup> obuwie. D'Isleuroge zdoby<sup>3</sup> siê na kpinê:

- Wypatruje cewitu - rzuci<sup>3</sup> do Vandonne. - Ciekawe czy wie, ęe nie zadowolę mnie nic poza jego cęmierci<sup>1</sup>.

- Za<sup>3</sup>atwisz go, Baltasard, a my cię nagrodzimy - skrzywi<sup>3</sup> siê Vandonne. Uęęcisn<sup>13</sup> d<sup>3</sup>oñ barona, trzymaj<sup>1</sup>c j<sup>1</sup> nieco d<sup>3</sup>uęej, nię by<sup>3</sup>o to w zwyczaj.

- Jesteęcie gotowi? - spyta<sup>3</sup> de la Sept-Nuit wchodz<sup>1</sup>c do pokoju wraz z de Valloncache:

Saint-Germain wyprostowa<sup>3</sup> siê.

- Czy mogę zaproponowaæ, by drzwi zosta<sup>3</sup>y zamknięte na klucz? Lepiej, ęeby nikt nam nie przeszkadza<sup>3</sup> - spojrze<sup>3</sup> raz jeszcze po sali, a potem zwróci<sup>3</sup> siê do swego sekundanta. - De Valloncache, mycëlê, ęe dobrze będzie, jeęeli te cęwiece zostan<sup>1</sup> zgaszone. I tak prawie siê juę wypali<sup>3</sup>y. I gdyby ktoe z was móg<sup>3</sup> jeszcze wznieciæ na nowo ogieñ w kominku...

Nie wydawa<sup>3</sup>o siê w<sup>3</sup>æciwym, by francuski szlachcic zajmowa<sup>3</sup> siê czymoe takim, lecz Chenu-Tourelle szybko skierowa<sup>3</sup> siê do paleniska, na którym tli<sup>3</sup>y siê trzy szczapy. Z leę<sup>1</sup>cego obok stosu wybra<sup>3</sup> nowe i wsun<sup>13</sup> ostroęnie w przygasaj<sup>1</sup>cy ogieñ. Kora zaję<sup>3</sup>a siê z trzaskiem.

- Jakie s<sup>1</sup> pañskie warunki, d'Isleuroge? - rzuci<sup>3</sup> nagle de Valloncache.

- Do cęmierci!

De Valloncache sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê i przeszed<sup>3</sup> przez pokój do Saint-Germaina.

- Warunki...

- S<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em - Saint-Germain sprawdza<sup>3</sup> u<sup>3</sup>oęenie szpady w d<sup>3</sup>oni. - Pod jednym dodatkowym.

- Jakim? - spyta<sup>3</sup> zaczępie d'Ilrouge.

- Takim, ęe jeęeli ja wygram i oszczędzê pana, wówczas ujawni pan przede mn<sup>1</sup>, kto wpakowa<sup>3</sup> cię w to wszystko, baronie - napotka<sup>3</sup> wstrz<sup>1</sup>ęnięte spojrzenie d'Islerouge. - Czy mam na to pañskie s<sup>3</sup>owo?

D'Islerouge rozejrza<sup>3</sup> siê wko<sup>3</sup>o, tym razem rozbieganymi oczami.

- Tak, tak, dobrze. Ma pan moje s<sup>3</sup>owo - odwróci<sup>3</sup> siê plecami do Saint-Germaina.

- Czy masz dla mnie jakieś instrukcje? - spyta<sup>3</sup> de Valloncache, przygotowuj<sup>1</sup>c się do spotkania z de la Sept-Nuit na środku pokoju.

- Mój człowiek, Roger, wie co robić. W razie czego, porozmawiaj z nim - ukl<sup>1</sup>k<sup>3</sup> i uczyni<sup>3</sup> znak krzyż<sup>1</sup>a. - Ze wszelkich grzechów w moim życiu niech bédê uwolniony.

Na drugim końcu pokoju d'Islerouge wybuchn<sup>13</sup> szyderczym cieniem. De Valloncache i de la Sept-Nuit zamienili kilka s<sup>3</sup>ów.

- Panowie, na pozycje. Saint-Germain, jeżeli się pan zgodzi na wschodzie, d'Islerouge, od zachodu - paradn<sup>1</sup> szpad<sup>1</sup> wskazywa<sup>3</sup> pozycje. - Dobrze, panowie. Nie wycofujecie się?

- Nie - rzuci<sup>3</sup> ostro d'Islerouge.

- Saint-Germain?

- Nie.

- Eh bien - de Valloncache skrzyż<sup>1</sup>owa<sup>3</sup> sw<sup>1</sup> paradn<sup>1</sup> szpadê ze szpad<sup>1</sup> de la Sept-Nuit, podczas gdy przeciwnicy oddali sobie honory. Potem, wznoszą ostrza, odskoczyli. Sekundanci ledwie zd<sup>1</sup>żyli unikn<sup>1</sup>æ dzikiego ataku d'Islerouge.

Gdy baron skoczy<sup>3</sup> naprzód, Saint-Germain przerzuci<sup>3</sup> szpadê z prawej do lewej ręki, odwróci<sup>3</sup> się i zmusi<sup>3</sup> d'Islerouge, by ods<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> swój prawy bok. Widzą niebezpieczeństwo, baron opuści<sup>3</sup> niechętnie ostrze, mierz<sup>1</sup>c w udo Saint-Germaina.

W tym momencie nadgarstek Saint-Germaina wykona<sup>3</sup> mały ruch i ostrze d'Islerouge zeceln<sup>3</sup>o się, nie czyni<sup>1</sup>c szkody. Hrabia ponownie odwróci<sup>3</sup> się z tym samym wyreż<sup>1</sup>yserowanym wdziękem, jaki można spotkać u torreadorów. D<sup>3</sup>onie mia<sup>3</sup> pewne, by<sup>3</sup> skupiony, na jego ustach b<sup>3</sup>dzi<sup>3</sup> lekki ucemiach.

D'Islerouge natar<sup>3</sup> znowu, czyni<sup>1</sup>c to już rozważniej. Ostrożnie manewrowa<sup>3</sup> szpad<sup>1</sup>, nieprzywyk<sup>3</sup>y do walki z leworęcznym przeciwnikiem. Zrobi<sup>3</sup> fintê w tercji i zosta<sup>3</sup> odparowany. Niewiele brakowa<sup>3</sup>o, by zosta<sup>3</sup> skarcony szyb<sup>1</sup> odpowiedzi<sup>1</sup> Saint-Germaina. Odst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>, oddychaj<sup>1</sup>c trochê szybciej i przygotowuj<sup>1</sup>c się w myślach do d<sup>3</sup>ugiej walki.

Saint-Germain zdawa<sup>3</sup> się wcale nie naciskać na przeciwnika, który w widoczny sposób traci<sup>3</sup> teren. Nie mia<sup>3</sup> ani wprawy starszego m<sup>1</sup>czyzny, ani też si<sup>3</sup>y jego nadgarstka. Hrabia szermowa<sup>3</sup> na w<sup>3</sup>oski sposób, z lekkości<sup>1</sup> i wdziękem, które w innych okolicznościach mog<sup>3</sup>yby zniechęcać d'Islerouge do walki. Próbow<sup>3</sup> jak móg<sup>3</sup>, lecz nie by<sup>3</sup> w stanie przebić się przez obronę Saint-Germaina. To, kiedy hrabia z<sup>3</sup>amie jego opór, wym<sup>1</sup>czywszy uprzednio, by<sup>3</sup>o tylko kwesti<sup>1</sup> czasu.

Z rozpacz<sup>1</sup> wypatrywa<sup>3</sup> szansy i znalaz<sup>3</sup> ją. Wykona<sup>3</sup> niezgrabn<sup>1</sup> fintê, udaj<sup>1</sup>c potknięcie. Saint-Germain cofn<sup>13</sup> się energicznie, spada wypad<sup>3</sup>a mu z r<sup>1</sup>k, podczas gdy d'Islerouge wróci<sup>3</sup> do poprzedniej pozycji. W tej samej chwili si<sup>13</sup>gn<sup>13</sup> po krzes<sup>3</sup>o i rzuci<sup>3</sup> je przez pokój.

Trafi<sup>3</sup> Saint-Germaina w golenie, co wyrwa<sup>3</sup>o okrzyk protestu u widzów.

- Nie! - nakaza<sup>3</sup> Saint-Germain, a jego g<sup>3</sup>os mia<sup>3</sup> absolutne pierwszeństwo. Podniós<sup>3</sup> ostrze i zbliż<sup>3</sup> się do d'Islerouge. Jego bia<sup>3</sup>a kamizelka majaczy<sup>3</sup>a w bladym cewietle.

D'Islerouge pozbiera<sup>3</sup> siê, przygotowany na odparcie ataku. Zazgrzyta<sup>3</sup>y klingi i baron znów zosta<sup>3</sup> odrzucony. Poci<sup>3</sup> siê teraz obficie: wiedzia<sup>3</sup>, że oemierdzi strachem. Saint-Germain by<sup>3</sup> wci<sup>1</sup> pewny w ruchach i nie by<sup>3</sup>o widaæ na jego twarzy zmêczenia, jakby wszystko to nie by<sup>3</sup>o dla<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> adnym wysi<sup>3</sup>kiem.

Zbli<sup>1</sup>yli siê ponownie. Tym razem Saint-Germain rozpocz<sup>13</sup> atak wykazuj<sup>1c</sup> niesamowite opanowanie sztuki szermierczej. Przypar<sup>3</sup> barona do kominka, zanim umyœlnie nie odst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>, pozwalaj<sup>1c</sup> d'Islerouge zaczerpn<sup>1æ</sup> oddechu.

Gdy m<sup>3</sup>ody cz<sup>3</sup>owiek przyszed<sup>3</sup> nieco do siebie, Saint-Germain zagadn<sup>13</sup>:

- Sk<sup>3</sup>onny jestem rozwa<sup>1yæ</sup> sprawê, która nas poró<sup>1ni</sup>a.

- Nie... nie... do oemierci - baron uniós<sup>3</sup> broń i ujrza<sup>3</sup> jak szpic chwieje siê niczym trawa na wietrze. Saint-Germain westchn<sup>13</sup>.

- Jak pan sobie <sup>1y</sup>czy. Engarde.

Najwidoczniej zabawa przesta<sup>3a</sup> go cieszyæ, gdy<sup>1</sup> przypuœci<sup>3</sup> teraz bezlitosny atak na gardê d'Islerouge. Zdecydowany by<sup>3</sup> koñczyæ.

Rozwi<sup>1</sup>zanie przyszo<sup>3</sup> nagle. Ostrze Saint-Germaina przeœliznê<sup>3</sup>o siê znów przez obronê barona, lecz zamiast przebiæ mu ramiê lub skierowaæ siê w samo serce, Saint-Germain przesun<sup>13</sup> je pod ramieniem d'Islerouge.

Przestraszony i wyczerpany baron spróbow<sup>3</sup> jeszcze pod<sup>1y</sup>æ za tym ruchem, lecz zdo<sup>3a</sup>3 przeci<sup>1æ</sup> jedynie materia<sup>3</sup> bia<sup>3ej</sup> kamizelki Saint-Germaina, po czym potkn<sup>13</sup> siê i upad<sup>3</sup> na pod<sup>3</sup>ogê.

Gdy spojrze<sup>3</sup> w górê, Saint-Germain sta<sup>3</sup> tu<sup>1</sup> nad nim, trzymaj<sup>1c</sup> ostrze szpady o kilka cali od jego gard<sup>3a</sup>.

- Czujê siê usatysfakcjonowany, d'Islerouge. A pan? Gniew odebra<sup>3</sup> mu zdolnoœæ mowy. Patrzy<sup>3</sup> tylko lêkliwe na swego zwyciêzcê.

- Nie chcê pana zabiaæ - powiedzia<sup>3</sup> spokojnym tonem Saint-Germain. D'Islerouge splun<sup>13</sup>.

- Dobrze - s<sup>3</sup>owo wypowiedziane by<sup>3</sup>o tak cicho, że Saint-Germain nie by<sup>3</sup> pewny, czy to w<sup>3</sup>acenie us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>. D'Islerouge wywin<sup>13</sup> siê spod czubka szpady. - Jestem usatysfakcjonowany - zadeklarowa<sup>3</sup> z twarz<sup>1</sup> zeszecon<sup>1</sup> piêtmem pora<sup>1ki</sup>.

- Jakie s<sup>1</sup> pañskie warunki, d'Isleuroge? - rzuci<sup>3</sup> nagle de Valloncache.

- Do oemierci!

De Valloncache sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê i przeszed<sup>3</sup> przez pokój do Saint-Germaina.

- Warunki...

- S<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em - Saint-Germain sprawdza<sup>3</sup> u<sup>3</sup>o<sup>1</sup>enie szpady w d<sup>3</sup>oni. - Pod jednym dodatkowym.

- Jakim? - spyta<sup>3</sup> zaczepnie D'Isleuroge.

- Takim, że jeżeli ja wygram i oszczêdzê pana, wówczas ujawni pan przede mn<sup>1</sup>, kto wpakowa<sup>3</sup> ciê w to wszystko, baronie - napotka<sup>3</sup> wstrz<sup>1</sup>oeniête spojrzenie d'Isleuroge. - Czy mam na to pañskie

s<sup>3</sup>owo?

D'Isleuroge rozejrza<sup>3</sup> siê wko<sup>3</sup>o, tym razem rozbieganymi oczami.

- Tak, tak, dobrze. Ma pan moje s<sup>3</sup>owo - odwróci<sup>3</sup> siê plecami do Saint-Germaina.

- Czy masz dla mnie jakieś instrukcje? - spyta<sup>3</sup> de Valloncache, przygotowuj<sup>1</sup>c siê do spotkania z de la Sept-Nuit na œrodku pokoju.

- Mój cz<sup>3</sup>owiek, Roger, wie co robiæ. W razie czego, porozmawiaj z nim - ukl<sup>1</sup>k<sup>3</sup> i uczyni<sup>3</sup> znak krzyż<sup>1</sup>a. - Ze wszelkich grzechów w moim Źyciu niech bêdê uwolniony.

Na drugim koñcu pokoju D'Isleuroge wybuchn<sup>13</sup> szyderczym œmiechem. De Valloncache i de la Sept-Nuit zamienili kilka s<sup>3</sup>ów.

- Panowie, na pozycje. Saint-Germain, jeżeli siê pan zgodzi na wschodzie, D'Isleuroge, od zachodu - paradn<sup>1</sup> szpad<sup>1</sup> wskazywa<sup>3</sup> pozycje. - Dobrze, panowie. Nie wycofujecie siê?

- Nie - rzuci<sup>3</sup> ostro D'Isleuroge.

- Saint-Germain?

- Nie.

- Eh bien - de Valloncache skrzyż<sup>1</sup>owa<sup>3</sup> sw<sup>1</sup> paradn<sup>1</sup> szpadê ze szpad<sup>1</sup> de la Sept-Nuit, podczas gdy przeciwnicy oddali sobie honory. Potem, wznosz<sup>1</sup>c ostrza, odskoczyli. Sekundanci ledwie zd<sup>1</sup>Źyli uniki<sup>1</sup>æ dzikiego ataku D'Isleuroge.

Gdy baron skoczy<sup>3</sup> naprzód, Saint-Germain przerzuci<sup>3</sup> szpadê z prawej do lewej rêki, odwróci<sup>3</sup> siê i zmusi<sup>3</sup> D'Isleuroge, by ods<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> swój prawy bok. Widz<sup>1</sup>c niebezpieczeństwo, baron opuści<sup>3</sup> niezrêcznie ostrze, mierz<sup>1</sup>c w udo Saint-Germaina.

W tym momencie nadgarstek Saint-Germaina wykona<sup>3</sup> ma<sup>3</sup>y ruch i ostrze D'Isleuroge zeceliznê<sup>3</sup>o siê, nie czyni<sup>1</sup>c szkody. Hrabia ponownie odwróci<sup>3</sup> siê z tym samym wyreŹyserowanym wdziêkiem, jaki moŹna spotkaæ u torreadorów. D<sup>3</sup>onie mia<sup>3</sup> pewne, by<sup>3</sup> skupiony, na jego ustach b<sup>3</sup>dzi<sup>3</sup> lekki uœmiech.

D'Isleuroge natar<sup>3</sup> znowu, czyni<sup>1</sup>c to juŹ rozwaŹniej. OstroŹnie manewrowa<sup>3</sup> szpad<sup>1</sup>, nieprzywyk<sup>3</sup>y do walki z leworêcznym przeciwnikiem. Zrobi<sup>3</sup> fintê w tercji i zosta<sup>3</sup> odparowany. Niewiele brakowa<sup>3</sup>o, by zosta<sup>3</sup> skarcony szyb<sup>1</sup> odpowiedzi<sup>1</sup> Saint-Germaina. Odst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>, oddychaj<sup>1</sup>c trochê szybciej i przygotowuj<sup>1</sup>c siê w myœlach do d<sup>3</sup>ugiej walki.

Saint-Germain zdawa<sup>3</sup> siê wcale nie naciskaæ na przeciwnika, który w widoczny sposób traci<sup>3</sup> teren. Nie mia<sup>3</sup> ani wprawy starszego mêŹczyzny, ani teŹ si<sup>3</sup>y jego nadgarstka. Hrabia szermowa<sup>3</sup> na w<sup>3</sup>oski sposób, z lekkoœci<sup>1</sup> i wdziêkiem, które w innych okolicznoœciach mog<sup>3</sup>yby zniechêciaæ D'Isleuroge do walki. Próbowa<sup>3</sup> jak móg<sup>3</sup>, lecz nie by<sup>3</sup> w stanie przebiaæ siê przez obronê Saint-Germaina. To, kiedy hrabia z<sup>3</sup>amie jego opór, wymêczywszy uprzednio, by<sup>3</sup>o tylko kwesti<sup>1</sup> czasu.

Z rozpacz<sup>1</sup> wypatrywa<sup>3</sup> szansy i znalaz<sup>3</sup> j<sup>1</sup>. Wykona<sup>3</sup> niezgrabn<sup>1</sup> fintê, udaj<sup>1</sup>c potkniêcie. Saint-Germain cofn<sup>13</sup> siê energicznie, szpada wypad<sup>3</sup>a mu z r<sup>1</sup>k, podczas gdy D'Isleuroge wróci<sup>3</sup> do poprzedniej pozycji. W tej samej chwili siêgn<sup>13</sup> po krzes<sup>3</sup>o i rzuci<sup>3</sup> je przez pokój.

Trafił Saint-Germaina w golenie, co wyrwało okrzyk protestu u widzów.

- Nie! - nakazał Saint-Germain, a jego głos miał absolutne pierwszeństwo. Podniósł ostrze i zbliżył się do D'Isleuroge. Jego biała kamizelka majaczyła w bladym świetle.

D'Isleuroge pozbierał się, przygotowany na odparcie ataku. Zazgrzytały klingi i baron znów został odrzucony. Pocił się teraz obficie: wiedział, że ośmierdzi strachem. Saint-Germain był pewny w ruchach i nie było widać na jego twarzy zmęczenia, jakby wszystko to nie było dlań żadnym wysiłkiem.

Zbliżyli się ponownie. Tym razem Saint-Germain rozpoczął atak wykazując niesamowite opanowanie sztuki szermierczej. Przyparł barona do kominka, zanim umyślnie nie odstąpił, pozwalając D'Isleuroge zacerpnąć oddechu.

Gdy młody człowiek przyszedł nieco do siebie, Saint-Germain zagadnął:

- Skłonny jestem rozważyć sprawę, która nas poróżniła.

- Nie... nie... do ośmierci - baron uniósł broń i ujrzał jak szpic chwieje się niczym trawa na wietrze. Saint-Germain westchnął.

- Jak pan sobie życzy. En garde.

Najwidoczniej zabawa przestała go cieszyć, gdyż przypuścił teraz bezlitosny atak na gardło D'Isleuroge. Zdecydowany był kończyć.

Rozwlanie przyszło nagle. Ostrze Saint-Germaina przeocliźnieło się znów przez obronę barona, lecz zamiast przebieć mu ramieniem lub skierować się w samo serce, Saint-Germain przesunął je pod ramieniem D'Isleuroge.

Przestraszony i wyczerpany baron spróbował jeszcze podłubić za tym ruchem, lecz zdołał przeciąć jedynie materiały białej kamizelki Saint-Germaina, po czym potknął się i upadł na podłogę.

Gdy spojrzął w górę, Saint-Germain stał tuż nad nim, trzymając ostrze szpady o kilka cali od jego gardła.

- Czuję się usatysfakcjonowany, D'Isleuroge. A pan? Gniew odebrał mu zdolność mowy. Patrzy tylko lekko na swego zwycięzcę.

- Nie chcę pana zabijać - powiedział spokojnym tonem Saint-Germain. D'Isleuroge splunął.

- Dobrze - słowo wypowiedziane było tak cicho, że Saint-Germain nie był pewny, czy to w słuchanie usłyszał. D'Isleuroge wywinął się spod czubka szpady. - Jestem usatysfakcjonowany - zadeklarował z twarzą zszpeconą piętnem porażki.

Saint-Germain odstąpił i zaoferował pokonanemu dłoń, lecz baron zignorował go. Hrabia odwrócił się do sekundantów.

- Zostawiani was, panowie, celem dopilnowania, by mój warunek został spełniony. Oczekuję na tę wiadomość przed zachodem słońca. Powstrzymywane napięcie uwolni się teraz w erupcji stów. Saint-Germain przeszedł powoli przez gwamy pokój. Czuł się naprawdę wyczerpany.

- Za stary już jestem na takie rzeczy - powiedzia³ cicho do de Valloncache.

- Akurat - ucemiechn¹³ siê diuk. - To by³a najpiêkniejsza walka, jak¹ kiedykolwiek widzia³em.

Powiedz mi, czy zawsze szermujesz leworêcznie?

- Nie zawsze - Saint-Germain opad³ ciêko na krzes³o i odruchowo zerkn¹³ w okno. Niebo by³o bladoliliowe, z d³ugimi, z³otymi przeb³yskami œwitu.

De Valloncache oddali³ siê na chwilê. Wróci³ trzymaj¹c surdut Saint-Germaina. Poda³ go, mamrocza¹c coœ do siebie.

- ¿e co? - Saint-Germain wyrwa³ siê z zamyœlenia.

- Twoja kamizelka jest zniszczona, hrabio. Ciêcie biegnie wzd³u¿ ¿eber... i siêga nawet koszuli.

Masz wielkie szczêœcie, móg³ ciê dostaæ. Dopiero teraz Saint-Germain przejecha³ palcami po rozdarciu.

- Wstrz¹saj¹ce - stwierdzi³ sucho.

- Co ciê opêta³o, by za³o¿yæ bia³¹ kamizelkê, Saint-Germain? Zawsze nosi³eœ siê na czarno...

Hrabia ucemiechn¹³ siê i narzuci³ surdut na ramiona.

- Chcia³em w ten sposób wyraziæ czystoœæ moich intencji, diuku - od³o¿y³ floret i ruszy³ ku drzwiom, gdzie kilku mê¿czyzn czeka³o na niego z gratulacjami.

Wyj<sup>1</sup>tek z listu kontessy d'Argenlac do madame Lucienne Cressie; datowane 31 października 1743; zwrócony nie otwarty kontessie 11 stycznia 1744:

(...) Moja droga Lucienne, nie wiesz jak bardzo brakuje nam wszystkim ciebie i twojej wspania<sup>3</sup>ej muzyki. Ostatniego wieczoru Madelaine stwierdzi<sup>3</sup>a, iż stêskni<sup>3</sup>a siê i pragnie ciê us<sup>3</sup>yszeæ na naszym przyjêciu, które jest ju<sup>z</sup> za cztery dni. St<sup>1</sup>d bior<sup>1</sup> siê tak jej, jak i moje b<sup>3</sup>aganie (...)

(...) Nie wiemy, jak bardzo jesteæ chora. Przykro mi to mówić, ale Achille nic nam nie wspomina i chocia<sup>z</sup> próbujê jak mogê, nie udaje mi siê wydobyæ zeñ nic, prócz potwierdzenia, że naprawdê nie czujesz siê dobrze. Jeæli pragniesz, no i pozwol<sup>1</sup> ci na to, to mog<sup>3</sup>abym wys<sup>3</sup>aa<sup>3</sup> mojego lekarza, by czuwa<sup>3</sup> nad tob<sup>1</sup>. Zwyczaj nakazuje wprowadzić, by kontakty z lekarzem odbywa<sup>3</sup>y siê za przyzwoleniem mê<sup>z</sup>a, lecz s<sup>1</sup>dzê, iż w twoim przypadku cała ta sprawa wykracza poza kompetencje Achille.

Jest szczer<sup>1</sup> prawd<sup>1</sup>, że Baltasard Aubert, baron D'Isleuroge, jest zarêczony z Olympe de les Radeux. Jej brat jest wæciek<sup>3</sup>y, lecz Beauvrai, który nalega<sup>3</sup> bardzo na ten zwi<sup>1</sup>zek ju<sup>z</sup> od pocz<sup>1</sup>tku, wyra<sup>z</sup>a wszêdzie, rzecz jasna, swe zachwycenie. Pamiêtam, jak szeææ miesiêcy temu zapowiada<sup>3</sup>aa, że tak w<sup>3</sup>acenie bêdzie. Jesteæ bystrym obserwatorem... Zastanawiam siê, jak znosisz brak goæci w czasie rekonwalescencji. Obiecujê ci wszystkie plotki, które szybko przywróc<sup>1</sup> ciê ¿yciu i pomog<sup>1</sup> wrócić do zdrowia.

Saint-Germain powiedzia<sup>3</sup> nam, że nie bêdzie komponowa<sup>3</sup> niczego na wiolonczelê, dopóki nie bêdziesz znów mog<sup>3</sup>a graæ. Teraz to ty chyba musisz litowaæ siê nad nami. Byæ pozbawionym zarówno twojej obecnoæci, jak i muzyki Saint-Germaina, to gorsze od wszystkiego. Napisa<sup>3</sup> za to krótk<sup>1</sup> operê, specjalnie na nasze przyjêcie, które, jestem pewna, musia<sup>3</sup>oby ciê zachwycić. Dzie wieczorem przyprowadza swoich muzyków na próbê i ju<sup>z</sup> siê na to ciesze. Wydobrzej szybko, tak byæ mog<sup>3</sup>a wys<sup>3</sup>uchaæ jego dzie<sup>3</sup>a. Wiem, że ci siê spodoba.

(...) Gdy myælê o tobie zamkniêtej w domu, przyprawia mnie to niemal o ból g<sup>3</sup>owy. Ten straszny cz<sup>3</sup>owiek - wybaczysz, że okreælam tak twego mê<sup>z</sup>a, lecz obie wiemy, że potrzebuje ciê nie bardziej, ni<sup>z</sup> mysz teriera - nie pozwala nam rozmawiaæ o tobie, a gdy pytamy go, nie mówi nic prócz zwyk<sup>3</sup>ych komuna<sup>3</sup>ów.

Musisz napisaa do wuja lub siostry. Nie mo<sup>z</sup>esz zostaæ pod jednym dachem z kimæ takim. Serce mi siê æciska, gdy pomyælê o twojej opresji. Jeæli jest cokolwiek, co mogê dla ciebie zrobić, jakikolwiek twój przyjaciel, do którego mogê zwrócić siê w twoim imieniu, daj mi znaæ. Musi byæ ktoæ sk<sup>3</sup>onny pomóc ci w uwolnieniu siê od tego niegodziwca Achille.

Przyjed<sup>3</sup> do mnie i zamieszka<sup>z</sup> tu, moja kochana, jeæli tego pragniesz, a nigdy ju<sup>z</sup> nie wrócisz do rezydencji Cressie. Proponujê ci moj<sup>1</sup> goæcinê na tak d<sup>3</sup>ugo, jak d<sup>3</sup>ugo bêdziesz jej potrzebowaæ. Jeæli nie zechcesz pozostaæ w Pary<sup>z</sup>u, lub obawiasz siê represji, wówczas ub<sup>3</sup>agam

*mojego brata. Nakazywa<sup>3</sup> mi nie wtr<sup>1</sup>caæ siê, lecz zmieni zdanie, gdy dowie siê o twojej sytuacji i paru towarzyszy<sup>1</sup>cych jej okolicznoœciach. Musi zrozumieæ, ðe twoje ælubowanie nie ma nic wspólnego z ma<sup>3</sup>¿eñstwem. Przekonamy go razem, jeæli tego chcesz i dasz mi prawo po temu, bym siê do niego zwróci<sup>3</sup>a.*

*Wysy<sup>3</sup>am to przez pos<sup>3</sup>añca, który ma nakazane zobaczyæ, czy to pismo zostanie przyjête przez s<sup>3</sup>u¿bê. Bêdzie czeka<sup>3</sup> przez godzinê na twoj<sup>1</sup> odpowiedŸ. Jeæli mo¿esz, znajdŸ jak<sup>1</sup>æ sposób przekazania mu jakiegokolwiek wieœci, która bêdzie mi przyniesiona bez zw<sup>3</sup>oki. Zanim nie ujrzê ciê osobiæcie, moja kochana, pamiêtaj, i¿ jestem zawsze*

**Najbardziej oddan<sup>1</sup> ci i szczer<sup>1</sup> przyjació<sup>3</sup>k<sup>1</sup>, Claudia de M on talia Kontessa d'Argenlac**



**Czêœæ trzecia - Baron Clotaire Odon Jules Yalince Pieux de  
Saint Sebastien**

Wyjtek z listu barona Clotaire de Saint Sebastiena do kawalera de la Sept-Nuit. Jeden z serii datowanej 1 listopada 1743:

(...) Czemu mia<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>yc<sup>3</sup> ta parodia, któr<sup>1</sup> Vandonne zainscenizowa<sup>3</sup> wczorajszego ranka w Hotelu Transylwania? Powiniene<sup>3</sup> mie<sup>3</sup> do<sup>3</sup>æ<sup>3</sup> rozumu by wiedzie<sup>3</sup>, że takie rzeczy nie s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>l<sup>1</sup> naszej sprawie. A morderstwo d'Isleuroge'a by<sup>3</sup>o przeprowadzone niezdar<sup>3</sup>nie. Nikt nie uwierzy, by ten pozer Saint-Germain mó<sup>3</sup>g<sup>3</sup> zabie<sup>3</sup> d'Islerouge'a zaraz po pojedynku, którego by<sup>3</sup> wy<sup>3</sup>l<sup>1</sup>cznym triumfator<sup>3</sup>em, a którego œwiadkami by<sup>3</sup>o paru najznakomitszych z naszej szlachty. Pomy<sup>3</sup>l<sup>1</sup> raczej, że mord mia<sup>3</sup> powstrzyma<sup>3</sup> go przed przekazaniem informacji, do ujawnienia której zobowi<sup>1</sup>zany by<sup>3</sup> honorem. Tak wi<sup>3</sup>ęc w rzeczy samej nic nie umniejsza waszej winy i nie usprawiedliwia g<sup>3</sup>upoty, któr<sup>1</sup> okazali<sup>3</sup>ecie.

(...) Niestety, nadesz<sup>3</sup>a informacja, że Lucienne Cressie znikne<sup>3</sup>a! Achille nie umie przedstawi<sup>3</sup> przekonywuj<sup>1</sup>cego wyjaœnienia tego zdarzenia; nawet rozmowa, któr<sup>1</sup> wraz z Titem przeprowadzili<sup>3</sup>emy z nim na osobnoœci, niczego nie zmieni<sup>3</sup>a. Gdyby zdarzy<sup>3</sup>o si<sup>3</sup>e, że b<sup>3</sup>dziesz chcia<sup>3</sup> go odwiedzi<sup>3</sup>, znajdziesz go w s<sup>3</sup>ó<sup>3</sup>ku, a si<sup>3</sup>nce, którymi jest pokryty mo<sup>3</sup>ze ostudz<sup>1</sup> wasze gor<sup>1</sup>ce g<sup>3</sup>owy. Rozwa<sup>3</sup>cie to dog<sup>3</sup>ebnie, nim w<sup>3</sup>adujecie si<sup>3</sup>e w kolejn<sup>1</sup> kaba<sup>3</sup>e.

Ofiara uczyniona ze s<sup>3</sup>u<sup>3</sup>l<sup>1</sup>cej la Cressie, na miejsce jej pani, by<sup>3</sup>a zaledwie namiastk<sup>1</sup>. Nieustannie zawodzicie w wype<sup>3</sup>nianiu swych zobowi<sup>1</sup>za<sup>3</sup>ñ wobec Kr<sup>3</sup>egu. Mój drogi Donatien, jeœli masz z nami zosta<sup>3</sup>, b<sup>3</sup>dziesz musia<sup>3</sup> o wiele lepiej sprawi<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e w przyszoœci. To, co czyni ci<sup>3</sup>e m<sup>3</sup>czyn<sup>1</sup>, jest prawie tak samo do przyj<sup>3</sup>cia w trakcie ofiary, jak krew i dziewictwo m<sup>3</sup>odej kobiety. Prosz<sup>3</sup>e ci<sup>3</sup>e, by<sup>3</sup>e o tym pami<sup>3</sup>ta<sup>3</sup>. Bowiem jeœli zawiedziesz i nie dostarczysz Madelaine de Montalia Kr<sup>3</sup>egowi na czas zimowego przesilenia, w<sup>3</sup>ówczas sam zajmiesz jej miejsce na o<sup>3</sup>tarzu. Obiecuj<sup>3</sup>e ci to - zostaniesz pozbawiony m<sup>3</sup>skoœci, de la Sept-Nuit, a twoje cia<sup>3</sup>o zostanie wykorzystane tak, jak Kr<sup>1</sup>g uzna to za stosowne. Bez w<sup>1</sup>tpienia pami<sup>3</sup>tasz, co spotka<sup>3</sup>o Lucienne Cressie? Wiele z tego, na inne sposoby, spotka ciebie. A gdy Kr<sup>1</sup>g sko<sup>3</sup>czy ju<sup>3</sup> z tob<sup>1</sup>, sam obedr<sup>3</sup>e ci<sup>3</sup>e ze skóry. Pomy<sup>3</sup>l<sup>1</sup> o swojej skórze zwisaj<sup>1</sup>cej w strz<sup>3</sup>epach z twoich r<sup>1</sup>k i stóp, kawalerze, i nie pokpij znów sprawy.

My<sup>3</sup>el<sup>3</sup>e, że z<sup>3</sup>udn<sup>1</sup> jest nadzieja, by<sup>3</sup>emy mieli Gervaise'a d'Argenlac na nasze rozkazy. S<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em, że wygra<sup>3</sup> tej nocy wielk<sup>1</sup> sum<sup>3</sup>e, której nawet przy cechuj<sup>1</sup>cej go sk<sup>3</sup>onnoœci do przegrywania, nie zdo<sup>3</sup>a przepuœci<sup>3</sup>æ w krótkim czasie. By<sup>3</sup> nam przydatny, gdy ruina zagl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>a mu w oczy, lecz teraz mo<sup>3</sup>ze sta<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e niebezpieczny. Mo<sup>3</sup>ze mie<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e przed nami na bacznoœci, co oznacza, że b<sup>3</sup>dziemy musieli post<sup>3</sup>epowa<sup>3</sup> ostro<sup>3</sup>nie. Jeœli Chenu-Tourelle ma przy<sup>3</sup>l<sup>1</sup>czy<sup>3</sup>æ si<sup>3</sup>e do Kr<sup>3</sup>egu, musi uprzednio uregulowa<sup>3</sup> spraw<sup>3</sup>e d'Argenlaca. Rzykujemy odkrycie, gdyby kto<sup>3</sup> zbyt dok<sup>3</sup>adnie zacz<sup>13</sup> przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>æ si<sup>3</sup>e sprawom d'Argenlaca. Musi ponownie zosta<sup>3</sup>æ wp<sup>3</sup>dzony w k<sup>3</sup>opoty, i to zanim jego ¿ona ca<sup>3</sup>kiem go sobie zjedna. Trzeba, by uwierzy<sup>3</sup>, i<sup>3</sup> jego ¿ona dzia<sup>3</sup>a mu na szkod<sup>3</sup>e i chce doprowadzi<sup>3</sup>æ do kompletnego uzale<sup>3</sup>nienia i ujarz<sup>3</sup>mienia jego upodoba<sup>3</sup>ñ.

Tylko w ten sposób możemy liczyć na pomoc w zdobyciu Madelaine.

Lecz pamiętaj też, że to na tobie polegamy, i to ty masz dostarczyć mi Madelaine nie później, niż do dziesiątego dnia tego miesiąca. Ona jest moja, obiecana mi jeszcze przed narodzeniem. Nie ustąpi! Potrzebujemy bédê czterdziestu dni, by uczynić ją gotową do ofiary i poświęcić. Muszę mieć ten czas, inaczej jej śmierć będzie daremna. Nie bédê tolerować żadnych przeszkód. Ona musi znaleźć się na naszym ołtarzu, by oddać dziewictwo i życie naszej Potędze. Każdy z nas musi użyć jej na naszą modłę tak, by jej krew zdołała nas wyzwolić. Pomniejsze pohańbienia są dla mnie wstrętne. Musi zostać unicestwiona, zniszczona tak ciałem, jak i duszą, i to kompletnie.

Ty, Jueneport i Chateauroux jesteście zobowiązani do dostarczenia mi tej kobiety w ciągu dziesięciu dni. Nie przyjmę żadnych usprawiedliwień, jeżeli zawiedziecie. Żaden powód nie będzie wystarczającym. Nie będzie we Francji miejsca, które skryłoby was przede mną, ni konia dobiegającego szybkiego, by uniósł was poza zasięg mojej zemsty.

Jeszcze jedno. Król czeka w najbliższym czasie też inne, pomniejsze zadanie. Rozkazuję, by paru członków Królestwa wyśleli tajemniczego księcia Rakoczego, który, jak mówi Le Grace, wciąż jest w Paryżu. Może to być trudne do przeprowadzenia, gdyż jest to człowiek o wielkiej potędze i zapewne nie będzie chętny, by podzielić się z nami wiedzą i umiejętnościami. Gdybyśmy mieli go w swoich rękach do czasu zimowego rytuału, wówczas moglibyśmy urosnąć jeszcze bardziej w siłę. Będzie można zmusić go, by ujawnił nam sekret produkcji diamentów i wszelkie inne tajemnice, które może posiadać, a może nawet sekret Kamienia Filozoficznego, jeżeli go posiada. Jego śmierć, zadana mu umiejętnie, może przelać na nas jego potęgę, a zatem warta jest poświęcenia. Jednoczesna ofiara Rakoczego i la Montalia, pierwszego umysłem, drugiej ciałem, poświęci wielce każdemu z nas. Uwagaż zatem, Donatien. Masz w Królestwie wiele do zyskania: bogactwo, potęgę, łatwe zaspokajanie wszystkich pragnień. Lecz o wiele więcej możesz stracić, a twoje życie nie jest wcale najwyższą ze stawek. Proszę cię, bądź zawsze przy tym świadomy, tak by zainspirowało cię to do sumiennego wypełnienia wszystkich obowiązków. W tym i we wszystkim innym mam zaszczyt zawsze pozostawać na twoje usługi

**Baron Clotaire de Saint Sebastien**

Hrabia d'Argenlac i jego małżonka jechali obok siebie wijąc się wśród pagórków ościeżki, przewidzianych w miejsce do konnych spacerów. Gervaise perorowała zawiście, wyjaśniając po raz piąty, jak wygrał poprzedniego dnia aż tyle pieniędzy.

- A pojedynk... - dodał z nowym entuzjazmem. - Postawiłem dziesięć tysięcy ludwików na Saint-Germaina, w proporcji trzy do jednego. Rano wysłałem już Jueneportowi czek pokrywający moje najpilniejsze zobowiązania. A zostało mi jeszcze dwadzieścia tysięcy, co podwoję w przyszłym tygodniu.

Kontessa zdawała się nie słuchać. Wyglądała bardzo młodo i delikatnie w jasnobłękitnym kostiumie, z wojskową kokardą na modnym kapeluszu.

- Ciesz się tym wygranym, Gervaise - powiedziała bógalnie. - Możemy opuścić Paryż i zamieszkać w twoim majątku w Anyou. Zawsze mówię, że tam czujesz się najlepiej.

- Ale ja kocham Paryż, Claudio - zaprotestowała z nutką złości.

- Oczywiście. Lecz ja nie lubię niepokoju i ciągłego zwątpienia, domyślenia się i zastanawiania, czy nasza rezydencja nie zostanie nam zabrana, a moje dobra zajęte na poczet twoich hazardowych dżugów. Wolę już iść z dala od świata, ale bez niepokoju, który tutaj będzie musiał znieść jeszcze wiele lat.

- Mówię ci już - wyjaśnia cierpliwie Gervaise. - Moje szczęście się odmieniło. Teraz już wszystko będzie inaczej, zobaczysz.

- Och, Gervaise - westchnęła, czując się bezradną.

- Do tego dajesz - oskarżyła ją. - Włóż się we mnie, nie masz wiary. Nic dziwnego, że nie mogę wygrać. Potępiasz mnie i dajesz. W twoich oczach nie potrafię zrobić niczego wartościowego.

- To nie tak - powiedziała, wiedząc, że on i tak nie wysłucha. Spojrzała do tyłu na dwoje jeźdźców jadących za nimi. - Madelaine, jeżeli masz ochotę pogalopować, to ten prosty odcinek drogi przed nami do tego się nadaje. Dobra widoczność. Pojedziesz z nią, Saint-Germain?

- Pojedziesz, powiedz, że tak - Madelaine spojrzała na swego towarzysza i nie czekając odpowiedzi, zawołała: - Lepiej odsuńcie się na skraj drogi! - Rzuciła jeszcze jedno prowokujące spojrzenie hrabiemu i wypuściła swą andaluzyjską klacz do dżugiego galopu.

Saint-Germain dał jej mniej niż minutę forów, po czym pogonił swego okopconego ogiera. Przecignął kontessę pozdrawiając ją machnięciem dżoni.

Po jednej stronie ościeżki rosł zasadzony pod linią las. Prawie nagie drzewa rzucały niesamowite cienie. Po drugiej stronie, między starannie uregulowanymi brzegami, płynęła niegłęboka rzeczka, opieszła by pochłaniać swe zrzędzące fale z wodami Sekwany. Cały ten olbrzymi park był dobrze utrzymany i ciągle pielęgnowany dla uciechy szlachty. Surowa natura nie ingerowała prostacko w wymakowanie wrażliwość.

Dzień był chłodny, z rodzaju tych, które każdym cieniem zapowiadają zimę i jej martwość. Szeregi chmur wspinały się pod samo niebo, barwiąc się jasnoszare niczym niesamowicie odległe kamienne sklepienie. Kilka mil dalej unosiła się prosto cienka linia dymu, zawieszona w pustce między niebem a ziemią. Ostre powietrze pachniało zapachem ogniska i grzybów.

Łacieżka między wzgórzami była dobrze utrzymana i jeździec nie musiał obawiać się o wierzchowca czy wypatrywać zdradliwych nor suszów, ni korzeni podkopujących się pod drogę. Był to szlak idealny wprost na taki właśnie dzień i na ostatni szaloną gonitwę, zanim zima nie odbierze radości konnych przejażdżek.

Ze ociemieniem, z rozwianym piórowym kostiumem i twarzą okrytą rumieńcem, Madelaine gnała bez opamiętania. Nie dosiadała konia od tamtego strasznego wieczoru. Obawiała się już, że wspomnienie to może rzucić cień na przyjemność konnej jazdy. Lecz tak się nie stało. Czując, że mogłaby tak jechać wiecznie.

Berberys Saint-Germaina zbliżył się do niej, zmoczył gąsienicę kopytami. Nie obejrzała się, słysząc, jak ją nawołuje.

- Trzymaj się prawej strony!

Posłusznie skierowała klacz na prawo, robiąc mu miejsce obok siebie. Jechali tak przez parę minut, z pełną szybkością, rozkoszując się pędem i uderzeniami chłodnego powietrza.

Gdy pokonali już pewien dystans, ujrzeli przed sobą most zawieszony ponad rzeczką.

- Zatrzymaj się na moście! - zawołał Saint-Germain. - Poczekamy tu na nich!

Madelaine już miała zaprotestować, lecz czując, że jej wierzchowiec zaczyna sapać. Z całym powołaniem klacz, przechodząc z galopu do cwału, potem do kusa, w końcu do stępa, pozwalając koniom rozluźnić uchwyt na cuglach. Byli już bliżej mostu.

Saint-Germain zeskoczył z siodła i prowadził berberysa, by koń mógł trochę ochłonąć. Zdawali się być tu całkiem sami...

- Czy i ja mam zsiąść? - spytała Madelaine.

- Jeżeli chcesz.

- Chcę być z tobą.

W jego oczach pojawił się dziwny uśmiech.

- Jesteś ze mną, moja droga. I to bardziej, niż się zdajesz - otrząśnij się z zamyślenia. - Pomogę ci.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - wyciągnęła się w siodle, by lepiej go słyszeć.

- Jesteś ze mną? Posmakowałem twojej krwi. Miałaś rację porównując to z komunią. To jest właśnie tak, gdy chodzi o miłość.

Na usta cisnęła się jej szereg pytań. Odruchowo rzuciła pierwsze, które przyszło jej do głowy.

- Saint-Germain, czy jesteś katolikiem?

- Od czasu do czasu.

Popatrzy³a na niego ze zdumieniem.

- Od czasu do czasu? - powtórzy³a nie rozumiej¹c. Poprawi³a siê w siodle.

- C³o¿, w og³ólnie przyjêtym rozumieniu nie zosta³em ochrzczony, chocia¿ w przesz³oœci wspiera³em Koœci³ó³ i czyni³em dlañ zapisy, gdy takie postêpowanie by³o m¹dre. Oczywiœcie nie przyj¹³em komunii - ci¹gn¹³ innym g³osem, z lekkim uœmieszkiem b³¹kaj¹cym siê w k¹cikach warg - a w ka¿dym razie nie w zwyk³y sposób.

Uderzy³a go lekko koñcami cugli.

- Nie o to mi chodzi³o. W koœciele, Saint-Germain... Hrabia wzruszy³ ramionami.

- To nie tak, jak myœlisz. Nie myl mnie z Krêgiem Saint Sebastiena - spojrz³ z tajemnicz¹ twarz¹ na leniwie p³yn¹c¹ rzekê. - To win¹ twoich pra³atów jest, ¿e pomieszczyli ci w g³owie, myl¹c heretyckie i bluŸniercze czczenie chrzeœcijañskiego diab³a z dzia³aniami tych spoœród nas, którzy przeszli przez próg œmierci. Wiêkszoœæ z tego, co siê mówi, to zwyk³e nonsensy. Nie zaprzeczam cudownej naturze ¿ycia Chrystusa. Z tego, co wiem, on te¿ zmartwychwsta³.

Madelaine stara³a siê wygl¹daæ na wstrz¹œniêt¹ i prawie odchodz¹c¹ od zmys³ów.

- Saint-Germain...

- Istnieje powszechne przekonanie, ¿e ktoœ, kto urodzi siê w zimowe przesilenie, zostanie wampirem - ujrza³, jak wzdrygnê³a siê przy tym s³owie, lecz kontynuowa³: - Jeœli tak jest, to z pewnoœci¹ rzuca to nowe œwiat³o na istotê zmartwychwstania. A przez wzgl¹d na pamiêæ o Nim pita jest krew, prawda? - s³owa by³y nonszalanckie, lecz ton wrêcz przeciwnie. - Och, wiem, ¿e mój rodzaj powinien baæ siê krzy¿a i kuliaæ siê ze strachu na wzmiankê o Bogu. Przynajmniej jeœli wierzyæ ludowym bajaniom. Lecz wielu z nas le¿y w poœwiêconej ziemi, pod krzy¿ami, w koœcio³ach i przed o³tarzami. Chodzimy po tej ziemi. To nie œwiête znaki nas powstrzymuj¹, Madelaine. Mogê trzymaæ w rêku krucyfiks i nie cierpieæ bólu. Inaczej jest z tymi, którzy czcz¹ szatana, potêgê d¹¿¹c¹ do z³a i niszczenia. To oni, a nie ja, s¹ bezbronni wobec krzy¿a. To oni, nie ja, nie s¹ w stanie dotkn¹æ symboli potêgi jako Boga.

Madelaine pozwoli³a swej klaczy wêdrowaæ z wolna w stronê mostu, a gdy andaluzyjka zastuka³a kopytami po kamiennej nawierzchni, zatrzyma³a j¹.

- Zapomnia³am o wodzie - odwróci³a siê do Saint-Germaina, który w³aczenie wszed³ na most.

- Nie musisz siê niepokoiæ. Jestem odporny - spojrz³ na ni¹. B³ade œwiat³o lœni³o na starannie u³o¿onych kasztanowatych w³osach. Kapeluszn³os³ z³o¿ony pod pach¹. - Tak, ta pog³oska jest szczer¹ prawd¹. Zazwyczaj nie mo¿emy przejœæ przez p³yn¹c¹ wodê ani ponad ni¹. Lecz widzisz - doda³, zatrzymuj¹c siê, by podnieœæ jedn¹ nogê i dotkn¹æ obcasa buta - dawno ju¿ temu nauczy³em siê wype³niaæ podeszwy i obcasy moich butów ziem¹ ojczyst¹. Jak d³ugo jestem dobrze obuty, tak d³ugo nie muszê obawiaæ siê ani œwiat³a s³oñca, ani p³yn¹cej wody.

- A ja myœla³am - rozcemia³a siê Madelaine - ¿e twoje buty maj¹ grub¹ podeszwê, bo jesteœ

próchny! Pewna byśam, że chcesz tym sposobem być wyższy!

Przestraszona jej ośmiechem klacz gwałtownie potrząsnęła głową. Madelaine opanowała ją, poklepując uspokajająco po karku.

- Madelaine, moja kochana, jesteś bezczelna - zaćemia się.

- To nie ma znaczenia, jeżeli naprawdę jestem twoim ukochanym. - Nagła zmiana tonu zmusiła go do podniesienia głowy i spojrzenia w jej oczy, w których rozpała się namiętność. - Kiedy znów do mnie przyjdiesz? Kiedy, Saint-Germain? - poczekała na odpowiedź, a gdy ta nie nadeszła, poprosiła cichym głosem: - Musisz być ze mną, Saint-Germain. Nie mogłabym znieść twojej nieobecności. Powiedz, że przyjdiesz. Powiedz to.

Saint-Germain przyglądał się cugłom, które ociskał w dłoni, jak gdyby widział je po raz pierwszy.

- Madelaine, ostrzegam cię, co może się stać. To nie tylko krew, chociaż ona jest tego częścią, lecz sama bliskość. Gdybym znów posmakował cię tak wczynie... - słowa zamarły.

- A zatem pozwól mi pić twoją. Proszę, Saint-Germain, jeżeli mnie kochasz.

Zrozpaczony zamknął oczy.

- Nie - powiedziała cicho.

- Czemu? - Niecierpliwie uwolniła nogi z siodeł i stanęła obok niego.

- To, co mi dajesz, to rozkosz. Nie zakazujesz przecież dzielić mi jej z tobą?

- Tak, tego ci wcale nie zakazuję.

- Dlaczego? - stanęła na szczyście mostu blokując mu drogę.

- Dobrze - skapitulowała. - Gdybyś miała kosztować moją krew, z całą pewnością stałabyś się wampirem. Byłabyś taka, jak ja - zwrócił spojrzenie na rzekę. Czuł lekki zawrót głowy, jak zawsze, gdy przekracza wodę.

- To aż takie straszne? - podeszła bliżej i spojrzała mu w oczy. - Czy to naprawdę aż takie straszne?

- To oznacza samotność. - Ciężko było mu odwzajemnić spojrzenie. Wiedziała, co znalazłaby w jej oczach. Gdyby nie wewnętrzna determinacja Madelaine, wykazałaby z pewnością więcej zdecydowania. Pragnął bowiem uniknąć zamieszania, jakie spowodowała w jego życiu ponad dwieście lat temu Demetrice. Dlatego do tej pory poprzestawał na pojawianiu się podczas snu, jak w przypadku Lucienne Cressie. Na więcej nie mógł sobie pozwolić. Madelaine jednak znała prawdę, wiedziała kim jest i nie wzdrygała się przed nim. Pragnęła jego objąć na jawie, chciała się z nim połączyć. On jednocześnie bał się jej utraty i pragnął ochronić ją przed konsekwencjami mrodej namiętności.

Woda pluskała pod mostem, rozpryskując się o stare kamienie. Odbicie nieba zniekształcały drobne fale rozbiegające się po powierzchni. Poruszały również odbiciem mostu, na którym widniały dwa konie i ciemnowłosa kobieta.

- Tyle tylko? Tylko samotność? - po<sup>3</sup>o<sup>3</sup>z<sup>3</sup>y<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>oń na jego ramieniu. U<sup>o</sup>emiechn<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e w duchu, gdy go nie cofn<sup>13</sup>. Przysuwa<sup>3</sup>a si<sup>3</sup>e coraz bli<sup>3</sup>ej.

- To bardzo niebezpieczne. Jesteśmy zniechęceni przez nasz<sup>1</sup> nie<sup>o</sup>miertelność i za... sposób od<sup>3</sup>ywania.

- A czy to, jak <sup>3</sup>yj<sup>3</sup>e teraz nie jest niebezpieczne? Czy nie by<sup>3</sup>o niebezpiecznie w Sans Desespoir? Dlaczego teraz, z tob<sup>1</sup>, czuj<sup>3</sup>e si<sup>3</sup>e pewniej? Czy moja <sup>o</sup>miertelność chroni przed Saint Sebastienem? Saint-Germain! - Odwróci<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e do niej powoli. - Czy nie wierzysz w moj<sup>1</sup> mi<sup>3</sup>ość? Czy znaczy to dla ciebie a<sup>3</sup> tak niewiele, <sup>3</sup>e odtr<sup>1</sup>casz mnie?

Zawaha<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e przez moment, potem obj<sup>13</sup> Madelaine i przytuli<sup>3</sup> do siebie. Pocz<sup>3</sup>, jak jego cia<sup>3</sup>o zdr<sup>3</sup>a<sup>3</sup>o z emocji. Da<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e ub<sup>3</sup>aga<sup>3</sup>.

- Nie, nie w tym rzecz. To, co czuj<sup>3</sup>e, jest tylko dla ciebie. Nie masz mojej mi<sup>3</sup>ości na wy<sup>3</sup>czność, lecz za to w sposób jedyny w swoim rodzaju. Opar<sup>3</sup>a czo<sup>3</sup>o o jego podbródek.

- Ciesz<sup>3</sup>e si<sup>3</sup>e - powiedzia<sup>3</sup>a, nie mog<sup>1</sup>c opanowa<sup>3</sup>e zadowolenia.

- Twoja ciotka i jej m<sup>1</sup> <sup>3</sup> zaraz tu b<sup>3</sup>d<sup>1</sup> - zauwa<sup>3</sup>z<sup>3</sup> z <sup>3</sup>alem, zacieceni<sup>1</sup>c u<sup>o</sup>cisk.

- A więc to jeszcze nie czas?

- Nie - musn<sup>13</sup> d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> jej twarz. - Przyjd<sup>3</sup>e do ciebie, Madelaine. Wkrótce b<sup>3</sup>dziesz mnie mia<sup>3</sup>a. Przyjd<sup>3</sup>e po uroczysto<sup>o</sup>ci, któr<sup>1</sup> przygotowujesz.

- Obiecuj! - Uj<sup>3</sup>a jego d<sup>3</sup>oń.

- Powiedzia<sup>3</sup>em to ju<sup>3</sup>, moja droga - unio<sup>3</sup>s<sup>3</sup> brwi w <sup>3</sup>agodnym zdziwieniu. - Moje s<sup>3</sup>owo wystarczy.

Mia<sup>3</sup>a wra<sup>3</sup>enie, <sup>3</sup>e zaraz wyprze si<sup>3</sup>e obietnicy, lecz co<sup>3</sup>e w jego zachowaniu zaprzecza<sup>3</sup>o przypuszczeniu. Unio<sup>3</sup>s<sup>3</sup>a jego d<sup>3</sup>oń do swoich warg i uca<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a kolejno ka<sup>3</sup>dy z drobnych palców. Potem szybko odst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>a i ustawi<sup>3</sup>a konia, by wsi<sup>1</sup>o<sup>3</sup>.

- Pomog<sup>3</sup>e ci, daj stop<sup>3</sup>e - stan<sup>13</sup> obok niej i poczeka<sup>3</sup>, a<sup>3</sup> si<sup>3</sup>e przygotowuje. Potem wrzuci<sup>3</sup> j<sup>1</sup> na siod<sup>3</sup>o.

- Dziękuj<sup>3</sup>e - rzek<sup>3</sup>a, wracaj<sup>1</sup>c do bardziej oficjalnych stosunków.

- Spójrz - wskaza<sup>3</sup> na dwoje je<sup>3</sup>d<sup>3</sup>ców, którzy wyjechali w<sup>3</sup>acenie zza zakr<sup>3</sup>etu. - Twoja ciotka i hrabia. Ani na chwil<sup>3</sup>e za wczecenie -wskoczy<sup>3</sup> na siod<sup>3</sup>o bez uciekania si<sup>3</sup>e do pomocy strzemion.

- Ju<sup>3</sup> nas dostrzegli - Madelaine wymachiwa<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup>. Pozwoli<sup>3</sup>a klaczy zej<sup>3</sup>o<sup>3</sup>e z mostu. - Ciesz<sup>3</sup>e si<sup>3</sup>e, <sup>3</sup>e mieliemy ten czas dla siebie. To by<sup>3</sup>oby straszne pozosta<sup>3</sup>e w niepewności.

- Nie by<sup>3</sup>o<sup>3</sup>e pewna? - zapyta<sup>3</sup>. - Obawiam si<sup>3</sup>e, mademoiselle, <sup>3</sup>e kpi pani ze mnie, skoro opowiada takie rzeczy.

- Nie by<sup>3</sup>o<sup>3</sup>am pewna siebie - powiedzia<sup>3</sup>a na granicy s<sup>3</sup>yszalności.

- Obawia<sup>3</sup>am si<sup>3</sup>e tylko, <sup>3</sup>e mo<sup>3</sup>esz mnie nie chcie<sup>3</sup>e, zm<sup>3</sup>czy<sup>3</sup>e si<sup>3</sup>e mn<sup>1</sup> lub znudzi<sup>3</sup>e... Wiem, <sup>3</sup>e jestem bardzo m<sup>3</sup>oda... szczególnie dla ciebie. Z<sup>3</sup>ama<sup>3</sup>o<sup>3</sup>by mi serce, gdyby<sup>3</sup>e szuka<sup>3</sup> tylko przygody.



Lepiej już znios³abym odmowê.

- Nie musisz siê obawiaæ. Ostatni raz szuka³em takiej przygody, gdy Heliogabal by³ cezarem. Straci³em umi³owanie do tego sportu jakiego tysi¹c lat temu - zawróci³ konia ku nadci¹gaj¹cym jeŸdŸcom, zmieniaj¹c przy tym i temat, i ton g³osu. - Opera na twoje przyjêcie ma byæ niespodziank¹, moja droga, i nie powiem ci ani s³owa wiêcej.

- Madelaine? Saint-Germain! - kontessa d'Argenlac pomacha³a im szpicrut¹. Oddali jej pozdrowienie.

- Czekam na sposobnoœæ, by spotkaæ siê z twoim ojcem, Madelaine

- powiedzia³ Saint-Germain, gdy już siê zrównali. - Jak wiem, ma przybyæ dzie wczorem.

Madelaine odczu³a ulgê.

- Tak, oczekujemy go. Nie by³ w Paryżu od dnia moich urodzin. Bêdzie dla niego wielk¹ przyjemnoœci¹ odkryæ go na nowo. Mam nadziejê, i¿ uda mi siê nak³oniæ ciê, byœe oprowadzi³ go po tych miejscach, gdzie mi nie wypada siê pokazaæ.

- Ja mogê to zrobiæ - zaproponowa³ szybko Gervaise, rzucaj¹c wymowne spojrzenie ¿onie. - Przypuszczam, ¿e zezwolisz mi na to, Claudio.

- Ró³b, jak uwa¿asz, Gervaise. Jeœli chcesz byæ pomocny w zabawianiu mego brata, to mogê ci tylko podziêkowaæ. - Westchnê³a i odwróci³a siê do Saint-Germaina. - Muszê wyraziæ ci wdziêcznoœæ za dotrzymanie towarzystwa Madelaine, hrabio. Pewna jestem, ¿e nasza rozmowa by ciê znudzi³a. Taka sprzeczka o b³ahostkê! Mo¿na by pomyœleæ, ¿e nie mamy nic lepszego do roboty, ni¿ obra¿anie siê nawzajem bez celu.

- Tak, b³aha sprawa - potwierdzi³ Gervaise z niejak¹ z³oœliwoœci¹.

- Lecz obecnie panuje już miêdzy nami idealna zgoda. Prawda, kochanie?

- Oczywiście - przytaknê³a kontessa. Obrzuci³a horyzont spojrzeniem.

- Ale spójrzcie - powiedzia³a jak najpogodniej - nie zdawa³am sobie sprawy, jak jest póŸno. Jeœli mamy znaleŸæ siê w domu przed przybyciem mego brata, to musimy już zawracaæ. Mam nadziejê, ¿e nie masz nic przeciwko temu, droga bratanico. Nie chcê pozbawiaæ ciê przyjemnoœci. Madelaine napotka³a jednoznaczne spojrzenie Saint-Germaina.

- Sk¹d¿e, ujrzenie mego ojca jest dla mnie najwiêkszą przyjemnoœci¹. Jeœli mo¿na, pozwól nam udaæ siê już do rezydencji, hrabio - powiedzia³a przez ramiê, lecz taktownie. - By³abym szczêliwa móc d³u¿ej cieszyæ siê twym towarzystwem, lecz nie powinnam ciê zatrzymywaæ. Znajdê ciê na przyjêciu. I obiecujê nie interesowaæ siê próbami opery.

- Dziêkujê, Madelaine - Saint-Germain sk³oni³ siê, z kapeluszem przy sercu. - To by³o czaruj¹ce popo³udnie. Hrabio, hrabino, proszê przyj¹æ wyrazy mego szacunku - zawróci³ ogiera i wjecha³ na most. - Do jutra zatem.

Na drugim brzegu rzeki odczeka³ chwilê, obserwuj¹c pilnie Madelaine, jej ciotkê i hrabiego

jadł<sup>1</sup>cych żywym k<sup>3</sup>usem do rezydencji.

Dopiero, gdy ca<sup>3</sup>kowicie zniknêli mu z oczu, przejecha<sup>3</sup> z powrotem przez most i pod<sup>1</sup>ł<sup>3</sup>y<sup>3</sup> za nimi.

Wyjłtek z listu l'Abbesse Dominiłue de la Tristesse de les Agnes do nieznanego dobroczyńcy jej siostry; datowane 2 listopada 1743:

(...) Lekarz, który by<sup>3</sup> na tyle dobry, by towarzyszyæ mojej biednej Lucienne a¿ klasztoru, opowiedzia<sup>3</sup> mi, ¿e z pomoc<sup>1</sup> bosk<sup>1</sup> i przy dobrej pielêgnacji mo¿e ona jeszcze zostaæ przywrócona zdrowym zmys<sup>3</sup>om, a po czêæci i do zdrowia.

Nie mogê znaleŸæ doææ s<sup>3</sup>ów, by podziêkowaæ panu w jej imieniu za dobroæ. To, ¿e kaza<sup>3</sup> pan zabraæ równie¿ jej wiolonczelê, by mog<sup>3</sup>a znaleŸæ ukojenie w sztuce, ukazuje szlachetnoææ pañskiej duszy. Jeæli ma pan powody lêkaæ siê Boga i Dnia S<sup>1</sup>du, to mo¿e byæ pan pewien, ¿e pañskie wysi<sup>3</sup>ki podjête dla dobra mojej siostry przemówi<sup>1</sup> na pana korzyææ. Nikt, dowiedziawszy siê o jej cierpieniach, nie móg<sup>3</sup>by zrobiæ dla niej wiêcej, ni z wiêksz<sup>1</sup> trosk<sup>1</sup> o ni<sup>1</sup> sam<sup>1</sup> i jej dobre imiê. To, ¿e ocali<sup>3</sup> j<sup>1</sup> pan od skandalu dowodzi, jak wielk<sup>1</sup> jest pañska o ni<sup>1</sup> troska. Schoenbrun powiedzia<sup>3</sup> mi, ¿e nie pragnie pan zostaæ rozpoznany, tak ze wzglêdu na dobro' Lucienne, jak i pañsk<sup>1</sup> skromnoææ. Bez w<sup>1</sup>tpienia jest prawd<sup>1</sup>, ¿e gdyby pañskie imiê by<sup>3</sup>o znane komukolwiek z otoczenia jej mê¿a, Lucienne zosta<sup>3</sup>aby wystawiona na wyrok prawa, który móg<sup>3</sup>by zmusiaæ j<sup>1</sup> do pos<sup>3</sup>uszeñstwa mê¿owi. Wiem, ¿e jest obowi<sup>1</sup>zkiem ¿ony przyjmowaæ rozkazy mê¿a i ulegaæ im pokornie. Niemniej, z tego co s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>am od Lucienne, jej m<sup>1</sup>¿ to cudzo<sup>3</sup>o¿nik i to w sposób nienaturalny, gdy¿ powstrzymuje siê przed kontaktami z p<sup>3</sup>ci<sup>1</sup> niewiæci<sup>1</sup>. Bez w<sup>1</sup>tpienia w oczach Boga nie jest to ma<sup>3</sup>¿eñstwo i nawet Najæwiêtsza Dziewica nie ¿<sup>1</sup>da, by te, które nie s<sup>1</sup> na s<sup>3</sup>u¿bie, umartwia<sup>3</sup>y cia<sup>3</sup>o, lecz pragnie, a nawet zachêca kobiety, by modli<sup>3</sup>y siê o b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awieñstwo dzieci i przekazywa<sup>3</sup>y owoce swych ma<sup>3</sup>¿eñstw Bogu w testamencie dla odp<sup>3</sup>acenia owego daru.

Niech pan bêdzie pewny, ¿e bêdziemy strzeg<sup>3</sup>y tutaj mej siostry i czuwa<sup>3</sup>y nad jej bezpieczeñstwem, a¿ bêdzie gotowa znów wyruszyæ w æwiat. Jeæli postanowi nie wracaæ do Pary¿a, do<sup>3</sup>o¿ymy wszelkich starañ, by mog<sup>3</sup>a ¿yæ w sposób godny jej pozycji i stanu. Napisa<sup>3</sup>am ju¿ do naszego kuzyna, którym jest kardyna<sup>3</sup> Glaivefleur. Mieszka on w Rzymie i jest cz<sup>3</sup>owiekiem o najlepszej reputacji. Pewna jestem, ¿e zechce byæ opiekunem Lucienne i udzieli jej schronienia w swym domu, umo¿liwiaj<sup>1</sup>c realizacjê jej talentów w jak najbardziej przychylnej atmosferze. Zapewne zgodzi siê pan, ¿e najlepiej bêdzie, jeæli nigdy ju¿ nie ujrzy ona Achille Cressie.

Cnotliwa Dziewica, która jest nam pomoc<sup>1</sup> i Ÿród<sup>3</sup>em orêdownictwa przed Majestatem Boga, bêdzie myæleæ o panu z mi<sup>3</sup>oæci<sup>1</sup>. Obejmie na pewno pana mi<sup>3</sup>osierdziem za uratowanie mej siostry z paszczy piekie<sup>3</sup>. Zawsze bêdê o panu pamiêtaæ w mych modlitwach i chocia¿ ja nie znam pañskiego imienia, Bóg wszystkim czyta w sercach i widzi pana jako ukochanego miêdzy dzieæmi swemi.

Nie wolno mi przeci<sup>1</sup>gaæ tego listu, gdy¿ pragnê wysiaæ go z lekarzem Schoenbrunem,

który wraca do Paryża za godzinę. Obieca<sup>3</sup> mi ten dobry człowiek, że list trafi do pana. Pozwolę  
sobie informować pana od czasu do czasu o postępach w kuracji Lucienne, aby mógł pan być  
pewnym jej ocalenia.

Z dna mego serca, z b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awieństwem i wdzięczności<sup>1</sup> ca<sup>3</sup>ej duszy, na tym i na tamtym  
świecie, w pobożnej wdzięczności,

Pozostaję panu najbardziej oddana duchem,

**Dominique de la Tristesse de les Agnes**

Deszcz pada<sup>3</sup> już od ponad dwóch godzin, gdy karetą wtoczy<sup>3</sup>a się wreszcie przed boczne wejście rezydencji d'Argenlac. Konie parowa<sup>3</sup>y, a ozdobione herbem burty karety obryzgane by<sup>3</sup>y b<sup>3</sup>otem.

Krzyk stangreta wywo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> lokajów. W ci<sup>1</sup>gu kilku chwil przyniesiono latarnie. Drzwi karety otwar<sup>3</sup>y się, opuszczono stopnie. Pierwszym, który wysiad<sup>3</sup> by<sup>3</sup> starszy s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cy w zielonej liberii. W d<sup>3</sup>oni trzyma<sup>3</sup> d<sup>3</sup>ug<sup>1</sup> laskę, gotów wręczy<sup>æ</sup> j<sup>1</sup> mę<sup>1</sup>czy<sup>3</sup>Ńnie, który w<sup>3</sup>acenie pojawi<sup>3</sup> się w drzwiach.

- Dziękuj<sup>ê</sup>, Eustach<sup>ê</sup> - powiedzia<sup>3</sup> przyby<sup>3</sup>y wysiadaj<sup>1</sup>c z ci<sup>ê</sup>kiego pojazdu. W œwietle latar<sup>ñ</sup> rozprasza<sup>1</sup>cych mroki deszczowej nocy okaza<sup>3</sup> się by<sup>æ</sup> mę<sup>1</sup>czyzn<sup>1</sup>, który przekroczy<sup>3</sup> już, wiek œredni, z nie upudrowanymi w<sup>3</sup>osami koloru stali, nosz<sup>1</sup>cymi jeszcze gdziegdzie œlady dawnego, ciemnobr<sup>1</sup>zowego koloru. Wzrostu by<sup>3</sup> przeciętnego, mo<sup>1</sup>że troch<sup>ê</sup> ponad, i by<sup>3</sup> przy tym zadziwiaj<sup>1</sup>co szczup<sup>3</sup>y, z poznacon<sup>1</sup> strapieniami twarz<sup>1</sup> kogoœ, kto nieustannie u<sup>1</sup>owa<sup>3</sup> w pokorze za dawne grzechy. Ubrany by<sup>3</sup> w dobrze skrojone, lecz wyp<sup>3</sup>owia<sup>3</sup>e i niemodne rzeczy. Prosty perkal s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>y<sup>3</sup> mu za szalik, nie mia<sup>3</sup> koronek przy mankietach, buty na niskich obcasach s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>y<sup>æ</sup> mia<sup>3</sup>y wyra<sup>3</sup>Ńnie tylko chodzeniu w nich. Zerkn<sup>13</sup> ku drzwiom rezydencji, ods<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup>c bladoniebieskie oczy.

- B<sup>1</sup>d<sup>3</sup> tak dobry i powiedz kontessie, u<sup>1</sup>e przyby<sup>3</sup> jej brat - zwróci<sup>3</sup> się do starszego lokaja, który sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> się i znikn<sup>13</sup> we wnętrzu wydaj<sup>1</sup>c polecenia, by baga<sup>1</sup>e markiza de Montalia zosta<sup>3</sup>y zabrane do jego pokoju.

Najwidoczniej przybycie powozu zosta<sup>3</sup>o zauwa<sup>1</sup>one przed zapowiedzi<sup>1</sup> lokaja, gdy<sup>1</sup> już po chwili w drzwiach pojawi<sup>3</sup>a się zdyszana Madelaine.

- Ojczy! Ojczy, witaj! - rzuci<sup>3</sup>a mu się w ramiona. - Och, jak bardzo mi ciebie brakowa<sup>3</sup>o!

œmiej<sup>1</sup>cy się z radoœci markiz de Montalia odda<sup>3</sup> córce uœcisk, po czym odsun<sup>13</sup> j<sup>1</sup> na odleg<sup>3</sup>oœæ ramienia.

- I ja st<sup>ê</sup>skni<sup>3</sup>em się za tob<sup>1</sup>, Madelaine. Lecz niech spojrz<sup>ê</sup> na ciebie, moje dziecko. Jaki szyk. Jaki strój. Nie pozna<sup>3</sup>bym ci<sup>ê</sup> chyba.

- Nie mów tak - Madelaine wsun<sup>ê</sup>3a d<sup>3</sup>o<sup>ñ</sup> pod jego rami<sup>ê</sup>. - Ty zawsze mnie poznasz, prawda?

- Oczywiście, u<sup>1</sup>e tak - ucemiechn<sup>13</sup> się smutno. - Nie chcia<sup>3</sup>em ci<sup>ê</sup> martwi<sup>æ</sup>, moja kochana. Chcia<sup>3</sup>em tylko powiedzi<sup>æ</sup>, u<sup>1</sup>e <sup>3</sup>adnie wygl<sup>1</sup>dasz. Wys<sup>3</sup>a<sup>3</sup>em dziecko, a zasta<sup>1</sup>ê kobiet<sup>ê</sup>. Taki już los ka<sup>1</sup>dego rodzica.

Przekroczy<sup>3</sup> próg domu, a z nim wsparta na jego ramieniu Madelaine.

- Siedzieliœmy w<sup>3</sup>acenie przy kolacji i pewna jestem, u<sup>1</sup>e zechcesz się do nas przy<sup>3</sup>czy<sup>æ</sup>. Szef kuchni cioci to prawdziwy mistrz. Zna sposób przyrz<sup>1</sup>dzania ciel<sup>ê</sup>ciny, który wprawi ci<sup>ê</sup> w zdumienie. Sos zaprawiony grzybami, zio<sup>3</sup>ami i winem, ciel<sup>ê</sup>cina nadziewana jest pasztetem z kurcz<sup>ê</sup>cych u<sup>1</sup>o<sup>3</sup>dków i bekonu. B<sup>ê</sup>dzie ci smakowa<sup>æ</sup>.

- Nie powinienem chyba teraz siada<sup>æ</sup> do kolacji, moje dziecko - ucemiechn<sup>13</sup> się markiz. -

Podróżowałam całe dni i obawiam się, że można to po mnie poznać.

- Nikomu nie będzie to przeszkadzać.

- Lecz mnie krępuje, dziecko. Musisz ustąpić przed moimi dziwactwami. Nie mogę usiąść do stołu w nieciekawym stroju. Popsuję wszystkim apetyt

- ucałowałam ją w oba policzki. - Dołącz do was za niecałą godzinę. Eustachy ma moje bagaż. Gdy tylko je wypakujemy, odwołuję się i przebiorę. Nie byłam w Paryżu od dwudziestu lat, ale wiem, co należy oddać gospodarzom. Madelaine uniosła twarz, na której malowała się desperacja.

- Wolałabym, żebyście dołączyli do nas teraz, ojcze. Szczęśliwie w tej chwili pojawił się lokaj.

- Pozwól mi sobie pokazać pańskiemu służącemu jego pokoje - skłonił się. - Jeżeli pan sobie życzy, chętnie pana tam zaprowadzę.

- Za chwilę. Dziękuję za troskę - powiedziała wręczając lokajowi ludwika.

- Ile ci to zajmie, ojcze? Nie zwlekaj, proszę.

- Ani chwili dłużej, niż będzie to konieczne. Powiedz mojej siostrze i jej szanownemu mężowi, że niedługo do was przyjdę. I proszę bardzo, nie czekajcie na mnie zjedzeniem, nie jestem zbyt głodny po tak długiej podróży. Wystarczy mi parę kawalców mięsa, trochę warzyw i omlet.

- Przypilnuję, by ciocia wydała polecenia samemu mistrzowi kuchni - ucałowała go impulsywnie.

- Nie przystoi to w pańskim towarzystwie - powiedziała tonem pogodnej wymówki. - Jako ojciec uradowany jestem, że wciąż okazujesz mi niezmiennie ten sam szacunek, ale musisz pamiętać, że takie gesty nie przysporzą ci tu szacunku i nie zostaną docenione. Zechciej być bardziej oficjalna wobec mnie, Madelaine - ujął jej dłoń i szarmancko ucałował.

- Będzie za niespełna godzinę. Lokaj, który przyglądał się niewzruszenie, oświadczył teraz.

- Proszę za mną, sir.

- Dziękuję - nie zwlekając, markiz poszedł za nim przez sieni, a potem schodami na piętro.

Madelaine patrzyła za nim, a w twórczości narastała w niej fala za falą. Była zachwycona widokiem ojca i jak zwykle czuła, że go kocha. Jednak dystans, który odnajdywała w nim od dawna, dystans sprzyjający izolacji był coraz większy i gdyby go nie znała, przysięgłaby, iż był niezadowolony z jej widoku. Nie zdradziła się ani słowem, lecz rezerwa dawała się odczuwać silniej, niż kiedykolwiek dotąd.

Przeszła z wolna przez sieni, z powrotem ku jadalni. Baranina w sosie nie przyciągała już tak bardzo. Na jej twarzy pojawił się cień zmarszczek zadumy. Przystanęła przy oknie, przesuwając palcami po szybie w celach zsuwających się srebrne krople deszczu. Bardzo pragnęła, by był z nią teraz Saint-Germain... Nie minęła jeszcze godzina, jak wyszedł ze swymi muzykami, obiecując jej przelotne spotkanie następnego dnia. Pragnęła go teraz

- nie mogła przed nikim innym rozładować swej tęsknoty. Pragnęła jego bezpiecznych objęć, spojrzenia jego oczu... Zorientowała się, że jej pobyt poza jadalnią trwa już trochę dłużej, porzuciła

zatem czuwanie przy oknie i zdecydowanym krokiem poszła dokończyć kolację.

Jadalnia była w północnym skrzydle rezydencji, a jej przeszklone drzwi wychodziły na mały taras. Nocami, takimi jak ta, było to przytulne miejsce z lichtarzami, wielkim kominkiem i ciężkimi zasłonami, chroniącymi przed dokuczliwymi przeciwnościami.

Nad wykonanym z wiciowego drewna stołem na dwadzieścia cztery osoby, wisiały trzy kryształowe oświetlacze, rzucające widmowe cienie na pomalowane w białe i zielone pasy ściany. Kinkiety nie były zapalone. Przy jednym końcu stołu siedziała Claudia, przy drugim Gervaise. Trzy wielkie, stojące między nimi, patery nad wyraz utrudniały konwersację. W pokoju zatem panowała cisza, która trwała do chwili powrotu Madelaine, która zajęła miejsce po prawej ręce ciotki.

- Czy to Robert? - spytała kontessa.

- Tak. Poszedł do pokoju zmieniać ubranie. Prosił, byśmy na niego nie czekali - utkwiała wzrok w talerzu.

- Co się stało, moja droga? - spytała ciotka, gdy cisza stała się przytłaczająca.

- Nic - Madelaine potrząsnęła głową. - Drobnostka. Wydaje się być taki... obcy...

- Cóż - Claudia ujęła srebrny widelec i nałożyła sobie parę ciepłamiętych gruszek gotowanych w brandy. - Nie wyciągałbym takich pochopnych wniosków, Madelaine. Jest z pewnością zmęczony długą podróżą, przeżywa powrót do Paryża po latach nieobecności. To może rozstroić. Pamiętaj, że wyjechał stąd w związku ze skandalem. Ta wizyta może nie być dlań łatwa - zadzwoniła leżącym obok jej talerza dzwonkiem. Po chwili w jadalni pojawili się dwaj lokaje. - Możecie to zabrać i podać od razu mięso.

- Tak jest, ma contesse - powiedział jeden z nich i zabrał się do pracy. Gervaise przywołała drugiego i wydal mu cichym głosem jakieś polecenie. Potem, przypomniawszy sobie o obowiązkach gospodarza, spytała:

- Madelaine, czy jest coś, na co twój ojciec miałby szczególną ochotę?

- Och, zapomniłam - Madelaine zalała się rumieńcem. - Prosił o trochę warzyw, omlet i parę kawałków mięsa. Nie przyjdzie tu od razu, tak więc nie muszę się spieszyć w kuchni - spojrzała na ciotkę z lekkim przerażeniem w oczach. - Nie chciałam wydawać poleceń w twoim domu.

Kontessa musnęła jej dłoń palcami.

- Nie gadaj bzdur, moja droga. Jeżeli chcesz, to możesz. A gdy zamawiasz już coś dla swego ojca, to jestem z tego zadowolona.

- Dziękuję, ciociu - szepnęła Madelaine. - Nie wiem czemu, ale poczułam się nagle tak dziwnie.

- Pojutrze jest przyjęcie... - zaczęła się pobłażliwie ciotka. - Co prawda, nie sldziłam, że aż tak przykuje to twój uwagę. Przyjęcie dla zaledwie trzystu gości...

- Trzystu? - Madelaine była wstrząśnięta.

- Tyle otrzymałam dotąd odpowiedzi. Będzie zapewne więcej, gdy zawsze znajduję się tacy,

którzy przychodzą na ostatnią chwilę, i nie wiem czemu, przyprowadzają bez zaproszenia swoich przyjaciół. Możemy oczekiwać wielkiego tłumy. Dzięki Bogu, prawie wszystkie przygotowania są już ukończone - spojrzę na lokajów wracających z daniem mięsnym i trzecią butelką jabłkowego wina dla Gervaise'a. Poczuję ukłucie niepokoju. Wiedzię, że ciężkie picie jest zwykle wstępem do kolejnego ataku hazardu. Powstrzyma jednak komentarze.

- Popatrz, Gervaise. Zrazy z miodowej wieprzowiny w sosie winnym z krabami. Pewnie zechcesz wziąć parę?

Gervaise rzuci jednym okiem na półmisek i przystawki i sapną z obrzydzeniem.

- Nie, dziękuję. - Sięgnę niepewnie po butelkę i naleję sobie szczerze.

- To nie jest ciemne mięso, Gervaise - Claudia nie ustępowała.

- Możesz spokojnie zjeść je w piątek. - Cieszę się dźwiękiem. Wiedzię, że wycofanie przystawki będzie smakować jej jak stare kamasze. Gervaise został w widoczny sposób znów opanowany manią samodestrukcji.

- Nie zamartwiaj się mój madame, bógam - słowa wymawia niewyraźnie, a ton głosu był nieprzyjemny.

- Przepraszam - powiedziała bardzo cicho, jak gdyby ze zduszonym gardłem. Przyłożyła dłoń do oczu. - Proszę, moja droga - zwróciła się do Madelaine - zaraz mi przejdzie. Nie przejmuj się. Ja... jestem chyba bardziej zmęczona, niż mi się wydawało, skoro coś takiego wytręca mnie z równowagi. Spokojnie.

Efekt tych słów był dokładnie odwrotny.

- Dlaczego mi to mówisz, ciociu?

- Bo jestem głupia - machnęła rękami. - To nic. Proszę, weź trochę tej doskonałej wieprzowiny. Zamienimy Onfredowi serce, jeżeli nie zjemy tego dania - wskazała w kierunku półmiska. - Zawsze jest taki przeculony. Nie lubi, gdy jego potrawy wracają nietknięte do kuchni. Gervaise, jeżeli nie chcemy jeść tego, co gotuje, to dlaczego płacimy mu tak wysoką pensję?

Gervaise nie trzymał się odpowiedzi. Nie sięgnął również po danie.

- Słyszę, że Onfredo jest obiektem zazdrości wszystkich naszych przyjaciół - Madelaine pragnęła uspokoić ciotkę. - Czemu tak jest?

- Nałożyła sobie ile mogła wieprzowiny, dorzuciła jeszcze groszek w serowym sosie i odprawiła lokaja.

- Jadasz u nas od ponad miesiąca i jeszcze pytasz? - Claudia ucieszyła się z wdzięczności. - Onfredo jest wychowankiem najlepszych szkół na świecie. Jego stryj i ojciec są mistrzami kuchni rodzin królewskich. Onfredo przyjeżdża tutaj, ponieważ chce eksperymentować, chce, by większe towarzystwo oceniało jego dzieła. Jestem tym zachwycona, bo dzięki niemu nasz stół cieszy się reputacją niedostępną dla innych. Wspaniale jest też pomyśleć, że istnieje już kilka kulinarnych



arcydzie<sup>3</sup> nosz<sup>1</sup>cych nazwê a la Claudia - spojrz<sup>3</sup>a przez stó<sup>3</sup> i rozpacz odmalowa<sup>3</sup>a siê na jej twarzy. Gervaise znów przechyla<sup>3</sup> butelkê. Zdecydowa<sup>3</sup>a siê jednak nie zwracaæ na to wiêcej uwagi i odwróci<sup>3</sup>a siê do Madelaine. - Jest jednak niesamowicie wrażliwy i przy tym sk<sup>3</sup>onny do uniesieñ. Jak wielu geniuszy. Lecz gdy coce przygotowuje...

- S<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>am - Madelaine wpad<sup>3</sup>a w ton ciotki - ¿e raz, gdy nie mó<sup>3</sup>g<sup>3</sup> dostaæ œwie¿ego kopru i dostatecznej iloœci gatunków ryb do nowego dania, które wymyœli<sup>3</sup>, to grozi<sup>3</sup> samobójstwem.

Claudia zachichota<sup>3</sup>a i siêgnê<sup>3</sup>a po kolejny kawa<sup>3</sup>ek wieprzowiny.

- To normalne. On zawsze grozi pope<sup>3</sup>nieniem samobójstwa z byle powodu. By<sup>3</sup> w wielkiej desperacji, gdy przysz<sup>3</sup>o do pi<sup>1</sup>tkowych obiadów. Dopiero nasz ojczulek zapewni<sup>3</sup> go, ¿e tylko ciemne miêso nie mo¿e byæ podawane i nie dotyczy to m<sup>3</sup>odej wieprzowiny czy baraniny. Ale i tak czêsto wpada w z<sup>3</sup>y humor - spojrz<sup>3</sup>a raz jeszcze na mê¿a, który z trzymanej za szyjkê butelki wys<sup>1</sup>cza<sup>3</sup> w<sup>3</sup>acenie ostatnie krople.

Gervaise podniós<sup>3</sup> siê chwiejnie i z dziwnym zadowoleniem na twarzy zlustrowa<sup>3</sup> stó<sup>3</sup>.

- Madame - jêzyk mu siê pl<sup>1</sup>ta<sup>3</sup> - zostawiê ciê teraz nad talerzem. Pozdrów ode mnie swego œwiêtoszkowatego brata i przeka¿ mu wszystkie twoje ¿ale. Ja zosta<sup>3</sup>em zaproszony do Hotelu de Ville. Razem z Jacquesem Chateaurouse idê zabawiaæ siê gr<sup>1</sup>. Jestem zrozpaczony, ¿e pozbawiam siê w ten sposób twego towarzystwa - wykona<sup>3</sup> coce, jakby uk<sup>3</sup>on, i wytoczy<sup>3</sup> siê z pokoju. Kapi<sup>1</sup>ce z naczynia wino znaczy<sup>3</sup>o jego drogê.

W jadalni zapad<sup>3</sup>a cisza, która trwa<sup>3</sup>a jeszcze przez kilka minut po wyjœciu hrabiego. W koñcu Claudia zakry<sup>3</sup>a twarz rêkami i wybuchnê<sup>3</sup>a p<sup>3</sup>aczem, który powstrzymywa<sup>3</sup>a przez ca<sup>3</sup>y wieczór.

Madelaine odczeka<sup>3</sup>a jeszcze chwilê, potem wsta<sup>3</sup>a i zamknê<sup>3</sup>a drzwi na klucz, by nie przeszkodzi<sup>3</sup> im nikt ze s<sup>3</sup>u¿by. Nastêpnie ze skrzyni obok kominka wziê<sup>3</sup>a jedn<sup>1</sup> z p<sup>3</sup>óciennych serwetek i umoczy<sup>3</sup>a j<sup>1</sup> w wazie z ciêtymi kwiatami, która sta<sup>3</sup>a na kominku.

Gdy by<sup>3</sup>a ju¿ pewna, ¿e serwetka nasi<sup>1</sup>k<sup>3</sup>a jak nale¿y, wyci<sup>1</sup>gnê<sup>3</sup>a j<sup>1</sup>, wycisnê<sup>3</sup>a i wróci<sup>3</sup>a do ciotki.

- Ciociu Claudio - powiedzia<sup>3</sup>a niepewnie, lecz ciep<sup>3</sup>o. - Jesteœ zbyt zdenerwowana. Odejd<sup>3</sup> na chwilê od sto<sup>3</sup>u, spróbuj siê uspokoiæ. Mam wilgotny ok<sup>3</sup>ad. Pozwól, bym po<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup>a ci go na oczy. Nie bêd<sup>1</sup> czerwone i opuchniête, gdy mój ojciec do nas do<sup>3</sup>czy.

Kontessa zgodzi<sup>3</sup>a siê i pozwoli<sup>3</sup>a Madelaine pomóc sobie wstaæ, daj<sup>1</sup>c siê doprowadziaæ do jednego ze stoj<sup>1</sup>cych przy kominku krzese<sup>3</sup>. Uchwyci<sup>3</sup>a kurczowo d<sup>3</sup>oñ Madelaine. Jej cia<sup>3</sup>em nadal wstrz<sup>1</sup>sa<sup>3</sup>o <sup>3</sup>kanie.

- Ciociu, proszê, nie p<sup>3</sup>acz. Wiem, ¿e masz przez niego wiele do zniesienia, ale nie powinnoœ a¿ tak siê przejmowaæ. - Madelaine pochyli<sup>3</sup>a siê, by wytrzeæ serwetk<sup>1</sup> <sup>3</sup>zy z jej twarzy. - Spójrz jak fatalnie wp<sup>3</sup>ywa to na twój<sup>1</sup> urodê. Nie powinnoœ p<sup>3</sup>akaæ. - Ku zdziwieniu Madelaine, Claudia zaczerpnê<sup>3</sup>a kilka g<sup>3</sup>êbokich oddechów i st<sup>3</sup>umi<sup>3</sup>a ¿al. W koñcu, gdy min<sup>13</sup> ten mêcz<sup>1</sup>cy stan, spojrz<sup>3</sup>a

na Madelaine, wzięła serwetkę w swoje ręce i wytarła starannie twarz. Nie malowała się nigdy przesadnie, lecz żyła i tak szkodliwie jej wspaniałym oczom. Wiedziała o tym.

- Och, moja droga. Nie chciałam tak się zachować - odetchnęła głęboko, jak tylko na to pozwalał gorset. - Czasem zbyt przejmuję się tym, nad czym i tak nie mam kontroli. To miło z twojej strony, że mi pomogła. Pewna jestem, że nie muszę ci mówić, iż wcale nie pragnę, by Robert o tym słyszał.

- Możesz na mnie polegać, ciociu. Ojciec jest dobrym i prawym człowiekiem, ale sędzi, że niezbyt roztędnym. - Z nieprzytomnym spojrzeniem odstąpiła od kontessy.

- Co jest?

- Och, nic. Pragnęłabym, by Saint-Germain był tutaj. To ekspert od krępujących spraw. - Wzięła serwetkę i włożyła ją do jednej z nie używanych szklanek na stole. - Będziemy musiały poradzić sobie same - przerwała, pochylając głowę. - Wydaje mi się, że ojciec nadchodzi. Ktoś jest w sieni. Proszę, usiedź ciociu, wracajmy do posiłku. Nie trzeba mu mówić o tym, co się zdarzyło. Claudia już stała obok swego krzesła.

-Masz całkowitą rację, kochana. Otwórz drzwi Robertowi. Damy sobie radę. Madelaine odciągnęła rygiel i otworzyła drzwi z uśmiechem, widząc, jak zbliża się markiz.

Był ubrany w fatalny, niemodny strój. Pożył surduta był osobliwie wiskie, kieszenie naszyte zbyt wysoko, a od ponad dekady nikt nie zapinał już trzech górnych guzików. Lecz sam krój rzeczy, które nosił, był mistrzowski, a ciemnoszary kolor marszczonej mory nie pozostawiał nic do życzenia.

Wyciągnęła ręce.

- Cóż to, moje dziecko, wyszłaś mnie powitać? - Ujął jej dłoń.

- Obie z ciocią pragniemy cię widzieć - odsunęła się, by wpuścić go do jadalni.

Brat i siostra spojrzeli na siebie przez odległość mierzoną tak czasem, jak i przestrzenią. Claudia uśmiechnęła się niecierpliwie, skądajcie markizowi bardziej formalny, niż rodzinny uśmiech. Robert odwzajemnił się.

- Ach, Robercie - szepnęła Claudia, biorąc go po przyjacielsku w objęcia. - To trwało tak długo.

Brat odwzajemnił uścisk, a potem odstąpił by się jej przyjrzeć.

- Tak. Lecz te lata obeszły się z tobą pogodnie, Claudio. Nie uwierzyłbym, że masz już trzydzieści siedem wiosen. Nie wyglądasz na więcej, niż trzydzieści.

Claudia z wdzięczności przyjęła komplement i poprowadziła Roberta do stołu, na miejsce po swojej lewej stronie.

- Proszę, przyślij się do nas. Zaraz dostaniesz, co sobie zażyczyłaś, lecz ta młoda wieprzowina również jest wyemienita. Robert usiadł i spojrzał z zakłopotaniem.

- Gdzie twój młody, Claudio? Miałaś nadzieję odnowić znajomość z nim.

- Ach, Robercie, Gervaise to jedyne, co mi dokucza - zby<sup>3</sup>a sprawê.

- Umówi<sup>3</sup> siê na dzie wieczór, bez porozumienia ze mn<sup>1</sup> i uwa<sup>3</sup>ia<sup>3</sup>, że nie może odwo<sup>3</sup>aaê tego spotkania. Ufam, że wybaczysz mu. Mamy jeszcze tyle wieczorów przed sob<sup>1</sup>.

Robert skin<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup> przyjmuj<sup>1</sup>c wyjacenie bez dalszych pytań. Nie widzia<sup>3</sup> swej siostry od wielu lat i nie potrafi<sup>3</sup> odgadn<sup>1</sup>æ, że urywany cemiech i a<sup>3</sup> nadto swobodne zachowanie skrywaj<sup>1</sup> wielki niepokój jej umys<sup>3</sup>u.

- Cóż, może zatem innego dnia. Zapomnia<sup>3</sup>em jak żyje siê w Pary<sup>3</sup>u. Nie musisz siê obawiaæ, bym mia<sup>3</sup> chowaæ do niego urazê - ucemiechn<sup>13</sup> siê do kobiet i pochlebi<sup>3</sup>o mu, gdy ujrza<sup>3</sup> szyb<sup>1</sup> wymianê spojrzeń miêdzy nimi. S<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>, że wynikaj<sup>1</sup> one z troski o niego.

Wyj<sup>1</sup>tek z listu markiza Chenu-Tourelle do markiza de Montalia; datowane 2 listopada 1743:

(...) Gdy ujrza<sup>3</sup>em pa<sup>ń</sup>sk<sup>1</sup> córk<sup>ê</sup> na przyj<sup>ê</sup>ciu w Hotelu Transylwania, urzek<sup>3</sup>a mnie ona w jednej chwili. Mia<sup>3</sup>em przyjemno<sup>æ</sup> by<sup>æ</sup> jej partnerem przez kilka ta<sup>ń</sup>ców, przekonuj<sup>1</sup>c si<sup>ê</sup> przy tym, *æ*e jej zachowanie i s<sup>3</sup>odycz s<sup>1</sup> cechami jej charakteru, a nie dodatkami jedynie do pi<sup>ê</sup>knego oblicza. Jej rozum wzbudza we mnie g<sup>3</sup>êboki szacunek, a dobro<sup>æ</sup> jej wype<sup>3</sup>nia mnie podziwem.

Jako *æ*e nie s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em, by kto<sup>æ</sup> inny z<sup>3</sup>o<sup>z</sup>y<sup>3</sup> ofert<sup>ê</sup>, o<sup>æ</sup>mielam si<sup>ê</sup> zwróci<sup>æ</sup> bezpo<sup>æ</sup>rednio do pana, by w angielskim stylu panu przeka<sup>z</sup>a<sup>æ</sup>, i<sup>z</sup> by<sup>3</sup>oby najwi<sup>ê</sup>kszym szcz<sup>ê</sup>æciem mojego *z*ycia, gdyby zechcia<sup>3</sup> pan zaakceptowa<sup>æ</sup> mnie jako swego zięcia. Mój maj<sup>1</sup>tek i pozycja s<sup>1</sup> równe jej, a poza tymi atrybutami ofiarowuj<sup>ê</sup> równie<sup>z</sup> moje oddanie i gwarancj<sup>ê</sup>, która w oczywisty sposób wi<sup>1</sup>*z*e si<sup>ê</sup> z uczuciem.

Niemniej nie oczekuj<sup>ê</sup> pa<sup>ń</sup>skiej jedynie aprobaty. Zanim cokolwiek zostanie ustalone, pragn<sup>13</sup>bym spotka<sup>æ</sup> si<sup>ê</sup> sam na sam z pa<sup>ń</sup>sk<sup>1</sup> córk<sup>1</sup>, by dowiedzie<sup>æ</sup> si<sup>ê</sup>, czy zechce ona znale<sup>Ź</sup>æ dla mnie miejsce w swym sercu. Moje uczucie dla niej nie dopuszcza mo<sup>z</sup>liwo<sup>æ</sup>ci, bym stara<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> o ni<sup>1</sup>, bez jej akceptacji. Je<sup>æ</sup>li ta nie b<sup>ê</sup>dzie mi dana, wówczas porzuc<sup>ê</sup> wszelkie o ni<sup>1</sup> starania, by mog<sup>3</sup>a sama dysponowa<sup>æ</sup> tak swym sercem, jak i rêk<sup>1</sup>. W zwi<sup>1</sup>zku z tym proponuj<sup>ê</sup>, i<sup>z</sup> przyb<sup>ê</sup>d<sup>ê</sup> w czwarty dzie<sup>ń</sup> tego miesi<sup>1</sup>ca, by odby<sup>æ</sup> prywatn<sup>1</sup> rozmow<sup>ê</sup> z Madelaine. Je<sup>æ</sup>li pozwoli pan, markizie, zabior<sup>ê</sup> j<sup>1</sup> na przeja<sup>z</sup>d<sup>z</sup>k<sup>ê</sup> moim powozem, wraz z opiekunk<sup>1</sup>, je<sup>æ</sup>li takie b<sup>ê</sup>dzie pana *z*yczenie. Mam nadziej<sup>ê</sup>, i<sup>z</sup> wolna od skr<sup>ê</sup>powania oficjalno<sup>æ</sup>ci<sup>1</sup> tej okazji, która zdecydowa<sup>æ</sup> mo<sup>z</sup>e o naszych losach, otworzy przede mn<sup>1</sup> swe serce, nawet je<sup>æ</sup>li uczyni to tylko po to, by zaprzeczy<sup>æ</sup> moim pragnieniom.

(...) Pozwol<sup>ê</sup> przedstawia<sup>æ</sup> si<sup>ê</sup> panu jutro, na przyj<sup>ê</sup>ciu, które zostanie wydane wieczorem w rezydencji d'Argenlac. Mo<sup>z</sup>e pan zechcie<sup>æ</sup> zada<sup>æ</sup> mi jakie<sup>æ</sup> pytania, mo<sup>z</sup>e pan odmówi<sup>æ</sup> moim zalotom. Wiem, *æ*e cokolwiek pan uczyni, b<sup>ê</sup>dzie to dyktowane pa<sup>ń</sup>sk<sup>1</sup> trosk<sup>1</sup> o córk<sup>ê</sup>, a nie wzgl<sup>ê</sup>dami materialnymi. Takie przymioty musz<sup>1</sup> by<sup>æ</sup> zawsze szanowane i pokazywane jako przyk<sup>3</sup>ad w *æ*wiecie, w którym tak cz<sup>ê</sup>sto widzimy synów i córki sprzedawanych w ma<sup>3</sup>*z*e<sup>ń</sup>stwo jak owce.

Jest moim gor<sup>1</sup>cym pragnieniem, by zechcia<sup>3</sup> pan spojrze<sup>æ</sup> na m<sup>1</sup> pro<sup>æ</sup>b<sup>ê</sup> z przychyln<sup>oæ</sup>ci<sup>1</sup>. Z pewno<sup>æ</sup>ci<sup>1</sup> dobro pa<sup>ń</sup>skiej córki b<sup>ê</sup>dzie dla pana warto<sup>æ</sup>ci<sup>1</sup> najwy<sup>z</sup>sz<sup>1</sup>, jak to jest i dla mnie. B<sup>3</sup>agam usilnie, by zostawi<sup>3</sup> mi pan mi<sup>3</sup>osiern<sup>1</sup> nadziej<sup>ê</sup>, przynajmniej do czasu, gdy b<sup>ê</sup>d<sup>ê</sup> móg<sup>3</sup> sam z ni<sup>1</sup> porozmawia<sup>æ</sup> i odkry<sup>æ</sup>, co le<sup>z</sup>y w jej sercu.

Z pe<sup>3</sup>nyimi uszanowania pozdrowieniami i serdecznymi wyrazami szacunku, mam honor by<sup>æ</sup>

Pa<sup>ń</sup>skim oddanym i pe<sup>3</sup>nyim nadziei

**Samson Guilbert Egid<sup>ê</sup> Nicole Herriot Yves, Markiz Chenu-Tourelle**

Drzwi rezydencji d'Argenlac stały otworem, z obu stron oskrzydłone przez lokajów czekających, by odebrać płaszcz, kapelusze i inne części garderoby od gości, którzy z wybiciem dziesiątej zaczęli przybywać łeniwym potokiem. Wszystkie pokoje na parterze przonożycewiatami, każdy kandelabr szczyści się dżugimi, białymi świecami. W każdym kłacie stały wysokie świeczniki dodające wnętrzem blasku, wszystkie cienne kinkiety błyskały radoenie.

Madelaine stała przy swojej ciotce w szeregu witających. Jej piękna twarz poróżowiała z podniecenia. Była w imponującej toalecie z platynowej lustryny, której blask współzawodniczy z powodzeniem z miriadem świec. Naszyte klejnoty ukazywały rozfalowane morze, na powierzchni którego igrały trytony i nimfy. Głęboki stanik również był bogato zdobiony, za obrębienie podkreślało piękno szafirów i turmalinów jej kolii. Z rękawów, które sięgały do łokci, spływały trzy rzędy błękitnych koronek. Halka była z uszywnionego atasu, wyszywanego drobnymi perłami. Włosy miała upudrowane, lecz prosto zaczesane, tak, by obramowywały dwoma małymi lokami jej twarz.

Obok niej Claudia we wspaniałej lawendowej sukni z trenem. W centrum stanika, obramowującej linię sukni, naszyte zostały trzy duże kokardy, co było nawiązaniem do mody sprzed dwustu lat. Halkę miała z dopasowanych kolorem i wzorem koronek, w upudrowane włosy wplotła koronkową wstążkę. Same włosy uczesano w oparciu o sztywną siatkę z końskiego włosia, co skutecznie wspomagało kreację. Jej jedyną biżuterią były bransolety z wpasowanymi w złoto diamentami.

Markiz de Montalia założył na ten wieczór strój z pięknego, brązowego aksamitu, który sobie zamówił, za wyogi i szerokie mankiety wykonano z brązowego atasu. Na tle siostry i córki wyglądał niezwykle statecznie, lecz radoce malując się na jego twarzy kompensowała powagę stroju.

Goście napływali niemal tak samo licznie i gwałtownie, jak krople deszczu, które nieustannie padały z nieba. Do dziesiątej pokoje były pełne gwaru, a Claudia czuła się naprawdę zadowolona. Madelaine zwracała się wacenie do niej z cichym sówkiem, gdy umilkła na widok eleganckiej postaci, która pojawiła się w drzwiach.

- Saint-Germain! - zawołała z radoeci.

Odkłoniła się, skądając pocałunek na dłoni Madelaine.

- No, moja droga, naprawdę, pani widok zapiera mi dech w piersiach.

- Pan wygląda wspaniale! - odwzajemniła się rozpromieniona. - Te czarne ekierki, biegnące przez cały przód surduta, są bardzo ujmujące.

- Jest moim największym pragnieniem zadowolnić cię, pani - wymamrota, ucieniechając się w odpowiedzi na jej zuchwałstwo.

- No i podwójnie splecione podwiązki. To będzie, jak się dzę, ostatni krzyk mody. Wszyscy oszaleją - powiedziała, przyglądając mu się krytycznie od czarnych włosów ułożonych w upudrowane fale, po brokatowe czarne buty. Był bez skazy. Czarny chiński jedwab, z którego uszyty był jego surdut,

ukazywa<sup>3</sup> feniksa ulatuj<sup>1</sup>cego z czarnych popio<sup>3</sup>ów. Prawie tak samo d<sup>3</sup>uga, równie czarna kamizelka wyszyta by<sup>3</sup>a ciemnoczerwonym wzorem, opisuj<sup>1</sup>cym alegoryczne polowanie na jednorog<sup>1</sup>ca. Z tym wszystkim zadziwiaj<sup>1</sup>co harmonizowa<sup>3</sup>y podwójnie splecione srebrne podwi<sup>1</sup>zki, zace spinka, która przytrzymywa<sup>3</sup>a je pod lewym kolaniem, lenci<sup>3</sup>a jak ływa. Szerokie mankiety by<sup>3</sup>y wywiniête a<sup>1</sup> do <sup>3</sup>okcia, na czarnym aksamicie wyróżnia<sup>3</sup>y się srebrem obrêbione ozdobne dziurki do guzików. Bia<sup>3</sup>y wielki ła<sup>1</sup>bot z najlepszych belgijskich koronek uzupe<sup>3</sup>niony by<sup>3</sup> znajomym rubinem przypiętym na szyi.

Jego ciemne oczy spoczê<sup>3</sup>y na Madelaine zaledwie przez sekundê, tak, by tylko ona mog<sup>3</sup>a odczytaê skrywan<sup>1</sup> w nich namiêtnoœæ. Saint-Germain sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê markizowi de Montalia.

- Jestem Saint-Germain. Bez w<sup>1</sup>tpienia mam zaszczyt rozmawiaê z Robertem de Montalia?

- Jestem nim, sir - ojciec Madelaine znajduwa<sup>3</sup> upodobanie w surowoœci ubioru hrabiego, lecz zastanawiaj<sup>1</sup>ce wyda<sup>3</sup>y mu siê jego maniery.

- Mi<sup>3</sup>o mi jest spotkaê pana. Tyle s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em ju<sup>1</sup> o panu od kontessy i pañskiej córki. To zaszczyt dla mnie poznaê kogoœ, kto jest tak wielk<sup>1</sup> estym<sup>1</sup> darzony przez w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> rodzinê.

Markiz spojrze<sup>3</sup> cokolwiek zdziwiony.

- Jest pan zaiste uprzejmy, lecz nie potrafiê poj<sup>1</sup>æ, co pan chce przez to powiedzieæ.

Saint-Germain westchn<sup>13</sup> w duchu. Robert de Montalia nie by<sup>3</sup> w zasadzie g<sup>3</sup>upcem. Brakowa<sup>3</sup>o mu jednak polotu i dociekliwoœci, która cechowa<sup>3</sup>a umys<sup>3</sup> jego córki. Nawet sposób, w jaki przyjmowa<sup>3</sup> komplementy ska<sup>1</sup>ony by<sup>3</sup> melancholi<sup>1</sup>.

- Mo<sup>1</sup>e zauwa<sup>1</sup>y<sup>3</sup> pan, æe zwykle cz<sup>3</sup>owiek, nawet jeœli szanowany jest przez wszystkich woko<sup>3</sup>o, spotyka siê z niezbyt ciep<sup>3</sup>ym przyjêciem ze strony tych, z którymi łyje najbardziej. Lecz jest ju<sup>1</sup> tak, æe to najbli<sup>1</sup>si wiedz<sup>1</sup> o nas najwiêcej i gdy oni wychwalaj<sup>1</sup> nas i kochaj<sup>1</sup>, wówczas najpe<sup>3</sup>niej mo<sup>1</sup>emy powiedzieæ o naszej prawdziwej wartoœci.

Robert de Montalia sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê lekko i zdecydowa<sup>3</sup>, æe w Saint-Germainie nie ma nic z<sup>3</sup>ego. W oczywisty sposób mo<sup>1</sup>na rozpoznaê, æe hrabia jest w œrednim wieku, z pewnoœci<sup>1</sup> cudzoziemiec o kosmopolitycznych ci<sup>1</sup>gotkach i sk<sup>3</sup>onnoœci<sup>1</sup> do pob<sup>3</sup>a<sup>1</sup>ania Madelaine w ramach niewinnej zabawy.

- Nawet oni mog<sup>1</sup> myliæ siê od czasu do czasu - powiedzia<sup>3</sup> g<sup>3</sup>oceno

- lecz zgadzam siê, æe ci nam najbli<sup>1</sup>si s<sup>1</sup> zwykle naszymi najsurowszymi krytykami, jak i najbardziej lojalnymi poplecznikami.

- To zbli<sup>1</sup>a siê niebezpiecznie do dysputy filozoficznej, a tego na moim przyjêciu nie bêdê tolerowa<sup>3</sup>a - wtr<sup>1</sup>ci<sup>3</sup>a Madelaine ze œmiechem. - Muszê staê jeszcze przy drzwiach przez najbli<sup>1</sup>sze p<sup>3</sup> godziny. Potem bêdziemy tañczyæ. Bêdê musia<sup>3</sup>a poprosiaê Gervaise'a, by poprowadzi<sup>3</sup> mnie w pierwszym tañcu. A kiedy bêdzie opera? - spyta<sup>3</sup>a Saint-Germaina.

Robert mia<sup>3</sup> ju<sup>1</sup> upomnieæ j<sup>1</sup> za niestosowne zachowanie, lecz Saint-Germain nie zaprotestowa<sup>3</sup>.

- Rozpoczniemy j<sup>1</sup> z wybiciem p<sup>3</sup>nocy, mademoiselle. Nie bêdziemy hañbiaê niedzieli tak: zwyk<sup>3</sup>ym przedstawieniem.

- Nie wiem, j<sup>13</sup>. dam radê tyle wyczekaæ - jej oczy rozjarzy<sup>3</sup>y siê.

- Naprawdê nic mi nie powiesz o tym dziele?

- W<sup>1</sup>tpiê, by hrabia Saint-Germain by<sup>3</sup> zachwycony twoim zuchwalstwem, Madelaine - odezwa<sup>3</sup> siê w koñcu Robert. - Nawet siostry od œwiêtej Urszuli, które by<sup>3</sup>y jej nauczycielkami i które ma<sup>3</sup>o na ni<sup>1</sup> narzeka<sup>3</sup>y, nie oduczy<sup>3</sup>y jej okazywanej niekiedy arogancji i umi<sup>3</sup>owania do groteski

- wyjaceni<sup>3</sup> hrabiemu, tytu<sup>3</sup>em przeproszenia.

- Gdybym kiedyœ mia<sup>3</sup> byæ ojcem - powiedzia<sup>3</sup> Saint-Germain z ucemiechem, który dorównywa<sup>3</sup> ucemiechowi Roberta - to pragn<sup>13</sup>bym, aby moje dziecko mia<sup>3</sup>o tak<sup>1</sup> w<sup>3</sup>acenie odwagê w sobie i taki rozum, jakie posiada Madelaine.

Robert de Montalia by<sup>3</sup> ju¿ ca<sup>3</sup>kowicie uspokojony. Stwierdzi<sup>3</sup> ostatecznie, ¿e wzglêdy, którymi Saint-Germain darzy Madelaine wynikaj<sup>1</sup> z jego bezdzietnoœci.

- To trzeba jej przyznaæ - stwierdzi<sup>3</sup> i zwróci<sup>3</sup> siê ku Claudii, w chwili, gdy nastêpna postaa<sup>3</sup> pojawi<sup>3</sup>a siê w drzwiach.

Markiz de Montalia spojrze<sup>3</sup> w szarawe, gadzie oczy, które przez jedn<sup>1</sup> krótk<sup>1</sup> chwilê odwzajemni<sup>3</sup>y siê drwi<sup>1</sup>co.

- Proszê o wybaczenie tak póŹnego przybycia, lecz zaproszenie pani mêt;a dotar<sup>3</sup>o do mnie dopiero podczas wieczornego posi<sup>3</sup>ku - sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê nad rêk<sup>1</sup> Claudii. - Oczarowany jestem, madame, przysiêgam. - Ca<sup>3</sup>ym sob<sup>1</sup> wyra¿a<sup>3</sup> pogardê. Jego strojny, z<sup>3</sup>ocisty surdut wyœmiewa<sup>3</sup> siê z nich. Wyœmiewa<sup>3</sup>y siê weneckie koronki, którymi wymachiwa<sup>3</sup> sk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c uk<sup>3</sup>on przed ojcem Madelaine. - Ufam, ¿e nawet tak stary znajomy jak ja, mo¿e skorzystaæ ze sposobnoœci, by odnowiæ zapomnian<sup>1</sup> przyjaŹñ.

Clauda rzuci<sup>3</sup>a udrêczone spojrzenie swemu bratu, który zblad<sup>3</sup> jak p<sup>3</sup>ótno.

- Mon baron - zaj<sup>1</sup>knê<sup>3</sup>a siê, usi<sup>3</sup>uj<sup>1</sup>c zrozumieæ, co te¿ mog<sup>3</sup>o sk<sup>3</sup>oniaæ jej mêt;a, by zaprosiæ na to przyjêcie największego wroga Roberta.

- Nie musi mnie pani przedstawiaæ - powiedzia<sup>3</sup> swobodnie. - Widzia<sup>3</sup>em ju¿ mademoiselle przy innych okazjach, chocia¿ nie przypominam sobie, ¿ebym by<sup>3</sup> jej formalnie przedstawiony. Jednak moje dawne zwi<sup>1</sup>zki z jej ojcem sprawiaj<sup>1</sup>, ¿e dawno ju¿ czu<sup>3</sup>em <sup>3</sup>1cz<sup>1</sup>c<sup>1</sup> mnie z ni<sup>1</sup> specyficzn<sup>1</sup> wiêŹ - uj<sup>13</sup> d<sup>3</sup>oñ Madelaine. - Pewien jestem; ¿e poznamy siê lepiej, nim ten rok przeminie.

- Niestety, wielu jest ludzi w Pary¿u, baronie. Nie wiem, czy bêtê mia<sup>3</sup>a czas.

Tym razem nieuprzejmoœæ córki nie sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup>a Roberta do upomnienia Madelaine. Sta<sup>3</sup> nieruchomy, jak obrócony w marmur, z przera¿eniem p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>cym w lodowych oczach.

- A..., Saint-Germain... - Saint Sebastien zauwa¿y<sup>3</sup> hrabiego. - S<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em o pañskich drobnych niepowodzeniach w Hotelu Transylwania. Zaiste, dziwny to powód do pojedynku, lecz obcokrajowcy zawsze s<sup>1</sup> dziwni.

Twarz Madelaine zblad<sup>3</sup>a.

- A teraz - ci!gn<sup>13</sup> melodyjnie baron - ten miody cz<sup>3</sup>owiek nie Źyje. Ciekawe, jak to siê mog<sup>3</sup>o staæ. Nie potrafiê sobie wyobraziæ, w jaki to niby sposób mog<sup>3</sup>by pan skorzystaæ na jego œmierci, a jednak... musi mi pan wybaczyæ te spekulacje - uda<sup>3</sup> zak<sup>3</sup>opotanie. - Tysiêczne przeprosiny, kontesso. To nie jest w<sup>3</sup>œciwy temat na tak<sup>1</sup> okazjê. Tak œwi<sup>1</sup>teczn<sup>1</sup> okazjê. Mój tok rozumowania wyprzedzi<sup>3</sup> moje maniry - sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê, jak mog<sup>3</sup> najg<sup>3</sup>êbiej i raz jeszcze spojrze<sup>3</sup> na Saint-Germaina. - Musi mi pan wybaczyæ, hrabio, lecz wyznajê, iŹ zdziwiony by<sup>3</sup>em, gdy Beauvrai opisa<sup>3</sup> mi ten pojedynek. Do tamtej chwili mia<sup>3</sup>em o panu opiniê zgo<sup>3</sup>a inn<sup>1</sup>, s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em, Źe nie jest pan skory broniaæ swego honoru.

Saint-Germain sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> g<sup>3</sup>owê.

- Oto dowód, jak moŹna zostaæ zwiedzionym pozorami, mon baron - mrukn<sup>13</sup> niedbale.

- Tak - zgodzi<sup>3</sup> siê Saint Sebastien, cedz<sup>1</sup>c s<sup>3</sup>owo. Przytkn<sup>13</sup> chusteczkê do nosa, jakby chcia<sup>3</sup> s<sup>3</sup>umiaæ niezdrowy odór, oczy zwêzi<sup>3</sup>y siê daj<sup>1</sup>c œwiadectwo myœlom, które k<sup>3</sup>êbi<sup>3</sup>y siê niepokoj<sup>1</sup>co. Potem, gdy wejœcie by<sup>3</sup>o juŹ zupe<sup>3</sup>nie ciche, odwróci<sup>3</sup> siê i niespiesznie odszed<sup>3</sup> do sali balowej.

Cisza zalega<sup>3</sup>a jeszcze przez kilka chwil i sta<sup>3</sup>a siê niemal nie do zniesienia dla Roberta de Montalia, który z blad<sup>1</sup> twarz<sup>1</sup> przypatrywa<sup>3</sup> siê swojej siostrze.

- Co to ma znaczyæ, Claudio? Jak œmia<sup>3</sup>æe zapraszaæ Saint Sebastiena? Wiesz przecieŹ, Źe tego zabroni<sup>3</sup>em.

- Ja go nie zaprasza<sup>3</sup>am! - krzyknê<sup>3</sup>a niemal. - Uwierz mi, Robercie. To Gervaise go zaprosi<sup>3</sup>. To nie by<sup>3</sup> mój pomys<sup>3</sup>, nie mia<sup>3</sup>am zamiaru...

- On jest z<sup>3</sup>em! NiewyobraŹalnym, wcielonym z<sup>3</sup>em. Na sam<sup>1</sup> myœl, Źe dotyka mej córki... Claudio, on hañbi nas wszystkich. On moŹe robiæ wszystko... - gniew opada<sup>3</sup> tak szybko, jak siê pojawi<sup>3</sup>. Przygarbi<sup>3</sup> siê, rêce mu drŹa<sup>3</sup>y. - Mi<sup>3</sup>osierna Matko, co ja zrobi<sup>3</sup>em?

- AleŹ nie jest tak Ÿle - Madelaine przypad<sup>3</sup>a do boku ojca, <sup>3</sup>zy nap<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>y jej do oczu. - Nie moŹesz temu straszmemu cz<sup>3</sup>owiekowi pozwoliaæ, by zepsu<sup>3</sup> moje przyjêcie - popatrzy<sup>3</sup>a z rozpacz<sup>1</sup> na Saint-Germaina. - Czy pomoŹe nam pan, hrabio? To przykre, widzieæ mego ojca tak nieszczêœliwym.

Gdy wzrok Saint-Germaina spocz<sup>13</sup> na jej twarzy, by<sup>3</sup> w nich jakieœ niemoŹliwe do odczytania wyraz.

- Dobrze, Madelaine, jak sobie Źyczysz. Czy zechce pan przejœæ siê ze mn<sup>1</sup>, sir? - zwróci<sup>3</sup> siê do markiza. - Muszê sprawdzaæ dekoracje na scenie i stanowiska dla muzyków. A moŹe zechce pan przy okazji wys<sup>3</sup>uchaæ paru utworów?

- Dziêkujê panu, lecz nie - powiedzia<sup>3</sup> markiz z oficjaln<sup>1</sup> sztywnoœci<sup>1</sup>. Zamiast przyj<sup>1</sup>æ tê oczywiœt<sup>1</sup> odmowê, Saint-Germain ucemiechn<sup>13</sup> siê uprzejmie.

- AleŹ, de Montalia, proszê ze mn<sup>1</sup>. Kiedy to znów bêdzie pan mia<sup>3</sup> okazjê us<sup>3</sup>yszeæ wielkiego Ombrasalice na próbach? Jest tylko paru kastratów, którzy potrafi<sup>1</sup> siê z nim równaæ.

Robert de Montalia przystan<sup>13</sup> niepewnie, jakby chcia<sup>3</sup> zerwaæ siê do lotu. Wzi<sup>13</sup> nagle Madelaine w ramiona.



- Nie wiesz, co kiedyś zrobię. Nie powinienem pozwolić ci tu przyjść. Wiedziałem o niebezpieczeństwie. Czemu na to zezwoliłem? Wiedziałem... Czy rozumiesz to, dziecko? Wiedziałem, nawet gdy przypuszczałem, że go nie ma. I Saint Sebastien też wiedział, bo po cóż by innego przebywał w Paryżu? Czemu on tu jest, po co, jeżeli nie po ciebie?

Na twarzy Madelaine malował się i lęk, i gniew. Wyceliznęła się z ramion ojca.

- To nie czas ani miejsce! - powiedziała ostro. - Jeżeli naprawdę znalazłam się w jakimś niebezpieczeństwie, to błagam cię, byś nie informował o tym wszystkich.

Zanim de Montalia zdążyła powiedzieć cokolwiek więcej, Saint-Germain dotknął jego ramienia.

- Markizie, pańska córka ma całkiem rację. Z pewnością to, co masz jej do powiedzenia może poczekać, aż znajdziecie się na osobności. W międzyczasie, czy mogłoby zaproponować panu odwiedzenie muzyków? Może jeżeli powie mi pan, czego się obawia, to razem będziemy w stanie znaleźć rozwiązanie.

Pozwolił się odciągnąć od drzwi.

- Jest pan dyletantem. Nic pan nie wie o tym, co może się stać z moją córką - powiedziała po drodze.

- A zatem miejmy nadzieję, że mnie pan oświeci. - Poprowadził markiza korytarzem do biblioteki, gdzie oczekiwali muzycy. - Niech pan zapomni na ten jeden wieczór o kłopotach. Jeżeli nie dla pańskiego dobra, to dla dobra pańskiej córki. - Otworzył szeroko drzwi i został powitany przez kakofonię dźwięków, która urwała się nierówno, gdy zamknięto drzwi.

Wysoki mężczyzna o pogodnych rysach i we wspaniałym stroju stał przy kominku i usilnie próbował się skoncentrować.

- Saint-Germain - powiedziała głosem srodkim, niemal dokładnie chłopięcym.

- Dobry wieczór, Aurelio. Czy mógłby mieć ten zaszczyt i przedstawić ci markizie Aurelia Ombrasalice? To jest markiz de Montalia, ojciec kobiety, na cześć której odbędzie się ten występ.

Wśród muzyków rozległ się pomruk, a kobieta, której brzydota czyniła ją oszałamiająco atrakcyjną, wystąpiła przed innymi i dygnęła.

- To madame Inez Montoya, która zaciepiewa dzie party Persefony. Ufam, że temat Persefony i Boga Podziemnego Œwiata nie wyda się panu niewłaściwy.

- To nic przerażającego, prawda? - wykonał nieokreślony gest dłońmi.

- Lecz rzecz jest o uprowadzeniu, prawda? - spojrzawszy wilkiem na Saint-Germaina. Hrabia przyjął to z czarującym uśmiechem i odpowiedział:

- Poproszę Ombrasalice, by zaciepiewała dla pana teraz, a jeżeli znajdzie pan w tym cokolwiek, co by pana uraziło, od razu usuniemy to z tekstu - odwrócił się szybko. - Aurelio, czy robi pan to dla mnie? Wiem, że został pan zaangażowany, by śpiewać tylko na przedstawieniu, lecz poczytałbym to sobie za zaszczyt.

- Zaczepiam jedn<sup>1</sup> ariê. Tyle, że cicho - zgodzi<sup>3</sup> siê z wdziêkiem Aurelio.

- Dziêkujê, przyjacielu. Przyjmê z wdziêcznoœci<sup>1</sup> ten zaszczyt - Saint-

-Germain skin<sup>13</sup> na markiza, by usiad<sup>3</sup>. Ca<sup>3</sup>y dziewięcioosobowy zespój zestraja<sup>3</sup> instrumenty.

Hrabia nie s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>, by Robert de Montalia by<sup>3</sup> w stanie odczytaæ zawarte w arii przes<sup>3</sup>anie przeznaczone w zasadzie wy<sup>3</sup>cznie dla Madelaine. Zestroiwszy instrumenty muzycy spojrzeli pytaj<sup>1</sup>co na hrabiego.

- Ta aria, mon mar<sup>1</sup>uis - wyjaœni<sup>3</sup> Saint-Germain -jest dwuczêœciowa. Largo, potem pasa<sup>1</sup> na smyczki i nastêpuj<sup>1</sup>ce po nim andante espressivo. Proszê, panowie.

Po nied<sup>3</sup>ugim wprowadzeniu w d-moll, które smyczki poprowadzi<sup>3</sup>y w opadaj<sup>1</sup>cych triadach, koñcz<sup>1</sup>c dwoma akordami granymi pizzicato, Aurelio odst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> od kominka i zaczepia<sup>3</sup> mocnym, wysokim g<sup>3</sup>osem:

W moim królestwie cieni

Przez sionce nietkniêtym, cierpia<sup>3</sup>em,

Czemu nie wiedz<sup>1</sup>c, ni sk<sup>1</sup>d.

Emiech twój szaleñstwem zieleni

Porwa<sup>3</sup> mnie; z nim wylecia<sup>3</sup>em

Pod niebios, i st<sup>1</sup>d

Persefono, jam zgubiony ju<sup>1</sup> jest przez tê mi<sup>3</sup>oœæ,

Lecz ile mi<sup>3</sup>oœæ ma musi znieœæ!

Smyczki przes<sup>3</sup>y do tonacji durowej, przyspieszaj<sup>1</sup>c jednocześnie. Saint-

- Germain obserwowa<sup>3</sup> pilnie ojca Madelaine i stwierdzi<sup>3</sup>, i<sup>1</sup> przes<sup>3</sup>anie pozosta<sup>3</sup>o nieodkryte.

Przytaka<sup>13</sup> sobie w myœlach, gdy Ombrasalice zacz<sup>13</sup> drug<sup>1</sup> czêœæ:

W ciemnoœci p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>c za twym blaskiem

Ten ogieñ p<sup>3</sup>oszy moj<sup>1</sup> noc.

Lecz choæ on we mnie dla ciê plonie,

To nigdy go nie ujrzy nikt,

I wiatr, co w ka<sup>1</sup>dej œwiata stronie

Przegania czas, mi nie zwiastuje. Nie przyjdzie nikt.

Smyczki przyæmi<sup>3</sup>y tê ariê têsknym powtórzeniem drugiego tematu, a potem zœœliznê<sup>3</sup>y siê na koniec do tonacji minorowej. Aurelio spogl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> krytycznie na markiza.

- Wola<sup>3</sup>bym nie usuwaæ tej arii, markizie - powiedzia<sup>3</sup>, gdy muzycy skoñczyli graæ. - Bardzo mi siê podoba.

- Jest doœæ nieszablonowa - stwierdzi<sup>3</sup> w koñcu Robert de Montalia. - Nie jestem zaznajomiony z t<sup>1</sup> harmoni<sup>1</sup>.

- Oparta jest na greckich pieœniach i poezji - Saint-Germain pomyœla<sup>3</sup> o tych czasach, gdy flecistki dawa<sup>3</sup>y w Atenach koncerty. - Opowieœæ pochodzi z antyku, s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>em zatem, że to rozwia<sup>1</sup>zanie

będzie najlepsze. Lecz jeżeli znajduje pan ten utwór zakłócającym pański spokój... - resztę zostawi³ niedopowiedzian¹, robi¹c wszystko, co możliwe, by zignorowaæ wyraz gniewu maluj¹cy siê na twarzy Ombrasalice.

- Nie, nie, nie widzê tu niczego, co mog³oby zaniepokoiæ Madelaine. To jest całkiem zgodne z wymogami dobrego smaku, i muszê powiedzieæ- doda³ szczerze - że pańska sztuka jest najbardziej pochlebaj¹cym podarunkiem. Pewien jestem, że Madelaine będzie prawdziwie i g³êboko ukontentowana. - Wsta³, zbieraj¹c siê do wyjœcia.

- Proszê zaczekaæ chwilê, markizie - wstrzyma³ go Saint-Germain. Wyda³ kilka ostatnich instrukcji muzykom, po czym wyszed³ za markizem, starannie zamykaj¹c drzwi.

- Teraz, mon marquis, lepiej będzie, gdy powiem panu, iż orientujê siê po czêœci w naturze pańskiego k³opotliwego zwi¹zku z Saint Sebastienem- uniós³ d³oñ, by powstrzymaæ protest. - Cokolwiek mo¿e siê zdarzyæ, pragnê, by uwierzy³ pan w moj¹ dobr¹ wolê i uzna³, iż jestem na pañskie rozkazy i to o dowolnym czasie. Markiz de Montalia' nabra³ rezerwy.

- Dziêkujê za troskê, hrabio, lecz nie wyobra¿am sobie, by móg³ w mojej rodzinie zaistnieæ jakikolwiek problem wymagaj¹cy ingerencji osób z zewn¹trz.

- Oczywiście. - Doszli ju¿ niemal do sali balowej. Saint-Germain zatrzyma³ siê, by spróbowaa zyskaa zaufanie markiza. Gdyby jednak wypadki potoczy³y siê inaczej, to mo¿e wezwaa mnie pan o ka¿dej porze. By³bym szczerze zobowi¹zany, gdyby pan o tym pamiêta³.

Robert de Montalia poczu³ kie³kuj¹cy dreszcz niepokoju. Gdy przypomni³ sobie nienawioœæ, jak¹ sam darzy³ Saint Sebastiena, przyszed³ mu do g³owy pewien pomys³.

- Czy i pan ma z baronem sprawê do rozwi¹zania? Saint-Germain otworzy³ drzwi do sali balowej.

- Tak. D³ug, który chcia³bym sp³aciæ.

- Rozumiem - przytakn¹³ Robert de Montalia. - Bêdê pamiêta³ o pañskiej propozycji - sk³oni³ siê raz jeszcze i odszed³, nikn¹c w okaza³ym t³umie. Saint-Germain nie mia³ okazji rozmawiaæ z nim a¿ do koñca przyjêcia.

- Wielki sukces, kontesso - powiedzia³ kilka godzin póŹniej k³aniaj¹c siê ponad d³oni¹ gospodyni. Pomimo zaawansowanej pory jego strój by³ wci¿ w nienagannym porz¹dku, a puder nie opuœci³ miejsca na w³osach.

- Jeżeli tak by³o naprawdê - Claudia ucemiechnê³a siê gor¹co - to panu nale¿y siê czêœæ z tych pochwa³. Persefona by³a triumfem.

- Dziêkujê, kontesso, lecz obawiam siê. że to raczej ma³o znacz¹ce dzie³o

- powiedzia³ to tak naturalnie i szczerze, że trudno by³o to wzi¹æ za kokieteriê.

- Dostarczy³o nam wspania³ej zabawy. Madelaine by³a zachwycona.

- Naprawdê? - ucemiechn¹³ siê tajemniczo. - A zatem ju¿ zosta³em hojnie nagrodzony.

- Obawiam się, że teraz urośnie ona aż za bardzo w mniemaniu o sobie- stwierdził markiz de Montalia, który usłyszał rozmowę, wchodził do głównej sali. - Lecz przynajmniej, że utwór byłby rzadkiej urody i zdoła dostarczyć nam pan sporej przyjemności.

- Powiem to muzykom, markizie. To ich umiejętności dodały muzyce życia - skinął na lokaja. - Czarny aksamitny płaszcz z czerwonymi zapinkami pod szyją.

- Pamiętam, hrabio. - Już po chwili był z okryciem, gotów pomóc Saint-Germainowi przy ubieraniu się.

- Nie, dziękuję. Poniosę go. Deszcz przestał na razie padać - wziął płaszcz. - Czy może mi pan powiedzieć, czy Saint Sebastien już wyszedł?- spytał markiza. - Zdaje mi się, że nie widziałem go między gośćmi na Persefonie?

- Nie wiem - markiz de Montalia popatrzył wokół niepewnie.

- Saint Sebastien był nieśmiały - powiedział z kwadrans minuty Claudia- by wyjść zaraz po uwerturze. Wymawia się nudzi. Ku zdziwieniu wszystkich, Saint-Germain rozeciera się.

- Cóż, jest przynajmniej uczciwym krytykiem. Proszę cię bardzo, powiedz Madelaine, że zobaczą się z nią w umówionym czasie. Jak widziałem, wciąż jeszcze okupuje wraz z najwytrwalszymi salę balową. - Odwrócił się do markiza. - Zaczęło się do sprawy, o której mówiliśmy wczecniej, to niech mi pan uwierzy, de Montalia, że nigdy w życiu nie byłem bardziej szczerzy.

Nie czeka na odpowiedź, lecz chwytawo ruszył ku drzwiom. Po chwili zagłębił się w noc.

Nieca godzinę później Madelaine otworzyła okno na drugim piętrze rezydencji w odpowiedzi na zgodne pukanie i niecierpliwie drapanie na melodię, którą słyszała podczas przyjęcia; melodię opery.

- Saint-Germain? - wyszeptała, gdy zobaczyła mężczyznę, który siedział uczipiony na wiatrowym parapecie okna. - Jak ty...? To niebezpiecznie wysoko... - powstrzymała pytania, odstępując, by zrobić mu miejsce.

- Jakkolwiek to zrobię, wejdź teraz do ośrodka.

Szeleszcząc strojem, Saint-Germain wszedł do wnętrza. Przed sobą funkcjonalność ponad wytworność, zakładając tym razem kamizelkę ciemną, niemal brunatną, burgundzkie pantalony i pończochy, jak i koszulę z naturalnego muślinu. Puder został wyszczotkowany z jego włosów związanych teraz prosto burgundzką kokardą. Ciesząc się z drobnych detali austriackie rękawiczki i odłożył je na bok.

- Chodno na zewnątrz.

- Usiadł przy ogniu - wskazała mu krzesło. Potem opadł na podłogę, obok niego. Nocna koszula z indyjskiego jedwabiu przywarła ciasno do ciała. Nie oparł się o niego, lecz podciągnął kolana i usiadł na nich podbródek.

Siedzieli tak, aż Saint-Germain dotknął lekko jej ramienia.

- Co cię martwi, kochana? Nie odpowiedział od razu.

- Pojedynekowa<sup>3</sup>ce siê. Mog<sup>3</sup>ce zostae zabity.

- Zabity? - Saint-Germain powstrzyma<sup>3</sup> œmiech. - By mnie zabiaæ, Madelaine, trzeba po<sup>3</sup>amaæ mi krêgos<sup>3</sup>up. Zabiaæ mnie mo¿e miecz, ko<sup>3</sup>ek, mo¿e ta nowoœæ, kule. Wszystko, co mia¿d¿y krêgos<sup>3</sup>up. Jeden mojej krwi zgin<sup>13</sup> kiedyœ w Rzymie, gdy budynek zwali<sup>3</sup> siê na niego. No i ogieñ. Mogê sp<sup>3</sup>on<sup>1æ</sup>, jak wszystko, co ¿yje. Lecz pojedynek? Ten impulsywny, pechowy m<sup>3</sup>odzieniec nawet mi nie zagrozi<sup>3</sup> - zapatrzy<sup>3</sup> siê w okno. - Szkoda tylko, ¿e nie wiem, kto go zabi<sup>3</sup>.

- Czemu? - spyta<sup>3</sup>a, wyczuwaj<sup>1c</sup> jego niepokój.

- Bo wtedy, moja droga, wiedzia<sup>3</sup>bym, kto chce mojej œmierci - umilk<sup>3</sup> nagle. - Oczywiście wiem, kto za tym stoi - doda<sup>3</sup> po chwili.

- Czy to dlatego nie ubra<sup>3</sup>ce siê na czarno? - spojrze<sup>3</sup>a na niego prowokuj<sup>1co</sup>. - Zauwa¿y<sup>3</sup>am. Nie myœl, ¿e nie mam oczu.

- Wiem, ¿e jesteœ spostrzegawcza - rozcemia<sup>3</sup> siê cicho. - I inni tak samo. Wiadomo, ¿e hrabia Saint-Germain nosi tylko czernie i biele, i ¿e ktoœ w ciemnym br<sup>1</sup>zie i burgundach to nie mo¿e byæ on. Nie pragnê, by plotki o naszej znajomoœci dosz<sup>3y</sup> do niepowo<sup>3</sup>anych uszu.

Przechyli<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>owê.

- Jeœli nie Saint-Germain, to kto mnie odwiedzi<sup>3?</sup> - w jej g<sup>3</sup>osie kry<sup>3</sup> siê niepokój.

- Och, graf Tsarogy, jeœli ci siê podoba. U¿ywa<sup>3</sup>em tego imienia w Schwalbach. Albo lord Weldon, tak kaza<sup>3</sup>em na siebie mówiaæ, jak pamiêtam, w Lipsku i Mediolanie. Lub hrabia Soltikoff, którym by<sup>3</sup>em w Genui i Livorno. Mam oczywiście jeszcze inne imiona. Mo¿esz wybraæ najbardziej atrakcyjne.

- Przestañ, Saint-Germain - pokrêci<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>. - Nie podoba mi siê, gdy tak mówisz. Zaczynam obawiaæ siê, ¿e zmienisz siê tak, jak zmieniasz swoje imiê, a gdy nie bêdziesz ju¿ Saint-Germainem, zapomnisz o mnie - odwróci<sup>3</sup>a siê od niego. Widzia<sup>3</sup> teraz jedynie jej profil.

- Czy naprawdê tak s<sup>1</sup>dzisz, Madelaine? - spyta<sup>3</sup> z nag<sup>3</sup>ym rozbawieniem i pog<sup>3</sup>adzi<sup>3</sup> jej ciemne, leni<sup>1</sup>ce w<sup>3</sup>osy w miejscu, gdzie pada<sup>3</sup> na nie blask ognia. - Czy s<sup>1</sup>dzisz, ¿e kiedykolwiek móg<sup>3</sup>bym zapomnieæ o tobie?

- ¿yjesz od tak dawna - powiedzia<sup>3</sup>a smutno. - I bêdziesz ¿y<sup>3</sup> jeszcze d<sup>3</sup>ugo. Łatwo by<sup>3</sup>oby zbyæ mnie... Opad<sup>3</sup> przy niej na jedno kolano, jak rycerz przed wasalem.

- Masz na to moje s<sup>3</sup>owo, ¿e ciê nie zapomnê. Jesteœmy zwi<sup>1</sup>zani, ty i ja. Przysiêgam, ¿e nie zabawiam siê twoim ¿yciem - g<sup>3</sup>os mia<sup>3</sup> nieco chropawy, wiêcej by<sup>3</sup>o w tych s<sup>3</sup>owach srogocci, ni¿ ¿aru.

Krew uderzy<sup>3</sup>a jej do g<sup>3</sup>owy. Nie mog<sup>3</sup>a spojrzeæ na niego. Przypomnia<sup>3</sup>a sobie lekturê Starego Testamentu i s<sup>3</sup>owa o mi<sup>3</sup>oœci tak strasznej, jak armia ze sztandarami. Wówczas nie zrozumia<sup>3</sup>a tego.

- To nie jest tylko s<sup>3</sup>odkie rozmarzenie, prawda Saint-Germain? Przez ca<sup>3</sup>e ¿ycie powtarzano mi, ¿e namiêtnoœæ jest prawem mê¿czyzny i tylko mê¿czyzny, a spraw<sup>1</sup> kobiety jest poddanie.

- A ty chcesz być zdobywcą? - przysunął się bliżej. Przytaknęła niepewnie.

- A potem zacznę się bać i gadać od rzeczy... - zacisnęła dłoń - Widzę wokoło tyle pięknych kobiet, i gdy myślę o tym, jak długo żyjesz, to chciałabym je wszystkie przepędzić, być nigdy mnie nie opuścił. Nie zniosłabym tego... - Rzuciła się na niego z piśtkami. - Wiem, że to nie ma sensu! Nie powstrzymywał jej uderzeń.

- Zazdrosna jesteś! Nie musisz.

- Tak! Jestem czasem, gdy myślę, że mnie zapomnisz lub zmęczysz się mną. Odejdiesz, by być jakimś rosyjskim carem czy arabskim matematykiem. Mógłbyś to zrobić, prawda?

Korciło go, by się rozemocniała, lecz nie zrobiła tego. Ujęła jej dłoń.

- Od czasu do czasu będę z pewnością wyjeżdżała. Wkrótce na przykład muszę udać się do Anglii. Dałem siostrze Mer-Herbeux. Lecz zawsze będę wracał do ciebie. Nigdy cię nie opuszczę. W twoim czy w moim życiu. Miłość nie jest dla słabych, moja droga. Musisz zdobyć się na odwagę - jego ciemne oczy rozjarzyły się. - Jesteś krwią z mojej krwi, Madelaine. Nie mógłbym opuścić cię tak, jak nie mógł przejść Sekwany bos stop. Nawet, gdyby krew nas nie wiązała, to i tak przysięgam ci miłość.

Madelaine ucieszyła się ciepło, chociaż nadal potrzebowała z niedowierzaniem głowę.

- Lecz dla ciebie krew jest cenniejsza, prawda? Zamilkła.

- To wszystko co mam - odezwał się po dłuższej chwili. - Odkładam się wampirem, straciłem normalne zdolności. W większości przypadków zresztą nie użyję. Lecz dla ciebie chciałbym być mężczyzną i kochać cię ze wszystkimi przyjemnościami ciała.

Uniosła się na kolana, przyciskając się do niego, pozwalając, by ją objął.

- To nie ma znaczenia - wyprzedzała jego wrażliwość. - Nie, nie przypominaj mi, że nigdy nie zaznam niczego z mężczyzną. Nawet gdybym miała tuzin kochanków, nie robiłoby mi to różnicy.

- Może - mruknął. Objął ją mocniej, gdy ucałowała jego łecnice wosy.

Jej zmysły wyostrzyły się. Miała wrażenie, że na nowy sposób doznaje ucisku jego ramion, że czuje światło jego oczu, że odczuwa namiętność jego dłoni. Odetchnęła gwałtownie, jakby po raz pierwszy zasmakowała powietrza. Wiedziała, że on czeka, powstrzymując swe pragnienie, aż będzie mogła dzielić z nim rozkosz.

- Rozleć się na kawałki z radości-mruknęła bez tchu. - Chcę, pragnę, głęboko... być czułym, co robię - spojrzęła prosto w jego twarz. - Nie pozwolisz mi posmakować twojej krwi?

- Nie niepokój się. Jeżeli rozkosz może sprowadzić szaleństwo... - zdjął kamizelkę i sięgnął do guzików muślinowej koszuli. Pogłaskała jej szyję i ramiona, a potem ujął jej twarz w dłoń. - Jest późno, Madelaine. Krwawię dla ciebie.

- Tak, och, proszę, tak - odwróciła się i ułożyła na plecach na grubym białym dywanie przed kominkiem. W chwilach jej porywów ognia, nie krew, gdy jego usta szukały jej warg.

Wczecniej wydoby<sup>3</sup> dla niej muzykê z klawesynu, teraz wyzwala<sup>3</sup> muzykê z jej cia<sup>3</sup>a. Z czu<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup> w oczach zsuwa<sup>3</sup> strój z okr<sup>1</sup>g<sup>3</sup>oœci jej ramion, piersi, bioder, ud. Ka¿de ods<sup>3</sup>oniête miejsce ubiera<sup>3</sup> natychmiast w dotkniêcia swych d<sup>3</sup>oni i warg. Ka¿dym ruchem wydobywa<sup>3</sup> z jej cia<sup>3</sup>a najg<sup>3</sup>êbsz<sup>1</sup> harmoniê.

Madelaine dr¿a<sup>3</sup>a, gdy jej cia<sup>3</sup>o rozwar<sup>3</sup>o siê, by przyj<sup>1</sup>æ jego rêce, by przyciskaæ siê coraz bli¿ej do jego ust w nieustaj<sup>1</sup>cej ekstazie. Jej nierozpoznane, nierozbudzone do tej chwili pragnienia, nap<sup>3</sup>ywa<sup>3</sup>y fala za fal<sup>1</sup>. Krzyknê<sup>3</sup>a, gdy ma<sup>3</sup>e d<sup>3</sup>onie zb<sup>3</sup>1dzi<sup>3</sup>y w nauce jej cia<sup>3</sup>a.

Teraz on rozci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> siê obok niej i przytuli<sup>3</sup> do siebie. Jego obecnoœæ, ujmuj<sup>1</sup>ce poczucie bliskoœci, odgradza<sup>3</sup>y j<sup>1</sup> od wszystkiego - nik<sup>3</sup>ego ognia w kominku, pokoju, œwiata. W koñcu jego usta przywar<sup>3</sup>y do kr<sup>1</sup>g<sup>3</sup>oœci jej szyi. Odrzuci<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>owê do ty<sup>3</sup>u i z uczuciem triumfu zacisnê<sup>3</sup>a powieki, a¿ uniesienie, radoœæ i namiêtnoœæ przejê<sup>3</sup>y nad ni<sup>1</sup> kontrolê.

*Tekst listu czarownika Le Grace do barona Clotaire de Saint Sebastiena; datowane 4 listopada 1743:*

*Le Grace przesyła baronowi Saint Sebastien najgłówniejsze ukazy.*

*Posłuszny pańskim poleceniom i peñen chęci, by wypełniać pańskie rozkazy, poszukiwałem pilnie, mon cher baron, miejsca, gdzie skryli się pozostali członkowie Gildii. Miałem o nich dowiedzieć się, lecz wiem, że nie opuścili oni Paryża, gdyż stary Valenaine z la rue de les Cinq Chats widział parę dni temu Anglika Sattina. Ktoś inny rozmawiał z czarownikiem o imieniu Domingo y Roxas, lecz nikt nie potrafił udzielić informacji co do miejsca ich pobytu. Valenaine słdzi, że mogli skryć się pod ochronę jakiegoś potężnego szlachcica, ale o tym to pan by wiedział.*

*Lecz jest jeszcze co innego, co mnie zaintrygowało, mon baron. Kazał mi pan odnaleźć księcia Rakoczego dla znanego mu sekretu produkcji diamentów. Dziwne wydaje mi się, że pytał mnie pan o niego, skoro nie dalej jak wczorajszej nocy sam pan z nim rozmawiał. Tuż po tym, gdy rozmawiałem z panem przed rezydencją d'Argenlac, kazał mi pan natychmiast się oddalić, i nie wiedziałem czemu, dopóki nie ujrzałem pana po godzinie w rozmowie z Rakoczym. Wprawdzie ubrany był o wiele bogaciej, lecz to z pewnością ten sam człowiek. To nie tylko czarny strój podpowiedział mi, że to on. Nikt inny nie porusza się w ten sposób, nikt nie ma takich oczu.*

*Nie chcę być nieuprzejmy, mon baron. Bez wątplenia ma pan swoje powody, by kazać mi tracić czas na bezsensowny z definicji pościg. Jeżeli sprawdza mnie pan, to nie mogę pojąć co chciał pan przez to osiągnąć. Lecz jeżeli jest to przebiegły fortel nastawiony na to, by zachować sekret klejnotów dla pana i pańskiego szlachetnego Kręgu, to ostrzegam pana, że rozniosę wiadomości o tym oszustwie. Dopóki nie zaferuje mi pan powodu, bym tego nie czynił. Czekam.*

*Przybędę do pańskiej rezydencji dzień wczoraj i mam nadzieję przedyskutować z panem, mon baron, ową kwestię. Garę diamentów gwarantuje moje milczenie. Dwie garści - słowo, że wyniosę się razem z pańskim sekretem z Francji i to na zawsze, a pan będzie mógł kontynuować oszukiwanie niedoświadczonych górców tak długo, jak długo się panu podoba. To zależy od pana.*

**Le Grace**



Markiz Chenu-Tourelle poda<sup>3</sup> rêkê Madelaine i odsun<sup>13</sup> siê nieco, gdy wsiada<sup>3</sup>a do jego najlepszego powozu. Potem sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê z szacunkiem i poczeka<sup>3</sup>, a<sup>ç</sup> dama Madelaine, Cassandre, pod<sup>1</sup>çy za swoj<sup>1</sup> pani<sup>1</sup>, uemiechaj<sup>1c</sup> siê do markiza z wdziêcznoœci<sup>1</sup> za okazywane jej wzglêdy.

- Jak ju<sup>ç</sup> ci mówi<sup>3</sup>em - markiz odwróci<sup>3</sup> siê do stangreta - nie musisz siê spieszyæ, Henri. Nie zajmie nam to zapewne wiêcej, ni<sup>ç</sup> godzinê. Dobrze by by<sup>3</sup>o, gdybyœ <sup>3</sup>agodnie obchodzi<sup>3</sup> siê z koñmi - ujrza<sup>3</sup>, jak siedz<sup>1</sup>cy na koŸle s<sup>3</sup>u<sup>ç</sup>cy skin<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, po czym równie<sup>ç</sup>, wsun<sup>13</sup> siê do wnêtrza wspania<sup>3</sup>ego pojazdu z wyrazem twarzy maj<sup>1</sup>cym zawieraæ w sobie szczery szacunek. - Jeceli jest pani gotowa, Madelaine, to ruszamy.

Madelaine wzruszy<sup>3</sup>a lekko ramionami. Nie podoba<sup>3</sup> siê jej ten lalusiowaty d<sup>ç</sup>entelmen z wysmakowanym do granic, pastelowym ubraniem tak bardzo kontrastuj<sup>1</sup>cym z rozpustn<sup>1</sup> twarz<sup>1</sup>.

- Kiedy pan zechce, markizie.

- Jak pani sobie çyzy, mademoiselle - postuka<sup>3</sup> laseczk<sup>1</sup> z mêtnego bursztynu w dach powozu (dobrana by<sup>3</sup>a tak, by podkreœlaæ kolory stroju - bldy koral i bielone p<sup>3</sup>ótno). Stangret strzeli<sup>3</sup> batem nad <sup>3</sup>bami zaprzêgu i powóz ruszy<sup>3</sup> spod rezydencji d'Argenlac.

By<sup>3</sup> to wspania<sup>3</sup>y pojazd, z d<sup>3</sup>ugimi jak <sup>3</sup>abêdzie szyje sztabami utrzymuj<sup>1</sup>cymi skórzane amortyzatory. Dziêki nim powóz ko<sup>3</sup>ysa<sup>3</sup> siê tylko lekko na najwiêkszych nawet nierównoœciach, w które obfitowa<sup>3</sup>y paryskie ulice. Pud<sup>3</sup>o pomalowane by<sup>3</sup>o ciemnooliwkow<sup>1</sup> zieleni<sup>1</sup> z akcentami czekoladowego br<sup>1</sup>zu i z<sup>3</sup>ota. Na drzwiczkach widnia<sup>3</sup> herb markiza - czerwona, oœnie<sup>ç</sup>ona wie<sup>ç</sup>a zakreœlona czerni<sup>1</sup> na gronostajowym polu. Prawa do tego herbu siêga<sup>3</sup>y panowania Filipa Augusta.

Wnêtrze wykoñczone by<sup>3</sup>o najlepszym aksamitem w barwie morskiej zieleni i at<sup>3</sup>asem w odcieniu s<sup>3</sup>omy. Drzwiczki dodatkowo wybito nitami. Komfortowy pojazd ci<sup>1</sup>gniony by<sup>3</sup> przez cztery starannie dobrane, bladociemnobr<sup>1</sup>zowe konie, których grzywy i ogony ufarbowano na bia<sup>3</sup>o. Wszystkie wspaniale zbudowane, podobne gracj<sup>1</sup> ruchów i si<sup>3</sup>1. Koñ dyszlowy szed<sup>3</sup> w tradycyjnych kolorach stajni Chenu-Tourelle, czyli w zieleni i br<sup>1</sup>zie.

- Piêknie, markizie - powiedzia<sup>3</sup>a Madelaine, gdy przez jakieœ czas jechali w ciszy. W koñcu dosz<sup>3</sup>a do wniosku, çe markiz jest zbyt p<sup>3</sup>aszcz<sup>1</sup>cym siê typem, a powóz jest zbyt modny, i na dodatek te konie z pobielonymi grzywami i ogonami to szczyt sztucznoœci.

- Prawda? - zgodzi<sup>3</sup> siê uprzejmie. - Cieszê siê niezmiernie, jeceli siê pani podoba.

- Nie widzia<sup>3</sup>am nigdy czegoe tak wytwornego - powiedzia<sup>3</sup>a. Chenu-Tourelle obdarzy<sup>3</sup> j<sup>1</sup> szerokim uemiechem.

- Tak, tak, z pewnoœci<sup>1</sup>. Bardzo chcia<sup>3</sup>em, by by<sup>3</sup>o to coœ najlepszego. Oœmielam siê mieæ nadzie<sup>ç</sup>, çe i inne moje marzenia mog<sup>1</sup> byæ zrealizowane-te ostatnie s<sup>3</sup>owa, nie docæ çe dwuznaczne same w sobie, podkreœli<sup>3</sup> tonem g<sup>3</sup>osu i dyskretnym dotkniêciem d<sup>3</sup>oni Madelaine.

Ta cofnê<sup>3</sup>a rêkê i zapatrzy<sup>3</sup>a siê w okno. Jej mina wskazywa<sup>3</sup>a dok<sup>3</sup>adnie co s<sup>1</sup>dzi o jego

pomyśle i miał zniechęcić markiza do ponownego nawiązywania rozmowy. Zatem to Madelaine przemówiła następna, gdy powóz przejechał już trochę.

- To zadziwiająco, mieć tak mało czasu, a niewielki tylko jego cel przeznaczony dla siebie. Pragnienia, nauka, nadzieja, wszystko to błędnie wobec czasu. A na dodatek jesteśmy jeszcze rozrzutni i sporo z tego, co najcenniejsze tracimy by zabawiać innych naszym kosztem - powiedziała niby w próżnię.

- To szczerą prawdą, mademoiselle - wrócić się Chenu-Tourelle. - Często zauważałem, że nuda jest losem niepospolitych ludzi.

Wyrwana z zamyślenia Madelaine spojrzała na niego z irytacją.

- Słucham?

Biorąc to za zaproszenie do wygłoszenia swoich złotych myśli, markiz powiedział:

- Taki już jest ten świat, mademoiselle, tak jest urządzony. Zabawa, rozrywka to coś, o co trzeba ciężko walczyć. Ile razy byłem zmuszony przyjąć zaproszenie tylko po to, by zadowolić moich przyjaciół, podczas gdy o wiele bardziej wolałbym oddać się, osobistym przyjemnościom.

Uśmiechnął się tytułem próby, mając nadzieję, że nie powiedziała niczego, co mogłoby ją wstrząsnąć.

Madelaine wyglądała na zaniepokojoną, lecz nie tak, jak obawiała się tego Chenu-Tourelle.

- Och, wszyscy jesteśmy podobni! Nuda! Nuda! - zacisnęła leżące na kolanach dłonie w pięści. - Tu nie chodzi o przelotne przyjemności, tu chodzi o życie. Mam dwadzieścia lat i wszystko, prócz mojej czystości, zostało z tych lat zmarnowane. Za dziesięć lat...

- Mam nadzieję, że będę miał w tej sprawie coś do powiedzenia, mademoiselle - wrócić się markiz, mimo iż zwrot Madelaine był retoryczny.

- ...za dziesięć lat - cięgnęła bezlitośnie - będę już uwięziona dziećmi, pocięta pustymi dniami...

- Nie, jeżeli będą to dzieci takie, jak inne - zaczął się z cicha Chenu-Tourelle i znów sięgnął po jej dłoń. - Dzieci, oddanie mężowi, pocięty religii - czy to jest takie złe?

- Tak! - Madelaine zignorowała ostrzegawcze spojrzenie Cassandre.

- Jest jeszcze zdobywanie wiedzy, podróże, odkrycia. Gdybym czuł powołanie, zostałbym z Urszulankami i przynajmniej mogłbym się uczyć. Może i podróży, zwiedzać inne kraje... Lecz nie mam powołania, a mój ojciec nie jest dyplomat - postanowiła się. - Była ze mną w szkole pewna dziewczyna, nazywała się Ranegonde Chamlysse. Jej ojcem jest hrabia de Etendui. Mieszkała w tyłu miejscach - Turcja, Rzym, Sztokholm. Raz była nawet w Rosji, o której mówiła, że to całkiem dziwny kraj. Wyjechała ze szkołą razem z ojcem - do Indii. Siostry powiedziały, że to szalony pomysł brać ją tak daleko od kraju i rodziny, lecz ja, och, pojechałabym zaraz i zabiła każdego, kto próbowałby mnie zatrzymać. - Spojrzała markizowi w oczy i sprowokowała go, by zaprzeczył jej wzrokiem.

- Siostry miały całkowitą rację - markiz wyraźnie było odczytał jej wzburzenie. - De Etendui był

zawsze nieco dziwny i wszędzie zabiera<sup>3</sup> ze sob<sup>1</sup> rodzinę. A pani, s<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>c opowieści jego córki, wyobraża sobie wszystkie romantyczne przygody, mog<sup>1</sup>ce wynik<sup>1</sup>æ z takiego ryzyka. Widzi się pani otoczon<sup>1</sup> przez luksusy i podziwian<sup>1</sup> przez zaintrygowanych mę<sup>1</sup>czyzn. Lecz jeżeli wszystko to, co s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>em, jest prawd<sup>1</sup>, to życie w tych obcych krajach nie jest tak wygodne.

- Jest pan wielkim g<sup>3</sup>upcem - - powiedzia<sup>3</sup>a Madelaine spogl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c na niego oceniaj<sup>1</sup>co. - Po co mam dbać o komfort, skoro jest tyle do poznania?

- Zdaje mi się mademoiselle - powiedzia<sup>3</sup> markiz - że przyjemności zdobywania wiedzy s<sup>1</sup> trudne do uzyskania w niecywilizowanych krajach. Lecz oczywiście, ty wiesz lepiej. Nie pozwól, bym cię nabiera<sup>3</sup>.

Jego oficjalności nawet j<sup>1</sup> rozbawi<sup>3</sup>a, <sup>3</sup>ami<sup>1</sup>c barierę. Opar<sup>3</sup>a się o pufy i rozeemia<sup>3</sup>a.

- Już pozwoli<sup>3</sup>am, bycie mnie zwodzi<sup>3</sup>. Prawdę mówi<sup>1</sup>c, mam zamiar być dobr<sup>1</sup>, jak życzy sobie tego mój ojciec. Powiedzia<sup>3</sup> mi, że pragnie mnie pan za <sup>1</sup>onę. To nie tak, markizie, to być nie może.

- To moja naj<sup>3</sup>odsza nadzieja - powiedzia<sup>3</sup> przez zęby Chenu-Tourelle.

- Nie - potrzeb<sup>1</sup>snę<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>. - Szybko stwierdzi<sup>3</sup>by pan, że jestem nudna i wróci<sup>3</sup>by do hazardu i kochanek, a ja spotka<sup>3</sup>abym się ze zwyk<sup>3</sup>ym w takich przypadkach współczuciem. Jak wiele innych <sup>1</sup>on by<sup>3</sup>abym wyemiewana. A czemu niby mia<sup>3</sup>oby być inaczej? Taki jest, jak sam pan powiedzia<sup>3</sup>, ogólnie przyjęty zwyczaj.

To arbitralne podsumowanie nie u<sup>3</sup>agodzi<sup>3</sup>o markiza.

- Dobrze, mademoiselle. Skoro nie będziesz mnie chcia<sup>3</sup>a, to s<sup>1</sup> jeszcze inni, którzy chc<sup>1</sup> ciebie, i to w mniej honorowych zamiarach - ujrza<sup>3</sup> niedowierzanie w jej oczach i skrzywi<sup>3</sup> się z satysfakcj<sup>1</sup>. - Tak, nie myśla<sup>3</sup>a pani nigdy o tym, prawda? Możesz <sup>1</sup>a<sup>3</sup>ować tej zamiany, lecz zdarzaj<sup>1</sup> się losy nieporównanie gorsze. Mówi pani, że mnie nie przyjmie. Dobrze, mademoiselle - postuka<sup>3</sup> lask<sup>1</sup> w dach powozu.

- Co pan robi? - spyta<sup>3</sup>a Madelaine.

- Zmieniam dyspozycje. - Zawo<sup>3</sup>a<sup>3</sup> do stangreta: - Zmieni<sup>3</sup>em zamiar. Jedziemy do tego drugiego miejsca.

- Co to za miejsce? Dok<sup>1</sup>d mnie pan zabiera? Chenu-Tourelle ucemiechn<sup>13</sup> się nieprzyjemnie.

- Zabieram pani<sup>1</sup> do tych, którym się pani przyda.

- Do kogo? - ocisnę<sup>3</sup>a d<sup>3</sup>onie aż do bia<sup>3</sup>ooci. Strach wezbra<sup>3</sup> jej w sercu i zdawa<sup>3</sup>o się jej, że s<sup>3</sup>yszy echo pościgu z Sans Desespoir.

- Baron Clotaire de Saint Sebastien i niektórzy jego przyjaciele obiecali mi pewn<sup>1</sup> nagrodę, jeżeli dostarczę im pani<sup>1</sup>. Powiedzia<sup>3</sup>em, że zrobię to, jeżeli mi pani odmówi. Sama wybra<sup>3</sup>a pani swój los, mademoiselle - rozlu<sup>1</sup>ńniony skrzy<sup>1</sup>owa<sup>3</sup> nogi w kostkach i zacz<sup>13</sup> g<sup>3</sup>adziæ palcami kulkę laski.

Madelaine poczu<sup>3</sup>a, że odwaga j<sup>1</sup> opuszcza.

- Nie s<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>am, że jest pan aż tak pod<sup>3</sup>y, markizie - wydusi<sup>3</sup>a z siebie. - Lecz wci<sup>1</sup>ż jesteśmy na

ulicach Paryża. Jeżeli zacznę krzyzczeć, z pewnością<sup>1</sup> zostaną uratowana. Zawieź mnie i moją<sup>1</sup> damę z powrotem do domu mej ciotki, a dam ci s<sup>3</sup>owo, i nie powiem niczego, by cię skompromitowałem. Ani teraz, ani później - by<sup>3</sup>o to świadome kłamstwo, ale myślałem tylko o Saint-Germainie. Nawet wtedy, gdy to mówiłem.

- Możesz czynić, co uważasz za słusne, mademoiselle - szybkim ruchem wyciągn<sup>13</sup> ostrze z laski - lecz s<sup>1</sup>dzę, i nie pewnych rzeczy nie zrobisz.

Madelaine zacisnęła wargi, czubek ostrza zakł<sup>3</sup>ysa<sup>3</sup> się obok jej twarzy.

- Nic nie rób - powiedziała do Cassandre. - Myśle, i nie u<sup>1</sup>yje tego tylko w ostateczności - poczuła dumę, i jej głos był opanowany. Zakł<sup>3</sup>o<sup>3</sup>yła z namysłem rękę i przyjrzała się Chenu-Tourelle. - Czy mogę wiedzieć, czemu pan to robi? Jak<sup>1</sup> nagrodę panu zaproponowano?

Rozpaczliwie próbowała znaleźć jakikolwiek punkt zaczepienia.

Chenu-Tourelle zamachał znów ostrzem.

- Nie wiem, czy mogę to pani powiedzieć.

- A czy wie pan, czego może chcieć ode mnie Saint Sebastien? Nie zna mnie, prawie ze mn<sup>1</sup> nie rozmawia. Jest w nieprzyjaźni z moim ojcem...

- To była przyjaźń, mademoiselle. On ma do ciebie prawo, pani - sięgn<sup>13</sup> wolną<sup>1</sup> ręk<sup>1</sup> do obszernej kieszeni i wyciągn<sup>13</sup> flaszki, którą<sup>1</sup> zaraz wręczył Madelaine. - Uczyń mi tę uprzejmość i wypij to.

- Nie - oznajmiła Madelaine.

- Jeżeli nie wypijesz, zabiję twoją<sup>1</sup> damę. Teraz. - Cofną<sup>13</sup> ramię by zadać cios, ciesząc się przerażeniem, które pojawiło się na jej twarzy. - Wypij to wino, Madelaine.

- Nie musisz - powiedziała s<sup>3</sup>abo Cassandre, lecz Madelaine wzięła już flaszki i przytknęła ją do ust. Gdy skończyła, w jej oczach pojawiła nienawiść.

- Kiepski rocznik, markizie.

- Do tych celów wystarczający. Nie potrwa długo, a narkotyk zacznie działać, ma belle.

- I tak będzie to za późno, jeżeli chodzi o konieczność znoszenia pańskiego towarzystwa - uniosła dumnie głowę. - Wiedzi<sup>3</sup>am, i nie mam z panem o czym gadać. Oszukał pan mojego ojca, prawda? A ja nie cierpię go rozczarowywać - zwróciła się ku Cassandre. - Nie rób scen, gdy zemdleję. Chenu-Tourelle zaplanował sobie to wszystko. Czy nie mamy szczęścia?

Gorzki sarkazm uderzył markiza, który mocniej ocisnął ostrze.

- Jeżeli s<sup>1</sup>dzisz, i os<sup>3</sup>abisz moje zdecydowanie...

- Co? Zwykłe skrupuły mogłyby powstrzymać pana od odebrania nagrody?

- zdumiała się na przekór ochrypłej mowie. - Nie uwierz.

Markiz popatrzył na Madelaine z desperacją. Chciał, by ukazała mu się skruszona, by b<sup>3</sup>agała o miłosierdzie, tak, by wzruszony, wstawił się za nią rycersko i uratował przed Saint Sebastienem, mimo

¿dañ barona.

- Gdyby spyta³a pani ojca, to wiedzia³aby, ¿e nie czynie Ÿle.

Zaniepokojona Cassandre spróbowaa ocuciæ coraz bardziej senn¹ Madelaine, rozcieraj¹c jej nadgarstki i przyciskaj¹c p³ótno do jej czo³a. Ignorowaa obraŸliwe gesty nakazuj¹ce jej odsun¹æ siê.

- Nie bój siê, moja ma³a - wyszepta³a, skrywaj¹c przera¿enie.

- On nie ma do mnie prawa - powiedzia³a Made³aine powoli, a¿ nazbyt, wyraŸnie wymawiaj¹c s³owa.

Zachwycony sposobnoœci¹ wstrz¹œniêcia dziewczyn¹ markiz przeci¹ga³ chwilê. Œemia³ siê.

- To nie tak, Madelaine. Jest pewien dokument. Widzia³em go. Twój ojciec podpisa³ go w³asn¹ krwi¹. - Dotkn¹³ lekko ostrzem stanika jej sukni ukazuj¹c trochê zaokr¹glonego cia³a, lecz nie rani¹c skóry. Spozreg³, jak próbuje siê odsun¹æ i od razu poczu³ siê lepiej. - Ten dokument, ma belle, darowuje ciêbie Saint Sebastienowi. By³æce jego zanim jeszcze siê narodzi³æce.

Narkotyk m¹ci³ jej myœli, lecz poczu³a wype³niaj¹c¹ j¹ cierpk¹ odrazê.

- Darowuje... mnie...? - Potem by³o ju¿ tylko dzwonenie w uszach, nie czu³a dr¿¹cej rêki Cassandre na swej twarzy, ani nie widzia³a odprê¿onego uœmiechu Chenu-Tourelle przygl¹daj¹cego siê, jak popada w nieœwiadomoœæ.

*Tekst napisanej po angielsku notatki zostawionej przez czarownika Beverly Sattina księciu Franzowi Josefowi Rakoczemu w jego pokoju w Hotelu Transylwania; datowane 4 listopada 1743:*

*Do Jego Wysokości, Księcia Franza Josefa Rakoczego z Transylwanii.*

*Beverly Sattin przesyła pełne szacunku pozdrowienia.*

*Z przykrości muszę powiadomić Wasz Wysokość, że zostaliśmy odkryci i to przez Le Grace. Pozwoliłem sobie poszukać pana, lecz okazało się, że nie ma pana w apartamentach. Wykorzystuję przynajmniej tę sposobność, by opisać panu okoliczności tego niefortunnego rozwoju wypadków.*

*Domingo y Roxas był dzisiaj na la rue de le Cinq Chants, gdzie mieszkają ci, którzy zaopatrują nas w rzeczy potrzebne do wielkiego dzieła. Zazwyczaj jesteśmy jak najbardziej ostrożni, gdy wypuszczamy się na zewnątrz, lecz tego ranka Domingo, nie będąc uprzedzonym zdobył się na wyczyn, którego teraz całym sercem żałuje, i poszedł do sklepu Valenaire. Będzie naszym zwykłym dostawcą, i poprosi go o dostarczenie nam pewnych soli i innych komponentów. Zdarzyło się, że gdy Valenaire zajęty był zamówieniem, do sklepu weszła jeszcze jedna osoba. To dziwna osoba (Domingo opisał jej niesamowity strój) mógł być (jak sędził Domingo) nawet jakimś zbiegłym szaleniec, tak że przestraszył się z początku (Domingo).*

*Zamówienie złożone zostało po francusku i to takim tonem, że podejrzania Dominga tylko się umocniły. Znalazł pretekst, by pozostać w sklepie, a obcy zakupił parę komponentów do własnego użytku, a gdy on (znaczy, obcy), opuścił sklep, Domingo y Roxas poszedł za nim. Może pan sobie wyobrazić zdumienie jego (to znaczy, Dominga), gdy obcy skierował się wprost do Oberżu pod Czerwonym Wilkiem. Tam, w szynku, zrzucił z siebie odzienie i Domingo ujrzał, że to był Le Grace!*

*Le Grace pozostał tam przez jakiś czas, popijając wino i zaklinając się, że znalazł w końcu sposób na pozyskanie bogactwa i bezpiecznego życia. Domingo y Roxas, który nie przerywał obserwacji czynionej przez małe, brudne okno przy kominie, słyszał, jak Le Grace chwalił się, iż Wielki Pan ma mu dać pieniądze i klejnoty, by kupić jego milczenie w pewnej nader szczególnej sprawie.*

*Widząc, że Le Grace jest już całkiem pijany, Domingo y Roxas pospieszył, by przekazać nam wiadomości o całym zdarzeniu.*

*Le Grace nie jest martwy, jak na to liczyliśmy. Pewnym jest, że zaszkodzi nam, jeżeli tylko będzie mógł. Ze z uwagą Dominga, to pewne, gdy nie ukrywał się on (znaczy, Domingo) wcale. Sam ton jego (czyli, Le Grace) głosu, wskazywał, że wie on o nas więcej, niż powinien. Nie odważymy się ignorować tego zagrożenia, które stanowi Le Grace.*

*Wasza Wysokość, pozwól mi nakłonić do zachowania ostrożności. Ty, my, jesteśmy*

*wszêdziej w niebezpieczêństwie. B³agam ciê, by przy pierwszej sposobnoœci, jaka siê panu nadarzy, uczyni³ nam zaszczyt i porozmawia³ z nami sam na sam. Prosimy te¿ pañskiego s³u¿¹cego, by ostrzeg³ pana zanim jeszcze pan to przeczyta. O dwunastej.*

*Pozostajê. Pañskim uni¿onym s³u¿¹ na skinienie,*

**Beverly Sattin**

]Saint Sebastien okr<sup>1</sup>ł<sup>a</sup> Le Grace ze szczególnie nieprzyjemnym wyrazem wycieraj<sup>1</sup>cych spod ciê<sup>1</sup>kich powiek oczu. Przemawia<sup>3</sup> powoli, rozwlekle, lecz na zwykle srogiej twarzy nie by<sup>3</sup>o cęladu gniewu.

- Mo<sup>1</sup>e - powiedzia<sup>3</sup> do Le Grace, który rozwali<sup>3</sup> siê nieelegancko na okrytej brokatem sofie pod rega<sup>3</sup>em - by<sup>3</sup>by<sup>3</sup>e na tyle dobry, by powiedzia<sup>3</sup> mi, Le Grace, co w<sup>3</sup>oeci<sup>1</sup>wie pragn<sup>13</sup>e<sup>3</sup>e przez to osi<sup>1</sup>gn<sup>1</sup>æ? - Uj<sup>13</sup> wymiê<sup>1</sup>t<sup>1</sup> kartkê papieru z niezdarnie wypisanym listem pe<sup>3</sup>nym gró<sup>1</sup>by.

Le Grace potrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, zapewne by zaprzeczy<sup>3</sup>æ, a mo<sup>1</sup>e by pozby<sup>3</sup>æ siê oszo<sup>3</sup>omienia wywo<sup>3</sup>anego winem, którym tak szczerze racy<sup>3</sup> siê kilka godzin wczecniej. Potar<sup>3</sup> szczeciniasty podbródek.

- To... nie by<sup>3</sup>o... tak, baronie - wypowiedzia<sup>3</sup> niewyra<sup>1</sup>nie. -Pan mnie Ÿ<sup>1</sup>le zro... zrozumia<sup>3</sup>.

- Nie wydaje mi siê, Le Grace - powiedzia<sup>3</sup> s<sup>3</sup>odko baron uderzaj<sup>1</sup>c palcami w list. - Grozisz mi zdemaskowaniem. Nie - rzuci<sup>3</sup> ostro, widz<sup>1</sup>c, łe Le Grace zamierza siê podnieo<sup>3</sup>æ - nie zaprzeczaj. Podsun<sup>13</sup>e<sup>3</sup>e mi ten nonsens o cz<sup>3</sup>owieku w czerni i bieli. Niem<sup>1</sup>drze wybra<sup>3</sup>e<sup>3</sup>e obiekt. Nie s<sup>1</sup>d<sup>1</sup>Ÿ, łe bêdê tolerowa<sup>3</sup> oszustwo czy gró<sup>1</sup>by.

- Lecz ja nie k<sup>3</sup>amiê - na pró<sup>1</sup>no protestowa<sup>3</sup> Le Grace.

- Przyzna<sup>3</sup>by<sup>3</sup>e siê lepiej do b<sup>3</sup>êdu, Le Grace - Saint Sebastien podszed<sup>3</sup> do sof<sup>1</sup>y i u<sup>3</sup>o<sup>1</sup>ł<sup>1</sup>y<sup>3</sup> d<sup>3</sup>o<sup>1</sup>ñ na jej oparciu. Aksamit szlafroka Saint Sebastiena przejecha<sup>3</sup> po policzku alchemika i ten przez chwilê bliski by<sup>3</sup> krzyku. - Jeceli masz zamiar doprowadzia<sup>3</sup> mnie do sza<sup>3</sup>u swoj<sup>1</sup> g<sup>3</sup>upot<sup>1</sup>, to ostrzegam, łe to ci siê nie uda.

- Powiedzia<sup>3</sup>em panu, łe to on jest tym mê<sup>1</sup>czyzn<sup>1</sup>! - Le Grace wykrêci<sup>3</sup> siê ku Saint Sebastienowi po to tylko, by stwierdza<sup>3</sup>æ, łe spoczywaj<sup>1</sup>ca dot<sup>1</sup>d na oparciu d<sup>3</sup>o<sup>1</sup>ñ schwyci<sup>3</sup>a jego ko<sup>3</sup>nierz i mocno trzyma.

- Co mam zrobia<sup>3</sup>, by ciê przekona<sup>3</sup>æ, Le Grace? Nie mogê pozwoli<sup>3</sup>æ przecie<sup>1</sup>, by<sup>3</sup>e nadal tak siê zachowywa<sup>3</sup> - w miarê jak Saint Sebastien z wolna skrêca<sup>3</sup> d<sup>3</sup>o<sup>1</sup>ñ, nacisk na krta<sup>1</sup>ñ czarownika by<sup>3</sup> coraz dokuczliwszy.

- Nie jestem cierpliwym cz<sup>3</sup>owiekiem, Le Grace. Ostrzegam, łe g<sup>3</sup>upim oporem tylko pogarszasz sprawê.

Twarz Le Grace przybra<sup>3</sup>a niezdrowy wygl<sup>1</sup>d. Jak oszala<sup>3</sup>y stara<sup>3</sup> siê polu<sup>1</sup>Ÿnia<sup>3</sup>æ palcami ko<sup>3</sup>nierz.

- Ale to on! - obstawa<sup>3</sup> przy swoim, ciê<sup>1</sup>ko <sup>3</sup>api<sup>1</sup>c powietrze. Saint Sebastien westchn<sup>13</sup> z rezygnacj<sup>1</sup>.

- Dobrze, Le Grace. Skoro nie chcesz mi powiedzia<sup>3</sup>æ... - odst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup>, puszczaj<sup>1</sup>c ko<sup>3</sup>nierz.

Mile zdziwiony tym obrotem sprawy czarownik mia<sup>3</sup> ju<sup>1</sup> siê podnieo<sup>3</sup>æ, gdy us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> za plecami spokojny, znieawidzony i lodowaty g<sup>3</sup>os:

- Nie ruszaj siê, Le Grace. Nie pozwala<sup>3</sup>em ci siê ruszy<sup>3</sup>æ.



- Lecz z pewnością...!

- Nie kazałem ci mówić - powiedziało z ujmującym czarem, obchodząc sofę. - Nie skończyłem. Muszę prosić cię, byś została ze mną jeszcze chwilę.

- Między jego palcami, jak żywy, wiś się długi, cienki bicz.

Le Grace poczuł, jak ogarnia go żółć.

- Ach, baronie...

Skulił się na sofie próbując osłonić się przed uderzeniem, które jednak nie nastąpiło.

- Powiedziałem panu, że nie kłamie.

- Ale ja już ci nie wierzę. - Był coraz bliżej, wyciągał dłoń, rozkoszując się strachem wycierającym z oczu czarownika i nagłym smrodem jego potu.

- Wiem. To nie moja wina, że nie wie pan nic o Rakoczym - coraz bardziej wciska się w sofę.

- Biedny Le Grace - mruknął Saint Sebastien. - Nieudolnie kłamiesz. Jesteś głupcem, lecz możesz się jeszcze przydać. - Odstąpił, by mieć swobodę ruchu. Zamach był tak szybki, że czarownik nie spostrzegł, kiedy bicz spadł na jego szczękę, przecinając ją do kości.

Z krzykiem bólu, zaskoczenia i rozpaczony Le Grace przycisnął dłoń do krwawiącej twarzy i rzucił się na swego dręczyciela.

- Dostałem ten bicz od człowieka, który był handlarzem niewolników

- poinformował go uprzejmie Saint Sebastien oddalając się i wypatrując następnej sposobności.

- Zrobiony jest ze skóry nosorożca, z jego pyty, mówił do niego. Oliwić go regularnie i nacinać, tak że tnie głębiej, niż stal. Też to stwierdził, prawda? - bawił się ciężkim biczem, którego koniec podskakiwał na podłodze. - Gdy mi go ofiarowywał, nie obyło się bez demonstracji. Miał własnego niewolnika, oporną sztukę, i zabawiał się z nim popołudniami. Czasem wydaje się, że bicz wciąż jeszcze zaplamiony jest jego krwią - uniósł dłoń znowu, tym razem pozwalając rzemieniowi spaść na ramiona Le Grace.

Czarownik wrzasnął i spróbował potoczyć się gdzieś w bok. Nadaremnie. Bicz rozdarł skórę na plecach, a ból napędził go do ust.

- Nie! Nie! - chciał osłonić się przed następnym atakiem, lecz udało mu się jedynie przewrócić sofę.

Ciężki szum padającego mebla spowodował, że drzwi do biblioteki otwarły się i stanął w nich Tite, służący Saint Sebastiena.

- Panie? - spytał z wyraźnym troską.

- Nie, Tite, to nie ja mam kłopoty - Saint Sebastien wzruszył ramionami. - To ten biedak Le Grace. Weź go stąd i zadbaj, by opatrzone jego rany. Nie skończyłem z nim jeszcze. Nie odpowiedział na moje pytania - na twarz barona wystąpił rumieniec, kłamcy się głos zdradza podniecenie.

Mrucząc coś pod nosem, Tite podszedł do skulonego na czworakach w kącie pokoju Le Grace,

który jednym ramieniem nadal os³ania³ siê przed spodziewanymi uderzeniami. Jego twarz i grzbiet sp³ywa³y teraz krwi¹. Skaml¹c, cofa³ siê, pozostawiaj¹c na œcianie pasmo szkar³atu.

- Zabierz go do stajni. Wiesz, gdzie - Saint Sebastien odzyska³ ju¿ trochê spokój i dobre manieri. Wytar³ twarz ciê¿k¹ jedwabn¹ chustk¹ i upuœci³ r¹czkê bicia na pod³ogê. - Pamiêtaj, ¿e bêdê chcia³ rozmawiaæ z nim za godzinê.

Tite bez k³opotów schwyci³ przera¿onego Le Grace.

- Stajnie. Jak pan sobie ¿yczy. - Z niewzruszon¹ twarz¹ ruszy³ ku drzwiom, nie zwracaj¹c zupe³nie uwagi na jêki, które towarzyszy³y ka¿demu jego ruchowi.

- Tak, s¹dzê, ¿e on bêdzie dla mnie. Kr¹g mo¿e zadowoliae siê innymi, lecz on bêdzie dla mnie - doprowadzi³ do porz¹dku swój ¿abot i rzuci³ Le Grace uszczêeliwiaj¹cy ucemiech. - Mo¿esz k³amaæ. Mo¿esz mnie oszukiwaæ. To bez znaczenia. Mo¿esz nawet umrzeæ dla mnie, Le Grace - przesun¹³ palcami po brzegu rany na twarzy czarownika. - Mówi¹, ¿e obra¿enia twarzy s¹ najbardziej bolesne i ustêpuj¹ tylko cierpieniom po utracie mêskoœci. Sam siê nad tym zastanawiam.

Czarownik by³ zbyt przera¿ony, by siê odezwaæ.

- WyjdŸ przez taras - rozkaza³ baron. - Lepiej, ¿eby reszta s³u¿by go nie widzia³a.

Tite przytakn¹³ i skierowa³ siê do szerokich, przeszlonych drzwi, które zajmowa³y ca³¹ œcianê biblioteki. Na zewn¹trz œwiat zasnuty by³ szarym welonem deszczu i zupe³nie wyprany z kolorów. Gdy Tite otworzy³ drzwi, zimny podmuch wpad³ do pokoju.

- Miejsce w stajni - powtórzy³ raz jeszcze i wyszed³ w deszcz.

- A poranek by³ taki obiecuj¹cy - zrzêdzi³ Saint Sebastien, zamykaj¹c drzwi za Tite. Nie myœl¹c o niczym szczególnym, wpatrzy³ siê w zapadaj¹ce ciemnoœci. Po twarzy b³dzi³ mu lekki, przewiduj¹cy ucemieszek.

Z zamycelenia wyrwa³ go nag³y turkot kó³ na wy³o¿onym kamieniami ³uku podjazdu. Podniós³ wzrok i ucemiech rozszerzy³ siê. W zamglonym powietrzu da³ siê rozpoznaæ zarys powozu Chenu-Tourelle. Pe³en nowych si³, jakby widok charakterystycznej karety go odrodzi³, Saint Sebastien cofn¹³ siê do biblioteki i zamkn¹³ za sob¹ przeszlone drzwi. Poci¹gn¹³ za sznur, by wezwaæ lokaja.

Niemal natychmiast drzwi siê otwar³y i w bibliotece pojawi³ siê m³ody lokaj w ciemnoniebieskiej liberii. Sk³oni³ siê z szacunkiem. Nie uniós³ g³owy, czekaj¹c na rozkazy.

- Wydaje mi siê, ¿e mamy towarzystwo, Maurice - hrabia by³ nadzwyczaj mi³y. - Chyba widzia³em, jak przed chwil¹ przyjecha³ markiz Chenu-Tourelle. Ufam, ¿e zosta³ powitany.

- Tak, panie. On i jego goœcie.

- Przyby³ z goœciami? Wspaniale! - Saint Sebastien skin¹³ g³ow¹, potem niedbale zamacha³ rêk¹.

- Chcê, by pos³aniec zaniós³ wiadomoœæ. Nie od razu. Tak, by znalaz³a siê w rezydencji d'Argenlac nie wczœniej, ni¿ o dziewi¹tej wieczorem, ale dam ci j¹ teraz. Potem mogê byæ zajêty.

- Wiadomoœæ zostanie dostarczona zgodnie z pañsk¹ wol¹.

- Oczywiście. Życie jest łatwiejsze, gdy oszczędza mi się komplikacji, prawda Maurice? - schylił się, by podnieść bicz. Pozwolił, by rzemień łagodnie przepłynął mu przez palce. - Nie, nie dzisiaj, Maurice. Dzień jestem zajęty. Lecz lepiej, żeby o tym nie zapominał - musiał palcami koniuszek bicia i przyglądał się, jak Maurice błędnie. Z westchnieniem zostawił tę rozrywkę i skierował się ku sekretarzycy pod okienko. - To potrwa tylko chwilę, Maurice. Potem zaprowadzisz mnie do gości. Gdzie ich umieścić?

- Jeden z nich - jeden z nich... była w omdleniu... Lecz markiz... on... on... powiedział, by zanieść ją do gabinetu - ostatnie słowa zostały wypowiedziane w panicznym pośpiechu.

Saint Sebastien przerwał ostrzenie pióra.

- Mojego gabinetu. Dziwne. Czy jest z nimi ktoś jeszcze?

- Nie. Nie, markiz, młoda dama i jej towarzyszka, ciężko wystraszona starsza pani.

- Naprawdę? - powiedział z troską Saint Sebastien. - Co za pech. Będzie musiało jakoś temu zaradzić. Zaraz się tym zajmę, lecz najpierw wiadomościami - skończył ostrzyć pióro, wyjął trzy arkusze gładzonego papieru. Umiechnął się do wytłoczonego na kartkach herbu. Był to stary, od dawna oficjalnie uznawany znak, który jego zasłużony wuj otrzymał w czasach, gdy Inkwizycja zniszczyła Zakon Templariuszy. Na pamiątkę tego zdarzenia tarcza herbu ukazywała srebrnik, którego gałęzie oznaczały alegoryczne postacie: na szczycie widniał kozioł usadowiony na tronie, niżej czaszka odwrócona na kształt pucharu, potem wieżyczka z kłębkiem w dół i korzeń mandragory. Na końcu wznosił się wysoki, groźny budzący kapelusz Inkwizycji.

Saint Sebastien z łagodnym przesunął wzrokiem po godle i zastanowił się, czy jego przodek, Inkwizytor, byłby zdziwiony, odkrywając, że jego własny potomek zajmuje się heretyckimi, bluźnierczymi praktykami, które niegdyś tak rygorystycznie zwalczane były przez Święte Oficjum. Przypominając sobie niektóre spośród nabrzmiałych bólem zapisków, czynionych przez cnotliwych księży, opisujących przesłuchiwanie podejrzanych heretyków, odniósł wrażenie, że w drobiazgowych detalach tortur odnajduje przytłumione echo rozkoszy, której sam zaznał już wielokrotnie zadając cierpienia.

Wrócił myślami do Madelaine. Wiedział dokładnie, jaki będzie mógł z niej mieć pożytek. Cieszył się go przewidywanie cierpienia, jakie jej cierpienie sprawdzi na Roberta de Montalia. Tak... To było naprawdę coś. Nie zamierzał powiedzieć Robertowi nic ponad fakt, że ma Madelaine w swej mocy, lecz zastanowiwszy się, doszedł do wniosku, że jeżeli sprecyzuje swe intencje, to doprowadzi tym markiza do szału.

Spojrzał rozpalonymi oczyma na lokaja, który czekał z kamienną twarzą. Upewnił się, że jego sługa jest ledwo żywy z przerażenia i przysunął papier. Z szerokim uśmiechem zaczął pisać.

*Tekst listu barona Clotaire de Saint Sebastiena do markiza de Montalia; dostarczone przez posłańca krótko po dziewiętej wieczorem 4 listopada 1743:*

*Do mojego kochanego, dawno nie widzianego przyjaciela, Roberta, markiza de Montalia.*

*Przesyłam ci pozdrowienia i życzenie pomyślności.*

*Jak smutno mi było, że nie wiedziałem wcześniej, iż zdecydujesz się jeszcze wrócić do Paryża. Gdy przypominę sobie te godziny, które spędzaliśmy razem dwadzieścia lat temu, rozpacz ogarnia mnie na myśl, że mogłoby zapomnieć poinformować mnie o twej wizycie, tak bym mógł przygotować dla ciebie wspaniałą rozrywkę.*

*Lecz los mi sprzyja, Robercie. W końcu znalazłem sposób, by złożyć ci wyrazy szacunku tak, jak wymaga tego nasza wieloletnia przyjaźń i wszystkie uroczyste przysięgi, które przetrwały od naszego rozstania. Wynikające z naszej znajomości zobowiązania nie dają się łatwo zapomnieć. Robercie.*

*Wyobrażam sobie, jak przytulasz do serca nadzieję, iż córka twoja zostanie markizą Chenu-Tourelle. Bez wątplenia sędzisz, że jest ona w tej chwili na kolacji z nim i jego rodziną. Moim nad wyraz przykrym obowiązkiem jest poinformować cię, że sięgnę po moją własność, której tak bardzo nie kwapię się mi oddać. Nie sędzię chyba, że ujdiesz temu zobowiązaniu. Szczególnie, że Madelaine jest tak bardzo podziwiana za jej maniery i tak czarująca. I mnie zachwyca tak samo, jak młodych mężczyzn. Trudno, żeby było inaczej. Jest tak wspaniała, kochana. Nadmienię, że trudno mi będzie doczekać cierpliwie dnia, kiedy złożymy ją w ofierze. Lecz do tego czasu, rzecz jasna, będzie ona służyć nam wszystkim, by w ten sposób przygotowywać się do zimowego przesilenia. Pewien jestem, mój drogi Robercie, że znajdę sposoby, by ją rozbawić. Tite, na przykład (pamiętasz mojego służącego?): wciąż największą przyjemnością sprawia mu strach, który wzbudza, a wiem, że naprawdę potrafi być straszny. Oczywiście to ja pozbawię ją dziewictwa, lecz Tite będzie następny. Jak to widzisz? Usatwi wszystkim sprawę, dobierajcie się do niej przed nimi. Nie znałem nigdy nikogo, kto dłużej opierałby się Tite.*

*Pomyśl tylko: twoja córka jako moja własność, na ołtarzu, związana, naga. Przez czterdzieści dni będzie zlegać tam co wieczór, Robercie, a każdego wieczoru będzie wykorzystywana. Gdy już skończę, zabawi się z nią Tite; będzie używać jej po swojemu, a ją przymusi ją do swojej woli. Gdy to już się dokona, przystąpi do niej reszta Kręgu, zaspokajając wszelkie przyjemności. Jest nas niewielu, lecz kilku bardzo tęskni za taką sposobnością.*

*Bez wątplenia pamiętasz wciąż upodobania Beauvrai. Ciekawe, co pomyśleli o tym Madelaine, gdy trzech użyje jej na raz? Szkoda, że Beauvrai jest takim prostakiem, gdyż nie będzie przez to w stanie powstrzymać jego namiętności, gdy przyjdzie jego czas. Poprosi zapewne de la Sept-Nuit do towarzystwa, gdyż Donatien na równi uwielbia prostactwo. Czy pamiętasz ten*

genialny wynalazek, nad którym pracowa<sup>3</sup> Beauvrai, ten, który pozwala<sup>3</sup> penetrowaæ od przodu normalnie, cia<sup>3</sup>em, a od tyłu rozgrzanym Cz<sup>3</sup>onkiem Diabla? Sporo nad tym przesiedzia<sup>3</sup> przez ostatnich parê lat. Po reakcjach innych ofiar mogê przypuszczaæ, że jest to doææ bolesne.

Do czasu, gdy wydrzemy z niej bij<sup>1</sup>ce serce, bêdzie sama pragnê<sup>3</sup>a æmierci, Robercie. Bêdziemy bezczeciaæ j<sup>1</sup> na kaŹdy znany nam sposób. Zrobimy wszystko, co podsunie nam nasza wyobraŹnia, wyj<sup>1</sup>wszy zabicie jej. Zgwa<sup>3</sup>cimy j<sup>1</sup>, pobijemy, zeszpecimy, poddamy torturom, tak by jej æmieræ by<sup>3</sup>a mila Szatanowi.

Gdybyæ da<sup>3</sup> nam j<sup>1</sup> od razu, wówczas nie zdarzy<sup>3</sup>oby siê to. Zosta<sup>3</sup>aby jedn<sup>1</sup> z nas i mog<sup>3</sup>aby uczestniczyæ w naszych uroczystoæciach, zamiast staæ siê ich ofiar<sup>1</sup>. Za jej upadek i æmieræ nie moŹesz winiaæ nikogo, prócz siebie. Pomyæl o tym, gdy ruszysz, by poszukiwaæ jej.

W tym ciê zapewniam: znalaz<sup>3</sup>em nowe miejsce, w którym Kr<sup>1</sup>g moŹe sk<sup>3</sup>adaæ ofiary. Nikt nas nie bêdzie podejrzewa<sup>3</sup>. MoŹesz drêczyæ siê t<sup>1</sup> myæl<sup>1</sup> jak i æwiadomoæci<sup>1</sup>, że przez ca<sup>3</sup>y czas twe dziecko cierpi, by wzmocniaæ moj<sup>1</sup> potêgê.

Nie wybaczam ci zdrady naszej przysiêgi. Nie wybaczam ci, że zabra<sup>3</sup>eæ moj<sup>1</sup> w<sup>3</sup>asnoææ. Nie wybaczam ci wychowania jej w klasztorze. Krótko mówi<sup>1</sup>c, nadal uwaŹam ciê winnym i uprzedzam ciê, że gdy wraz z nowym rokiem Kr<sup>1</sup>g zabierze siê za ciebie, oznaczæ to bêdzie twój koniec.

Pozwól, że ostrzegê ciê jeszcze, iŹ Źadna próba odnalezienia Madelaine nie ocali jej, a jeæli zdybiemy ciê gdzieæ w trakcie poszukiwañ, oznaczæ to bêdzie tylko, że umrzesz wczesniej. Dwie ofiary to zawsze lepsze od jednej. Proszê ciê, byæ rozwaŹy<sup>3</sup> to, zanim przyst<sup>1</sup>pisz do jakichkolwiek daremnych prób ratowania córki, czy osobiæcie, czy poprzez s<sup>3</sup>anie petycji do Króla. Jego Majestat Ludwik XV moŹe nie zd<sup>1</sup>Źyæ z rozkazami na czas, by uratowaæ Madelaine. Na pierwszy znak, że rozpocz<sup>13</sup>eæ takie dzia<sup>3</sup>ania, Madelaine umrze, mój przyjacielu.

Gdybyæ znalaz<sup>3</sup> kogoæ doææ nieroztropnego, by wesprzeæ ciê w poszukiwaniach, nie licz na jego powodzenie. Jest nas doææ, by zadbaæ o dwudziestu lub wiêcej takich, jak ty. KaŹdy, kto bêdzie ci towarzyszy<sup>3</sup>, naraŹa siê na karê tak<sup>1</sup> sam<sup>1</sup>, jak<sup>1</sup> wymierzymy tobie. Czy nie doææ straciaæ córkê? Po co jeszcze uæmiercaæ przyjació<sup>3</sup>, Robercie?

AŹ do czasu, gdy znów bêdziemy razem, a nast<sup>1</sup>pi to wczesniej czy póŹniej, pozostajê twoim.

**Saint Sebastien**

Budz<sup>1</sup>c siê, Saint-Germain poczu<sup>3</sup>, ¿e opanowuj<sup>1</sup> go z<sup>3</sup>e przeczucia. Przeszuka<sup>3</sup> oczami spartañsk<sup>1</sup> alkowê z zakonnym <sup>3</sup>o¿em, na którym sypia<sup>3</sup>, jakby w gêstniej<sup>1</sup>cym mroku chcia<sup>3</sup> znaleŸæ przyczyny zaniepokojenia. Zmarszczy<sup>3</sup> brwi i przy<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup> d<sup>3</sup>onie do oczu. Zmarszczki pog<sup>3</sup>êbia<sup>3</sup>y siê. Skin<sup>13</sup> g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, jakby samemu sobie daj<sup>1</sup>c sygna<sup>3</sup>. Szybkim ruchem zecelizn<sup>13</sup> siê na pod<sup>3</sup>ogê, zamiót<sup>3</sup> ciemn<sup>1</sup> szat<sup>1</sup> z egipskiej bawe<sup>3</sup>ny i odsun<sup>13</sup> kotarê oddzielaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> alkowê od reszty pokoju.

By<sup>3</sup> to ten sam pokój, do którego parê dni temu przyprowadzi<sup>3</sup> Madelaine. Przez chwilê wyda<sup>3</sup>o mu siê, ¿e widzi odbity na pod<sup>3</sup>odze blask jej granatów i j<sup>1</sup> sam<sup>1</sup> stoj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> przy drzwiach, z twarz<sup>1</sup> wype<sup>3</sup>nion<sup>1</sup> têsknot<sup>1</sup>. Uciemiechn<sup>13</sup> siê do wspomnieñ, lecz zniknê<sup>3</sup>y szybko, ustêpuj<sup>1</sup>c miejsca nowemu przyp<sup>3</sup>ywowi niepokoju.

Jedyn<sup>1</sup> p<sup>3</sup>on<sup>1</sup>c<sup>1</sup> na lichtarzu œwiec<sup>1</sup> Saint-Germain zapali<sup>3</sup> pozosta<sup>3</sup>e. Pokój rozjaœni<sup>3</sup> siê, lecz ciep<sup>3</sup>o nie udzieli<sup>3</sup>o siê jego lokatorowi. Poci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> za sznur, wci<sup>1</sup>¿ zastanawiaj<sup>1</sup>c siê niestrudzenie, co mo¿e byæ Ÿród<sup>3</sup>em niepokoju. Musn<sup>13</sup> palcami astrolabium, jakby to ono mog<sup>3</sup>o udzieliæ odpowiedzi.

- Panie? - Roger sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê zaraz po wejœciu do pokoju.

- Hm? - odwróci<sup>3</sup> siê Saint-Germain. - Zamknij drzwi, Rogerze. To, co mam do powiedzenia, nie jest przeznaczone dla zbyt wielu uszu.

Roger wykona<sup>3</sup> polecenie i czeka<sup>3</sup> cierpliwie na dalsze instrukcje. Przez ramiê przewieszony mia<sup>3</sup> rêcznik, w drugiej rêce trzyma<sup>3</sup> miednicê. Po<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup> to wszystko i przypatrywa<sup>3</sup> siê Saint-Germainowi chodz<sup>1</sup>cemu szybko po pokoju.

- Najpierw trzeba bêdzie siê umyæ - powiedzia<sup>3</sup> powoli hrabia, robi<sup>1</sup>c przystanek przy kominku.

- Mycie, potem ubiór. Coœ prostego, na przyk<sup>3</sup>ad p<sup>3</sup>ócienne lub we<sup>3</sup>niane bryczesy, i tê koszulê, któr<sup>1</sup> dosta<sup>3</sup>em w Persji, tê z rosyjskimi haftami. Buty z szerokimi cholewami. SprawdŸ, czy podeszwy i obcasy wype<sup>3</sup>nione s<sup>1</sup> ziemi<sup>1</sup>. Czujê, ¿e bêdê tego potrzebowa<sup>3</sup> dzie w nocy.

- Jak pan ka¿e.

- Przygotuj te¿ mój <sup>3</sup>osiowy strój jeŸdziecki. Wyje¿d¿am zaraz, jak siê ubiorê - przystan<sup>13</sup>, widz<sup>1</sup>c notatkê pozostawion<sup>1</sup> przez Beverly Sattina na obramowaniu kominka. Roz<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup> dwukrotnie zgiêt<sup>1</sup> kartkê i przeczyta<sup>3</sup> szybko z coraz bardziej mroczniej<sup>1</sup>c<sup>1</sup> twarz<sup>1</sup>. - Le Grace widzia<sup>3</sup> Dominga - powiedzia<sup>3</sup> tytu<sup>3</sup>em wyjaœnienia, pal<sup>1</sup>c list.

- Kiedy?

- Rano. Sattin nie s<sup>1</sup>dzi, by Le Grace zna<sup>3</sup> obec<sup>1</sup> siedzibê Gildii, lecz niewielka to pociecha. Teraz, gdy Le Grace wie, ¿e Gildia jest wci<sup>1</sup>¿ w Pary¿u, znajdzie sposób, by j<sup>1</sup> wytropiaæ, a to sprawi nam wszystkim wiele k<sup>3</sup>opotów. - Rozwi<sup>1</sup>za<sup>3</sup> bawe<sup>3</sup>nian<sup>1</sup> szatê. - To tyle na razie - powiedzia<sup>3</sup>, lecz zaraz zmieni<sup>3</sup> zamiar. - W<sup>3</sup>aceciwie, to przyœlij do mnie jeszcze Hercule. Chcê powiedzieæ mu jeszcze parê s<sup>3</sup>ów zanim zacznê siê myæ.

Ukl<sup>1</sup>k<sup>3</sup>, by roznieciæ ogieñ w kominku. Zapatrzy<sup>3</sup> siê w p<sup>3</sup>omienie. Uderzy<sup>3</sup>a go ich

¿ar³ocznoœæ. Wyda³o mu siê, ¿e dostrzega w nich Madelaine... Pochyli³ siê, przypalaj¹c skraj szaty.

Drzwi otwar³y siê i do pokoju wszed³ Hercule. Stan¹³ tu¿ za progiem. Nadal porusza³ siê niepewnie, lecz nie u¿ywa³ ku³.

- Panie? - lecz Saint-Germain wci¹¿ nie odwraca³ siê do niego.

- Hercule - hrabia nadal wpatrywa³ siê w p³omienie, robi³ wra¿enie nieobecnego duchem. - Bêdê ciê potrzebowa³, tak dzisiaj, jak i jutro.

- Co mam robiæ? - zawaha³ siê, potem zamkn¹³ drzwi.

Szybkim, p³ynnym ruchem Saint-Germain otrzepa³ py³ z r¹k i wsta³.

- W nocy bêdê potrzebowa³ tylko berberysa, lecz na jutro muszê mieæ powóz. Pokierujesz nim dla mnie?

- Nawet do piek³a, panie, bylebym tylko móg³ znów trzymaæ lejce.

- Mo¿e nam siê trafiæ droga i tam - Saint-Germain by³ wci¹¿ powa¿ny.

- Proszê ciê, zastanów siê, zanim siê zgodzisz. Obawiam siê, ¿e bêdzie to niebezpieczne. Jeceli mnie zawiedziesz, zginê. Lecz i ciebie mo¿e to spotkaæ.

- Proszê mi powiedzieæ - spyta³ Hercule po namyœle - czy winien temu niebezpieczeñstwu jest baron Saint Sebastien?

- Tak.

- Rozumiem - Hercule popatrzy³ pewnie w oczy hrabiego, a gdy przemówi³, w jego s³owach by³o twarde postanowienie. - Jeceli to Saint Sebastien, a ja mogê zrobiaæ coœ, by przyspieszyæ jego pora¿kê, to nawet jeceli kosztowaæ mnie to mo¿e ¿ycie i duszê, nie cofnê siê. Poczujê siê oszukany, jeceli odmówi mi pan zemsty.

Saint-Germain upewni³ siê, ¿e dobrze wybra³.

- Bêdê potrzebowa³ karetê, Hercule. Ufam, ¿e j¹ przygotowa³eœ. WeŹmiesz ciê¿ki zaprzêg, gdy¿ bêdziemy musieli jechaæ szybko i daleko.

- Ale dok¹d?

- Skierujemy siê do Anglii. Mój przyjaciel Mer-Herbeux prosi³ mnie o przekazanie szeregu wiadomoœci ró¿nym ludziom w Londynie. Dyskretnie, rzecz jasna. Nikt nie powinien zauwa¿yæ mego nag³ego odjazdu. A to pozwoli nam zrobiaæ od razu dwie rzeczy.

- Kto pojedzie z panem? - spyta³ Hercule myœl¹c ju¿ o drodze do Calais.'

- Muszê zadbaæ o zmiany koni po drodze, a nie wiem, ile osób bêdzie jechaæ. Czy mo¿e pojedzie pan sam?

- Sêdzê, ¿e nie sam - powiedzia³ powoli Saint-Germain. - W drugim powozie za nami, pojedzie Roger, lecz to nas nie dotyczy. Mo¿liwe, ¿e wezmê paru pracuj¹cych u nas czarowników. Lepiej, ¿eby tu nie zostawali.

Hercule przytakn¹³, wspominaj¹c zimne okrucieñstwo Saint Sebastiena. Ka¿dy, kto by tu zosta³,

znalaz³by siê w wielkim niebezpieczeñstwie.

- Zatem zabieramy ich.

- Dobrze. Roger powie, gdzie powóz ma na nas czekaæ i o której godzinie. Wype³nisz dok³adnie jego polecenia. S³uchaj go, jakbym to ja mówi³. Uczulam ciê - dopilnuj, by pod pod³og¹ karety znalaz³a siê œwie¿a warstwa ziemi. Odpowiedni¹ ziemiê znajdziesz w specjalnej skrzyni w stajni. Roger ci poka¿e. Sprawdź to, zanim zabierzesz siê za cokolwiek innego. To najwa¿niejsze.

Zbity z tropu tym niezwyk³ym ¿yczeniem nie usta³ jednak w gorliwoœci.

- To najwa¿niejsze. Zrobiê jak pan ka¿e.

- Nie wolno ci zawieœæ. To decyduje o mojej mocy - przyjazna ziemia, która da³a mi ¿ycie. A bédê potrzebowa³ tej mocy, gdy przyjdzie do spotkania z Saint Sebastienem.

- Jak pan ka¿e - sk³oni³ siê Hercu³e. - Wype³niê co do joty. - Chcia³ ju¿ wyjœæ i chocia¿ Saint-Germain zdawa³ siê zupe³nie o nim zapomnieæ, waha³ siê, czy mo¿e uczyniæ to nie odprawiony.

- Hercule - powiedzia³ hrabia w powietrze. - Lepiej bédzie, gdy ostrze¿ysz Sattina i jego przyjació³. Musz¹ byæ w ka¿dej chwili gotowi do drogi. W lochach pozosta³ych po starym klasztorze jest wejœcie do tunelu, który biegnie do rzeki. Mnisi u¿ywali go do ucieczki w razie ataku. Nale¿y zejœæ pod trzeci¹ kondygnacjê piwnic i znaleŹæ zapadkowe drzwi. S¹ w pó³nocno-zachodnim k¹cie piwnicy. Przejœcie zaprowadzi ich najpierw do starej kaplicy pogrzebowej. Tunel zaczyna siê w krypcie obok kaplicy, w pó³nocnej œcianie. Ca³a ta rezydencja zosta³a wzniesiona na fundamentach klasztoru. Jeœli nie béd¹ w stanie opuœciæ jej nie zauwa¿eni, pozostanie im skorzystaæ z tunelu. W przeciwnym razie groziæ nam bédzie zdemaskowanie.

- A zatem to ju¿ nied³ugo?

- Nie wiem dok³adnie, Hercule. S¹dzê, ¿e przed jutrzejszym zmierzchem bédê wiedzia³, co i gdzie przyjdzie nam czyniæ. Jeœli do jutra, do zachodu s³oñca nie dostaniesz ode mnie ¿adnej wiadomoœci, to niezale¿nie od tego, co siê stanie, b¹dŹ w gotowoœci. Nie zwa¿aj na jakiegokolwiek inne polecenia. Powóz ma byæ gotowy, a konie zaprzê¿one. W powozie ma le¿eæ kilka grubych koców, gdyby by³o zimno.

- Czy bédziemy potrzebowali forysiów?

- Jeden wystarczy. Tobie zostawiam znalezienie kogoœ zaufanego. Zreszt¹, pewnie masz ju¿ kogoœ. Gdybym nie zjawi³ siê pojutrze przed œwitem, wówczas bédziecie musieli uznaæ, ¿e Saint Sebastien zwyciê¿y³. W takim przypadku odnajdziecie w Chambord kardyna³a Fouteta. Powiecie mu, co wam wiadomo o Saint Sebastienie, o Beauvrai i innych. Powiedzcie o Mszy Mi³osnej, któr¹ odprawili nad cia³em Lucienne Cressie, i ¿e przebywa ona w Bretanii, w zakonie de la Misericorde et la Justice de le Redemptour, gdzie wraca do zdrowia. Ona potwierdzi wszystko, ka¿de wasze s³owo. I, Hercule - doda³ z powag¹ w g³osie. - Nie pozwól, by ktokolwiek inny dosta³ te informacje. Gdybyœ wpad³ w rûce Saint Sebastiena, mo¿esz byæ pewien swojej œmierci. ¿ycie zbyt wielu ludzi zale¿y od twego



milczenia - spojrz<sup>3</sup> na drzwi, które w<sup>3</sup>acenie otwar<sup>3</sup>y si<sup>ê</sup> przed Rogerem. - O co chodzi?

- K<sup>1</sup>piel gotowa. Przygotowa<sup>3</sup>em te<sup>ż</sup> buteleczk<sup>ê</sup> œwi<sup>ê</sup>conej wody i hosti<sup>ê</sup> do cyborium. Mo<sup>¼</sup>e pan ich potrzebowaa<sup>æ</sup>.

- Dzi<sup>ê</sup>kuj<sup>ê</sup>. Wkr<sup>ó</sup>tce tam przyjd<sup>ê</sup>. - Raz jeszcze zwr<sup>ó</sup>ci<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> do Hercule. - Pami<sup>ê</sup>taj, co powiedzia<sup>3</sup>em. Je<sup>l</sup>eli jeste<sup>œ</sup>e wier<sup>z</sup>ycy, wy<sup>s</sup>powiadaj si<sup>ê</sup> jeszcze dzisiaj. Hercule zblad<sup>3</sup> nieco.

- Zajd<sup>ê</sup> do St. Sulpice, to niedaleko st<sup>1</sup>d. Uwin<sup>ê</sup> si<sup>ê</sup> w godzin<sup>ê</sup>.

- Bon. Lecz nie m<sup>ó</sup>w ksi<sup>ê</sup>dzu wi<sup>ê</sup>czej, ni<sup>¼</sup> trzeba. Nie mo<sup>¼</sup>esz w spowiedzi napomkn<sup>1</sup>æ o Saint Sebastienne. Nie ujawniaj niczego ponad minimum.

- Oczyszcz<sup>ê</sup> si<sup>ê</sup> tylko z grzech<sup>ów</sup> - obieca<sup>3</sup> Hercule i wyku<sup>e</sup>tyka<sup>3</sup> z pokoju.

Roger milcza<sup>3</sup>. Saint-Germain zapatrzy<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> w ogie<sup>ñ</sup>, pieszcz<sup>1</sup>c d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> haft na wysokim ko<sup>3</sup>nierz<sup>u</sup>.

- Nie pochwalasz mojego zaufania wobec Hercule.

- Nie.

- Tobie zaufa<sup>3</sup>em kiedyœ, chocia<sup>¼</sup> wcale ci<sup>ê</sup> nie zna<sup>3</sup>em.

- Z dobrym skutkiem.

- A nie wierzysz Hercule? - uni<sup>ó</sup>s<sup>3</sup> brwi. - Czemu?

- To s<sup>3</sup>u<sup>¼</sup>cy panie. Zawsze by<sup>3</sup> s<sup>3</sup>u<sup>¼</sup>cy<sup>m</sup> Saint Sebastiena. Pos<sup>3</sup>usze<sup>ñ</sup>stwo wobec niego jest jego natur<sup>1</sup>. Saint Sebastien okaleczy<sup>3</sup> go, to prawda, ale nawyki nie zmieniaj<sup>1</sup> si<sup>ê</sup> tak <sup>3</sup>atwo. Je<sup>l</sup>eli stanie twarz<sup>1</sup> w twarz ze swym by<sup>3</sup>ym panem, mo<sup>¼</sup>e nie by<sup>æ</sup> w stanie mu si<sup>ê</sup> przeciwstawi<sup>æ</sup>.

- Mo<sup>¼</sup>e - powiedzia<sup>3</sup> Saint-Germain po namyœle. - Trudno powiedzie<sup>æ</sup>. S<sup>1</sup>dz<sup>ê</sup>, <sup>¼</sup>e mnie nie zdradzi. Jego nienawie<sup>æ</sup> wygl<sup>1</sup>da na doœæ <sup>¼</sup>arliw<sup>1</sup>, by wypali<sup>æ</sup> ze<sup>ñ</sup> wszystkie minione lata.

Roger przytakn<sup>13</sup> nieœmia<sup>3</sup>o, lecz wida<sup>æ</sup> by<sup>3</sup>o, <sup>¼</sup>e nie zosta<sup>3</sup> ca<sup>3</sup>kiem przekonany.

- Chod<sup>Ÿ</sup> - Saint-Germain lapidarnie zako<sup>ñ</sup>czy<sup>3</sup> rozmow<sup>ê</sup>, przerywaj<sup>1</sup>c swe zamycelenie wywo<sup>3</sup>ane wpatrywaniem si<sup>ê</sup> w ta<sup>ñ</sup>cz<sup>1</sup>ce p<sup>3</sup>omienie. - K<sup>1</sup>piel, potem cyborium.

Roger odst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> od drzwi, puszczaj<sup>1</sup>c Saint-Germaina przodem.

*Tekst listu l'Abbe Ponteneufa do markiza de Montalia; datowane 4 listopada 1743; zwrócony opatowi przez kontesse d'Argenlac 17 grudnia 1743:*

*Mon cher cousin, pozdrawiam cię w imieniu Boga i Dziewicy.*

*Mia<sup>3</sup>em nadzieję przyj<sup>1</sup>æ twoj<sup>1</sup> córkê dzie po po<sup>3</sup>udniu, tak, byæmy mogli odbyæ ow<sup>1</sup> rozmowê, na któr<sup>1</sup> tak bardzo nalega<sup>3</sup>ææ. Bez w<sup>1</sup>tpienia opanowa<sup>3</sup>a j<sup>1</sup> panieñska p<sup>3</sup>ochliwoææ i waha siê ona teraz, czy rozmawiaæ ze mn<sup>1</sup> na tak osobiste tematy pomimo, że jestem jej spowiednikiem. Twój list, który mia<sup>3</sup>em szczêæcie przeczytaæ rano, a w którym informowa<sup>3</sup>ææ mnie o proæbie markiza Chenu-Tourelle, wyjaænia wiele i mam nadzieję, że Madelaine zdaje sobie sprawê z zaszczytu uczynionego jej przez tego znakomitego d;entelmena.*

*Jest moim zamiarem wys<sup>3</sup>uchaæ jej spowiedzi w ærodê lub czwartek i przy tej okazji raz jeszcze spróbowaaæ zmieniaæ jej zdanie o rozkoszach ma<sup>3</sup>;eñstwa i s<sup>3</sup>odkich obowi<sup>1</sup>zkach ;ony. Przeczyta<sup>3</sup>a mój list tycz<sup>1</sup>cy owych spraw i powiedzia<sup>3</sup>a, że uwa;æ go za pouczaj<sup>1</sup>cy.*

*Wspomina<sup>3</sup>ææ o jej wychowaniu i o szkole, i miło mi jest poinformowaæ ciê, i; jej myæli nadal ow<sup>3</sup>adniête s<sup>1</sup> wpojonymi wówczas wartoæciami. Lektury, które wybiera z historii godne s<sup>1</sup> pochwa<sup>3</sup>y, chocia; nie zawsze wybiera pozycje w<sup>3</sup>æciwe dla oczu kobiety niezamê;nej. Przyznaæ jednak trzeba, i; wiele z tego, co zdarzy<sup>3</sup>o siê w dziejach nie jest buduj<sup>1</sup>cym przyk<sup>3</sup>adem dla dobrze urodzonych i troskliwie wychowanych. Powiedzia<sup>3</sup>a, że jak dot<sup>1</sup>d nie rozumie, sk<sup>1</sup>d bior<sup>1</sup> siê objawy wspó<sup>3</sup>czucia, z którymi siê spotyka i narzekania na brak szczêæcia, sugerowane jej przez innych. Za to lektura ksi<sup>1</sup>;ek historycznych daje jej nowe spojrzenie na ludzkoææ, i o ile przedtem nie pojmowa<sup>3</sup>a tego wcale, tak teraz widzi to w prawdziwszych kolorach.*

*Twoja troska o córkê jest jak najbardziej chwalebna, Robercie. Wiem, że twoje uczucia odegra<sup>3</sup>y wielk<sup>1</sup> rolê w uczynieniu jej wspania<sup>3</sup>1 m<sup>3</sup>od<sup>1</sup> kobiet<sup>1</sup>. Lecz to nie tylko jej dusza mnie obchodzi, ale i twoja. Ile; to razy namawia<sup>3</sup>em ciê usilnie, byæ przyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> do spowiedzi, aby powtórnie zostaæ przyjêtym na <sup>3</sup>ono Koæcio<sup>3</sup>a B<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awionej Matki. Jeæli myælisz o Madelaine i jej przysz<sup>3</sup>oæci, musisz myælaæ te; o sobie. Nie jest m<sup>1</sup>drym to odwlekanie momentu, gdy twoja dusza raz jeszcze weÏmie udzia<sup>3</sup> w Œwiêtej Komunii z Przybytkiem Mi<sup>3</sup>osierdzia. Robercie pomyæl o wielkiej pustce, która ciê otoczy, jeæli nie bêdziesz móg<sup>3</sup> uczestniczyæ w ælubie twojej córki. By<sup>3</sup>by to wstyd dla niej, gdybyæ odmówi<sup>3</sup> przyjêcia komunii razem z ni<sup>1</sup>, szczególnie dotkliwy w tak radosnym czasie. Pomyæl o swoich wnukach, na które wcale tak d<sup>3</sup>ugo nie bêdziesz musia<sup>3</sup> czekaæ. Bêdziesz chcia<sup>3</sup>, by cieszy<sup>3</sup>y siê ochron<sup>1</sup> Koæcio<sup>3</sup>a i bra<sup>3</sup>y udzia<sup>3</sup> we wszystkich ceremoniach i obrz<sup>1</sup>dkach, które umo;liwiaj<sup>1</sup> nam kontakt z Bogiem przez jego Œwiêtech.*

*Naj;arliwiej proszê ciê, byæ przyst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> do spowiedzi, mój kuzynie. Jest to wa;ne nie tylko dla mnie i dla twojej kochanej córki, lecz i dla ciebie jest to sprawa najwy;szej ;yciowej wagi. To twoja dusza znajduje siê w niebezpieczeñstwie wiecznego potêpienia. Nie zaprzeczysz przecie;, i;*

wraz z wiekiem czas staje się coraz bardziej cenny i skłania do myślenia o śmiertelności i poprawy przed nadejściem Mrocznego Anioła.

Uwierz mi, modlę się za ciebie codziennie i błagam naszego Pana i Dziewicę, by natchnęli twoje serce i przywieźli do nas szczerze skruszonego. Nie dla ziemskiej chwały to robię, lecz dla zbawienia twojej duszy. W mniej tolerancyjnych czasach zostałbyś potraktowany o wiele bardziej surowo, a nawet dzisiaj, gdybyś mieszkał w Hiszpanii, to szybko stwierdziłbyś, że twoje odepchnięcie czułej miłości Kościoła Triumfalnego, postawiło by cię w bardzo nieprzyjemnej sytuacji. Co prawda, dni Torquemady już minęły, lecz Inkwizycja wciąż strzeże świętych zobowiązań Kościoła. Myśl o cierpieniach cię w tym życiu przywołuje zwykle do rozsądku, chociaż napawa to lękiem i tak mniejszym, niż cierpienia piekielne. Nie śpiesz, że zdołasz przed tym uciec. Wykaż skruchę teraz i oszczędź sobie całej wieczności cierpienia.

Lecz doświadczone już na ten temat. Póki co masz moje zapewnienie, że porozmawiam z twoją córką przy sposobności i nakłonię ją do uznania międzyowskich życzeń za własne i uległości jego woli, do miśowania jego praw tak, jak w życiu religijnym wszyscy kochamy ten cep, który oczyszcza nas z naszych błędów.

Z pełnymi wiary wyrazami szacunku i modlitwy, pozostaję

Twoim kuzynem krwi i bratem twoim, jako że Jego jesteśmy dziećmi,

**l'Abbe Ponteneuf, S. J.**

W gustownej jadalni w rezydencji d'Argenlac panowa³a cisza. Siedz¹cy przy jednym koñcu sto³u Gervaise napoczyna³ drug¹ butelkê Bordeaux i konsekwentnie ignorowa³ turbota z wo³owiny nadziewanej grzybkami i œwie¿ego, przypieczonego na macele homara. Ani to miêсне danie, ani dwie sa³atki warzywne, jedna przyrz¹dzona na sposób geneueñski, nie odci¹gnê³y go od wina. Spojrza³ krzywo na nastêpne p³ómski, czekaj¹ce na bocznym stoliku, i westchn¹³,

- O co chodzi, Gervaise? - spyta³a nerwowo Claudia, spogl¹daj¹c na brata, który siedzia³ po jej prawej rêce.

- Nic, nic - uj¹³ kieliszek za nógkê tak, ¿e œwiat³o przebija³o przez wino.

- Pomyœla³em o tym, ¿e powinienem wyjœæ wkrótce. Wybi³a dziewi¹ta, a ja jestem umówiony na dziesi¹t¹ z Lambeaugarenne. W¹tpiê, bym by³ w stanie skoñczyæ z wami kolacjê. Z radoœci¹ zostaniesz sama z Robertem. Pewien jestem, ¿e poplotkujecie o rodzinie, a ty ponarzekasz sobie na mnie. Starczy ci tematów póki œwiece siê wypal¹, a mnie ma³o to obchodzi - mia³ ju¿ wstaæ niepewnie, gdy do jadalni wpad³ bardzo wzburzony jeden z lokajów.

- Co jest?

- Jest... jest wiadomoœæ, panie - lokaj z trudem wymawia³ s³owa.

- Pos³aniec przyniós³...

- Przeczytam j¹ w ¿ó³tym salonie - z irytacj¹ przypomnia³ sobie przegrany tego dnia sumê szeœciu tysiêcy ludwików. Z rozdra¿nieniem pomyœla³ o swoim pechu. - To gêœe powinna wygraæ - mrukn¹³, odtwarzaj¹c raz jeszcze przebieg wyœcigu pomiêdzy gêsi¹ a zaj¹cem. - Gêœe ma skrzyd³a.

- Kochany...? - spyta³a z niepokojem Claudia.

- Przepraszam pana - ocemili³ siê wtr¹ciaê lokaj - ale wiadomoœæ jest nie do pana, hrabio, lecz do markiza de Montalia. Przestraszony Robert odwróci³ siê gwa³townie.

- Do mnie? - przelotnie ¿ywi³ nadziejê, ¿e mo¿e Madelaine potrzebuje jego wsparcia w rezydencji Chenu-Tourelle, lecz myœel ta szybko zniknê³a.

- Dziêkujê. - Wyci¹gn¹³ d³oñ i poczeka³, a¿ lokaj poda mu zapieczêtowany list. Chcia³ po³o¿yæ go przy talerzu, gdy¿ wydawa³o mu siê nieuprzejmym czytaæ coœ takiego przy jedzeniu.

- Nie, Robercie, proszê, przeczytaj - Claudia spojrze³a na lokaja.

- Kto to przyniós³?

- S³u¿¹cy w niebieskiej liberii. Z czerwonymi akcentami. Nie znam tych kolorów.

Robert de Montalia nie mia³ w¹tpliwoœci. Rêce zaczê³y mu siê trz¹œæ, a twarz sta³a siê blada jak kreda. Nawet Gervaise mrukn¹³ coœ zaczepnie, pamiêtaj¹c, ile to pechowe zaproszenie na wczorajsze przyjêcie sprowadzi³o przekleñstw na jego g³owê.

- Wygl¹da na to, ¿e to cz³owiek Saint Sebastiena - powiedzia³, by uprzedziæ wszelkie oskar¿enia, które mog³y pacaæ pod jego adresem.

- Tak - powiedzia<sup>3</sup> cicho Robert. - Pozwolisz? - zwróci<sup>3</sup> siê do siostry, siêgaj<sup>1c</sup> po zapieczêtowe kartki. Jedno spojrzenie na sygnet odcieniêty w pieczêci upewni<sup>3o</sup> go co do nadawcy. To Saint Sebastien! Z<sup>3</sup>ama<sup>3</sup> pieczêæ i rozpostar<sup>3</sup> dwa arkusze papieru, czytaj<sup>1c</sup> wolno, jakby przek<sup>3</sup>ada<sup>3</sup> treœæ z obcego jêzyka.

- Ach, Œwiêta Matko - powiedzia<sup>3a</sup> Claudia do siebie, widz<sup>1c</sup> jak twarz Roberta zamienia siê w maskê boleœci. - Czy to Madelaine?

- Tak - Robert zmi<sup>13</sup> obie kartki i odrzuci<sup>3</sup> je z przekleñstwem. Wsta<sup>3</sup>, rozlewaj<sup>1c</sup> przy tym kieliszek burgunda na jasny, adamaszkowy obrus.

- Saint Sebastien? - spyta<sup>3</sup> zaintrygowany Gervaise. - Pojecha<sup>3a</sup> z Chenu-Tourelle. Co mo¿e mieæ do niej Saint Sebastien?

- To mój wróg - Robert zazgrzyta<sup>3</sup> zêbami. - Porwa<sup>3</sup> Madelaine. Mówi... nie ocemielê siê tego powtórzyæ.

- To jakæ pomy<sup>3</sup>ka - po raz pierwszy Gervaise zastanowi<sup>3</sup> siê. Poci<sup>1gn13</sup> solidnie wina, wytar<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup> usta. - Zastanów siê, de Montalia. Znam Saint Sebastiena. Powiedzia<sup>3</sup> niedawno, ¿e pragnie odnowiæ przyjaŹni z tob<sup>1</sup>, przyjaŹni sprzed dwudziestu lat. Poprosi<sup>3</sup> zapewne Chenu-Tourelle, by przyjecha<sup>3</sup> z dziewczyn<sup>1</sup> do niego, a teraz chce, ¿ebyœ i ty siê przy<sup>3</sup>czy<sup>3</sup>. Owszem, jest trochê odpychaj<sup>1cy</sup>, lecz nie powinienesiê tym zajmowaæ.

- Trochê odpychaj<sup>1cy</sup>? - Robert uniós<sup>3</sup> g<sup>3</sup>os i zacisn<sup>13</sup> piêœci. - On jest niebezpieczny. On jest z<sup>3</sup>em! Pisz mi o tym... w tym z<sup>3</sup>oceliwym liœcie, ¿e zamierza z<sup>3o</sup>¿yæ ofiarê z mojej córki! - urwa<sup>3</sup> nagle, widz<sup>1c</sup> przera¿enie, które pojawi<sup>3o</sup> siê w oczach Claudii.

- Ofiara? Co to za bzdura?

- To nie bzdura - powiedzia<sup>3</sup> ciê¿ko Robert. - Saint Sebastien zamierza z<sup>3o</sup>¿yæ Madelaine cia<sup>3</sup>em i krwi<sup>1</sup> w ofierze Szatanowi - zakry<sup>3</sup> oczy d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup>. - Muszê go powstrzymaæ!

Gervaise spróbow<sup>3</sup> zakpiæ i prawie mu siê uda<sup>3o</sup>.

- Szatanowi w ofierze? Ostatni raz coœ takiego zdarzy<sup>3o</sup> siê, gdy Montespan by<sup>3a</sup> kochank<sup>1</sup> Króla S<sup>3</sup>oñce. Policja po<sup>3o</sup>¿y<sup>3a</sup> temu kres. Mo¿ecie byæ spokojni.

- Gervaise, przestañ - poprosi<sup>3a</sup> go Claudia.

- Nie, to siê nie skoñczy<sup>3o</sup> wtedy - powiedzia<sup>3</sup> Robert, z trudem wyrzucaj<sup>1c</sup> z siebie s<sup>3</sup>owa. - Przesta<sup>3o</sup> rzucaæ siê w oczy, zesz<sup>3o</sup> do podziemia, lecz siê nie skoñczy<sup>3o</sup>. A Saint Sebastien przewodzi teraz nowemu Krêgowi. Wiem. Wiem - powiedzia<sup>3</sup> g<sup>3</sup>oceniej, powstrzymuj<sup>1c</sup> Gervaise'a, który chcia<sup>3</sup> coœ wtr<sup>1</sup>ciaæ. - Wiem, bowiem kiedyœ sam nale¿a<sup>3em</sup> do Krêgu. Wiem, ¿e zrobi co przyrzek<sup>3</sup>, poniewa¿ darowa<sup>3em</sup> mu j<sup>1</sup> zanim siê jeszcze narodzi<sup>3a</sup>. - G<sup>3</sup>os mu siê za<sup>3</sup>ama<sup>3</sup>, a <sup>3</sup>zy strugami pop<sup>3</sup>ynê<sup>3y</sup> po twarzy. - Bo¿e, wybacz mi. Nie wiedzia<sup>3em</sup> - <sup>3</sup>ka<sup>3</sup>.

Claudia wsta<sup>3a</sup> i wziê<sup>3a</sup> brata w ramiona. Ogarnê<sup>3a</sup> wzrokiem zak<sup>3</sup>opotanych s<sup>3</sup>u¿<sup>1</sup>cych i chocia¿ sama zdenerwowana, opanowa<sup>3a</sup> siê doœæ, by wydaæ kilka poleceñ.

- Paulin, brandy dla markiza. Zaraz. Soussere, kaź powiedzieæ w stajni, by zaprzêgali do wyœciowego powozu. Aigulle sprz¹tnij ze sto³u i odnieœ wszystko do kuchni. Powiedz szefowi, Ÿe w³aczenie dosz³y nas tragiczne wieœci i nie jesteœmy w stanie doceniæ jego sztuki - odgarnê³a Robertowi w³osy z twarzy i spojrz³a mu w oczy. - Znajdziemy j¹ - powiedzia³a z pewnoœci¹, której sama nie czu³a. - Znajdziemy j¹ i przyprowadzimy j¹ tutaj ca³¹ i zdrow¹. Mo¿esz zaraz jechaæ. Gervaise z tob¹...

- Ale Lambeaugarenne... - zaprotestowa³ Gervaise.

- Pewna jestem, Ÿe Everaud Lambeaugarenne mo¿e poczekaæ jeden wieczór, aby obdrzeæ ciê ze skóry, mój drogi - powiedzia³a opryskliwie.

- Poczecz mu przeprosiny.

- Ale to jakace pomy³ka!

- A zatem im szybciej zawieziesz Roberta do Saint Sebastiena, tym prêdziej sprawa siê wyjaœni i bêdziesz móg³ udaæ siê na spotkanie z Lambeaugarenne. - Spojrz³a na Roberta. - Znajdziecie j¹, kochany. Znajdziecie.

- Na rany Chrystusa... - wykrztusi³ markiz.

- Napiszê o pomoc, Robercie, napiszê petycjê do Jego Majestatu. Dopilnujê, by zpst³a natychmiast dorêczona. Wyjaœniê wszystko. Gdy tylko dowie siê o co chodzi, rozka¿e aresztowaæ Saint Sebastiena - Claudia stara³a siê odwróciæ myœli Roberta od z³owrogich wizji opisanych w liœcie.

- Zniszcz³em twój obrus - mrukn¹³, spogl¹daj¹c na stó³. - Nie chcia³em...

- To nic. ChodŸ, Robercie. Jeœli zamierzasz wyjœæ w noc tak¹, jak ta, to musisz za³o¿yæ surdut. Gervaise pojedzie z tob¹. Jestem pewna, Ÿe wszystko bêdzie dobrze - mówi¹c to, uwolni³a siê z ramion Roberta i powróci³a do mê¿a. - I ty powinienesiê ubraæ, Gervaise. W nocy bêdzie burza.

- No dobrze, dobrze - sarkn¹³ Gervaise. - Bêdê do twojej dyspozycji za kwadrans. Muszê napisæ liœcik do Lambeaugarenne. - Sk³oni³ siê i wezwa³ s³u¿¹cego.

Gdy wyszed³ z pokoju, Claudia zwróci³a ca³¹ swoj¹ uwagê na brata.

- Gdzie ona jest?

- W rezydencji Saint Sebastiena zapewne. Stamt¹d przyszed³ list.

- Umilk³ na chwilê. - Pisz, Ÿe zostanê zabity, jeœli spróbujê jej poszukaæ. Zginie te¿ ka¿dy, kto spróbuje mi pomagaæ. Nie bêdê mia³ pretensji, jeœli Gervaise nie zechce mi towarzyszyæ.

- Mamy pozwoliæ ci pójsæ samemu miêdzy tych strasznych ludzi?

- Claudia nie by³a przekonana. - Gervaise zna niektórych spoœród nich. Nie skrzywdz¹ go, Robercie. Wiedz¹, Ÿe jest nadu¿ywaj¹cym alkoholu hazardzist¹. To dla nich Ÿadna groŸba. Ty owszem, ale ty nie jesteœ znany w Pary¿u, ma³o kto by zauwa¿y³, gdybyœ znikn¹³. Gervaise to co innego. Gdyby przez kilka dni z rzêdu nie pojawi³ siê w Hotelu Transylvania czy Hotelu de Ville, po³owa Pary¿a zaraz by o tym wiedzia³a. - Zawarte w tych s³owach zgorzknienie powiedzia³o Robertowi wiêcej o jej stosunkach z mê¿em ni¿ jakiegokolwiek wyjaœnienia.

- Bardzo jesteœcie nieszczœliwi? - spyta<sup>3</sup> ze smutkiem.

- Nie. Mo¿e trochê - poprawi<sup>3</sup>a i doda<sup>3</sup>a: - Sk<sup>3</sup>onna jestem s<sup>1</sup>dzia<sup>æ</sup>, ¿e gdybyœmy mieli dzieci, by<sup>3</sup>oby inaczej. Mê<sup>1</sup>czyzna pozbawiony spadkobierców nie jest przesadnie zainteresowany w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> przysz<sup>3</sup>oœci<sup>1</sup>. Ale - porzuci<sup>3</sup>a nieproduktywne rozwa¿ania - sprawdza siê jako towarzystwo w potrzebie. Jest w stanie u<sup>3</sup>o<sup>1</sup>zy<sup>æ</sup> siê z Saint Sebastienem. To mo¿e wymaga<sup>æ</sup> pieniêdzy...

- W<sup>1</sup>tpiê.

- ...lub innego rodzaju zap<sup>3</sup>aty. Lecz to siê da zrobiæ. - Podesz<sup>3</sup>a do marmurowego frontonu kominka. - Chcia<sup>3</sup>abym ci jeszcze coœ poradziæ. Mam nadziejê, ¿e tego nie zlekcewa¿ysz.

- Czyli?

- Wyœlij lokaja do Saint-Germaina - widz<sup>1</sup>c dezaprobacjê na twarzy brata, doda<sup>3</sup>a: - Wys<sup>3</sup>uchaj mnie, zanim odpowiesz. Saint-Germain nie jest Francuzem i jako taki jest niewra¿liwy na skandale. Mo¿e na takiego nie wygl<sup>1</sup>da, lecz wiem, ¿e jest gro<sup>1</sup>ny w walce. Jego pojedynek w zesz<sup>3</sup>ym tygodniu zadziwi<sup>3</sup> po<sup>3</sup>owê beau monde. Lubi Madelaine i wiem, ¿e zechce ci towarzyszyæ.

Robert postara<sup>3</sup> siê opanowa<sup>æ</sup>, nim sztucznie spokojnym g<sup>3</sup>osem zwróci<sup>3</sup> siê do siostry:

- Doœæ poni¿aj<sup>1</sup>cym jest ju¿ prosiæ twego mê<sup>1</sup>a, by wik<sup>3</sup>a<sup>3</sup> siê w tê brudn<sup>1</sup> sprawê. Nie zwróci<sup>æ</sup> siê do nikogo spoza naszej rodziny, a tym bardziej do obcokrajowca, niezale¿nie od tego, jak bardzo lubi on Madelaine. Nie pozwolê, by zetkn<sup>13</sup> siê z czymœ, co musia<sup>3</sup>oby wzbudziæ w nim obrzydzenie. - Zwi<sup>1</sup>zy<sup>3</sup> wargi, jakby usuwa<sup>3</sup> z nich œlad zatrutego napoju. - Muszê ciê teraz opuœciæ, jeœli mam znaleŹ<sup>æ</sup> siê u Saint Sebastiena na czas. Módl siê, by mi siê uda<sup>3</sup>o, Claudio.

- Ca<sup>3</sup>ym sercem, Robercie. - Opanowa<sup>3</sup>a <sup>3</sup>zy. Ze sporym wysi<sup>3</sup>kiem zmusi<sup>3</sup>a siê do pozostania przy kominku z twarz<sup>1</sup> ukazuj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> nie zm<sup>1</sup>czone w<sup>1</sup>tpliwoœciami skupienie. - Bêdê siê modli<sup>3</sup>a. PrzywieŹ<sup>æ</sup> Madelaine jak szybko siê da.

- Zrobiê to - obieca<sup>3</sup>, wychodz<sup>1</sup>c.

Teraz, gdy by<sup>3</sup>a ju¿ sama, wstrz<sup>1</sup>sn<sup>13</sup> ni<sup>1</sup> p<sup>3</sup>acz. Czuj<sup>3</sup>a ¿al, rani<sup>1</sup>cy niemal tak samo jak fizyczny ból. Wiedzia<sup>3</sup>a, ¿e p<sup>3</sup>acz bêdzie d<sup>3</sup>ugo jeszcze wida<sup>æ</sup> na jej twarzy i ¿e ca<sup>3</sup>a wieczorowa koafiura bêdzie do niczego, lecz przesta<sup>3</sup>a siê tym przejmowa<sup>æ</sup>. Zatracona w rozpaczy nie us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>a powozu odje<sup>1</sup>d<sup>1</sup>aj<sup>1</sup>cego spod rezydencji. Nie us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>a równie¿, jak w dwadzieœcia minut póŹ<sup>1</sup>niej zajecha<sup>3</sup> samotny jeŹ<sup>1</sup>dziec.

Z odrêtwienia wyrwa<sup>3</sup> j<sup>1</sup> dopiero dobrze znany g<sup>3</sup>os.

- Kontesso, moja droga.

Unios<sup>3</sup>a pe<sup>3</sup>n<sup>1</sup> smutku twarz. W drzwiach sta<sup>3</sup> Saint-Germain.

- Proszê o wybaczenie. Nie pozwoli<sup>3</sup>em lokajowi, by mnie zapowiedzia<sup>3</sup>. Ba<sup>3</sup>em siê, ¿e mnie nie przyjmiesz. - Podszed<sup>3</sup> do niej. Ubrany by<sup>3</sup> do jazdy konnej, w strój jeszcze bardziej surowy, ni¿ zwykle.

- Ja... my... dostalicemy niedawno z<sup>31</sup> wiadomoœæ.

- Madelaine - stwierdzi<sup>3</sup>, nie pytaj<sup>1</sup>c.

- Tak. Zosta<sup>3</sup>a... zatrzymana... A Robert pojecha<sup>3</sup> j<sup>1</sup> przywieŹæ. On i Gervaise... Bêd<sup>1</sup> ¿a<sup>3</sup>owali, ¿e ciê nie spotkali.

- W<sup>1</sup>tpiê - przysun<sup>13</sup> sobie krzes<sup>3</sup>o i usiad<sup>3</sup> obok. - Gdyby Madelaine zosta<sup>3</sup>a po prostu zatrzymana, to w<sup>1</sup>tpiê, by trzeba by<sup>3</sup>o a¿ jej ojca i twojego mê¿a, by przywieŹæ j<sup>1</sup> z powrotem. A ty, moja droga - doda<sup>3</sup> <sup>3</sup>agodniej - nie zalewa<sup>3</sup>abyœ siê <sup>3</sup>zami. Powiedz mi co siê sta<sup>3</sup>o.

- Robert nie chce...

- Jeœli twój nieznoeny brat nie pragnie pomocy, to jest g<sup>3</sup>upszy, ni¿ myœla<sup>3</sup>em - uj<sup>13</sup> rêkê Claudii. - Uwierz mi, kochana, nie miesza<sup>3</sup>by<sup>3</sup>m siê, gdyby markiz by<sup>3</sup> w stanie uratowaæ j<sup>1</sup> sam. Ale to nie jest mo¿liwe. Oni tam zdecydowani s<sup>1</sup> zabiaæ Madelaine, prawda? To Saint Sebastien i jego Kr<sup>1</sup>g?

- Nie wiem - roz<sup>3</sup>o¿y<sup>3</sup>a bezradnie rêce. - Robert dosta<sup>3</sup> list...

- List? I wzi<sup>13</sup> go ze sob<sup>1</sup>?

- Nie wiem... - podnios<sup>3</sup>a zap<sup>3</sup>akane oczy, otrz<sup>1</sup>saj<sup>1</sup>c siê nieco z przygnêbienia. - Nie. Gdzieœ go rzuci<sup>3</sup>. Powinien byæ... - spojrz<sup>3</sup>a na pod<sup>3</sup>ogê. - Tam. Pod drugim œwiecznikiem.

Saint-Germain wsta<sup>3</sup> i odszuka<sup>3</sup> pognieciony papier. Wyprostowa<sup>3</sup> kartki. W miarê jak czyta<sup>3</sup>, jego twarz stawa<sup>3</sup>a siê coraz bardziej powa¿na. Gdy skończy<sup>3</sup>, odda<sup>3</sup> list Claudii.

- Spal to - nakaza<sup>3</sup> krótko. - Nie czytaj, tylko spal! - Przeszed<sup>3</sup> siê po pokoju. Czerñ jego oczu sta<sup>3</sup>a siê bardziej intensywne.

Claudia pos<sup>3</sup>usznie wsunê<sup>3</sup>a list w p<sup>3</sup>omieñ jednej ze œwiec stoj<sup>1</sup>cych na obudowie kominka.

- Saint-Germain, czy to coœ powa¿nego?

- Obawiam siê, ¿e tak - przystan<sup>13</sup> i spojrz<sup>3</sup> na ni<sup>1</sup> uwa¿nie - Saint Sebastien zamierza j<sup>1</sup> zabiaæ. Ale dopiero na koñcu.

- Ale z pewnoœci<sup>1</sup>... - Claudia zakry<sup>3</sup>a usta d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup>.

- Jeœli chcesz jej pomóc, musisz zrobiaæ parê rzeczy.

Przytacknê<sup>3</sup>a, stwierdzaj<sup>1</sup>c nagle, ¿e w s<sup>3</sup>owach Saint-Germaina pojawi<sup>3</sup>a siê moc autorytetu. Zawsze by<sup>3</sup> przekonywuj<sup>1</sup>cy i sugestywny w tym co robi<sup>3</sup>, ale sk<sup>3</sup>onna by<sup>3</sup>a s<sup>1</sup>dziaæ, ¿e to po prostu sztuczka zwi<sup>1</sup>zana ze sposobem bycia. Teraz jednak ujrza<sup>3</sup>a ca<sup>3</sup>1 jego si<sup>3</sup>ê, nie maskowan<sup>1</sup> fasad<sup>1</sup> uprzejmoœci, i wiedzia<sup>3</sup>a, ¿e jest groŹniejszym przeciwnikiem, ni¿ kiedykolwiek przypuszcza<sup>3</sup>a.

- S<sup>3</sup>ucham. Zrobiê wszystko dla mojej bratanicy.

- Dobrze. Po pierwsze pœlesz wezwanie na la rue de Ecole-Romain, do lekarza o nazwisku Andre Schoenbrun. Jest bieg<sup>3</sup>y jak nikt w sztuce leczenia, a przy tym bardzo dyskretny. Wykonuje co trzeba wedle ¿yczenia i nie nara¿a na plotki.

- S<sup>1</sup>dzisz, ¿e Madelaine mo¿e potrzebowaæ lekarza?

- Najprawdopodobniej. Bêdzie te¿ potrzebowa<sup>3</sup>a ksiêdza. Kto jest jej spowiednikiem?

- L'Abbe Ponteneuf. To nasz kuzyn.



- Słyszysz jak o nim mówiła - Saint-Germain zmarszczył brwi. - Nie lubi go, podejrzewa, że rozpowiada co nie trzeba. Będziemy potrzebowali innego. Wybór zostawiam tobie. Najlepiej, żeby to był ktoś młody, odważny i umiejący milczeć. Musi być taki jeden w Paryżu.

- Ksiądz - powtórzyła jak echo Claudia. Saint-Germain w milczeniu zapina paszczę.

- Nie mogą zostać. Każda minuta zwiększa niebezpieczeństwo. Jeżeli jest tak, jak mówisz, to znajdę ich razem z Madelaine w rezydencji Saint Sebastiena. Wrócimy razem przed północ. Gdyby jednak zdarzyło się inaczej, nie ujrzysz nas zapewne przed świtem. Gdyby jeden z nas nie wrócił do dziewiętej rano, zawiadam mojego służącego Rogera. On wie, co robić.

- Dobrze, zrobię tak - powiedziała głosem już pewniejszym. - Z Bogiem, Saint-Germain.

- Z Bogiem? - hrabia uniósł brwi. - Czemu nie? Potem drzwi się zamknęły i po chwili Claudia usłyszała tętent konia oddalającego się od rezydencji.

*Tekst listu lekarza Andre Schoenbruna béd'cego odpowiedzi<sup>1</sup> dla kontessy d'Argenlac; datowane 5 listopada 1743:*

*Lekarz Andre Schoenbrun z la rue de Ecoüle-Romain przesy<sup>3</sup>a kontessie cTArgenlac swe pe<sup>3</sup>ne szacunku pozdrowienia i pragnie poinformowaæ j<sup>1</sup>, ¿e otrzyma<sup>3</sup> notatkê z ¿yczeniem, by stawi<sup>3</sup> siê w rezydencji d'Argenlac najszybciej, jak mo¿e.*

*Lekarz ma zaszczyt przyj<sup>1</sup>æ uprzejm<sup>1</sup> proœbê kontessy i stawi siê osobiæcie na godzinê przed æwitem. Do tego czasu pragn<sup>13</sup>by otrzymaæ od kontessy nieco wiêcej informacji o naturze i objawach choroby czy chorób, z jakimi siê spotka. Sztuka medyczna ma swoje wymagania i lekarz nie chcia<sup>3</sup>by dzia<sup>3</sup>æ na œlepo.*

*W przypadku, gdyby z<sup>3</sup>e przewidywania kontessy mia<sup>3</sup>y siê sprawdzaæ, lekarz przyprowadzi pielêgniarkê, osobê o wielkim doœwiadczeniu jak najlepiej nadaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> siê, by czuwaæ nad ofiar<sup>1</sup>, o której wspomina<sup>3</sup>a kontessa. Czêsto bywa tak, ¿e to dusza cierpi bardziej ni¿ cia<sup>3</sup>o, niezale¿nie od tego, jak rozleg<sup>3</sup>e s<sup>1</sup> obra¿enia fizyczne. Ju¿ wielokrotnie lekarz mia<sup>3</sup> okazjê przekonaa siê, ¿e cz<sup>3</sup>owiek jest w stanie umrzeæ ze strachu lub rozpaczy, których nie mo¿na leczyæ tak samo, jak zwykle choroby. W rzeczy samej, lekarz uwa¿a, ¿e to umys<sup>3</sup> i dusza doprowadzaj<sup>1</sup> do apopleksji, gdy¿ wielokrotnie zauwa¿a<sup>3</sup>, ¿e najbardziej podatni na ni<sup>1</sup> s<sup>1</sup> cholerycy. Inaczej wygl<sup>1</sup>da to z kobietami. Spoœród kobiet najbardziej podatne na apopleksjê s<sup>1</sup> te spokojne, <sup>3</sup>agodne i ciche. O ile mê¿czyzn do ataku apopleksji doprowadza nadmiar temperamentu, to kobiety jego brak. Lecz nie zamierza rozwijaæ spraw, które wcale kontessy nie musz<sup>1</sup> interesowaæ. Prosi j<sup>1</sup> o wybaczenie swego zbytniego entuzjazmu wobec tematu i zapewnia kontessê, ¿e pozostaje na jej us<sup>3</sup>ugi*

**Andre Schoenbrun, lekarz**

Gdy zmysły jej wróciły, każdy dorzucił ciętar do ogólnego strachu Madelaine. Ręce i nogi jej zdrętwiały, a gdy spróbowała się poruszyć, poczuła liny krępujące nadgarstki i kostki. Leżała na zimnej, kamiennej powierzchni. W ustach jej zaschło; zmysły wietrzały z wolną resztki narkotyku. Co takiego zrobiła pod jego wpływem, zastanawiała się, że trzeba było ją zwiłać w tak niewygodny i zawstydzający sposób? Otworzyła oczy, lecz poczuła zaraz zawrót głowy i znów je zamknęła.

- Obudziłaś się zatem - powiedziała pełen ogłady, lecz zniechęcony głos. - Ułżyło mi.

Poczuła jak czubkami palców i paznokciami przesuwają lekko po jej brzuchu.

- Jeżeli zrobi pan to raz jeszcze, dostanę mdłości. Saint Sebastien zachichotał nieprzyjemnie.

- Nie powinnam ci grozić. Jeszcze się przestraszę - znów dotknęła jej ciała, tym razem przesuwając palce po szyi i karku. - Jesteś wspaniałą jędrną. To oznacza siłę i zdrowie - czubkiem języka oblizała wargi. - Nie - powiedziała półgłosem do siebie. - Jeszcze nie teraz. Nie za wczoraj. Teraz to tylko złość, a musi być strach i rezygnacja, nim dojdziemy do czegoś więcej. Musi poznać poniżenie i ból.

Madelaine wiedziała, że powiedziała to z rozmysłem, by ją przestraszyć. Uzbroiła się w odwagę przeciwko tym słowom, przekajając kulę, która urosła jej w gardło. Dyskretnie raz jeszcze spróbowała złuszczyć włosy, lecz stwierdziła, iż są aż nadto solidne.

- Moja droga - mruknął Saint Sebastien - gdy tak wyginasz swe ponętne ciało i wierzysz tak boleśnie, ledwo mogę oprzeć się twojemu urokowi - zamilkł na chwilę, by móc przycisnąć paznokciami przez całe ciało, od szyi do zagłębienia między jej nogami. - Lecz jeszcze nie czas. Przedtem musimy zrobić parę innych rzeczy. - Zupełnie niespodziewanie uszczypnął ją w okolicy biodra, pod piersiami i w przedramię.

Oczy Madelaine zaszczyły się, lecz zdawała krzyk bólu i obrazy. Gdy była już pewna, że otworzy usta bez przemyślenia, powiedziała:

- Niech pana Bóg przeklnie.

Saint Sebastien rozciągnął usta w bezgłosnym śmiechu.

- Jesteś trochę niedoinformowana moja droga - powiedziała uprzejmie.

- Twój ojciec powinien ci coś o tym powiedzieć.

- Nie! - krzyknęła, zamykając oczy przed spodziewanym uderzeniem.

- A więc wiesz coś o przysiędze? - spytał z namysłem baron. - Kto mógł ci to powiedzieć?

- Jakiej przysiędze? - Jej serce zdawało się zamierać w obecności Saint Sebastiena.

Przeklinała siebie za tak zdecydowaną odmowę Chenu-Tourelle.

- Chodzi o celubowanie, które on zrobił wiele lat temu. Zanim się narodziła, moja droga. - Wpakowała jej rękę między nogi i zabawiała się niedbale, raniąc delikatne tkanki. - Dał mi cię na własność, Madelaine - dla zaznaczenia wagi tych słów wpiął brutalnie palce w grzbiet jej ciała i z

ucemiechem przygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> siê, gdy krzycz<sup>1</sup>c, szarpa<sup>3</sup>a siê daremnie w wiêzach.

- Nie, jeszcze nie, moja droga. Poddaj siê mojej woli. - Przesun<sup>13</sup> d<sup>3</sup>oñ powoduj<sup>1</sup>c nowy wstrz<sup>1</sup>s bólu. - Nie dzie, lecz jutro pozbawiê ciê dziewictwa. Nie ja jeden ciê wykorzystam. Wraz z mijaj<sup>1</sup>cymi nocami nasza wyobraŹnia bêdzie coraz bogatsza, a sposoby, w jakie bêdziemy ciê ucywaæ, coraz bardziej urozmaicone. Ty naprawdê uwaz<sup>1</sup>asz, ze jest bolesne?

- zachichota<sup>3</sup> bestialsko. - To tylko przedsmak, i to lichy, Madelaine. Pamiêtaj o tym - odsun<sup>13</sup> siê, zostawiaj<sup>1</sup>c j<sup>1</sup> dysz<sup>1</sup>c<sup>1</sup>, oblan<sup>1</sup> strugami zimnego potu i drz<sup>1</sup>c<sup>1</sup> ze strachu.

- Na razie - ci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> dalej w wielkopañskim geecie - pozostaniesz tutaj. Ze mn<sup>1</sup>. - Rozejrza<sup>3</sup> siê po gabinecie, jakby to sam pokój mia<sup>3</sup> dostarczyc mu przyjemnoeci. - A w najciemniejszej godzinie nocy, która nadejdzie wraz z wybiciem trzeciej, przy<sup>3</sup>czymy siê do reszty.

- Reszty? - jej s<sup>3</sup>owa by<sup>3</sup>y s<sup>3</sup>umione przerażeniem.

- Jest ich trochê. Znajdziesz tam parê znanych twarzy, Madelaine

- przeszed<sup>3</sup> przez pokój, z satysfakcj<sup>1</sup> obserwowuj<sup>1</sup>c, jak jej wzrok pod<sup>1</sup>za za nim. - Ci, którzy po<sup>1</sup>dali ciê, zostan<sup>1</sup> zaspokojeni. Ci, którzy tob<sup>1</sup> pogardzali, bêd<sup>1</sup> mieli sposobnoœæ to wyraziæ. NajbliŹsze czterdzieci dni poœwiêcone bêdzie odbieraniu ci twego cz<sup>3</sup>owieczeñstwa, moja droga. A gdy bêdziesz juŹ niczym, umrzesz, by wzmocniæ siê Szatana, który uwielbia niszczenie - poci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> za linkê dzwonka i niemal natychmiast w drzwiach pojawi<sup>3</sup> siê wysoki mê<sup>1</sup>czyzna o ponurej twarzy i zach<sup>3</sup>annych oczach. Ubrany by<sup>3</sup> w ciemnoniebiesk<sup>1</sup> liberiê. - To Tite, mój s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cy. Bêdzie twoj<sup>1</sup> straż<sup>1</sup>. Nie licz na to, ze bêdzie mia<sup>3</sup> jakieœ wzglêdy dla twojej urody. Nie wzbudzisz w nim teŹ litoceci. On czerpie przyjemnoœæ z zadawania bólu. Tite sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê, skupiaj<sup>1</sup>c spojrzenie na nagiej Madelaine.

- Piêciu juŹ przyby<sup>3</sup>o - poinformowa<sup>3</sup> swego pana nie odwracaj<sup>1</sup>c siê od niej. - Kiedy j<sup>1</sup> dostanê?

- Jutrzejszej nocy, Tite. Po mnie. Bêdzie twoja przez resztê nocy.

- Mówi<sup>3</sup> to, jakby zapowiada<sup>3</sup> dziecku, ze da mu cukierka. - Przyprawd<sup>3</sup> innych. I jej damê. Z uk<sup>3</sup>onem, w którym by<sup>3</sup>a tak wynios<sup>3</sup>oœæ, jak i s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>alczoœæ, Tite opuœci<sup>3</sup> gabinet.

Przez chwilê Saint Sebastien sta<sup>3</sup> przy drzwiach, potem podszed<sup>3</sup> do nieduŹej skrzyni, która sta<sup>3</sup>a pod przeciwleg<sup>3</sup>oœcian<sup>1</sup>. Podniós<sup>3</sup> wieko i wybra<sup>3</sup> ze œrodka kilka przedmiotów. Zamkn<sup>13</sup> skrzyniê i wróci<sup>3</sup> do Madelaine. Wokó<sup>3</sup> ramienia owiniêty mia<sup>3</sup> bicz, w rêku trzyma<sup>3</sup> coœ, co wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup>o jak bambusowa miote<sup>3</sup>ka. Przypatrzy<sup>3</sup> siê jej krytycznie.

- To chyba bêdzie najlepsze - powiedzia<sup>3</sup>. - W zasadzie nie narusza skóry.

Madelaine poczu<sup>3</sup>a przyp<sup>3</sup>yw strachu, który uda<sup>3</sup>o siê jej zwalczyc. Nie chcia<sup>3</sup>a dawaæ satysfakcji ujrzenia siebie za<sup>3</sup>amanej. Marmurowy blat sto<sup>3</sup>u wydawa<sup>3</sup> siê jej coraz zimniejszy.

- Dobrze - przyzna<sup>3</sup> Saint Sebastien. - Szkoda by by<sup>3</sup>o, gdybyœ podda<sup>3</sup>a siê za wczesnie. Upór dodaje wdziêku póŹniejszemu upadkowi.

- Uderzy<sup>3</sup> lekko bambusem po d<sup>3</sup>oni.

Drzwi znów się otworzyły i do gabinetu weszło pięciu mężczyzn. Madelaine rozpoznała ich i zdumienie odebrała jej oddech. Był tam de la Sept-Nuit z wyrazem lubieżnego wyczekiwania na twarzy; obok stał nerwowy i podniecony Chateaurouse; dalej Achille Cressie, który zaciemniał się pogardliwie do Madelaine, zanim nie wznowił rozmowy z de les Radeux. Ten ostatni przyszedł ze swoim wujem, baronem Beauvrai.

Chateaurouse podszedł spokojnie do stołu, na którym leżała Madelaine.

- Miło cię spotkać, mademoiselle - powiedział. - Nie masz pojęcia, jak rozkosz jest dla mnie ujrzeć cię w takim wspaniałym stanie.

- Wszyscy jesteśmy zachwyceni - zgodził się de la Sept-Nuit. - Nie wyobrażasz sobie pani, jak bardzo tęsknię, by poznać cię lepiej. - Również podszedł do stołu i spojrzał na nią. - Przepiękna, przysięgam - stwierdził z wdziękiem.

Madelaine milczała. Rumieniec złości pokrył jej twarz i szyję.

Wstrząsający krzyk, który rozległ się od drzwi, odwrócił jej uwagę. Spojrzawszy, ujrzała Tite, który wciągał do pokoju Cassandre.

- Boże miłosierny i wszyscy ości - zawodziła starsza dama.

- Tite - załóż się bez namysłu Saint Sebastien. - Uciszył ją.

- Jak pan każe. - Tite opuścił masywną dłoń na kark Cassandre. Uderzenie było mocne. Wyczerpana przerażającymi wypadkami kobieta, osunęła się na podłogę bez najmniejszych oznak przytomności.

Wszyscy zebrali się teraz wokół stołu. Milczeli przygotowywali się do czekających ich zadań.

Nie musieli długo czekać.

- Słuchaj, może powinniśmy ją obrócić - powiedział z rozmarzeniem Saint Sebastien. - To co - wskazał na bambusową miotłę - najlepsze efekty daje na pośladkach i udach. Ty, Donatien, chwycisz ją za ramiona, a pan, mon cher baron - skłonił się przy tym oficjalnie Beauvrai - jej stopy. Reszta może zająć się rozwijaniem więzów i ponownym spętaniem, gdy będzie już leżała jak trzeba. Uważajcie przy tym, bo może zechce stawiać opór.

Achille spojrzał z zaciekawieniem na bambusową miotłę.

- Czy to grzebień?

- Z bólem serca muszę cię rozczarować, Achille, lecz przez najbliższych kilka dni nie będziemy używali grzebieni. A to przeznaczone jest na podeszwy stóp. No, teraz to zupełnie co innego. Czy mam pokazać wam jak to działa?

Madelaine wzięła się, szarpała i próbowała gryźć, lecz szybko i sprawnie została związana twarzą w dół, z szeroko rozstawionymi nogami. Głowa zwisała jej poza krawędź blatu. Zaciśnięła zęby, gdy Saint Sebastien zaczął ponownie wodzić po niej palcami, obiecując pozostałym, że też dostąpi tego przywileju po demonstracji.

- Używa się tego w ten sposób - uderzenia musz<sup>1</sup> by<sup>æ</sup> bardzo szybkie i lekkie, niewiele mocniejsze niż klaceniêcia. Musz<sup>1</sup> by<sup>æ</sup> rytmiczne - mówi<sup>3</sup>, stosuj<sup>1</sup>c narzędzie na poeladkach dziewczyny.  
- Powiecie, że to nie boli. Poczeka<sup>1</sup>cie. Za parê minut zobaczycie, jakim genialnym wynalazkiem jest ten chiński pejcz. Zawsze uważa<sup>3</sup>em, że Chińczycy to zdolny naród.

Madelaine czu<sup>3</sup>a już efekty dzia<sup>3</sup>ania bambusa. Krew nap<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>a jej do poeladków, a skóra zaczyna<sup>3</sup>a puchn<sup>1</sup>æ. Każde kolejne uderzenie by<sup>3</sup>o coraz bardziej bolesne.

- Widzicie? - spyta<sup>3</sup> Saint Sebastien. - Jeszcze dziesięt minut, a skóra opuchnie jeszcze dwa razy tyle i sprawia<sup>æ</sup> zacznie niewymowne cierpienie. Wtedy nawet kropla wody czy puch wywo<sup>3</sup>a paroksyzm bólu.

- Doprowadzisz do tego? - spyta<sup>3</sup> Beauvrai z nadziej<sup>1</sup>.

- Jeszcze nie teraz. Lecz z pewnoœci<sup>1</sup> dojdzie do te<sup>1</sup>go nim z ni<sup>1</sup> skończymy. Pomyœl o posiadaniu jej ca<sup>3</sup>ej tak obola<sup>3</sup>ej. Musimy to zostawi<sup>æ</sup> na pó<sup>1</sup>Yniej.

Mia<sup>3</sup> już kontynuowa<sup>æ</sup>, gdy nagle z brzêkiem szk<sup>3</sup>a i trzaskiem <sup>3</sup>amanego drewna runê<sup>3</sup>y drzwi prowadz<sup>1</sup>ce na taras i do pokoju wkroczyli Robert de Montalia i Gervaise d'Argenlac. Resztki przeszklnych drzwi trzeszcza<sup>3</sup>y im pod nogami.

- Stójcie! - krzykn<sup>13</sup> Robert de Montalia przyk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c muszkiet do ramienia i mierz<sup>1</sup>c pewnie w Saint Sebastiena.

Wiêkszoœæ mê<sup>1</sup>czyzn wokó<sup>3</sup> sto<sup>3</sup>u mia<sup>3</sup>a na tyle przyzwoitoœci, by poczu<sup>æ</sup> siê wstrz<sup>1</sup>œniêtymi, a Chateaurouse wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> na mocno przestraszonego. Tylko na Saint Sebastienie nie zrobi<sup>3</sup>o to wra<sup>1</sup>zenia, a nawet, s<sup>1</sup>dz<sup>1</sup>c po ucemieszku, który rozci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> mu k<sup>1</sup>ciki ust, by<sup>3</sup> rozbawiony.

- Dobry wieczór - powiedzia<sup>3</sup>, gdy mia<sup>3</sup> już pewnoœæ, że Robert de Montalia nie poci<sup>1</sup>gnie od razu za spust. - Widzê, że postanowi<sup>3</sup>œe przy<sup>3</sup>czy<sup>æ</sup> siê do nas.

- Odsuńcie siê od niej.

- Nie! - Skin<sup>13</sup> lekcewa<sup>1</sup>co g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>. - Twoja córka jest w moich rêkach, Robercie. Tak jak mi to obieca<sup>3</sup>œe.

- Nie mo<sup>1</sup>esz tego robi<sup>æ</sup>! - rozpacz Roberta by<sup>3</sup>a bliska szaleñstwa, a g<sup>3</sup>os krzyku.

- Czemu niby? Bo chcesz zachowa<sup>æ</sup> ten zaszczyt dla siebie?-Wskaza<sup>3</sup> na swoich towarzyszy. - Pewien jestem, że ci d<sup>1</sup>entelmeni poczeka<sup>1</sup>, jeżeli takie w<sup>3</sup>œnienie jest twoje <sup>1</sup>yczenie. Masz do niej prawo. Zaraz po mnie. - Uszczypn<sup>13</sup> opuchniête poeladki Madelaine, a krzyk, który jej siê wyrwa<sup>3</sup>, przyda<sup>3</sup> twarzy Roberta wyraz g<sup>3</sup>êbokiego cierpienia.

- Uwolnij j<sup>1</sup>, Clotaire - powiedzia<sup>3</sup> chrapliwie Robert. - Uwolnij j<sup>1</sup>, a ja zostanê. I niewa<sup>1</sup>ne, co wtedy zrobicie ani, na jak d<sup>3</sup>ugo to rozci<sup>1</sup>gniecie. Zostanê.

- Oczywiście, że zostaniesz - zgodzi<sup>3</sup> siê uprzejmie Saint Sebastien. I doda<sup>1</sup> z rozbawieniem: - Nie s<sup>1</sup>dzisz chyba, że pozwolê ci odej<sup>æ</sup>? Czyta<sup>3</sup>œe mój list, jak przypuszczam. Spoœród wszystkich ludzi ty najlepiej powinienesz wiedzie<sup>æ</sup>, że zawsze mówiê co myœlê.

Gervaise, który po drodze do rezydencji Saint Sebastiena wypił jeszcze w powozie spor¹ czêœæ butli wina, zebra³ rozbiegane myœli i podszed³ niepewnie do sto³u.

- Panie Bo¿e od Ryb - wymamrota³. - Co robicie z Madelaine?

- Sk³adamy ofiarê - Saint Sebastien odepchn¹³ Gervaise'a jednym lekcewa¿¹cym ruchem rêki. Ten nie da³ za wygran¹. Gotów by³ wszcz¹æ pijack¹ burdê.

- Nie mo¿ecie z³o¿yæ szlachcianki w ofierze. Nie uchodzi. A swoj¹ drog¹, komu j¹ poœwiêcacie? Tyle mo¿ecie mi powiedzieæ.

- Mocy - warkn¹³ Saint Sebastien, podnosz¹c znowu rêkê. - Niezbyt m¹drze wybierasz sobie sprzymierzeñców, Robercie.

- A niech ciê cholera, ty z³oceliwy sukinsynu - rozdar³ siê Gervaise zataczaj¹c siê w kierunku sto³u. - Nie bêdziesz wi¹za³ damy wysokiego urodzenia i bi³ j¹ dla zabawy. - Spojrza³ na pozosta³ych. - Coe tu jest cholernie nie w porz¹dku - powiedzia³ powoli.

- Nie nale¿ê do cierpliwych, Robercie - Saint Sebastien zupe³nie zignorowa³ Gervaise'a. - Im d³u¿ej bêdziesz przeci¹ga³ ten melodramat, tym mniej bêdê mia³ dla ciebie mi³osierdzia.

- Odsuñcie siê od mojej córki. - G³os Roberta by³ lodowaty.

- Nie mamy zamiaru - Saint Sebastien nie zwróci³ uwagi na jego rozkaz.

- Tite, jeœli ten g³upiec mnie zastrzeli, zabijesz go w sposób, jaki uznasz za stosowny. Z pomoc¹ przyjació³ - skin¹³, by s³u¿¹cy odsun¹³ siê z linii ognia.

- Zabijanie - stwierdzi³ Gervaise, chocia¿, najwyraŹniej nikt go nie s³ucha³ - to sprawa s¹dów. Potrzebny nam jest ktoœ z magistratu.

- Odtoczy³ siê od sto³u i przez pot³uczone szk³o skierowa³ siê ku rozbitym drzwiom. - Przytrzymaj ich, Robercie, a ja przed up³ywem godziny wrócê z policj¹, jeœli kogoœ znajdê... Gdzieœ powinien byæ cho... Saint Sebastien odwin¹³ bat z ramienia.

- Odsuñcie siê, panowie - powiedzia³ i w chwilê póŹniej bat, niczym ¿ywa, drapie¿na istota, owin¹³ siê ciasno wko³o szyi Gervaise'a tu¿ ponad ¿abotem. Gervaise wyda³ g³os, jakby nagle dosta³ czkawki, gdy krew trysnê³a z przeciêtej skóry. Saint Sebastien poluŹni³ uchwyt bicia, jak gdyby bawi³ siê z ryb¹ na wêdce, nastêpnie poci¹gn¹³ gwa³townie. W pokoju rozleg³ siê suchy trzask, przypominaj¹cy pêkanie konaru drzewa. W niesamowity sposób, jak marionetka, której odciêto sznurki, Gervaise opad³ nieruchomo na pod³ogê.

Przez chwilê w gabinecie panowa³ martwy bezruch.

- Ty potworze - równo z krzykiem Robert wycelowa³ muszkiet. Saint Sebastien b³yskawicznie uwolni³ bicz. Rozleg³ siê rozdzieraj¹cy huk; muszkiet wystrzeli³ w tej samej chwili, gdy bicz wyrwa³ go Robertowi z rêki i odrzuci³ na gablotê z antycznymi instrumentami muzycznymi.

- Przytrzymaj go, Tite - rozkaza³ Saint Sebastien zwiujaj¹c œmiercionoœny bicz.

- Tak, panie - Tite zbli¿y³ siê do Roberta. Madelaine, gdy to ujrza³a, jêknê³a boleœnie.

Markiz de Montalia cofn<sup>13</sup> siê przed Tite dobywaj<sup>1c</sup> szpady, która dot<sup>1d</sup> by<sup>3a</sup> skryta w pochwie pod p<sup>3</sup>aszczem. Z krzykiem rzuci<sup>3</sup> siê naprzód, wbijaj<sup>1c</sup> szpadê do po<sup>3</sup>owy gardy w pierœ Tite.

Ten zawy<sup>3</sup> i z<sup>3</sup>apa<sup>3</sup> najpierw za szpadê, potem wyci<sup>1gn</sup><sup>13</sup> rêkê ku Robertowi. Wielkie, poplamione krwi<sup>1</sup> rêce uderzy<sup>3y</sup> markiza w twarz. Zaraz potem Tite run<sup>13</sup> prosto na cia<sup>3o</sup> Gervaise.

Robert zachwia<sup>3</sup> siê, lecz nie upad<sup>3</sup>. Uderzenie Tite by<sup>3o</sup> s<sup>3</sup>abe, inaczej zosta<sup>3by</sup> og<sup>3</sup>uszony. Poelizn<sup>13</sup> siê tylko na szkle i opad<sup>3</sup> na kolano by przyjœæ do siebie.

- Niezmiernie zabawne - powiedzia<sup>3</sup> powoli Saint Sebastien. - Co zamierzasz w ten sposób udowodniæ, Robercie? - zbli<sup>1y</sup><sup>3</sup> siê do markiza. W d<sup>3</sup>oniach wci<sup>1</sup><sup>1</sup> trzyma<sup>3</sup> bat, palce bawi<sup>3y</sup> siê rzemieniem. - Nie s<sup>1d</sup><sup>3</sup>eciê chyba, ¿e uda ci siê mnie powstrzymaæ?

- Nie wiem. - Gdy wypadali z domu Claudii wszystko to wydawa<sup>3o</sup> siê byæ <sup>3</sup>atwe. Przepe<sup>3</sup>niony by<sup>3</sup> si<sup>31</sup> mêtwa i mi<sup>3o</sup>œci, przeciw wystêpkowi i degeneracji. Po przybyciu do rezydencji Saint Sebastiena wszystko mia<sup>3o</sup> polegaæ jedynie na powstrzymaniu barona, dopóki Madelaine nie zostanie zabrana w bezpieczne miejsce. Teraz wiedzia<sup>3</sup>, jak bezsensowna by<sup>3a</sup> ta prostota zamiarów.

- Biedny, prawomyœlny Robert - baron wskaza<sup>3</sup> na pozosta<sup>3y</sup>ch obecnych w pokoju. - Ale widzisz, mam j<sup>1</sup>, a teraz mam i ciebie, mon cher Robert. Przypuszczam, ¿e powiedzieliœcie wdowie po Gervaise gdzie jedziecie? Widzê, ¿e nie muszê pytaæ. To trochê k<sup>3</sup>opotliwe. - Obróci<sup>3</sup> siê do cz<sup>3</sup>onków Krêgu. - Niech jeden z was zabierze go do stajni, tam gdzie jest ju<sup>1</sup> Le Grace. Mam nadziejê, Achille, ¿e znajdziesz sposób, by zabawiæ naszego goœcia, a¿ zdecydujê co z nim zrobiæ.

- To bardzo atrakcyjny mêtczyzna - oczy Achille pojaœnia<sup>3y</sup>. - Daj mi tylko doœæ czasu. - Robert zrozumia<sup>3</sup> o co chodzi i wzdrygn<sup>13</sup> siê. - Nie ma ochoty - Achille by<sup>3</sup> zachwycony. - Zmieni zdanie, gdy siê do niego dobiorê.

- Z pewnoœci<sup>1</sup> - zgodzi<sup>3</sup> siê baron i pchn<sup>13</sup> Roberta w kierunku Achille.

- Lecz upewnij siê, czy jest dobrze zwi<sup>1</sup><sup>zany</sup>. Móg<sup>3</sup> zostawiæ jeszcze dla nas jakieœ niespodzianki.

Achille z chichotem podszed<sup>3</sup> bli<sup>1</sup><sup>ej</sup>.

- Czy jesteœ pewien, ¿e nie chcesz, bym zaopiekowa<sup>3</sup> siê nim tutaj, na oczach jego córki?

- Mo¿e póŹniej. Ale nie teraz. - Podszed<sup>3</sup> do skrzyni i wyci<sup>1gn</sup><sup>13</sup> dwa splecione rzemienie. - Proszê. Skrêpuj go tym. Nie stawiaj oporu, mon cher Robert, bo tylko dodasz cierpieñ swojej córce. - Poczeka<sup>3</sup>, a¿ Achille zwi<sup>1</sup><sup>¿e</sup> markizowi rêce z ty<sup>3u</sup>. - Nie zamierza<sup>3em</sup> wychodziæ st<sup>1d</sup> przed œwitem, ale mo¿e lepiej bêdzie, jeœli udamy siê do kaplicy jeszcze tej nocy.

- To ile mam czasu? - Achille zrobi<sup>3</sup> kwacen<sup>1</sup> minê.

- Z godzinê. Nie wiêcej. Mam tu jeszcze coœ do skoñczenia - mimochodem przesun<sup>13</sup> wzrokiem po Madelaine. - Nie wyczerpalicemy jeszcze wszystkich mo¿liwoœci.

- Niech bêdzie - Achille popchn<sup>13</sup> Roberta ku drzwiom gabinetu.

- Mam nô¿, markizie. I wiem jak go u¿yæ, by ciê bola<sup>3o</sup> - chichocz<sup>1c</sup>, wypchn<sup>13</sup> Roberta z



pokoju i wyszed<sup>3</sup> za nim.

- Dok<sup>1</sup>d pójdziemy, Clotaire? Nie muszê ci mówiaæ, ¿e nie lubiê gdy nam siê przeszkadza.

- Ani ja, Beauvrai. Oto dlaczego idziemy do kaplicy. To jedna z ukrytych kaplic, które La Yoison przygotowa<sup>3</sup> dla markizy de Montespan, gdy ta praktykowa<sup>3</sup>a Sztukê. Policja odnalaz<sup>3</sup>a tylko jedn<sup>1</sup>, ale by<sup>3</sup>o ich wiêcej. Ta jest najbli¿ej i ma najlepsz<sup>1</sup> lokalizacjê. -Wróci<sup>3</sup> do sto<sup>3</sup>u i spojrz<sup>3</sup> na Madelaine.

- Zabierzemy j<sup>1</sup> do powozu. Reszta pojedzie za nami wierzchem.

- Ale, Saint Sebastien - zaprotestowa<sup>3</sup> de la Sept-Nuit. - Obieca<sup>3</sup> mi pan, ¿e bêdê móg<sup>3</sup> spędziaæ z ni<sup>1</sup> trochê czasu...

- Tak powiedzia<sup>3</sup>em? Niech bêdzie. Mam jeszcze kilka listów do napisania. Muszê przekazaæ wszystkim nieobecnym, gdzie mamy siê spotkaæ. Masz kwadrans. Potem Beauvrai, nastêpnie Chateaurouse. Mo¿ecie jej dotykaæ, lecz nie wolno wam jej biaæ. Na razie. Macie doææ wyobraŹni, by siê tym zadowoliaæ. Ale ostrzegam was - jej dziewictwo nale¿y do mnie. Nie oddam go nikomu. - Przytrzyma<sup>3</sup> drzwi, pozwalaj<sup>1</sup>c wszystkim wyjœæ i ucœmiechn<sup>13</sup> siê do de la Sept-Nuit. - Mi<sup>3</sup>ej zabawy.

Madelaine us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>a, jak drzwi siê zamykaj<sup>1</sup> i wstrzyma<sup>3</sup>a oddech. K<sup>1</sup>tem oka widzia<sup>3</sup>a cia<sup>3</sup>a mê¿a ciotki i Tite, które le¿a<sup>3</sup>y jedno na drugim, jak po<sup>3</sup>amane meble. Widzia<sup>3</sup>a te¿ stopy de la Sept-Nuit, gdy zbli¿a<sup>3</sup> siê do niej. Zacinê<sup>3</sup>a zwi<sup>1</sup>zane d<sup>3</sup>onie.

- De la Sept-Nuit - powiedzia<sup>3</sup>a tak <sup>3</sup>agodnie, jak potrafi<sup>3</sup>a. - Czemu pan to robi? To jest z<sup>3</sup>e, kawalerze. Niech pan pomyseli o karze. Mê¿czyzna przebieg<sup>3</sup> po niej zniewa¿aj<sup>1</sup>ce d<sup>3</sup>oñmi.

- Pomyœl o Mocy, Madelaine. Clotaire obieca<sup>3</sup> mi przywództwo Krêgu, gdy sam siê wycofa. O ile uzna, ¿e jestem tego wart. Ty jesteœ czêœci<sup>1</sup> testu.

Po raz pierwszy poczu<sup>3</sup>a siê ca<sup>3</sup>kiem bezradna. Na pró¿no usi<sup>3</sup>owa<sup>3</sup>a st<sup>3</sup>umiaæ ból, który sprawia<sup>3</sup> jej de la Sept-Nuit, myœl<sup>1</sup>c o czymœ innym. Rozci<sup>1</sup>gniête na pod<sup>3</sup>odze cia<sup>3</sup>a, wokó<sup>3</sup> których rozlewa<sup>3</sup>a siê coraz szerzej ka<sup>3</sup>u¿a krwi i budz<sup>1</sup>ca wspó<sup>3</sup>czucie bezw<sup>3</sup>adna postac<sup>3</sup> Cassandre, nie pozwala<sup>3</sup>y jej zapomnieæ, gdzie jest i co siê zdarzy<sup>3</sup>o. Rêce kawalera siêga<sup>3</sup>y coraz g<sup>3</sup>êbiej. Bardziej ni¿ czegokolwiek w ¿yciu pragnê<sup>3</sup>a obecnoœci Saint-Germaina, który móg<sup>3</sup>by j<sup>1</sup> uratowaæ, oddaliaæ strach, ból i poni¿enie. Lecz jak dot<sup>1</sup>d z dwóch mê¿czyzn, którzy próbowali j<sup>1</sup> uratowaæ, jeden nie ¿y<sup>3</sup>, a drugi by<sup>3</sup> uwiêziony i równie bliski œmierci jak ona. Modli<sup>3</sup>a siê zatem tylko cicho, ¿arliwie, ¿a<sup>3</sup>ocenie. Modli<sup>3</sup>a siê, by zes<sup>3</sup>ane jej zosta<sup>3</sup>o szaleñstwo.

Wyjtek z jednego z serii listów napisanych przez barona Clotaire de Saint Sebastien do nieobecnych członków Krêgu; bez daty:

(...) Do kaplicy dojæc mo¿na tunelem, który zaczyna siê nad Sekwan<sup>1</sup> i prowadzi do opuszczonych podziemi klasztoru wzniesionego w pobli¿u rzeki ponad piêæset lat temu. Wejæcie znajduje siê na brzegu rzeki przy Quai Mala<sup>1</sup>uais, miedzy la rue des Saints Peres a la rue de Seine. Sklepienie tunelu opiera siê na solidnych kamieniach, lecz powinniæcie wziæ ze sob<sup>1</sup> patki, gdy¿ jest w nim sporo szczurów.

(...) Po drugiej stronie katakumb znajdziecie kaplicê. Kr<sup>1</sup>¿<sup>1</sup> plotki, ¿e by<sup>3</sup>a u¿ywana do praktyk podobnych naszym na d<sup>3</sup>ugo przed panowaniem Króla Paj<sup>1</sup>ka, co wydaje siê dobrze nam wró¿yæ. Z pewnoæci<sup>1</sup> zaæ by<sup>3</sup>a w u¿yciu w póŹniejszych czasach, gdy¿ La Yoison wspomina<sup>3</sup> o niej, jak i o innych, wielu członkom Krêgu, do którego nale¿a<sup>3</sup> mój dziad.

Kaplica znajduje siê dok<sup>3</sup>adnie pod Hotelem Transylwania. To zestawienie wydaje mi siê byæ zabawne. Nad nami wspaniali, szlachetnie urodzeni bêd<sup>1</sup> graæ w koæci i ryzykowaæ maj<sup>1</sup>tek kilku pokoleñ na szczêæcie kart, myæ<sup>1</sup>c, ¿e znaleŹli sposób na zdobycie w<sup>3</sup>adzy i s<sup>3</sup>awy, podczas gdy my bêdziemy pod ich stopami odprawiaæ obrz<sup>1</sup>dek, który przyniesie nam potêgê, o której istnieniu nawet nie maj<sup>1</sup> pojêcia, i w<sup>3</sup>adzê nad Francj<sup>1</sup> o wiele rozleglejsz<sup>1</sup> ni¿ monarsza.

Pozwólcie, ¿e was ostrzegê: wszystko wskazuje na to, ¿e istnieje jakis sposób, by dostaæ siê do kaplicy z wnêtrza Hotelu Transylwania, a skoro ja go nie odkry<sup>3</sup>em, to w<sup>1</sup>tpliwym jest, by w<sup>3</sup>aæciciele i s<sup>3</sup>u¿ba rezydencji mia<sup>3</sup>a pojêcie o jego istnieniu. Lecz przyznacie, ¿e by<sup>3</sup>oby bardzo nie na miejscu, gdyby ktoæ z członków naszego Krêgu u¿y<sup>3</sup> tego wejæcia, nie mówi<sup>1</sup>c ju¿ o sytuacji, gdyby jakis pechowiec ze s<sup>3</sup>u¿by odkry<sup>3</sup> nasz<sup>1</sup> obecnoææ. Z tego i innych powodów bêdê nalega<sup>3</sup>, aby ka¿dy z was po kolei trzyma<sup>3</sup> wartê. Nie pozbawi was to rozkoszy sk<sup>3</sup>adania ofiary ani u¿ycia osoby ofiarowywanej, co, jak s<sup>1</sup>dzê, bêdzie wspania<sup>3</sup>ym zdarzeniem. Chocia¿ dopiero ledwie jej posmakowa<sup>3</sup>em, powiedzieæ mogê, i¿ zg<sup>3</sup>adzenie jej bêdzie czyst<sup>1</sup> przyjemnoæci<sup>1</sup>. Lecz musimy pozostaæ w ukryciu. Wspomnienie skandalu, który towarzyszy<sup>3</sup> odkryciu ostatniego Krêgu niech bêdzie wam wystarczaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> przestrog<sup>1</sup>, uzasadniaj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> wszelkie ærodki ostro¿noæci. Jedna afera z truciznami to doææ dla Francji. Nie bêdê tolerowa<sup>3</sup> niezrêcznoæci i nieuwagi, którymi popisa<sup>3</sup>a siê Montesper.

Teraz, gdy piszê ten list, wybija pierwsza. Wzywam was, byæcie byli w kaplicy o trzeciej nad ranem, tak jak to planowaliæmy. Dobrze bêdzie przybyæ wczeæniej, gdy¿ zmniejszy to ryzyko odkrycia i da czas na swobodniejsze przygotowanie ofiary.

Jeæli zawiedziecie mnie w tym, uznam was za moich wrogów i rozprawiê siê z wami przy pierwszej sposobnoæci. Jeæli nie sk<sup>3</sup>onicie siê przed Szatanem, pozostanie wam rola ofiary, któr<sup>1</sup> przyjmie tak On, jak i ja. Pomyælcie o smutnym losie tych, którzy stanêli mi na drodze i niech to u<sup>3</sup>atwi wam podjêcie decyzji.

*Czekam na was o trzeciej nad ranem, kiedy to odprawimy nasz pierwszy rytua<sup>3</sup>, sk<sup>3</sup>adaj<sup>1</sup>c na o<sup>3</sup>tarzu cia<sup>3</sup>o tego, który mnie zdradzi<sup>3</sup>. Możecie być pewni, że pamiętam o was i o korzyściach i luksusach, o jakich się wam nawet nie ceni<sup>3</sup>o, jak i o zag<sup>3</sup>adzie, zgodnie z tym, co wybieriecie. Pozostaję, oddany wam*

**Baron Clotaire de Saint Sebastien**

Gdy rezydencja Saint Sebastiena wy<sup>3</sup>oni<sup>3</sup>a siê wreszcie zza zakrêtu drogi, Saint-Germain us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>, jak odleg<sup>3</sup>y zegar wybija pierwsz<sup>1</sup>. Pewnie powœci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> berberysa, przygl<sup>1</sup>daj<sup>1</sup>c siê ogromnej bryle budynku. Bramy bêd<sup>1</sup> zamkniête - tego by<sup>3</sup> pewien, mo<sup>1</sup>na te<sup>1</sup> by<sup>3</sup>o przypuszczaæ, ðe na terenie posiad<sup>3</sup>oœci rozstawiono stra<sup>1</sup>e. W zasadzie rezydencja by<sup>3</sup>a nie oœwietlona; tylko kilka okien na ty<sup>3</sup>ach rzuca<sup>3</sup>o przyæmione œwiat<sup>3</sup>o. Nie by<sup>3</sup> pewien, w którym to pokoju, lecz nawet z tej odleg<sup>3</sup>oœci widzia<sup>3</sup> poruszenia zas<sup>3</sup>on œwiadcz<sup>1</sup>ce, i<sup>1</sup> jedne z przeszklonych drzwi by<sup>3</sup>y otwarte.

Postanowi<sup>3</sup>, ðe wejdzie przez te drzwi, gdy nagle ciê<sup>1</sup>kie ðelazne bramy osadzone w murze, który otacza<sup>3</sup> ca<sup>3</sup>y teren, rozchyli<sup>3</sup>y siê i pojawi<sup>3</sup>o siê w nich dwóch mê<sup>1</sup>czyzn na koniach. Obaj pognali drog<sup>1</sup> do Pary<sup>1</sup>a. Saint-Germain ucieszy<sup>3</sup> siê w duchu, ðe nie zosta<sup>3</sup> zauwa<sup>1</sup>ony. Cofn<sup>13</sup> wierzchowca pod rozros<sup>3</sup>e krzewy os<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup>ce ma<sup>3</sup>y sad przylegaj<sup>1</sup>cy do rezydencji.

Je<sup>1</sup>d<sup>1</sup>ÿcy przegalopowali obok. Saint-Germain rozpozna<sup>3</sup>, ðe jednym z nich by<sup>3</sup> Chateaurouse. Obawa, która nie opuœci<sup>3</sup>a go odk<sup>1</sup>d wyjecha<sup>3</sup> od Claudii d'Argenlac, o<sup>1</sup>z<sup>3</sup>a w nim z now<sup>1</sup> si<sup>31</sup>. Wiedzia<sup>3</sup> o tych mê<sup>1</sup>czyznach doœæ, by zdawaæ sobie sprawê z konsekwencji ich postêpowania. Jedy<sup>1</sup> rzecz<sup>1</sup>, która mog<sup>3</sup>a spowodowaæ nag<sup>3</sup>y ich wyjazd, musia<sup>3</sup>a byæ raptowna zmiana planów.

Po chwili zobaczy<sup>3</sup> nastêpnego je<sup>1</sup>d<sup>1</sup>ÿca, który min<sup>1</sup>wszy bramê pogalopowa<sup>3</sup> w innym kierunku.

Saint-Germain nie chcia<sup>3</sup> ryzykowaæ odkrycia, a nie by<sup>3</sup> pewien, ilu jeszcze je<sup>1</sup>d<sup>1</sup>ÿców mo<sup>1</sup>ze wypaæ na niego z mroku. Skierowa<sup>3</sup> berberysa na krzewiasty ðywop<sup>3</sup>ot, zmuszaj<sup>1</sup>c ciemnosiwego ogiera, by przeskoczy<sup>3</sup> ponad przeszkod<sup>1</sup> do sadu. Gdy uzna<sup>3</sup>, ðe jest doœæ daleko od drogi, zsiad<sup>3</sup> i uwi<sup>1</sup>za<sup>3</sup> uzdê wierzchowca do jednego z migda<sup>3</sup>owych drzew.

Wszystkie œwiat<sup>3</sup>a w domu zgas<sup>3</sup>y. W blasku lata<sup>1</sup> widzia<sup>3</sup> teraz jedynie kilka postaci id<sup>1</sup>cych do stajni.

Bieg<sup>3</sup> skulony. Porusza<sup>3</sup> siê tak miêkko, jakby niezupe<sup>3</sup>nie by<sup>3</sup> cz<sup>3</sup>owiekiem. Pilnie obserwowa<sup>3</sup> owe postacie, a gdy zniknê<sup>3</sup>y w stajni, przyspieszy<sup>3</sup> maksymalnie i znalaz<sup>3</sup> siê na szerokim podje<sup>1</sup>dzie dla powozów, blisko tarasu rezydencji. Tam przystan<sup>13</sup>, niepewny, czy iœæ za mê<sup>1</sup>czyznami do stajni, czy te<sup>1</sup> wejœæ do domu przez przeszklone drzwi, które, jak teraz zobaczy<sup>3</sup>, zosta<sup>3</sup>y wy<sup>3</sup>amane.

Z wielkim ha<sup>3</sup>asem wytoczy<sup>3</sup>a siê nagle ze stajni kareta zaprzê<sup>1</sup>ona w czwórkê narowistych, jasno umaszczonych koni. Nie musia<sup>3</sup> wypatrywaæ herbu na drzewczkach, by rozpoznaæ pojazd Saint Sebastiena.

Miêkko przeœlizn<sup>13</sup> siê przez otwó<sup>1</sup>r drzwi do mrocznego wnêtrza pokoju. Poœlizn<sup>13</sup> siê, unikaj<sup>1</sup>c upadku, a gdy uniós<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oñ, poczu<sup>3</sup>, ðe jest lepka. Nie potrzebowa<sup>3</sup> zapalaæ œwiat<sup>3</sup>a, by wiedziaæ, ðe to krew. Jego zmys<sup>3</sup>y a<sup>1</sup> nadto wyra<sup>1</sup>nie ostrzega<sup>3</sup>y go ca<sup>31</sup> moc<sup>1</sup>. Rozejrzawszy siê, dostrzeg<sup>3</sup> dwie bezw<sup>3</sup>adne postacie. Na wprost niego le<sup>1</sup>a<sup>3</sup> Tite, pod nim Gervaise. Przez chwilê sta<sup>3</sup> nad nimi bez ruchu.

- Biedni g<sup>3</sup>upcy. Gervaise, czemu mi nie wierzy<sup>3</sup>œe? - Wiedzia<sup>3</sup>, ðe to daremne, lecz uczyni<sup>3</sup> znak krzy<sup>1</sup>a na czole Gervaise'a. Potem skierowa<sup>3</sup> siê z powrotem do drzwi.

Zatrzyma<sup>3</sup> go jêk, który rozleg<sup>3</sup> siê gdzieœ w k<sup>1</sup>cie. Obróci<sup>3</sup> siê szybko, gotów na odparcie ewentualnego ataku. Dostrzeg<sup>3</sup> Cassandre leŹ<sup>1</sup>c<sup>1</sup> bezw<sup>3</sup>adnie pod œcian<sup>1</sup>. OstroŹnie raz jeszcze przeszed<sup>3</sup> przez pokój i klêkn<sup>13</sup> przy s<sup>3</sup>uŹ<sup>1</sup>cej Madelaine.

Cassandra patrzy<sup>3</sup>a na niego ze zdziwieniem, a gdy spróbow<sup>3</sup>a siê poruszyæ, jej cia<sup>3</sup>o wykona<sup>3</sup>o tylko kilka nieskoordynowanych drgawek. W koñcu, z wielkim wysi<sup>3</sup>kiem, zdo<sup>3</sup>a<sup>3</sup>a otworzyæ usta.

- Poszli sobie... Madelaine... z nimi... s<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup>am jak... Saint-Germain próbowa<sup>3</sup> uspokoiæ j<sup>1</sup>, przemawiaj<sup>1</sup>c spokojnie i <sup>3</sup>agodnie. Wiedzia<sup>3</sup>, Źe dopóki bêdzie przeraŹona, tak d<sup>3</sup>ugo niczego od niej nie us<sup>3</sup>yszy.

- Tak. Zrobi<sup>3</sup>a pani co mog<sup>3</sup>a. Nie trzeba siê juŹ baæ. Oni odeszli, a ja chcê pani pomóc. Chcê pomóc Madelaine. Jeœli powie mi pani, co mówili, to obiecujê, Źe znajdê Madelaine zanim zostanie skrzywdzona.

Źy pop<sup>3</sup>ynê<sup>3</sup>y z oczu s<sup>3</sup>uŹ<sup>1</sup>cej.

- Madelaine... Madelaine... - na prôŹno próbowa<sup>3</sup>a je powstrzymaæ. - Och, moje kochane dziecko... - g<sup>3</sup>oœny szloch zag<sup>3</sup>uszy<sup>3</sup> jej s<sup>3</sup>owa.

- Nie, nie, madame - uspokaja<sup>3</sup> j<sup>1</sup>. - P<sup>3</sup>acz<sup>1</sup>c, nie powie mi pani nic o Madelaine. Gdzie j<sup>1</sup> zabrali?

Przez nie koñcz<sup>1</sup>ce siê minuty czeka<sup>3</sup>, aŹ Cassandre opanuje <sup>3</sup>zy i znajdzie docæ si<sup>3</sup>y, by mówiaæ sensownie.

- Czujê siê juŹ lepiej - powiedzia<sup>3</sup>a cicho. - Lecz bardzo siê bojê. Och... Baron zabra<sup>3</sup> Madelaine... - zadrŹa<sup>3</sup>a, utrzymuj<sup>1</sup>c nerwy na wodzy. - Nie, nie mogê... Baron zabra<sup>3</sup> Madelaine i jej szlachetnego ojca ze sob<sup>1</sup>. Powiedzia<sup>3</sup>, Źe maj<sup>1</sup> miejsce, kaplicê, tak je nazwa<sup>3</sup>. Musi byæ poœwiêcona z<sup>3</sup>u, jeœli ten potwór moŹe tam wejœæ...

- Tak, ma pani racjê - ponagla<sup>3</sup> niecierpliwie Saint-Germain.

- Oni chc<sup>1</sup> zabiaæ tam Madelaine i markiza. Och, moja s<sup>3</sup>odka Madelaine!

- Ale gdzie jest ta kaplica? Powiedzia<sup>3</sup>? Cassandre musia<sup>3</sup>a raz jeszcze opanowaæ ból.

- To jest... jedna z tych, których kiedyœ uŹywa<sup>3</sup>a Montespan.

- Powiedzieli gdzie?

- Nie - na twarzy Cassandre odbi<sup>3</sup> siê ciêŹki wysi<sup>3</sup>ek, lecz nie da<sup>3</sup>a rady powstrzymaæ <sup>3</sup>ez, zwilŹaj<sup>1</sup>cych jej pomarszczon<sup>1</sup> twarz.

Saint-Germain czu<sup>3</sup>, Źe rêka zaczyna mu drêtwiaæ i juŹ mia<sup>3</sup> wyjœæ, gdy pomyœla<sup>3</sup> jeszcze o jednym.

- Czy nie zosta<sup>3</sup> tu nikt wiêcej, madame? Ktoœ moŹe jednak wie, dok<sup>1</sup>d pojecha<sup>3</sup> Saint Sebastien.

Cassandra pokrêci<sup>3</sup>a nieprzytomnie g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, cichy jêk wydoby<sup>3</sup> siê z jej ust. Nagle oŹywi<sup>3</sup>a siê.

- Nie... proszê poczekaæ... Stajnie... markiza zabrali do stajni... Tam moŹe coæ byæ...

- Bon. Dobrze siê pani sprawi³a, madame. - Saint-Germain uj³ obie d³onie Cassandre, zauwaŹaj¹c z niepokojem, Źe s¹ bardzo zimne. - A teraz proszê mnie pos³uchaæ. Odchodzê, by znaleŹæ Madelaine i jej ojca. Ma pani moje s³owo, Źe przyœelê tu kogoœ, by pani pomóg³, lecz to moŹe trochê potrwaæ. Proszê nie rozpaczaæ, nie trzeba siê juŹ baæ. - Pochyli³ siê nad ni¹. - Teraz odpocznie pani, madame. Zas³uŹy³a pani na to. Zaœnienie pani i ból pani¹ opuœci. Strach zniknie, gdy siê pani obudzi, i bêdzie pani lekko na duszy. Zaœnij teraz. - Przesun³ d³oni¹ przed jej oczami, które pos³uszenie siê zamknê³y. Gdy wsta³, us³ysza³, jak jej oddech staje siê coraz bardziej regularny. By³ pewien, Źe nic jej nie bêdzie.

Zanim wyszed³ z gabinetu, zerwa³ jeszcze dwie aksamitne zas³ony i narzuci³ je na zw³oki hrabiego d'Argenlac i s³uŹ¹cego Tite.

Nie zachowuj¹c juŹ przesadnych œrodków ostroŹnoœci skierowa³ siê do stajni. Mia³ nadziejê, Źe tam naprawdê znajdzie jak¹œ informacjê, gdzie teŹ mogli siê udaæ Saint Sebastien i jego budz¹cy obrzydzenie Kr¹g. Stajnia by³a otwarta, konie wierci³y siê niespokojnie w boksach. Nie by³o nikogo, lecz zwierzêta wyraŹnie poci³y siê ze strachu. Saint-Germain po³oŹy³ d³oñ na boku duŹego wa³acha, który sta³ w boksie przy drzwiach. Koñ usun³ siê nerwowo po³oŹywszy uszy po sobie i pokazuj¹c bia³ka œlepi. Wszystkie próby uspokojenia zwierzêcia okazywa³y siê bezowocne. Hrabia zacz³ zastanawiaæ siê nad przyczyn¹. Spoceród wszystkich koni jeden by³ szczególnie niespokojny. Jego boks znajdowa³ siê tuŹ ko³o siod³ami.

Zdecydowany zbadaæ to pomieszczenie, Saint-Germain odszed³ od boksu. Ani na moment nie za wczeczenie, bowiem zirytowany wa³ach usi³owa³ poczêstowaæ go kopytem. Zasun³ jeszcze rygiel na drzwiach boksu, po czym przeszed³ przez drzwiczki prowadz¹ce do siod³ami.

Uprz¹Ź i siod³a lœni³y w s³abym blasku zamieraj¹cej latarni. By³y tu najprzedniejsze skóry i polerowany metal, których delikatny zapach miesza³ siê z woni¹ zgrzanych koni. Saint-Germain zawsze lubi³ ten specyficzny aromat. I tym razem czerpa³by z niego przyjemnoœæ, gdyby nie mêŹczyzna zwisaj¹cy z krokwi. Podszed³ szybko, maj¹c nadziejê, Źe nie bêdzie to daremny poœpiech i Źe ten cz³owiek, mimo wszelkich pozorów, okaŹe siê Źywy.

Gdy by³ juŹ blisko, ujrza³ twarz wisielca. By³ nim Le Grace.

Czarownik poruszy³ siê lekko, zako³ysawszy na uwiêzi. Dojrza³ ubran¹ na ciemno postaæ. OdraŹaj¹cy bulgot doby³ siê z jego gard³a. Cia³o by³o w wiêkszej czêœci spalone i porozrywane. Niektóre z potwornych ran krwawi³y obficie.

Saint-Germain zatrzyma³ siê poœrodku siod³ami, zdaj¹c sobie sprawê, Źe móg³ przestraszyæ czarownika.

- Le Grace - powiedzia³ zniewalaj¹cym tonem. - Le Grace, s³yszysz mnie?

Czarownik szarpn³ siê.

- Le Grace, dok<sup>1</sup>d oni poszli? Gdzie jest Saint Sebastien?

- Nie mogê... Nie wiem...

- Le Grace - niecierpliwi<sup>3</sup> siê hrabia. - To ja, ksi<sup>1</sup>ê Rakoczy. Odpowiedz na moje pytanie.

Gdzie jest Saint Sebastien?

Przez chwilê w oczach czarownika odbi<sup>3</sup> siê strach, potem coœ z aury autorytetu hrabiego zaczê<sup>3</sup>o docieraæ do jego zmaltretowanego umys<sup>3</sup>u.

- Saint Sebastien... Saint-Germain. Saint-Germain... - urwa<sup>3</sup>, charcz<sup>1</sup>c. W chwilê póŸniej zemdla<sup>3</sup>.

Saint-Germain sta<sup>3</sup> bez ruchu. Czu<sup>3</sup> siê pokonany. Nic ju¿ nie mo¿na by<sup>3</sup>o zrobiaæ. Saint Sebastien przechytry<sup>3</sup> go. Odwróci<sup>3</sup> siê, by wyjœæ z siod<sup>3</sup>ami. Szybkimi ruchami maskowa<sup>3</sup> przed sob<sup>1</sup> poczucie pora¿ki. W g<sup>3</sup>êbi ducha wiedzia<sup>3</sup> jednak, ¿e tego nale¿a<sup>3</sup>o oczekiwaæ. Le Grace by<sup>3</sup> szalony. Zbyt wiele wycierpia<sup>3</sup>. By<sup>3</sup> w stanie tylko powtórzyæ pytanie i zaraz strach porywa<sup>3</sup> go w otch<sup>3</sup>añ.

Saint-Germain sta<sup>3</sup> wci<sup>1</sup>¿ w drzwiach stajni. Le Grace nie zna<sup>3</sup> go pod tym imieniem. Dla niego by<sup>3</sup> ksiêciem Franzem Josefem Rakoczym... Zatem to, co powiedzia<sup>3</sup> musia<sup>3</sup>o pozostawaæ w zwi<sup>1</sup>zku z le Fraubourg Saint-Germain, przedmieœciem wokó<sup>3</sup> d'Eglise de Saint-Germain-des-Pres i le Boulevard Saint-Germain - t<sup>1</sup> czêœci<sup>1</sup> Pary¿a, w której sta<sup>3</sup> Hotel Transylvania. Zawaha<sup>3</sup> siê jeszcze przez chwilê, po czym pobieg<sup>3</sup> w kierunku sadu.

*Tekst napisanej po <sup>3</sup>acinie notatki hrabiego de Saint-Germain do jego s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cego Rogera; doręczone przez pos<sup>3</sup>ańca oko<sup>3</sup>o drugiej nad ranem 5 listopada 1743:*

*Mój wierny Rogerze:*

*Wybierzesz dwóch godnych zaufania s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cych i wyœlesz ich do rezydencji Saint Sebastiena. Jej w<sup>3</sup>aciciel by<sup>3</sup> ostatnio mocno zajêty i zostawi<sup>3</sup> po sobie kilka niemi<sup>3</sup>ych spraw do za<sup>3</sup>atwienia. Razem ze s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cymi mo<sup>3</sup>esz wys<sup>3</sup>ae Dominga, gdy<sup>3</sup> wie on co nieco o medycynie i zna siê na narkotykach uœmierzaj<sup>1</sup>cych ból. W gabinecie, który poznacie po wy<sup>3</sup>amanych drzwiach znajdziecie s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>c<sup>1</sup> Madelaine, Cassandre. Jest Ÿywa, lecz w ciê<sup>3</sup>kim stanie, oraz cia<sup>3</sup>a osobistego s<sup>3</sup>u<sup>1</sup>cego Saint Sebastiena i hrabiego d'Argenlac. Tych dwóch ostatnich pod aksamitn<sup>1</sup> zas<sup>3</sup>on<sup>1</sup>.*

*Lecz to jeszcze nie wszystko. W stajni, dok<sup>3</sup>adnie w siod<sup>3</sup>ami, wisi na krokwi Le Grace. Na oko s<sup>1</sup>dz<sup>1</sup>c Saint Sebastien potraktowa<sup>3</sup> go rozgrzanymi do czerwonoœci szczypcami, ulubionym narzêdziem Inkwizycji Torquemady. Trzeba mu pomóc jak najszybciej, jeœli ma Ÿyæ. Zobowi<sup>1</sup>zujê ciê, byæ nie zwlekaj<sup>1</sup>c wykona<sup>3</sup> wszystko, co nale<sup>3</sup>y.*

*Z tego co siê dowiedzia<sup>3</sup>em, obawiam siê, Ÿe Saint Sebastien móg<sup>3</sup> udaæ siê do podziemi pod rezydencj<sup>1</sup> Transylwania. Jeœli tam go nie ma, to w grê wchodzi<sup>1</sup> jeszcze podziemia pod FEnglise de Saint-Germain des Pres, lecz jest to ma<sup>3</sup>o prawdopodobne. To wci<sup>1</sup>Ÿ wyœwiêcony teren. W<sup>1</sup>tpiê, by Saint Sebastien móg<sup>3</sup> tam postawiæ nogê.*

*Gdy tylko ta wiadomoœæ przyjdzie, chcê byæ usun<sup>13</sup> z rezydencji ca<sup>3</sup>y personel i odprawi<sup>3</sup> wszystkich lokajów. Jeœli potrzebna ci bêdzie wymówka, mo<sup>3</sup>esz mówiæ, i<sup>3</sup> podejrzewa siê, Ÿe w budynku znajduje siê ognisko choroby zaka<sup>3</sup>nej, co jest po czêœci prawd<sup>1</sup>.*

*Nie próbuj mi pomagaæ. Przygotuj co nasze i oczekuj mnie razem z Hercule, który zosta<sup>3</sup> zobowi<sup>1</sup>zany do utrzymywania mojej karety w natychmiastowej gotowoœci. Wiêcej mi siê przys<sup>3</sup>u<sup>1</sup>ycie bêd<sup>1</sup>c tam w<sup>3</sup>acenie, ni<sup>3</sup> wik<sup>3</sup>aj<sup>1</sup>c siê w walkê.*

*Porozmawiasz równie<sup>3</sup> z Mr Sattinem i przypilnujesz, by on i jego bracia z Gildii usunêli siê na ten czas z rezydencji. Mo<sup>3</sup>esz daæ im dwukó<sup>3</sup>kê, by mieli na czym przenieœæ wyposa<sup>3</sup>enie i athanora. Mo<sup>3</sup>esz byæ z nimi na ile uznasz to za stosowne, lecz niech nie lekcewa<sup>3</sup> sobie niebezpieczeñstwa, które im grozi.*

*Gdyby tak siê zdarzy<sup>3</sup>o, Ÿe wiêcej siê nie spotkamy, ufam, Ÿe dopilnujesz by moja Ostatnia Wola zosta<sup>3</sup>a skrupulatnie wype<sup>3</sup>niona, a miejsce mojego spoczynku zosta<sup>3</sup>o oznaczone w sposób, jaki opisa<sup>3</sup>em.*

*Wykonaj moje polecenia tak, jak dot<sup>1</sup>d je wype<sup>3</sup>nia<sup>3</sup>œ, i wiedz, Ÿe zas<sup>3</sup>u<sup>1</sup>ysz sobie na moj<sup>1</sup> wieczn<sup>1</sup> wdziêcznoœæ.*

**Saint-Germain (Jego pieczêæ: eklipsa)**



Wilgotne kamienie tunelu lœni³y ciemno, a nierówne p³yty posadzki pokryte by³y warstw¹ mu³u, utrudniaj¹c marsz. Powietrze przenika³ odór powolnego rozk³adu, od którego nawet pochodnie zdawa³y siê d³awiæ kaszlem.

- Nie upuœæcie go! - upomina³ Saint Sebastien.

- Czemu go oszo³omi³eœ? - narzeka³ Achille Cressie, który dŸwiga³ ramiona Roberta de Montalia. - Mogliœmy go zwi¹zaæ.

- Tak, by móg³ ciê zabawiaæ konwersacj¹? - ton g³osu barona by³ s³odki jak trucizna.

Achille tylko zachichota³ nieprzyjemnie.

- Powinieneœ us³yszeæ, co wygadywa³ w siod³ami. Jak pogardza³ sob¹, gdy jego cia³o rozgrza³o siê dla mnie.

- Bardzo lubisz chwaliaæ siê swoimi bohaterskimi wyczynami, Achille - westchn¹³ lekcewa¿¹co de les Radeux, który trzyma³ nogi markiza - lecz nigdy nie pozwalasz nikomu popatrzeæ, czy przy³czyæ siê. - Zakl¹³, poœlizn¹wszy siê na rozwodnionym szlamie.

- Uwaga³cie! - warkn¹³ Saint Sebastien.

- Ciê¿ki jest - stwierdzi³ nad¹sany de les Radeux.

- Tym bardziej powinniœcie zwracaæ uwagê na to, co robicie. A ty móg³byœ zapomnieæ na chwilê o karesach z Achille. Jeœli nie potrafisz wykonywaæ poleceñ, to na nic mi siê nie przydasz.

De les Radeux mrukn¹³ pod nosem coœ, co mia³o byæ inwokacj¹ do mocy piekielnych, zacisn¹³ d³onie na kostkach Roberta de Montalia i powlók³ siê dalej w ciszy.

Gdy odeszli trochê od rzeki, powietrze przesta³o byæ takie duszne, z podziemi ustêpowaaæ zaczê³y ch³ód i wilgoæ. Niemniej nadal by³o to ponure miejsce. W niszach pod œcianami le¿a³y czêœciowo zmumifikowane szcz¹tki mnichów, którzy umarli przed ponad piêciuset laty. Bli¿sze przyjrzenie siê im pokazywa³o, ¿e wiêkszoœæ cia³ zosta³a sprofanowana, a krucyfiksy, które kiedyœ w³o¿ono im w d³onie, zast¹pione zosta³y fallusami. Tam, gdzie œwiêcony olej zosta³ namazany na ich czo³a, na znak, ¿e przynale¿¹ do Boga, widnia³y teraz wysch³e, krwistoczerwone znamiona Szatana.

Saint Sebastien wzniós³ pochodniê i ruszy³ szybciej przez podziemia. Dotarli w koñcu do grubych drzwi osadzonych w murze. Wygl¹da³y trochê dziwnie w romañskiej framudze - by³y nowe, wspó³czesne, a ¿elazne zawiasy i okucia lœni³y od oliwy. Pokrywaj¹ce je p³askorzeŸby jednoznacznie wskazywa³y do jakich to perwersyjnych celów zosta³a przystosowana kaplica za nimi.

Otworzy³y siê bezg³ocenie. Saint Sebastien westchn¹³, przytrzymuj¹c je, gdy Cressie i de les Radeux wnosili markiza. Reszta powinna pójœæ ³atwo. Uniknêli wykrycia, a w kaplicy nic nie œwiadczy³o, by zosta³a zauwa¿ona i oczyszczona z obecnoœci z³a.

Baron wszed³ do œrodka. Pochodnia rzuca³a blask na prymitywn¹ murarkê na³o¿on¹ na stare mury i ukazuj¹c¹ wszystkie okrucieñstwa Szatana. Uœmiechn¹³ siê do jednego szczególnie okrutnego

wyobrażenia i podszed³ do o³tarza.

- Po³ó¿cie go tutaj - powiedzia³ do zadyszanych tragarzy. - Zwi¹¿cie go i rozbierzcie. Nie mam ochoty po raz drugi ³amaæ jego oporu.

- Ca³a przyjemnoœæ po mojej stronie - powiedzia³ zgryŹliwie de les Radeux. Spojrza³ na o³tarz, potem na Saint Sebastiena i na mêtczyznê, którego przyniós³. To by³o zupe³nie coœ innego, zupe³nie nie to, czego oczekiwa³. Powiedziano mu, ¿e obrzêdy Krêgu s¹ wielkimi wydarzeniami. Jego wuj, Beauvrai, z zami³owaniem rozwodzi³ siê nad wszystkimi mo¿liwoœciami zaspokojenia wszelkich pragnieñ. Teraz znalaz³ siê w zimnym kamiennym podziemiu. Przyniós³ tu markiza de Montalia, na dodatek przez ca³y czas musia³ k³aniaæ siê i ocieraæ sobie kolana przed Saint Sebastienem, zupe³nie jak gdyby baron by³ królem czy archanio³em stoj¹cym przed najmizerniejszym pachó³kiem Francji. Co gorsza, wilgoæ nie pozosta³a bez wp³ywu na jego aksamitny surdut i bia³e, jedwabne poñczochy, które nadawa³y siê ju¿ tylko do wyrzucenia. ³a³owa³ teraz, ¿e nie by³ przewiduj¹cy i nie zabra³ wysokich butów do konnej jazdy.

Sapn¹wszy, de les Radeux i Achille Cressie po³o¿yli Roberta na o³tarzu i zajêli siê zdzieraniem z niego odzie¿y, co okaza³o siê byæ zadziwiaj¹co trudne.

Przez nastêpne dziesiêæ minut Saint Sebastien zajêty by³ recytacj¹ wymaganych rytua³em inkantacji i zapaleniem piêtnastu pochodni tkwi¹cych w uchwytach na œcianach. By³o coraz jaœniej, lecz by³a to jasnoœæ niepewna, rozmigotana, wij¹ca siê i rzucaj¹ca, o¿ywiaj¹ca niesamowite malowid³a na œcianach.

Zgie³k dochodz¹cy zza drzwi odwróci³ uwagê barona ku sprawom bardziej doczesnym. Wykrzykn¹³ has³o i poczeka³ na odzew. Gdy zza drzwi pad³o w³acziwe s³owo, poszed³ je otworzyæ.

Sta³ tam Jueneport z Madelaine w ramionach.

- Gdzie mam j¹ po³o¿yæ?

- Najlepiej w takim miejscu, z którego bêdzie mog³a widzieæ co zrobimy z jej ojcem - powiedzia³ przygl¹daj¹c siê bezw³adnej postaci. - Tam - wskaza³ odwrócony krucyfiks, który wisia³ nad o³tarzem.

- To mo¿e byæ zbyt niebezpieczne - powiedzia³ z namys³em Jueneport.

- Jest doœæ silna, by wyrwaæ to ze œciany.

- Rozumiem - Saint Sebastien rozejrza³ siê po wnêtrzu. - Niech bêdzie tam. Bêdzie widzieæ ojca, a my popatrzymy sobie na jej reakcje. Wspania³e po³¹czenie. -Wskazywa³ na parawan, który dla wygody mnichów oddziela³ niegdyœ kaplicê od reszty œwi¹tyni.

- Jest mocny - zgodzi³ siê Jueneport. - Dobrze. Rozumiem, ¿e s¹ tu gdzieœ liny?

- Za o³tarzem. WeŹ ile trzeba.

Jueneport przytakn¹³ i poszed³ tam, gdzie pracowano tymczasem nad zwi¹zaniem Roberta de Montalia. Achille dzia³a³ powoli, z namys³em, przystaj¹c co chwilê, by przebiec palcami po nagim ciele.

- To też moglibyśmy mu zwiłaæ - powiedzia³ z niemi³ym b³yskiem w oku. - W ten sposób cierpia³by dwa razy bardziej, a nam by³oby o tyle samo przyjemniej.

De les Radeux spojrze³ na niego z hamowanym obrzydzeniem.

- Czy potrafisz myœleæ tylko jajami, Achille? Innych pragnieñ ju¿ nie masz?

Achille rozeœmia³ siê tylko w odpowiedzi. By³ na tyle g³oœny, ¿e Saint Sebastien obróci³ siê z gniewn¹ twarz¹.

- Przestañ, Achille, albo zabroniê ci braæ udzia³ w ceremonii.

Achille wydi³ wargi, zrobi³ kwacen¹ minê, wzruszy³ ramionami i wróci³ do przerwanej roboty.

Znów ktos zapuka³ do drzwi. Po wymianie hase³ wszed³ de la Sept-Nuit, który z miejsca odszuka³ wzrokiem ¿a³osn¹ postaæ Madelaine.

- Mam szaty, mon baron - wskaza³ na sw¹ torbê. - Wszystko jest gotowe. Trzeba tylko, ¿ebyœ je przekl¹³, zanim je za³o¿ymy.

Saint Sebastien nakreœli³ w powietrzu pentagram i wypowiedzia³ w prymitywnej ³acinie parê sylab.

- Mo¿ecie ju¿ je za³o¿yæ. Pamiêtajcie, ¿e musicie zdj¹æ wszystkie wasze rzeczy.

- W porz¹dku - de la Sept-Nuit odszed³ do bocznej niszy i po paru minutach wróci³ w fa³dzistej, jedwabnej szacie Krêgu. Przypomina³a sutannê, lecz jedwab przylega³ do cia³a w sposób, w jaki nie zdarza³o siê to szatom ksiê¿y. By³a te¿ rozciêta z przodu przez ca³¹ d³ugoœæ, tak ¿e materia³ odchyli³ siê, ukazuj¹c cia³o.

- Twoj¹ od³o¿y³em na bok - powiedzia³ de la Sept-Nuit. - Czerwona z obszyciem, tak?

- Tak. WeŹmiesz teraz tê pochodniê i zamocujesz j¹ przy o³tarzu. Ja siê ubiorê. Bransolety te¿ s¹?

- Dwie srebrne, jedna z czarnego szk³a. S¹ z szatami. Znajdzie je pan, baronie. S¹ owiniête, jak pan kaza³.

- Mi³o mi to s³yszeæ. Postêpuj tak dalej, a sporo zyskasz.

- Wie pan, jakiej nagrody pragnê najbardziej - wskaza³ na Madelaine, któr¹ Jueneport koñczy³ w³acenie przywi¹zywaæ do parawanu. By³a naga, z coraz wyraŹniej widocznymi siñcami i opuchniêciami.

- Mo¿e. Skoro Tite nie ¿yje - odszed³ na bok, by za³o¿yæ swoje szaty.

Gdy wróci³, obecni byli ju¿ wszyscy cz³onkowie Krêgu i koñczy³y siê przygotowania do pierwszej ceremonii.

Chateaurouse by³ trochê podпиты, lecz pamiêta³ wszystkie swoje powinnoœci.

- Czy nasze ofiary ju¿ siê obudzi³y? - spyta³ Saint Sebastien podchodz¹c do o³tarza. Wygl¹da³ teraz wspaniale w ciê¿kim, czerwonym jedwabiu, który rozchyli³ siê z przodu ukazuj¹c dobrze zbudowane, mocne cia³o, lekko dotkniête jedynie przez up³yw lat. Zniknê³a ca³a og³ada cechuj¹ca go w

miejscach publicznych. Tutaj był okrutnym mistrzem, który dodawał sobie jeszcze powagi poprzez znaki swego urzędu - pentagram i obsceniczny krzyżyk zawieszony na szyi.

- Jeszcze me, chociaż kobieta już się rusza.

- Powinni obudzić się w ciągu dwudziestu minut. Sprawdźcie - odwrócić się, nie patrzeć jak Król usiłuje skłonić Madelaine i jej ojca, by dali znaki przytomności.

- No i cóż, Clotaire. Jaka jest twoja zemsta - spytał Beauvrai podszedłszy do Saint Sebastiana. Pozbawiony dziwnego stroju i dworskiej finezji nie przypominał już wyfiokowanego górnika, za którego często był brany. Czarna szata odebrała mu całą absurdalność postaci i tylko zwołiwano rozkwitła w nim teraz z pełną mocą, nie hamowana już przez wymogi zachowania.

- Nie obmyślam jej jeszcze. Ale to już niedługo. Wkrótce.

- A co przewidujesz dla Roberta? Myślasz o tym?

- Oczywiście - ujął w palce oba zwieszające mu się z szyi medaliony. - Spodoba ci się, mon baron.

- Mam nadzieję - odwrócić się, mrużąc pod nosem: - Ten mój krewniak jest raczej łagodny, Clotaire.

- Też mi się tak wydaje - zgodził się Saint Sebastien. - Ktoś mógłby osłodzić, że jest za głupi, by zostać przy życiu.

- Z ust mi to wyjść - skłonił się baronowi i odszedł, by zająć miejsce w pierwszym szeregu czcicieli.

Achille wpadł w końcu na to, by przynieść dwa cebrzy wody, które wylane zostały na Madelaine i Roberta de Montalia. Z radości usłyszał jej mamrotanie i jego westchnienie.

- Słuchaj, że jesteśmy gotowi - powiedział z nie skrywaną satysfakcją.

- To i dobrze. Godzina się zbliża - Saint Sebastien podszedł do Madelaine i uderzył ją boleśnie w piersi i policzki. Odpowiedziała krzykiem, który upewnił barona co do przytomności dziewczyny.

- Tak, moja kochana - powiedział pieszczotliwie. - To ja. Nie uciekaj przede mną.

Madelaine uchyliła fiołkowe oczy i poczuła jak ogarniają lodowaty chód, nie mający wiele wspólnego z wodą, którą na nią wylano.

- Saint-Germain - wyszeptła w rozpacz.

- Co, stęskniając się za tym farbowanym fircykiem? - rozemocjonował się szyderczo Saint Sebastien. Uderzył ją w twarz. - Lecz to nie z tym oszustem masz teraz do czynienia. - Odwrócił się od jej twarzy pełnej furii i podszedł do ołtarza.

- Obudź się - powiedział mu Achille. - Wystarczy go dotknąć, by ujrzeć obrzydzenie na jego twarzy. - Zademonstrował to, o czym mówił, naceladując wielkopańskie i z gruntu złe maniery Saint Sebastiena.

- Dobrze się sprawiłeś, Achille. Pozwól ci raz jeszcze się zabawić, zanim wyprawimy Roberta

na tamten œwiat. - Po³o¿y } jedn¹ d³oñ na zimnym ciele markiza. - Jakie to smutne, mój przyjacielu, ¿e nie mogê zaproponowaæ ci koca. Obiecuje jednak, ¿e ju¿ wkrótce rozgrzejesz siê w inny sposób. Wiesz, ¿e zawsze dotrzymujê obietnic.

Robert, który w reakcji na nowe obelgi zacisn¹³ zêby, splun¹³ teraz z podziwu godn¹ celnoœci¹, trafiaj¹c Saint Sebastiena.

- Tylko pogarszasz swoj¹ sytuacjê, Robercie - baron odst¹pi³, uniós³ ramiona i zawo³a³ do pozosta³ych cz³onków Krêgu, którzy czekali, milcz¹c. - Spotkalicemy siê tutaj w imiê Szatana, byœmy mogli wzrosn¹æ na jego potêdze i jego niezmiern¹ sile, która jest potêg¹ k³amstwa. Spotkalicemy siê, by móc po³czyæ siê z nim w potêdze, potencji i dzikoœci, i w ten sposób z³o¿yæ mu ofiary.

- Z³o¿yæ mu ofiary - powtórz³ Kr¹g.
- ¿ywoty krwi¹ sp³acone i poni¿eniem.
- Krwi¹ i poni¿eniem.

Rêce bola³y Madelaine od wiêzów, cia³o by³o ogarniête cierpieniem. Zaczê³a szarpaæ siê, prawie ca³kowicie opanowana strachem i rozpacz¹. Wiedzia³a, ¿e jeceli o ni¹ chodzi, to te odra¿aj¹ce kreatury nie zacê³y jeszcze nawet tego, co zosta³o jej obiecane. Pamiêta³a, ¿e na jej z³amanie przeznaczili sobie czterdzieœci dni. W g³êbi duszy przekonana by³a, ¿e nie mo¿e im siê to udaæ, ¿e przecie¿ bêd¹ jej szukaæ, tak jak i jej ojca, ¿e przecie¿ ktoœ ich uratuje. Znów zatêskni³a a¿ do bólu za Saint-Germainem, ogarniêta by³a pragnieniem ucieczki. W¹tpi³a, czy ma prawo do jakiegokolwiek nadziei. Zebrani tymczasem coraz g³ocniej zawodzili swoje hymny.

- Ten krzywoprzysiê¿ca, zdrajca twój, Szatanie!
- Twój zdrajca!

- Sprowadzony tu dla pokuty za sw¹ dwulicowoœæ - Saint Sebastien uniós³ wysoko osobliwie zakrzywiony szylet, pozwalaj¹c, by ostrze odbi³o migocz¹cy blask pochodni.

- Twój zdrajca!

Opuœci³ metal przytykaj¹c czubek ostrza do piersi de Montalia i ze skupieniem wyci¹³ na skórze zarys pentagramu.

- Oznaczony jest jako twój, Szatanie!
- Oznaczony!

Triumfalny wrzask zag³uszy³ jêki, których Robert nie zdo³a³ powstrzymaæ.

- Gdy¿ twojej mocy nie mo¿na ukróciæ, a twej potêgi nie mo¿na okpiæ!
- Doskona³e s¹ twoje potêga i moc!

Madelaine potrzebna g³ow¹, tak jakby w ten sposób mog³a siê odci¹æ od odg³osów, które j¹ osacza³y. Nie mog³a patrzeæ na ojca, który uzbrojony w cierpliwoœæ i samozaparcie czeka³ dalszego ci¹gu.

- Niech zapozna siê z twym gniewem!

- Niech zapozna się z twym gniewem! - wrzasną Król, gdy Saint Sebastien przesunął powoli ostrzem i uniósł jak trofeum skrwawione ucho Roberta. Krzyk Króla zmiesza się z jękiem markiza. Zgieńk osiągnął apogeum, gdy Saint Sebastien przytknął ucho do swoich ust i oblizał. Król ruszył do przodu, historia pchała ich do wzięcia udziału w upiornym spektaklu. Saint Sebastien gestem nakazał im ciszę. Czekał ze wzniesionym wysoko nożem.

Ten dramatyczny efekt został całkowicie zniweczony przez głos, który dobiegł nagle z tym kaplicy, głos pięknie modulowany i naznaczony lekkim piemonckim akcentem.

- Ciesz się, że zdłżyłem na czas, panowie - powiedziała hrabia de Saint-Germain.

Madelaine wypełniła uczucie ulgi silniejsze, niż uprzedni strach. Nogi zrobiły się miękkie i powstrzymywane dotychczas popłynęły po policzkach. Poczuli przelotnie ból tak silny, jakby Saint Sebastien zatopił noż w jej piersi.

Członkowie Króla odwrócili się; na ich twarzach malowało się gępkowate zdziwienie, jakie widuje się czasem, gdy obudzi się kogoś z głębokiego snu. Poruszyli się niezgrabnie, w jednej chwili wyparowała z nich cała dzikość.

Saint-Germain podszedł bliżej ku ołtarzowi. Wszystkie eleganckie ozdobniki jego wytwornego zachowania zniknęły wraz ze strojem. Porusza się teraz tak, jak należało poruszać w stroju jeździeckim z czarnej skóry dopasowanym do czarnych bryczesów i butów z szerokimi cholewami. Z dumnie uniesioną głową, pogardliwie spogląda na Króla. Nie niosł ze sobą szpady, ani żadnej innej broni. Był sam.

Saint Sebastien przyglądał mu się z oburzeniem, widocznym w na pół przymkniętych oczach, i ze złośliwym uśmiechem. Przytknął swoim myślołom i nakazał Królowi cofnąć się parę kroków.

- Rakoczy - powiedziała. - Nie wierzę. Nie domyśliłem się.

- Mówię panu, baronie, że pozory mylą - skłonił się Saint-Germain.

- Ale to było trzydzieści lat temu - podszedł bliżej, w ręce wciśnięta sztylet.

- Naprawdę? Przyjdzie mi uwierzyć pańskim słowom. - Jeżeli nawet zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, w jakim się znalazł, to nie oświadczył o tym nic prócz spojrzenia jego może nieco ciemniejszych oczu.

- A zatem twój ojciec? - Saint Sebastien był coraz bliżej, wystarczająco, by uderzyć.

- Nie wiedziałem, że aż tak bardzo zmieniłem się przez te lata. - Poznał do czego służy kaplica ledwie do niej wszedł i dobrze przygotował się do spotkania z Saint Sebastienem na jego terenie. Musnął palcami mały, przypominający medalionik pojemniczek, który zawieszony był na łańcuszku na jego piersi.

Saint Sebastien uniósł już sztylet i miał wścawienie zadać cios, gdy ramię hrabiego wystrzeliło do przodu i uchwyciło rękę barona, nie po to, by go odepchnąć, lecz by przyciągnąć. Tym samym ruchem Saint-Germain wysłał barona na stos połamanych kamiennych ław, które zalegały tył kaplicy.

Saint-Germain spojrz<sup>3</sup> na sponiewieranego barona, po czym skierowa<sup>3</sup> oczy na cz<sup>3</sup>onków Krêgu.

- Jakim<sup>2</sup> absurdem jesteœcie - powiedzia<sup>3</sup> lekko. - Powinnicie móc siê zobaczyæ jak stoicie w owych piêknych szatach, spomiêdzy których mêskoœæ wygl<sup>1</sup>da na œwiat niczym dziób ptaka. O ile nadal jest to mêskoœæ - czeka<sup>3</sup>, a<sup>2</sup> przerw<sup>1</sup> mu przekleñstwami. - Jesteœcie g<sup>3</sup>upi. Czy naprawdê s<sup>1</sup>dzicie, <sup>2</sup>e pod<sup>1</sup>aj<sup>1</sup>c za Saint Sebastienem i wype<sup>3</sup>nij<sup>1</sup>c jego rozkazy zdobêdziecie w<sup>3</sup>adzê i pozycjê? Wasze bluŹniercze przys<sup>3</sup>ugi s<sup>3</sup>u<sup>1</sup> poprawie tylko jego pozycji. To jego tylko pragnienia s<sup>1</sup> zaspokajane. A wy, myœl<sup>1</sup>c <sup>2</sup>e zdobywacie to wszystko dla siebie, poddajecie mu siê bez pytania. Gdybyœcie mnie czcili, nisko oceni<sup>3</sup>bym wasze praktyki.

Pierwszy sprzeciwi<sup>3</sup> siê Beauvrai.

- Uwa<sup>2</sup>asz nas za g<sup>3</sup>upców, ty, który przyszed<sup>3</sup>eœ tu zupe<sup>3</sup>nie bezbronny... Saint-Germain uniós<sup>3</sup> w górê to, co mia<sup>3</sup> zawieszona na <sup>3</sup>añcuszku.

- Przepraszam, baronie, ale mam to. Nie zerwa<sup>3</sup>eœ chyba jeszcze tak do koñca z tym sob<sup>1</sup>, którym by<sup>3</sup>eœ kiedyœ, by nie rozpoznaæ cyborium? Szmery niepokoju, które rozlega<sup>3</sup>y siê od jakiejœ chwili, znów umilk<sup>3</sup>y.

- W myœlach zastanawiacie siê teraz, czy to jest prawdziwe - uniós<sup>3</sup> cyborium wy<sup>2</sup>ej jeszcze. - Mo<sup>2</sup>ecie spróbowaæ go dotkn<sup>1</sup>æ. Oparzenia, jak wiem, pojawiaj<sup>1</sup> siê natychmiast - odczeka<sup>3</sup>, a ubrani w jedwab m<sup>2</sup>czyŹni cofnêli siê bezwiednie. - Rozumiem.

Odwróci<sup>3</sup> siê gwa<sup>3</sup>townie, s<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>c jakœ ha<sup>3</sup>as za plecami. W tej samej chwili przekl<sup>13</sup> siê za nieostro<sup>2</sup>noœæ; nie sprawdzi<sup>3</sup>, czy Saint Sebastien straci<sup>3</sup> przytomnoœæ. Teraz przywódca Krêgu p<sup>2</sup>dzi<sup>3</sup> ile si<sup>3</sup> w nogach ku Madelaine, i chocia<sup>2</sup>, zgubi<sup>3</sup> gdzieœ sztylet, œciska<sup>3</sup> w rêce nierówny z<sup>3</sup>amany kawa<sup>3</sup>ek deski gotów uderzyæ.

W tej w<sup>3</sup>acenie chwili, cisza tak g<sup>3</sup>êboka jak somnambuliczny trans, która trzyma<sup>3</sup>a cz<sup>3</sup>onków Krêgu w bezruchu, pos<sup>3</sup>usznych Saint-Germainowi, p<sup>2</sup>k<sup>3</sup>a jak holenderska tama ustêpuj<sup>1</sup>ca przed morzem. Ze strasliwym krzykiem i <sup>3</sup>opotem czarnych szat rzucili siê wszyscy na Saint-Germaina.

Wyjtek z notatki l'Abbe Ponteneufa do jego kuzynki, kontessy d'Argenlac; datowane 5 listopada 1743:

(...) Z całego serca modlę się do Boga, by pocieszył cię i otworzył twoje oczy na chwałę, jaka czeka wszystkich dobrych chrześcijan po śmierci. Napisanie tego listu jest moim obowiązkiem, moja biedna kuzynko, lecz nawet teraz jeszcze pióro moje drży. Nie mogę znaleźć właściwych słów, by opisać ci, co się wydarzyło. Zaklinam cię, byś przygotowała się na te straszliwe wiadomości i byś przyjęła je z hartem ducha, gdyż wszyscy, którzy cię znają, pragnęlibyśmy żebyś nigdy nie musiała cierpieć tej próby, która cię czeka.

Niecaż godzinę temu przysłał mi powóz, który zabrał mnie do kościoła na skraju miasta. Możesz wyobrazić sobie, jak zdziwiło mnie to niezwykle wezwanie, gdyż nie jest rzeczą normalną, gdy zdarzają się o tak późnej godzinie. Lecz nie byłbym księdzem, gdybym nie nauczył się przyjmować tego, co zsyła mi Bóg bez narzekania. Stało się więc tak, że zająłem do kościoła, o którym już napomknęłam. Niezwykle, bo jazda nie zabrała nam wiele czasu, zostałem wprowadzony do świątyni, gdzie moje oczy ujrzały bolesny widok. Leżały tam ciała trzech mężczyzn. Jeden na pierwszy rzut oka wyglądał jak szarlatan i nic o nim nie wiedziałem. Drugi był jednym ze sławnych Saint Sebastiana, co poznałem po liberii. Saint Sebastien jest zatwardziałym grzesznikiem, który popełnił bez wątpienia wszystkie grzechy śmiertelne. Chociaż nie znam tego człowieka osobiście, to wiem, że nie wygląda na kogoś, kto postawiłby stopę na ścieżce prowadzącej do naszego Pana i jego Najświętszej Matki.

Serce moje wzdraga się, gdy przychodzi do opowiedzenia ci o trzecim z tych mężczyzn. Był nim hrabia d'Argenlac, twój ukochany mężczyzna, którego kochałaś tak czule, a który zawsze był twoim wiernym obrońcą. Moim niemiłym obowiązkiem jest poinformować cię o tym, że nie umarł on w wypadku ani z woli Boga. Został, moja nieszczęśliwa kuzynko, i zimną krwią zamordowany przez osobę, lub osoby, dotąd nieznaną.

Proboszcz tego kościoła pozwolił mi skorzystać ze swego gabinetu, tak że mogłem tę wiadomość wysłać ci bez zwłoki. Nie jest to człowiek przesadnie rozgarnięty, lecz dobry. Powiedziałem mu, iż znam hrabiego, i że jest rzeczą jak najwłaściwszą, byś ty, droga kuzynko, dowiedziała się o tej tragedii ode mnie, który wie niejedno o twojej szczególnej sytuacji.

Nie zalamuj się. Módl się do Marii o zbawienie duszy twego mężczyzny. Praktyki religijne, jak sama się przekonasz, uśmierzą twój ból, który w przeciwnym razie z pewnością ogarnie cię bez reszty. Często ci wspominałem, gdy Bóg stworzył kobietę jako towarzyszkę życia mężczyzny, uczynił ją podatną na słabości, których nie zna jej towarzysz. Pocięcha Pisma pomogą ci opanować te emocje, wypelniając twój pierś teraz, gdy to czytasz...

Wezmę na siebie sprowadzenie ciała hrabiego do kościoła w jego parafii i dopilnuję, by właściwie władze otrzymały niezwykle odpowiednie pismo zawiadamiające o jego śmierci.



*Jeæli nie jesteæ zbyt przybita tym strasznym wydarzeniem, mo¿e pozwolisz mi, bym odwiedzi³ ciê i razem z tob¹ poczta³ Pismo Œwiête, które pocieszy ciê w twoim bólu.*

*W imiê Boga, który teraz w³acenie przyjmuje twego ukochanego mê¿a w Raju, pozostajê.*

**Twym oddanym kuzynem, L'Abbe Ponteneuf, S. J.**

Z ponurym pomrukiem satysfakcji Hercule zamkn<sup>13</sup> drzwi karety Saint-Germaina. Wype<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> już wszystkie instrukcje swego pana i zosta<sup>3</sup>o mu doce<sup>æ</sup> czasu, by pomaga<sup>æ</sup> czarownikom w przenoszeniu wyposażenia na dwukó<sup>3</sup>kê, która przeci<sup>1</sup>ona do granic możliwości sta<sup>3</sup>a na ty<sup>3</sup>ach stajni. Obszed<sup>3</sup> niezgrabnie karetê dooko<sup>3</sup>a i raz jeszcze sprawdzi<sup>3</sup> uprz<sup>1</sup>ę. Polu<sup>3</sup>ni<sup>3</sup> j<sup>1</sup> nieco na prawym koniu dyszlowym i z now<sup>1</sup> dum<sup>1</sup> poklepa<sup>3</sup> siwo cêtkowany bok zwierzęcia. Nie mó<sup>3</sup>g<sup>3</sup> siê doczeka<sup>æ</sup>, by znów wzi<sup>1</sup>æ lejce \v d<sup>3</sup>onie, znów poczu<sup>æ</sup> t<sup>ê</sup> rozkosz, któr<sup>1</sup> przynosi<sup>3</sup>o mu powo<sup>3</sup>zenie. Porusza<sup>3</sup> siê równie niepewnie jak st<sup>1</sup>paj<sup>1</sup>cy na zadnich <sup>3</sup>apach nied<sup>3</sup>wied<sup>3</sup>Y, lecz nie by<sup>3</sup> już kalek<sup>1</sup>. Zaprojektowane przez Saint-Germaina szelki spe<sup>3</sup>nia<sup>3</sup>y swoj<sup>1</sup> rolê. Zakrzykn<sup>13</sup>, by wezwaa<sup>æ</sup> stajennego i nie minê<sup>3</sup>a nawet minuta, gdy przysz<sup>3</sup>o a<sup>3</sup> dwóch.

- Idê pomóc przy za<sup>3</sup>adunku dwukó<sup>3</sup>ki - powiedzia<sup>3</sup> wynioce<sup>æ</sup>. - Jeżeli zdarzy siê cokolwiek, o czym powinienem wiedzie<sup>æ</sup>, wtedy niech jeden z was przyjdzie po mnie. Niech siê spieszy, lecz pamiętajcie, by przez ca<sup>3</sup>y czas ktoe<sup>æ</sup> by<sup>3</sup> przy koniach. Nie chcê, by mój pan mówi<sup>3</sup>, że nie dba siê w<sup>3</sup>aceciwie o jego w<sup>3</sup>asnoce<sup>æ</sup>.

Jeden ze stajennych skin<sup>13</sup> w odpowiedzi, cofaj<sup>1</sup>c siê pod gro<sup>3</sup>ym spojrzeniem Hercule, drugi sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê przyjmuj<sup>1</sup>c polecenie.

- Bêdê tu zagl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> od czasu do czasu, by zobaczy<sup>æ</sup>, jak siê sprawujecie - ostrzeg<sup>3</sup> i ko<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>cym siê krokiem wyszed<sup>3</sup> ze stajni. Noc by<sup>3</sup>a ciemna, jak zauwa<sup>3</sup>y<sup>3</sup>, i mog<sup>3</sup>a jeszcze przyniece<sup>æ</sup> deszcz. Czuj<sup>3</sup> jego zapowied<sup>3</sup> w bezw<sup>3</sup>adnych kolanach. Saint-Germain mówi<sup>3</sup> mu, że mo<sup>3</sup>e odczuwa<sup>æ</sup> w nich ból co pewien czas i nie uwolni siê od tego do końca <sup>3</sup>ycia. Zwykle nie k<sup>3</sup>opota<sup>3</sup>o to Hercule, lecz dzisiejszej nocy powo<sup>3</sup>zenie mog<sup>3</sup>o zadecydowa<sup>æ</sup> o <sup>3</sup>yciu i oemierci jego pana. Wyprostowa<sup>3</sup> siê i poszed<sup>3</sup> ku dwukó<sup>3</sup>ce, która zosta<sup>3</sup>a podstawiona pod tylne wej<sup>3</sup>ecie do Hotelu Transylwania.

- <sup>3</sup>yczê wam mi<sup>3</sup>ego wieczoru - powiedzia<sup>3</sup> do kobiety, która walczy<sup>3</sup>a z dwoma wielkimi koszami wype<sup>3</sup>nionymi pude<sup>3</sup>kami i pude<sup>3</sup>eczkami.

- Bêdzie lepszy - sasnê<sup>3</sup>a - jeżeli pomo<sup>3</sup>esz mi za<sup>3</sup>adowaa<sup>æ</sup> te kosze. Ucieszony w g<sup>3</sup>êbi duszy, że mo<sup>3</sup>e pokaza<sup>æ</sup> dumnej czarownicy do czego naprawdê jest zdolny, wci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> do dwukó<sup>3</sup>ki i zarzuci<sup>3</sup> kosze na górê.

- Gdzie s<sup>1</sup> liny? Bêdziesz musia<sup>3</sup>a uwi<sup>1</sup>za<sup>æ</sup> to wszystko, jeżeli nie chcesz rozsia<sup>æ</sup> swoich pude<sup>3</sup>ek na drodze miêdzy Pary<sup>3</sup>em a wybrze<sup>3</sup>em.

- No to je obwi<sup>1</sup>ę.

Zrobi<sup>3</sup> co kaza<sup>3</sup>a, zabezpieczaj<sup>1</sup>c liny dwoma mocnymi wêz<sup>3</sup>ami.

- Co wam jeszcze zosta<sup>3</sup>o do przyniesienia z piwnic?

Mme Lairrez opar<sup>3</sup>a rêce na biodrach i spojrze<sup>3</sup>a na niego wilgotnymi, szarymi oczami.

- Jeszcze parê pakunków takich, jak te, no i athanora. Stary zostaje, ale nowy...

Hercule zgramoli<sup>3</sup> siê z wozu.

- Nie mogê oddaliæ siê od stajni, lecz pomogê wam za³adowaæ wszystko,

- Jego Wysokoœæ mówi³ nam o nich - Sattin próbowa³ przypomnieæ sobie lokalizacjê wejœcia. - Jeœli pamiêtani, s¹ to drzwi zapadkowe, pewnie w pod³odze. Od pó³nocy? Chyba w pó³nocnej czêœci piwnicy...

- No to je znajdziemy! - wykrzykn¹³ Roger, przypominaj¹c sobie wszystko co widzia³, gdy Saint-Germain kaza³ mu œledziæ Saint Sebastiena. Mme Lairrez wstrzyma³a pakowanie.

- Mo¿ecie sobie szukaæ, jeœli chcecie, aleja mam swoje obowi¹zki. Muszê przenieœæ to wszystko do wozu. Wyje¿dziamy st¹d przed œwitem. Nie pozwolê, byœcie mi przeszkodzili - wziê³a jeszcze jeden owiniêty w s³omê garnek i wepchnê³a go do kosza.

- Który z was? - spyta³ b³agalnie Roger. - Rakoczy jest w niebezpieœnstwie. Jest w strasznym niebezpieœnstwie. Beverly Sattin od³o¿y³ ksi¹¿ki.

- Jak chcesz. Pomogê ci znaleŹæ drzwi. - Nie spojrze³ w oczy braci z Gildii, wiedzia³ ile wyrzutu by w nich znalaz³. Chc¹c ich ug³askaæ, doda³: - To nie potrwa d³ugo. Wiele zawdziêczamy Jego Wysokoœci.

- No to idŹ - Mme Lairrez da³a siê ub³agaæ. - I ¿eby uda³o wam siê znaleŹæ go w zdrowiu.

- Amen, madame - Roger obejrza³ siê jeszcze i zag³êbi³ w ciemnoœæ. Beverly Sattin za nim.

Wyj¹tek z listu diuka de la Mer-Herbeux do hrabiego de Saint-Germain; datowane 5 listopada 1743:

(...) Plan pañskiej podró¿y do Anglii, z którego raczy³ mi siê pan zwierzyæ, zjawia mi siê w najbardziej szczêœliwym czasie. Ufam, ¿e pañska propozycja jest powa¿na i nadal jest pan sk³onny przewieŹæ kilka wiadomoœci, które pragn¹³bym przekazaæ Koronie. Nie musi pan osobiœcie i formalnie wrêczaæ pism, które do³czam do tego listu, wystarczy, jeœli przeka¿e je pan mojemu przyjacielowi, Mr Walpole, który najlepiej bêdzie wiedzia³ co dalej z nim zrobiæ.

(...) Pañski list otrzyma³em wczoraj, lecz delikatna natura wieœci, które przez pana przesy³am, opóŹni³a moj¹ odpowiedŹ a¿ do dzioœ dnia. Mia³em nadziejê ujrzeæ pana wieczorem w Hotelu Transylwania, lecz by³ on zamkniêty, podobno z powodu choroby panuj¹cej poœród s³u¿by. Tak zatem pozwoli³em sobie wys³aaæ papiery pañskiemu s³u¿¹cemu, który powiedzia³ mi, ¿e cieszy siê pañskim pe³nym zaufaniem.

Gdy bêdzie pan w Anglii, mam nadziejê, ¿e dowie siê pan czegoœ w sprawie pretensji Stuarta. Karol Stuart najwyraŹniej powa¿nie traktuje swoje pretensje do korony i rzeczywicie zamierza przeciwstawiæ siê Jerzemu. Tak ja, jak i Francja, dalecy jesteœmy od tego, by decydowaæ w kwestii praw Jerzego II do tronu, lecz mo¿e pan zrozumieæ, dlaczego nasz ukochany i Nade Wszystko Katolicki król Ludwik XV zainteresowany jest sprawami Karola Stuarta, równie¿ katolika, jednego z tych, których pretensje do tronu wynikaj¹ z dawniejszych koligacji ni¿ te, którymi szczyci siê Jego Brytyjska Moœæ Jerzy II. Bêdzie pan w idealnym miejscu, by poznaæ zamiary rz¹du. Jakikolwiek

komentarze, które by pan usłyszał i przekazał dalej, do mnie, byłyby jak najbardziej mile widziane.

Przygotowałem list dla pańskiego znajomego uczonego, Mr Sattina, który, jak mi pan powiedział, przez wiele lat studiował we Francji. W liście tym polecam pańskiego przyjaciela i jego wiedzę. Zasługuje on na zaufanie możnego patrona w Anglii. Proszę usilnie, by pański przyjaciel Sattin, w miarę możliwości, mnie nie skompromitował.

(...) Kilka tygodni temu napomkn<sup>13</sup> pan o planie wyjazdu do Prus. Jak pan powiedział<sup>3</sup>, wróci pan do Francji przed latem. Ufam, że będziemy wtedy mogli szerzej porozmawiać o tych sprawach.

(...) Jest już późno i bardzo pragnę udać się na spoczynek. Wyczę panu mi<sup>3</sup>ej podróży i <sup>3</sup>agodnego morza, by droga nie zaję<sup>3</sup>a panu zbyt wiele czasu (choć moje doświadczenie prawie zawsze dowodzi, że podróż jest uciążliwa, a morze wzburzone). Najbardziej dziękuję panu za przyjęcie tego listu i za<sup>3</sup>czników.

Zobowiązany wobec pana

Pierre René Maxime Ignace Ferrand Vivien

Laurent Monhutin

**le Duc de ma Mer-Herbeux**

Szarża Saint Sebastienaomal nie zakończyła się powodzeniem. Saint-Germain zdołał uniknąć ciosu, posyłając barona na kamienną posadzkę. Gniew wyznawcy Szatana rozпалиł się ze zdwojonej siły i tylko zadanie cierpienia mogłoby go ugasić. Ale i to nie było mu dane... Gdy usiłował się podnieść by ponownie atak, poczuł rozdzierający ból w kostce i osunął się na ziemię. Kłtem oka dostrzegł, jak palec markiza de Montalia wczepiał się w jego stopę. Twarz Roberta, pełna cierpienia wywołanego wrzynaniem się lin w ciało, przypominała krwawą maskę. Saint Sebastien miotał się w uścisku, usiłując drugą nogą odkopnąć rękę markiza. Każde uderzenie w obolałe dłonie nieludzko wykrzywiało twarz nieszczęśnika, lecz nie polubił chwytu. Krzyczał coś bez zwięzłości, wstrząsając się, gdy nagle Vandonne upadł na niego, zsuwając się pod osłaz. Na rozpustnym obliczu młodzieńca gościł szeroki uśmiech, wyrażający jak gdyby zdziwienie i rozpacz. Jego niedawne spotkanie z Saint-Germainem zakończyło się tragicznie: Vandonne miał wyłamane obydwa barki i zmiażdżoną stopę. Przerazony leżał nieruchomo, wodząc wzrokiem po mrocznym pomieszczeniu. Widział, jak Robert de Montalia - niczym potwór z "Kuszenia Świętego Antoniego" - przyciąga coraz bliżej ku sobie barona Saint Sebastiena, każdym ruchem obiecując zagładę w skrwawionych, jak u rzeźnika, ramionach.

Tuż obok Saint-Germain zmagają się z pozostałymi członkami Kręgu. De la Sept-Nuit schwycił hrabiego za włosy, pragnąc odgiąć jego głowę i wymierzyć serię błyskawicznych ciosów w szyję. Na szczęście zdołał jedynie wyrwać kępkę ciemnych włosów. W chwilę potem zwinął się z bólu, gdy wprawne dłonie Saint-Germaina zacisnęły się na jego przedramionach ściskając je. Po raz kolejny pomieszczenie wypełniło się przenikliwym wrzaskiem. Hrabia błyskawicznie obrócił de la Sept-Nuit plecami do siebie i, trzymając za bezwładne ręce, parł kolanem na kręgosłup młodzieńca, z zimnym wyrazem twarzy wsłuchując się w trzask pękających kręgów.

Tymczasem Saint Sebastien z desperacją opierał się szaleńczej sile Roberta, który, cał po calu, przyciągał go do siebie. Baron nie miał wątpliwości, że jeżeli skrwawione dłonie de Montalia sięgną jego gardła, wówczas szansę na ocalenie zmaleje do zera.

- Zabiję cię - wycedził przez zęby markiz. Saint Sebastien usłyszał te słowa ponad mieszaniną jęków, krzyków i przekleństw rzucanych przez swoich kompanów.

Wszystko działo się jednocześnie.

Jueneport zdjął ze ściany dwie pochodnie i niósł je przed sobą niczym krótkie miecze. Gestem nakazał współwyznawcom odsunąć się na boki, po czym ruszył w kierunku Saint-Germaina, mierząc w jego twarz.

Chwila ta wydała się Saint Sebastienowi zbawienną. Ponownie kopnięk w dłonie Roberta i zawył z całych sił:

- W imię naszego Cielu Krwi, pomóżcie!!!

Chateauroux i de les Radeux natychmiast odwrócili się w jego stronę i błyskawicznie rzucili na

Roberta de Montalia, przyciskaj<sup>1</sup>c go do pod<sup>3</sup>ogi.

Madelaine obserwuj<sup>1</sup>c t<sup>ê</sup> straszliw<sup>1</sup> walk<sup>ê</sup> by<sup>3</sup>a niemal pewna, <sup>¿e</sup> wszyscy o niej zapomnieli. Przeraz<sup>3</sup> j<sup>1</sup> gniew ojca i brutalny atak, którym go pokonano. Nie p<sup>3</sup>aka<sup>3</sup>a jednak, nie czu<sup>3</sup>a nienawioœci ani zbli<sup>¿</sup>aj<sup>1</sup>cego si<sup>ê</sup> szaleñstwa. Nic nie czu<sup>3</sup>a. Musia<sup>3</sup>a przekonywaæ sam<sup>1</sup> siebie, <sup>¿e</sup> to nie sen, <sup>¿e</sup> to wszystko dzieje si<sup>ê</sup> naprawd<sup>ê</sup>. Dopiero widok Achille Cressie taszc<sup>1</sup>cego masywny koksownik w pobl<sup>¿</sup>ie miejsca, gdzie przytrzyma<sup>1</sup>wano jej ojca, zmusi<sup>3</sup> j<sup>1</sup> do dzia<sup>3</sup>ania. Po raz kolejny sprawdzi<sup>3</sup>a si<sup>ê</sup> kr<sup>ê</sup>puj<sup>1</sup>cych j<sup>1</sup> wi<sup>ê</sup>zów. Przy trzeciej prób<sup>ie</sup> zauwa<sup>¿</sup>y<sup>3</sup>a, <sup>¿e</sup> cz<sup>ê</sup>œæ zwojów w pobl<sup>¿</sup>u lewej rêki nieco si<sup>ê</sup> zluzowa<sup>3</sup>a. Upatruj<sup>1</sup>c w tym szans<sup>ê</sup>, ponowi<sup>3</sup>a czynnoœæ, zdecydowana uwolnia<sup>æ</sup> si<sup>ê</sup>.

Achille Cressie, tymczasem, odepchn<sup>13</sup> Chateaurose i stan<sup>13</sup> nad markizem.

- Nikt nie b<sup>ê</sup>dzie ci<sup>ê</sup> ju<sup>¿</sup> mia<sup>3</sup> po mnie! - krzykn<sup>13</sup>. W chwil<sup>ê</sup> pó<sup>Ź</sup>niej ci<sup>ê</sup>¿ki, <sup>¿e</sup>elazny kocio<sup>3</sup>ek zmi<sup>ã</sup>d<sup>¿</sup>y<sup>3</sup> twarz de Montalia, odbieraj<sup>1</sup>c jej wszelkie podobieñstwo ludzkiego oblicza.

- Dobra robota, Achille - skrzywi<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> Saint Sebastien. - Tego mamy ju<sup>¿</sup> z g<sup>3</sup>owy. - Wskaza<sup>3</sup> na Saint-Germaina. - Chc<sup>ê</sup>, <sup>¿e</sup>by zgin<sup>13</sup>. Ale niech zdycha powoli...

Wyznawcy Szatana raz jeszcze otoczyli hrabiego, który przyj<sup>13</sup> to ze stoickim spokojem. Skutecznie unika<sup>3</sup> p<sup>3</sup>omieni pochodni trzymany<sup>1</sup>ch przez Jueneporta, kilkakrotnie zr<sup>ê</sup>cznoœci<sup>1</sup> ruchów zmuszaj<sup>1</sup>c go do odwrotu.

- Przytrzymajcie go, to go przysma<sup>¿</sup>ê! - wrzasn<sup>13</sup> Jueneport do kompanów.

S<sup>3</sup>ysz<sup>1</sup>c to, Madelaine gwa<sup>3</sup>townie podnios<sup>3</sup>a g<sup>3</sup>ow<sup>ê</sup>. Strach i rozpacz pierzch<sup>3</sup>y. Pami<sup>ê</sup>ta<sup>3</sup>a s<sup>3</sup>owa Saint-Germaina, <sup>¿e</sup> ogieñ mo<sup>¿e</sup> go zniszczy<sup>æ</sup>. Przej<sup>ê</sup>3>a j<sup>1</sup> do ¿ywego myœl, i<sup>¿</sup> móg<sup>3</sup>by zgin<sup>1æ</sup> daremnie. Ponownie zacz<sup>ê</sup>3>a szarpa<sup>æ</sup> wi<sup>ê</sup>zy.

Hrabia natomiast puœci<sup>3</sup> mimo uszu gro<sup>Ź</sup>b<sup>ê</sup> Jueneporta. Odsun<sup>13</sup> si<sup>ê</sup> nieco od niego i pozosta<sup>3</sup>ych m<sup>ê</sup>¿czyzn. Nagle rzuci<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> na pod<sup>3</sup>og<sup>ê</sup> i przetoczy<sup>3</sup> mi<sup>ê</sup>kko obok nóg zaskoczonego Jueneporta. Min<sup>1</sup>wszy go, zada<sup>3</sup> mu dwa szybkie ciosy w ty<sup>3</sup> kolan, po których napastnik upad<sup>3</sup> ci<sup>ê</sup>¿ko twarz<sup>1</sup> wprost w wytr<sup>1</sup>cone z r<sup>1</sup>k pochodnie. Zawy<sup>3</sup> przera<sup>Ź</sup>liwie, gdy p<sup>3</sup>omienie obj<sup>ê</sup>3>y jego w<sup>3</sup>osy, a pó<sup>Ź</sup>niej jedwabn<sup>1</sup> szat<sup>ê</sup>.

- Madelaine! - ponagli<sup>3</sup> hrabia. - Madelaine!

Zbli<sup>¿</sup>y<sup>3</sup> si<sup>ê</sup> do niej, nie spuszczaj<sup>1</sup>c oka z pozosta<sup>3</sup>ych cz<sup>3</sup>onków Kr<sup>ê</sup>gu.

- Mo<sup>¿</sup>esz chodzi<sup>æ</sup>? - zapyta<sup>3</sup>.

- Chyba tak.

- B<sup>ê</sup>diesz musia<sup>3</sup>a. - Rozsup<sup>3</sup>a<sup>3</sup> sznur, uwalniaj<sup>1</sup>c j<sup>1</sup>. Szybko zdj<sup>13</sup> ze swojej szyi cyborium i prze<sup>3</sup>o<sup>¿</sup>y<sup>3</sup> 3<sup>ã</sup>ncuszek przez g<sup>3</sup>ow<sup>ê</sup> Madelaine. - W œerodku jest Hostia. Nie tkn<sup>1</sup> ci<sup>ê</sup>.

- Ale ty... - zacz<sup>ê</sup>3>a.

- Drzwi s<sup>1</sup> na ty<sup>3</sup>ach kaplicy, w ma<sup>3</sup>ej kruchcie. Zaprowadz<sup>1</sup> ci<sup>ê</sup> do rezydencji. Stamt<sup>1</sup>d b<sup>ê</sup>diesz musia<sup>3</sup>a znale<sup>Ź</sup>æ drog<sup>ê</sup> na zewn<sup>1</sup>trz.

- A co z tob<sup>1</sup>?

Saint-Germain spojrz<sup>3</sup> na ni<sup>1</sup>. Na chwilê furia zniknê<sup>3</sup>a z jego oczu.

- Pójdê za tob<sup>1</sup>, kochanie. Masz moje s<sup>3</sup>owo.

- Ale, Saint-Germain... - szepnê<sup>3</sup>a, dr<sup>1</sup>c ca<sup>3</sup>a. Hrabia przes<sup>3</sup>a<sup>3</sup> jej uspokajaj<sup>1</sup>cy poca<sup>3</sup>unek.

- Id<sup>Ÿ</sup> ju<sup>2</sup> - nakaza<sup>3</sup> <sup>3</sup>agodnie. Potem zwróci<sup>3</sup> spojrzenie na zbli<sup>1</sup>aj<sup>1</sup>cych siê mê<sup>1</sup>czyzn. Trwa<sup>3</sup> nieruchomo, po czym rzuci<sup>3</sup> siê na nich z uniesionymi ramionami.

Zaskoczeni wyznawcy Szatana cofnêli siê nieco. To niezdecydowanie wystarczy<sup>3</sup>o, by Saint-Germain dopad<sup>3</sup> Achille Cressie.

Madelaine nie oci<sup>1</sup>ga<sup>3</sup>a siê. Kuetykaj<sup>1</sup>c przesz<sup>3</sup>a przez kaplicê, pokonuj<sup>1</sup>c ból odrêtwia<sup>3</sup>ych stóp. Gdy znalaz<sup>3</sup>a siê na ty<sup>3</sup>ach, stanê<sup>3</sup>a bezradnie, nie mog<sup>1</sup>c odszukaê drzwi.

Za jej plecami Saint-Germain uniós<sup>3</sup> Achille i trzymaj<sup>1</sup>c go przez chwilê nad g<sup>3</sup>ow<sup>1</sup>, cisn<sup>13</sup> nim z ca<sup>31</sup> si<sup>31</sup> w Beauvrai. Piskliwy g<sup>3</sup>os Cressie przeszed<sup>3</sup> w przepojony konaniem charkot.

- Do ty<sup>3</sup>u! - rozkaza<sup>3</sup> Saint Sebastien. Kr<sup>1</sup>g pos<sup>3</sup>usznie wycofa<sup>3</sup> siê poza zasiêg cemicionocnych r<sup>1</sup>k i stóp Saint-Germaina.

Madelaine mia<sup>3</sup>a ochotê krzyceæ ze z<sup>3</sup>oeci i strachu jednocześnie. Nagle, gdzieœ w górze, rozleg<sup>3</sup> siê delikatny zgrzyt i srebrny promieñ œwiat<sup>3</sup>a pad<sup>3</sup> na œcianê. Po chwili w otwartych drzwiach pojawili siê Roger i Beverly Sattin.

- Bogu dziêki - westchnê<sup>3</sup>a Madelaine, padaj<sup>1</sup>c w ramiona Anglika. Pocerodku kaplicy panowa<sup>3</sup> bezruch m<sup>1</sup>cony jedynie spazmatycznymi drgawkami cia<sup>3</sup>a Achille Cressie.

- Panie - rzek<sup>3</sup> Roger niewzruszonym g<sup>3</sup>osem. - Powóz zajecha<sup>3</sup>.

- Dziêkujê - Saint-Germain by<sup>3</sup> lekko zdyszany. - Niech tylko skoñczê tutaj co trzeba.

Roger sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê, potem wskaza<sup>3</sup> d<sup>3</sup>oni<sup>1</sup>.

- Niestety, ktoœ zaprószy<sup>3</sup> tu ogieñ, sir.

A<sup>2</sup> do tej chwili Saint-Germain nie zauwa<sup>1</sup>za<sup>3</sup> p<sup>3</sup>omieni, które pe<sup>3</sup>za<sup>3</sup>y po stertach po<sup>3</sup>amanych mebli, po<sup>1</sup>zywiaj<sup>1</sup>c siê zach<sup>3</sup>annie suchym drewnem. Wszyscy przytomnie spojrzeli na ogieñ.

- Jak pan widzi - powiedzia<sup>3</sup> Roger, nie wiadomo zreszt<sup>1</sup> po co - nie da siê wyjoeæ przez podziemia. Jedyna droga prowadzi po schodach - odst<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> od wejœcia.

- Rozumiem - przytakn<sup>13</sup> hrabia. - We<sup>Ÿ</sup> Madelaine do powozu i pilnuj, by te drzwi by<sup>3</sup>y otwarte. Saint Sebastien skin<sup>13</sup> do Beauvrai, który uporczywie wpatrywa<sup>3</sup> siê w swoje stopy.

- Drzwi! - warkn<sup>13</sup>, gdy tylko Roger, Sattin i Madelaine zniknêli. Beauvrai ruszy<sup>3</sup> ciê<sup>1</sup>ko w ich kierunku, a jedwabna szata owija<sup>3</sup>a siê niedorzecznie wokó<sup>3</sup> krzywych nóg.

- Teraz - powiedzia<sup>3</sup> Saint Sebastien wznosz<sup>1</sup>c rêce w diabelskiej inwokacji. Zacz<sup>13</sup> zawodziaæ zaklêcia i p<sup>3</sup>omienie przybra<sup>3</sup>y ciemniejszy odcieñ. Saint-Germain ostro<sup>1</sup>nie skierowa<sup>3</sup> siê ku drzwiom, przystaj<sup>1</sup>c w chwili, gdy jêzyki ognia objê<sup>3</sup>y drewniane podpory kaplicy. Zrozumia<sup>3</sup>, <sup>1</sup>e nie minie wiele czasu, nim piwnice zapadn<sup>1</sup> siê.

De les Radeux spojrz<sup>3</sup> na swego wuja i w panicznym galopie przebieg<sup>3</sup> przez pomieszczenie, po



drodze odpychaj<sup>1</sup>c Beauvrai, ku schodom.

Saint Sebastien zdawa<sup>3</sup> siê nie zauwa<sup>z</sup>yaê aktu zdrady. Wci<sup>1</sup>z zawodzi<sup>3</sup> z<sup>3</sup>owrogo, wskazuj<sup>1</sup>c d<sup>3</sup>oñmi to na p<sup>3</sup>omienie, to na Saint-Germaina. W nied<sup>3</sup>ugim czasie rozdzieli<sup>3</sup> ich s<sup>3</sup>up ognia, parz<sup>1</sup>c przy tym Chateaurouse, który zakl<sup>13</sup> siarczyoecie.

- Jest mi niezmiernie przykro, z<sup>e</sup> muszê ciê opuœciaê, ksi<sup>1</sup>zê Rakoczy!

- krzykn<sup>13</sup> Saint Sebastien. - Nasze spotkanie dobieg<sup>3</sup>o koñca. Masz kilka minut, by pomyœleæ, w jaki sposób zemszczê siê na twoich przyjacio<sup>3</sup>ach.

- Sk<sup>3</sup>oni<sup>3</sup> siê, kieruj<sup>1</sup>c ku drzwiom. Tu<sup>z</sup> za nim Beauvrai i Chateaurouse.

Saint-Germain us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> odg<sup>3</sup>os zasuwan<sup>3</sup>ych rygli. Spojrza<sup>3</sup> na rozprzestrzeniaj<sup>1</sup>ce siê z wolna p<sup>3</sup>omienie, które trawi<sup>3</sup>y ponad tysi<sup>1</sup>cletnie wnêtrze kaplicy. Ąar powietrza pali<sup>3</sup> mu wnêtrznoceci i osmala<sup>3</sup> brwi. Nie móg<sup>3</sup> przesadnie zwlekaê. Wycofa<sup>3</sup> siê pod o<sup>3</sup>tarz, bior<sup>1</sup>c solidny rozbieg, i skoczy<sup>3</sup> ponad jêzykami ognia.

Ju<sup>z</sup> po drugiej stronie bariery obserwowa<sup>3</sup>, kaszl<sup>1</sup>c, jak z ostrzegawczym <sup>3</sup>oskotem runê<sup>3</sup>a czêœæ piwnicy, ods<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup>c strop pomieszczenia powy<sup>z</sup>ej i daj<sup>1</sup>c wspania<sup>31</sup> po<sup>z</sup>ywkê zywio<sup>3</sup>owi.

Rozwa<sup>z</sup>a<sup>3</sup> przez chwilê, czy powinien spróbowaaê dostaê siê do drzwi, lecz ogieñ siêgn<sup>13</sup> ju<sup>z</sup> drewnianych pod<sup>3</sup>óg piwnicy. Mia<sup>3</sup> niewiele czasu...

Jeden ze opad<sup>3</sup>ych d<sup>3</sup>wigarów jeszcze nie zaj<sup>13</sup> siê ogniem. Saint-Germain opar<sup>3</sup> go zatem o œcianê i powoli zacz<sup>13</sup> siê wspinaaê, uciekaj<sup>1</sup>c przed dymem i z<sup>1</sup>arem, które by<sup>3</sup>y ju<sup>z</sup> nie do zniesienia.

Gdy doszed<sup>3</sup> do poziomu pod<sup>3</sup>ogi piwnicy, us<sup>3</sup>ysza<sup>3</sup> odg<sup>3</sup>os biegn<sup>1</sup>cych stóp. Zrozumia<sup>3</sup>, z<sup>e</sup> musia<sup>3</sup> wyprzedziaê Saint Sebastiena. Wci<sup>1</sup>gn<sup>13</sup> g<sup>3</sup>êboko powietrze i pobieg<sup>3</sup> szybko do laboratorium, wiedz<sup>1</sup>c, z<sup>e</sup> tam bêdzie móg<sup>3</sup> zagrodziaê im drogê.

Ledwie otworzy<sup>3</sup> drzwi, gdy w polu widzenia pojawili siê Saint Sebastien, Beauvrai i Chateaurouse. Pomieszczenie czarowników zastawione by<sup>3</sup>o tylko dwoma athanorami, z czego jeden promieniowa<sup>3</sup> gigantycznym ciep<sup>3</sup>em.

- Mi<sup>3</sup>o jest siê znowu spotkaê - powiedzia<sup>3</sup> Saint-Germain wchodz<sup>1</sup>c do œrodka.

Pierwszy z krzykiem zatrzyma<sup>3</sup> siê Chateaurouse. Wygl<sup>1</sup>da<sup>3</sup> jak cz<sup>3</sup>owiek pragn<sup>1</sup>cy obudziaê siê z najgorszego koszmaru.

Beauvrai by<sup>3</sup> zbyt<sup>3</sup>o wyczerpany by mówiæ. Zamacha<sup>3</sup> tylko ramieniem, jak gdyby chcia<sup>3</sup> os<sup>3</sup>oniaê siê przed ciosem.

Saint Sebastien udawa<sup>3</sup> opanowanego.

- Nie wydaje mi siê - powiedzia<sup>3</sup>, przysuwaj<sup>1</sup>c siê do najbli<sup>z</sup>szego athanora.

Nigdy nie uda siê ustaliaê, co zamierza<sup>3</sup>. Gdy tylko jego d<sup>3</sup>onie zetknê<sup>3</sup>y siê z rozgrzanymi ceg<sup>3</sup>ami, krzykn<sup>13</sup> donocenie i, trac<sup>1</sup>c równowagê, wyróci<sup>3</sup> piec. Z przyt<sup>3</sup>umionym trzaskiem œciany athanora wybrzuszy<sup>3</sup>y siê, a potem rozpad<sup>3</sup>y, ods<sup>3</sup>aniaj<sup>1</sup>c kocio<sup>3</sup>ki z rozgrzanym do bia<sup>3</sup>oœci metalem. Nast<sup>1</sup>pi<sup>3</sup> wyciek zwi<sup>1</sup>zków wêgla i azotu. W<sup>1</sup>ski, roz<sup>z</sup>arzony strumieñ pop<sup>3</sup>yn<sup>13</sup> po pod<sup>3</sup>odze, podpalaj<sup>1</sup>c

wszystko z czym się zetkniesz. Chateauroux z pianą na ustach rzucił się do panicznej ucieczki.

W miejscach, gdzie płynny węgiel i azot dotykały metali lub drewna, formowały się małe diamenty, lśniące jak okruchy kryształów soli na plaży po odpływie. Diamenty jarzyły się, pieczołowicie odbijały blask promieni.

- Proszę, oto sekret klejnotów - powiedział Saint-Germain do barona.

- Możesz o nim pomyśleć, gdy będziesz umierał. - Odwrócił się, kierując ku drzwiom.

Ciany stopniowo ciemniały, wszechobecny dym gęstniał coraz bardziej, utrudniając oddychanie. Beauvrai stał przy otwartych drzwiach, prowadzących na zewnątrz kaplicy. W jego postawie widać było zwłóknienie. Parokrotnie zakaszał, nim rzekł:

- Nie mówię mi nic o diamentach, Clotaire. Co to wszystko ma znaczyć? - spytał podejrzliwie.

Tymczasem Saint-Germain wspinał się już po schodach. Zatrzymał się jeszcze, by spojrzeć na przypominającą piekło kaplicę.

- Szkoda mi tylko mojego Velazqueza - powiedział. - Bardzo żałuję, że przez was musi spłonąć.

Saint Sebastien zaklął ordynarnie i z desperacją rzucił się w kierunku hrabiego, klucząc między słupami ognia.

Saint-Germain stoicko sięgnął za koszulę i wy dobył mały krzyżyk, który błysnął z ociężałością w blasku promieni.

- Cztery godziny temu został poświęcony w Saint-Germain-des-Pres...

- rzucił mimochodem. Saint Sebastien stanął w pół kroku, przysłaniając dłońmi oczy. - Tak myślałem. Zatem, mon baron, pora kończyć...

- Wspinał się po schodach, trzymając krzyżyk w wyciągniętej dłoni.

Rozległ się odgłos odpadających tynków, promienie huczały coraz głośniej, przenikając powoli pod próg parteru Hotelu Transylwania. Saint-Germain nie wykazywał oznak zaniepokojenia. Szybkimi susami pokonał ostatnie stopnie i prześlizgnął się przez drzwi, zatrząskując je za sobą.

Uwolniony od widoku krzyżyku, Saint Sebastien ruszył w kierunku schodów. Dopadł do drzwi i pociągnął za klamkę. Czuł, jak rozgrzany metal parzy wewnątrz dłoni.

W dole Beauvrai wycofał się do najdalszego kąta, zakrywając oczy dłońmi i z trudem wyciągnął oddech. W chwilę później osunął się na posadzkę, przyciskając rękę do piersi. Jego wzrok błysnął jakiegoś czasu, zatrzymując się po raz ostatni...

Tymczasem Saint Sebastien mocował się z zamkiem, miotając wściekle przekleństwa. Języki ognia stopniowo zaczęły obejmować jego postać, naciągając najpierw ubranie, później zwęglając włosy... Baron odwrócił się od drzwi i nieludzko wyjął, rzucił się ze schodów w górę otchłanu.

Hercule i Roger stojąc przy powozie, obserwowali jak ogień zaczyna prześlizgiwać się z wnętrza

Hotelu Transylwania. Słyszeli przerażającycy szum walących się stropów i przejmujący do głębi jęk, towarzyszący przechodzeniu promieni na wyższe kondygnacje. Wymienili niespokojne spojrzenia, nie wypowiadając słowa. Widok budynku odbierał im nadzieję na ujście żywym swego pana. Madelaine stała obok nich, owinięta w jeden z długich płaszczy Saint-Germaina. Przed chwilą obserwowali wybiegającego Chateauroux, który przemknął przez Quai Malaiguais i rzucił się do Sekwany zanim ktokolwiek zdążył go zatrzymać.

Promienie pokazały się już w małym salonie gry.

- Powiedziłem, że będę czekać do jego przyjścia... - Hercule wydził wargi.

- Zasłoń oczy koniom - rzucił Roger, myślic o ogniu. - Mogł się spłoszyć.

Stangret był w trakcie wykonywania polecenia, gdy zajął się piętrem. Wszyscy troje spojrzeli po sobie. Madelaine zaczęła szlochać, kryjąc twarz w dłoniach.

- Może jednak... - zaczął niepewnie Roger.

- Nie! Czekamy! - Hercule wspierał się na kozioł.

Gdy promienie ze zwycięskim rykiem wyrzuciły na zewnątrz dwa duże okna, z którego się oczodolu poniżej opadła na ziemię lina. W chwilę potem zjechała po niej z kocią zwinnością jakaś postać. Mężczyzna ów, gasząc trochę się ubranie, skierował się ku trojgu czekającym.

- Panie! - krzyknął Roger, ociskając dłoń hrabiego.

- Na koń, przyjacielu. Musimy zniknąć stąd, zanim ktokolwiek podniesie alarm. Przed nami długa droga. - Spojrzał na siedzącego na koźle Hercule. - Widzę, że czekaacie.

- Wypełniałem pańskie rozkazy, sir - odpowiedział zwięźle. Po chwili dodał. - A gdzie Saint Sebastien? Saint-Germain rozłożył ręce.

- Obawiam się, że coś go zatrzymało wewnątrz.

- Myślałem, że dane mi będzie... - zaczął.

- Szczerze ci współczuję - przerwał mu z brykiem w oczach hrabia. - Lecz na co czekamy?

Madelaine?

Madelaine zwlekała, biorąc wszystko za przewidzenie, które wywołane zostało gorącym pragnieniem.

- Saint-Germain... - szepnęła.

- Jestem już bezpieczny, kochanie - rzekł, przytulając ją. - I ty także.

- Saint Sebastien nie żyje? - zapytała z niedowierzaniem. Hrabia spojrzął na hotel, w którym promienie położyły wścieknie salę balową.

- Bądź spokojna. - Delikatnie pociągnął ją w kierunku powozu. - Pora odjechać, moja droga.

Zajęli miejsca w powozie.

- Do rezydencji d'Argenlac! - zawołał, machając do Rogera.

- Myślałem, że Roger pojedzie z twoimi bagażami - zdziwiła się Madelaine.

- Tak miało być pierwotnie, lecz tym zajmie się Sattin. - Zamknij drzwiczki powozu i opad na poduszki obok niej.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu. Minione przeżycia nie pozwalały na więcej. Gdy wyjechali poza wąskie uliczki le Faubourg Saint-Germain, Madelaine zapytała:

- Wkrótce wyjedziesz?

- Na krótko, mówię ci. Wrócę w maju.

- Rozumiem - powiedziała, wybuchając płaczem.

- Ej! O co chodzi, kochanie? - zapytała, biorąc ją w ramiona.

- Po tym co zaszło, brzydzisz się mną, prawda?

- Ale skąd, głuptasku. Jak możesz tak myśleć? - Delikatnie wsunął dłoń pod jej ramię. - Brzydzę się Saint Sebastienem i jego Kręgiem. Gardzę nimi za to, co tobie zrobili. Ale to nie zmienia mojego uczucia do ciebie. Nic tego nie zmieni.

Madelaine powiedziała coś bez związku i wtuliła twarz w jego ramię. Objął ją, całując we włosy.

- Mam opalone brwi... i włosy - rzekła po chwili.

- Naprawdę? - niecierpliwie dotknął palcem jej twarzy.

- ...nawet rzęsy - przyłgnęła mocniej do niego. - Omal cię nie straciłam!

- Twoja miłość pomogła mi - ucałował ją - i odwaga. Tracił oddech odsunęła się od niego. Jej oczy zalśniły, gdy przyłożyła rękę do piersi Saint-Germaina w geście postanowienia.

- Kiedyś powiedziałaś, że pozwolisz mi na to, zanim wyjedziesz do Anglii. Chcę tego teraz. Proszę.

Przyglądała się jej uważnie. Wiedziała, że odzyskała pełnię władzy umysłowej. Powiedziała to szczerze, poszukując sposobu spełnienia. W ucieczce przed nienazwanym złem, zwyciężyło dobro. Skinął głową.

- Unieś nogi.

- Co?! - dziwaczność próby wprawiła ją w osłupienie.

- Mówię poważnie, Madelaine. Unieś nogi. - Gdy to zrobiła, pociągnął za ukrytą dźwignię, przestawiając siedzenia tak, że położyły się tworząc jedno, szerokie łóżko.

Madelaine poczuła, jak wraca jej humor. Co za wynalazki uwielbia mieć w swojej karecie Saint-Germain!

- Często śpiam podczas podróży - wyjaśnił, zabezpieczając całą urzędzenie. Tytułem próby Madelaine opadła na materace, stwierdzając, że śpi niczego sobie. Rozłożyła ramię i wyciągnęła rękę ku Saint-Germainowi.

- Nie należy się spieszyć - powiedziała pogodnie. - Proszę. - Otworzył drzwi, w której spoczywała rubinowa broszka, zwykle wpięta w koronki na jego szyi.

- Co mam zrobić? - spytała lekko.

- Poczekaj - oświadczył przypalony koszulą i cieniem za siebie. Noc dotknęła jego gładkiej skóry: zdrętwiała, kładła się obok Madelaine. Delikatnie włożyła rubin w jej rękę, obejmując wspaniałymi dłońmi. Zamknęła oczy.

- Ty to zrobisz. - Pokierowała jej rękami, tak, by zapinka zbliżyła się do jego piersi.

- Nie chcę cię ranić! - zawołała, widząc ciemną stróżkę krwi znaczącą ciałem kamienia.

- Nie jestem ranny - zapewnił. Narastało w nim radosne szaleństwo. Położyła się na plecach i przytuliła Madelaine. - To moje życie. Daję ci moje życie. - Mówi cicho, głosem głębokim, poruszającym do głębi. Ciało Saint-Germaina wygięło się pod dotknięciem jej ust, a ręce starały się znaleźć ukojenie pragnień obojga.

Namiętność zaczęła Madelaine: istniał tylko on. Jej dusza skryła się w małych dźwiękach Saint-Germaina, którego obcość topniała teraz w gorączce spełnienia.

Nagle Madelaine odwróciła się.

- Co się stało, kochanie? - Ogarnął go niepokój, że nie będzie w stanie odsunąć od niej dręczących wspomnień minionej nocy.

Dostrzegł, jak Madelaine trzymając w ręku rubin przykłada go do swojej lewej piersi. Zanim zdążyła ją powstrzymać, uczyniła na ciele cięcie identyczne do jego rany. Następnie przytuliła się do Saint-Germaina, dzieląc z nim uniesienie. On zaczął lekko skłonić głowę ku wspaniałej królowi jej piersi, szukając ustami słodkiej krwi.

Tymczasem karetę podjechała pod bramę rezydencji d'Argentlac. Stukanie do drzwiczek wyrwało Madelaine z oszołomienia. Hrabia spostrzegł jej ciał i objął raz jeszcze.

- Bądź dobrej myśli, kochana - powiedział. - Niedługo wrócę i znowu będziemy razem.

- Przepraszam, panie - dobiegł ich głos Rogera - nie możemy zwlekać.

- Wiem - odparł smutno, nie odrywając wzroku od Madelaine. - Idź już, kochanie. Obiecuję napisać.

- Do zobaczenia - szepnęła, naciskając klamkę. Ciężko otuliła się płaszczem, pragnąc jak najdłużej zatrzymać znajome ciepło, Ponownie odwróciła ku niemu wzrok. - Jestem szczęśliwa. Niczego nie żałuję.

- Ja również, zapewniam cię - odparł. Madelaine wysiadła z karety.

- Jest późno - zauważyła mimowolnie.

Nocne niebo skrzyło się gwiazdami, rzecki wiatr rozwiewał jej włosy. Saint-Germain wychylił się i złożył na jej czole dźwięki pocałunek- Madelaine odstąpiła od powozu, który potoczył się z wolna, znikając Wkrótce za zakrętem.

Wyj<sup>1</sup>tek z listu kontessy d'Argenlac do markizy de Montalia; datowany 15 grudnia 1734:

(...) Ł<sup>1</sup>czê siê z tob<sup>1</sup> w ł<sup>1</sup>alu, siostró, po stracie Roberta, mego brata, a twojego mê<sup>1</sup>za. By<sup>3</sup> to wspania<sup>3</sup>y cz<sup>3</sup>owiek; jego ojcowskie po<sup>3</sup>ewiêcenie wynika<sup>3</sup>o ze wszystkich szlachetnych cech charakteru. P<sup>3</sup>aka<sup>3</sup>am i pl<sup>1</sup>czê po nim, modl<sup>1</sup>c siê. lecz Izy ani modlitwy nie przywróci<sup>1</sup> go nam.

L'Abbe Ponteneuf, nasz kuzyn, powiedzia<sup>3</sup> mi, że Robert pojedna<sup>3</sup> siê w końcu z Bogiem i że jego mê<sup>3</sup>czyńska <sup>3</sup>emier<sup>3</sup>e w obronie córki (Madelaine ma<sup>3</sup>o o tym mówi, lecz do<sup>3</sup>ce dowiedzieli<sup>3</sup>emy siê o tej straszliwej nocy, by wiedzie<sup>3</sup>e, że to on uratowa<sup>3</sup> jej ł<sup>3</sup>ycie okupuj<sup>1</sup>c sWoim), da<sup>3</sup>a mu miejsce w<sup>3</sup>ród b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awionych. Je<sup>3</sup>eli jest to dla ciebie jakimkolwiek pocie<sup>3</sup>eniem, Saint-Germain przes<sup>3</sup>a<sup>3</sup> z Anglii pieni<sup>1</sup>dze, by F Abbe odprawi<sup>3</sup> mszê za spokój duszy Roberta. To on, jak wiesz mo<sup>3</sup>e, wyniós<sup>3</sup> Madelaine z ognia i odda<sup>3</sup> j<sup>1</sup> mnie.

Jak to jest, że nieszczę<sup>3</sup>cia spadaj<sup>1</sup> na cz<sup>3</sup>owieka niczym deszcz? Muszê z przykro<sup>3</sup>eci<sup>1</sup> poinformowa<sup>3</sup> ciê, że Madelaine nie ca<sup>3</sup>kiem powróci<sup>3</sup>a po tych ciê<sup>3</sup>kich wydarzeniach do zdrowia. Wzywa<sup>3</sup>am ksiê<sup>3</sup>y i lekarzy, lecz nie uda<sup>3</sup>o im siê spowodowa<sup>3</sup>e widocznej poprawy. Jej umys<sup>3</sup> nie ucierpia<sup>3</sup> za bardzo, co jest b<sup>3</sup>ogos<sup>3</sup>awie<sup>3</sup>ństwem. Jest ca<sup>3</sup>kiem <sup>3</sup>ewiadowa<sup>3</sup> tego, co robi, lecz jej dusza ogarniêta jest smutkiem. Wiele czasu spêdza na nocnych lekturach. To samotne i chwalebne kszta<sup>3</sup>cenie siê musi jej by<sup>3</sup>e teraz pociech<sup>1</sup>; studiuje pilnie, szczególnie, w tej chwili, jê<sup>3</sup>zyki obce i historiê. Jej uroda nie zosta<sup>3</sup>a naruszona, raczej wyostrzy<sup>3</sup>a siê. Widz<sup>1</sup>c bystro<sup>3</sup>ce jej fio<sup>3</sup>kowych oczu i lekki rumieniec policzków mo<sup>3</sup>na by pomy<sup>3</sup>le<sup>3</sup>e, że jest zdrowa i silna. Lecz tak nie jest. Jej lekarz, Andre Schoenbrun, poinformowa<sup>3</sup> mnie, że ten pozór zdrowia jest w rzeczywisto<sup>3</sup>eci oznak<sup>1</sup> choroby, która w końcu nieodwo<sup>3</sup>alnie j<sup>1</sup> pokona.

Zrobi<sup>3</sup>am wszystko co mog<sup>3</sup>am i zrobiê jeszcze wiêcej, je<sup>3</sup>eli bêdê w stanie, ale wiem, że nic ju<sup>3</sup> jej nie uratuje. Ani lekarz, ani ksiê<sup>3</sup>a.

B<sup>3</sup>agam ciê, Margaret, pozwól by zosta<sup>3</sup>a tu, ze mn<sup>1</sup>. Nie opuszczam jej na d<sup>3</sup>u<sup>3</sup>ej, ni<sup>3</sup> konieczne. Wci<sup>1</sup>ê mê<sup>3</sup>czy mnie, co mówi<sup>1</sup> ludzie, bowiem od czasu <sup>3</sup>emierci mego mê<sup>1</sup>za nieustannie otaczaj<sup>1</sup> mnie plotki i spekulacje. Zdajê sobie sprawê z tego, że Madelaine nie prze<sup>3</sup>yje roku, chocia<sup>3</sup>abym jednak dzieli<sup>3</sup>e z ni<sup>1</sup> te pozosta<sup>3</sup>e miesi<sup>1</sup>ce, czyni<sup>1</sup>c tym jak<sup>1</sup>ce warto<sup>3</sup>ce dla siebie samej.

Wiesz zapewne, że Saint Sebastien i jego kompani zostali unicestwieni w p<sup>3</sup>omieniach, które strawi<sup>3</sup>y Hotel Transylwania. Grupa ksiê<sup>3</sup>y z Saint-Germain-des-Pres przeszukiwa<sup>3</sup>a pogorzelnisko, lecz nie znalaz<sup>3</sup>a do<sup>3</sup>ce ko<sup>3</sup>eci, by z<sup>3</sup>o<sup>3</sup>y<sup>3</sup>e jeden szkielet. Czuwaj<sup>1</sup> obecnie, odprawiaj<sup>1</sup>c w tym miejscu egzorcyzmy.

(...) B<sup>3</sup>agam ciê, by<sup>3</sup>e odpisa<sup>3</sup>a mi wkrótce, informuj<sup>1</sup>c co do decyzji w kwestii Madelaine.

W najg<sup>3</sup>êbszym ł<sup>1</sup>alu pozostajê przy tobie w czasie naszego obopólnego nieszczę<sup>3</sup>cia.

**Oddana ci siostra, Claudia de Montalia Kontessa d'Argenlac**

## Epilog

*Tekst listu napisanego nieudolnie po arabsku przez Madelaine de Montalia do hrabiego de Saint-Germain; doręczone osobieście przez Beverly Sattina; datowane 29 kwietnia 1744:*

*Mój ukochany Saint-Germainie,*

*Twój podarunek dotar<sup>3</sup> do mnie ca<sup>3</sup>y dzięki Hercule, który wróci<sup>3</sup> do Pary<sup>3</sup>a tydzień temu. Iak to jest, *¿e zielony kalcedon mo<sup>3</sup>e lænia czerwieni<sup>1</sup>, gdy oæwietli siê go od ærodka? Pewna jestem, *¿e z czasem nauczysz mnie równie<sup>3</sup> czegoæ na ten temat.***

*Jak widzisz, wziê<sup>3</sup>am sobie twoj<sup>1</sup> radê do serca i odda<sup>3</sup>am siê jeszcze pilniejszym studiom. Arabski jest z pocz<sup>1</sup>tku bardzo skomplikowany... Jestem pewna, *¿e to, co piszê, jest nieprzyzwoicie wprost niezdarne. Lecz z czasem opanujê go tak jak ty.**

*Schoenbrun by<sup>3</sup> znów mnie zobaczyæ. On i l'Abbe Ponteneuf bardzo staraj<sup>1</sup> siê zachowaaæ wobec mnie pozory. Tak naprawdê czujê siê dobrze i pragnê<sup>3</sup>abym móc powiedzieæ im, *¿e wcale nie zamierzam umieraæ. Lecz ja umieram. To jest proste i <sup>3</sup>agodne, nie trudniejsze wcale, ni<sup>3</sup> zdjêcie gorsetu na noc. S<sup>1</sup>dzê, *¿e przed koñcem lata bêdê ju<sup>3</sup> w grobie.***

*Jak dziwnym jest to mówiaæ i nie odczuwaaæ przy tym *¿adnego strachu. Gdy wrócisz w przysz<sup>3</sup>ym miesi<sup>1</sup>cu do Pary<sup>3</sup>a, musisz znów mnie odwiedziaæ, ukochany. Nie mo<sup>3</sup>esz mi' odmówiaæ. Nawet teraz, gdy piszê te s<sup>3</sup>owa, p<sup>3</sup>onê po<sup>3</sup>daniem. Lekarze mówi<sup>1</sup> mi, *¿e to choroba winna jest *¿ywemu kolorowi skóry i b<sup>3</sup>yszcz<sup>1</sup>cym oczom. Ale to nie tak. To twoja krew, która kr<sup>1</sup>¿y we mnie i nieuchronnie, niepowstrzymanie czyni nas jednoæci<sup>1</sup>. I to nast<sup>1</sup>pi, tak jak zawsze zachodzi s<sup>3</sup>oñce, chocia<sup>3</sup> nie myæli siê o tym w blasku po<sup>3</sup>udnia. W maju bêdziemy mieli kilka dni dla siebie, a potem spoczne<sup>3</sup> w dobrej ziemi, jak ty kiedyæ, która da mi si<sup>3</sup>ê, by powróciaæ do ciebie.****

*Nigdy wiêcej nie bêdê musia<sup>3</sup>a znosiaæ læku przed ulotnoæci<sup>1</sup> godzin i bêdê mia<sup>3</sup>a czas, by siê kszta<sup>3</sup>ciaæ, by studiowaaæ, ogl<sup>1</sup>daæ i zwiedzaæ wszystko, co warte jest zobaczenia. Przez stulecia i ponad przestrzenie zawsze bêdê poszukiwaaæ twoich ramion, a z czasem osi<sup>1</sup>gnê tê umiejêtnoææ postrzegania, która ciebie czyni tym, kim jesteæ. Jeæli istnieje bowiem samotnoææ, to jest równie<sup>3</sup> zwyciêstwo. Dzięki tobie ani moje *¿ycie, ani moja æmieraæ nie pójd<sup>1</sup> na marne.**

*Studiujê historie, lecz wci<sup>1</sup>¿ znajdujê tam wojny, zniszczenia, grabie<sup>3</sup>e i *¿ywoty ludzkie gaszone z tak<sup>1</sup> rozrzutnoæci<sup>1</sup>, *¿e dech mi zapiera. To bezsensowne. Mo<sup>3</sup>na by pomyælaæ, *¿e ludzkoææ nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko po<sup>3</sup>eraæ w<sup>3</sup>asn<sup>1</sup> padlinê. Pomyæl o ca<sup>3</sup>ym zniszczeniu, które widzia<sup>3</sup>eæ, o nieograniczonej g<sup>3</sup>upocie cz<sup>3</sup>owieka. Ca<sup>3</sup>ym narodom zdarza<sup>3</sup>o siê znikaaæ za spraw<sup>1</sup> chciwoæci, po<sup>3</sup>dania lub zabawy garstki szaleñców.****

*Zastanawia<sup>3</sup>am siê, czytaj<sup>1</sup>c te ksi<sup>1</sup>¿ki, ile jest na tym æwiecie istot i spraw o wiele gorszych ni<sup>3</sup> wampiry.*

*Poznaæ twój wolnoææ. ĩyæ krwi!, która ofiarowana jest z mi³oæci. Saint-Germain,  
Saint-Germain, ledwo mogê siê doczekaæ!*

**Twoja, na zawsze, Madelaine**



## Notatki na marginesie - Hotel Transylwania

Wzniesiony za panowania Ludwika XIII, Hotel Transylwania stoi do dzieć przy Quai Mala'uais pod numerem dziewięćtym, w le Fabourg Saint-Germain. Nazwê wzi<sup>13</sup> od księcia Franza Leopolda Rakoczego, który mieszka<sup>3</sup> w nim w latach 1713-1717. Przebywa<sup>3</sup> we Francji w zwi<sup>1</sup>zku z wojn<sup>1</sup> o Sukcesję Hiszpańsk<sup>1</sup>.

S<sup>3</sup>awê zawdzięcza przede wszystkim powieści l'Abbe Prevosta Manon Lescaut, która po raz pierwszy ukaza<sup>3</sup> się w 1728 i utrzyma<sup>3</sup> sw<sup>1</sup> popularność do dnia dzisiejszego, g<sup>3</sup>ównie dzięki operom Masseneta i Pucciniego, wzoruj<sup>1</sup>cym swe libretta na dziele Prevosta (w istocie istnieją cztery opery wykorzystujące Manon Lescaut, lecz tylko dwie s<sup>1</sup> często wystawiane).

W Hotelu Transylwania mieszka<sup>3</sup>o, b<sup>1</sup>d<sup>1</sup> posiada<sup>3</sup>o go, parê znakomitych osób. Wśród nich: diuszessa de Gramont (1724), markiz de Blocqueville (1869-1892) wypełniaj<sup>1</sup>c miejsce tym, co najlepsze, w sztukach i wiedzy; wczesniej jeszcze, zanim uzyska<sup>3</sup> swe miano, pod którym wci<sup>1</sup>; jest znany, Hotel Transylwania zajmowany by<sup>3</sup> przez Marechala de Tallard.

### Le Comte de Saint-Germain

Po raz pierwszy pojawi<sup>3</sup> się w Paryżu w maju 1743 roku. D<sup>1</sup>entelmen, bogaty, wszechstronnie wykształcony, o wspaniałych manierach, bardzo tajemniczy. By<sup>3</sup> postaci<sup>1</sup> nad wyraz rzucaj<sup>1</sup>c się w oczy, zna<sup>3</sup> go ka<sup>1</sup>dy, widywano go wszędzie. Jego namiętność do diamentów by<sup>3</sup>a zastanawiaj<sup>1</sup>ca nawet w tamtym, zbytkownym, stuleciu. Często chwali<sup>3</sup> się, że jest w stanie produkować własne diamenty. Parê razy zdarzy<sup>3</sup>o się, że przyjaciele dawali mu swoje kamienie, a on zwraca<sup>3</sup> im je już większe, mówi<sup>1</sup>c, że to dzięki przeprowadzonemu przezeń procesowi.

Ubiera<sup>3</sup> się tylko na czarno, z białymi akcentami, i to w czasie, gdy zwyczajowy strój męczyzny zawstydział móg<sup>3</sup>by tęczę. Wszystko co nosi<sup>3</sup> by<sup>3</sup>o zawsze w najlepszym gatunku i starannie dobrane. Ci, którzy go znali, pozostawali pod wrażeniem tej skromnej maniery, szczególnie Grimm i Fryderyk Wielki. Do pary z biel<sup>1</sup> i czerni<sup>1</sup> je<sup>1</sup>dzi<sup>3</sup>, tak wierzchem jak i powozami, wy<sup>3</sup>cznie siwymi końmi, zao karety mia<sup>3</sup> zawsze najnowocześniejsze.

Przypisuje mu się autorstwo pracy Le Tres Sainte Trinosophie, co może, lecz nie musi, być prawd<sup>1</sup>. Niemniej, nosi ona jego pieczęć (Eklipsa, ze wzniesionymi skrzydłami) i zawiera myśli identyczne z tymi, które Saint-Germain często wyg<sup>3</sup>asza<sup>3</sup>. Casanov<sup>1</sup> i Walpole s<sup>1</sup> autorami bezpośrednich relacji oświadcz<sup>1</sup>cych o tym, że Saint-Germain by<sup>3</sup> praktykuj<sup>1</sup>cym alchemikiem, i to całkiem dobrym. W 1750, a mieszka<sup>3</sup> wtedy w Hadze, naby<sup>3</sup> athanora i wynaj<sup>13</sup> dodatkowo dwa pokoje, by móc przeprowadzać rozmaite doświadczenia alchemiczne.

Inn<sup>1</sup> jego pasj<sup>1</sup> by<sup>3</sup>a muzyka. Spotkanie z Rameau naprawdę mia<sup>3</sup>o miejsce gdzieś latem 1743. Saint-Germain skomponowa<sup>3</sup> kilka niewielkich oper, ta wymieniona w kontekście przyjęcia Madelaine, Persephone, powsta<sup>3</sup>a prawdopodobnie przed rokiem 1750. Gra<sup>3</sup> na skrzypcach, klawikordzie i

gitarze; śpiewa<sup>3</sup> do tego jasnym, mi<sup>3</sup>ym g<sup>3</sup>osem (jego skala nie zosta<sup>3</sup>a odnotowana). By<sup>3</sup> znakomitym improwizatorem i siadaj<sup>1</sup>c do klawiatury lubi<sup>3</sup> czasem puszczaæ wodze fantazji.

Jego muzyka zosta<sup>3</sup>a zebrana przez rosyjskiego kompozytora, Piotra Czajkowskiego.

Jego opis - m<sup>ê</sup>czyzna œredniego wzrostu z drobnymi d<sup>3</sup>oñmi i stopami, ciemnymi w<sup>3</sup>osami, przenikliwym spojrzeniem (o tym wspomina ka<sup>3</sup>dy, kto go opisuje), i prezencj<sup>1</sup> sugeruj<sup>1</sup>c<sup>1</sup> wczesny wiek œredni - nie zmienia siê w relacjach pochodz<sup>1</sup>cych z lat 1743 a<sup>3</sup> do 1786, który jest rokiem jego domniemanej œmierci. To doœæ d<sup>3</sup>ugi czas, by wci<sup>1</sup>¿ wygl<sup>1</sup>daæ na czterdzieœci cztery lata. Sam powiada<sup>3</sup>, ¿e ma trzy lub cztery tysi<sup>1</sup>ce lat i zawdziêcza sw<sup>1</sup> m<sup>3</sup>odoœæ popijaniu eliksiru ¿ycia.

Czy by<sup>3</sup>o to prawd<sup>1</sup> czy nie, warto odnotowaæ, ¿e rzadko, lub wcale, nie widziano go posilaj<sup>1</sup>cego siê lub pij<sup>1</sup>cego cokolwiek w miejscu publicznym, a nigdy, pod ¿adnym pozorem, nie pija<sup>3</sup> wina.

By<sup>3</sup> entuzjastycznym patronem sztuk piêknych, szczególnie zae wielbi<sup>3</sup> dzie<sup>3</sup>a Velazqueza. Sam te¿ trochê malowa<sup>3</sup> i chocia¿ jego prace wykazuj<sup>1</sup> znajomoœæ rzeczy (nie b<sup>ê</sup>d<sup>1</sup>c niczym nadzwyczajnym), znal sekret uzyskiwania barw rzadkiej jaskrawoœci i jasnoœci, o którego to ujawnienie b<sup>3</sup>aga<sup>3</sup>o go wielu ówczesnych malarzy.

Urodzony lingwista, zna<sup>3</sup> przynajmniej dwanaœcie j<sup>ê</sup>zyków, w<sup>3</sup>czaj<sup>1</sup>c w to rosyjski, arabski i chiñski.

To, kim by<sup>3</sup> ów cz<sup>3</sup>owiek stawa<sup>3</sup>o siê obiektem wielu spekulacji przez wszystkie te lata, odk<sup>1</sup>d pojawi<sup>3</sup> siê wœród paryskiej socjety a<sup>3</sup> do dzisiaj. Móg<sup>3</sup> rzeczywicie byæ najm<sup>3</sup>odszy synem ksiêcia Franza Leopolda Rakoczego z Transylwanii. Jeœli tak, to by<sup>3</sup> wychowywany przez Gian-Gastone'a de Medici i rzeczywicie mia<sup>3</sup> oko<sup>3</sup>o trzydziœtki w chwili przybycia do Pary¿a. W jednym ze swych listów Walpole podaje listê przypuszczeñ, jakie wówczas wysuwano pod adresem Saint-Germaina. Wymienia tam takie wersje, jak: 1) jest polskim arystokrat<sup>1</sup> skazanym na wygnanie z Polski za spiskowanie przeciwko tronowi; 2) jest portugalskim ydem; 3) jest W<sup>3</sup>ochem, który o¿eni<sup>3</sup> siê bogato i zamordowa<sup>3</sup> sw<sup>1</sup> ¿onê; 4) jest synem papie¿a; 5) jest rosyjskim bojarem zabawiaj<sup>1</sup>cym siê cudzym kosztem; 6) jest austriackim handlarzem diamentów, który szpieguje we Francji.

Walpole i Francuzi (jak zapewne i Fryderyk Wielki) wykorzystywali Saint-Germaina do nieoficjalnych misji dyplomatycznych, jako ¿e d<sup>3</sup>ugo i czêsto przebywa<sup>3</sup> na europejskich dworach. Bez w<sup>1</sup>tpienia mia<sup>3</sup> dostêp do najznamienitszych ludzi swoich czasów. Po 1768 przemieszkiwa<sup>3</sup> w Chambourgu. Móg<sup>3</sup> zatem przebywaæ w pobli¿u króla Francji, który zreszt<sup>1</sup> spêdza<sup>3</sup> z nim nieco czasu prawie codziennie. Fryderyk Wielki ceni<sup>3</sup> go zarówno jako muzyka, jak i dworzanina. Czêsto nazywa<sup>3</sup> go "Cz<sup>3</sup>owikiem, który nie umrze".

Jego oburêcznoœæ jest dobrze udokumentowana. Pisanie jednoczesne listu i kopii by<sup>3</sup>o sztucz<sup>1</sup>k<sup>1</sup>, która go bawi<sup>3</sup>a. Co niezwyk<sup>3</sup>e, podpis Saint-Germaina by<sup>3</sup> w obu przypadkach identyczny. Ma to znaczenie przy ustalaniu daty jego œmierci, poniewa¿ istnieje<sup>1</sup> dwa dokumenty nosz<sup>1</sup>ce jego autentyczny

podpis, datowane 1791 i 1793, czyli pięć i siedem lat po jego domniemanej śmierci. Oryginalni ówczesni adresaci listów nie wątpili w ich autentycznoœæ, a by³o jeszcze przynajmniej trzech ludzi, i to spoœród tych, którzy znali go dobrze, którzy twierdzili, i¿ widzieli go lub nawet rozmawiali z nim w 1793, 1796 i 1802.

Kimkolwiek by³, uda³o mu siê zaintrygowaa wszystkich na bardzo d³ugi czas, a tajemnica nie zosta³a rozwi¹zana do dzisiaj.

### Wampiry

Chc¹c zdecydowaæ siê, jak¹ ogóln¹ charakterystykê wampirów wykorzystaa w tej powieœci, zapozna³am siê z wieloma rozmaitymi ksi¹¿kami na ten temat, od studiów naukowych po naiwne relacje. Moje wnioski s¹ nastêpuj¹ce: cokolwiek to jest, co wampiry znajduj¹ we krwi, nie jest to sama krew jako pokarm. Skoro wampiry nie trawi¹ ani nie wydalaj¹, jak robi¹ to ¿ywi ludzie, wypita krew musi s³u¿yæ jakiejœ innej funkcji. Nie ma to równie¿ zwi¹zku z kr¹¿eniem, gdy¿ wydaje siê, ¿e wiêkszoœæ funkcji uk³adu kr¹¿enia zostaje u wampirów przejêta przez system limfatyczny, co mo¿e byæ po czêœci powi¹zane z narastaj¹c¹ wra¿liwoœci¹ na œwiat³o s³oneczne ( chocia¿ dwa wielkie powieœciowe wampiry, Dracula i Ruthven, bez widocznej szkody ganiaj¹ w pe³nym blasku dnia). Tak zatem, jeœli krew dostarcza po¿ywienia, to w umiarkowanym naprawdê zakresie. O ile pochodzi od ssaków, dostarcza czegoœ, co jest im niezbêdne.

Psychiczny aspekt wampiryzmu to inna sprawa. To, czego poszukuj¹ wampiry najczêœciej (przynajmniej w ca³ej gamie ró¿norodnych utworów literackich), to nie krew, lecz ¿ycie ("Bo krew znaczy ¿ycie, Mr Harker", mówi Dracula). Krew staje siê istotna w zwi¹zku ze stosunkiem cielesnym, to bliskoœæ jest tym, czego wampiry szukaj¹ naprawdê. Id¹c dalej tym tropem, wygl¹da na to, ¿e wampiry s¹ istotami psychokinetycznymi, gdy¿ posiadaj¹ zdolnoœæ wp³ywania na zachowania ludzi i zwierzt, jak i na pogodê.

Niesamowicie wiele zosta³o napisane o seksualnych podtekstach wampiryzmu. Rzeczywiœcie, wiêkszoœæ ataków zdarza siê w nocy, w œó¿ku i pozostawia po sobie spore wyczerpanie. W wielu kulturach panuje opinia, ¿e wampiry nie s¹ zdolne do stosunków genitalno-seksualnych, któr¹ to u³omnoœæ rekompensuj¹ przez nadgryzanie ofiary. Ju¿ widzê jak wszyscy freudyœci skacz¹ i wierzgaj¹ z radoœci. Tym samym, to nie krew, lecz sam akt ugryzienia jest dla wampira podstaw¹ bytu. Szczególnie koresponduje to z pewnym chiŃskim wzorem wampira, który po¿¹da nie krwi wypijanej z szyi, lecz p³ynu rdzeniowo-krêgowego.

W krajach europejskich istnia³a przemo¿na tendencja przypisywania wampirom cech heretyckich i diabelskich, co jest zupe³nie pozbawione sensu. Jeœli wampiry rzeczywiœcie ba³yby siê, na przyk³ad krzy¿a, to doœæ by³oby pogrzebaæ je pod takowym i mieæ spokój. Tak zatem to nie religijne symbole maj¹ wp³yw na wampiry. Podobnie jak satanistyczne. W ich zachowaniu nie ma elementów satanizmu i tylko w chrzeœcijaŃskich krajach wierzy siê, ¿e ktoœ, kto za ¿ycia para³ siê czarami, po

ciemierci stanie się wampirem.

Traktowane z lękiem lub ciekawością wampiry i dotycząca ich wiedza, wskazują na wielką fascynację ludzkością tym tematem. Jest to jedna z tych rzeczy, które są równocześnie ciekawe i odpychające. Wszystkie opowieści o zmartwychwstałych, którzy atakują i uwodzą żywych. Większość z nich jest wynikiem ogólnie ambiwalentnej postawy wobec nieśmiertelności i przesądów związanych z niektórymi aspektami lęku przed ciemiercią.

Varney, Dracula, Lord Ruthven i rozmaite inne cała ich dzieci (jednym z nich jest bez wątpienia Saint-Germain), zajmują szczególne miejsce w literaturze grozy. Nie istniełby, gdyby nie przemawiały przez nich różne ukryte myśli nas samych.